

Christopher Sherlock

Noc drapieżcy

Night of the Predator

Tłumaczenie

Beata Brynkiewicz



*Najgorszym kłamstwem była nasza nadzieja
Na wieczne popołudnia i barwy zieleni
I wystarczyć nam musi nadzieja
Skoro wróciliśmy do kłamstw,
Do brudnych miast, do nieczułych ludzi.
Nie kończące się popołudnia i barwy zieleni,
Lecz jedno wspomnienie można nam wybaczyć,
Tę jedną obietnicę: drogę przez
Bujną trawę nocą, źdźbła
Trawy na dziupie,
I w światłach przed nami kontynent,
Afrykę w nas, Afrykę dokoła.*

WYGNAŃCY
PATRICK CULLINAN

PROLOG

KALAHARI 1950

Tracey zadrzała. Powiew zimnego, suchego powietrza wdarł się pod kurtkę khaki, więc owinęła się nią ciasniej. Kotuko delikatnie ujął jej rękę. Był niewysoki, sięgał Tracey zaledwie do piersi; jego szare, wijące się włosy przypominały cierniste krzaki na nagim veldzie.

Boże, cóż ona zrobiła! David zabiłby ją, gdyby dziecko umarło. Dlaczego robi to swojemu maleństwu? Ale wystarczyło tylko, by spojrzała w oczy starego człowieka i już odnajdywała odpowiedź na swoje pytania.

W tych ciemnych, niezgłębionych źrenicach kryły się wszystkie sekrety kultury, która od początku dziejów była częścią Afryki.

David uwielbiał przyjeżdżać tu i polować na lamparty. Nie wiedział początkowo nic o kontaktach Tracey z Buszmenami - czy ludem San - był zaskoczony, gdy odkrył, że władza ona ich językiem i zbulwersowany, gdy zrozumiał, że traktuje ich na równi z białymi. Lecz Tracey dorastała właśnie tu, na Kalahari; to był jej dom - należała do niewielkiej garstki białych znających język Buszmenów.

Jej pierwsze dziecko - jej i Davida - było od urodzenia bardzo słabe. Lekarze europejscy obawiali się, że nigdy nie będzie mogło chodzić, ale nie potrafili postawić pewnej diagnozy, dopóki nie podrośnie; kazali mieć nadzieję i czekać. Dla Tracey wyprawa do szamana była czymś zupełnie naturalnym i oczywistym. On zaś wziął kości - dwie płaskie, dwie okrągłe i inne, niekształtne.

Potrząsnął nimi, rozrzucił je po piasku i uniósł ręce ku niebu. Przyjrzał się wzorom, jakie stworzyły i naradził z innymi Buszmenami. W końcu orzekł:

- To z miłości wielki Bóg uczynił to dziecko kaleką, a jeśli jego miłość jest jeszcze większa, zabierze je do siebie.

Tracey zadrzała. Lecz zadrzała jeszcze bardziej, gdy szaman powiedział, co musi zrobić. Czy będzie mogła żyć ze śmiercią dziecka na sumieniu?

Teraz wchodzili na wzniesienie, ona i starzec Kotuko, a dziecko leżało w promieniach palącego słońca tam, gdzie zostawili je wczoraj. Łzy popłynęły jej z oczu.

Pobiegła, z trudem łapiąc oddech. Malutkie zawiniątko ciągle leżało na piasku. Buzia dziecka była spieczona i spękana. Tracey padła na kolana. Dziecinny zapach zniknął zastąpiony ostrą, piaszczystą wonią pustyni.

Szlochając cicho poczuła, że Buszmen stanął tuż za jej plecami.

- Czemuż brak ci odwagi?

Uniósł dziecko i wyszeptał kilka słów. Oczy maleństwa otworzyły się, z ust wydarło się stłumione kwilenie.

Tracey złapała dziecko, gwałtownie rozpięła kurtkę i przycisnęła je do piersi. Zaczęło chciwie ssać.

Buszmen uśmiechnął się.

- On jest teraz Afryką. Nazwijmy go Kaikhoe - wojownik.

*

Odór krwi wypełnił gorące, suche powietrze pustyni.

Na horyzoncie, w gorącej mgiele chwiało się samotne drzewo; ani jedna chmurka nie maciła krystalicznego błękitu nieba. Już sam zapach przyprawiał Tracey o mdłości, ale nie potrafiła odwrócić wzroku od wycieńzonego ciała, zwisającego z drewnianej konstrukcji służącej myśliwym do suszenia skór zabitych zwierząt.

Sznury wpijały się w skórę, nadgarstki ociekały krwią.

Ciało zwisało bezwładnie, nagie i bezsilne, a pośladki były czerwone od krwi spływającej z poszarpanych pleców.

Nie opodal zabulgotał czajniczek z kawą, umieszczony na dwóch metalowych prętach nad małym ogniskiem.

Młody mężczyzna w nienagannie dopasowanym stroju safari obojętnie obserwował swoją ofiarę. W prawej dłoni trzymał sjambok. David Loxton zawsze umiał panować nad swoimi uczuciami. Jedynie zimne, szare oczy pod krzaczastymi brwiami zdradzały wrzącą w nim wściekłość. Kolejny świst bicia i trzask, gdy owijał się wokół ciała starego człowieka. Biel kości prześwitywała przez rany na czarnej skórze.

- Na Boga! Davidzie! Przestań! - rozpaczliwie krzyknęła Tracey podbiegając do męża, który podnosił zakrwawiony sjambok, aby ponownie uderzyć starca. - To była tylko próba, nie rozumiesz?! Wiedzieliśmy, że dziecko jest słabe, ale próba dowiodła, że jest wystarczająco silne, aby przetrwać. Davidzie, czy umiałbyś żyć z kaleką?! - Objęła swego rok wcześniej poślubionego męża i błagalnie wpatrywała się w jego oczy. Napotkała jedynie zimne spojrzenie kogoś zupełnie obcego.

Odepchnął ją i wbił uchwyt bicia w jej splot słoneczny. Zwinęła się z bólu i osunęła na gorący piach kaszłąc i ciężko łapiąc oddech. Sjambok ponownie uniósł się w powietrze i rozdarł ciało na plecach starego Buszmena.

- Iiiii! - ciężki oddech wydarł się z ust Kotuko, lecz starzec nie jęknął nawet z bólu ani nie błagał o litość.

W rozchylonych wargach błysnęły zęby.

Tracey bezsilnie leżała na piasku. Uniosła głowę, a szaman odpowiedział jej spojrzeniem, z którego wyczytała - to nie twoja sprawa, trzymaj się z daleka, poradzę sobie sam.

- Ty stary kafrze! Próbowalesz zabić mojego syna, ty pogański sukinsynu! Wrzeszcz! Żebraj o życie! - Raz po raz bicz opadał i Tracey, wpatrzona w oczy Kotuko, widziała, jak życie z wolna go opuszcza.

Jej duszę rozdarła nienawiść. Nie tylko nie pozwoli Davidowi dotknąć się ponownie; jego własny syn musi poznać prawdę o ojcu, pojąć dzikie barbarzyństwo drzemiące pod cienką powłoką cywilizacji - nauczyć się go nienawidzić i pomścić człowieka tak bezlitośnie zachłostanego. Nagle stało się to dla Tracey jasne. Od tej chwili sensem jej życia będzie nie kończąca się walka z mężczyzną, którego kiedyś kochała i poślubiła, któremu urodziła syna. Jednak myśląc o zemście czuła się złapana w pułapkę. Cóż mogła zrobić przeciwko sile człowieka takiego jak David Loxton? Przeciwko sile, której starzec wciąż się opierał, mimo że jego plecy pokryły się krwawymi ranami.

David, spływając potem, chodził dookoła Buszmena zaglądając mu w oczy.

- Żebraj o życie, kafrze!

Plwocina uderzyła go w twarz.

- Nigdy! - Pomarszczone usta Kotuko wymówiły to słowo cicho, lecz wyraźnie.

Przez twarz Davida przemknął nikły uśmiezek. Odrzucił sjambok i podszedł do ogniska, gdzie bulgotał gotujący się czajnik. Oblane kawą węgle zasyczały.

David ujął czajnik i napełnił kubek. Pił spokojnie, przyglądając się staremu Buszmenowi i Tracey.

Odstawił kawę i wyjął z ognia jeden z żelaznych prętów, połyskujący wściekłą czerwienią niczym metal z pieca hutniczego. Przesunął nim tuż przed twarzą starego człowieka i patrzył, jak szaman sztywnieje. Bez słowa obszedł rozwieszony ciało i wolno wsunął pręt w odbytnicę starca.

- Aaaa!

Odór palonego ciała i ekskrementów uderzył Tracey jednocześnie z krzykiem starego człowieka.

Wpatrywała się w martwe ciało Kotuko, starca, który przez kilka ostatnich tygodni był jej najbliższym powiernikiem. Otaczał ich pusty, falujący veld i głęboki, odwieczny błękit nieba.

- Zabiłeś go, ty draniu! - Jej krzyk zamarł w gorącym powietrzu.

Usłyszała kroki Davida. Jego cień padł na nią, gdy tak leżała na piasku. Zbliżył zakrwawiony bicz do twarzy Tracey. Kwaśny odór krwi odebrał jej głos.

Przeszyło ją zimne spojrzenie szarych oczu.

- Nie, Tracey, to ty go zabiłaś. Przez twoją głupotę ten kafr zostawił nasze dziecko na pustyni. A teraz wstawaj, jestem głodny.

Leżała bez ruchu. Złapał ją za włosy, poderwał na nogi i brutalnym szarpnięciem zmusił do patrzenia sobie w twarz. Nie zwracał uwagi na jej szloch i łzy płynące z oczu.

- Masz być posłuszna, bo cię wychłostam. - Spokojny, miarowy ton Anglika z wyższych sfer.

Odczuła całą siłę skierowanej przeciwko sobie brutalności i zamknęła oczy. Nie, to nie był przerażający sen, to była rzeczywistość. Gdy przyciągnął ją do siebie, zmuszając do pocałunku, pojęła, jakim koszmarem będzie reszta jej życia.

KSIEGA PIERWSZA

1

1989

Słońce było bezlitosne. Przebijało się przez przyciemnioną przednią szybę i przez słoneczne okulary zeissa.

Kiedy wyłączył klimatyzację i uchylił boczną szybę, wiatr z rykiem wdarł się do środka, a on upajał się gorącym, suchym powietrzem. Uwielbiał ten płonący zapach Afryki, który podniecał go jak narkotyk. Zerknął na zegarek; wyruszył później, niż zaplanował.

Poranne spotkanie trwało całą wieczność. Zapomniał, że bankierzy traktują czas zupełnie inaczej niż reszta świata - ludzie z Zurychu są zbyt wpływowi i bogaci, aby dać się zastraszyć lub odprawić. Max Loxton z rozkoszą zrobiłby i jedno, i drugie.

Wsluchiwał się w buczenie wielkiego silnika Buicka V-8, za sprawą którego białe, aluminiowe cielsko land-rovera przebijało się przez gorące powietrze. Ten samochód dałby sobie radę z warunkami o wiele gorszymi niż dzisiejszy piekielny upał. Bez specjalnego wysiłku silnik rozwinął szybkość 130 kilometrów. - Nie było żadnego ryzyka. Max spojrzął na wskaźnik - temperatura silnika w normie. Miał tego landa dopiero rok i już odbył nim dwa męczące safari. Pomyślał o nich tęsknie.

Taką właśnie trasą jechałby, gdyby kierował się na północ Botswany, ku bagnetom Okavango. Lecz tym razem nie wybierał się na wielkie łowy. Zamierzał podjąć pewne kroki mające ochronić dzikie zwierzęta i puszcze Botswany i powstrzymać gwałty popełniane na przyrodzie.

Po dwóch godzinach jazdy znalazł się w zupełnie innym świecie. Opuścił wysokie wieżowce, złociste piaski kopalnianych hałd i zgorzkniałych ludzi pożądających jedynie pieniędzy. Jechał przez tereny rolnicze, ostoję Afrykanerów, prawdziwych Burów, bojowników - twardej rasy, najmocniejszych mężczyzn świata. Niektórych z nich kochał, innych nienawidził, ale prawie wszystkich szanował. Myślał przede wszystkim o jednym Afrykanerze - swoim mentorze. Kobus van der Post. Jego życie zmieniło się nagle i szybko. Prezydent RPA, P. W. Botha, został usunięty wskutek dramatycznych posunięć swego

własnego gabinetu. Zastąpił go Kobus van der Post. Max wcześniej nie zdawał sobie sprawy z rozłamu w rządzie, a Kobus nie wspominał, że postępowanie Bothy wzbudza coraz większy niepokój wśród członków gabinetu. Teraz, gdy Kobus van der Post rozpoczął rządzenie krajem, Max spodziewał się, że nastąpią gwałtowne zmiany i to bardzo szybko.

Max jechał teraz wolniej i wpatrywał się w płaski teren przed sobą. Nagle, łamiąc monotonię równiny, pojawił się kierunkowskaz: Zeerust 5 km. Coraz bliżej granicy. Nie będzie musiał tankować paliwa; oba zapasowe baki zostały napełnione przez szofera, zanim Max wyruszył ze swojej kwatery głównej w Johannesburgu.

Może jednak trzeba było lecieć learem? Ale to pewnie spowodowałoby kłopoty - dziennikarze siedzieliby mu na ogonie od momentu startu. Cena sukcesu. A tak, za przydymionymi szybami land-rovera był anonimowy; ot, kolejny zwykły turysta zmierzający do Botswany.

Poza tym jazda dawała czas na uporządkowanie spraw i przemyślenie wszystkich argumentów raz jeszcze. Pomyślał o teczkach upchniętych gdzieś z tyłu wozu, wypełnionych planami i szkicami - lata pracy. Te dokumenty wyrażały marzenie - marzenie z czasów dzieciństwa, pielęgnowane przez jego matkę, Tracey.

Skłonienie Phillipa Tengrove'a, światowej sławy ekologa, aby opuścił Berkeley, to był ciężki orzech do zgryzienia. Max jeździł wielokrotnie do Kalifornii, aby go przekonać, aż w końcu Phillip przyjechał, by razem z nim obejrzeć bagna Okavango: unikatowe, przepiękne podmokłe tereny w Botswanie. W trakcie tej podróży Phillip zakochał się w nich i dzisiaj dzielili wspólne marzenie - zamienić Botswanę w olbrzymi rezerwat, ostoję dzikiej zwierzyny. Większość uważała ich za nawiedzonych szaleńców, ale Max i Phillip byli śmiertelnie poważni. Wiedzieli, co się stanie, jeżeli nie będą mogli zrealizować swojego planu.

Max zerknął na paczki upchnięte w land-roverze; były pełne prezentów niezbędnych w Afryce przy prowadzeniu jakichkolwiek rozmów. Zmarszczki zmartwienia przecięły jego mocno opalone czoło, gdy ponownie skoncentrował się na jeździe. Znał dobrze ludzi, z którymi miał pertraktować i rozumiał, dlaczego nie chcą go słuchać. Z powodu facetów takich jak ojciec, David Loxton, ludzi, którzy obdarli ze wszelkiej godności tych, do których Afryka należała od początku.

Max zaklął głośno. Tak mało czasu pozostało mu do osiągnięcia celu! Delta Okavango kurczyła się z roku na rok. Traktował to miejsce jak część swej duszy, a stopniowe niszczenie bagien niczym raka pożerającego jego własne ciało. Każdy dzień opóźnienia był rokiem zabranym delcie.

Tylko cztery kilometry do Zeerust. Początek temu miastu dała misja założona przez dwóch Francuzów, przepędzonych przez najazd plemion Matabele. Później, jak to często zdarzało się w rozdartej wojnami historii Południowej Afryki, przepędzono wojowników Matabele i w końcu Voortrekkerzy osiedlili się na stałe w Zeerust, pierwszym mieście w Transwalu, starszym nawet niż Johannesburg czy Pretoria. Max właśnie dojrzał jednego z nich przy drodze - powiedzmy, współczesną wersję Voortrekera. Wysoki facet, stojąc przy swoim niemieckim samochodzie, wydawał rozkazy czarnym robotnikom pracującym na polach. Bez wątpienia w dialektie afrykańskim.

Voortrekker. W luźnym tłumaczeniu oznaczało to pioniera, ale dla każdego, kto znał dobrze dzieje Południowej Afryki, znaczyło to o wiele więcej. Voortrekkerzy wycofali się na tereny północne, aby uciec od Brytyjczyków i stworzyć własne, zamknięte kalwińskie społeczeństwo. Ci, co przybyli do Zeerust, znaleźli bogate ziemie i obfitość zwierzyny; przyjęli wyzwanie i osiedlili się. Dopiero potem pojawiły się problemy: diamenty i łowcy bogactw; ale Voortrekkerzy przetrwali. Teraz nazywali się Afrykanerami, białym plemieniem Afryki. Od drugiej wojny światowej żelazną ręką władali Południową Afryką; biała mniejszość rządząca czarną większością. Nie zważając na sankcje ani ogólne potępienie, walczyli o zachowanie swej władzy.

Lecz Kobus van der Post, niedawno mianowany prezydentem, zdecydowany był na radykalne zmiany, aby wprowadzić demokratyczne reformy i zdobyć akceptację świata. Max wiedział, że będzie to bardzo trudne.

Dręczony pragnieniem dojechał do Zeerust. Przydrożna kafejka, pełna różnorodnych garnuszków i innych naczyń kuchennych, niczym nie przypominała plastikowo-hromowych kawiarni Johannesburga. Max poprosił o „Star” i coś do picia. Wróciwszy do samochodu, po raz drugi odczytywał wielki, niewiarygodny nagłówek; „Uwolnienie Napoleona Zwane”.

Więc Kobus już przystąpił do działania! Szeroki uśmiech rozjaśnił twarz Maxa.

Napoleon Zwane, aresztowany jeszcze w latach sześćdziesiątych, był najsłynniejszym więźniem w RPA.

Skazano go na dożywocie za spiskowanie w celu obalenia gabinetu Verwoerda. Następne dwadzieścia osiem i pół roku swego życia spędził w Robben Island, osławionym więzieniu, dziewięć kilometrów od Cape Town. Poprzedni prezydent, Botha, przeniósł go stamtąd do więzienia Leeukop, położonego w połowie drogi między Johannesburgiem a Pretorią.

Napoleon Zwane zyskał międzynarodową sławę jako człowiek, który odmówił wyrzeczenia się swoich ideałów w zamian za obietnicę wcześniejszego zwolnienia.

Był żywą legendą; wszyscy widzieli w nim naturalnego przywódcę Afrykańskiego Kongresu Wolności - ruchu, który od wielu lat twardo walczył o prawo czarnych do posiadania reprezentacji w parlamencie. Kobus zwierzył się Maxowi, że uwolnienie Napoleona Zwane będzie pierwszą z całego szeregu rewolucyjnych zmian. Wkrótce ogłosi się unieważnienie delegalizacji Afrykańskiego Kongresu Wolności - akt świadczący o wielkiej odwadze Kobusa.

Max przewertował gazetę, aby znaleźć notowania giełdowe, ale wiadomość o planowanym uwolnieniu Napoleona jeszcze nie zdążyła na nie wpłynąć. Kiedy tylko świat dowie się o tym, RPA powinna natychmiast otrzymać zastrzyk tak rozpaczliwie potrzebnej gotówki. Wzrok Maxa przykuły ceny akcji jego własnych firm. No, nowe hotele mają się nieźle; akcje stały mocno i przez kilka następnych miesięcy powinny jeszcze pójść w górę. Uśmiechnął się. Im większy będzie jego majątek, tym więcej środków może przeznaczyć na wprowadzenie w życie swego botswańskiego planu. Znowu ruszył w drogę, wolno sącząc chłodny napój kupiony w kafejce.

Dlaczego zawsze, gdy był sam, myślał o swojej żonie?

Małżeństwo nie było dobrane; jedna z niewielu rzeczy w życiu, które mu się nie udały. Shandy nie potrafiła zaakceptować Maxa takim, jakim był - bogatym, potężnym, charyzmatycznym, zwycięskim. Odkąd ją poślubił, nie miał żadnego romansu, ale ona wciąż go o to oskarżała. Czy to jego wina, że kobiety uważały go za atrakcyjnego mężczyznę i robiły do niego słodkie oczy?

Jej podejrzenia, choć głupie i bezpodstawne, jednak w końcu wykopały między nimi przepaść. Może naprawdę nie była kobietą dla niego? Z początku oczarowała go; miała w sobie tyle energii, tyle chęci życia, ale wszystko rozwiało się po ślubie. Twierdziła, że to jego wina - a to bolało. Przypomniał sobie dzień, kiedy przyłapał ją w łóżku z Rodem Nivenem, jednym z szefów kopalni. Rod, zupełnie nagi, dosłownie rzucił się na niego wymachując pięściami - Max posłał go na podłogę jednym, celnym, lewym sierpowym. Shandy wpadła w szał, ale nie tknął jej nawet palcem - po prostu kazał się wynosić. Tak, to bolało, chociaż niełatwo było się przyznać.

Po rozwodzie Shandy nie wyszła ponownie za mąż.

W wieku lat czterdziestu wciąż była piękną; wysoka kobieta otoczona atmosferą tej seksualnej tajemniczości, sprawiającej że mężczyźni musieli oglądać się za nią na ulicy. Miała ciemne włosy i namiętne oczy - oczy, które kiedy się kochali, błyszczały w ciemności - oczy kota. I sprzedawała historię swojego małżeństwa wszystkim kobiecym piśmidłom w kraju.

Nagle pojawił się przed nim posterunek graniczny - druty, białe budynki, zaparkowane samochody. Max podjechał, wyjął paszport i wyskoczył z wozu.

Cornelius Coetzee, porucznik urzędu celnego RPA w Kopfontein, leniwie przewracał strony paszportu należącego do stojącego za biurkiem mężczyzny. Znana twarz ten doktor Max Loxton. Lat trzydzieści dziewięć, rozwiedziony, regularnie podróżujący za granicę. Sądząc po ubraniu, zamożny. Postawny facet o złamanym nosie boksera i bliźnie biegnącej przez prawą stronę twarzy. Brązowoblond włosy, wyraziste, krzaczaste brwi, mocno opalony. Lecz tak naprawdę niezwykła była jego szyja; równie szeroka jak twarz, muskularna, nadająca Maxowi Loxtonowi wygląd byka. Porucznik Coetzee poczuł spojrzenie krystalicznie czystych niebieskich oczu przewiercające go na wylot i nie potrafił pozbyć się uczucia onieśmienia.

- Paszport w porządku, doktorze Loxton. Proszę mi powiedzieć, czy jest pan może krewnym ministra sprawiedliwości?

Ku jego zdziwieniu twarz Maxa Loxtona wykrzywił grymas.

- Tak, to mój ojciec.

- Dobry człowiek.

- Nienawidzę go!

Porucznik oniemiał, a Loxton złapał swój paszport i wyszedł z budynku; mięśnie jego grubego karku napięły się w gniewie. Porucznik nie mógł zrozumieć, dlaczego tak rozżościł mężczyznę; nagły atak furii był przerażający. On, osobiście, byłby bardzo dumny z takiego ojca jak David Loxton, minister sprawiedliwości.

Dlaczego więc synalek tak się wkurzył? Dziwne, bardzo dziwne.

Max wskoczył do landa mocno trzaskając drzwiami.

Pot zalewał mu twarz. Jeszcze tylko pięćdziesiąt metrów do Botswany i będzie można zapomnieć o tym paskudnym zajściu.

Przejechał na botswańską stronę przejścia w Kopfontein. Rozejrzał się dookoła. Cały teren pokryty był gęstymi zaroślami i gorącym, suchym piaskiem; wydawał się niegościnnie i niedostępny. Obok drogi stał zaparkowany transporter opancerzony, co przypomniało mu wszystkie obozy wojskowe, w których uczestniczył rok po roku, przez dziesięć lat, po odbyciu obowiązkowej rocznej służby. Nie cierpiał tych obozów. Był członkiem jednego z elitarnych oddziałów zwiadowczych, w randze majora, najmłodszym cywilem, który dochrapał się tego stopnia, ale nie stanowiło to dla niego powodu do dumy. Nawet jeśli wielkie wrażenie wywierała na przełożonych jego woła walki i zwyciężania, to z pewnością do tak szybkiego awansu przyczynił się fakt, że ojcem Maxa był minister.

Max wiedział, jak starannie pilnowano granicy; ilość nielegalnie przerzucanej do RPA broni i materiałów wybuchowych ciągle wzrastała. Podobnie jak rajdy bojówek terrorystycznych. Tak naprawdę, dla armii RPA, szóstej pod względem liczebności armii świata, były one mniej bolesne niż ukłucie komara. To nie ataki terrorystów przerażały wojska RPA, lecz groźba wybuchu rewolucji w kraju pełnym przemyconej broni. Max wiedział, że Kobus zamierzał ograniczyć polityczną potęgę armii, która blokowała wszelkie reformy niczym wielki, szary monolit. Większość oficerów wyższej rangi uważała zwolnienie Napoleona Zwane za akt największej głupoty; krążyły nawet pogłoski o konieczności wojskowego zamachu stanu.

Myśli te rozwiały się, gdy Max zatrzymał się przed zakurczonym posterunkiem granicznym i zbierając siły na przetrwanie nieuchronnego korowodu formalności, wszedł do urzędu celnego Botswany.

W przeszłości żołnierze południowoafrykańscy często urządali rajdy przez granicę, aby likwidować placówki zdelegalizowanego Kongresu Wolności w stolicy Botswany, Gaborone.

Z początku wojska Botswany usiłowały ich powstrzymać, choć nie miały żadnych szans w konfrontacji z zawodowymi snajperami RPA. Teraz żołnierze Botswany, pełni respektu dla tak imponującej potęgi militarnej, nie stawiali oporu, ale ich nienawiść do najeźdźców tylko się wzmogła. Właśnie dlatego każdy Południowoafrykańczyk był poddawany drobiazgowej kontroli na granicy. Tym razem Max musiał otworzyć nawet wszystkie skrzynki z narzędziami samochodowymi i podnieść maskę. Klął w duchu z powodu opóźnienia. Jednak wyobrażał sobie, jaki gniew spadłby na głowę szefa celników, gdyby odkryto, że przepuścił południowoafrykańskiego komandosa przebranego za turystę.

- Duży ruch? - zagadnął Max.

- Tak, sporo ciężarówek. Można oszaleć przy kontroli. - Facet obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem. - Ma pan land-rovera, ale nie wybiera się pan na safari?

- Niestety, nie tym razem - odparł Max. - Mam sprawę do załatwienia w Gaborone.

- Jakiej sprawy?

- Ochrona środowiska.

- Pracuje pan dla Euro?

Max roześmiał się - nieuniknione pytanie. Euro posiadało olbrzymie udziały w południowoafrykańskich kopalniach złota i w większości dochodowych kopalń diamentów. Kontrolowało także siedemdziesiąt procent spółek zarejestrowanych na giełdzie johannesburskiej. Nie pracował dla Euro, chociaż usiłowali go kupić już parokrotnie. Własna

firma Maxa, Loxton Exploration, przynosiła spore dochody, a podstawowa robota - poszukiwanie terenów pod nowe kopalnie - szła nieźle. Tak więc Max nie miał ochoty pracować dla sir Juliana Wehrnera, faceta, który sprawował władzę równą boskiej w wykładanej dębina sali rady nadzorczej Euro Pacific na ulicy Wehrnera 55 w Johannesburgu.

Poza tym zainteresowania Maxa nie ograniczały się tylko do kopalń. Rozpoczęta dziesięć lat temu budowa sieci hoteli i organizowanie polowań rozwijało się znakomicie.

- Nie, nie pracuję dla Euro - odpowiedział. - Pracuję sam dla siebie.

- Max Loxton? Bokser wagi ciężkiej! - W oczach celnika coś zabłysło; uściśnął serdecznie dłoń Maxa.

- Nie boksuje już od lat...

- Pana walki pamiętają wszyscy. Mógł pan zostać zawodowcem, mistrzem świata. - W głosie urzędnika pobrzmiwał lęk; patrzył na Maxa z respektem.

- Teraz staczam jeszcze ważniejsze walki - stwierdził Max z nutą żalu. Lubił siłę, którą demonstrował na ringu. Walczył wtedy sam, z jednym przeciwnikiem, i nic innego się nie liczyło.

- Cóż, panie Loxton, jestem pewny, że je pan wygra. Miłego pobytu w Botswanie. - Urzędnik uśmiechnął się wskazując mu gestem wolną drogę.

Max odetchnął z ulgą. Kontrole celne zawsze wyprowadzały go z równowagi; nigdy nie wiadomo, co może wzbudzić podejrzenie, zaś aresztowanie było ostatnią rzeczą, której by sobie teraz życzył. Mogło się zdarzyć tak łatwo - nawet za sprawą tak niewinnego przedmiotu jak manierka wojskowa.

Tuż za posterunkiem przycisnął pedał gazu. Różnice między RPA a Botswaną były uderzające. Puste pobocza spowite tumanami kurzu; nawet trawa, która powinna je porastać, została wyskubana przez kozy. Kraj był spustoszony; kilka drzewek i gdzieś jakaś blaszana buda. Zwolnił. Przez szosę przechodziło stado kóz. Kontrast między nędznymi poletkami Botswany a bogatymi farmami w Południowej Afryce był olbrzymi. Tutaj tysiące drobnych farmerów jedynie wyniszczało glebę. Rysowała się całkiem realna groźba, że cały kraj zamieni się niedługo w pustynię.

Zgodnie z oczekiwaniami, pięć kilometrów dalej, na rogatek Gaborone, napotkał kolejny posterunek kontrolny. Rzucił okiem na żołnierzy. Szybko oszacował ich wygląd i doszedł do wniosku, że sam dałby sobie radę z większością z nich. Brak dyscypliny wśród żołnierzy był ewidentny - pomięte mundury, matowe guziki, niedbale przewieszona broń. Dowodzący oficer zuchwale szperał w walizce Maxa, podejrzliwie łypiąc okiem na dezodorant w aerozolu.

- Może pan jechać.

Max skierował się ku widniejącej przed nim stolicy Botswany - Gaborone.

W „Oazie Gaborone” zaszły olbrzymie zmiany od czasu, gdy Max nabył ją rok temu. Wtedy była jedynie smutnym wspomnieniem ery - wielki, stary hotel w stylu kolonialnym, chylący się ku ruinie - Max jednak dojrzał w nim potencjalne możliwości. Budował dużo hoteli w całej Afryce. Celowo zrywając z monotonią dużych sieci międzynarodowych, projektował każdy hotel jako unikatową jednostkę architektoniczną.

W „Oazie” dostrzegł coś, co podsunęło mu pewien pomysł. Dziś, po przebudowie hotelu, zmęczony podróżny podjeżdżał pod bramę imponującą aleją białych klasycznych kolumn, zwieńczonych pergolą i spowitych bluszczem. Ścieżkę pokrywały gigantyczne płyty terakoty, a pomiędzy kolumnami migwały fontanny i zieleń palm. Dawało to poczucie chłodu w świecie tropiku.

Na twarzy Maxa pojawił się uśmiech satysfakcji, gdy przeszedł białą kolumnadą oplecioną karmazynowymi kwiatami. Architekt i ogrodnik przeszli samych siebie. Niecierpliwiał się, aby sprawdzić poziom obsługi hotelowej - była to niezapowiedziana wizyta i nikt go nie oczekiwał.

Olbrzymi, przewiewny hall recepcyjny wyłożony był czarnymi i białymi płytami, a w centrum wznosiła się stylowa fontanna z dwoma cherubinkami na szczycie, nachylonymi jak do nurkowania. Szklany sufit dawał wrażenie lekkości i przestronności. Maxowi od razu rzuciły się w oczy stojące w hallu czarne dziewczyny.

Sprawiły wrażenie, że na coś czekają. Kiedy spojrzały na niego, zmarszczył brwi z niezadowoleniem, natychmiast więc przeniosły swoją uwagę na innych. Jak wszystkie damy z marginesu na całym świecie, ubrane były raczej skąpo i lustrowały przechodzących mężczyzn z nie ukrywanym zainteresowaniem.

Zarezerwował pokój pod przybranym nazwiskiem.

Był to jeden z lepszych apartamentów na piętrze, z widokiem na cudowne hotelowe ogrody. Recepcjonistka zerknęła na list potwierdzający rezerwację, potem na niego. Uśmiechnęła się.

- Czy pozostanie pan dłużej, czy tylko na weekend, panie McDowell?

- Nie wiem jeszcze. Czy mogłaby pani zatrzymać dla mnie ten pokój?

- Ależ oczywiście. Do śniadania podać panu kawę, czy herbatę?

- Kawę. I gazety.

- Gazety z Johannesburga dostajemy z jednodniowym opóźnieniem, ale naszą, lokalną, otrzyma pan przy śniadaniu. Życzę przyjemnego pobytu.

W apartamencie Max rozpakował walizkę i zdecydował się na prysznic - zimna woda postawi go na nogi po upale podróży. Wieczorem przejrzy raporty, które przywiózł ze sobą. Bynajmniej nie lekcewał przeciwnika;

Euro miało już praktycznie monopol na kopalnie Botswany, a nowe propozycje na pewno nie spotkają się z ich aplauzem.

Odświeżony prysznicem, wytarł się do sucha i nalał sobie whisky. Otworzył drzwi balkonowe i wyjrzał na ogród. Słońce zachodziło; roziskrzona pomarańcza na horyzoncie, a w górze, na ciemniejącym granacie nieba postrzępione, ciemne chmury z białymi otoczkami.

Zamyślił się. Botswana miała wielki potencjał. W tej chwili dla inwestorów oznaczało to jedynie kopalnie i hodowlę bydła - dwa sposoby na wyciągnięcie z tego kraju jak najwięcej pieniędzy zanim coś się nie przytrafi, na przykład rewolucja w sąsiedniej Afryce Południowej. Lecz Max Loxton widział w Botswanie bogactwa, których większość inwestorów nie dostrzegła lub nie brała pod uwagę. Rezerwaty na północy i bagna Okavango stanowiły nieskażone, najwspanialsze pierwotne tereny na świecie. Maxowi marzyło się ocalenie tego raj. Wiedział, że w przyszłości tereny te mogą się stać atrakcją turystyczną zdolną konkurować z najszlachetniejszymi na świecie. Zaś turystyka będzie miała własne, naturalne zasady kontroli.

Na olbrzymich terenach łowieckich turystom umożliwi się polowania - oczywiście nie całymi wycieczkami - zarobi się więc jednocześnie sporo gotówki na utrzymanie rezerwatu i zachowa delikatną równowagę między różnymi gatunkami zwierząt. Wśród bagien zostaną zbudowane nowoczesne hotele. Goście będą mogli brać udział w wycieczkach po moczarach mokorami - tradycyjnymi drewnianymi łodziami używanymi przez tubylców, lub podziwiać ten raj z okien apartamentów.

Max pociągnął kolejny łyk whisky. Alternatywą może być tylko obserwowanie, jak kraj, przez który dziś przejeżdżał, niszczone przez prymitywne rolnictwo zamienia się w pustynię, jak Gaborone staje się nowoczesnym miastem w otchłani kurzu i piasku, jak pieniądze wyciekają z kraju zamiast do niego napływać. Jeżeli wielkim hodowcom bydła, którzy żądali wycięcia dżungli wokół bagien, da się wolną rękę, wystarczy dziesięć lat aby zrujnować Botswanę.

Gdy słońce zaszło, Max, pogrążony w myślach, wrócił do pokoju i zabrał się za czytanie pierwszego raportu - bardzo przekonującej, jak stwierdził, rozprawy o możliwości zmiany trendów w ekonomii Botswany.

Sednem propozycji było przejęcie przez niego samego kontroli nad kopalniami Botswany. Miał ku temu wystarczające kwalifikacje; kierował dwiema dochodowymi

kopalniami koło Johannesburga i w Namibii. Według jego planu w Botswanie stopniowo powinno się ograniczać budowę nowych kopalń, nakładając jednocześnie większe podatki na te już istniejące. W ten sposób osiągnano by większe zyski niż dotychczas, znacznie ograniczając zniszczenie środowiska naturalnego.

Projekt zakładał też stworzenie nowych miejsc pracy dla ludzi zwalnianych z zamykanych kopalń.

Taki system wydawał się Maxowi daleko lepszy niż obecnie stosowany przez spółki południowoafrykańskie. One po prostu zamierzały wydobyć wszystko co możliwe i wynieść się do diabła, zanim nadejdzie burza - na przykład zamach stanu. Największą trudnością było przekonanie rządu Botswany, aby zrezygnował z usług wielkich konsorcjów południowoafrykańskich, zwłaszcza gdy jedno z nich, co było bardziej niż prawdopodobne, zdecyduje się pomóc przy budowie nowego uniwersytetu czy też, powiedzmy, lotniska.

Cóż, tym trzeba zająć się jutro w trakcie spotkania z jedną z najważniejszych figur w rządzie Botswany.

Max sądził, że miał na tego człowieka duży wpływ.

Władzał wieloma afrykańskimi językami, a przez swoje bokerskie sukcesy zdobył szacunek czarnych społeczności. Max wierzył, że do władzy można dojść przez sport, dlatego wkładał wiele wysiłku w promowanie czarnych bokserów z RPA na arenie międzynarodowej.

Ktoś zastukał do drzwi. Max przeszedł przez pokój i otworzył. Czarna dziewczyna ubrana w białą bluzeczkę i ciemną spódniczkę weszła do środka i usiadła w fotelu. Całkiem atrakcyjna; dawał jej na oko dwadzieścia dwa, trzy lata. Zapaliła papierosa i rzuciła mu uwodzicielskie spojrzenie. Patrzył na nią nieporuszony.

- Za sto randów...

Max wściekle zacisnął pasek szlafroka. Nagle diabli wzięli koncentrację i spokój.

- Wynocha! - warknął. Musi porozmawiać z dyrektorem. Najwyraźniej ktoś z personelu dorabiał sobie rajfurskim procederem.

Bluzeczka rozchyliła się zachęcająco, ukazując bujne piersi.

- Jeśli ci się nie podobam... Mam koleżanki...

Złapał ją za rękę i pchnął ku drzwiom.

- Przynosisz wstyd swemu plemienu - powiedział.

Wyciągnął plik banknotów z kieszeni i wepchnął jej do torebki.

- Weź to i zabieraj się stąd.

Splunęła mu w twarz.

- Ty parszywy, południowoafrykański skurwielu!

Pobiegła w dół korytarzem.

Zatrzasnął drzwi i wszedł do łazienki obmyć twarz.

Pomyślał, że wszystkie problemy tego kontynentu skumulowały się w tym jednym, drobnym incydencie.

Zjadł kolację w pokoju, przeglądając pracowicie każdy raport, szukając błędów lub przeoczeń. Był perfekcjonistą. W jego pierwszej pracy, geofizycznych pomiarach terenu, drobnutkie usterki decydowały o klęsce lub sukcesie. Dostrzeżenie ich na planach pomiarowych, dawno temu, pozwoliło mu na znajdowanie miedzi tam, gdzie nikt jej nawet nie podejrzewał. Wynikiem była pierwsza odkrywkowa kopalnia miedzi, która uczyniła go milionerem w jedną noc.

Tuż przed północą odłożył ostatni raport i uznał, że zasłużył na przerwę. Odświeżył się, włożył marynarkę i krawat. Kasyno dostarczy mu przelotnej rozrywki - hazard należał do jego nielicznych nałogów. Doszedł do wniosku, że choćby bardzo się starał, nie będzie w stanie zasnąć od razu po tak intensywnej pracy.

Opuściwszy apartament dostrzegł ze zdziwieniem, że hotel nadal tętnił życiem, a strumień ludzi przepływał tam i z powrotem przez foyer. Kasyno znajdowało się w ogrodach, nad połyskującym basenem. Max popatrzył na czyste, wieczorne niebo, wsłuchując się w otaczające go odgłosy Afryki - nieustanne cykanie świerszczy, szczekanie hien. Ponownie ogarnęło go uczucie satysfakcji z renowacji hotelu - atmosfera była tu wspaniała.

Gdy przechodził przez lustrzane drzwi kasyna, wpadła na niego czarna kobieta. Przeprosił i dopiero wtedy pojął, że „wypadek” był zainscenizowany. Kolejna dziwka. Popatrzyła na niego zimno i odwróciła się na pięcie. Pewnie już wszyscy wiedzieli, że nie gustuje w prostytutkach.

Kasyno wypełniały nastrojowa muzyka, dym papierosów i szmer przytłumionych rozmów, niekiedy tylko przerywany westchnieniem satysfakcji lub rozczarowania. Max podszedł do kasjerki. Wiedział, że będzie musiał ujawnić tożsamość chcąc podjąć pieniądze, lecz zachowanie incognito nie było mu już potrzebne. Zdążył zobaczyć wystarczająco dużo, aby wyrobić sobie zdanie o poziomie obsługi w swym najnowszym hotelu.

- Dobry wieczór. Sto tysięcy puli proszę. - Położył czek na kontuarze i zauważył, że kasjerka chciała zadać jakieś pytanie, dopóki nie odczytała nazwiska.

- Doktor Loxton!

- Chciałbym pograć trochę w ruletkę.

Szybko podała mu pieniądze. Odchodząc zauważył, że sięgała po telefon. Dobrze. Dyrektor będzie z pewnością w szczytowej formie w trakcie jutrzejszej porannej rozmowy.

Przeszedł przez salon kierując się w stronę Salon Privé. Z tyłu kasyna znajdowało się coś, co wyglądało jak ściana luster. Max, biorący udział w projektowaniu hotelu, należał do tych nielicznych, którzy znali tajemnicę ukrytych drzwi.

Wysoki mężczyzna w czarnym garniturze zastąpił mu drogę.

- Pan wybaczy, sir, ale to prywatny salon, dla specjalnych gości. - Spokojnie, ale stanowczo.

Max okazał kartę wydaną specjalnie dla tych, którzy mogli pozwolić sobie na grę o wysokie stawki. Przeczytawszy nazwisko, zaskoczony facet wykrztusił:

- Doktor Loxton... Bardzo pana przepraszam.

Uklonił się, a Max z serdecznym uśmiechem wszedł do Salon Privé.

Pokój był przepiękny. Olbrzymie, zajmujące całą ścianę okno wychodziło wprost na ogrody i fontanny. Puszysty, wełniany dywan, subtelne oświetlenie i meble w stylu epoki potęgowały efekt luksusu i dobrego gustu.

Max zbliżył się do stołu. Przyglądał się przez chwilę grze, po czym usiadł i wziął od krupiera żetony wartości dwudziestu pięciu tysięcy puli. Nie odczuwał podniecenia, jeżeli nie grał o odpowiednie stawki, a Salon Privé gwarantował mu grę z ludźmi o podobnych upodobaniach. Przesuwając żetony po suknie dostrzegł uderzająco atrakcyjną, ciemnowłosą kobietę, która przyglądała mu się z przeciwległego końca stołu.

Szło mu nieźle i szybko potroił wyjściowy kapitał. Do stołu podeszło nieco więcej ludzi. Narastające podniecenie złapało go w swe sieci - lecz nie pozwalał, aby zafascynowało nim całkowicie. Ponownie zwrócił uwagę na kobietę. Ciemnowłosa, zagadkowa, pochylała się nad stołem, aż dostrzegł błysk jej piersi. Pchnął na środek żetony wartości dwustu tysięcy puli. Nagle wszyscy zamilkli. Koło wirowało i wirowało. Max wpatrywał się w kobietę. Odpowiedziała mu spojrzeniem. Wszystko na jedną szansę, dla jednej chwili - taki miał styl życia. Głębokie, zielone oczy, pełne, zmysłowe usta, czarna, jedwabna suknia opinająca ciało. Zapragnął jej.

Nabrał powietrza. Spojrzał na stół. Wygrał.

Nagły przyływ adrenaliny. Ponownie napotkał jej wzrok - rzucała mu wyzwanie. Wszystko co wygrał, postawił na jeden numer.

Strużka potu płynęła po twarzy krupiera. Sala zamarła. Gracze, wyczuwając napięcie, odeszli od innych stołów, zafascynowani, podnieceni tak samo jak Max.

Koło obracało się, czarna kulka przeskakiwała kolejne numery. Max nagle powrócił pamięcią na ring - za każdym razem, gdy widział zbliżającą się pięść przeciwnika, zwierzał się w sobie, aby odnaleźć rezerwy ukrytej siły.

Koło stanęło. Czarne - wygrał ponad milion. Odwrócił się, żeby spojrzeć na brunetkę. Uśmiechnęła się enigmatycznie.

Przy stole ciągle trwała cisza. Podeszedł do niej.

- Uczymy to?

- Kochanie, nigdy nie uczuję z nieznajomymi. - Amerykański głos, ochryply, głęboki.

- Max Loxton. - Patrzył prosto w błyszczące, zielone oczy.

- Na imię mam Saffron. Więc imprezujemy, panie Loxton...

*

Nie pamiętał dokładnie, o której wrócili do pokoju.

Wbrew wcześniejszym postanowieniom, wypił butelkę Moeta, a teraz, wciąż ubrany, leżał na tapczanie wpatrując się w kobietę.

Ciągle nie miał pojęcia, kim była. Może żoną jakiegoś podróżującego dyplomaty lub biznesmena, który jak ostatni dureń zostawił ją samą wieczorem. Była podniecająca. Rozbierała się wolniutko, świdrując go złośliwie tymi zielonymi oczami. Przez moment pomyślał o Shandy - nie, to było coś zupełnie innego. Zazwyczaj on dyktował swoje zasady kobietom - lecz nie tym razem.

Suknia ześliznęła się. Saffron stała przed nim naga.

Zachowywała się tak, jakby nigdy nie nosiła żadnych ubrań - zupełnie nie zawstydzona nagością, tak pewna swego sex appealu.

Przesunął wzrokiem od cudownych, czarnych włosów opadających kaskadą na ramiona, aż do ciemnego trójkąta między udami.

Ruszyła w stronę drzwi.

- Słodkich snów, panie Loxton.

Poderwał się. Odwróciła się i spojrzała mu w twarz.

Pociągnął ją za sobą przez pokój i rzucił na tapczan.

- Czy tak, do cholery, wygląda twoja wersja uwodzenia? - prychnęła, przesuwając językiem po wargach. Zaczął ją całować, czując się znowu młody, wspominając swój pierwszy pocałunek, intensywność miłości bez lęku.

Odepchnęła go.

- Spójrz na mnie - rozkazała cicho. - Powiedz, co widzisz.

Pocałował ją w czoło, podniósł się z łóżka i zaczął się rozbierać. Nagi, patrzył prosto w głębię jej duszy.

- Wszystko, czego zawsze pragnąłem w kobiecie - odpowiedział.

Ich usta zetknęły się i poczuł się słodko zagubiony, niezdolny do myślenia. Zatonął w morzu rozkoszy.

Świadomość wirowała i wzbierała w nim jak fala przyływu w księżycową noc, gdy chłodny powiew wiatru rozgarnia palmy. Elik sir miłości przywrócił dawno zapomniane wspomnienia powracające gorącą falą. Wtem nadpłynął obraz ciemnowłosej kobiety dzierżącej miecz, jej zielone oczy płonęły niczym burzowe chmury na wieczornym niebie. Czy to tylko sen, czy mogła to być prawda?

*

Obudziło go ostre brzęczenie budzika. Zrzucił go ze stolika. Instynktownie wyciągnął ramię, by ją przytulić i odkrył, że nie ma jej obok. Odczuł dotkliwą stratę.

Dowlóknął się do łazienki i wskoczył pod zimny prysznic, czekając aż dobudzi go lodowata woda. Dygocząc, wszedł z powrotem do pokoju.

Nie zmienił swojego reżimu treningowego od siedemnastu lat, od czasów boksowania na uniwersytecie.

Najpierw szybkie pompki. Następnie wyciągnął z walizki skakankę i wyszedł na balkon. Skakał coraz szybciej, krzyżując ręce i przeskakując z jednej nogi na drugą. Po półgodzinie mokry od potu wziął kolejny prysznic, tym razem gorący. Znowu poczuł się silny, lecz jego mózg i ciało nadal przepełniały wspomnienia wczorajszej nocy.

Sięgnął po plik fiszek, które przygotował wieczorem i dopiero wtedy zauważył wiadomość nasmarowaną szminką na lustrze: „Kiedy miłość wzywa - idź za nią”.

Poczuł zniechęcenie. Nie on decydował o tym, co zaszło wczoraj między nim a Saffron; było to zupełnie nowe doznanie. Musiał ją zobaczyć ponownie.

Ktoś zapukał do drzwi. Pojawiła się pokojówka z kawą i gazetami. Zabrał wszystko na balkon. Chłodne, poranne powietrze, świeża kawa i wspomnienia wczorajszej nocy sprawiły, że poczuł się wspaniale.

Przyjrzał się pozycji swoich akcji w porannych notowaniach, mając nadzieję, że makler postąpił zgodnie z wczorajszymi instrukcjami. W związku z uwolnieniem Napoleona Zwane na johannesburskiej giełdzie nastąpiły duże zmiany. Przerzucił gazetę pełną artykułów chwalaących Kobusa van der Posta za doprowadzenie do zwolnienia murzyńskiego działacza. Zauważył też doniesienia o zamieszkach w Soweto. Czytając raport zmarszczył brwi. Dlaczego właśnie teraz? To nie miało sensu. Wydawało się, że w mieście zaczęła dominować bezmyślna anarchia; dziesięć wypadków - dziesięć osób spalonych żywcem. Przerażający obraz przemocy.

W porównaniu z tym wiadomości z Botswany tchnęły spokojem. Max zauważył, że odnotowano jego przyjazd. Był także entuzjastyczny artykuł o możliwości otwierania nowych kopalń. Max aż się skrzywił z powodu takiej krótkowzroczności; nikt w tym państwie nie przejmował się jutrem.

Odłożył gazetę i wypił kawę, wspominając wczorajszą wygraną. Dyrektor hotelu z pewnością nie leniuchował dziś rano - musiał skontaktować się z bankiem, aby zebrać trochę dodatkowej gotówki. Max zachichotał - ostatecznie zabierał te pieniądze sam sobie i swoim udziałowcom. Bywalcy Salon Privé byli ludźmi dyskretnymi. Gdyby wygrał taką sumę w głównej sali, wiadomość o tym znalazłaby się we wszystkich gazetach.

Szybko ogolił się, ubrał i pojechał do Gaborone.

Zaczął się dzień poważnych interesów.

*

W ciągu dnia udało mu się spotkać ze wszystkimi, których chciał zobaczyć, zwłaszcza z ministrem górnictwa i handlu. Potraktowano jego propozycje z umiarkowanym brakiem zainteresowania - na początek nie oczekiwał nic więcej. W tym stadium pragnął jedynie przedstawić swoje pomysły, a zwłaszcza tezę o możliwości zwiększenia dochodów przez wyższe opodatkowanie zmniejszonej liczby kopalń. Będzie posuwał się naprzód powoli, zdobywając poparcie krok po kroku.

Dopiero gdy to poparcie uzyska, będzie mógł wywierać nacisk na rząd Botswany.

O szóstej wrócił do „Oazy”. Hotel był pełen niespodziewanych gości z RPA. Poczul ulgę, że nie będzie musiał tu jeść kolacji. W kieszeni marynarki miał sztywną kartę o złożonych brzegach - zaproszenie do rezydencji prezydenta. Przeszło to jego oczekiwania; być może będzie nawet szansa, aby porozmawiać z prezydentem osobiście.

Przed powrotem do pokoju odbył jeszcze krótką rozmowę z dyrektorem. Nie było w niej nic przyjacielskiego. Wyjaśnił dokładnie swoje stanowisko - jeszcze jeden ślad prostytucji i dyrektor będzie musiał pożegnać się z posadą. Facet nawet nie usiłował protestować, co upewniło Maxa, że dyrektor poradzi sobie z sytuacją. Powróciwszy do apartamentu Max wziął długą, rozleniwiającą kąpiel. Pomyślał o Saffron. Spotkają się i to niedługo. Dokona tego. A potem pomyślał o Shandy, żonie, która go oszukiwała. Gorycz zawsze wślizgiwała się w jego myśli w momentach, kiedy był absolutnie nie przygotowany na jej odparcie.

Wiedział, że było wielu ludzi takich jak Shandy, którym nie podobał się jego styl życia. Uważali go za szaleńca. Wiedział, że brał na siebie zbyt dużo; poszukiwania terenów wydobywczych, kopalnie złota, teraz hotele - a do wszystkiego zabierał się z taką samą dziką

energiją. Pragnął osiągnąć jeden cel - zrealizować swój botswański projekt. A poza tym nie cierpiał konwenansów. Był wolnomyślicielem, co określało jego poglądy polityczne - zawsze nienawidził apartheidu. Jak można budować państwo na konstytucji, która określa człowieka według koloru jego skóry?

Wolność - to magiczne słowo. Dla niego Botswana była symbolem wolności, krajem wciąż zachowującym dzikość, tę nieodłączną, najważniejszą cechę Afryki, a on chciał zrobić wszystko, żeby taka pozostała.

Max już od dzieciństwa walczył o swą własną wolność - boks dał mu poczuć jej smak, uświadomił, że może stanąć w szranki z każdym człowiekiem. Dał mu także niezależność finansową, ten tak konieczny element wolności. Ojciec był nieprzeciętnie bogaty, lecz Max nie chciał od niego nic. Nie zamierzał ubrać sobie rąk brudnymi pieniędzmi Davida Loxtona.

Matka zrozumiałaby to, gdyby żyła, ale zginęła tragicznie w wypadku samochodowym, gdy miał osiem lat.

Tracey. Przechowywał jej fotografię. Na zdjęciu stała obok starego Buszmena, Kotuko. Szkoda, że tak niewiele o niej wiedział; często zastanawiał się, jak mogła kiedykolwiek kochać ojca. Miał wrażenie, że jej duch zawsze mu towarzyszy.

Po jej śmierci, dopóki ojciec po pięciu latach nie ożenił się ponownie, on i jego siostry, Vicky i Lucinda, były wychowywane przez cały szereg guwernantko-gospodyń. Było to bezbarwne dzieciństwo bez miłości i cieszył się, że miał je już za sobą.

*

Wieczorem o ósmej piętnaście zatrzymał się przed frontową bramą prywatnej posiadłości prezydenta, a uzbrojony strażnik sprawdził starannie jego nazwisko na liście gości, zanim pozwolił mu wjechać do środka. Pół kilometra dalej znajdował się dom, otoczony naturalną puszcza. Prezydent uwielbiał naturę tak samo jak Max, i Max zamierzał to wykorzystać. Gdy podjeżdżał do olbrzymiej, krytej strzechą rezydencji, przyszło mu na myśl, że dzikie zwierzęta włóczące się dookoła domu byłyby doskonałym zabezpieczeniem - o wiele lepszym niż szkolone psy czy system alarmowy.

Westchnął z ulgą widząc, że nie jest jedynym spóźnionym. Główna sala aż drżała od gwaru i brzęku kieliszków, a kobiety i mężczyźni w wieczorowych strojach znakomicie prezentowali się na tle ciemności afrykańskiej nocy. Kelner podał mu szampana. W głębi sali ujrzał Salomona Khozę, wiceministra turystyki, znanego zwolennika różnych prywatnych przedsięwzięć.

- Jak się masz, Salomon?

Wielu gości aż odwróciło głowy ze zdziwieniem, gdyż Max władał setswaną, językiem Botswany, z taką samą swobodą jak angielskim.

- Ha, Max Loxton. Nigdy się nie poddajesz, co?

Salomon delikatnie przepchnął Maxa przez tłum gości. Wyszli szklanymi drzwiami na zewnątrz, do ogrodu.

- Teraz pogadamy - oznajmił cicho. Max widział, jak jego oczy połyskują w ciemności.

- Są jakieś reakcje na mój przyjazd do Gaborone? - zapytał Max.

- Reakcje? Poruszyłeś gniazdo szerszeni! Wiesz, że prezydent popiera twoje plany, ale rząd jest diametralnie innego zdania.

Max szanował Salomona za to, że znalazł w sobie odwagę, żeby mu to powiedzieć.

- Świetnie - stwierdził. - Właśnie miałem nadzieję, że zmusiłem paru ludzi do myślenia.

- Do myślenia jak się ciebie pozbyć! Ochrony przyrody nie uważa się tu za ważną sprawę. A to kwestia władzy. Ty i twój kraj jesteście uznani za zagrożenie. Ludzie twierdzą, że nie masz żadnego prawa wtrącać się w nasze sprawy.

- Ale Kobus van der Post wypuszcza Napoleona Zwane z więzienia! Mówi o wielkich zmianach na korzyść twoich braci. Napięcie z pewnością zmalowało! - Max z trudem panował nad sobą.

Salomon przysunął się bliżej.

- Nie bądź głupi. Zwane wsadzili trzydzieści lat temu; jest już zgraną kartą. Czasy się zmieniły, przyjacielu. Trzeba się liczyć z nowymi siłami.

Max zaklął w duchu. Właśnie to go martwiło, chociaż starał się nie brać tego poważnie. To prawda, że wielu bardziej radykalnych bojowników o równouprawnienie czarnych zwątpiło w siłę Napoleona Zwane i jego Kongresu Wolności. Czuli, że Kongres i jego tymczasowe centrum dowodzenia w Zambii straciło kontakt z rzeczywistą sytuacją w państwie.

- Masz na myśli Towarzyszy?

- Tak, właśnie. Są silni dzięki represjom i rozlewowi krwi. Nie interesuje ich demokracja - jedynie przejęcie rządów.

- Czy uważasz, że dysponują jakąś siłą i władzą? Tutaj? Że są przeciwni moim planom?

- Twoje propozycje są dobrze umotywowane, lecz jesteś tylko kolejnym białym, ani lepszym, ani gorszym od innych. Poza tym, są tu inni. Z pieniędzmi.

- Euro?

Salomon skinął głową.

- Czyście tu powariowali, do cholery ciężkiej?

Salomon patrzył na niego w milczeniu. Pięć stóp, sześć cali - niezbyt imponujący wzrost, ale jego twarz odzwierciedlała potężny umysł i inteligencję. Max aż rozejrzał się wokół, gdy Salomon położył palec na ustach.

- Uważaj, co mówisz, Max. Euro ma tu wielkie wpływy. Cieszę się, że udało ci się ukryć w raportach te twoje antyeurowskie uprzedzenia - gdyby tylko je wykryli, te plany już leżałyby w śmietniku.

- Te raporty to siedem lat pracy, a wnioski z nich nie podlegają dyskusji. Jeżeli natychmiast nie podejmiecie kroków zapobiegawczych, za dziesięć lat wasz kraj będzie pustynią, gównem pełnym kurzu! Nie robię tego dla siebie, nie pojmujesz?

Salomon złapał go za ramiona.

- Ufam ci jak bratu, Max. Wiem, że to co mówisz, jest prawdą, ale łatwo można zapłacić za te słowa życiem. Słuchaj, jest coś, co musisz wiedzieć... - przerwał. - Euro zamierza osuszyć deltę Okavango. Planują tam budowę nowych, gigantycznych kopalń.

Maxowi zahuczało w głowie. Wiadomość była przerażająca. Widział swój sen rozpadający się na tysiące kawałków. Tkwiący w nim bokser pragnął sprawić komuś potężne lanie. Salomon wciąż patrzył mu prosto w oczy. Nagle Max pojął, że mówiąc mu to wszystko Salomon Khoza prawdopodobnie ryzykował życie.

- Etyka Euro - Max z wolna wypluwał słowa - jest taka sama jak dziewiętnastowiecznych kolonizatorów. Arogancja pod płaszczykiem skromności, grzeczność pokrywająca bezlitosny egoizm i elitaryzm udający demokratyczną otwartość opinii.

Salomon skrzywił się.

- Twój ojciec zasiada w radzie nadzorczej Euro.

- Nie wiesz jakie są moje stosunki z ojcem? Nienawidzimy się na śmierć!

- Więc nie możesz nic zrobić?

- Kiedy Euro ogłosi komunikat o swoich zamiarach wobec delty?

- Kiedy plan stanie się rzeczywistością, przyjacielu.

- A co będzie, jeżeli ktoś dowie się o naszej rozmowie?

- Wtedy umrę.

Nagle gdzieś za nimi rozległ się jakiś głos. Odwrócili głowy i zobaczyli idącego ku nim przez trawnik mężczyznę. Max dojrzał zmarszczkę strachu przelatującą przez twarz Salomona.

- No, chłopaki, skończcie już z tym waszym strasznym językiem. Może troszeczkę angielskiego dla nas przyjezdnych? - Amerykański głos, głęboki i dźwięczny. Max rozpoznał faceta - właściciel Packard Vision, największej światowej sieci telewizyjnej.

- Cześć, nazywam się Packard, John Packard.

Wyciągnął ku nim olbrzymią łapę, więc Max i Salomon uścisnęli ją i przedstawili się.

- Darujcie, jeśli przerwałem rozmowę. Wyszedłem trochę odsapnąć.

- Czyżby znudził pana prezydent? - przerwał Salomon.

- Ej, wolne żarty, panie Khoza.

Max uważnie przyglądał się amerykańskiemu magnatowi telewizyjnemu. Był średniego wzrostu, szaroblond włosy zaczesane do tyłu odsłaniały wysokie, prawie kwadratowe czoło. Miał zapadnięte, bladoniebieskie oczy. Typ wyraźnie teutoński - emanował siłą.

Max sporo o nim wiedział. Packard, syn reżysera filmowego i aktorki, już w dzieciństwie zrozumiał, że prawdziwe pieniądze leżą w telewizji. Po otrzymaniu dyplomów w Berkeley i Harvardzie, namówił ojca na pożyczkę i wystartował ze swoją własną wytwórnią telewizyjną. W wieku lat dwudziestu czterech John Packard był milionerem, a trzydziestu - miliarderm. Potem napisał o wszystkim książkę: „Jak to zrobił Packard”.

Ktoś jeszcze wynurzył się z cienia i Max odetchnął pizmowym aromatem.

- Nie znalazłeś żadnych lwów do zastrzelenia, kochanie?

- Moja żona, panowie, lubi żyć niebezpiecznie. Saffron, moja droga, poznaj doktora Maxa Loxtona - hotele, kopalnie, itd. I pana Salomona Khozę, wiceministra turystyki w tym pięknym kraju.

Aż zaniemówił na jej widok. Ubrana była w męski, czarny garnitur, lecz bez koszuli pod spodem - jej piersi były niemal całkiem widoczne. Długie, czarne włosy zaczesła do tyłu, co podkreślało regularne rysy mocno opalonej twarzy. Nagle zrozumiał, że nie może bez niej żyć.

- Panie Khoza, doktorze Loxton, bardzo miło poznać panów - powiedziała cicho. Przesunęła wzrokiem po twarzy Maxa, który patrzył na nią jak urzeczony. Walczył, żeby odzyskać panowanie nad sobą; odwrócił wzrok i wpatrywał się w ciemność. Co czuła do niego? Czy to tylko przygoda na jedną noc? Pragnął jej bardziej niż cegokolwiek w życiu. A ona była żoną jednego z najpotężniejszych i najbezwzględniejszych ludzi w Stanach!

John Packard promieniał. Wydawało się, że nie lubił facetów robiących słodkie oczy do jego pięknej żony.

- Przebywa pan myślami w innym świecie, doktorze Loxton?

Max ponownie zagapił się w zielone oczy Saffron.

- Jesteście tu na wakacjach? - Do tej pory żadna kobieta nie zrobiła na nim tak wielkiego wrażenia.

Aż do bólu pragnął poczuć jej nagie ciało obok siebie.

- Max, ja tu reżyseruję film.

Kawałki układanki nagle złożyły się w całość. Saffron Packard - jedna z najbardziej utalentowanych reżyserów nowego pokolenia. Bez wątpienia był tylko jednym z wielu w długiej procesji jej kochanków. Ogarnęła go rozpacz.

- Film o Botswanie? - wydusił z siebie z trudem.

Zauważył, że Salomon przygląda mu się podejrzliwie.

Czyżby jego uczucia były aż tak widoczne?

- Tak - odparł Packard. - Choć wątpię, aby panu, Południowoafrykańczykowi, podobał się temat. - W oczach Packarda coś błysnęło. W rzeczywistości był zadowolony, że żona wywarła na Maxie takie wrażenie.

Salomon zareagował szybko.

- Niewielu ludzi zrobiło więcej dla zwalczania apartheidu niż doktor Loxton. Jest pan niesprawiedliwy.

Max odetchnął z ulgą. Na twarzy Packarda pojawiło się zdumienie. Był najwyraźniej przyzwyczajony do upokarzania ludzi, lecz teraz szybko uniósł dłonie do góry.

- Stop! Serdecznie przepraszam! Polityka w tym rejonie świata to prawdziwy labirynt.

Max prawie go nie słuchał. Saffron wciąż patrzyła mu w oczy.

- Saffron! Chodź, prezydenta interesuje twój film. - Packard szybko odprowadził żonę, ściskając jej ramię odrobinę zbyt mocno.

Salomon znowu przerzucił się na setswanę.

- Dobrze się czujesz?

Przez moment Max jąkał się:

- Nie możecie pozwolić Euro na osuszenie delty...

- Max, jeżeli choć jedno słowo z naszej rozmowy gdzieś przecieknie, jestem trupem.

*

Po paru minutach rozmowy z prezydentem, Saffron Packard przeprosiła, prześliznęła się przez tłum i poszła w górę pustym korytarzem. Szukała miejsca, gdzie mogłaby być sama ze swoimi myślami. Otworzyła jakieś drzwi, ucieszyła się na widok pustego, ciemnego pokoju i wsunęła się do środka. Po chwili, gdy oczy przyzwyczały się do braku światła,

dostrzegła tapczan i francuskie okna wychodzące na balkon. Zwinęła się w kłębek na dywanie i wpatrywała w gwiazdy. Jej dusza była pełna niepokoju z powodu doktora Maxa Loxtona.

Wczoraj w kasynie działała pod wpływem nagłego impulsu. Miała za sobą ciężki dzień; użerała się, aby wszystko szło zgodnie z planem, a potem, przy kolacji, przy pierwszym kieliszku wina pokłóciła się z Johnem.

Nie podobał mu się temat jej filmu. Według niego, marnowała tylko czas i siły - zakończyło się to potworną awanturą. Gdy wrócili do hotelu, nie odzywali się do siebie ani słowem; John zasnął, a ona poszła do kasyna.

A teraz ten człowiek taran, Max Loxton, całkowicie zdominował jej myśli. Podziwiała jego skromność - nie pysznił się swoją wygraną w kasynie. Chociaż nic jej o sobie nie powiedział, domyślała się, że to drobiażdżek wobec jego prawdziwego majątku. Tak bardzo różnił się od Johna: mąż szukał samopotwierdzenia w każdym przedsięwzięciu; cechowała go niezaspokojona żądza władzy i pieniędzy. Już od pewnego czasu, mimo swej niezależności, Saffron czuła się zaniedbywana przez męża - kobieta wewnątrz niej domagała się uwagi. Wyczuła w Maxie Loxtonie specjalny dar dawania ludziom poczucia wyjątkowości, szczególności; wiedziała, że mogłaby znaleźć w nim oparcie. Ale tak naprawdę było to dorabianie ideologii post factum: po prostu zakochała się w nim po uszy. Nie wiedziała, czy był żonaty lub z kimś związany, i nie miała pojęcia, co robić dalej - wiedziała tylko, że nade wszystko pragnie znaleźć się w jego ramionach.

Nagle w pokoju rozbłysło światło. Poderwawszy się jak kot, Saffron jednym ruchem otworzyła okno i wyskoczyła na balkon. Przytuliła się do ściany, na czoło wystąpiły jej krople potu, a adrenalina kursowała po całym ciele. Zawsze rozkoszowała się niebezpieczeństwem.

Usłyszała trzask drzwi i kroki zbliżające się do okien.

Zerknęła w dół, w przepaść. Słyszała swój przyspieszony oddech. Lecz ten ktoś zatrzymał się przy otwartym oknie i odwrócił.

- Marnujesz mój czas. - Saffron usłyszała głos z wyraźnym niemieckim akcentem. Trzask zapalniczki i zapach papierosa. - Siadaj, przyjacielu.

Miększy męski głos, chyba Botswańczyka, odparł:

- Zapłacono ci dużo. Możesz sobie pozwolić na wysłuchanie mnie.

- Ty nic mi nie płaciłeś, a kontrakt to nie twoja sprawa. Rozkazy są wyraźne - możesz kontaktować się ze mną tylko w wyjątkowej sytuacji.

Drugi głos był podniecony i przerażony:

- Tak, ale nie chcemy, żebyś go zabił na naszej ziemi.

- Czy to ma jakieś znaczenie, gdzie spoczywa trup? - W głosie Niemca zadźwięczało rozbawienie. - Obaj chcemy, żeby zdechł i stanie się to jutro rano. Czyżbyś się wstydził brudnej roboty, Murzynku? To przykre, ale wszystkim wam brakuje jaj do tej roboty.

- Więc nie posłuchasz nas?

- Nie. - Stanowczość w głosie Niemca wskazywała wyraźnie, że zakończył wszelkie dyskusje, ale drugi głos próbował desperacko:

- Mamy zdjęcia. Możemy ujawnić twoją tożsamość!

Niemiec niemal warknął:

- Zabiję go tu, a potem ukryję ciało za granicą, okay?

Saffron usłyszała odgłosy szarpaniny, a potem jęk bólu.

- Błagam! Nie! - Głos Botswańczyka przeszedł w skomlenie.

- Jesteście tylko szumowinami. Gdybyśmy mieli władzę, wszyscy poszlibyście do piachu. A ty wiesz o wiele za dużo.

Coś ciężkiego upadło na podłogę.

- Żegnaj, czarnuchu. - I do uszu Saffron dobiegł dźwięk cicho zamykanych drzwi.

*

Uderzając gniewnie w kierownicę landa Max wracał do „Oazy”. Miał w głowie młyn. Resztę czasu na przyjęciu spędził umacniając znajomości zawarte wcześniej tego dnia w Gaborone, a nawet udało mu się porozmawiać przez pięć minut z prezydentem. Lecz teraz wiedział, że rozmówcy tylko kpili z niego; po tym co usłyszał od Khozy zrozumiał, że wcale go nie słuchali.

A przede wszystkim była Saffron. To takie proste - musiał ją mieć.

Wrócił do „Oazy” o drugiej nad ranem. Minął hulaków przesiadujących w głównej sali i poszedł do apartamentu. Zdjął wieczorowe ubranie i otworzył na oścież balkon. Księżyc w pełni lśnił jasno. Botswana i Saffron.

Kochał obie. Musiał działać. I to szybko.

Kiedy obudził się rano, obie wciąż zajmowały jego myśli, lecz podjął już decyzję. Powstrzyma Euro od osuszenia bagien i zabierze Saffron.

Ucieszył się słysząc pukanie - kawa i gazety, oto, czego potrzebował. Lecz zamiast pokojówki zobaczył elegancko ubranego mężczyznę niosącego tacę z kawą.

Biały kelner? Niemożliwe.

Nagle prawa noga faceta wystrzeliła w górę, uderzając Maxa mocno w krocze. Cofnął się chwiejnie, a napastnik wpadł do pokoju odrzucając tacę. Celował do niego z pistoletu z tłumikiem.

Max rzucił się w bok i kula utkwiała w parkiecie tuż obok niego. Potoczył się po podłodze, a morderca podchodził coraz bliżej. Max rozplaszczony jak pantera podpełzł do łóżka. Kula drasnęła go w głowę i uderzyła w olbrzymie lustro, rozrzucając okruchy szkła po całym pokoju. Złapał lampę nocną i rzucił w kierunku przeciwnika. Porcelana rozprysła się na drobne kawałeczki, gdy kula trafiła ją w locie z przerażającą precyzją.

Jedyną szansą była ucieczka z pokoju. Szyba zatrzęsała się, gdy Max uderzył głową o framugę i zwijając się w kłębek skoczył w dół, do ogrodów. Chociaż starał się zejść z linii strzału, kula wbiła się w ziemię obok niego.

Śmierć minęła go tylko o sekundę. Morderca wyskoczył przez okno, gubiąc przy upadku pistolet. Max był już przygotowany. Walka zaczęła się, gdy napastnik dotknął ziemi - cios Maxa trafił go w prawą skroń.

Facet upadł. Przeturlał się, schwycił broń i strzelił.

Kula lekko drasnęła Maxa w szyję. Loxton rzucił się na napastnika, zanim ten zdążył strzelić po raz drugi, i zadał mocny cios w zębra.

Jakby przez mgłę, kątem oka Max dostrzegł gości hotelowych biegnących w ich kierunku. „Pierdolone durnie” - mogli co najwyżej oberwać.

Zabójca z bólu przycisnął ręce do piersi. Pistolet leżał na ziemi. Max skoczył, aby zadać cios ostateczny, ale lewa stopa faceta niespodziewanie uniosła się, uderzając go w splot słoneczny. Pod wpływem siły ciosu Max odchylił się do tyłu, lecz niemal natychmiast odzyskał zmysły i rąbnął napastnika dwa razy w brzuch. Przeciwnik otrząsnął się i przyjął obronną postawę karate.

Max uśmiechnął się ponuro - teraz już wiedział, czego się spodziewać. Z powrotem na ringu. Czuł drganie każdego nerwu. Kolejny cios trafił go w głowę.

Skoczył więc do przodu i wbił knykcie prawej dłoni tuż pod serce wroga. Następne uderzenie wyrzuciło rewolwerowca w górę. Max z doskoku zadał mu kilka ciosów w piersi, a następnie jeden mocny na odlew w twarz - niemal złamał sobie przy tym rękę.

Wróg uniósł się chwiejnie. To była ta szansa. Max stracił panowanie nad sobą; tłukł faceta pięściami po głowie dysząc ciężko z wyczerpania, a napastnik z wolna osuwał się na trawnik.

Max odpełzł dalej, oparł się o drzewo i w tym momencie poczuł nagły przeszywający ból w ręce. Spojrzał w dół, Chryste, nóż! Ten skurwysyn udawał! Boże, co za ból! Odwrócił się i patrzył, jak wróg ucieka przez trawnik.

Wyrwał nóż z rany; krew spływała wolno. Już nic go nie obchodziło, musiał tylko dopaść tego parszywego gnoja, który próbował go zabić. W oddali zawyły syreny. Facet,

który poderwał się szybciej niż Max, znikał już w krzakach, gdy na trawnik padł cień helikoptera, a warkot silników przytłumił wszystkie inne dźwięki.

Obok Loxtona wylądował helikopter. Dwóch umundurowanych mężczyzn wyskoczyło z niego i podbiegło do Maxa. Wicher śmigieł rozwiewał im włosy.

- Gońcie tego sukinsyna! - wrzasnął Loxton.

Ale oni biegli wciąż w jego kierunku. Wykręcili mu ręce na plecy i skuli kajdankami.

- Nie mnie, jego! - Krzyk zamarł mu na ustach, gdy pociągnęli go w kierunku helikoptera.

*

Skoncentrował nieprzytomny wzrok na jakiejś brunetce i wyciągnął do niej rękę. Ku jego zdziwieniu ujęła ją mocno. Teraz widział wyraźniej - mocno opalona twarz, włosy z przedziałkiem na środku, wpatrzone w niego błyszczące, zielone oczy. Uniósł się z trudem i pocałował ją delikatnie w usta.

Podniecił go ich smak. Uświadomił sobie egzotyczny aromat spowijający jej ciało. Dopiero gdy rozejrzył się dookoła, widok topornej ławy i czarnych metalowych krat przywrócił mu pamięć. Zapach jej perfum nie był dostatecznie silny, aby przytłumić odór uryny.

- Spokojnie, skarbie. Nieźle oberwałeś. Co się właściwie stało? - wyszeptła Saffron.

Sięgnęła po miejscowy dziennik i zauważył swoje zdjęcie na pierwszej stronie. Skąd je, u diabła, mieli?

Zdjęcie wojskowe sprzed piętnastu lat! „Szalony Max” głosiły nagłówki. Wyrwał jej z ręki gazetę i przeczytał artykuł. Najwidoczniej bez powodu wpadł w amok w hotelu „Oaza” i wymachiwał pistoletem maszynowym.

- Stek kłamstw! To był pistolet z tłumikiem! - Aż trząśł się ze złości.

Położyła palec na ustach i nachyliła się.

- Wiem.

Miała na sobie czarny kombinezon, podkreślający ponętne krągłości, piękno długich nóg i pełnych, wysokich piersi. Pod lekko rozpiętym zamkiem widniała miękka, opalona skóra. Delikatny makijaż na twarzy, połysk bladej szminki na ustach. Czy Saffron była prawdziwa, czy istniała tylko w jego wyobraźni?

Widząc grube, czarne kraty powrócił do rzeczywistości.

- Wydostań mnie stąd, zanim mnie zabiją!

- Przestań się zamartwiać, Max, jesteś wolny i wychodzisz.

Pomogła mu wstać i pociągnęła ku otwartym drzwiom celi. Chwiejnym krokiem podążył za nią.

- Jak długo tkwiłem w tej dziurze?

- Dwadzieścia cztery godziny. Jest już poniedziałek rano.

Przy biurku wręczono mu kartonowe pudło z jego rzeczami. Brakowało zegarka, ale sądząc po minie policjanta, nie warto było się upominać. Dopiero gdy znalazł się na zewnątrz, wybuchnął:

- Cholernie zabawne! Jakiś wariat usiłuje mnie zabić, a ci wsadzają mnie za to do pudła!

- Uspokój się, do cholery! Musiałam poruszyć niebo i ziemię, żeby cię wyciągnąć!

- Dałaś kaucję?

- Tak. Wynośmy się stąd.

Wsiedli do wozu. Zmęczony, wyczerpany osunął się na fotel. Oślepiało go tańczące na masce słońce. Zapachy skórzanej tapicerki i perfum Saffron mieszały się ze sobą, wymazując z jego pamięci smród celi.

W oddali dostrzegł chłopca grającego w piłkę - cień drgający w gorącym powietrzu. Saffron ujęła go za rękę.

- Musisz iść do lekarza - te rany wyglądają na zanieczyszczone.

- Chcę pójść do jakiegoś biura rządowego! Do diabła z lekarzem!

Saffron gwałtownie zahamowała i odwróciła się ku niemu z oczami płonącymi wściekłością.

- Straciłam cały dzień zdjęć z twojego powodu, zapłaciłam kaucję, a ty zachowujesz się jak ostatni dureń! Nie rozumiesz, że oni chcieli twojej śmierci?

Nie zważając na jej opór, przyciągnął ją do siebie i objął wargami jej usta. Całowali się długo. Saffron przymknęła oczy i wtuliła się w jego ramiona. Skąd ta namiętność w jej pocałunkach? Czyżby znaczył dla niej aż tak wiele, jak ona dla niego? W końcu odsunęła się i pocałowała go w szyję. Delikatnie bawił się jej długimi, ciemnymi włosami.

- Przepraszam, Saffron. - Spojrzała mu w oczy. - Szaleję za tobą.

- Maxie Loxton! Sądzę, że zakochałam się w najmniej odpowiednim facecie na tej ziemi.

I właśnie wtedy Max odczuł dziwny niepokój. Rozejrzawszy się, dostrzegł stojący za nimi samochód. W środku siedziało dwóch facetów. Był pewny, że widział ten sam wóz przed posterunkiem. Cholera! Saffron miała rację - śledzili go.

Podążyła za jego wzrokiem.

- Jesteśmy śledzeni?

- Wyrzuć mnie pod szpitalem, a potem przyprowadź landa spod hotelu. Myślę, że powinniśmy zniknąć.

*

Max obojętnie przyglądał się pokrytemu słomą sufitowi i zachichotał przypomniawszy sobie facetów w samochodzie. Próbowali jechać za nim i Saffron przez busz.

Zgubił ich w pięć minut; landzik okazał się świetnym pomysłem. Teraz byli tu tylko we dwoje. Saffron leżała przy nim i opierała głowę o jego pierś. Jej długie, ciemne włosy okrywały ciało niczym płaszcz.

To miejsce było bardzo odległe od cywilizacji i bardzo jego. Otrzymał je przy podpisywaniu umowy na kupno „Oazy”; fragment puszczy tylko do własnej dyspozycji, sto kilometrów od Gaborone, niedaleko Francistown.

Od czasu do czasu potrzebował miejsca, dokąd mógłby przyjechać i pozbierać myśli; wtedy zawsze przyjeżdżał tutaj. I teraz był właśnie taki moment.

Rozmyślał o zamachu. Nie pierwszy raz stawał twarzą w twarz ze śmiercią. Służąc w armii też walczył o życie, ale wtedy była wojna. Bił się także na ringu; ale nie była to walka na śmierć i życie z nieznanym wrogiem, lecz pojedynek sił i sprytu, walka z podniesioną przyłbicą. Sport to prawdziwe życie - balansowanie między zwycięstwem a porażką. Jak na linie. Musiał chyba zwariować rzucając boks! Trzeba przyznać, że podobały mu się te bokserskie wspomnienia - czuł się znów pełen wigoru.

Lecz tym razem śmierć minęła go tylko o włos.

A policja nie chciała o niczym słyszeć! Twierdzili, że on i ten facet pokłócili się o długi hazardowe, a Max nie powinien uważać, że stoi ponad prawem ponieważ jest właścicielem „Oazy”. Oskarżono go o napaść i nielegalny przywóz broni do Botswany. Takie wyjaśnienie wypadków było proste i o to tylko im chodziło. W Afryce życie ludzkie jest tanie. Ponownie zerknął na Saffron. Wykończyła go doszczętnie - John Packard był durniem zaniehbując ją.

Otworzyła oczy.

- Mmmmm, Max, twój mózg znowu pracuje w nadgodzinach. Kto jest właścicielem tego cudownego miejsca? - Głos miała jeszcze zachrypnięty od snu.

- Ja. Kiedy kupowałem „Oazę”, dostał mi się także ten kawałek rezerwatu. Kazałem go ogrodzić i odnowić domek. Mam go dla siebie i specjalnych gości.

- A ja? Czy ja jestem specjalnym gościem?

Przyciągnął ją do siebie, czując miękkość jej ciała na szorstkich włosach swoich piersi.

- Na całe życie!

Odsunęła się i wpatrując się w sufit zapytała ze złością:

- Musiałeś to powiedzieć?

Przytulił ją znowu nie zwracając uwagi na opór, ale wyrwała się. Zdziwiła go jej siła; Saffron była niczym pantera, muskularna i giętka, silna i zwinna. Pochwyił ją i dostrzegł błysk gniewu w jej oczach, gdy zrozumiała, że nie jest dla niego zbyt groźnym przeciwnikiem. Stali naprzeciwko siebie, nadzy. Chwyił ją za nadgarstki składając je razem, jakby w geście modlitwy.

- Spójrz na mnie.

Rozjarzone, zielone oczy wpatrywały się w jego twarz.

- Kocham cię. Pragnę cię.

- Chcesz mnie tu trzymać zamkniętą jak zwierzaka w zoo? Pokazywać swoim koleżkom?

- Nie. Kocham twoją niezależność, twoją duszę.

Przy niej tracił całą pewność siebie. Pociągnęła go z powrotem na tapczan, ułożyła się obok i zanurzyła palce w jego włosach.

- Wszyscy kochankowie obiecują wiele, Max. Ale o obietnicach składanych upojną nocą zazwyczaj zapomina się rankiem. - Przesunęła długimi, delikatnymi palcami po jego twarzy. - Żyję swoją pracą. John także obiecywał mi niezależność, ale do wszystkiego się wtrąca. Nie zamierzam pozwolić na to żadnemu innemu facetowi. Życie jest walką, więc trzeba żyć tak, jakby każdy dzień miał być ostatnim. Tylko dlatego dziś jestem tu, a nie na planie. Dzisiaj warte jest tych stu tysięcy dolarów za stracony dzień zdjęć.

Max zachichotał.

- Więc sądzisz, że dostałaś coś za te pieniądze?

- Każda kobieta ryzykuje i płaci. - Pocałowała go. - Skarbie, powiedziałaś coś, co chciałam usłyszeć, ale czy dotrzymasz słowa?

Cisza, która zapadła, była niczym burzowa chmura nad górami; ciemna, głęboka, brzemienista. Max popatrzył przez okno na veld kołyszący się w południowym słońcu. Rozmyślał o dniach, kiedy jej nie znał, straconych szansach i długich latach pełnych żalu. Nie miał żadnych wątpliwości.

- Będę o ciebie walczył. Każdego dnia znajdę w tobie coś nowego. Obiecuję ci tylko jedno - jeżeli wyjdiesz za mnie, zawsze pozwolę ci być sobą.

Odkrył karty. Teraz musi sprawdzić, czy życie rzeczywiście rozdało mu te właściwe.

Całowała go długo i namiętnie, aż krew w nim zawrzała. Pieściła jego ciało, wyczuwając instynktownie, co podniecało go najbardziej. Obrócił ją i zaczął przesuwając usta po jej opalonych plecach, aż jęknęła z rozkoszy.

Jej ciało falowało w oczekiwaniu. Pieścił ją, podniecał, drażnił, wzmagając w niej namiętność aż do szczytu.

- Tak, ach, tak...

Wszedł w nią. Siła tego doznania wstrząsnęła nim aż stracił panowanie nad sobą. Szalona rozkosz, którą teraz odczuwał, przyprawiła go o dreszcze. Ciało Saffron żyło, jej orgazm wstrząsnął jego ciałem.

- Przytul mnie, teraz, obejmij mnie!

Przytulił ją mocno, sam przestraszony mocą uczucia, które w niej obudził. Stopniowo odprężała się. Z jej oczu popłynęły łzy. Potem zwinęła się w kłębek obok niego. Lekko dotykała jego piersi.

Wpatrywał się w słońce zachodzące nad veldem; bladożółte światło zalewało sypialnię. Dzień odchodził.

Drzewa i busz za oknem nabierały właściwości magicznych, a wszystkie kolory - soczystości. Znowu czuł w sobie harmonię. Saffron dała mu odpowiedź.

*

Obudził się w ciemnościach i wysliznął cichutko z łóżka, aby jej nie obudzić. Było wiele pytań, na które musiał dostać odpowiedź. Wszedł do gabinetu i zapalił światło; papiery, ułożone starannie w stosik, leżały po jednej stronie biurka, a notes z adresami - w szufladzie. Wykręcił numer i nerwowo stukając palcami o blat wsłuchiwał się w sygnał. Gdy już chciał odłożyć słuchawkę, ktoś odebrał telefon - ale w słuchawce panowała cisza.

- Halo?

- Kto mówi? - Słaby kobiecy głos.

- Pani Khoza, muszę porozmawiać z Salomonem. Sądzę, że zagraża mu wielkie niebezpieczeństwo.

Usłyszał szloch i strach przeszył mu serce.

- Proszę, czy stało się coś złego?

- Tajna policja. Zabrali go.

Krew zastygła Maxowi w żyłach.

- Kiedy to się stało?

- Wczoraj, wcześniej rano.

- Proszę mi dać swój adres - poprosił. - Przyjadę natychmiast.
- Nie, musimy się spotkać gdzie indziej. Dom jest pod obserwacją.

Spojrzał na zegarek zastanawiając się, jakie miejsce nie wyglądałoby podejrzanie o tej porze.

- Kasyno - powiedział. - W „Oazie”. Za godzinę...
- Będę tam.

*

Zobaczył, że Saffron nie ma w łóżku i poczuł cudowny zapach świeżo parzonej kawy. Po spotkaniu w środku nocy z żoną Salomona był potwornie zmęczony. Nie miała pojęcia, dokąd zabrano jej męża i była zupełnie roztrzęsiona - Max przykazał, by poprosiła lekarza o środki uspokajające. To nie mógł być przypadek, że Salomona uprowadzono w tym samym czasie, gdy on stał się ofiarą morderczego zamachu. Ktoś się dowiedział, że obaj znali plany osuszenia bagien przez Euro.

Ktoś pragnął ich śmierci.

Saffron naga weszła do pokoju wnosząc kawę.

- No, przynajmniej nie można narzekać na jakość obsługi - zażartował Max.

Już miała mu odpowiedzieć, gdy ciszę zakłócił hałas silnika samochodowego.

Max wściekle złapał szlafrok i wyskoczył przed dom.

Zakurzony peugeot 404 właśnie zdruzgotał bagażnik jego landa. Kierujący samochodem osunął się bezwładnie. Max podbiegł i szarpnął drzwiczki.

- Co do...?

Słowa zamarły mu na ustach. Mężczyzna był cały zalany krwią i ledwo oddychał. Max złapał go i wyciągnął na trawę, potem zdjął szlafrok, zwinął i położył kierowcy pod głowę.

- Max! O, Boże! - Usłyszał drżący głos Saffron za plecami.

- Przynieś jakieś koce i wodę. Jest umierający.

- Och, Max, to Salomon Khoza!

Boże, miała rację! Twarz Salomona była tak straszliwie zniekształcona, że nie rozpoznał go od razu.

Oczy patrzące rozpaczliwie z głębi krwawych jam, cała twarz odrażająco popalona, wielkie czarnogranatowe sińce na ustach i nosie - wyglądało to jak abstrakcyjny obraz.

Saffron w sekundzie wróciła z kocami. Gdy owinęli nimi storturowane ciało, Max zauważył, że palce Salomona były połamane i poszarpane, jakby miażdżono je w imadle. Saffron podała mu płaską butelkę.

- Brandy. Dobra na szok.

Wlał parę kropli między wargi czarnego człowieka. Niemal natychmiast oczy Salomona otworzyły się.

Z ust wydarł się długi, wibrujący jęk. Max trzymał przyjaciela za rękę, modląc się cicho z nadzieją.

- Uważaj na siebie, Max... - Salomon wstrząsany bólem wymawiał słowa z olbrzymim trudem.

- Euro?

- Nie... To coś głębiej. Musisz dać sobie z tym spokój, Max, wyjedź...

Głos Salomona ucichł. W ostatnim desperackim wysiłku zatrzymania uciekającego życia umierający uniósł się i przyciągnął do siebie przyjaciela. Przekrwione oczy wpatrywały się w Maxa z przerażającą siłą.

- Wyjedź!

- Dostanę ich, kimkolwiek są. Tylko powiedz.

- Nie. Wyjedź! - Ciężko dysząc Salomon opadł ponownie na trawę.

Saffron patrzyła, jak olbrzymie dłonie Maxa zapinały guziki koszuli Salomona. Delikatnie, czule skrzyżował mu ręce na piersiach. Słowa nie były potrzebne - oboje wiedzieli.

Dopiero wtedy Saffron spojrzała na brzuch zabitego.

Na moment straciła panowanie nad sobą, zatoczyła się i zachwiała krzyżąc przeraźliwie, ale szybko uspokoiła się, gdy Max chwycił ją za ramię. Odwróciła się ku niemu.

- Widziałam już kiedyś coś takiego - wyszeptwała. Badałam kult satanistów dla potrzeb filmu i było tam coś zupełnie podobnego - pewien rodzaj rytualnego mordy. Nie mogę w to uwierzyć.

Max wbił wzrok w masę z zakrzepłej krwi, która kiedyś była brzuchem Salomona.

- Ale to już przeszłość! - krzyknął. - Ta stara, prymitywna część Afryki już nie istnieje!

Ale nawet w chwili, gdy wymawiał te słowa, wiedział, że to nieprawda.

*

Tego wieczora Max, Saffron i Johannes, szef czarnego personelu farmy, zajęli się okaleczonym ciałem Salomona. Chociaż Max spędził większość dnia dzwoniąc do stosownych władz, nikt nie chciał nawet dotknąć zwłok, a żona Salomona zobaczywszy je, wpadła w histerię. Z początku Max i Saffron planowali pochować zabitego na farmie, ale Johannes, lojalny dobry pracownik i porządny człowiek, odmówił kategorycznie.

- Jeżeli go tu pochowacie, baas - oświadczył - ja odchodzę.

Saffron rozumiała głęboki strach Johannesesa przed nadprzyrodzonym złem i wiedziała, co należy zrobić.

Na skalistej skarpie zbudowała z drewnianych żerdzi i strzępów zwierzęcych skór mocną ramę z plecioną platformą. Na tych dziwnych marach złożyli ciało Salomona Khozy jako ofiarę dla bogów.

Stali tam długo w trójkę, w obumierającym świetle słońca znikającego za pasmem niskich pagórków. Niebo było dziwnie błękitne, upstrzone długimi, białymi obłokami. Powietrze stało w miejscu. Czas jakby się zatrzymał.

- O co chodzi, Johannesie? - spytał spokojnie Max. - Nie rozumiem. Czemu musimy to zrobić?

- Pan nie musi wiedzieć - odparł czarny człowiek.

Wskazał na Saffron. - Ona wie.

- Ale przecież jesteś chrześcijaninem, Johannesie. Czego się boisz?

Johannes popatrzył mu w oczy.

- Zła - odparł.

- Poczekaj chwilę - szepnęła Saffron. - Pomódl się, aby dusza tego człowieka znalazła spokój wieczny.

Potem Saffron podłożyła ogień. Gdy wracali do domku, Max, odwracając się po raz ostatni, dojrzał nikły odblask płomieni i samotny stos pogrzebowy, czarny na tle ogniście czerwonego, wieczornego nieba. Za tę zbrodnię odpowiedzialni byli ludzie - a on ich wytropił i zniszczył.

*

Później zjedli razem kolację pod gołym niebem; gorące węgle braai połyskiwały czerwono w ciemnościach, steki skwierczały wrzucone na ogień. Saffron zebrała włosy w warkocz, który tulił się zmysłowo do jej pleców.

Miała na sobie czarne szorty i podkoszulek, kusząco oblepiający ciało. Nie rozmawiali o Salomonie, chociaż jego śmierć kryła się we wszystkim, co robili lub mówili.

Saffron dotknęła jego twarzy.

- Co stało się z twoim nosem?

- Złamałem go w pierwszej walce.

- Wygrałeś?

Wpatrywał się w ciemność i Saffron nie mogła zgadnąć, czy myślał o tej walce czy o czymś innym.

- Tak. Wygrałem. Zacząłem boksować już w szkole. Dziwne, ale to zawsze pomagało mi się odprężyć.

- Kochanie, masz bzika.

Zignorował uwagę.

- Boks wymaga całkowitej koncentracji - oświadczył.

- Tak jak seks?

Przyciągnął ją do siebie i zamknął jej usta pocałunkiem.

- Tamtego wieczora - powiedziała ochryple - w rezydencji prezydenta, nie mogłam znieść tego, że jesteś tak blisko, a nawet nie mogę cię dotknąć - musiałam być przez chwilę sama. Znalazłam pustą sypialnię i ukryłam się tam, aby zebrać myśli. I wtedy weszło dwóch facetów: Niemiec i Afrykanin. Nie widzieli mnie. Rozmawiali o tym, że Niemiec ma kogoś zabić. Max, sądzę, że tym kimś miałeś być ty. - Przywarła do niego. - Boję się, Max. Nie chcę, żeby coś ci się stało.

Później kochali się. Usiadła na nim obejmując nogami jego ciało. Pełne piersi muskały jego twarz, gdy delikatnie przesuwając dłońmi po jej ciele. Potem wśliznął się do jej wnętrza. Zanurzył się w zmysłowości, aż przestraszyło go uczucie tak absolutnego zapamiętania.

Poruszali się rytmicznie, przedłużając chwilę szczytowej napiętności, aż odpłynęła, oddaliła się, zanikła.

Mocno objął Saffron, kochając ją i rozkoszując się jej ciałem, aż dziewczyna krzyknęła.

- Wybacz. - Przestraszył się, że mógł jej sprawić ból.

- Nie, nie. Najdroższy, kocham cię.

Zapadła cisza. Nazajutrz musiał wracać do Johannesburga, a Saffron miała zostać przez cały miesiąc w Botswanie reżyserując film. Na samą myśl o tym serce prawie przestawało mu bić. Jeżeli ją teraz utraci...

- John z pewnością się z tym nie pogodzi. - Ujęła jego twarz w dłonie. - Oczywiście, odejdę od niego, ale, widzisz...

- ...Sądzisz, że mam już wystarczająco dużo wrogów. - Spojrzał jej głęboko w oczy. - Cóż znaczy kolejny? John Packard nie jest w stanie tknąć mnie nawet małym palcem.

Za parę miesięcy miał tych słów gorzko pożałować.

*

Następnego dnia rano Saffron udała się na plan. Max pakował resztę rzeczy do landa, gdy tuż za nim zatrzymał się jakiś samochód. Wysiadł z niego Murzyn.

- Doktor Loxton? - Potrząsnął energicznie wyciągniętą ręką Maxa. - Jestem Gideon Sisulu - oznajmił. - Chciałbym zadać panu kilka pytań.

- Nie odpowiadam na żadne pytania. Wyjeżdżam.

- To samo powiedziała mi pani Packard. - Ciemne oczy wpatrywały się w niego uważnie. - Wątpię, czy panu Packardowi spodobałaby się wiadomość, że spędził pan dwa ostatnie dni tutaj, sam na sam z jego żoną.

- Czy nie powinien pan szukać tego faceta, który chciał mnie zabić, zamiast zabawiać się w podglądacza?

- Jako detektyw-inspektor mam obowiązek wiedzieć, co robią ludzie, przeciwko którym prowadzę śledztwo. Został pan oskarżony o napaść, panie Loxton.

Max przewyższał Sisulu co najmniej o głowę.

- To oskarżenie upadnie w sądzie!

Policjant nie tracił kontenansu.

- Aczkolwiek - kontynuował - osobiście jestem przekonany, że padł pan ofiarą zaplanowanego zamachu i staram się znaleźć motyw. Zazdrość może być jednym z nich.

Max rozluźnił się. Gideon Sisulu to facet z jajami; doceniał to.

- Może napijemy się kawy?

Rozsunął drzwi wbudowane w jedną ze ścian kuchni.

Na zewnątrz falował veld połyskując ostatnimi kroplami porannej mgły. Sisulu pił kawę i uśmiechał się.

- Nigdy tu dotąd nie byłem, ale słyszałem wiele o panu, doktorze Loxton. Pan czuje i rozumie nasz kraj. To, co zrobił pan z „Oazą”, zakrawa wręcz na cud... No tak, ale może przejdziemy do rzeczy. Człowiek, który próbował pana zabić... Jak on wyglądał?

Max zawahał się. Ten morderca mógł być kimkolwiek, opłaconym przez kogokolwiek - Euro, Packarda lub Davida Loxtona.

- Wszystko jest w moim zeznaniu - oświadczył w końcu.

Sisulu pochylił się nad stołem, a spojrzenie jego ciemnobrązowych oczu zdawało się przenikać Maxa na wylot.

- Niech pan nie będzie durniem, doktorze Loxton. Salomon był moim najlepszym przyjacielem. Oficjalnie jestem tu, aby nakazać panu powrót do Botswany na proces, ale nieoficjalnie - żeby pomścić śmierć Salomona!

Wyjął portfel i wydobyl z niego fotografie trzech młodych mężczyzn w cywilnych ubraniach. Max popatrzył na zdjęcie, potem na Sisulu.

- Ten po lewej to Salomon Khoza - wyjaśnił Sisulu. - W środku to ja, a trzecim jest pański przyjaciel, George, syn słynnego Napoleona Zwane. To zdjęcie zrobiono w 1961 roku na uniwersytecie w Fort Hare.

- Wszyscy należeliście do Afrykańskiego Kongresu Wolności.

- Należymy, doktorze Loxton. Proszę wziąć tę fotografię, pokazać George'owi i pozdrowić go ode mnie. - Wyciągnął się wygodnie na krześle, rozluźniony i spokojny. - Pan kocha ten kraj, wiem to, i ma pan wielkie plany. Ale, tak samo jak George i ja, należy pan do starego świata, do historii. Na scenie pojawiły się nowe siły.

- Towarzysze? - strzelił na oślep Max.

Na czole Sisulu pogłębiły się zmarszczki.

- Widział pan, jak zginął Salomon. Tak jest wszędzie i nikt nie wie, kto się za tym kryje. I każdy kto podejdzie za blisko - ginie.

2

Nareszcie w domu. Z radosnym westchnieniem Max wjechał w długą dębową aleję wiodącą do domu - okazałej willi położonej w pięcioakrowym parku w Inandzie, jednej z najbardziej ekskluzywnych dzielnic Johannesburga. Max uwielbiał te stojące jak na warcie dęby, strażników swojej intymności. Lecz teraz, kiedy już dojeżdżał do wejścia, z przerażeniem zauważył całą bandę reporterów wyskakującą spomiędzy drzew. Był otoczony. Jak okiem sięgnąć, wszędzie widać było błyski aparatów i wycelowane w jego kierunku mikrofony. Klnąc na czym świat stoi, wysiadł z landa aby stawić im czoło.

- Doktorze Loxton, czy sądzi pan, że zamach na pańskie życie był inspirowany przez rząd Botswany? - Ciemnowłosa reporterka w okularach wpatrywała się w niego pytająco.

Opanował się z trudem. Dla szefa kilkunastu kopalń i sieci hoteli niechęć prasy mogła mieć katastrofalne skutki. Smakowite zdjęcie przedstawiające wybuch jego furii potwierdziłoby jedynie tezę, że biegał dookoła „Oazy” usiłując postrzelić każdego, kto się nawinął.

- Posłuchajcie - zaczął. - Jestem wykończony. Jutro udzielę obszernych wywiadów.

Błysk flesza. Męski głos zapytał:

- Doktorze Loxton, co pan sądzi o planowanym na dzisiejsze popołudnie zwolnieniu Napoleona Zwane z więzienia Leeukop?

Wtrącił się kolejny głos:

- Czy rozmawiał pan już ze swoim przyjacielem, Georgem Zwane?

Max poczuł, że kręci mu się w głowie. Przez ostatnie dwa dni nie zwracał uwagi na żadne wiadomości.

- To wspaniała nowina - rzekł. - Czy zwolnienie Napoleona nie jest obwarowane żadnymi warunkami?

- Jest bezwarunkowe, doktorze Loxton - odparł Harold Collins, doświadczony reporter, którego Max dobrze znał.

- Haroldzie - powiedział. - Jutro udzielę ci wyłącznego wywiadu na temat projektu botswańskiego. Ale teraz, panie i panowie - zwrócił się do pozostałych - mam za sobą naprawdę wyczerpujące przeżycia i potrzebuję trochę ciszy i spokoju. Jutro będę osiągalny w biurze od dziewiętej zero zero, gotowy odpowiadać na wszystkie pytania.

Rozległ się niechętny pomruk zgody. Kiedy reporterzy zaczęli wolno znikać w alejce, drzwi uchyliły się i w szparze pojawiła się hebanowa twarz, obdarzając Maxa radosnym uśmiechem.

- Witaj w domu, doktorze Max.

Była dla niego bardziej drugą matką, niż najlepszą gospodynią.

- Tuli - powiedział. - Świetnie, że cię znowu widzę.

Jak zwykle miała na sobie jakieś jaskrawe fatałaszki.

Tuli. Poruszająca się z gracją tancerki potężna kobieta, której burzliwy charakter stawił czoła czterem mężom; teraz rozglądała się za piątym. Jej lojalność wobec Maxa była stuprocentowa; nie pozwoliłaby sobie nawet na jedno złe słowo pod jego adresem.

- Doktorze Max, musi pan być ostrożny. - Zmarszczka przecięła błyszczącą skórę na jej czole. - Mówiłam, żeby nie rozmawiał pan z tymi w Gaberone, to niedobre miejsce.

- Tuli, gdybym cię słuchał, nie pojechałbym nigdzie!

Lecz ona nadal miała poważną minę.

- To wszystko, co się panu przytrafiło - tak, to zła sprawa. A gdyby pan umarł? Co ze mną? - Podeszła bliżej i wyszeptwała konspiracyjnie: - No i co, znalazł pan żonę?

To, że po rozwodzie Max ciągle żyje samotnie, było dla Tuli nie do przyjęcia. Sama miała dziewięcioro dzieci i uważała, że Max powinien spędzić przynajmniej tyle samo.

- Tak, chyba tak.

Słyszac to Tuli rozpromieniła się cała, a Max stwierdził, że lepiej już teraz wyjaśnić całą sprawę, bo inaczej ona od razu zacznie przygotowania ślubne.

- Ale jest żoną innego mężczyzny, Tuli.

- Jest pan złym chłopcem, doktorze Max, bardzo złym! - Wybuchnęła śmiechem i wybiegła z pokoju.

Jej czerwono-czarny szal zniknął gdzieś w kuchni. Zastanawiał się, czemu właściwie zawdzięczał tak wielką lojalność.

Poszedł za nią, przygotowując się w duchu na ogromny lunch, który jak zwykle dla niego przyszykowała.

Miała też gotową setkę pytań.

- Czy jest piękna? - Stała przy długim stole i obsługiwała Maxowi przy posiłku.

- Tak.

- Czy ma dzieci?

- Nie, chyba nie.

- Spotkał pan kobietę, zakochał się pan i nie zapytał nawet, czy ma dzieci?

- Spotkaliśmy się w kasynie - wymamrotał z ustami pełnymi jedzenia.

Tuli zmarszczyła brwi. Hazard był dla niej diabelskim wynalazkiem; jej pierwszy mąż prowadził melinę oferującą trunki i dziewczynki, potem opętał go hazard i stracił wszystko, łącznie z Tuli.

- Czy jej mąż jest bogaty?

- Bardzo. Bardzo bogaty.

- Szszsz. Jest tyle pięknych kobiet, które mógłby pan mieć. Dlaczego zawsze zakochuje się pan w tych, które już należą do kogoś innego?

*

Wysoka kobieta w nienagannie skrojonym kostiumie wyszła zdecydowanym krokiem z budynku Sądu Najwyższego w Johannesburgu. Jej twarz nie wyrażała żadnych emocji, ale w głębi duszy kobieta aż wrzała z wściekłości. Nie mogła uwierzyć w to, co właśnie usłyszała. Wczoraj wydebiła zwolnienie dla człowieka przetrzymywanego dwanaście miesięcy na podstawie paragrafów stanu wyjątkowego, a dzisiaj już znowu siedział, ponownie aresztowany na podstawie jakichś kruczków, na osobisty rozkaz ministra sprawiedliwości. Miała ochotę wrzeszczeć i wydrapać prokuratorowi oczy. Naturalnie, na sali nie okazała żadnych oznak gniewu. Jedyne urzędnicy sądowi znowu stali się obiektami sarkastycznych złośliwości tej przepięknej blondynki o lodowatym uśmiechu.

Mecenas Victoria Loxton miała ponad sześć stóp wzrostu, wiotką figurę, postawę i styl modelki. Bimbo - tak automatycznie klasyfikowali ją mężczyźni, dopóki nie otworzyła zmysłowych, pełnych ust i nie zaczęła mówić. Teraz, ignorując pełen uwielbienia wzrok młodego aplikanta, szybko przeszła do swojego gabinetu. Dopiero tu mogła się wyładować.

Złapała z biurka jakiś opasły kodeks i rzuciła nim w szafkę, aż książki i półki pospadały z hałasem. Chwilowo odprężona, usiadła na skórzanej sofie, zrzuciła włoskie pantofle, ale prawie natychmiast drzwi otworzyły się i do pokoju wolno wkroczył niski, pękaty mężczyzna o szpakowatych włosach.

- Można?

Vicky chciała wstać, ale on gestem kazał jej z powrotem usiąść.

- Przykro mi, Ken - powiedziała. Bębniła palcami o oparcie sofy. Była zażenowana. Ken Silke, jej mentor, był najsłynniejszym człowiekiem w całym wymiarze sprawiedliwości RPA.

- Z twojego zachowania wnoszę, że ojciec ponownie aresztował pana Khumalo?

- Mam tego powyżej dziurek w nosie, Ken. Postępując zgodnie z kodeksem wyciągamy ludzi z więzienia, a oni po prostu zmieniają sobie prawa dowolnie i wsadzają ich z powrotem.

- Sądzę, że przesadzasz, Vicky. Pamiętaj, że Kobus van der Post niedługo wprowadzi wielkie zmiany. Napoleon Zwane już dziś wieczorem będzie wolnym człowiekiem.

Ken Silke wiedział, że gdyby miał te dwadzieścia lat mniej, zakochałby się po uszy w Victorii Loxton, lecz jego wiek i doświadczenie mówiły, że nie byłby to dobry pomysł. Kumple nazywali ją „Lodową Dziewicą”. Kiedy z podwiniętymi nogami siadała na sofie, przyjrzał się jej długim, kuszącym udom. Dlaczego z wyroków Boga, ktoś tak piękny był jednocześnie aż tak inteligentny? Patrzył na nią ze współczuciem; wiedział, o czym będą teraz rozmawiali.

- Męczą mnie te podchody, Ken.

- Vicky, jeżeli chcesz komuś zagrozić emigracją, to nie mnie. Powiedz to raczej ojcu i zobacz, jak zareaguje.

Ciemnoniebieskie oczy patrzyły na niego uważnie i już wiedział, że wygrał. Widział w nich nienawiść.

- Masz rację. Mój wyjazd dałby mu niezmierną satysfakcję.

- To pojedynek między tobą a nim, Vicky. Jestem niemal święcie przekonany, że nie powinnaś bronić w pewnych sprawach, ponieważ on może zainterweniować osobiście na niekorzyść oskarżonego.

- Adwokat nie może odmówić wysłuchania pouczeń ze strony sędziego - mruknęła złośliwie Vicky.

- Nie łap mnie za słówka. Wiesz, o co mi chodzi.

- To nie moja wina, że ojciec to ścierwo.

Zauważył zły błysk w jej oku i pożałował, że w ogóle wspomniał o ojcu. Ale teraz zanosił się na to, że dni Davida Loxtona w rządzie są policzone. Poglądy Kobusa van der Posta były całkowicie sprzeczne z poglądami Davida Loxtona i bezpośrednie starcie to tylko kwestia dni. A wtedy, dumiał Ken Silke, David Loxton z pewnością przegra.

*

W gorącym południowym skwarze David Loxton wchodził do budynku Unii - najpiękniejszej budowli w Pretorii. Kiedy był małym chłopcem, ojciec przyprowadził go tu w czasie wycieczki wakacyjnej z rodzinnego Salisbury i od tamtej pory celem jego życia była praca tutaj. Ojciec wyrażał się z sarkazmem o Afrykanerach, lecz David nie zgadzał się z nim. Wyczuwał w nich siłę.

I proszę, co się stało. Czarni wymietli Rodezyjczyków, podczas gdy w RPA Afrykanerzy dalej byli górą, a on, David Loxton, stał się jednym z nich. Był jedynym Anglikiem w rządzie - piastował stanowisko ministra sprawiedliwości.

A parę miesięcy temu wydawało się, że najważniejszy cel jego życia jest tuż-tuż, w zasięgu ręki. Tak blisko! P. W. Botha wyznaczył go swym następcą - wszystko było już ustalone i wtedy, wskutek nagłej zmiany opinii wśród członków gabinetu, Bothę zmuszono do ustąpienia, a na jego miejsce został powołany Kobus van der Post, były naukowiec, minister spraw wewnętrznych i edukacji.

David Loxton wpatrywał się w drgające z gorąca powietrze nad Uniwersytetem Południowoafrykańskim - kolejnym nowoczesnym, wspaniałym budynkiem stojącym na małym pagórku. Kochał ten kraj. Był właścicielem olbrzymich farm, fabryk, kopalń i choć jego majątek nie mógł się równać z potęgą Werhner-Beitów, rodziny władającej Euro-Pacific, Loxton zajmował drugie miejsce na liście najbogatszych ludzi w RPA.

A o wiele większa potęga już była w jego zasięgu! Lecz wszystko zmieniło się na gorsze. Dla Davida Loxtona Kobus van der Post był mięczakiem i sprzedawczykiem. Miał skupić w swoich rękach władzę, a nie pozwolić, by mu się wysliznęła. Żaden porządny Afrykaner nie głosowałby na ten rząd wiedząc, że van der Post zostanie głową państwa.

Zerknął na zegarek. Dwunasta trzydzieści - popołudnie omdlewało od upału. Dlaczego prezydent chciał go zobaczyć? Wbiegł po kamiennych schodach do środka, w długi, chłodny korytarz, gdzie zatrzymał go uzbrojony strażnik. To nie tylko powierzchowna oznaka bezpieczeństwa - gdyby próbował prześliznąć się między strażnikami, zastrzelono by go bez żadnych zbędnych pytań. Bezpieczeństwo było obsesją wszystkich przywódców Południowej Afryki od czasu zamordowania Verwoerda przeszło dwadzieścia lat temu. Ach, Verwoerd - westchnął w duchu, szybko idąc dalej - to był człowiek bliski jego sercu. Twardy jak skóra

starego kamasza, żadnego liberalnego pieprzenia się - z Verwoerdem człowiek zawsze wiedział, na czym stoi.

Sekretariat przed gabinetem prezydenta. Loxton wszedł wolno do środka, smakując zapach pokoi, w których on, David, powinien rezydować. Sekretarz prezydenta gestem zezwolił mu wejść, więc lekko zastukał w podwójne drzwi.

- Kom Binne - rozległo się zaproszenie w języku afrikaans. - Proszę wejść.

- Dzień dobry, sir.

- Proszę siadać.

Usiadł przy olbrzymim biurku i popatrzył na człowieka siedzącego po drugiej stronie. Kobus van der Post może i miał swoje lata, ale ciało i duch należały do młodego człowieka. Gładka twarz o niemalże dzieciennym wyrazie i grzywa szarych włosów. Teraz on przyglądał się Davidowi z wymuszonym uśmiechem i zmarszczył brwi, które zwieszały się nad oczami niczym stalowe, szare mosty. Gdy David usiadł, Kobus wstał - świadoma taktyka onieśmielenia gościa.

- Loxton, mam pewien problem. Obawiam się, że będę musiał prosić pana o ustąpienie ze stanowiska.

Krew napłynęła Davidowi do twarzy. Kim był ten Kobus van der Post, któremu parę lat temu nikt nie dawał najmniejszych szans na karierę polityczną? To skandal!

- Po wszystkich ofiarach, jakie poniosłem dla dobra tego kraju! - warknął wściekle. - Po latach pracy dla tego rządu!

Van der Post podszedł bliżej; ostre linie wokół ust zdrząły zdradzając gniew.

- Jestem zmęczony pańskim zachowaniem, Loxton. Otwarcie mi się pan przeciwstawia, terroryzuje wymiar sprawiedliwości... Na przykład dziś wystąpił pan przeciwko człowiekowi zwolnionemu na mocy nowego prawa. A wszystko po to, aby dokuczyć córce! Pańskim następcą będzie André Joubert.

- Co? On się zupełnie nie nadaje!

Van der Post usiadł za biurkiem i wbił ciężkie spojrzenie w ministra sprawiedliwości.

- Jak pan śmie mi się sprzeciwiać!

Davidowi cała ta sytuacja wydawała się nierealna.

André Joubert dopiero co przekroczył czterdziestkę.

Miał nienaganne afrykanerskie pochodzenie i cieszył się szacunkiem wszystkich obywateli. David przełknął ślinę i rzekł już nieco spokojniejszym tonem:

- Naprawdę popełnia pan błąd, sir.

- Sam to osądzę, Loxton. Dzisiaj zwalniam Napoleona Zwane z więzienia po prawie trzydziestu latach i żadne nieodpowiedzialne akcje, takie jak pańskie, nie są mi potrzebne.

Do diabła - myślał David - ten facet oszalał!

- Chciałbym prosić o zachowanie mnie na stanowisku do zakończenia tej sesji parlamentu, sir.

- Obejmie pan ministerstwo turystyki. - Van der Post uśmiechnął się ponuro. - Może na tym stanowisku będzie pan w stanie postępować bardziej dyplomatycznie.

David wstał. Dygotał z wściekłości. Całe życie pracował dla partii, a teraz odplacono mu zdradą! Cóż, nie zamierzał poddać się bez walki.

- Czy skonsultował pan tę decyzję z innymi członkami gabinetu, sir? - Była to subtelna aluzja, że i on miał tak samo jak Kobus swoich zwolenników w rządzie.

Pięść Kobusa mocno uderzyła w błąd, a twarz prezydenta poczerwieniała z wściekłości.

- Niech pan nie próbuje ze mną polityki siły, Loxton. Co według pańskiej opinii osiągnął pan przez dziesięć lat na tym stanowisku?

David uniósł głowę.

- Uwolniłem kraj od zamieszek i przemocy. Uśmierzyłem większość buntów czarnej ludności.

- Wszystko, co pan osiągnął - odparł Kobus - to ubabranie błotem imienia naszego kraju w oczach świata. Zbudował pan tu państwo policyjne porównywalne z hitlerowską Rzeszą. Pańska militarystyczna polityka jest dla mnie przekleństwem, Loxton - nie tylko dlatego, że prowadził ją pan, aby zwiększyć zyski swoich fabryk zbrojeniowych. Lecz to się skończy. Podejście Jouberta będzie diametralnie różne.

David Loxton nic nie powiedział. Nie da Kobusowi satysfakcji, nie pozwoli się sprowokować. Pomyślał o Dolphie Klopperze i jego Afrikaner Weerstandsbeweging - Afrykanerskim Ruchu Oporu, teraz oficjalnej opozycji. David cenił ich determinację i potajemnie pielęgnował ich przychylność. Najwyraźniej nadszedł czas, żeby skorzystać z tego poparcia.

- Prawdę mówiąc, Loxton - kontynuował Kobus - zdradził pan ten rząd.

Kolejne posunięcia też stały się dla Davida oczywiste - trzeba będzie pozbyć się Kobusa van der Posta tak szybko, jak to tylko możliwe. Lecz na razie należało grać dalej.

- Nigdy nie uważałem Jouberta za wystarczająco doświadczonego - stwierdził rzeczowo David - lecz przypuszczam, że może udźwignąć tę odpowiedzialność mimo tak młodego wieku.

Twarz van der Posta złagodniała.

- Proszę ułatwić sobie życie, Loxton - byłoby żenujące dla mnie oficjalnie pana zdymisjonować. Turystyka jest bardzo ważna dla naszego kraju i na tym polu mamy wiele do zrobienia. Czyż pański syn nie jest właścicielem jednej z najszybciej rozwijających się sieci hoteli?

Drwina była subtelna ale dotkliwa.

- Przyjmuję ofiarowane stanowisko. Nie zawiodę pana.

- Doskonale. I proszę pamiętać, co powiedziałem.

David Loxton skinął głową, odwrócił się na pięcie i opuścił pokój tak szybko, jak mógł.

*

Max stał przy wąskiej, asfaltowej drodze, wiodącej od głównej bramy więzienia Leeukop do budynków więziennych położonych pół kilometra dalej. W oddali łańcuch brunatnych pagórków przecinał horyzont.

Cień Maxa wydłużał się coraz bardziej ku wschodowi. Niemal sto tysięcy ludzi stało przy tej drodze w oczekiwaniu na wydarzenie, o którym nikt nawet nie marzył - uwolnienie najślynniejszego więźnia świata, Napoleona Zwane, po trzydziestu latach więzienia. Nad tłumem falowała zielono-złoto-czarna flaga Afrykańskiego Kongresu Wolności. Kolor zielony symbolizował ziemię, złoty - jej bogactwa mineralne, a czarny - jej lud. Czy miał to być początek nowej ery? Uwolnienie tego człowieka wywoła falę euforii wśród czarnej społeczności RPA. Czy będzie oznaczać to koniec zamieszek w lokacjach? Daj Boże, oby!

Max obserwował, jak mężczyzna ubrany w zwierzęce skóry przepycha się przez tłum w kierunku bramy. Był to bard - Imbongi. Tak jak szaman pośredniczył między człowiekiem a bóstwem, tak Imbongi był łącznikiem między wodzem a jego ludem. Napoleon Zwane to wielki wódz, więc teraz Imbongi intonował pieśń ku jego czci. Śpiewał coraz szybciej i szybciej, nie zatrzymując się ani na moment, machając wysoko nad głową swoją laską. Jego ruchy stawały się coraz bardziej szaleńcze, a podniecenie tłumu wzrastało, aż doszło do stanu gorączkowej euforii.

Już trzecia trzydzieści; formalności trwały dłużej niż oczekiwano. Wreszcie chwilę później drogą przemknęła limuzyna wioząca George'a Zwane, syna Napoleona;

Max domyślał się, że George już zaplanował pierwsze dni wolności ojca - przede wszystkim wywiady z reporterami z całego świata. Lecz najistotniejszym wydarzeniem będzie przemówienie Napoleona do ludności Soweto na stadionie Jabulani, o szóstej wieczorem.

Stojąc w żarze popołudniowego słońca Max uświadomił sobie, że z coraz większym optymizmem patrzy w przyszłość swojego kraju. Van der Postowi już udało się nawiązać stosunki z zagranicznymi rządami; może jednak, mimo wszystko, RPA będzie w stanie rozwiązać swe problemy drogą pokojową.

Czarna limuzyna, niewyraźna w drgającym powietrzu, wynurzyła się pomiędzy stłoczonych budynków więziennych. Zgromadzeni zaczęli głośno śpiewać naśladując pieśń Imbongi, którego skóry trzepotały gwałtownie. Atmosfera była naładowana elektrycznością - wyczuwał to każdy. Wolno, wolno limuzyna podjeżdżała bliżej. Po chwili wydającej się wiecznością, zatrzymała się tuż przed bramami więzienia. Samotny człowiek w czarnym garniturze wysiadł i pewnym krokiem zmierzał ku wolności.

Napoleon Zwane nie był wysoki, ale emanowała z niego siła i autorytet. Miał krótko obcięte siwe włosy i mimo że przekroczył już siedemdziesiątkę, widać było, że jest tak samo silny jak niegdyś. Strażnicy więzienni rozwarli bramy na oścież, a on wyszedł - wolny po trzydziestu latach. Imbongi przysunął się bliżej, wirując w opętańczym tańcu, a Napoleon Zwane uśmiechnął się serdecznie do tłumów. Wszyscy ulegli czarowi tej chwili. I właśnie wtedy Max zauważył, że coś błysnęło pod skórą Imbongi. Wielki Boże, nie. Nie...

Max runął naprzód. Imbongi odrzucił skóry zwierzęce i wycelował automatycznego skorpiona. Loxton wykorzystując swą lamparcią zręczność wbiegł między groźną postać a Napoleona Zwane, który nieświadom niebezpieczeństwa pozdrawiał wiwatujący tłum. Gdy Max wyskoczył w górę próbując powstrzymać Imbongi, ten, wyczuwając jego atak, uśmiechnął się, odwrócił - i czerwone cętki pojawiły się na czarnym garniturze Napoleona Zwane.

Kula rozdarła Maxowi lewe ramię, kiedy upadał na ziemię. Wśród tłumy rozległy się okrzyki przerażenia.

Max dowlókł się do zwiniętego w pyle Napoleona Zwane, krzycząc na gapiów, aby ścigali Imbongi, który porzuciwszy broń zniknął w kipiącej masie ludzi - lecz ci stojąc jak zakłęci, zapomnieli o mordercy, a potem rzucili się w kierunku Napoleona Zwane, wijącego się w piachu.

- Odsuńcie się! Powietrza! - krzyczał Max. - Na miłość boską, odsuńcie się, dajcie mu powietrza!

Nachylił się nad umierającym; brązowe oczy wpatrywały się w jego twarz. Poczuł, jak łzy ciekną mu po policzkach.

- Doktor jest w drodze. Napoleonie, na miłość boską, postaraj się wytrwać!

Czarna dłoń zacisnęła się na jego ramieniu.

- Oni są przeciwko mnie i przeciwko tobie. - Stać go było tylko na szept. - Max, musisz z nimi walczyć...

- Kto to zrobił, Napoleonie? Wojsko?

Umierający z trudem pokręcił głową.

- Wróg czai się w lokacjach. Czeka na ciebie... Musisz go odnaleźć, zanim on cię zabije.

- Ale kogo? - Max nachylił się jeszcze niżej, aby uchwycić odpowiedź. Ostatni oddech, nikły uśmiech, i oczy Napoleona Zwane zamknęły się na zawsze, a Max i tłum pozostali ze swym martwym przywódcą.

*

Obaj siedzieli wygodnie na werandzie starej chaty.

Wieczór aż drżał od cykania świerszczy. W dole, bardzo daleko, migotały światła Pretorii. David Loxton lubił tę farmę należącą do generała Jurie Smita, wysokiego, szczupłego mężczyzny siedzącego naprzeciwko. Lubił również generała, który miał chyba już pięćdziesiąt parę lat, ale kondycję fizyczną dwudziestolatka. Generał Smit był dowódcą armii RPA. David pochylił się w geście szczeroci.

- Mój syn ciągle sprawia kłopoty. Te zdjęcia, pokazujące jak usiłował ratować Zwane, zrobiły z niego bohatera. A jego przyjaźń z van der Postem wzbudza we mnie obrzydzenie!

- Nie cierpię van der Posta, chłopie. Ale nic nie możemy zrobić. Nie lekceważ go.

- Stary, to ostatnia rzecz jaką bym uczynił.

Generał podniósł się z krzesła. Ujął supernowoczesny karabin, który leżał między nimi na stole, i wymierzył w jakiś cel w ciemnościach.

- Ta broń to arcydzieło, przyjacielu. Gdybyśmy ją mieli w Angoli, mogłaby wszystko zmienić. A kto wie, co moglibyśmy zrobić tutaj - gdyby ten sprzedawczyk van der Post nie doszedł do władzy. - W głosie Jurie'ego zabrzmiała złość. - Obcięto mi budżet; nie mogę złożyć u ciebie zamówienia na te cuda. - Umilkł.

David nie czynił nic, aby ukryć rozdrażnienie.

- Ten kraj toczy się prosto w przepaść, Jurie. Van der Post zdradził nas wszystkich. Musi zostać usunięty.

- Mój drogi, nie przejmowałbym się aż tak bardzo...

Broń szcęknęła i w oddali rozległ się stłumiony okrzyk bólu. Generał popatrzył przez lunetę.

- Fantastycznie, fantastycznie.

- Dobry strzał?

- Tak, jeden z moich czarnuchów.

Roześmiali się, po czym generał odłożył karabin i ujął szklanę.

- Nieszczęśliwy wypadek... Tak, wypadki zdarzają się. Oczywiście, kiedy zdarzają się kafrom, ludzie nie zadają pytań. Ale kiedy dotyczy to prezydenta... - Przynął się bliżej. - To nie jest dobry moment, aby pozbyć się van der Posta. Byłoby to zbyt oczywiste. Musimy czekać - ale właściwy czas w końcu nadejdzie.

*

George Zwane siedział na werandzie z tyłu domu i wpatrywał się we wschodzące nad horyzontem słońce. Nadszedł kolejny dzień, kolejny człowiek odszedł z tego świata. Ojciec był dla George'a przewodnikiem, inspiracją. Syn całe życie walczył o jego uwolnienie, o moment, kiedy znowu będzie mógł go objąć. Zabrali ojca, kiedy George był dziesięcioletnim dzieckiem. Teraz skończył się sen i umarła nadzieja.

W oddali blaszane dachy miasta pobłyskiwały w promieniach porannego słońca. Kolejny dzień przemocy - kto wie, ile osób zginie dziś w zamieszkach? Ojca zwolniono, aby przywrócić pokój w kraju rozdartym walką. Miał negocjować z Kobusem van der Postem zasady reprezentacji czarnych w rządzie. Teraz nie żył.

I co dalej?

Poczuł zapach kawy. Odwrócił się i zobaczył Brendę, swoją żonę, trzymającą parujący kubek.

- Kochany, czujesz się już lepiej? - zapytała.

Nie ruszył się z ganku od chwili, kiedy poszła wczoraj spać.

- Nie! - ryknął. - Nie! Ani trochę lepiej! - Machnął ręką przewracając kubek z kawą. - Całe moje studiowanie miało na celu pokój. Walczyłem o pokój zawsze, cokolwiek robiłem. Tak jak to czynił mój ojciec. Lecz on, kiedy ta walka okazała się bezowocna, chwycił się terroru, więc go aresztowali. A teraz, gdy zgodził się na pokojowe negocjacje, zabili go!

Brenda objęła męża ramieniem, próbując złagodzić jego cierpienie.

- Chciałem być z nim! - krzyknął. - Chciałem wiedzieć, co to znaczy mieć ojca! Jak to się mogło stać?!

Zaskoczył ich odgłos zatrzymującego się samochodu.

Chcieli zignorować pukanie do frontowych drzwi, ale kiedy stało się natrętne, George kazał Brendzie otworzyć. W progu stał Max Loxton. Lewą rękę trzymał na temblaku. Max bywał u nich częstym gościem. On i George poznali się na uniwersytecie, boksowali razem i byli starymi przyjaciółmi.

- Siedział na werandzie całą noc - wyszeptła Brenda. - Jest załamany.

- Muszę z nim pogadać w cztery oczy - oznajmił Max. - Nie masz nic przeciwko temu?

Brenda uśmiechnęła się i potrząsnęła głową. Max wszedł na werandę.

Na jego widok George poderwał się. Uścisnął zdrową dłoń przyjaciela.

- Próbowałeś go uratować, jestem ci dozgonnie wdzięczny, Maxie, bardziej niż umiem to wyrazić. - Puścił jego dłoń i opadł z powrotem na krzesło. - Ale on nie żyje. Mój ojciec nie żyje...

Max usiadł i spojrzał na przyjaciela.

- Musimy pogadać, George. Zamordowanie twego ojca zmienia wszystko. Van der Post złożył oficjalne oświadczenie wczoraj wieczorem; powiedział, że ideały i życie twojego ojca zostaną uczczone i poprosił innych czarnych przywódców o wystąpienie i rozpoczęcie rozmów. Ale mimo iż apelował o spokój i ostrzegł ludzi, aby nie przeciągali struny, już mamy zamieszki w całym kraju, a Loxton domaga się wprowadzenia stanu wojennego. Jak wiesz, van der Post chciał go usunąć z ministerstwa sprawiedliwości, ale ze względu na obecną sytuację nie może tego zrobić, bo zostałoby to poczytane za akt słabości. A Loxton nalega na przyjęcie strategii twardej linii. - Max przerwał. - Ale jest coś gorszego, George. Twój ojciec powiedział mi coś w chwili śmierci. Mówił o swoich mordercach.

Zmarszczki na czole George'a pogłębiły się, gdy słuchał Maxa. Ukrył twarz w dłoniach.

- Słyszałem plotki o tych tam - Towarzyszach. Nie cofną się przed niczym.

- Ale dlaczego zabili twojego ojca?

- Bo był człowiekiem pokoju, przestrzegał prawa i porządku, bo rozwiązanie widział w negocjacjach. Ci ludzie to mordercy; pragną powrotu do prymitywu. Mówi się, że to oni wprowadzili „naszyjniki”. Jeżeli przejmą władzę, będziemy mieli do czynienia z przemocą na skalę, o jakiej ci się nawet nie śniło. Masowe mordy rytualne, ofiary z dzieci, bestialstwa - terror rozprzestrzeni się na całą Afrykę.

- Czy można podjąć przeciwko nim jakieś kroki?

George zamilkł.

- Tak - odparł w końcu. - Ale będzie mnie to drogo kosztowało. - Wstał i przeszedł się po ganku. - Mój ojciec żył dla wolności i nie mogę pozwolić, aby jego życie poszło na marne. Nadszedł czas działania.

Może ostatni raz widzimy się jako przyjaciele. Zemszczę się na mordercach i znajdę jakiś sposób, żeby unicestwić ich parszywe plany. Muszę wejść w świat, którego nie znasz i, dzięki Bogu, nigdy nie poznasz. Nic więcej nie mogę ci wyjaśnić.

- A czy ja mogę coś zrobić?

George potrząsnął głową.

- To pożegnanie, Max.

- Wiem, że mógłbym zrobić coś więcej...

George wpadł mu w słowo.

- Usłyszysz o mnie rzeczy, które ci się nie spodobają, wzbudzą pewnie twoją odrazę. Max, módl się za mnie, gdyż schodzę żywcem do piekła.

*

Kobus van der Post skręcił mercedesem w boczną drogę i przycisnął pedał gazu. Ostre słońce południa raziło go w oczy, więc sięgnął do schowka po okulary słoneczne. Jechał na pogrzeb Napoleona Zwane, bez obstawy. Jechał sam. Postępował tak świadomie.

Chciał podjąć ryzyko i stanąć samotnie przed olbrzymim tłumem czarnych w nadziei, że ta odwaga zostanie nagrodzona zaufaniem i wiarą w jego przywództwo.

Już tracił poparcie gabinetu i zdawał sobie sprawę, że wczorajsza rozmowa z Davidem Loxtonem była pochopnym odsłonięciem kart. Żył w zbyt wielkim napięciu.

Boże, miał tyle do zrobienia, a tak mało czasu.

Minister sprawiedliwości to niebezpieczny i podstępny człowiek, zdolny chwycić się najpodlejszych sposobów, aby osiągnąć to, czego pragnął. Trzeba będzie założyć podsłuch u Loxtona; warto też go śledzić, aby uprzedzać jego posunięcia. André Joubert to człowiek pokroju Kobusa. Miał rację desygnując go na swego następcę - Loxton nie może zostać prezydentem. Nigdy.

Nagle Kobus utracił ostrość widzenia. Z trudem dostrzegł, że strzałka sięgała już stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę - cholera, trzeba zwolnić. Wydawało mu się, że prawym okiem niemal nic nie widzi. Co się, do diabła, dzieje? I wtedy ogarnęła go ciemność.

Jadący za nim motocyklista ujrzał z przerażeniem, jak mercedes zatańczył przed olbrzymią ciężarówką, która niczym gigantyczny spychacz zepchnęła go z autostrady.

Inne samochody zjeżdżały na pobocze usiłując uniknąć zderzenia. Gryzący dym uniósł się spod kół ciężarówki, gdy kierowca desperacko walczył z hamulcami. W końcu zatrzymał wóz i wyskoczył z kabiny. Gdy szarpał zgniecionym wrakiem mercedesa próbując otworzyć drzwiczki, usłyszał w oddali wycie syreny ambulansu.

David Loxton spojrział na przyniesioną mu wiadomość i na jego twarzy odmalowało się napięcie. Pozostali członkowie gabinetu ciągle jeszcze dyskutowali.

- Panowie!

Oczy wszystkich zgromadzonych zwróciły się ku niemu. Nadeszła jego godzina.

- Mam dla was straszną wiadomość - mówił wolno i rozważnie.

- Pół godziny temu, w drodze na pogrzeb Napoleona Zwane, nasz prezydent stracił panowanie nad samochodem - David wyraźnie rozkoszował się zwrotem „stracić panowanie”; gdyby on był u władzy, nigdy by tego panowania nie stracił. - Pierwsze doniesienia wskazują na udar mózgu.

Pokój wypełniły okrzyki przerażenia i konsternacji, których Loxton słuchał z ponurą satysfakcją. Teraz nadszedł moment, aby przejąć władzę i nigdy jej już nie oddać. Uderzył pięścią w stół.

- Musimy wybrać przywódcę na czas nieobecności van der Posta. Modłę się, aby wyzdrowiał, ale teraz, jeżeli szybko nie wybierzemy zastępcy, wywrotowe elementy naszego społeczeństwa będą usiłowały wycisnąć korzyści z faktu, że państwo utraciło sternika. - Miotał te słowa, uważnie przesuwając wzrokiem po wszystkich członkach rządu. Z przyjemnością zauważył, że Joubert był w stanie szoku.

Barend Viljoen, minister obrony, wysoki mężczyzna o imponującej posturze wstał hałaśliwie.

- Panowie, proponuję dokonać wyboru natychmiast. - Obrzucił uważnym spojrzeniem wszystkich zgromadzonych, po czym szybko zerknął na Davida, który skinął głową. - Sprawowanie władzy jest teraz sprawą najwyższej wagi - kontynuował Viljoen. - A czasy są niespokojne. Najpierw czarni ekstremiści zamordowali Napoleona Zwane, a teraz nasz nowy prezydent przyplącił udarem tę stresującą sytuację. Potrzebujemy silnego przywódcy, który przeprowadziłby nas przez ten trudny okres. Proponuję Davida Loxtona na stanowisko tymczasowego prezydenta.

Morze rąk uniosło się w górę; David Loxton powstał.

Viljoen policzył ręce, po czym zapytał:

- Kto jest przeciw?

Niespokojnie przeliczył uniesione ręce. Jedną z przyczyn tak błyskawicznej akcji była nadzieja, że pod wpływem szoku część ministrów wstrzyma się od głosu. I rzeczywiście, nie wszyscy głosowali. Dla Viljoena David Loxton był znakomitym kandydatem; gdyby objął władzę, nie przeszłyby żadne cięcia w budżecie ministerstwa obrony.

Twardą twarz Viljoena rozjaśnił uśmiech.

- Zdecydowaliście, panowie. David Loxton jest naszym tymczasowym prezydentem!

*

Po skończonym posiedzeniu Viljoen, poczekawszy aż wszyscy wyjdą, zamknął cichutko podwójne drzwi i podszedł do okna wpatrując się w światła Pretorii.

Był bardzo zadowolony. Loxton to znakomity wybór, a w kolejnej elekcji dostanie głosy zarówno Anglików, jak i Afrykanerów. Jednak Viljoen zdawał sobie sprawę, że w gabinecie zasiadało wielu takich, którzy byli gotowi popierać charyzmatycznego Jouberta.

Obserwował Davida schodzącego po schodach - wysoki, przystojny mężczyzna o czarnych, lekko przyprószonych siwizną włosach. Ile miał lat? Pięćdziesiąt siedem, osiem? Nie wyglądał na więcej niż czterdzieści pięć. Pociągła twarz, szare, zimne oczy pod krzaczastymi brwiami. Poruszał się dumnie sprężystym krokiem żołnierza, zawsze prezentował się elegancko jak na paradzie. Był wręcz obrzydliwie bogaty, a dwadzieścia lat temu poślubił piękną młodą Afrykanerkę. Jego oddanie sprawom państwowym nie podlegało dyskusji.

Inteligentny i bezlitosny, posiadał jednocześnie gładkie maniery dyplomaty.

Viljoen pomyślał o obcych rządach, które nałożyły sankcje na jego kraj, pomyślał też o Kobusie van der Poście, który wierzył, że nowa konstytucja da czarnym udział w rządach, a sankcje zostaną zniesione. Boże, co za dureń! Ale koniec z tymi głupstwami!

Wyciągając z kieszeni notes stwierdził, że przyszłość rysuje się nieco różowiej. Trzeba zadzwonić do generała Smita.

*

Przed Szpitalem Miejskim w Johannesburgu kłębił się tłum reporterów. Gwałtownie rzucili się do przodu, gdy doktor Len Oblowitz wyszedł przed główne wejście.

Towarzyszył mu wyraźnie zatroskany Max Loxton. Gdy uniósł ręce prosząc o ciszę, długonoga brunetka z wyrazem determinacji na twarzy strzeliła pierwszym pytaniem:

- Prezydent van der Post żyje, ale czy będzie zdolny do ponownego objęcia urzędu?

Max skrzywił się, a doktor Oblowitz gestem nakazał mu milczenie.

- Prezydent van der Post doznał udaru lewej półkuli mózgu. Będę musiał przeprowadzić więcej testów, jakkolwiek już teraz wyniki badań są bardzo przekonujące.

- Czy jego stan jest dobry?

- Jest wciąż nieprzytomny, ale jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo.

*

Kawalkada, niby średniowieczna procesja, zbliżała się stępą ku granitowym schodom wiodącym do olbrzymiego pomnika. Jeździec na przedzie, z rewolwerem u boku i mauzerem

przy siodle, trzymał wysoko nad głową rozwinięty sztandar. Był to młody chłopak, o jasnych włosach rozwiewanych przez łagodny wietrzyk unoszący się ponad różowo-liliowymi krzewami jacaranda.

Idący chodnikiem czarny mężczyzna, przestraszony uskoczył między krzaki. Młodzieniec zauważył go i wstrętny uśmiezek wykrzywił mu twarz.

- Uit my pad uit, Kaffir! Zjeżdżaj mi z drogi, kafrze! - wrzasnął.

Krzewy rosły rzadko i twarz mężczyzny była widoczna między gałęziami. Jeden z białych splunął; plwocina wolno spływała po twarzy Murzyna. Jeźdźcy wybuchnęli śmiechem, gdy czarny skulił się ze strachu.

Blondyn odwrócił się do jadącego za nim mężczyzny.

- Gdy obejmiemy władzę, nie pozwolimy im chodzić po ulicach Pretorii. Ani temu kaffirboetie Kobusowi van der Postowi. - Spojrzał w górę na sztandar i śmiałą, odwróconą swastykę, symbol Afrikaner Weerstandsbeweging.

Mocno opalony mężczyzna w stroju khaki zsiadł z konia i podszedł do zagranicznej ekipy telewizyjnej filmującej przemarsz.

- Kim jesteście? - spytał wyzywająco, szarpiąc palcami krótką czarno-srebrną brodę.

- CBS News, panie Klopper - odparła jasnowłosa reporterka.

Z obrzydzeniem popatrzył na jej wytarte dzinsy i podkoszulek.

- Skoro zamierzacie mnie sfilmować, chciałbym również powiedzieć kilka słów.

- Proszę bardzo.

- Założyłem Afrykanerski Ruch Oporu w 1973 roku. Od tego czasu siła partii wzrasta. Nasz rozwój i rosnące poparcie społeczne są bezpośrednim skutkiem prób zniesienia apartheidu, podejmowanych przez rząd Partii Narodowej. Wielu z nas, białych, widzi, co się dzieje - tracimy wszystko na rzecz czarnych. Chciałbym powiedzieć, że to jest nasz kraj. Czarni nigdy nie będą nami rządzić - to kwestia naszych podstawowych zasad i wiary. Stworzyliśmy dla nich specjalne bantustany, ale cała ta ziemia jest nasza.

Reporterka najwyraźniej chciała o coś zapytać, ale Klopper uniósł olbrzymią dłoń prosząc o ciszę. Odwrócił się w stronę majestatycznej, granitowej budowli wznoszącej się ku niebu. Pomnik Voortrekkerów. Jeździec niosący flagę zeskoczył z konia i sprężystym krokiem podszedł do stóp pomnika. Sztandar łopotał na wietrze. Pozostali mężczyźni również zsiadli z koni i stanęli na baczność, podczas gdy przywódca wchodził za chorążym po schodach. Stojąc na szczycie Klopper zwrócił się do swych zwolenników:

- Jesteśmy narodem bohaterów!

Mężczyźni unieśli w górę broń. Ciemne oczy Kloppera trzymały ich w pełnej lęku ciszy.

- My, którzy jesteśmy nieskalani w oczach Boga, nigdy nie zmieszamy naszej krwi, jedynie w bitwie! Niech Bóg będzie naszym przewodnikiem i sędzią. Nasi przodkowie długo przedzierali się do tej ziemi obiecanej, która jest nasza i którą władamy. Tak powiedział Pan. Zabrał życie Napoleona Zwane, uderzył karzącą dłonią Kobusa van der Posta. Lecz wciąż jest wielu ludzi o językach rozdwojonych jak język żmii. I powiadam wam - ci muszą zostać zniszczeni!

Cichy pomruk przybrał na sile, odbijając się echem od granitowych ścian.

- Zabić ich! Zabić!

Klopper wyjął rewolwer i wystrzelił w powietrze.

Natychmiast zapadła cisza.

- Ci którzy nie są z nami, są przeciwko nam. Jesteśmy stosem pacierzowym nowego narodu i nasz obowiązek jest jasny; musimy zjednoczyć się i wyeliminować zdrajców.

Mężczyźni wiwatowali unisono. Następnie grupa chłopców weszła do wnętrza monumentu, gdzie pod okiem Kloppera owinięto flagą grobowiec Voortrekkerów, miejsce spoczynku pierwszych Afrykanerów, którzy przedarli się tu, na północ od Kraju Przylądkowego.

Potem wszyscy zaczęli śpiewać. Klopper przyglądał się temu z błyskiem w oku. Przyszłość zapowiadała się tak wspaniale jak nigdy dotąd. Walka trwała, a on urodził się, aby ją poprowadzić i zabrać swych ludzi do ziemi obiecanej.

Wyszedł z grobowca na palące słońce. Młody chłopak w khaki podał mu cugle. Dosiadając konia Klopper rzucił okiem na widoczny w oddali budynek Unii.

Stamtąd wkrótce będzie władał Południową Afryką; będzie nią rządził zgodnie z nakazami Boga.

*

Gdy Max dostrzegł z góry jej dżipa, zatoczył nad nim krąg i zszedł do lądowania. W potwornym upale doskonale osadził awionetkę na ziemi i wyskoczył. Odetchnął cudownym zapachem gorącego powietrza, rozkoszując się spokojem tego miejsca. Poczł, jak ogarnia go podniecenie, gdy dżip podjeżdżał coraz bliżej przez mgiełkę upału. Serce zaczęło mu bić szybciej, gdy samochód się zatrzymał. Jak zwykle była ubrana na czarno. Podeszła do niego i przez chwilę, zanim ich usta zetknęły się, patrzyli sobie w oczy. Łączące ich uczucie było przerażająco intensywne. W końcu Saffron odsunęła się i odrzuciła w tył długie, ciemne

włosy. Poczł ostry ból, gdy patrzył na mocne rysy jej twarzy, hipnotyzujące, zielone oczy, gładką jasnobrązową skórę. To zestawienie siły i urody sprawiało, że nie mógł się jej oprzeć.

- Kochanie - powiedziała ochryple. - Tak dalej być nie może. Nie potrafię się na niczym skoncentrować.

Przyciągnął ją do siebie. Poczł, że zeszywniała.

Patrzyła mu spokojnie w oczy.

- Mam dla siebie cały dzień. Skończyłam film. Chcę, żebyś pokazał mi bagna.

Miał ochotę zedrzeć z niej ubranie, przycisnąć ją do siebie, słuchać, jak wzdycha i szepcze jego imię. Lecz wyczuwał też potrzebę głębszego, duchowego związku, czegoś ważniejszego niż tylko fizyczne pożądanie. Objął ją w talii i poprowadził do kabiny. Zachichotała, ale powiedziała poważnym tonem:

- Czuję to samo co ty, Max. Ale chciałabym obejrzeć te miejsca, o których zawsze opowiadasz. Chcę, żebyś mi je pokazał.

Teraz już wiedział ze stuprocentową pewnością, że umarłby, gdyby miał ją utracić.

Wspiał się na fotel pilota i po chwili dwusilnikowy samolot wystartował. Kiedy wzbili się w powietrze, z podekscytowania doznał lekkiego zawrotu głowy - w oddali wabiła ich zieleń Okavango...

I już w chwilę później Saffron patrzyła, jak cień samolotu przesuwa się pod nimi, gdy przelatowali nad bagnami. Plamy wody przeplatały się z wyspami intensywnej zieleni. Każda wysepka była nie tkniętym przez człowieka małym rajem, gdzie kipiało życie.

Max przekrzykiwał ryk silników:

- Delta Okavango to jedyne w swoim rodzaju zjawisko naturalne. W czasie miesięcy zimowych woda spływała z wyżyn Angoli tworząc te bagienne równiny i oryginalny system ekologiczny - deltę Okavango - szesnaście tysięcy kilometrów kwadratowych powierzchni.

Saffron uśmiechnęła się.

- Jesteś zakochany w tym miejscu.

Spojrzał na nią znad konsoli.

- Jestem. I właśnie dlatego tak mnie ono obchodzi. Mam bardzo mało czasu. Jeżeli rząd Botswany nie podejmie szybko zdecydowanych kroków, to miejsce skazane jest na zagładę. Pokazywałem im, jak można uchronić deltę i otaczający ją rezerwat, i jeszcze mieć z tego pieniądze, ale oni nie chcą słuchać.

- Cóż, oznaczałoby to jednak mniej pieniędzy dla skarbu państwa... - Saffron urwała. - Czy sądzisz, że próbowano cię zabić z powodu tego projektu?

Max umilkł. Usiłował wyrzucić ten wypadek z pamięci, ale on ciągle tkwił gdzieś w podświadomości.

Bardzo mu to przeszkadzało.

- Wszystko co musieli zrobić, to tylko powiedzieć mi „nie” - stwierdził.

- A Salomon Khoza?

- Nie wiem. Po prostu nie wiem.

Przyjrzała mu się uważnie. Nawet w chwilach śmiertelnego zagrożenia wciąż miał w sobie odporność sugerującą, że mógłby żyć wiecznie. Zauważyła, że w kącikach jego oczu nagle pojawiły się zmarszczki; pochylił się i pocałował ją.

Podczas pocałunku Max poczuł napływającą falę żalu - dlaczego nie spotkali się wcześniej? Czego by nie dał, aby zamienić te nieszczęśliwe lata samotności na czas spędzony z kimś ukochanym, z kimś rozumiejącym, z kimś komu mógłby powierzyć swoje marzenia.

W oddali dostrzegł wyspę i serce zabiło mu szybciej.

Ta najważniejsza rzecz, jaką odziedziczył po Tracey, leżała przed nim - perła, cudowne miejsce. Ale jeszcze nie powie o tym Saffron. Zachowa sekret dla siebie, a zabierze ją tam dopiero wtedy, gdy będzie pewny, że Saffron na zawsze należy do niego.

Obok nich przelatywały ptaki; ich klucz rozsypał się przed samolotem. Promienie słońca tańczyły na skrzydłach awionetki. Zawrócił kierując się na południe.

Potrzebował tego lotu, aby umocnić w sobie pragnienie zwycięstwa. Miał nowy plan, nowy pomysł jak ocalić ten wodny raj, będący częścią jego duszy.

*

Wieczorem wylądowali i rozbili obóz. Gdy słońce zniknęło za horyzontem, biały materiał namiotu drżał od lekkiego wiatru, a wielkie kłoc drewna pękały w ogniu napełniając powietrze ostrym zapachem. Saffron przyglądała się, jak Max kuca przy ognisku i podsyca płomienie. Miał na sobie tylko szorty khaki i widziała na jego szyi i plecach węzły mięśni - całe ciało bez grama tłuszczu. Wstał. Długie, szczupłe nogi harmonizowały z muskularnym torsem.

Saffron rozpięła kombinezon i podeszła do niego.

Objęła go za szyję. Odwrócił się i oczy mu zabłysły na widok jej nagości. Przesunęła ustami po jego wargach i oplotła nogami jego biodra. Wolno opadli na ziemię.

Zsunęła mu szorty i westchnęła.

- Chodź. Teraz.

Ale nie spełnił tego żądania. Pieścił całe jej ciało, przesuując delikatnie palcami po jej skórze, aż Saffron jęczała z rozkoszy. Dopiero kiedy nie mogła już dłużej wytrzymać, zanurzył się w niej. Z ust Saffron wydarł się głośny krzyk namiętności, ulgi i ekstazy.

Potem leżeli obok siebie na piasku, bezsilni po tej cudownej chwili, a trzaski ognia sławiły ich miłość.

Położyła mu głowę na piersi i wtuliła się w jego ramiona. Bez niej, myślał Max, będę tylko półczłowiekiem. Nic nie przygotowało go na tak szaloną fizyczną i uczuciową tęsknotę za Saffron; już teraz pragnął wrócić do momentu stopienia i przeżyć go raz jeszcze, i jeszcze...

Dotknęła jego twarzy.

- Chcę być częścią ciebie, ale ukrywasz pewne rzeczy przede mną. Przelatywałeś nad tą wyspą... Wiem, że znaczy coś dla ciebie, ale nie powiedziałaś mi...

- Boję się. - Max szeptał tak cicho, że ledwie go usłyszała. - Nikogo nigdy tak bardzo nie pragnąłem jak ciebie. Nie mogę bez ciebie żyć. Potrzebuję długiego życia, aby cię kochać. Opowiem ci o wyspie, ale pozwól mi poczekać, aż będę czuł, że to właściwa chwila.

Po kolacji leżeli nadzy pod gwiazdami. Marzyli, aby ta noc nigdy się nie skończyła. Byli częścią wieczności.

*

George Zwane pracował gorączkowo w swoim biurze.

Przygotowania były niemal skończone, ale, oczywiście, wszystko co planował przez całe tygodnie, musi wyglądać tak, jakby zdarzyło się zupełnie przypadkowo. Nie mógł nikomu zdradzić swoich planów, nawet Brendzie, ukochanej Brendzie. Jego partner dalej poprowadzi praktykę i będzie w stanie zapewnić Brendzie nawet więcej pieniędzy, niż potrzebowała. Brenda była pomysłowa i miała silny charakter, przetrwa bez względu na to, jak trudna będzie sytuacja.

George podniósł się z biurka i podszedł do fotografii ojca wiszącej na ścianie. Potem wpatrywał się w swoje dyplomy, a na koniec w zdjęcie ze wspólnego treningu bokserskiego z Maxem, kiedy byli o wiele młodszy. Teraz przy życiu będzie go mogła utrzymać jedynie siła fizyczna i wytrzymałość, a nie zdolności krasomówcze.

Wrócił do biurka, złapał słuchawkę i wykręcił numer komisariatu policyjnego na placu Johna Vorstera. Wiedział, że od chwili gdy David Loxton parę dni temu przejął władzę, zaostrozono przepisy bezpieczeństwa - dano wolną rękę wojsku i policji. Wziął kubek i przystawił go do kącika ust, aby zmienić głos, uczynić go głębszym i dźwięczniejszym.

- Chcę poinformować o potajnym spotkaniu, które może was zainteresować. - Symulował strach - strach kapusia.

Głos po drugiej stronie słuchawki zachęcił go do kontynuowania. Opowiedział więc o spotkaniu planowanym w Alexandrze za dwa dni. Kiedy głos dopytywał się, kto tam będzie, udał wahanie, aż usłyszał zapewnienie o absolutnej dyskrecji.

- George Zwane i Seth Naidoo - powiedział szybko George. - Zwane to awanturnik, planuje zorganizować jakieś zamieszki w Alexandrze. - Odkładając słuchawkę, cały był zlany potem.

Uświadomił sobie, że plan bardzo łatwo może obrócić się przeciwko niemu, ale tak starannie zaplanował wszystkie swoje ruchy na najbliższe dwa dni, że policja nie powinna aresztować go przed spotkaniem w Alexandrze. Przyjdą tam, co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości - teraz była to już tylko kwestia oczekiwania.

Rozmyślał o lokacjach otaczających Johannesburg, gdzie czarni mieszkańcy żyli bez kanalizacji, światła i wody. Tacy ludzie nie mieli nic do stracenia, a Towarzysze przenikali w ich środowisko jak wirusy, zaszczepiając nienawiść, popierając podziały i polowania na zwolenników i informatorów rządu. Sądy ludowe ferowały wyroki ulicy - najłagodniejszym wyrokiem było kilka razy biczem, najwyższą karą - śmierć przez ukamienowanie lub spalenie.

Tak wyglądało piekło, do którego zamierzał zstąpić George Zwane.

*

Dolph Klopper skręcił z gładkiej piaszczystej drogi na szlak wiodący w kierunku Rustenbergu i ku zboczom gór. Słońce wisiało nisko na niebie. Późnym popołudniem krzewy nabierały malowniczych odcieni - zielone wiechcie w czerwonym piasku - glebie żyznej i uprawianej.

Na widok farmy wróciły wspomnienia dzieciństwa - inicjacji, jak lubił je nazywać. Nie dla niego był berek, zabawa w chowanego, czy inne bez troskie dziecinne igraszki - zamiast tego, ubrany na czarno ojciec udzielał mu nauk z wielkiej, oprawnej w skórę Biblii, która zawsze leżała otwarta na drewnianym stole w jadalni.

- Urodziłeś się, aby przewodzić swemu ludowi. - Nawet teraz słyszał echo tych słów; stanowiły trwałe składniki jego podświadomości.

Każdej niedzieli ojciec pokazywał mu portrety; Tant Cillires, Boetie, Klein Jacob, Erasmus i wielu innych - wszyscy byli członkami jego rodziny, zmarłymi w obozach tych parszywych Angoli podczas wojny burskiej.

Wcześniej odesłano go do szkoły z internatem - Hoer Volksskool w Potchefstroom, gdzie również ukończył uniwersytet, jedyny uniwersytet w Południowej Afryce, który miał rasistowską klauzulę od razu wpisaną w statut: żadnych czarnych, Żydów, Hindusów, Chińczyków - tylko biali chrześcijanie. Jego nadludzka siła uczyniła go żywą legendą kampusu. Każdego dnia ćwiczył podnoszenie ciężarów, doprowadzając ciało do doskonałości. Został mistrzem Południowej Afryki w podnoszeniu ciężarów, przysporzył chwały i splendoru uczelni i narodowi reprezentując RPA w Europie i Ameryce.

Z dumą służył ojczyźnie w wojsku. Zgłosił się na ochotnika na dodatkowy rok; pracował wtedy w ochronie prezydenta. Potem wstąpił do policji, gdzie doszedł do stopnia majora. W końcu zwrócił się ku polityce, a kariera polityczna stała się głównym celem jego życia.

Zatrzymał samochód pod olbrzymią akacją i wysiadł.

Kochał zapach buszu - zapach Afryki. Przyglądził khaki - mundur swojej partii - i jednym rzutem czarnych jak smoła oczu zlustrował całą posiadłość. Niewiele rzeczy uszło jego uwagi. Ta farma była wszystkim, co pozostało po majątku Klopperów, gorzkim wspomnieniem posiadanych uprzednio bogactw.

Nawet tutaj nie zawadziło być ostrożnym. Wiele osób chętnie widziałyby go na marach. Bali się jego siły i popularności. Zwrócił gładką, mocno opaloną twarz ku słońcu, jego rysy nabrały dzieciennego niemal wyrazu. Miał grzywę granatowoczarnych włosów i krótką czarno-srebrną brodę. W swoich zwolennikach wzbudzał zarówno strach jak i szacunek, w kobietach często wyzwał atawistyczną namiętność - pożądanie wzbudzone przez emanującą z niego siłę.

Podszedł do starego domu ostrożnie, lekkim, bezgłośnym krokiem, niczym drapieżnik skradający się ku ofierze. Ściany domu były pokryte białą sztukaterią, na dachu tkwiła poszarzała ze starości strzecha. Zatrzaśnięte okiennice sprawiały, że dom wyglądał na opuszczony, ale Dolph Klopper wiedział, że tak nie jest.

Minąwszy kamienne lwy śpiące po obu stronach masywnych drzwi, wszedł do środka w ciemność. Sięgnął po lampę parafinową, która zawsze stała przy drzwiach, i zapalił zapalną. Uderzył go zapach wilgoci, a gdy poszedł dalej, klepki podłogi zaskrzypiały pod jego ciężarem. Znał drogę. Nic tu nie zmieniono od czasów jego dzieciństwa. Jadalnia była po lewej stronie i tam powinien znaleźć ojca.

- Ojciec?

- Chodź tutaj, synu.

W pokoju dominował olbrzymi gobelin przedstawiający sceny Wielkiego Treku, Przysięgi i ofiary wojny burskiej. W półmroku Dolph z trudem dostrzegł postać ojca, ubranego na czarno, siedzącego u szczytu stołu. Jego kościste, starcze dłonie spoczywały na ciemnym drewnie. Dolph usiadł obok ojca i uściśnął mu rękę.

- Dobrze się czujesz, ojcze?

- Bóg otacza opieką wybranych.

Wiara ojca wzbudzała lęk. Starzec nigdy, ani razu nie obwiniął Pana o swą ślepotę. Był niemal z niej dumny i twierdził, że jest to znak, którym Bóg powołał jego i syna do wielkości.

- Jak spotkanie? Czy złożyliście flagę na grobowcu naszych przodków?

- Tak, ojcze.

- Tak samo jak te trzydzieści srebrników, co?

Dolph szarpnął lekko brodę i uśmiechnął się. Miesiąc wcześniej złożył na stopniach parlamentu dziecięcą trumnę i trzydzieści srebrników. Ten gest miał przypomnieć narodowi, że rząd okazał się bandą mięczaków i sprzedawczyków, którzy zdradzili swoje państwo ulegając żądaniom Europejczyków i Amerykanów. Miała to być demonstracja przeciwko rządowi, którego polityka wiodła wszystkich białych obywateli prosto do śmierci z rąk czarnych hord.

- Tak, ojcze. Prasa wyśmiała to, ale zobaczymy, kto się będzie śmiał ostatni.

- Postąpiłeś słusznie.

- Każdego dnia coraz więcej owiec przychodzi do mej owczarni. Tylko ja mogę dać im schronienie.

Dolph recytował katechizm swojej partii. Nauczył się znakomicie zawierać swoje poglądy polityczne w krótkich, prostych zdaniach, które wielokrotnie powtarzane wywierały hipnotyczny wpływ na słuchaczy.

- Kościół cię popiera?

- Jak zawsze.

Mieli na myśli Herenigde Gereformeerde Kerk, bastion wiary Afrykanerów, centrum życia większości wiejskich społeczności. Fundamentalne dogmaty tego kościoła uczyły, że czarni byli gorsi od białych, na podstawie stwierdzenia z Biblii: „Potomstwo Chama jest zrodzone aby służyć”. - Dolph znał te słowa na pamięć.

Starzec uśmiechnął się i uniośł głowę, jakby chciał przyjrzeć się pokojowi ślepyimi oczami. Niczego tu nie ruszano od czasu, kiedy oślepl; wszystko stało tam, gdzie sobie wyobrażał.

- Musisz powstrzymać czarny potop, synu. Podłe rasy zalewają już cały świat.

Dolph nachylił się ku ojcu.

- Plaga AIDS to znak, ojczu. Zniszczy połowę czarnuchów w tym kraju, może nawet więcej.

- Czas nadszedł. Musisz ująć władzę w swoje ręce.

- Tak długo jak ja żyję, ojczu, nie będzie ani pół czarnej gęby w rządzie. Nasze komanda już wkroczyły do akcji, żeby wyeliminować awanturników.

- Dobrze, bardzo dobrze. Jak się ma Marie?

Uśmiech dumy wypłynął na twarz Dolpha na myśl o Marie. Była piętnaście lat od niego młodsza. Jej jasna karnacja cudownie kontrastowała z jego śniadością, a blond włosy i jasne, niebieskie oczy symbolizowały czystość rasy, tak potrzebnej teraz państwu.

Twarcz ojca stwardniała.

- Musisz mieć syna. I musisz go wychować w duchu tradycji, tak jak ja ciebie. Zanim zaczniesz chodzić, musi nauczyć się jeździć konno i władać sjambokiem, nauczyć się jak trzymać czarnych tam, gdzie ich miejsce. - Zaciśnął prawą dłoń w kułak i mocno uderzył w stół.

Przez dłuższy czas siedzieli w milczeniu. Słysząc było tylko głośnie tykanie starego zegara nad kominkiem. W końcu przemówił Dolph:

- Mam poparcie armii i policji, ojczu. Jestem gotów ustanowić Blankę Volkstaat, państwo białych ludzi. Czarni i Hindusi będą żyli w wydzielonych bantustanach - a władza będzie nasza. - Oparł się wygodnie, wyobrażając sobie tę sytuację i rozkoszując się wizją.

- Lecz musisz ostrożnie stawiać kroki, synu. Dokoła pełno zdrajców.

Dolph skinął głową.

- Jak Kobus van der Post, który, niestety, wraca do zdrowia. Obawiam się, że mamy teraz w rządzie tylu białych kafrofilów, że może nawet uda mu się wprowadzić czarnych do parlamentu. Van der Post jest źródłem wszystkich problemów. Pozyskuje sobie poparcie bezwolnych elementów narodu. Przez najbliższy czas będę więc popierał Davida Loxtona.

Dłoń ojca mocno zaciśnęła się na jego ramieniu, a ślepe oczy zapłonęły blaskiem.

- Jeżeli van der Post to problem, musisz go usunąć, i to szybko. Bóg nam wybaczy, gdyż nasza sprawa jest słuszna.

- Nie, ojczu. Nie nadszedł jeszcze właściwy czas.

Starzec opadł z powrotem w głąb fotela z wysokim oparciem, lecz jego dłoń wciąż zaciskała się na brzegu stołu.

- Nie wolno ci być człowiekiem małej wiary, synu. Nigdy nie zapominaj - my nie możemy przegrać. Zawarliśmy pakt z Bogiem i On nas nie zawiedzie. Musisz tylko być silny, a za tobą pójdą inni. Powiedz mi, czy nasza młodzież wciąż jest kształcona i wychowywana właściwie?

- Rząd jest coraz słabszy. Krążą pogłoski o dopuszczeniu czarnych do szkół dla białych! - Dolph aż się wzdygnął.

- Trzeba położyć temu kres!

- Tak się stanie, ojcze. - Dolph rozejrzał się wokół. - Czy jest coś, co mógłbym dla ciebie zrobić? Czy potrzebujesz czegoś?

- Synu, pragnę jedynie, abys objął władzę w naszym wspaniałym kraju.

*

Marie ze złożonymi rękoma i zamkniętymi oczami klęczała przy olbrzymim łożu.

- Daj mi syna, Panie, proszę, tak chciałabym go uszczęśliwić. Daj mi syna.

Wróciła pamięcią do ich gwałtownego romansu. Spotkała Dolpha na jakimś przyjęciu dwa lata temu; osiemnastolatka towarzysząca rodzicom. Było to dla niej wielkie przeżycie. Przepelniała ją duma na widok ojca, tak przystojnego w ciemnym garniturze, ojca, którego najwyraźniej wszyscy darzyli wielkim szacunkiem.

Gdy Dolph spojrział na nią po raz pierwszy, zaczerwieniła się jak piwonია. Wiedziała, kim był i bała się jego potęgi. Wyczuwała piękno jego ciała pod jasnoblękitnym garniturem. Te wszystkie zdjęcia, które dotąd widziała, nie oddawały całej męskiej urody Dolpha; na przykład wyrazu oczu, osadzonych w mocno opalonej twarzy. Był mężczyzną, którego mogłaby pokochać.

Stałaby się jego powiernicą, dodawałaby mu sił, pomagała pisać przemówienia i towarzyszyła w karierze.

Kobiety poszeptywały, że w łóżku zachowywał się jak wulkan. Nawet teraz, dwa lata po ślubie, jego zapach i dotyk wciąż przyprawiały ją o dreszcze.

Pamiętała wszystko, co powiedział tamtego wieczora, lecz przede wszystkim zapadł jej w serce fakt, że spojrział na nią i uśmiechnął się do niej.

Zobaczyła go znowu, gdy przyszedł do nich przedyskutować jakieś sprawy z ojcem. Dolph potrzebował finansowego wsparcia, a jej ojciec, Tertius van der Vance, bogaty hodowca bydła, chciał mu tego poparcia udzielić. Przez kolejne tygodnie Dolph był częstym gościem w domu Tertiusa, a Marie zauważyła, że zawsze znalazł chwilę, aby z nią porozmawiać. Czasem nawet dotknął jej ręki, co rodziło w jej duszy dziwne myśli. Półświadomie pragnęła odepchnąć je od siebie, ale one wciąż powracały, nawet w kościele.

Wkrótce mogła myśleć tylko o Klopperze. Przeżywała dziecięce sny, w których ratował ją z rąk Anglików. Wyobrażała sobie, że go obejmuje, gdy odjeżdżają razem w dal na białym rumaku. Pewnej nocy śniła, że ją rozbierał; jej ciało ogarnęła gorączka i dziwne uczucie przyjemności.

Musiała go zdobyć.

Którejś niedzieli Dolph poszedł razem z nimi do kościoła. Potem ojciec poprosił ją, aby pokazała Dolphowi farmę. Nie wierzyła w swoje szczęście - oprowadzała go tak długo, jak tylko mogła. W końcu zeszli nad szeroko płynącą rzekę, gdzie bawiła się w dzieciństwie.

To stało się nagle, bez ostrzeżenia. Odwróciła się ku niemu i ich oczy spotkały się. W chwilę później zaczęli się całować. Przenikały ją fale rozkoszy, nigdy nie wyobrażała sobie, że może być aż tak szczęśliwa. Zatonęła w ramionach Dolpha. Czuła jego siłę, zapach jego ubrań. Jego męskość podniecała ją tak bardzo, że stała się zupełnie bezbronna.

Nagle odsunął ją od siebie. Zadrżała ze strachu, że zrobiła coś niewłaściwego i uraziła go. Ciemne oczy Dolpha obserwowały ją uważnie.

- Muszę porozmawiać z twoim ojcem.

- Ale dlaczego, Dolphie?

- Nie obawiaj się - chcę cię poślubić. Muszę go poprosić o zgodę.

- Och, Dolphie!

Zaczęli się znowu całować; mocniej i namiętniej.

Rozpięła mu spodnie. Jego usta ślizgały się po jej obnażonych piersiach. Płomień namiętności był tak silny, że mógł pochłonąć ich oboje. Nie była dziewicą; choć udawała przed Dolphem, że nią jest - lecz przy nim czuła się, jakby nigdy wcześniej nie spała z żadnym mężczyzną. Jego ciało było smagłą tajemnicą. Wbiła palce w twarde mięśnie jego ramion, gdy powoli brał ją. Dla Marie była to niezrównana rozkosz. Wszystko co z nią robił, tryskało świeżością, było zupełnie nowym doznaniem. Dla tego mężczyzny, który sprawił, że czuła się jak w niebie, zrobiłaby wszystko.

Późno wrócili do domu. Poła wyglądały jak nigdy przedtem, ich barwy i kształty pełne były nowego uroku. Świat uległ transformacji. Była zakochana.

Dopiero później zaczęła zadawać sobie pewne pytania, chociaż nigdy nie wypowiedziała ich głośno. Dlaczego, na przykład, Dolph nie zapytał jej, czy ma ochotę za niego wyjść. Wyglądało, jakby nie miała w tej sprawie nic do powiedzenia. Oczywiście, pragnęła poślubić Dolpha Kloppera bardziej niż jakiegokolwiek mężczyznę na świecie - ale po prostu chciałyby mieć okazję do powiedzenia „tak” lub „nie”.

Wypadki potoczyły się błyskawicznie. Ukończyła szkołę średnią z tak dobrymi ocenami, że zaproponowano jej specjalne stypendium na uniwersytecie, ale wmówiła sobie, że podejmie studia po ślubie. Dolph i ojciec zdecydowali, że ślub odbędzie się jesienią, w kwietniu. Ceremonię miał poprowadzić wielebny Cilliers z HGK. Wesele zaplanowano na farmie. Czowała podniecenie na samą myśl o kupowaniu sukni ślubnej.

W Pretorii wybrały razem z matką cudowną, białą, brokatową suknię z wysoką kryzą i długim, powłóczystym trenem. Suknia podkreślała wszystkie wspaniałości jej figury. Marie była dumna, że małżonek zobaczy ją w tym stroju.

Dolph przyjechał na farmę w następną niedzielę, aby pójść z nimi do kościoła i zjeść tradycyjny, niedzielny lunch. Potem poszli do sadu na spacer. W porywie namiętności dosłownie zdarła z niego ubranie. Po chwili leżeli nadzy na trawie pod olbrzymim dębem. Przez dłuższy czas Dolph milczał, a Marie czuła, że coś go gryzie.

- Dolphie, coś nie tak? - Może był już nią zmęczony?

- Twoja suknia ślubna...

Chciała mu zrobić niespodziankę.

- Mama ci ją pokazała! - W jej głosie słychać było rozczarowanie.

Dolph przyciągnął ją do siebie.

- Kochanie, nie rozumiesz, prawda? Muszę być przykładem dla moich ludzi.

- Tak? - Nie rozumiała zupełnie, co ślubna suknia miała wspólnego z jego misją dziejową.

- Masz piękne, aryjskie ciało, a ta suknia jest... nieprzyzwoita! Musisz mieć na sobie coś skromnego, coś co przystoi żonie przywódcy wolnego od cielesnych, przyziemnych spraw.

Chłód w jego głosie był przerażający.

- Ależ Dolphie - to przecież mój ślub!

Jego oczy rozbłysły gniewem i po raz pierwszy wzbudził w niej prawdziwy strach.

- Nie będę z tobą dyskutował - oznajmił zimno. - Twój ojciec i ja wybraliśmy suknię, którą założysz. Musisz pojechać do Pretorii w poniedziałek, aby krawcowa mogła ją dopasować.

Wstała. Miała ochotę uderzyć go w twarz. Ale wtedy pomyślała, jak wyglądać będzie jej życie bez tego smagłego ciała. Położyła się więc z powrotem i uśmiechnęła. Wziął ją w ramiona i pocałował namiętnie. Nie pamiętała o sukni - aż do chwili obecnej.

Teraz, klęcząc przed łóżkiem, Marie znowu modliła się, aby mogła dać Dolphowi Klopperowi syna. Ginekolog, który ją badał, orzekł, że nie widzi żadnego powodu, dla

którego nie mogłaby mieć dzieci. Zasugerował, iż Dolph powinien poddać się testom. Kiedy wspomniała o tym mężowi, wybuchnął gniewem. Kazał jej przeczytać odpowiednie ustępy w Biblii i przypomnieć sobie, jaka jest jej rola w rodzinie. Aż zamarła ze złości wysłuchując tych wrzasków; jasno dał do zrozumienia, że uważa ją za swoją własność. Tak mocno ją to uraziło, że nie była w stanie wykrztusić słowa. Zdawała sobie sprawę z istnienia drugiego oblicza jej ukochanego Dolpha. Potrafił się zachowywać jak rozjuszony byk, miażdżący bez względu na konsekwencje wszystko, co stało na drodze do celu. A ponadto nie cierpiała jego ślepego ojca. Kiedy pierwszy raz odwiedzili go na farmie, stary zapragnął jej dotknąć, a Dolph śmiał się, gdy drżące starcze ręce obmacywały jej ciało. Czowała się, jak maciora badana pod względem przydatności rozplodowej. Stary nie przyszedł na ich ślub.

Całe nagromadzone rozżalenie wybuchnęło w momencie, gdy Dolph odmówił poddania się testom.

- Więc przestań winić mnie - wykrzyknęła - za to, że nie mamy dziecka!

W końcu poszedł do lekarza i podejrzenia ginekologa potwierdziły się - Dolph miał bardzo niski procent zawartości plemników w spermie. Miała ochotę go wyśmiać - tę jego arogancję i rasowe uprzedzenia.

Prawie wszyscy czarni mężczyźni, których tak poniżał, potrafili splodzić tyle dzieci, ile im się podobało.

Zemścił się na niej w najbardziej okrutny sposób.

Zmuszał ją do stosunków, kiedy nie miała na to ochoty i brał ją tak brutalnie, że tylko on miał z tego przyjemność. Kiedyś lubiła patrzeć mu w twarz i dzielić jego rozkosz. Teraz Dolph nalegał na stosunki od tyłu. I nigdy nie trwało to dłużej niż parę minut. Potem zostawiał ją, wracał do własnego łóżka i zasypiał kamiennym snem. Chciała, żeby ją przytulał i pieścił tak jak dawniej.

Poddała się sztucznemu zapłodnieniu plemnikami Dolpha, lecz nadal nie było śladu ciąży. Marzyła, że Dolph znowu ją pokocha, gdy urodzi mu dziecko. Może wszystko się wtedy zmieni, a ona znowu będzie mogła go darzyć szacunkiem.

- Panie, daj mi syna.

Kiedy skończyła modlitwę, wstała i otarła łzy. Zeszła na dół do kuchni, gdzie gotowano obiad. Anna, jej służąca, mieszała zupę. Anna, raptem rok starsza od Marie, była po raz czwarty w ciąży. Marie, kiedy wprowadziła się tutaj, często rozmawiała z nią jak z przyjaciółką, ale Dolph zrobił jej awanturę - nie wolno rozmawiać z kaframi jak z białymi ludźmi. Teraz Marie przychodziła do Anny tylko wtedy, gdy Dolpha nie było w domu. Anna bardzo kochała swojego męża, Josepha. Czasami zaglądał tu do niej; wysoki, dumny

mężczyzna, ciężko pracujący w kopalni. Żartował z Anną i często ją obejmował. Marie czuła zazdrość o ich intymność i rozżalenie z powodu własnego, smutnego małżeństwa.

Pomodli się w niedzielę w kościele. Bóg jest miłosierny. Z pewnością nagrodzi ją dzieckiem, którego Dolph tak bardzo pragnie.

*

Wzrok Maxa błędził po morzu drewniano-blaszanych bud, których dachy połyskiwały w słońcu. Saffron szła parę kroków przed nim. Miała ze sobą podręczną kamerę video; uniosła ją do oczu i zaczęła filmować okolicę. Jest coś erotycznego - pomyślał Max - w kobiecie używającej tak precyzyjnego, elektronicznego sprzętu. Cieszył się, że była tu, aby mu pomóc. Razem przygotowywali film dla Kobusa van der Posta, mający dokumentować dotychczasowe osiągnięcia rządu.

Choć po powrocie z Botswany Max dowiedział się o wyzdrowieniu Kobusa, nadal nie przestawał się martwić. Zdrowie prezydenta było poważnie nadszarpnięte, a każdy dzień spędzony w parlamencie kosztował go wiele wysiłku. Miał mnóstwo celów do osiągnięcia i musiał się bardzo spieszyć, żeby David Loxton znowu nie przechwycił władzy. Przede wszystkim nie mógł dopuścić do zatwierdzenia nowej ustawy o bezpieczeństwie publicznym. Przez te ostatnie tygodnie ciągłego użerania się w parlamencie z Loxtonem, van der Post wyraźnie się postarzał.

David Loxton uważał, że jeżeli ustawa przejdzie, pozwoli to policji zatamować rosnącą falę przemocy.

Kobus zaś zdawał sobie sprawę, że nowa ustawa ponownie zmieni kraj w państwo policyjne i uczyni Loxtona niezwyciężonym.

Saffron wycelowała kamerę w Maxa, który rozpoczął wygłaszanie swego komentarza.

- Ludzie żyjący w takich oto warunkach stanowią dwadzieścia procent naszego społeczeństwa i nie zamierzają emigrować. - Przykucnął i spojrzał w oko kamery. - Łatwo jest krytykować tych ludzi - oni nie mogą walczyć, bo ich na to nie stać. Mogą zostać wysiedleni stąd siłą w każdej chwili, a ich tymczasowe baraki zrównane z ziemią przez spychacze.

Max podniósł się; kamera śledziła wszystkie jego ruchy. Odwrócił się w kierunku pustych terenów.

- Lecz gdzie mają się osiedlić? Dokąd mają pójść, jeżeli zostaną stąd wyrzuceni? Przeniosą się dalej i założą kolejne koczowisko. Czy jest to problem bez wyjścia? Nie! Istnieje rozwiązanie, a przemysłowcy i rząd mogą je szybko wprowadzić w życie. Przedstawię dowody, że jest to rozwiązanie skuteczne.

Saffron opuściła kamerę. Oboje wsiedli do land-rovera i podskakując na wertepach piaszczystej drogi, skierowali się ku innej lokacji. Wygłosivszy swe przemówienie przed kamerą, Max zamilkł.

- Coś nie w porządku? - spytała Saffron.

- Nienawidzę takich miejsc.

- Daj spokój - nie możesz ciągle brać winy na własne barki. To zaczęło się dawno, zanim przyszedłeś na świat. A poza tym - znalazłeś przecież wyjście...

Nigdy nie dokończyła tego zdania. Gdy wjechali na grzbiet wzniesienia, powitały ich kłęby dymu unoszące się nad leżącą w dole dzielnicą. Słupy ognia strzelały w górę z malutkich domków. Wszędzie widać było miotających się ludzi.

Max dodał gazu i skierował się ku pożarowi. Dostrzegł jakiegoś mężczyznę polewającego ściany domu naftą z metalowej beczki. Z obu stron stali na straży mężczyźni z automatami w rękach. Saffron, z trudem opanowując krzyk, chłodno uniosła do oka kamerę.

Max wyskoczył z wozu. Jeden ze strażników otworzył do niego ogień. Max biegł zygzakiem, padał na ziemię, czołgał się, próbując uniknąć kul. Saffron rzuciła kamerę. Szarpnęła skrytkę z tyłu wozu i wyciągnęła sztucer. Szyba rozprysnęła się, trafiona gradem pocisków.

Max runął do przodu, a kula musnęła mu czubek głowy. Chciał dopaść faceta z beczką, lecz cofnął się na widok wycelowanego automatu. Dostrzegł zły błysk w oczach Strzelca. Nie, nie teraz! Na miłość boską, nie teraz!

Nagle człowiek z karabinem zachwiał się i runął na plecy. Broń wypadła mu z ręki. Zaledwie Saffron opuściła dymiący sztucer, Max popędził naprzód, częstując podpalacza potężnym lewym sierpowym. Mężczyzna zachwiał się i uciekł gdzieś w dym i ogień. Drugi facet z automatem też zniknął.

W obawie przed dalszą strzelaniną, Saffron, ciągle nie wypuszczając z rąk broni, wyskoczyła z land-rovera i podbiegła do Maxa.

- Co się tu dzieje, do ciężkiej cholery? Max!

Obejrzał uważnie ciało zastrzelonego człowieka. Podniósł wzrok. Grymas wściekłości wykrzywił mu twarz.

- Te skurwiele podpaliły nowe osiedle. To miejsce mieliśmy sfilmować. Ludziom ofiarowano prawo własności ziemi, na której się osiedlili, udostępniono im tanie materiały budowlane - mogli pobudować sobie lepsze domy. Jest tu świeża woda, porządny system kanalizacji... - Zapatrzył się w dymiące zgliszcza, a w jego oczach błysnęła zimna nienawiść.

- Jezu Chryste! - szepnął. - Dlaczego?

Saffron opuściła broń. Wpatrywała się w ruiny.

- Kto to zrobił?

- Nie mam pojęcia. Fala gwałtu narasta. Rodzi się anarchia, a wszelki ład, na przykład to nowe osiedle, jest dla niej zagrożeniem. Ci, którzy popierają anarchię i przemoc, pragną rewolucji. Jeżeli ludzie, którzy tu mieszkają, zobaczą, że szanse na lepsze życie legły w gruzach, na pewno się zbuntują.

- Lecz kim są podżegacze?

- Gdybym wiedział, zabiłbym skurwieli własnymi rękami.

Zapatrzyli się w dym i płomień - w otchłań, z której nie było powrotu.

4

Pustynia przypominała powierzchnię obcej planety.

Poranne słońce wzmocniało głęboki odcień czerwieni i oranżu piasków oraz błękitu nieba. Powietrze było chłodne i świeże. W oddali stała samotna postać; czarna i nieruchoma dominowała w niegościnnym, pustynnym krajobrazie. Zamierający podmuch lekko szarpał fałdy jej odzienia, które falowało na wietrze.

Nagle ciszę przerwało gwałtowne, ogłuszająco donośne staccato strzałów. Postać upadła na ziemię, rozpadając się na drobne kawałki. Hałas ucichł. Wszystko co pozostało to strzępy materiału i trociny rozrzucone po czerwonym piasku. David Loxton podszedł bliżej i z aprobatą przyjrzał się rezultatom strzelaniny.

Wielki drab w czarnym kombinezonie ciągle trzymał dymiący karabin. Splunął kącikiem warg. Za jego plecami stał elegancki mężczyzna w białym laboratoryjnym kitlu i okularach w drucianej oprawie; białe włosy zaczesane do tyłu odsłaniały wysokie czoło. Mężczyzna podszedł do poszarpanych resztek w tym samym momencie co David Loxton.

- Doktorze Preusser - rzekł Loxton - jestem pełen podziwu.

Preusser zignorował komplement i pochylił się nad rozstrzelanym manekinem.

- Doskonałoszcz, ja?

- Tak, absolutnie doskonałe. - David Loxton żywił wielki podziw dla tego niemieckiego inżyniera: zawsze stawał na wysokości zadania. - Ilustrzałowcy? - Lubił trzymać swoich ludzi cały czas w gotowości.

- Dżeszec lub dwadżeszczca. Ale masz pan wybór, ogień ciągły albo pojedyncze szczały. Jeden szczał wystarczy, żeby żabicz normalnego człowieka. Albo Schwarze.

Preusser był zawodowcem, jednym z najlepszych na świecie konstruktorów broni. Pracował na stałe w Terminalu, firmie zbrojeniowej Davida Loxtona. David miał wiele powodów do zadowolenia. Produkcja broni stanowiła najlepszą maszynkę do robienia pieniędzy, lepszą nawet niż narkotyki; olbrzymie możliwości produkcyjne i szeroki zbyt zapewniały pomnożenie olbrzymiej fortuny.

Doktor Preusser skinął na faceta z bronią.

- Carl! Ja. Chocz no tu. - Carl przyczłapał do nich.

Wiatr rozwiewał rzadkie, jasne włosy na jego szkaradnej, byczej głowie. - Powiedżalem czy wyraźnie, że szczały majom bycz zgrupowane, ja? Po co tak masakrowacz manekin? Ty durniu!

Carl stał uśmiechając się głupekowato, a doktor wyrwał mu broń z ręki.

- Gdże reszta nabożów? - warknął.

Carl podał mu dwa pełne pudełka.

- Idż już - rozkazał doktor. - A na przyszłoszcz słuchaj, co do czebie mówiem, ja?

Carl odszedł, a Loxton patrzył, jak doktor ładował pocisk do podstawy karabinu - skomplikowanej tuby, z której wystawały trzy rączki. Doktor pokręcił tylną rączką jak wentylem przy rowerze i przesunął selektor. Nagle, bez ostrzeżenia, obrócił się, wycelował i strzelił prosto w plecy oddalającego się Carla. Loxtonowi aż zadżwięczało w uszach, gdy kula przeleciała obok niego. Carl padł na twarz i leżał cicho w piasku.

Jednak po chwili wielkolud zerwał się i podbiegł do Preussera, ale stanął jak wryty na widok wycelowanej weń lufy karabinu. Doktor palcem o wypiełgnowanych paznokciach delikatnie dotknął spustu.

- Ja, ty durniu. Następnym razem zabijem. Słuchaj, co do czebie mówiem, a naucżysz sze szczelacz tak celnie jak ja.

David Loxton wolno wciągnął powietrze. Kula doktora ominęła Carla o ułamek centymetra, po kombinezonie wielkoluda spływała krew w miejscu, gdzie drasnęła go kula. Preusser nie blefował - gdyby Carl zrobił choć krok do przodu, już by nie żył.

- W porzodku, Carl, posprzotaj ten bałagan. - Carl odwrócił się i zaczął zbierać szczątki manekina. - Czemu zatrudniam takich durniów, codżennie zadajem sobie to pytanie.

David i Preusser szli wolno w kierunku samochodów. David był zadowolony z najnowszej broni.

- Czy nie ma niebezpieczeństwa, że naruszyliśmy jakiś patent, doktorze Preusser? - zapytał.

- Herr Loxton, już o tym rozmawialiśmy, ja?

Wziółem za punkt wyjścia Arwen, angielskom broń używanom przy tłumieniu zamieszek - teoretycznie znakomita broń w konstrukcji, ale, jak zwykle ze wszystkim co angielskie, zupełnie niegodna zaufania, ja?

David skinął głową, a doktor, zadowolony z tego potwierdzenia brytyjskiej nieudolności, kontynuował:

- Nasza nowa broń, Aardwolf, zdecydowanie przewyższa wszystkie inne typy broni produkowane obecnie na świecie. Ma czterokrotnie większą pojemność niż angielskie, będzie lepiej wykonana i godniejsza zaufania.

Na myśl o milionach, które będzie mógł zarobić na sprzedaży nowej broni, David uśmiechnął się.

- Jak szybko można zacząć produkcję?

- Za pół roku, może wcześniej. Oczywiście, rozumie pan, ona ma wiele zastosowań. Można z niej szczelacz wszystkim; plastikowymi pociskami czy nabojami gazowymi w czasie tłumienia zamieszek. Oczywiście dla celów wojennych można ją naładować amunicją zdolną przebić zbroję czy pociskami z materiałami wybuchowymi. Ta broń ma bardzo zróżnicowane użycie.

- A nazwa „Aardwolf”, doktorze?

- Tak jak likaon, jest mała i drobna, ale szczeka morderczo!

Wciąż się śmiejąc, David wszedł do wozu. Należało mu się dzisiaj trochę radości, myślał jadąc do domu, bo w porannej „Business Day” zdecydowanie nie było dla niego nic wesołego. Już przeżył rozczarowanie z powodu wyzdrowienia van der Posta i błyskawicznego przejścia urzędu - ale najnowszy ruch prezydenta był zabójczy. „Kobus van der Post zaproszony do USA na spotkanie z prezydentem” - głosił nagłówek.

David przeczytał artykuł z ponurą miną. To posunięcie sprawi, że wszyscy niezdecydowani członkowie gabinetu poprą raczej van der Posta niż Loxtona.

Przejechawszy eleganckimi ulicami Waterkloof, najbardziej ekskluzywnej willowej dzielnicy Pretorii, David skręcił w długi, kręty podjazd prowadzący do jego domu - obszernej, otoczonej parkiem, białej willi w stylu georgiańskim. Nieskazitelny trawnik, wysokie kolumny i spiralne schody sprawiały wrażenie, jakby dom trafił tu prosto z „Przeminęło z wiatrem”, jak zauważył jeden ze znajomych. Właściwie David wolałby mieszkać na stałe w Cape Town, ale parlament przebywał tam tylko sześć miesięcy; pozostałe pół roku posłowie

spędzali w Pretorii - administracyjnej stolicy państwa. To przenoszenie parlamentu było czkawką po czasach, kiedy Kraj Przylądkowy był równie ważny jak Transwal. Te dni od dawna już należały do przeszłości.

To Transwal ze swoimi kopalniami i rozwiniętym przemysłem stanowił obecnie centrum produkcyjne państwa.

Gdy samochód się zatrzymał, służący otworzył drzwiczki i David szybko podszedł żwirową ścieżką do podwójnych czarnych drzwi wejściowych. W progu oczekiwała go Betty, czarna ochmistrzyni Loxtonów.

- Dzień dobry, panie Loxton. Madame czeka na pana.

Uśmiechnął się do niej chłodno i szybko przeszedł przez hall do pokoju śniadaniowego, gdzie Hanli przeglądała gazety. Pocałował ją czule w policzek.

Hanli, o dwadzieścia lat od niego młodsza, nawet w wieku lat trzydziestu dziewięciu była wyjątkową piękną; wciąż smukła, o cerze bez skazy. Niemal każdego tygodnia była wiodącym tematem czasopism kobiecych. Doskonała „lokata kapitału”. W głębi ducha David marzył, żeby ciągle miała siedemnaście lat, jak wtedy gdy się poznali, lecz mimo to musiał przyznać, że nadal wyglądała cudownie. Jej długie, ciemne włosy spływały kusząco na ramiona, a orzechowe oczy patrzyły zmysłowo spod długich, czarnych rzęs. Stojąc obok, wyobrażał ją sobie w jednej z tych balowych sukni z fantastycznym dekoltem - uwielbiała je nosić na różnych bankietach państwowych. Żony innych ministrów darzyły ją bezinteresowną zawiścią, bo wyglądała tak młodo jak ich własne córki i przyciągała rozkochane spojrzenia wszystkich mężczyzn. A najbardziej irytował te kobiety fakt, że Hanli była jedną z nich, Afrykanerką z urodzenia i wykształcenia, córką Jana de Villiersa, byłego premiera.

To dopiero poślubienie Hanli sprawiło, że zostało zaakceptowane afrykanerstwo Davida, który z urodzenia był Zambijczykiem i przez pewien czas pełnił funkcję ministra w rządzie Rodezji. Jako syn legendarnego łowcy, Liama Loxtona, odziedziczył niewiele: przede wszystkim pragnienie posiadania dużego konta w banku i poglądy typu „na prawo ode mnie jest już tylko ściana”. Wykształcenie z Eton i Oxfordu nie miało żadnego wpływu na jego światopogląd; przeciwnie, potwierdziło tylko przekonanie o rozkładzie dekadentckiego Zachodu i wzbudziło tęsknotę do złotej ery imperializmu, kiedy siła była prawem. W kodeksie Davida Loxtona istniały tylko dwa rodzaje ludzi: ci, którzy gnoją, i ci, którzy są gnojeni.

Za grosze odziedziczone po dziadku David kupił małą farmę tytoniową. Wszyscy przepowiadali mu bankructwo już pierwszego roku, ale on przeciwnie - zarobił tyle, że kupił maszynę produkującą papierosy. I znowu, kiedy opowiadał o perspektywach sprzedaży

nowego gatunku papierosów, wszyscy twierdzili, że zwariował. Lecz pięć lat później był już multimilionerem, a ludzie mówili o nim cichym głosem, pełnym czci i szacunku. Jego bezwzględność stała się legendarna, podobnie jak zdolność podejmowania zawsze właściwych decyzji.

Wtedy to spotkał szaloną artystkę Tracey Butler i zakochał się w niej. Ich romans przypominał huragan.

Wzięli ślub nad Wodospadem Wiktorii, tuż przy Diabelskiej Katarakcie. Na przyjęciu, które odbywało się w hotelu „Wodospad Wiktorii”, zjawili się ponad tysiąc osób z całego świata.

David pomyślał o Tracey, o jej dziecinnej buzi i lwim sercu. Ale nie lubił myśleć o niej zbyt długo, gdyż wracały wtedy różne inne wspomnienia, wspomnienia, o których pragnął zapomnieć na zawsze. Miał z nią trójkę dzieci: Maxa, Victorię i... No, no nie myślmymy teraz o tym.

- I jak nowa broń, ojczu?

Odwrócił się, zupełnie wybitny z toku myślenia. To Rory, najmłodszy syn jego i Hanli. Chłopak dopiero co dorósł - ciekawski młody człowiek, mierzący nieco ponad pięć stóp wzrostu, piegowaty rudzielec o kręconych włosach i niesamowicie brązowych oczach.

- Lepiej niż oczekiwałem, mój chłopcze - odparł David. - Doktor Preusser jest wart tyle złota, ile waży. To cudowna broń.

- Kiedy będzie można zacząć produkcję? - dopytywał się Rory niecierpliwie.

Właśnie jemu zostawię cały majątek - ta myśl przyszła Davidowi do głowy nie po raz pierwszy; po jego śmierci jedynie Rory będzie w stanie uczynić firmy Loxtona jeszcze potężniejszymi. Mimo że był bardzo młody, znał się na rzeczy i miał smykałkę do interesów - zawsze poszukiwał nowych szans i okazji. Chociaż - myślał David - Rory tak się od niego różni.

Spojrzał na luźną, pomiętą koszulę syna, niemodny, szeroki krawat, źle leżące spodnie i niezgrabne buty.

Z pewnością Rory nie był postacią z żurnala.

- Zaczniemy za pół roku - powiedział. - Perspektywy eksportu są rewelacyjne. Mam też zapewnione zamówienia zarówno armii, jak i policji.

Rory uśmiechnął się, dumny z sukcesu ojca. Usiadł przy stole i zaczął łapczywie wcinać jajka na szynce.

Hanli rzuciła mu złe spojrzenie.

- Jak ty się zachowujesz? Jesz jak Świnia.

- Spieszę się - wymamrotał Rory przełykając duży kęs.

Hanli wstała od stołu. Mocno zacisnęła usta.

- Nie zamierzam siedzieć przy stole razem z tobą, chłopcze. Od jutra proszę jeść ze służącymi - do czasu aż nabierzesz lepszych manier.

Gdy Hanli wybiegła z pokoju, Rory niewzruszenie obżerał się dalej. Kiedy zniknęła, spojrzał na ojca.

David powiedział ostro:

- Musisz okazywać matce więcej szacunku.

- Kończę w tym roku dwadzieścia lat! Mam już pierwszy dyplom! Nie muszę wysłuchiwać jej gderania!

- Jak długo mieszkasz w tym domu, jesteś zobowiązany do przestrzegania pewnych zasad. Jeżeli ci się nie podoba, to zabieraj się stąd!

Rory zamilkł. Zrozumiał, że przegrał. Chciał odnosić sukcesy w interesach, najpierw do spółki z ojcem, a potem założyć coś własnego - jeżeli musi być uprzejmy dla matki, aby zadowolić ojca, to będzie. Ale w końcu odegra się na niej. Rory nienawidził pięknych kobiet, bo żadna na niego nigdy nawet nie spojrzała. Uważał, że ich zachowanie jest pełne fałszu, że dbają tylko o pozory i wygląd zewnętrzny. Wiedział, że ojciec miał na boku kilkanaście młodych dziewczyn i podejrzewał, że Hanli też o tym wiedziała, ale jak długo styl jej życia nie był zagrożony, trzymała język za zębami. Jak można szanować ten rodzaj postępowania? Rory, podobnie jak ojciec, czcił siłę i nie cierpiał słabości.

*

Hanli idąc korytarzem zastanawiała się, dlaczego tak bardzo nie lubi Rory'ego, od czasu gdy przestał być dzieckiem. Nigdy nie powiedział jej nawet jednego komplementu, nie okazał śladu miłości. Wiedziała, że dla Rory'ego kobiety to istoty niższego rzędu, jak służba.

W hallu wpadła prosto w ramiona Dirka. Najstarszy syn pocałował ją gorąco. Poczula delikatny zapach wykwintnego płynu po goleniu, którego zawsze używał.

- Mama! - Odsunął się o krok, aby się jej przyjrzeć. - Cudowna jak zwykle! Jak ty to robisz, że zawsze wyglądasz tak pięknie? - Wtedy dostrzegł wyraz jej twarzy. - Stało się coś?

- Nie, nic, Dirk. Nic.

- Żadne nic. Założę się, że to ten gnojek, mój młodszy braciszek. - Położył jej rękę na ramieniu i spojrzał prosto w oczy. - Mam rację?

Skinęła głową. Ciemne włosy opadły jej na twarz.

Dirk pomyślał, że gdyby nie była jego matką, to zapewne przespałby się z nią nie raz.

- Pogadam z nim. Nie umie się zachować. Przynosi tylko wstyd rodzinie.

- Ojciec go poważa. - Hanli wiedziała, że to rozjuszy tylko Dirka, który spuści Rory'emu porządne lanie. Lubiła mężczyzn reagujących właściwie na jej pragnienia. Jak Dirk.

- Tylko dlatego, że ten mały śmierzdel umie przeanalizować bilans księgowy w sześć sekund.

Hanli zerknęła na przystojną twarz Dirka. Prezentował się nawet lepiej niż ojciec. Miał długie, proste, ciemne włosy, delikatnie zarysowany podbródek, arystokratyczny, grecki nos i tajemnicze, ciemne oczy - oczy, które zdawały się docierać do głębin kobiecej duszy, aby poznać jej wszystkie sekretne pragnienia.

Dzisiaj był ubrany w jasnoblękitną koszulę, ozdobioną wąskim skórzanym krawatem, i ciemnogrnatowy, włoski garnitur. Dirk prezentował się olśniewająco.

Miał dopiero dwadzieścia dwa lata, ale wyglądał o wiele dojrzalej. To naprawdę mój syn, pomyślała Hanli, a Rory to tylko jakiś wybryk natury. Wyczuwała prężne ciało Dirka, mocne mięśnie brzucha i potężny, męski organ poniżej. Dirk był producentem filmowym i właścicielem wytwórni finansowanej przez ojca. Zatrudnił najlepszego reżysera w kraju i razem wyprodukowali już jeden kasowy film. Kobiety lgnęły do Dirka, jakby był jedynym mężczyzną na całym świecie.

Ujął twarz matki w dłonie i pocałował.

- Nie przejmuj się. Pogadam z Rorym.

Kiedy Dirk wszedł do pokoju, Davida Loxtona już nie było, zaś Rory hałaśliwie siorbał kawę. Dirk podszedł prosto do niego, wytrącił mu filiżankę z ręki i mocno złapał brata za ucho. W mgnieniu oka Rory poderwał się, ale Dirk podciął mu nogi i leżącemu przydepnął butem prawą rękę.

- Miażdżysz mi palce, do cholery!

- Jeszcze raz zdenerwujesz matkę, gnojku, a wszystkie ci połamię.

- Odpierdol się!

Dirk mocniej przycisnął dłoń Rory'ego do podłogi, aż brat zaskomlał o litość. Wtedy puścił go; Rory, krzywiąc się z bólu, wstał. Z oczu ciekły mu łzy.

- Zapamiętaj sobie dobrze, masz być dla niej miły, bo inaczej prześpię się z Amandą.

Amanda była pierwszą i jedyną dziewczyną Rory'ego. Chodzili razem już dziewięć miesięcy, a Dirk wiedział, że dotąd nie spali ze sobą. Wiedział także, że Amanda szalała za nim, a nie za Rorym.

Rory wyskoczył z pokoju, a Dirk trzęsąc się ze śmiechu zasiadł przy stole.

Terminal na lotnisku zapchany był reporterami. Kobus van der Post i Victoria Loxton przepychali się razem ku limuzynie, która na nich czekała. Senator Dan Hill jak zawsze dotrzymał słowa. Wszystko przygotowano, aby mogli się wydostać z lotniska tak szybko, jak to tylko było możliwe. Przyglądano się uważnie Kobusowi i jego świcie, nawet gorylom, którzy grzecznie podreptali do czekającego na nich autobusu. Szofer uchylił przed Kobusem i Victorią drzwi kulo odpornej limuzyny. Oboje z ulgą zapadli w miękkie siedzenia.

Jadąc ulicami Waszyngtonu mieli trochę czasu, aby przemyśleć to, co ich oczekiwało.

- Muszę strasznie uważać na każde słowo, Victorio.

Kobus zerknął na swoją towarzyszkę, kobietę, o której tyle słyszał, a której nigdy zbyt dobrze nie poznał.

Była siostrą Maxa; niekiedy dokładnie taka sama jak on, czasami zupełnie inna - chłodna i opanowana tam, gdzie Max reagował gwałtownie i wybuchowo. Victoria poświęciła się jednej sprawie - dążeniu do sprawiedliwości. Z jej encyklopedyczną znajomością prawa i reputacją jednego z czołowych adwokatów - bojowników o prawa obywatelskie, była idealnym wsparciem w tej ekscytującej podróży.

- Nie masz się czego obawiać - stwierdziła. - Amerykanom podoba się to, co mówisz i popierają cię. Ale musisz działać szybko i mieć oczy z tyłu głowy.

Kobus skrzywił się.

- Loxton wykorzysta każdą minutę mojej nieobecności, aby wygryźć mnie ze stanowiska. Z pewnością uzyska poparcie - jest Anglikiem i dżentelmenem. Potrafi być bardzo przekonujący.

- Pomyśl tylko, co by się stało, gdybyś przegrał - powiedziała Victoria. - Ludzie tacy jak Napoleon Zwane w dalszym ciągu siedzieliby w więzieniach, musiałabym wyemigrować, Max pewnie też, a nasz kraj stałby się znowu państwem policyjnym.

Kobus uśmiechnął się blado.

- Jak ty to robisz, Victorio, że zawsze trafiasz w sedno?

- Bo dobrze znam i rozumiem ludzi.

Patrzył na nią chyba trochę za długo. Blond włosy, zaczesane do tyłu, uwydatniały delikatnie rzeźbione rysy twarzy, wysokie kości policzkowe, błyszczące niebieskie oczy, pełne, namiętne usta i niemal doskonały nos. Zastanawiał się, jaka kobieta kryje się pod tą maską opanowania. No, ale i tak nie będzie miał teraz czasu, aby odkryć w niej prawdziwą kobietę - pomyślał spoglądając na ruchliwe ulice Waszyngtonu. Będzie walczył o przyszłość swego kraju.

Dwa dni później Kobus van der Post siedział przed słynnym Pokojem Ovalnym w Białym Domu. Czuł się, jakby uzyskanie okazji do rozmowy z prezydentem Stanów Zjednoczonych, chyba najpotężniejszym człowiekiem na świecie, zajęło mu całe życie.

Nowo wybrany prezydent nosił jedno z najślynniejszych nazwisk w polityce amerykańskiej. Mógł zostać znakomitym piłkarzem, ale bardziej pociągała go polityka. W senacie przezywano go „Buldożerem”, gdyż walczył do krwi ostatniej, aby osiągnąć cel. Miał reputację despoty, ale grającego absolutnie fair. Jego współpracownicy wierzyli w niego jak w Boga.

Siedząc w eleganckim, obrotowym fotelu Kobus wpatrywał się w biały sufit. Prezydent nie miał najlepszego zdania o Południowej Afryce, a czarni senatorzy utwierdzali go w przekonaniu, że należy kontynuować bojkot i sankcje, które wyrządzały niepowetowane szkody interesom RPA, zwłaszcza górnictwu, stanowiącemu podstawę ekonomiki państwowej i płaćcemu siedemdziesiąt procent wszystkich podatków ściąganych przez państwo. Kobus oczekiwał po tym spotkaniu aprobaty i poparcia nowych inicjatyw. Zrobiono wiele, aby przygotować korzystny grunt - udzielił wywiadów wszystkim ważniejszym sieciom telewizyjnym, a dzięki wpływom Johna i Saffron Packardów opinia publiczna była mu przychylna.

Sekretarz gestem poprosił go o wejście do gabinetu prezydenta. Wstając, Kobus zaczął się zastanawiać, czy ten ponuro wyglądający facet w grubych okularach kiedykolwiek kładzie się spać - dwadzieścia cztery godziny na dobę odbierał telefony, przeglądał korespondencję. Spojrzenie, które rzucił Kobusowi, otwierając przed nim drzwi gabinetu, było pełne udręczenia.

- Prezydent czeka, sir. Proszę pamiętać - ma pan tylko godzinę.

*

David Loxton, siedzący na sofie w sypialni, ponownie wbił wzrok w nagłówek i poczuł przeszywający ból głowy. Tym razem Kobus van der Post wykonał mistrzowski ruch. Hanli rzuciła okiem na zdjęcie Kobusa zamieszczone na pierwszej stronie gazety.

- Przystojny mężczyzna.

- To skurwysyn! Robi wszystko, parszywy gnój, żeby zablokować wprowadzenie mojej ustawy o bezpieczeństwie i wysiudać mnie ze stanowiska!

Hanli nigdy nawet nie przyszło do głowy, że mąż mógłby odejść z rządu.

- Ależ kochanie, nikt przy zdrowych zmysłach nie odrzuciłby twojego projektu.

- I tu się mylisz. Opinie posłów są podzielone, a van der Post oskarża mnie, że próbuję zmienić konstytucję, a zagarnąć jak najwięcej władzy dla siebie.

- Bo rzeczywiście próbujesz, kochanie.

Położył się i przymknął oczy. W głębi duszy powtarzał sobie swoje ulubione motto: „Jeżeli mam wygrać, ktoś inny musi przegrać”. Zastanawiał się, czy nie nadszedł już czas, aby wydać majorowi Hurstowi kilka nowych rozkazów. Takie podejście do sprawy nie przejdzie van der Postowi przez głowę.

*

Rozjarzone słońce i koszmarny upał - równie dobrze mogłaby to być RPA - pomyślał Max - gdyby nie kolumny olbrzymich limuzyn i wielkie nazwy wytwórni filmowych. Jeżeli było jakieś miejsce na świecie, którego nie chciał w życiu oglądać z bliska, to właśnie Hollywood.

Budynek, którego szukał, pojawił się zupełnie zniecka - The Packard Picture Company, Wytwórnia Filmowa Packarda. Saffron mówiła, że wytwórnia męża jest duża, ale był to eufemizm. Max przystanął przed bramą, a mężczyzna w nieskazitelnym mundurze i ciemnych okularach podszedł do samochodu i zajrzał przez okno.

- Doktor Loxton?

- Tak - odparł Max. Ciekawość jednak wzięła górę. - Proszę powiedzieć, skąd pan zna moje nazwisko?

- Widzi pan, dostałem pańską fotografię. Bardzo przestrzegamy tu zasad bezpieczeństwa. Nawet najmniejszy przeciek o nowym filmie może sprawić, że konkurencja uzyska nad nami przewagę.

Max skierował się do podziemnego garażu pełnego egzotycznych wozów. Zauważył czarnego porsche z podnoszonym dachem, zaparkowanego przy tabliczce z nazwiskiem Saffron Packard. Saffron opuściła RPA na krótko przed nim, ale umówili się na spotkanie właśnie tu, w Hollywood. Nie lubił się do tego przyznawać, nawet sam przed sobą, że czuł się tu niepewnie. Jej świat całkowicie różnił się od jego świata.

Wjechał windą na dziesiąte piętro. Winda była cała ze szkła, a melodyjny głos z głośnika opowiadał skróconą historię The Packard Picture Company.

„The Packard Picture Company to obecnie największa wytwórnia filmowa na świecie. Założona w 1971 roku przez Johna Packarda, wyprodukowała całą serię kasowych hitów.

Takie filmy jak «The Fighter», «Viet Vet» czy «Lost World» stały się ponadczasowymi szlagierami. Dzisiaj, dzięki inwestycjom i wykupieniu innych studiów, PPC stała się także wytwórnią telewizyjną, dominującą w świecie...”

Max wysiadł na dziesiątym piętrze, rzucił okiem na zapierającą dech w piersiach panoramę Hollywoodu i na platynową blondynkę - sekretarkę. Pasek materiału na jej biodrach miał imitować minispódniczkę.

- Doktorze Loxton, pani Packard bardzo przeprasza, ale narada potrwa trochę dłużej, niż planowała. Kawy? - Długie rzęsy zatrzepotały. Ciekawe, urodziła się w Hollywood, czy też została tu wyprodukowana?

- Z przyjemnością. Czarną, bez cukru.

Leniwie podszedł do olbrzymiego okna i popatrzył w dół, na budynki studyjne. Właśnie zastanawiał się, czy Saffron zawdzięcza karierę swoim własnym talentom czy wpływom męża, gdy dobiegł go głos zza ściany.

Rozpoznał ten głos.

- Gównu mnie to obchodzi, Henry! - usłyszał. - Datę emisji ustalono na przyszły miesiąc. - Stłumiona odpowiedź i znowu: - Albo uporasz się na czas, albo zabieraj się stąd!

- Pańska kawa, doktorze Loxton.

Max odwrócił się. Sekretarka podała mu kawę.

Uśmiechnął się porozumiewawczo i kiwnął głową w kierunku biura Saffron.

- Problemy?

- Pani Packard właśnie udziela swoim kierownikom produkcji lekkiego napomnienia. - Jej oczy mówiły, że chętnie poznałaby Maxa trochę bliżej. - Pani Packard nie wierzy w istnienie czegoś takiego jak problemy. To kobieta czynu.

Drzwi biura Saffron otworzyły się i wyszło czterech facetów w garniturach - najwyższy z nich był czerwony po uszy i spływał potem.

- Mówiłem ci, że nie pójdzie tak łatwo - wymamrotał jeden z nich. Zniknęli w windzie, a Max zagapił się na Saffron.

- Max, przepraszam!

Po jej promiennym uśmiechu nie znać było nawet śladu furii podsłuchanej przed chwilą.

- Belindo, proszę, aby nikt nam nie przeszkadzał - rzuciła sekretarce. Wprowadziła go do gabinetu i zatrzasnęła drzwi.

Ich usta zetknęły się. Całowali się długo i namiętnie.

W końcu odsunęła się i usiadła obok siebie na długiej, białej, skórzanej kanapie.

Biuro robiło wrażenie. Wysoki sufit ze sprasowanej stali, olbrzymie okno wychodzące na studia, a na białych ścianach sporo oryginałów francuskich impresjonistów i dwie duże

rzeźby afrykańskie. Ta skromność była bardzo efektowna - Max podziwiał znakomity gust Saffron.

- Podoba się? Spędzam tu całe godziny, kiedy muszę przemyśleć filmy, które planuję nakręcić. Te kutasy próbowały mnie wykiwać. Nic z tego - w tym interesie trzeba dotrzymywać terminów.

Zmysłowe okągłości jej ciała zarysowały się wyraźnie pod cienkim materiałem czarnego kombinezonu.

Odrzuciła do tyłu włosy i przytuliła się do niego.

- Tak bardzo tęskniłam za tobą. Tak chciałam cię objąć, mieć cię przy sobie. To było nie do zniesienia. Ale gdyby John się o nas dowiedział, skutki byłyby katastrofalne - to dzięki kontaktom Johna Kobus ma tak dobrą prasę w Ameryce od początku swojej wizyty.

- Ale to nie zmienia nic między nami?

Podeszła do olbrzymiego okna, odwróciła się i spojrzała na niego.

- Pewnie, że nie. Ale tłumaczę ci, dlaczego jeszcze z nim nie rozmawiałam. Gdyby John wcześniej dowiedział się o naszym związku, popełniłby każdą podłość, aby zniszczyć amerykańską misję Kobusa.

Max zerknął na nią z respektem. Dostrzegł, że na jej pięknej twarzy pojawił się ból.

- Co teraz? - spytał.

Podeszła do kanapy, usiadła mu na kolanach i ujęła jego twarz w dłonie.

- Niebezpieczeństwo minęło. Cokolwiek by się stało, John nie może już przeszkodzić Kobusowi w negocjacjach z prezydentem. Tylko że...

- Tak?

- Tyle tylko, że on nie pozwoli mi odejść. Użyje całej swojej potęgi, aby się zemścić.

Na moment zapadła cisza. Saffron pocałowała go i uśmiechnęła się.

- Kocham cię, Max. Pragnę być z tobą. Chcę pojechać do Afryki i tam kręcić filmy. Johna teraz nie ma - prowadzi w Europie rozmowy; chce wykupić udziały w jednej z europejskich sieci telewizyjnych. Powiem mu, że odchodzę, kiedy wróci z Londynu.

*

Popołudnie spędzili w łóżku, a potem pojechali nad morze. Dzień był cudowny. Zjedli znakomitą kolację w malutkiej nadmorskiej restauracji, którą Saffron odkryła parę lat temu. Teraz pili kawę i wsłuchiwali się w cichy szum fal rozbijających się o brzeg. Mieszanka chardonnay i morskich specjałów przyprawiła Maxa o senność. Saffron siedziała obok i opierała mu głowę na ramieniu.

Nagle, z zaplecza restauracji dobiegły ich odgłosy szamotaniny. Max ujrzał, jak jakiś wielki facet wypycha właściciela restauracji za drzwi. Dwóch innych mężczyzn stanęło pośrodku sali, a jednym z nich był John Packard.

- Chodź no tu, Saffron! - ryknął.

Max zerwał się. Ujrzał gniew na twarzy Saffron.

Odwróciła się, aby nie patrzeć na męża.

- Odczep się ode mnie! - krzyknęła.

Wielki facet ruszył naprzód. Max fachowo ocenił obu przeciwników. Żadnych problemów. Nie dał jednak tego po sobie poznać. Wpatrywał się w Johna Packarda: w nieskazitelny, dwurzędowy garniturze, z szarymi włosami gładko zaczesanymi do tyłu sprawiał wrażenie człowieka świadomego swej siły.

- Saffron, idź do samochodu. Sam się tym zajmę - szepnął Max.

Zignorowała go i zwróciła się do męża:

- John, nie jestem twoją własnością. Opuszczam cię.

Packard zaśmiał się.

- Nic z tego.

- Kiedyś mi się podobałeś, dopóki nie ogarnęła cię obsesja władzy i pieniędzy. Nie kochasz mnie! Poza tym wiem wszystko o Yvonne.

Packard lekko drgnął.

- A któż to?

- Daj spokój, John. Ta panienka, którą rznąłeś przez ostatnie szesnaście miesięcy.

Max nigdy nie widział jej tak wścieklej i tak pięknej w gniewie.

- Byłam w stosunku do ciebie lojalna - oznajmiła. - Nawet kiedy przestałam cię kochać. Nic ci nie jestem winna.

Odwróciła się do Maxa.

- Wyjdźmy stąd. Nie podoba mi się towarzystwo.

Packard skinął na swoich drabów i kiedy Saffron przechodziła obok niego, jeden z facetów złapał ją wpół i uderzył w żołądek. Upadła bezwładnie na podłogę.

Packard zachichotał.

- Nieźle, nieźle - zwrócił się do swoich ludzi. - Wynieście ją na zewnątrz.

I wtedy Max skoczył do przodu; mięśnie szyi napięły mu się w gniewie jak grube liny. Widział niewzruszoną pewnością siebie w oczach Packarda, gdy jego ludzie ruszyli w stronę Maxa.

Pierwszy z drabów rzucił się prosto na niego, ale prawy prosty Maxa poderwał faceta w górę i cisnął na podłogę. Drugi napastnik chwycił krzesło i zaczął wywijać nim w powietrzu. Nie próbując nawet uchylić się, Max skoczył do przodu; drewno rozbiło się na jego głowie, ale zdążył poczęstować drania trzema celnymi uderzeniami w korpus. Następnie zadał mu całą serię ciosów w twarz, aż facet znieruchomiał na podłodze.

Nadeszła kolej na Packarda.

- Dotknij mnie tylko! - ryknął Packard. - Przez całą resztę życia będziesz tego żałował!

Max spojrzął na Saffron leżącą na podłodze i skierował pięść prosto w twarz Packarda. Miał wszystko gdzieś.

Saffron krzyknęła:

- Max! Przestań, na miłość boską!

Spojrzął Packardowi w oczy. Opanował się. Ujął Saffron za rękę i wyprowadził z restauracji.

*

W Genewie było zimno. Pośrodku sadzawki Max dostrzegł tylko jedną fontannę strzelającą wąską, lodowatą strużką w błękitne niebo. W oddali, na horyzoncie, widać było przelatujący klucz ptaków. Max rozpiął górny guzik płaszcza, odwrócił się i przez błoto i śnieg poszedł w stronę nowoczesnego biurowca, który był siedzibą Proust Bank. W rękę trzymał wielką aktówkę.

Drogo zapłacił za satysfakcję obicia Johna Packarda.

Bynajmniej tego nie żałował, a gdyby tylko znalazł okazję, uczyniłby to po raz drugi - ale Packard odplacił mu szybko. Na szczęście, jak przewidziała Saffron, nie był w stanie zniszczyć tego, co Kobus do tej pory osiągnął. Jego pierwszym posunięciem następnego dnia było wydanie żonie zakazu wstępu na teren wytwórni.

Z kolei gdy Max poszukiwał finansowego poparcia dla swojego botswańskiego projektu, zamykały się przed nim wszystkie drzwi. Początkowo nie rozumiał, dlaczego. Dopiero Saffron wytłumaczyła mu, że wystarczyło jedno słowo Packarda, aby zniechęcić każdy bank.

Ale tu, w Genewie, Max wiedział, że był poza zasięgiem Packarda. Przeszedł przez ulicę i powitał czekającą na niego Saffron. Dopiero drugi raz w życiu widział ją w sukni - po raz pierwszy wtedy, w kasynie - wyglądała świetnie, zwłaszcza w tym diamentowym naszyjniku.

Pocałował ją delikatnie.

- Wyglądasz tak słodko, że można cię zjeść - wyszeptał.

- Miejmy nadzieję, że zrobię wrażenie na bankierach.

Proustowie byli jedną z najstarszych rodzin bankierskich świata i pozostawali w dobrych stosunkach z rodziną van der Postów. Proust finansował, między innymi, modernizację winnic Kobusa. Dzięki rekomendacji prezydenta Max zbliżył się do Proustów. Rozmowy wstępne wykazały, że bank i niektórzy jego klienci są bardzo zainteresowani projektem.

Jak wszystko w Szwajcarii, nawet winda poruszała się z niezwykłą precyzją, wwożąc ich na dwudzieste piętro. Jan Proust czekał w hallu, aby ich przywitać.

Był to niski, pulchny człowieczek, o krótko obciętych, siwych włosach i zaraźliwym uśmiechu.

- Doktorze Loxton, pani Packard, jak to miło w końcu poznać państwa osobiście. Bardzo proszę do mojego biura. - Jego angielszczyzna była bez zarzutu.

Kiedy przyniesiono kawę, Proust zerknął na nich oboje i otworzył jakiś raport leżący na biurku.

- Mam dla państwa dobre nowiny. Jeden z naszych szacownych klientów, posiadający środki zapewniające kapitał inwestycyjny o jaki pan zabiega, wykazał duże zainteresowanie projektem. Ale domaga się poważnego udziału w tym przedsięwzięciu - co najmniej dwudziestu pięciu procent.

Max odetchnął głęboko i spojrzał na Prousta.

- To daje pięćdziesiąt jeden procent dla mnie i dwadzieścia cztery dla rządu Botswany. Muszę porozmawiać osobiście z tym panem, żeby przekonać się, czy będzie chciał zaangażować się w projekt równie mocno jak ja.

Proust zdjął okulary i usiadł wygodnie.

- Pieniądze i moralność zazwyczaj nie idą w parze.

Ale tym razem powinien pan być usatysfakcjonowany.

Mój klient przybędzie za dziesięć minut, żeby obejrzeć pańskie przezrocza i filmy. Może przeniesiemy się do głównej sali konferencyjnej?

*

Pokaz wypadł nawet lepiej, niż Max i Saffron się spodziewali. Jej film o bagnach i zagrożeniu ich istnienia rzeczywiście zrobił wielkie wrażenie na kliencie Prousta, Sheltonie, poważnym angielskim finansistcie. Spodobał mu się również plan Maxa - stworzenia największego na świecie kompleksu hotelowo-rekreacyjnego na moczarach Okavango.

Przeszło godzinę o tym dyskutowali, aż w końcu Proust naprowadził rozmowę na sprawy finansowe.

Shelton, niski, ruchliwy mężczyzna o ciemnych włosach, zdjął okulary i popatrzył na Maxa.

- Pańskie doświadczenie i reputacja są znakomite - oznajmił miarowym tonem nabytym w dobrej, prywatnej szkole. - Ale, niestety, Afryka jako kontynent ma kiepską opinię ze względu na bardzo duży stopień ryzyka przy inwestowaniu. Kupił pan mnie tym planem, doceniam jego praktyczność, ale muszę nalegać na przynajmniej trzydzieści pięć procent udziału w zyskach.

Ton jego głosu wyraźnie wskazywał, że próby pertraktacji nie mają sensu. Max, ukrywając niepokój, uśmiechnął się uprzejmie. Chciał, aby do niego należała kontrola całej operacji, a jeżeli przyjmie warunki Sheltona, rząd Botswany, trzeci udziałowiec, będzie mógł przekazać zwierzchnictwo któremukolwiek z dwóch inwestorów. Dla Maxa ten projekt był olbrzymim ryzykiem - rzucił cały swój majątek na szalę.

Widział wirujące przed nim koło ruletki i pojął, że takie ryzyko musi podjąć. Realizacja planu pochłonie ogromne pieniądze - niezbyt wielu inwestorów będzie tym zainteresowanych.

Max spojrzał na Sheltona. Mężczyzna nie spuszczał z niego wzroku. W chłodnych, szarych oczach Max nie dostrzegał nic podejrzanego.

- A więc umowa stoi - oświadczył.

*

Kobus van der Post siedział obok Victorii Loxton w ciemnej sali londyńskiego teatru. Ostatni akt znakomitego musicalu Andrewa Lloyda Webbera zbliżał się do końca. Cichły ostatnie nuty, a widownia biła ogłuszające brawa. Victoria aż wstała z fotela - nigdy nie widział jej tak ożywionej. Wstałby również, ale podróż do Ameryki wycisnęła piętno na jego zdrowiu - czuł się potwornie zmęczony, chociaż nie przyznałby się do tego nikomu; ani Victorii, ani nikomu innemu. Oczywiście, rozumiał jej euforię. Spotkanie z premierem było olbrzymim sukcesem. Tuż przed wyjazdem z Dorchester dostali telefon od Maxa. Dzwonił, by im powiedzieć, że znalazł w Genewie poparcie finansowe dla swojego projektu Okavango.

Razem z tłumem widzów opuścili teatr. Victoria ujęła Kobusa pod rękę. Czuł lekki zawrót głowy. Był bardzo poruszony dowodami jej sympatii.

- Wracajmy do hotelu - szepnęła. - Dziękuję, że zabrałeś mnie do teatru... Wiem, jak bardzo jesteś zmęczony.

Wzięli z recepcji klucze do pokoiów i lustrzaną windą wjechali na piętro. Victoria czule poprawiła kołnierzyk jego koszuli.

- To było cudowne - powiedziała. - Czuję się tak dobrze, kiedy jestem z tobą.

Drzwi windy otworzyły się. Victoria wysiadła. Kobus zmęczonym krokiem dotarł do swojego apartamentu.

Zakochał się? W jego wieku? Nie, to zupełnie niemożliwe.

*

Generał Feisal patrzył, jak odrzutowiec typu Lear kołuje nad błyszczącym piaskiem pustyni, a następnie osiada niczym ptak na odległym, betonowym pasie startowym.

Odwrócił się do swojego adiutanta i mruknął:

- Nadszedł czas, abyśmy przestali ukrywać naszą siłę. Jeżeli ta broń będzie w porządku, już my pokażemy naszym koleśiom Izraelczykom - właśnie teraz, kiedy myślą, że odpuściliśmy.

Feisal i jego adiutant wsiedli do białej limuzyny i szybko podjechali do samolotu, który właśnie zatrzymał się na środku pasa. Silniki ucichły. Powietrze wypełniła ostra woń paliwa. Z boku samolotu wyrzucono drabinkę. Pojawił się na niej najpierw elegancki biznesmen, a za nim siwowłosa mężczyzna w białym płaszczu i małopod w czarnym kombinezonie.

Feisal wyszedł im na spotkanie. Poprawił szerokie rękawy dzellaby. Ze słyszenia znał reputację Davida Loxtona i pragnął z nim współpracować. Spojrzał w chłodne, szare oczy, gdy ściskali sobie dłonie na powitanie.

- Panie Loxton, wiele o panu słyszałem. Niecierpliwie czekałem na przyjemność robienia z panem interesów...

Później generał Feisal dokładnie obejrzał aardwofa.

David Loxton wpatrywał się w nieprzeniknioną brunatną twarz ze starannie przystrzyżonym wąsikiem.

Przez chwilę panowała cisza, którą przerwał Feisal:

- Wygląda na nieskomplikowaną... Czemu więc jest aż tak droga?

Zapadło milczenie. David uśmiechnął się. Zawsze napotykał na ten sam opór - co oznaczało, że cena była właściwa. Odwrócił się do Preussera, a doktor, naleyście odczytując wyraz jego twarzy, natychmiast przystąpił do handlowych pertraktacji.

- Po pierwsze, sir, ta broń to nie byle zabawka, jest z hartowanej stali. Można przejechać po niej ciężarówkom i dalej będzie porzodnie szczelacz, ja? - Miarowy głos

Preussera wydawał się nie na miejscu na tej cichej pustyni. - Ma pan czeżarówkem, panie Feisal? - zapytał.

Arab uśmiechnął się. W pół godziny później olbrzymia, naładowana ciężarówka z łoskotem pojawiła się na horyzoncie i skierowała ku pasowi startowemu. Ku zaskoczeniu Feisala, Preusser uśmiechnął się z satysfakcją.

- Tak, ta jest znakomita. - Zwrócił się do faceta w czarnym kombinezonie: - Carl, załaduj broń i podłóż jom pod koła wozu.

Przyglądali się uważnie pokazowi. David aż się skrzywił, patrząc jak wielkie koła rozjeżdżają przepięknie wykonany karabin, ale po twarzy Preussera przeleciał jedynie leciutki uśmieszek. Zwrócił się do Feisala:

- Teraz czeba broń przetestowacz. Kogo pan proponuje na cel?

- Kierowcę ciężarówki - odparł Feisal.

Sądząc po minie Loxtona, ciężarówka powinna zdruzgotać karabin w drobny mak. Nie podobał mu się ten Niemiec i czekał tylko, żeby go upokorzyć.

- Carl! - szczechnął Preusser. - Zaszczel kierowcem!

Carl uśmiechnął się z zadowoleniem i podszedł do aardwolfa. Gdy go podniósł i odbezpieczył, Feisal wstał, aby przerwać eksperyment, ale Carl skierował lufę w stronę kabiny i wystrzelił. Szkło i metal rozprysnęły się po pasie, gdy kule rozerwałyabinę na strzępy.

Kierowca wytoczył się z pułapki, lecz w sekundę później zmasakrowała go lawina pocisków.

Feisal śmiejąc się opadł z powrotem na krzesło. Preusser uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Nieźle, co? Ja?

- O tak, nieźle! - Z lękiem wykrzyknął Feisal. - Mając taką broń zdziesiątkują Żydków.

Wieczorem David Loxton podpisał kontrakt na dostawę aardwolfów do kilkunastu krajów arabskich.

Zysk z tych transakcji, wystarczający aby zadowolić najskrytsze marzenia największego dusigrosza, dla niego oznaczał jedynie kolejny krok ku władzy. Roześmiał się myśląc o Kobusie van der Poście wydeptującym ścieżki Europy i Ameryki, zebrzącym o poparcie. Zastanawiał się, czy jego rywal spałby spokojnie wiedząc o umowie, którą David zawarł z Dolphem Klopperem parę dni temu, gwarantującej, że jego ustawa o

bezpieczeństwie publicznym zostanie zatwierdzona przez parlament. I to miażdżącą większością głosów.

*

Generał Jurie Smit otworzył walizkę, aby pokazać paczki używanych banknotów i spojrzał na majora Hursta. W garniturze w delikatne paseczki major Hurst trochę przypominał biznesmena. Miał szeroką, pooraną zmarszczkami twarz, którą okalały ciemne włosy.

Był uderzająco podobny do aktora Seana Connery. Ale w ciemnych oczach brakowało choćby iskry światła - kryły one umysł ogarnięty obsesją zabijania.

- Mam dla ciebie kolejną robótkę. Tym razem musi to wyglądać na wypadek - ostatnio mamy za dużo gwałtownych śmierci. - Jurie Smit wydawał rozkazy spokojnie, bez żadnych emocji.

Major Hurst wziął listę nazwisk; jego oczy zwęziły się, gdy ją czytał.

- Pozbyć się ich w tej kolejności?

- Ja, i dokładnie w podanych terminach - burknął Smit. - I żadnej fuszerki jak z Maxem Loxtonem!

- Loxton nie był fuszerką! - odszczeknął Hurst.

Położył listę na stole i spojrzał na generała Smita.

- No, więc co to było, Hurst? Powiedz mi! - Smit nie dał się zastraszyć. Wiedział, jak radzić sobie z Hurstem, gdyż mógł mu dać to, czego tamten najbardziej potrzebował - władzę aby zabijać.

- Mojemu człowiekowi nie dostarczono wystarczającej informacji o ofierze. Skąd mógł się spodziewać tak gwałtownej reakcji?

Smit usiadł.

- Dobra wymówka, ale uniemożliwiliście nam ponowne zbliżenie się do Loxtona. W Botswanie wszczęto drobiazgowe śledztwo, aby dotrzeć do sedna całej afery. Zdajesz sobie sprawę co by się stało, gdyby nas wysłedzili?

Major Hurst rzucił Smitowi złe spojrzenie.

- Nie odważysz się tknąć mnie palcem.

- Mam dane dotyczące każdego twojego morderstwa, Hurst. Spróbuj wykręcić jakiś numer, a będziesz wisiał.

- A ty odejdziesz jako wolny człowiek? - wymamrotał Hurst.

- Oczywiście. Nie ma między nami żadnych powiązań. - Smit uśmiechnął się. - Miałem kiedyś taki specjalny oddział do podobnych spraw i pamiętam, że sprawiali mi sporo kłopotów. To było pięć lat temu.

W końcu pochowałem ich wszystkich.

5

George Zwane wolno jechał wąskimi uliczkami centrum Alexandry. Alexandra, czarne getto, jeden kilometr kwadratowy slumsów i przeludnienia, leżała zaledwie o dwa kilometry od Sadton City, ekskluzywnego centrum handlowego Johannesburga. Jak zwykle - pomyślał George - biały człowiek zapewnił sobie tanią siłę roboczą i starannie ukrył ją przed oczami świata.

Mijając nędzne budy jeszcze raz przeanalizował cały plan. Czuł się jak człowiek idący na własny pogrzeb, dziwnie odseparowany od wszystkiego, co działo się dookoła. Jeszcze teraz mógł się wycofać, pójść na łatwiznę i pozwolić sprawom toczyć się własnym torem.

Lecz pomyślał o ojcu, wielkim Napoleonie Zwane, o wszystkim, o co ten walczył i w co wierzył. Zrozumiał, że nie potrafi się wycofać. Ze względu na ojca była to jedyna droga, którą mógł obrać.

Zobaczył człowieka prowadzącego skrajem chodnika małą krowę i wrócił pamięcią do dni, kiedy jako dzieciak był pasterzem w bantustanie Zulu. Tak dawno temu. Było to zajęcie przynoszące zaszczyt; zgodnie z tradycją, obowiązek pilnowania plemiennego bydła spoczywał na członkach rodziny królewskiej. Ale dzisiaj raz na zawsze zrywał z tradycją, gdyż udawał się do nowego świata pełnego gwałtu i przemocy, gdzie nie istniały żadne wartości.

Zatrzymał się przed małym sklepikiem. Plan opracowany był w najdrobniejszych szczegółach. Na razie wszystko szło dobrze. Zerknął na zegarek. Czas był tu istotny, żeby policja niczego nie mogła podejrzewać.

Miał również najzupełniej legalny powód swego przybycia tutaj. Działał na zlecenie kupca, Hindusa. Miał odebrać pieniądze za nie zapłacone rachunki. Odzyskał je i właśnie przyniósł czek swojemu klientowi. Jego firma często zajmowała się takimi sprawami. Nie, żeby policja miała prawo wypytywać, co on tu robi - po prostu był napiętnowany.

George pełnił funkcję sekretarza AKW w Transwalu.

Parę miesięcy temu rząd zachęcił AKW do wyjścia z podziemia, ale teraz, kiedy Kobus van der Post przebywał za granicą, minister sprawiedliwości, David Loxton, przejął władzę i dwa dni temu ogłosił ponowną delegalizację AKW. Aresztowanie wszystkich

ważniejszych członków organizacji, w tym oczywiście George'a, było jedynie kwestią czasu. George stanął na rozdrożu. Najłatwiej byłoby wybrać prostą drogę: wyrzec się członkostwa AKW, skoncentrować na prowadzeniu biura i wyrobić sobie opinię znakomitego prawnika. Lecz był zaangażowany w coś głębszego niż tylko sukcesy osobiste; głównym powodem, dla którego studiował prawo, była chęć oswobodzenia swojego ludu z kajdan dyskryminacji. A na dodatek wiedział, że Towarzysze powoli przejmują kontrolę nad lokacjami, co zwiastowało upadek na dno anarchii - prawa sądów ulicy i „naszyjniki”.

George wpatrywał się w dziecko w podartym ubraniu przebiegające przez ulicę. Pomyślał o własnych dzieciach. To dla ich dobra, nie tylko dla siebie, musi wśliznąć się w środowisko Towarzyszy i odnaleźć umysł sterujący przemocą; człowieka, który wydał rozkaz zamordowania jego ojca. Ale żeby zdobyć zaufanie Towarzyszy, musiał zerwać z przeszłością, ze wszystkim, w co wierzył. Przez całe życie przeciwstawiał się przemocy, wierząc bez zastrzeżeń w doktrynę Gandhiego o biernym oporze, ale szybko zrozumiał, że doktryna ta nie miała żadnej szansy w konfrontacji z ruchem ogarniającym lokacje. Miał dopiero czterdzieści lat, ale czuł się jak starzec.

Zamknął drzwi samochodu zostawiając kluczyk w stacyjce - tam, gdzie się wybierał, samochód nie będzie potrzebny. Przeszedł przez zatłoczony sklepik. Zza lady uśmiechnęła się do niego potężna Hinduska ubrana w sarong.

- Cześć, George! Seth jest u siebie w biurze - powiedziała tym swoim wysokim, piskliwym głosem.

- Dzięki, Priscillo. - Gryzły go wyrzuty sumienia, że wybrał ich sklep do realizacji swojego planu.

Odsunął nakrapiane zasłony i wszedł w ciemny korytarz mocno pachnący kadzidłem. Przy końcu znajdował się mały pokój, gdzie przy starym biurku ślęczał nad księgą handlową młody, przystojny mężczyzna.

Podniósł wzrok i uściśnął George'owi dłoń jak staremu i zaufanemu przyjacielowi. Mój Boże, co ja robię - jęknął w duchu George.

- Przyniosłem pieniądze od Levy'ego - oznajmił.

Seth spojrzał na czek i uśmiechnął się.

- W zasadzie mogę go spisać na straty; opiewa na mniej niż wynosi twoje honorarium.

- Nagle zmarszczki zmartwienia pokryły mu twarz. - George, co się tu dzieje? Co robi teraz AKW?

George spojrzał na zegarek. Gdzie, do cholery, podziewała się policja? I wtedy usłyszał hałasy przy drzwiach.

W mgnieniu oka był już w korytarzu, lecz nagle przypomniał sobie, że jedyne wyjście wiodło przez sklep. W sumie też dobrze - najpierw stanie oko w oko z policją, a potem zwieje.

Nie wiadomo skąd w korytarzu pojawiła się Priscilla, blokując mu drogę.

- George! Policja przysłała cię aresztować. Włóż tu szybko, tutaj! - Odsunęła ukryte w ścianie drzwi, za którymi znajdowała się mała alkowa wielkości trumny. Nie mógł zaprotestować, więc wcisnął się do środka, a Priscilla zamknęła za nim drzwi. Usłyszał jej szept:

- George, na wysokości twarzy masz płytkę. Możesz ją odsuwać, żeby wpuścić trochę powietrza. Ale uważaj.

W korytarzu słychać było jakąś szamotaninę. Siedział absolutnie nieruchomo, słuchając stukotu męskich kroków. Ostrożnie unióśł ręce, namacał płytkę i wolno ją odsunął.

Okienko wychodziło wprost na biuro z tyłu sklepu - pokój, który dopiero co opuścił. Tuż przed sobą widział plecy dwóch mężczyzn w niebieskich mundurach. Ponuro uśmiechnął się - rzeczywiście policja. Z pewnością uwierzyli w jego donos. Seth musiał siedzieć przy biurku, tak jak wcześniej. Priscilla zapewne wróciła do sklepu. George usłyszał szelest rozwijanego papieru i męski głos mówiący z mocnym akcentem afrikaans:

- Panie Naidoo, otrzymaliśmy doniesienie, że odbywa się tu jakieś nielegalne spotkanie. Musi pan pójść z nami.

George wzdygnął się. Ależ nie tak to zaplanował!

Wyobrażał sobie, że zaalarmowana donosem policja otoczy sklep poszukując George'a Zwane, znanego działacza AKW, którego obecnie można było aresztować legalnie. On zaś miał umknąć, dzięki czemu stałby się uciekinierem, człowiekiem ściganym przez wymiar sprawiedliwości, a to zapewniłoby mu wstęp w szeregi Towarzyszy. Ale teraz wyglądało, że cały plan wziął w łeb.

- Co ja takiego zrobiłem, że chcecie mnie aresztować? - Głos Setha był spokojny, bez cienia strachu.

- Nie pańska sprawa, Meneer. Idziemy.

Seth jednak znał swoje prawa.

- Powiedźcie najpierw, co zrobiłem. Wtedy pójde.

- Słuchaj no, ty bezczelny kulisie - warknął policjant.

- Sierzancie, on ma prawo wiedzieć - powiedział młodszy, bardziej ugodowo nastawiony głos.

- Nie opowiadaj mi o jego gównianych prawach, van Tonder. Dasz tym bezczelnym kulisom palec, to ci od razu odgryzą całą rękę.

- Wygląda, że chłopak zna prawo lepiej niż pan, sierżancie - wtrącił Seth.

Młody policjant znowu rzekł pojednawczo:

- Panie sierżancie, sądzę, że musimy mu podać przyczynę aresztowania.

George dostrzegł, jak mięśnie szyi sierżanta napinają się. „Seth, lepiej uważaj”.

- W porządku, panie Naidoo. Co pan zrobił? Ano, wspomagał pan finansowo AKW, sumką dwudziestu tysięcy randów, ściśle biorąc.

- Wtedy działali legalnie - nie zrobiłem więc nic sprzecznego z prawem. - Głos Setha był nadal spokojny i opanowany.

- Słuchaj, kulisie - stul mordę! Idziemy!

W polu widzenia George'a pojawił się Seth. Policjant zakładał mu kajdanki. I wtedy gdy Seth skierował się ku drzwiom, sierżant wyciągnął pałkę i uderzył go mocno po nerkach.

- No, kulisie, przeproś!

Seth leżał na podłodze jęcząc. George usłyszał, jak pałka uderzyła przyjaciela w twarz.

- OK. Posłuchajmy, jak kulis śpiewa.

Trzęsąc się z wściekłości, George wypadł ze swojej kryjówki. Konstabl odwrócił się i wyciągnął rewolwer, ale George powalił go na podłogę jednym prawym sierpowym. Z twarzy leżącego na podłodze policjanta ciągle nie znikał wyraz zdumienia.

Sierżant, z obrzydliwym uśmiechem na gębie, ciężko kroczył ku George'owi.

- Spróbuj ze mną.

Przez chwilę przyglądał się wysokiemu, czarnemu mężczyźnie o niezłej prezencji, który tańczył przed nim niczym zawodowy bokser. Spróbował rąbnąć go pięścią, ale George uchylił się i z doskoku mocno uderzył sierżanta w twarz, raz i drugi, a potem zadał trzeci cios w brzuch. Policjant pochylił się i nagle złapał George'a za ramiona, usiłując uderzyć go głową w twarz.

Ale George wyraźnie panował nad sytuacją. Uderzył parokrotnie, aż w kącikach ust sierżanta pojawiła się krew. Każdy cios był dokładnie wymierzony. Policjant z trudem trzymał się na nogach. Pochłonięty walką George nie zauważył, że za jego plecami konstabl unosi pałkę. W sekundę później otrzymał potworny cios w tył głowy i zataczając się padł na podłogę.

Sierżant stanął nad nim. Kopał go brutalnie w głowę i jądra. George zaczął podnosić się, gdy dostrzegł, że sierżant znowu do niego podchodzi.

- Masz, zeźryj, ty kafrze!

Ciężki buciór uderzył George'a prosto w twarz, wyłamując przednie zęby. Zwane znowu leżał na podłodze.

Spadła na niego lawina ciosów. Ciało paliło bólem. Wszystko poszło cholernie nie tak... Nagle, kątem oka dojrzał leżący na podłodze, porzucony przez sierżanta rewolwer.

Podsunał się bliżej. Złapał go. Magnum 0.357. Życie George'a było w niebezpieczeństwie. Nacisnął spust, a siła wystrzału niemal wyrwała mu rewolwer z ręki.

Sierżant wykonał salto w powietrzu. Kula trafiła go w pierś. Krew opryskała białe ściany. George chłodno przycisnął spust po raz drugi i twarz policjanta eksplodowała. Gdy Priscilla wbiegła do pokoju, krzycząc przeraźliwie, George obrócił się na pięcie i widząc konstabla sięgającego po broń, przycisnął spust po raz trzeci. Przyglądał się wyrazowi niedowierzania na twarzy młodego policjanta, gdy siła strzału obrywała mu prawe ramię.

Seth rozejrzał się z przerażeniem po pokoju.

- George, oni cię powieszą - wyszeptał chrapliwie.

Priscilla podtrzymywała głowę męża. Popatrzyła na krwawe strzępy ciała wielkiego policjanta i zadygotała.

Następnie spojrzała na konstabla leżącego na podłodze jak szmaciana lalka. Chłopak prawie nie oddychał. Za plecami słyszała chrapliwe sapanie George'a. Podniosła wzrok, zmartwiała z przerażenia.

- George! Uciekaj stąd!

George pochylił się nad nią. Ręce mu drżały.

- Powiedz mojej żonie, że już nigdy nie wrócę do domu.

W oddali słychać było wycie syren policyjnych. Priscilla dotknęła jego policzka. George zniknął.

Wybiegł przez sklep i zobaczył zbliżającą się żółtą, policyjną furgonetkę. Mdlilo go. A więc dotarł do punktu, z którego nie ma odwrotu. Uniósł broń i strzelił do kierowcy. Przednia szyba roztrzaskała się, a szkło poczerwieniało. George rzucił się w boczną uliczkę, biegnąc tak szybko jak nigdy dotąd. Słyszał szczekanie psów i krzyki. Gonili go.

Kolejna ulica i tupot kroków za plecami. Tracił oddech, zwalniał. Umrzeć teraz, po tyłu poniesionych ofiarach...? Nagle ktoś chwycił go za ramię i wciągnął do bramy. Stał twarzą w twarz z jakimś młodym Murzynem.

- Spokojnie, Towarzyszu. Ci boere nie znajdą cię tu.

Zanurkował w wielkim zbiorniku na odpadki. Prawie nic nie słyszał. Leżał cicho, koncentrował się tylko na opanowaniu torsji.

Jego życie nagle zmieniło się nie do poznania.

*

Victoria Loxton zatrzymała się przed komisariatem Rivonia i wysiadła z samochodu. Czarny strażnik kwaśno spojrział na nią znad lufy karabinu; kolejna bogata babka przyszła zgłosić włamanie. Pomyślał, że ta piękna kobieta z pewnością oświadczy, że jej ogrodnik lub pokojówka maczali palce w przestępstwie. Rzuciła mu krótkie „Cześć” i weszła do środka.

Dopiero dziś rano Victoria wróciła z Europy, gdzie czuła się znakomicie zarówno z powodu sukcesów politycznych, jakie przyniosła podróż, jak i swojej rosnącej zażyłości z Kobusem van der Postem. Ale gdy wylądowała w Johannesburgu, od razu osaczyła ją przygnębiająca rzeczywistość RPA. W powietrzu wyczuwała namacalne niemal napięcie, w oczach ludzi widziała zniechęcenie. W trakcie pobytu za granicą czytała straszne doniesienia o kolejnych falach gwałtu na lokacjach.

Potem jej znajoma dziennikarka, Karen, zadzwoniła i opowiedziała o wypadkach, w które wplątał się George Zwane. George należał do starych przyjaciół Victorii. Po prostu nie mogła uwierzyć - to było zupełnie sprzeczne z jego charakterem. Zawsze unikał przemocy i wszelkich form konfrontacji z policją. Coś tu nie było w porządku, coś śmierdziało.

Natychmiast podjechała do sklepu Setha Naidoo, porozmawiała z Priscillą, a potem przyjechała prosto tu.

Uderzyła wściekle pięścią w kontuar. Wolnym krokiem podszedł do niej czarny konstabl.

- Czym mogę pani służyć? - zapytał z zarożumiałym uśmiechem.

- Chcę się widzieć z Sethem Naidoo.

- Z kim?

- Przyrowadzono tu dziś rano Setha Naidoo. Jestem jego adwokatem i domagam się widzenia. Natychmiast!

Konstabl westchnął. Ta biała kobieta oznaczała kłopoty. Postanowił wezwać komendanta.

- Poczekaj pani minutkę?

W rzeczywistości minęło dziesięć minut, zanim pojawił się major Pretorius. Wyglądał wyjątkowo niezachęcająco. Oficerów policji w Johannesburgu, którzy nie obawiali się mecenasa Victorii Loxton, można było policzyć na palcach jednej ręki.

- Słucham, panno Loxton?

Słyszała niepokój w jego głosie i była zadowolona.

Znała majora Pretoriusa i wiedziała, że się nie myliła - Seth Naidoo musiał ciągle być tu w areszcie.

- Majorze Pretorius, żądam widzenia z Sethem Naidoo.

- Z kim?

- Proszę się nie wygłupiać, majorze. Po co te gierki? Wiem, że tu jest. Czy pozwolono mu skontaktować się ze mną?

Widziała, że major rozważa różne możliwości. Wiedziała od Karen, że dowody przeciwko George'owi Zwane są niepodważalne, ale Seth Naidoo był czysty.

Mógł być jednak bardzo ważnym świadkiem, gdyby młody konstabl, walczący o życie w szpitalu w Johannesburgu, jednak zmarł.

- Może pani go zobaczyć, panno Loxton. Został zatrzymany jako świadek.

Kolejny kwadrans upłynął, zanim wpuszczono ją do celi przeznaczonej na widzenia. Wprowadzono Seta.

Usiadł przy małym stoliku naprzeciw niej. Wyglądało na to, że był w szoku, ale ogólnie w dobrym stanie.

- Nie tknęli mnie nawet. U Priscilli wszystko gra?

Victoria wiedziała, że trzeba się z nim obchodzić delikatnie.

- Jest chora ze zmartwienia, Seth. Opowiedziała mi, co zaszło.

Seth potrząsnął głową ze zrezygnowaniem.

- Gdyby George wtedy do mnie nie przyszedł... Przybył w złą godzinę! Nie sądziłem, że po śmierci ojca miał nerwy w aż tak kiepskim stanie.

- On uciekł, Seth. Nigdzie nie mogę go znaleźć. - Przerwała. - Oczywiście, wiesz dlaczego traktują cię w miarę dobrze?

Seth ukrył twarz w dłoniach.

- Chca, żebym zeznawał przeciwko George'owi?

Skinęła głową.

- Nigdy!

- Nie masz wyboru, Seth.

- Będzie wisiał, jeżeli tylko go dopadną!

- Nie dopadną - powiedziała Viktoria. Wstała z krzesła i przeszła się po pokoju bez okien. Z pewnością roilo się tu od pluskiew do podsłuchu.

- Aresztowali mnie pod kompletnie dętym zarzutem - oznajmił Seth. - Możesz w to uwierzyć?

- Nie mieli nakazu, więc twoje aresztowanie było bezprawne. Musisz tylko złożyć zeznanie o tym, co zaszło i zostaniesz zwolniony.

Patrzył na nią. Twarz wykrzywił mu grymas bólu.

- Moje zeznanie skáže go na śmierć. Te skurwiele zaczęły mnie bić, George nie wytrzymał i wpadł w furję. - Victoria smutno pokiwała głową. Wszystko nabierało sensu; ukrywana przez lata nienawiść wybuchnęła nagle, w jednej chwili. Spojrzała na Seta Naidoo, swojego stałego klienta, którego bardzo lubiła.

- Seth - powiedziała - musisz złożyć pełne i dokładne zeznanie. Proszę, zrób to dla Priscilli. - Wiedziała, że miłość Seta do żony była ostatecznym argumentem.

- A co z George'em?

Wszedł major Pretorius. Był bardzo hojny, wręcz rozrzutny, jeżeli chodzi o dany im czas. Victoria wstała i poklepała Seta po rękę.

- Zrób, co ci mówię.

- Zrobię. Ale znenawidzę za to sam siebie.

*

George miał na twarzy czterodniowy zarost i czuł się zupełnie innym człowiekiem. Znany prawnik, w pełni cywilizowany mieszczuch, stał się wojownikiem jak pokolenia przodków. Towarzysze zaakceptowali go jako brata-mordercę, brata w przelanej krwi. Zabójstwo policjanta automatycznie wynosiło go na same szczyty hierarchii. Dali mu broń i ochronę. A teraz zasiadał wraz z innymi w sądzie ludowym.

Pokój śmierdział spalonym drewnem, w resztkach potłuczonych szyb odbijało się poranne słońce. Słyszał dzieci bawiące się na zewnątrz i hałas samochodów, ale w środku panowała cisza. Ten sąd w niczym nie przypominał johannesburskich. To było Orlando, przedmieście Soweto, a „proces” odbywał się w blaszanej budzie, której ściany pobrązowiwały od rdzy.

Na ławie oskarżonych, a raczej na środku podłogi, siedziała młoda kobieta oskarżona o donoszenie policji.

Była ubrana w stare łachy, a jej twarz pokrywały siniaki. George czuł smród dawno nie mytego ciała, ale najbardziej przerażały go jej oczy - tępe, bez życia, bez nadziei. Razem z innymi Towarzyszami siedział na długiej ławie za stołem. Wysłuchali zeznań świadków, a potem młoda kobieta opowiedziała swoją wersję wydarzeń.

Towarzysze uzgodnili werdykt w pięć minut. George'em wstrząsnęła ich surowość, ale po chwili przypomniał sobie, że tu nie było więzień, a zdradę uważano za najpodlejszą zbrodnię ze wszystkich. Wyrok był nieunikniony - śmierć.

Kobieta błagała o zmiłowanie; kamienne twarze Towarzyszy nie drgnęły nawet, ale w sercu George'a Zwane znalazła litość. W głębi duszy razem z nią płakał nad niesprawiedliwością wyroku. Parę sekund później wyciągnięto ją, zapłakaną, na ulicę. Szlochała rozpaczliwie.

Za nią wyszli członkowie trybunału. Pozwolili jej odejść.

Zaczęła uciekać, potykając się co chwila z pośpiechu.

I wtedy rzucono pierwsze kamienie. Kilka dosięgło jej - jeden trafił w głowę. Zachwiała się, upadła, ale jeszcze próbowała wstać. Twarz miała zalaną krwią.

Chłopiec, któremu George dałby może ze czternaście lat, podbiegł do niej i krzyknął: „Kapuś! Zdrajca!” Cały tłum podchwycił jego słowa. Ich krzyk falował jak morze. Nie wiadomo skąd znalazł się nagle drut kolczasty i dwóch mężczyzn związało nim kobiecie ręce na plecach.

Zaczęła przeraźliwie krzyczeć na widok toczoney w jej kierunku opony samochodowej. George poczuł mocny, ostry zapach benzyny. Zdarło z kobiety ubranie. Chłopiec podszedł do niej z tyłu i zgwałcił ją brutalnie, a tłum zachęcał go okrzykami. Po chwili chłopak odsunął się. Na jego twarz wypełzł wstrętny uśmieszek.

- Spalić kurwę!

Znowu zaczęła płakać, ale otoczyli ją bezlitośnie niczym rój owadów. Owinięto jej szyję drutem kolczastym; oba końce zwisały aż do ziemi. Dwoje dzieci napęliło oponę benzyną, podniosło do góry i zawiesiło skazanej na szyi.

Zatoczyła się, a opona, podtrzymywana przez drut, opadła jej na piersi. George wzdrygnął się i bezwiednie wyszeptał: „naszyjnik”. Skowyt skazanej stawał się coraz przeraźliwszy. Tłum patrzył w milczeniu, ciesząc się jej męką. Pilnie obserwowali twarz umierającej kobiety, która doniosła na jednego z Towarzyszy.

Nagle opona eksplodowała ogniem. Ofiara padła na kolana krzycząc rozpaczliwie. George'a doleciał ohydny odór palonego ciała. Chciał podbiec i pomóc, ale stał jak wrośnięty w ziemię.

Oczekiwał, że koniec nastąpi szybko, ale nie - kaźń trwała bardzo długo; gdy wycie ofiary w końcu umilkło, był pewny, że przestała odczuwać jakikolwiek ból.

„Naszyjnikowani” ludzie zazwyczaj umierali szybko - dusili się, gdyż ogień pochłaniał powietrze wokół nich.

Nakreślił nad zwłokami znak krzyża i odwrócił się, aby stanąć oko w oko z Johnem Mtshali, człowiekiem będącym nieoficjalnym przywódcą tej części lokacji.

Mtshali był chudym mężczyzną o krótko przyciętej brodzie. W jego oczach wyraźnie dostrzegano się poczucie władzy. Miał nawyk mówienia bardzo cicho, więc George musiał pochylić się, aby dosłyszeć jego słowa.

- Towarzyszu Zwane, nie podoba ci się nasza sprawiedliwość? Czujecie litość dla tej kurwy? - Zabrzmiało to jak groźba, nie jak pytanie.

- „Sprawiedliwości” w to nie mieszajcie. Została uznana za winną już przed „procesem”.

- Mówisz jak afrykanerski pies, zdrajco!

Gdy Mtshali wypluł mu te słowa w twarz, George złapał go za poły wiatrówki i przyciągnął do siebie.

Widział, że tłum gromadzi się dookoła, obserwując jak rzuca wyzwanie potężnemu przywódcy. Zapewne mieli ochotę obejrzeć jeszcze jedno „naszyjnikowanie”.

- Oni właśnie tego chcą - rzekł lodowato George.

Zajrzał głęboko w ciemne i zimne oczy Mtshali, próbując odnaleźć w nich iskrę człowieczeństwa. - Chcą, abyśmy zabijali się nawzajem jak psy. Czy wiesz, co myśli Europejczyk, gdy słyszy o kobietach mordowanych oponami samochodowymi?

- Boi się. Wie, że musi zostawić nas w spokoju, abyśmy sami zarządzili sobą.

- Nie, durniu! Jest przerażony. Myśli, że jesteśmy dzikusami, kaframi!

- Zdrajca! - W oczach Johna pojawił się błysk szaleństwa.

George uderzył go w twarz. Mtshali upadł na ziemię. Wtem Zwane poczuł, że ktoś złapał go za koszulę - tłum był przeciwko niemu.

- Towarzysze! - krzyknął głośno, a tłum zamarł przerażony siłą jego głosu. Czekał na zupełną ciszę. - Chcecie palić ludzi każdego dnia? Chcecie, aby wrzeszczeli, gdy ogień pożera ich ciała? - George krzyczał tak głośno, jak tylko mógł.

Napotkał spojrzenie kilku niezadowolonych i wolno przesunął wzrokiem po każdym z nich po kolei. Tak zawsze było i będzie - trzeba udowodniać swoje racje cały czas, przez całe życie.

- Powiodę was ścieżką krwi...

Ludzie umilkli. To były słowa, których chcieli słuchać. George spojrzął na leżącego w pyłe, nieprzytomnego Johna Mtshali. Musi zająć jego miejsce, sprawdzić, kto kryje się za Towarzyszami i pociąga za sznurki.

- Nie będzie więcej zabijania! - krzyknął. - Lecz od jutra zaczniemy zbierać żniwo krwi! - Utrafił w właściwy moment i ton; tłum był już po jego stronie. - Zwrócimy nasz gniew przeciw białemu rządowi! My, lud, pokonamy ich i zniszczymy!

Wyczuł zmianę nastroju w tłumie, fale euforii przebiegające od człowieka do człowieka. Miał ich w swojej mocy. Czuł tę moc, uderzała do głowy, upajała...

- Pójdziecie za mną, a ja was poprowadzę. Dam wam wolność, nieważne jakim kosztem!

Uniósł w górę zaciśnięte pięści i głośno wykrzyknął słowa wolności:

- Amandlal Ngawethul Władza będzie nasza!

Mtshali chwiejnie podniósł się i przyłączył do okrzyków. George poczuł, że prymitywna część jego własnego ego jest podniecona... Nigdy w życiu nie czuł się tak wspaniale.

Bez ostrzeżenia John Mtshali rzucił się na niego z obnażonym nożem. Skoczył, żeby zabić.

Ludzie cofnęli się; ich pieśń o wolności wciąż unosiła się ku niebu. George zacisnął pięści. Znowu był na ringu, znowu trenował ze swoim przyjacielem, Maxem Loxtonem, człowiekiem który pokonał mistrza Afryki Południowej w wadze ciężkiej. Promień słońca zatańczył na ostrzu noża, które przecięło mu skórę na piersi.

Odskoczył. Poczł szturchnięcie z tyłu. Odwrócił się szybko i zobaczył chłopaka, który tydzień wcześniej uratował mu życie. W dłoni trzymał nóż. George chwycił go i stanął twarzą w twarz z Johnem Mtshali. Teraz siły były wyrównane. Instynktownie wiedział, że całe życie czekał na taki moment.

Mtshali poruszał się jak kot. Uderzył znowu, zanim George zdążył zareagować. Pociął mu twarz - ciepła krew spłynęła George'owi po policzku. Jeszcze jedna taka rana i Mtshali będzie górą. George pchnął przeciwnika nożem w ramię. Tak jak oczekiwał, wróg uchylił się, a George zadał mu mocny cios w głowę.

Mtshali chwiejnie cofnął się. George uniósł nóż i rozdarł koszulę wroga. Zgromadzeni ludzie krzyczeli podnieceni, gdy na piersiach Johna pojawiła się krwawa linia, na usta wystąpiła krwawa piana, a oczy zaszklily się. George miał już dosyć tej jatki, ale nagle nóż przeciwnika zamigotał w słońcu i zanim George zdążył zrobić unik, ostrze zagłębiło się w jego brzuchu. Jęknął z bólu i dostrzegł błysk triumfu w oczach rywala.

W tym momencie diabli wzięli opanowanie George'a - zapominając o ostrożności rzucił się na Johna. Dźgnął go nożem, odcinając kawałek ucha, potem odrzucił nóż, zacisnął pięści i lawina ciosów spadła na głowę Mtshali, aż z twarzy trysnęła mu krew.

George cofnął się, a gdy Mtshali skoczył ku niemu, usunął się i zdzielił go potężnie w skroń. Mtshali jęknął z bólu, a George nie przerywał ciosów, aż usłyszał trzask pękających kości. Twarz wroga była już tylko krwawą maską. George pochylił się, podniósł z ziemi nóż i

wbił go w brzuch Mtshali. Towarzysz wydał ostatni jęk i strumień krwi chlusnął z jego ust na czerwony, suchy piach. John zadygotał, zatoczył się i uchwycił się George'a w ostatnich konwulsjach agonii.

Teraz tłum wiedział. Mieli przed sobą wojownika, który mógł ich powieść tam, dokąd nikt inny by się nie odważył.

*

Jedwabne ściany olbrzymiego namiotu kołysały się delikatnie, muskane wieczorną bryzą wiejącą od rzeki Okavango. Elegancy goście rozmawiali z ożywieniem, strzelały korki szampanów, a w tle słychać było cichutką muzykę.

Rozglądając się dookoła, Max dojrzał Micka Jaggera i Jerry'ego Halla „robiących wejście”. Kolejny błysk flesza i goście zaczęli dyskretnie rozglądać się - każdy miał nadzieję zobaczyć swoją twarz w „Sternie”, „Paris Match” czy „Time”. Wszystko szło lepiej, niż sobie wyobrażał w najśmielszych snach. Ale najprawdziwszym strzałem w dziesiątkę była obecność dystyngowanego mężczyzny, stojącego razem ze swoją słynną wybranką obok jednego ze stołów. Był tak samo jak Max zaangażowany w ochronę przyrody. Następca tronu Anglii i jego uroczą żonę odbyli długą podróż specjalnie z tego powodu. Jako przewodniczący Światowej Fundacji Ekologicznej, książę był w stanie użyć swoich niebagatelnych wpływów, aby wspomóc projekt Okavango.

Max wyszedł na zewnątrz, minął generatory mocy i stanął na otwartej przestrzeni. Być gospodarzem takiego przyjęcia pośrodku bagien Okavango - to największy sukces ze wszystkich dotychczasowych osiągnięć. Gości przywieziono tu samolotami, a teraz zabawiano w stylu dorównującym najsłynniejszemu fetom na świecie. Tak wiele zawdzięczał Saffron; wykorzystywała wszystkie swoje znajomości, aby zapewnić powodzenie dzisiejszemu party.

Max spojrzał na zegarek. Już czas na wielką niespodziankę - kolejny pomysł Saffron. Nikt ze znakomitych gości nie domyślał się nawet, co szykowano. Jeżeli chodzi o zaproszone osobistości, party rzeczywiście było spektakularnym sukcesem. Max zauważył, że zaszczycił ich nawet sir Werhner-Beit, szef Euro. Loxton był zadowolony, że wysłał mu zaproszenie. Odkąd jego projekt otrzymał od rządu Botswany zielone światło, mógł wywierać na Euro pewien nacisk. To, co trzymał w zanadrzu dla gości, miało być pierwszą salwą długiej i ciężkiej wojny o bagna.

Wrócił do namiotu i natknął się na oczekującego go Gartha Cilliersa. Garth i jego żona Suzette zrobili wielkie pieniądze na produkcji luksusowych motorówek.

To właśnie im i Saffron Max powierzył organizację dzisiejszego wieczoru.

- Już prawie czas - stwierdził Garth.

Suzette uśmiechnęła się do Maxa.

- Twoja pani to geniusz. Poczekaj chwilę, a sam zobaczysz.

Max niespokojnie zmarszczył brwi.

- Musi nam się udać, tylko to jest ważne. Jeżeli nie wypali, Okavango będzie istniało jedynie w podręcznikach historii jako przykład kompletnej klapy projektu ekologicznego.

Suzette lekko poklepała go po ramieniu.

- Nie masz się co martwić. Wracaj do gości, a show zaraz się zacznie.

Max zostawił ich i poszedł szukać Saffron. Nietrudno było ją znaleźć; wyglądała olśniewająco w długiej, czarnej sukni, przylegającej do ciała niczym druga skóra. Podszedł, ujął ją za rękę i w tej samej chwili zapadły ciemności, a odgłosy afrykańskiej nocy wypełniły namiot. Ucichły wszystkie rozmowy. W zupełnej ciszy głos jednego z najwybitniejszych aktorów szekspirowskich zaczął opowiadać historię Okavango:

- Patrzymy właśnie na jeden z największych cudów świata, miejsce, gdzie wciąż kwitnie życie i rzadkie rośliny; raj wodny pełen specyficznego uroku i tajemniczości.

Na olbrzymim ekranie w tyle namiotu pojawiły się przepiękne widoki bagien Okavango. Orkiestra grała melodyjny utwór klasyczny.

- Dzisiaj mamy niepowtarzalną szansę, aby zachować ten raj na zawsze, aby zamienić część Botswany w wielki rezerwat i zbudować tam najwspanialszy hotel wszechczasów. Organizowanie polowań i stały napływ turystów zapewni Botswanie dochody, które można będzie wykorzystać w procesie dalszego przekształcania Okavango w największą atrakcję turystyczną świata.

W trakcie narracji pejzaże ustąpiły miejsca architektonicznym planom i wizjom znakomicie harmonizującym z przyrodą bagien. Mimo że wszystkie pokoje hotelowe miały znajdować się na powierzchni, całość budowli była z góry niemal niewidoczna; starannie wtopiona w krajobraz puszczy. Olbrzymia, podziemna restauracja ze szklanymi ścianami dostarczałaby gościom niepowtarzalnych widoków podwodnego świata.

- Mniejsze, siostrzane hotele, rozrzucone po moczarach, zapewnią schronienie turystom poszukującym bardziej indywidualnych form wypoczynku. Wycieczki na mokorach umożliwią gościom dotarcie do serca bagien. Wokół moczarów będą się znajdowały tereny łowieckie i rezerваты zwierzyny.

Cudowne obrazy na ekranie zniknęły; pojawiły się inne, zdecydowanie mniej piękne: drzewa na bagnach powalone piłami elektrycznymi, pustynne tereny pozbawione wody,

kłusownicy masakrujący stada słoni i bawołów. Muzyka zmieniła rytm: był teraz dziki i drapieżny. Max wyczuł narastające wśród widzów napięcie. Narrator kontynuował:

- Przyszłość Botswany wisi na włosku. Już jutro wody Okavango mogą wyschnąć na skutek działalności kopalń północy i południa. Na zawsze utracimy raj. Lecz mamy szansę, aby zmienić ten teren w miejsce o bezcennej wartości dla nas wszystkich, szansę, aby pejzaże takie jak te zachować.

Orkiestra przestała grać, a oczarowani goście oglądali zachód słońca nad bagnami. Dopiero po paru minutach zorientowali się, że cała ściana namiotu razem z ekranem została usunięta i oglądają prawdziwe zachodzące słońce.

Powoli goście zaczęli wychodzić z namiotu na molo wrzynające się w wodę. Kelnerzy krążyli z butelkami szampana, rozległy się ogłuszające oklaski. Maxowi łzy napłynęły do oczu - widowisko było fantastyczne.

Ktoś chwycił go za rękę i mocno uściskał. Kobus van der Post. Wyglądał na potwornie zmęczonego. Max zastanawiał się, jak długo jeszcze przyjaciel będzie w stanie znieść stresy rządzenia po ciężkiej chorobie.

- Max, to cudowne! Nie miałem pojęcia o rozmachu twojego projektu! Uda ci się na pewno. Udzielę ci mojego całkowitego poparcia. - Głos Kobusa drżał z emocji.

Max zdziwił się, że jego siostra Victoria towarzyszyła Kobusowi. Trzymała prezydenta pod ramię. Max nigdy nie widział u niej takich dowodów uczucia wobec jakiegokolwiek mężczyzny.

- Vicky, strasznie się cieszę, że cię widzę. - Cmoknął ją w policzek.

- Jesteś pierwszą damą dzisiejszego wieczoru - stwierdził Kobus całując Saffron na powitanie.

Nie opodal, na brzegu, stał Shelton i wpatrywał się w wodę. Ciemne włosy miał starannie zaczesane, a okulary w grubych, czarnych oprawkach zsunął na czubek nosa. Z uśmiechem podszedł do Maxa.

- Jestem zaszokowany, zwłaszcza ludźmi, których zdołał pan wciągnąć w nasz projekt. Czuję, że nieźle zainwestowałem pieniądze - oznajmił tym swoim angielskim dobrej, prywatnej szkoły.

Uśmiech Maxa nieco zeszywniał. Pieniądze Sheltona ciągle stanowiły rezerwę, gdyż tak stwierdzał jeden z paragrafów porozumienia. Max powinien użyć własnych zasobów, aby doprowadzić realizację planów do połowy i dopiero wtedy Shelton miał przystąpić do finansowania wykończenia.

- Cieszę się. Może byśmy tak niedługo pogadali o pańskich pierwszych wpłatach?

Shelton jowialnie poklepał Maxa po plecach.

- Wszystko w swoim czasie, stary.

Max poczuł się niepewnie. Czasami odnosił wrażenie, że Shelton bawi się nim jak pajacykiem na sznurku.

- Cóż, panie Shelton - stwierdził - zatem będzie to musiało nastąpić niedługo.

- Doktorze Loxton, czy chce mi pan dać do zrozumienia, że nie dotrzymam słowa? Ma pan na razie wystarczające fundusze, proszę się nie niepokoić.

Max pociągnął łyk szampana i zaklął w duchu. Dał się ponieść nerwom.

*

Tymczasem nikt nie zauważył, że jeden z gości cichcem przemknął się ku tyłowi namiotu, wysliznął zwinnie jak kot i zniknął w ciemnościach między palmami, kierując się ku buszowi. Szedł ścieżką wydeptaną przez zwierzynę, aż dotarł do polanki, na której widać było zarysy helikoptera. Czerwony punkt żarzącego się papierosa oznaczał, że ktoś jest w kabinie. Murzyn wydał ptasi okrzyk-hasło, a Rory Loxton leniwie odkrzyknął:

- Witajcie, Towarzyszu! - Paskudne rysy jego białej gęby były prawie niewidoczne w mroku, ale głos brzmiał pewnie i władczo. - I co o tym wszystkim myślicie?

Murzyn zrzucił garnitur i założył kraciastą koszulę oraz dżinsy. Był to wysoki człowiek o ciele atlety.

Światło księżyca rzucało refleksy na jego czarną skórę, a oczy błyszczały w ciemnościach nocy.

- Sądzę, że to wstyd i hańba - odparł ze śmiechem. - Ta ziemia nie jest dla marzycieli i miłośników pokoju. Ja wniosę do Botswany destabilizację, zamieszki i niepokój. Złamię ten kraj. A potem, kiedy już zacznę nim rządzić, nie będzie tu miejsca na żadne rezerwy czy hotele.

- A na co będzie? - zapytał Rory. Gdy wyszedł z cienia na światło księżyca, jego rude włosy załśniły.

Murzyn przyjrzał się Rory'emu Loxtonowi. Często rozmyślał, jak ktoś tak młody może być do tego stopnia zepsuty.

- Na wielkie farmy hodowlane i kopalnie. A władza będzie moja. I to absolutna - wyjaśnił chłodno.

- Niech i tak będzie. Ty gwarantujesz zapłatę, a ja dostawy.

Helikopter uniósł się w powietrze niczym wielki padlinożerny ptak i odleciał na południe.

*

Goście powoli rozchodzili się. Max dostrzegł Victorię.

Z szampanem w dłoni wpatrywała się w wody rzeki.

Była sama.

- Dobrze się bawiłaś? - zapytał cicho, podchodząc do niej.

Drgnęła i odwróciła się. W oczach miała ślady łez.

- Vicky, co się stało? - wyszeptał, instynktownie przytulając ją mocno.

- Mój Boże, Max, jestem zakochana. I wiem, że on umiera.

Max wpatrywał się w wodę. Kobus van der Post inspirował go do działania przez całe życie.

- Ma dwa razy tyle lat co ty i...

- Nie musisz mi przypominać. Dlaczego tak się dzieje? Max - rozejrzała się nerwowo dookoła - George zabił policjanta i poważnie poranił drugiego. Muszę ci to powiedzieć, chociaż wcale nie chciałam. Nie chciałam zepsuć ci tego... - powiedziała machnąwszy ręką.

George Zwane zabójcą? To potworna wiadomość!

- Co się stało?

Gdy wszystko mu opowiedziała, milczał długą chwilę.

- Ten kontynent, co on z nami robi? - rzucił w ciemność.

- To nie Afryka, Max, i dobrze o tym wiesz - mruknęła Victoria. - To ludzie tacy jak ojciec. Oni wszystko niszczą.

- Vicky, czuję, że coś ukrywasz. Nie powiedziałaś mi wszystkiego, co?

Spojrzała bratu w oczy. Czy mogła mu powiedzieć?

Tak, oczywiście mogła.

- George przyłączył się do Towarzyszy.

- Jezu!

- Max, sam często powtarzałeś, że gdybyś był czarny, przyłączyłbyś się do nich. - Uśmiechnęła się blado. - Słuchaj, Kobus musi usunąć ojca z rządu. Jeżeli tego nie zrobi, za parę lat sytuacja będzie nie do naprawienia. Nowe pokolenie dorastające w lokacjach zna jedynie przemoc. Teraz przynajmniej jest paru czarnych ludzi, którzy umieją negocjować. Kobus może zrobić co zechce, jeżeli będzie działał szybko. Może zmienić historię tego kraju. Kocham go, Max, kocham bardziej, niż myślałam, że kiedykolwiek pokocham mężczyznę. I widzę, że to, co musi zrobić, zabija go.

Max wziął siostrę za rękę i spojrzał jej w oczy.

- Skoro go kochasz, pomóż mu osiągnąć cel, zanim umrze.

Kiedy goście wyszli, Max objął Saffron. Wcześniej Saffron myślała przez chwilę, że Victoria była jego kochanką a nie siostrą - ten dowód zazdrości mocno go poruszył. Wyprowadził ją z namiotu w ciemność. Całowali się - był to długi pocałunek, dokładnie odzwierciedlający ich wzajemne uczucia. Saffron wolno osunęła się na ziemię. Położył się obok niej.

W ciemnościach dostrzegł obserwującą ich parę oczu.

Lampart! Niebezpieczeństwo przez moment zmroziło mu krew w żyłach. Przykrył swoim ciałem Saffron, aż westchnęła z zadowolenia. Wbił wzrok w oczy lamparta; czuł, że narasta w nim pożądanie, jakiego do tej pory jeszcze nie odczuwał. Jej ciało dygotało w długich dreszczach intensywnej rozkoszy. Nie mógł się powstrzymać i złączył się z nią.

Lampart warknął i ruszył do przodu. Saffron, wtulona w ciało Maxa, oczarowana obserwowała wielkiego kota. Zwierzę zbliżyło się, obwąchało ich ciała i odeszło w ciemność. Leżeli oboje na gołej ziemi wpatrując się w gwiazdy. Marzyli, żeby ta chwila trwała wiecznie.

*

David pracował w swoim gabinecie do późna, ale nie mógł się skoncentrować. Dzisiejszy „Star” przyniósł zdjęcia tego parszywego van der Posta, wyglądającego jeszcze godniej niż zwykle. Po powrocie z USA witano go tu jak Mesjasza.

Gdyby ustawa Davida o bezpieczeństwie przeszła, wszystko byłoby w porządku. Miałby potrzebną mu władzę i mógłby spokojnie siedzieć i czekać, aż van der Post dostanie następnego udaru. A kiedy Kobus zostanie usunięty, on przejmie prezydenturę. Zmarszczył brwi. Jak na razie, van der Post zdobywał coraz większe poparcie w kampanii o zablokowanie ustawy.

Ale - pomyślał David - przynajmniej mam po swojej stronie Dolpha Kloppera i jego Afrykanerski Ruch Oporu.

Jeszcze jedna sprawa wymagała załatwienia - chciał koniecznie postawić George'a Zwane przed sądem; tego Zwane - człowieka pokoju, który wziął się za terror i zabił policjanta. Nawet mając najlepszego adwokata pod słońcem Zwane będzie dyndał, a David wyciągnie wielkie korzyści z hałasu wokół procesu i przekona definitywnie najważniejszych członków Afrykanerskiego Ruchu Oporu, że jest człowiekiem dla nich odpowiednim.

Wrócił myślami do telefonu otrzymanego wczoraj w nocy. Bardzo zła nowina. Znowu ją wypuszczali.

Oczywiście, zamieszka u Vicky, jak zwykle. Nigdy nie pisnęła ani słówka Vicky lub Maxowi. Nie rozumiał dlaczego. Chyba że była wówczas w takim stanie, iż zapomniała o tym na zawsze.

Boże, gdyby się to wydało, byłby skończony. Nie potrafił znieść nawet myśli o tym.

6

Marie prawie nie mogła w to uwierzyć. Wyszła z kliniki szczęśliwa tak bardzo, jak nigdy od dnia ślubu. Dolph będzie z niej taki dumny! Pobiegnęła do samochodu, nie przejmując się zupełnie różowym mandatem za złe parkowanie wetkniętym za wycieraczkę.

Taka niespodzianka! Chodziła na badania kontrolne co trzy miesiące i nie cierpiała ich. Tak bardzo pragnęła mieć dziecko, a badania nigdy nie wykazywały najdrobniejszego śladu ciąży. Niemal zemdląca, gdy doktor Jacobs jej to powiedział - od pięciu tygodni była w ciąży. Zbadał ją dokładnie i powiedział, że nie przewiduje żadnych komplikacji. Chciała go ucałować, ale takie zachowanie oczywiście nie przystoi żonie tak ważnej osobistości jak Dolph Klopper...

Doktor Jacobs obserwował z góry wsiadającą do samochodu panią Klopper i uśmiechnął się do siebie.

Dolph Klopper był prawdziwym szczęściarzem, że znalazł taką przywiązaną, kochającą żonę. Ostatnio żył w wielkim napięciu; pani Klopper opowiadała, że bez przerwy brał udział w kampaniach politycznych. Kursowały też plotki, że Dolph Klopper mógłby zostać kolejnym prezydentem RPA. Tak, czarni śmialiby się wtedy baranym głosem. Nie miał nic przeciwko nim, szło o to, że, no, czarni powinni znać swoje miejsce, a na pewno nie było ono w parlamencie...

Nie pojedę prosto do domu - postanowiła Marie - udam się do miasta i przyjrzę różnym dziecinnyom rzeczom. Już wyobrażała sobie synka w dresach - Dolph stwierdził, że jeżeli będą mieli dziecko, Pan z pewnością pobłogosławi ich synem. Ruchliwym, malutkim blondynkiem.

To takie ekscytujące. Będzie kąpanie dzidziusia, chrzest i wielu nowych znajomych. Żony wszystkich przyjaciół Dolpha miały dzieci i do tej pory Marie trudno było znaleźć z nimi wspólny język, bo nie znała problemów macierzyństwa. Teraz, obiecała sobie, wszystko się zmieni.

*

Izba wyglądała ciemno i ponuro. Okna już dawno zabito deskami, z sufitu zwisała jedna goła żarówka.

Pod nią, dookoła dużego, poplamionego stołu, siedziało w milczeniu, ze spuszczonej głowami, siedmiu mężczyzn.

Wreszcie, człowiek u szczytu stołu wstał i otworzył oczy - stare, brązowe kule w białej, nakrapianej galarecie. Miał ostrzyżone na jeża siwe włosy, twarz pobrużdżoną jak Buszmeni, a zęby żółto-czarne i zepsute.

Lecz jego oblicze było wykute z granitu. Alfred Gumede siedemdziesiąt lat żył z przemocy i gwałtu, robiąc na tym majątek. Ludzie bali się patrzeć mu w oczy. Władał całą lokacją.

Był tam, przy więzieniu Leeukop, aby zobaczyć jak wypuszczają światowej sławy Napoleona Zwane. Chciał obejrzeć jego pierwsze kroki na wolności, całkowicie kontrolowane przez Towarzyszy, niby lalkarzy pociągających za sznurki marionetek. Towarzyszy nie zamierzających dopuścić, aby Napoleon Zwane wyrwał im z rąk władzę. Alfred Gumede uśmiechnął się szeroko, gdy snajper trafił jego wroga.

Ale teraz musiał stawić czoło innemu dziwowi natury - synowi Napoleona Zwane, człowiekowi terroru.

Towarzysze z Soweto potrzebowali młodego wojownika, który by ich poprowadził, a George Zwane pokazał, że posiada umiejętność zabijania gołymi rękami i przyprawiania ludzi o dreszcze samą siłą głosu. Teraz trzeba go sprawdzić. Alfred Gumede przyjrzał się uważnie zgromadzonym.

- Towarzysze, musimy wybrać nowego przywódcę. Zbyt często zapominamy, co słowo „przywództwo” oznacza - rządzić jak lew, rządzić za pomocą terroru. Panowanie takie dobiega kresu dopiero wówczas, gdy stary lew zostaje pokonany przez silniejszego. Teraz jest między nami ktoś, kto udowodnił swoją odwagę.

George'owi zrobiło się zimno. Gdy wezwano go na zebranie, oczekiwał jakiegoś awansu, ale nie takiego.

Wspomnienie Mtshali wciąż było zbyt świeże. Czy będzie zmuszony znowu zabijać?

- Przekazuję przywództwo - oznajmił Gumede - George'owi Zwane...

George wychodził ostatni. Takie spotkania nigdy nie trwały długo, nigdy nie odbywały się w tym samym miejscu, a uczestników zawiadamiano parę godzin wcześniej. Tylko w ten sposób mogli działać, gdyż w lokacjach aż roiło się od informatorów policji.

Był wczesny ranek. Znajdował się w uboższej części Soweto. Małutkie chałupki zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Gdy George rozpoczął długą wędrówkę, chcąc dojść do części miasta w której mieszkał, dookoła niego zebrał się tłum dzieci. W zasadzie trudno

nazwać je dziećmi - pomyślał - mimo młodego wieku nie miały w sobie nic dziecinnego. Wiedziały dobrze kim był i zaczęły cicho śpiewać.

Był ich przywódcą. Musi dać im krwi.

*

Dzieciaki przebywały w Waterford, ekskluzywnej wielorasowej szkole w Swazilandzie. Tak jest lepiej - rozmyślała Brenda - zwłaszcza teraz. Życie nie było łatwe. Seth Naidoo wpadał tu czasami i przynosił pieniądze, ale nie mógł przychodzić zbyt często ze względu na policję. Prześladowali ją dniami i nocami, trzykrotnie wzywali na przesłuchania i trzykrotnie zamykali w izolatce. Ale nie złamali jej. Wręcz przeciwnie, wszystkie groźby jakby czyniły ją silniejszą. Nigdy nie zdradzi George'a!

Siedziała samotnie w mieszkaniu, które kiedyś było ich wspólnym domem. On już nigdy nie wróci, skoro przyłączył się do Towarzyszy. Był silnym człowiekiem, ale czy wystarczy mu sił, aby iść z nimi? Przeczucie mówiło jej o długich latach samotności, ale starała się o tym nie myśleć. Kiedy wychodziła za mąż za George'a, wiedziała, że był inny niż reszta, że powodowały nim wyższe racje i że jej życie nie będzie zwyczajne.

Pukanie do drzwi.

Brenda zamarła. Przestraszyła się, że to znowu policja.

Kolejne stukanie. Cóż robić - trzeba otworzyć drzwi; jeżeli tego nie uczyni, wyłamia ją. Otworzyła. W progu stał wysoki Murzyn w masce-kominiarce na twarzy.

O, Boże! Co teraz?

Mężczyzna wepchnął się do środka i zamknął za sobą drzwi. Zdarł maskę z twarzy. Rzuciła mu się w ramiona. Poczowała zapach potu, ale przede wszystkim zapach mężczyzny, którego kochała.

- George! Tak tęskniłam!

Przytulił ją mocno. Łzy popłynęły mu po twarzy.

- I ja tęskniłem za tobą, żono - szepnął miękko.

- Musisz uważać, George, policja przyłazi tu prawie codziennie. Szukają cię. - W jej głosie zabrzmiała nuta strachu. - Pobyć tu nie jest dla ciebie bezpieczny.

- Moi ludzie obserwują ten dom całymi dniami. Właśnie dzieciaki powiedziały, że można przyjść bezpiecznie.

Przyjrzała mu się uważnie. Teraz był wojownikiem, zupełnie innym człowiekiem niż ten dobrze ubrany, gładko wystawiający się student z uniwerku, chłopak, w którym się zakochała. Była uszczęśliwiona jego wizytą; wiedziała, że między Towarzyszami jest wiele

pięknych dziewcząt i ta myśl nie pozwalała jej spać spokojnie. Nie przestawała się martwić, wciąż wycęzała słuch na wypadek, gdyby ktoś zapukał do drzwi.

- Uspokój się, kochanie. Przed domem nie ma nikogo z wyjątkiem Towarzyszy, a gdyby ktoś nadchodził, zawiadomią mnie.

- Opowiedz, co się właściwie stało? Jak to naprawdę było z tym policjantem? - Chciała usłyszeć relację z jego własnych ust, chciała w pewnym sensie wziąć udział w wypadkach, które uczyniły go wyrzutkiem społeczeństwa ukrywającym się przed sprawiedliwością.

Zaprzysięgła tajemnicę i opowiedział jej całą historię.

Wiedział, jak ważna dla Brendy była prawda. Uwielbiał żonę i pragnął jej. Była prawdziwą pięknnością Zulu - wysoka kobieta o okrągłej twarzyczce i gładkiej, atlasowej skórze. Miała obfite piersi, wciąż jędrne po wykarmieniu dwójki dzieci, i cudowne oczy o tajemniczym, orientalnym kształcie - duże, ciemne, pełne zmysłowości, która była jej drugą naturą. Gdy siedział samotnie po długich, całonocnych naradach z Towarzyszami, myśl o żonie dodawała mu sił.

Wzięła go za rękę i poprowadziła do sypialni. Wiedziała, że mają niewiele czasu - mogły to być ich ostatnie chwile razem. Wolno rozebrała się i uklękła przed nim. Chciał ją podnieść, ale nie pozwoliła i wolno zaczęła go rozbierać. W końcu obnażyła jego członek i zaczęła delikatnie pieścić. George należał do niej - pociągnęła go na tapczan i przywarła do niego całym ciałem, drżąc z podniecenia.

Rytmicznie poruszał się w jej falującym ciele, dzieląc z nią rozkosz. Pieścił jej piersi, wzmagając podniecenie.

Wpatrywał się w oczy. Większość małżeństw miała całe życie na kochanie się; oni tylko tę jedną noc.

Odczuwał wrażenie lekkości, jak orzeł unoszący się nad skałami, bez wysiłku płynący na wietrze. Przez te kilka chwil była tylko ona i uczucia, które w nim wzbudziła.

Leżeli obok siebie przytuleni, nasyceni. Nigdy nie było im tak dobrze. Oboje zapadli w głęboki sen...

Gdy usłyszał gwizd, długi i przeszywający, w jednej chwili zerwał się i zaczął ubierać. Od jak dawna już go ostrzegali? Brenda, starając się zapamiętać każdy moment kiedy byli razem, patrzyła, jak George się ubiera. Włożyła szlafrok, pocałowała męża i ruszyła do drzwi.

W tej samej chwili usłyszała łomot. Echo złowieszczych uderzeń niesło się po całym domu. George zniknął; wysliznął się tylnym wyjściem przez ogród. Na dworze było ciemno. Nigdy nie odnajdą go w labiryncie Soweto. Nie wolno się spieszyć - myślała Brenda.

Trzeba zachować spokój.

Stała cicho pod drzwiami. Odetchnęła głęboko. Wiedziała, co ją czekało - życie pełne szarpaniny. Cóż, sama wybrała George'a Zwane, więc wytrwa przy nim i jego przekonaniach aż do dnia śmierci.

Odsunęła zasuwę. Drzwi uderzyły ją, przewracając na podłogę. Do domu wkroczyło trzech czarnych konstabli z bronią gotową do strzału. Czwarty - wielki, gruby, czarny facet, którego poznała aż za dobrze, gdyż ostatnio składał jej regularnie wizyty, wtoczył się za nimi do pokoju. Wstała. Słyszała trzaski rozbijanych naczyń kuchennych. Jediną rzeczą, którą mogła zrobić, było zatrzymać ich jak najdłużej i dać George'owi czas na ucieczkę.

- Pani Zwane, otrzymaliśmy doniesienie, że on tu jest.

Patrzyła na niego wyzywająco, na tego człowieka, który jak pies gończy ścigał jej męża. Miała ochotę go opluć - nie, nie, nie będzie marnowała śliny na takie gówno.

- Kapitanie Mboya, to mój dom. Przychodzi pan tu i przeprowadza rewizję, jakby należał do pana.

- Ukrywanie mordercy jest przestępstwem, pani Zwane. Proszę powiedzieć: czy on tu jest?

- Bardzo bym chciała, żeby był - odparła wyzywająco.

- Pani Zwane! - Kapitan sapął jak bawół. - Sądzi pani, że sprawę o morderstwo można puścić płazem? Proszę się porządnie ubrać, pójdzie pani z nami na przesłuchanie.

Na tyłach domu rozległa się seria z automatu i krzyki. Gdy kapitan Mboya wyciągnął pistolet, w jego oczach błysnął strach. Zawahał się i po chwili wybiegł do ogrodu. Brenda weszła do pokoju i spokojnie zaczęła się ubierać. Miała nadzieję, że Towarzysze dopadli paru gliniarzy.

Na dworze słychać było strzały. Kolejny krzyk, a potem cisza. W żadnym z sąsiednich domów nie zapalono światła, nikt nie wyszedł na ulicę. Soweto miało najwyższą statystykę morderstw ze wszystkich miast świata, a żaden z mieszkańców nie miał ochoty trafić do smutnych danych policyjnych właśnie dzisiaj.

Kapitan Mboya wkroczył prosto do sypialni i złapał na pół ubraną Brendę za ramię.

- Idziemy, ty dziwko. Już.

Uśmiechnęła się. Krew ciekła mu po rękę, a więc dostali i jego. Jeden z konstabli utykał - oberwał w nogę. Drugi, o czym nie wiedziała, leżał martwy na ganku.

Szturchańcami zagonili ją do policyjnej furgonetki i brutalnie wepchnęli do wnętrza. W środku siedziało dwóch mężczyzn. Przepisy zabraniały transportowania kobiet-więźniarek

razem z mężczyznami. Łypali na Brendę, więc otuliła się mocniej szlafrokiem. Jeden podsunął się bliżej z oczywistymi zamiarami. Utkwiła w nim wzrok.

- Moim mężem jest George Zwane - dotknij mnie tylko, a pożałujesz.

Facet zbladł i odpełził do kąta. Brenda odprężyła się.

Zasięg potęgi George'a był przerażający - miała nadzieję, że nie uderzy mu to do głowy.

Zaczęła śpiewać, najpierw cichutko, potem głośniej.

Przyłączyli się do niej obaj mężczyźni. Mboya przyglądał się wściekły, ale nic nie mógł jej zrobić. Jak ona go nienawidziła! Podróż furgonetką nie należała do komfortowych; cały czas rzucało nimi o ściany. W końcu razem, w trójkę, opracowali sposób na utrzymanie się w jednym miejscu. Śpiewali dalej, mimo że kapitan Mboya ciągle tłukł pięściami w deskę oddzielającą ich od kabiny kierowcy.

*

Więzienie wyglądało gorzej, niż Brenda sobie wyobrażała. Cella była mała i niska. Sufit znajdował się tuż nad głową. W kącie stało wiadro na odchody, już w połowie wypełnione, a na podłodze leżała mata, prawdopodobnie do spania. Przy suficie świeciła jedna czterdziestowatowa żarówka, a tuż nad nią znajdowała się dziura umożliwiająca strażnikom stałą kontrolę nad więźniem.

Smród z wiadra był obezwładniający. W końcu z potwornego wyczerpania padła na matę i usnęła. Śniła, że mieli się pobrać z George'em po raz drugi. Wszystko grało, ale nagle, tuż przed ceremonią, przyjechała ciężarówka policyjna i odciągnęli ją od George'a. Nic nie mogła zrobić. Powlekli ją do ciężarówki, a George odwrócił się do niej plecami...

Głośny łomot do drzwi wyrwał ją ze snu. Otworzyła oczy. Drzwi celi uchyliły się i weszła wielka strażniczka trzymając talerz z jedzeniem, które wyglądało na zupełnie niejadalne. Zanim Brenda zdążyła zaprotestować, babsko zdjęło pokrywkę z wiadra, odwróciło ją i na tym postawiło talerz.

Drzwi celi zatrzasnęły się. Brenda usiłowała coś zjeść.

Doczołgała się do kąta. Smród pokrywki od wiadra przyprawiał ją o mdłości. Postanowiła, że nie przełknie ani kęsa; będą musieli żywić ją na siłę, jeżeli zyczyli sobie, żeby jadła.

*

Victoria Loxton nie mogła uwierzyć, że policja znowu aresztowała Brendę Zwane. Natychmiast zaprotestowała, ale zarzuty, pod którymi zatrzymano Brendę, uniemożliwiały widzenie. Obawiała się o życie Brendy.

Była tylko jedna osoba, która mogła jej zapewnić zwolnienie - Kobus van der Post. Ale jutro w parlamencie miała pójść pod głosowanie ustawa o bezpieczeństwie, więc wiedziała, że Kobus będzie bardzo zajęty.

Ociągając się ujęła słuchawkę. W ten sposób Brenda miałaby przynajmniej jakąś szansę.

*

Kobus van der Post z trudem schodził szerokimi schodami parlamentu w Cape Town. Morze dziennikarzy rozstąpiło się przed nim z szacunkiem. Uśmiechnął się do nich. Pragnął być sam chociaż przez parę chwil, więc z ulgą zobaczył, że kierowca już na niego czeka.

Gdy samochód ruszył, Kobus odprężył się i przebiegł myślami wszystkie doniosłe wydarzenia tego ranka.

Dyskutowali nad projektem ustawy Loxtona, zanim przeprowadzili głosowanie. Mając ciągle w pamięci aresztowanie Brendy i wczorajszą, nocną rozmowę z Victorią, przemawiał, protestując gorąco przeciwko ustawie. Zupełnie nie przejmował się wrogimi spojrzeniami Dolpha Kloppera. Loxton skontrował argumentem, że jeżeli ustawa nie przejdzie, cały kraj pograży się w otchłani anarchii i gwałtu. Po głosowaniu nastąpiła krótka przerwa na podliczenie głosów.

Gdy wrócili na salę, Kobus zauważył, że Speaker był blady i spięty. Począł, aż posłowie usiądą, wstał i podał wyniki.

- Oddano jednakową ilość głosów za i przeciw ustawie. Muszę panów prosić o powtórne głosowanie.

Kobus z niewzruszonym spokojem wpatrywał się w Davida Loxtona, który mocno zacisnął usta. Otaczający Loxtona zwolennicy żywo o czymś dyskutowali. Odbyło się drugie głosowanie, więc czekali w olbrzymim napięciu na wynik. Speaker wstał ponownie; tym razem jego zdenerwowanie było ewidentnie widoczne.

- Ponieważ mamy po raz drugi równowagę głosów, zgodnie z zasadami naszego parlamentu muszę ogłosić referendum narodowe.

Kobus czuł, że jego stronnicy ściskają mu rękę. Wstał żeby wyjść i napotkał wzrok Davida Loxtona. Spojrzenie ministra napełniło go niepokojem.

Teraz, w ciszy i samotności, Kobus zrozumiał, że w zasadzie osiągnął sukces. Możliwe, że referendum zatwierdzi ustawę, ale będzie to jednocześnie test potęgi Davida Loxtona. Jeżeli ludzie odrzucą projekt, w rezultacie odrzucą także Loxtona. I to na dobre.

- Dlaczego ją aresztowano? - Kobus twardo domagał się wyjaśnień.

Loxton poczuł, jak kropla zimnego potu cieknie mu z czoła i spada na nienagannie odprasowany, szyty na miarę, garnitur. Przez ostatnie parę miesięcy przetrzymywali setki ludzi bez procesu - była to tajemnica poliszynela. Van der Post specjalnie wypytywał o ten przypadek, aby zgnoić go jeszcze bardziej po głosowaniu nad ustawą.

- Musieliśmy ją przesłuchać z bardzo istotnych powodów, sir - odparł krótko.

- Była przez cały czas na miejscu, gdy tylko chcieliście ją przesłuchiwać. Rozmawiałem o tym z jej obrońcą.

David poczuł, że wszystko się w nim gotuje.

- Nie chciała współpracować, sir - stwierdził gniewnie. Umilkł na chwilę. - Czy to wszystko?

- Nie, nie wszystko! - Kobus uderzył pięścią w stół. - Wypuści ją pan natychmiast!

David Loxton ucichł. Będzie musiał zwolnić Brendę Zwane, ale w taki sposób, aby nie utracić możliwości dokonywania tego typu aresztowań. Możliwość zatrzymania i więzienia ludzi bez procesu była bardzo ważnym elementem utrzymywania bezpieczeństwa.

David spojrzął na gładką twarz naprzeciwko i szare oczy jak ze stali. Nie docenił van der Posta; udar z pewnością osłabił jego zdrowie, ale w niczym nie naruszył możliwości umysłowych. Domyślał się, że ten skurwysyn ma w zanadrzu coś jeszcze.

- Loxton, musi pan zlecić Służbie Bezpieczeństwa odnalezienie człowieka, który nakazał to aresztowanie.

David zerwał się z krzesła. Aż kipiał ze złości.

- Nie!

Van der Post oparł się wygodnie i założył ręce za głowę.

- Pańskie dni w tym rządzie są policzone, Loxton...

- Przepchnę moją ustawę - syknął David. - A kiedy to się stanie, pan będzie już tylko historią...!

7

Dolph Klopper poprawił ojcu czarną marynarkę i cofnął się o krok. Starzec wyglądał w tym garniturze imponująco; mimo że przekroczył już sześćdziesiątkę i jego oczy były ślepe.

- Ojczy, znakomicie! - orzekł dumnie Dolph. - Będziesz się świetnie bawił.

- Gdyby tylko on żył - największy wódz jakiego znał świat! Teraz go oczerniają i potępiają, ale gdybyśmy wtedy mieli trochę więcej czasu... Bomba była prawie gotowa. Wtedy byśmy im wszystkim pokazali! - W głosie starego słycać było nienawiść.

Dolph zawsze żałował, że nie mógł tam być. Służbę Führerowi poczytywał za najwyższy honor. Przeczytał każdą książkę o nim, obejrzał każdy film. Ponieważ Führer poderwał cały naród do walki o słuszną sprawę, Dolph postanowił zjednoczyć swoich ludzi w podobny sposób, aby walczyć z biedą, niesprawiedliwością i bezrobociem. Ojciec służył pod Führerem i był przy nim w ostatnich godzinach życia wodza - a dziś wieczorem będzie przewodniczył uroczystościom ku czci jego urodzin. Dolph bardzo pragnął wziąć w nich udział, ale na przyjęcie wstęp mieli tylko ci, którzy służyli w SS.

Pomógł ojcu włożyć płaszcz. Wyszli razem i udali się do samochodu, olbrzymiego mercedesa-benza, limuzyny, która zazwyczaj stała w stodole za domem.

Gdy usadowili się na tylnych siedzeniach i rozpoczęła się długa podróż do Pretorii, Klopper zwrócił się do syna:

- Pieter jest dobrym kafrem - oznajmił, wskazując czarnego szofera siedzącego za szklaną przegrodą, poza zasięgiem głosu. - Wie, że urodził się aby służyć. Są ulegli tak długo, jak długo wiedzą, że my tu rządymy. Pamiętaj o tym.

Dolph skinął głową. Czarni rzeczywiście stanowili problem. Człowiek nie miał wielkiej ochoty żyć razem z nimi, ale potrzebował ich do pracy w kopalniach i innych gałęziach przemysłu. Jedynym rozwiązaniem było pozwolić im mieszkać w wydzielonych bantustanach i dojeżdżać do pracy na terenach tylko dla białych. Niektórzy z jego najradykalniejszych zwolenników domagali się obozów koncentracyjnych dla czarnych, ale Dolph uważał to za naiwność. Jasne, że należało zredukować znacznie liczbę czarnuchów, ale, jak wyjaśnił ojciec znając problem z doświadczenia, zasady masowej eksterminacji są dość skomplikowane.

W każdym razie byłoby to nie tylko odrażające w sensie biblijnym, ale również niepotrzebne. Wirus AIDS załatwi sprawę za nich. W głębi duszy Dolph uważał, że Bóg stworzył białego człowieka lepszym. Biali muszą rządzić, tak postanowił Pan, a Dolph żył zgodnie z Jego słowem.

Parę minut po ósmej przybyli na miejsce. Przed domem stało sporo wielkich, luksusowych limuzyn, przede wszystkim BMW i mercedesy. Dolph odprowadził ojca do drzwi. Zobaczył w środku wielu innych siwych mężczyzn w ciemnych garniturach. Ojciec ścisnął jego ramię.

- Oni się mną zajmą i dopilnują, abym dotarł z powrotem na farmę. Pamiętaj - oni zawsze pomogą i tobie, jeżeli cokolwiek mi się przytrafi. Dzisiaj poproszę ich o finansowe i polityczne poparcie dla twojej partii.

- Ojczy, to naprawdę niekonieczne - powiedział Dolph. - Są sprawy ważniejsze.

- Takich jak ty jest niewielu i oni o tym wiedzą. Wracaj do domu. Rano będę miał dla ciebie dobre nowiny.

Gdy podszedł do nich wysoki mężczyzna w pince-nez, Dolph zostawił ojca. Usłyszał trzask obcasów.

Ojciec stanął na baczność - chociaż był niewidomy, dobrze wiedział, co ten dźwięk oznacza.

- Heil Hitler!

Echo poniosło salut przez afrykańską noc. Dolph podszedł do samochodu. Mając taką siłę za sobą... Czuł, że przeszłość należała do niego.

*

Kloppera zaprowadzono do pokoju, gdzie dookoła wielkiego, okrągłego stołu siedziała reszta mężczyzn.

Stanął przy honorowym miejscu i chociaż nie mógł widzieć swoich towarzyszy, usłyszał, że wszyscy wstali, aby go powitać.

Zajawszy miejsce Karl Kloppper chrząknął i poczekał na ciszę. Zaczął przemawiać czystą, płynną niemiecką.

- Panowie, to wielka rzecz, że czterdzieści lat po śmierci naszego przywódcy wciąż świętujemy jego urodziny. Sądzę, że nadszedł czas, żeby zapytać: dlaczego.

Przyczyny są bardzo proste.

Pamiętam jego ostatnie słowa, słowa człowieka dręczonego poczuciem winy. Führer czuł, że przegrywając wojnę zdradził nas wszystkich. Wziął całą winę na siebie, ale zobowiązał mnie słowem honoru, że dopilnuję, aby jego ideały nigdy nie umarły.

Po 1945 roku nadszedł upokarzający okres rekonstrukcji. Alianci zgwałcili nasz spustoszony wojną kraj, zabrali najlepszych ludzi do pracy w swoich fabrykach - ale dzisiaj nawet NRD jest cudem gospodarczym. Nazwali to cudem, bo zapomnieli, jak bliscy byliśmy panowania nad światem. Teraz mogę wam powiedzieć to, o czym świat wkrótce usłyszy: Niemcy wschodnie i zachodnie staną się jednym państwem.

Będziemy rządzić znowu!

Usłyszał, że mężczyźni oddają honory. Wiedział, że ciągle jeszcze stali.

- Na całym świecie grupy naszych towarzyszy świętują dziś urodziny Führera. Pamiętaliśmy o lojalności. Wychowaliśmy córki i synów, aby kontynuowali nasze idee. Mój syn stoi o krok od władzy. Do tej pory odbył kilka sekretnych konferencji z ministrem sprawiedliwości. Musicie pomóc Dolphowi, tak jak pomogą mu nasi towarzysze z całego świata. Wciąż dysponujemy wielką potęgą, a możemy zdobyć jeszcze więcej. To nie sen - taka jest przyszłość i wszyscy możemy stać się jej częścią.

Rozległy się burzliwe oklaski; Karl Klopper usiadł, pozostali mężczyźni również, kolejno, dokładnie według rangi.

Zaczął jeść golonkę z kiszoną kapustą, popijając białym winem reńskim ze srebrnego kielicha ozdobionego swastyką. Siedzący obok mężczyzna zagadał:

- Miło cię znowu spotkać, Karl.

- A, Rudi, dawnośmy się nie widzieli, ja?

- Zbyt dawno. Karl, mogę pomóc twojemu synowi, jeżeli obejmie rządy. Znasz sekretarza generalnego ONZ?

- Chodzi ci o doktora Ulricha Klee?

- Był jednym z nas - stwierdził Rudi.

- Ale zdradził? - zapytał Karl.

- Niestety tak. Myśli, że ukryje swoją przeszłość. Ale to my, bez jego wiedzy, pomogliśmy mu wspiąć się na to stanowisko. - Rudi pochylił się, a Karl Klopper wziął kolejną porcję kapusty do ust. - Mamy w naszych aktach fotografie - oznajmił. - Zabijał Żydów osobiście, strzałami z pistoletu.

- W takim razie to wielki człowiek.

- Skontaktowaliśmy się z nim. Zagroziliśmy, że opublikujemy zdjęcia w prasie, jeżeli nie będzie posłuszny.

Karl wybuchnął śmiechem.

- Dzięki, Rudi. To przyda się Dolphowi, i to bardzo. A co u twojego syna?

- U Eryka? Wszystko w porządku - z dumą odparł Rudi. - Nadal mieszka w Argentynie, ale chociaż odnosi sukcesy w przeróżnych interesach, nigdy nie osiągnie tego, co Dolph może tutaj. Sądzę, że będzie chciał pracować dla Dolpha, gdy twój syn obejmie władzę.

- To da się zrobić.

W milczeniu jedli dalej słuchając muzyki Wagnera wypełniającej pokój. Nie było tu żadnych czarnych kelnerów, tylko biali, aryjscy chłopcy w nieskazitelnie białych strojach, którzy starannie obsługiwali wyższych rangą zwierzchników.

Po obiedzie mężczyźni podzielili się na grupy, zaś Karl Klopper zasiadł w fotelu w rogu pokoju, jak król na tronie rozmawiający z poddanymi. Pół godziny później wstał i zasalutował ostatni raz. Jeden z mężczyzn odprowadził go do czekającego samochodu. Karl był bardzo zadowolony. Miał za sobą wesoły i owocny wieczór.

*

Dolph Klopper wstał rano i odsłonił zasłony, żeby wpuścić światło dnia do hotelowej sypialni. Co za przyjemność mieszkać w takim pokoju - jakość wyposażenia była znakomita, a obsługa w jadalni wczoraj wieczór wywarła na nim wielkie wrażenie. Tutaj, w Monachium, czuł się jak w domu, choć w głębi duszy był smutny - wolałby mieszkać tu niż w Afryce. Ale w Afryce miał do spełnienia misję, do której powołał go Pan.

Zadzwoił stojący obok łóżka telefon. Odebrał.

- Ja?

- Panie Klopper, pańska taksówka czeka.

Spojrzał na zegarek. Dokładnie szósta piętnaście, tak jak zamówił. Złapał aktówkę i zbiegł do czekającego wozu. Wkrótce mknął ulicami Monachium.

Młody taksówkarz znakomicie prowadził mercedesa.

Dolph postanowił nawiązać rozmowę.

- To piękny kraj.

Kierowca odwrócił się i uśmiechnął.

- Tak, piękny. Myślałem, że pan jest Niemcem? - Chłopak był wyraźnie zaintrygowany. Miał dwadzieścia siedem, osiem lat, blond włosy, twardą teutońską twarz.

- Tylko niemieckiego pochodzenia. Jestem z RPA, mój ojciec walczył za Niemcy w czasie wojny.

- Od tego czasu przebyliśmy długą drogę - odparł młody człowiek serdecznie.

Przejeżdżali właśnie koło Odeon Platz, gdzie Führer wygłosił większość swoich charyzmatycznych przemówień.

- Szkoda, że nie wygraliście wojny - ciągnął Dolph.

Nie zauważył, że chłopak ściągnął usta i zaczął nerwowo bębnić palcami po kierownicy.

- To byłaby hańba - stwierdził kierowca.

Ten komentarz zupełnie zbił Dolpha z tropu.

- Nie, bylibyście dumni. Władalibyście, żadnych Żydów...

- Niemieckich Żydów - mruknął chłopak.

- Żydzi to nie Niemcy - gniewnie odparł Dolph.

Ten piękny Niemiec musiał paść ofiarą nowego systemu wychowania. Nie będzie takich wielu, jeżeli Niemcy odzyskają swą dumę.

Rozmowa się urwała, a Dolph zadowolił się oglądaniem mijanych budowli. Przejechali koło gigantycznych cylindrów BMW, potem skręcili w lewo i skierowali ku stadionowi olimpijskiemu. Gdy się zatrzymali, Dolph zapytał, ile płaci. Chłopak potrząsnął głową.

- Nie wezmę pańskich parszywych pieniędzy - odpowiedział nie patrząc na Dolpha.

Dolph szarpnął drzwiami taksówki i wyciągnął chłopaka za kołnierz zza kierownicy. Szofer usiłował się bronić, ale dla Dolpha nie był żadnym przeciwnikiem.

Klopper pchnął go na maskę, zacisnął ręce na szyi i przydusił do szyby.

Odczekał chwilę, aż chłopak osłabnie i zmienił chwyt, łapiąc go za włosy. Tłukł głową kierowcy o maskę, póki czerwone strużki nie pociekły po białym lakierze. Niemiec chwiał się na nogach, z oczu kapąły mu łzy. Dolph zacisnął mu rękę na ustach. Przyciągnął zakrwawioną twarz do swojej.

- Słuchaj, gnojku! Naucz się trzymać mordę na kłódkę! A teraz jazda!

Patrzył, jak kierowca wpełza do wozu i wolno odjeżdża. Słabość - to właśnie zniszczyło tego młodzieńca.

To ona zniszczyła RPA.

Sala gimnastyczna, do której Dolph w końcu dotarł, była najwspanialszą ze wszystkich, jakie do tej pory oglądał - olbrzymia, przestronna i wyposażona w najnowocześniejszy sprzęt. Podszedł do niego jasnowłosy mężczyzna, prawie o stopę wyższy od Dolpha, ubrany jedynie w szorty. Jego jasna karnacja kontrastowała z ciemną skórą Kloppera. Ciało miał znakomicie umięśnione. Mógł nawet konkurować z Dolphem. Twardy zarys szczęki sygnalizował groźną pewność siebie i determinację. Mówił po niemiecku.

- Dolph Klopper?

- Dolph uścisnął wyciągniętą dłoń.

- Miło pana poznać.

Reinhold Steiner był prawie w tym samym wieku co Dolph, ale całe życie spędził w Niemczech. Jego ojciec zginął na froncie wschodnim, a on sam urodził się tuż po kapitulacji Rzeszy. Zmieniono mu nazwisko na Krupp i dopiero w wieku lat dwudziestu dowiedział się od swoich przybranych rodziców, że jego ojciec był nie tylko wpływowym, ale także bardzo bogatym człowiekiem. Reinhold Steiner został dziedzicem prawdziwej fortuny zdeponowanej w banku szwajcarskim.

W tym czasie ukończył studia z dyplomem inżyniera i ku przerażeniu przybranych rodziców zużył pieniądze na założenie fabryki specjalizującej się w budowie i ulepszeniu silników wysokoprężnych. Pięć lat później przysła imponująca seria zwycięstw w Formule 1 i silniki Steinera zaczęły konkurować z wieloma słynnymi firmami niemieckimi.

Jednak dla Reinholda Steinera ten sukces był jedynie etapem do większych rzeczy. Poza granicami RFN otworzył inne fabryki, którymi zarządzał przez podstawionych ludzi, i szybko awansował do ekstraklasy producentów broni. Następnie zaczął działać jako pośrednik w handlu bronią, kupując każdy sprzęt wojskowy, jaki był pod ręką; od samolotów i czołgów po głowice nuklearne. Sprzedawał towar nabywcom, którzy płacili najwięcej. W związku z tym był jednym z najbogatszych ludzi na świecie. Teraz, posługując się ludźmi takimi jak Dolph, miał zamiar rozszerzyć znacznie swoje zakulisowe wpływy polityczne.

Steiner i Klopper ćwiczyli całą godzinę, rywalizując ze sobą ostro, aż dosłownie spłynęli potem. Prawie nic nie mówili przez ten czas, odkładając dyskusję na później. Po ćwiczeniach wzięli prysznic i przeszli do sauny. Dopiero wtedy Steiner, wygodnie oparty o białe kafelki, zagadnął Kloppera, obserwując go uważnie:

- Jakie są pańskie szanse na objęcie władzy?

Oczy Dolpha zabłysły.

- Znakomite. Na razie osiągnęliśmy wszystko dzięki mądrym planowaniu i pertraktacjom. Nasz rząd jest słaby. Zapewniłem sobie poparcie Davida Loxtona, ministra sprawiedliwości.

- Tak, ale... A co będzie, jeżeli ustawa Loxtona przypadnie w referendum? Jeżeli van der Post go zdymisjonuje?

Steiner stawiał pytania i przez cały czas obserwował Kloppera oceniając jego odpowiedzi.

- Mamy plan awaryjny...

Steiner zachichotał.

- Dobrze znam Davida Loxtona. Nie sądzę, aby można było mu ufać.

Dolph uśmiechnął się niepewnie.

- Ma pan rację, ale myślę, że uda mi się go wykorzystać.

Steiner poprawił ręcznik i ułożył się wygodnie na drewnianej ławie. Przez moment nie odpowiadał. Dolph czuł się nieswojo. Potrzebował poparcia i pieniędzy Steinera.

- W porządku - odparł po chwili Steiner. - Ale pozbędzie się pan Loxtona, jak tylko nadarzy się okazja. Środowisko polityczne w Afryce błyskawicznie się zmieni. AIDS to dla

nas błogosławieństwo. Ludzie, którzy dla mnie pracują, hodują wirusa. Jest na sprzedaż i można go kupić, aby rozwiązać, na przykład, problem przeludnienia.

Steiner przekreślił się na bok i wpatrywał w Dolpha.

- Jeżeli chociaż jedno słowo na ten temat przecieknie na zewnątrz, jest pan martwym człowiekiem, przyjacielu - rzekł cicho.

Dolph pochylił się.

- Pańskie plany są także moimi.

- Lojalność udowadnia się czynem, a nie słowem.

- Usunę Loxtona we właściwym czasie. Kiedy obejmę rządy, znacjonalizuję kopalnie złota...

W oczach Steinera pojawił się błysk rozmarzenia.

Dolph dał mu parę minut czasu na fantazje i naciskał dalej:

- Potrzebuję pańskich pieniędzy i wpływów.

- Otrzyma pan i jedno, i drugie. Już zacząłem się zajmować ONZ-em, więc proszę się nie martwić, że będą panu przeszkadzać. A co zrobimy z van der Postem? Cieszy się wielkim poparciem USA.

Dolph zeszytniał. Nie ma co oszukiwać samego siebie - prezydent był także i jego zmartwieniem, już od dawna.

- Loxton go nienawidzi. Nie sądzę, żeby van der Post żył długo. Miał już udar mózgu...

- A jeżeli obali ustawę Loxtona? Jeżeli poprawi się stan jego zdrowia?

- Podjąłem już pewne kroki w tej sprawie.

*

Młody Murzyn przypatrywał się uniwersytetowi Berkeley przez okna swojego gabinetu. Rozmyślał o kraju, w którym urodził się jego ojciec i on sam. W wieku lat trzydziestu pięciu był profesorem politologii, uznanym autorytetem międzynarodowym i ojcem dwóch cudownych dzieciaków. Poślubiona dziesięć lat temu żona była lekarzem. Trudno sobie wyobrazić lepsze małżeństwo - a mimo to był nieszczęśliwy.

Ponownie zerknął na rozłożoną gazetę i zdjęcie starszego brata, George'a Zwane. Z George'em zawsze były kłopoty - podobnie jak młodszy brat, otrzymał stypendium naukowe w USA, ale je odrzucił. Teraz ojciec nie żył, po trzydziestu latach więzienia zastrzelony z premedytacją w dniu zwolnienia. A George, znakomity prawnik, zabił policjanta...

Malcolm Zwane patrzył na młodych ludzi kręcących się po starannie utrzymanych trawnikach kampusu.

Ale oczami duszy widział ścieki przepelnione odpadkami, slumsy i drapacze chmur, płonący veld i falującą sawannę, czuł zapach ciepłego, wilgotnego powietrza Transwalu po popołudniowej burzy. Czy opuszczając kraj i żyjąc tutaj nie zdradził swojego narodu?

Zanurzył głowę w dłoniach przytłoczony poczuciem winy. A żona i dzieci? Nie mógł wpakować ich w to wszystko bez przygotowania.

Odwrócił się, ponieważ ktoś zapukał do drzwi.

- Profesorze Zwane, czy jest pan zajęty? - zapytał głos z korytarza.

- Nie. Proszę, proszę wejść.

Stała w drzwiach uśmiechając się do niego kpiąco.

Biały fartuch lekarza bynajmniej nie ukrywał jej fantastycznej figury.

- Alice, jak to miło...

Przytulił ją i pocałował. Zajrzała mu w oczy.

- Coś jest nie w porządku? - spytała, przeciągając wyrazy ze śpiewnym, południowym akcentem.

- Nie, nic.

Spojrzała na leżącą na biurku gazetę z RPA i rozpoznała szwagra, choć nigdy się nie spotkali. Usiadła w fotelu Malcolma i studiowała wyraz jego urodziwej twarzy. Czasami wydawało jej się, że zna go dobrze, ale Malcolm ukrywał przed nią pewne rzeczy sądząc, że mógłby ją zmartwić.

- Malcolm - ujęła jego rękę - musimy pogadać.

Skrzywił się, ale wiedział, że nie może jej zbyć byle czym.

- Ukrywasz przede mną pewne sprawy. Wiem, że musisz stawić czoło wielu problemom, ale chcę je rozwiązywać razem z tobą.

Potrząsnął głową.

Pochyliła się i dotknęła jego dłoni.

- Chcesz wrócić? Jadę z tobą.

- Chciałabyś? - Twarz mu pojaśniała.

- Kocham cię. Sądysz, że cię nie rozumiem?

Z ponurą miną znowu potrząsnął głową.

- Malcolm, moi przodkowie przybyli tu jako niewolnicy. Nie zapominaj, co to znaczy. Wiem, że może będę musiała poświęcić się dla ciebie. Ale to okay. Jestem coś winna ojcu i dziadom, którzy przygotowali drogę, abym mogła dzisiaj być tym, kim jestem.

Spojrzał znowu na gazetę na biurku i na list od Afrykańskiego Kongresu Wolności. Patrzył w brązowe oczy Alice.

- Tak, wróć do kraju, w którym się urodziłem. Ale jeszcze nie teraz. Będę wiedział, kiedy nadejdzie właściwy czas - powiedział cicho.

Znowu odwrócił się do okna i przyglądał młodym ludziom. Alice podeszła i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Zawsze wiedziałam, że któregoś dnia zostaniesz wodzem swego ludu - stwierdziła.

*

Ken Silke odgarnął z czoła rzadkie, siwe włosy i wziął Maxa na stronę. Właśnie opuścili zatłoczoną salę sądową w Gaborone. Max wyraźnie kipiał z wściekłości.

- Max, uspokój się - powiedział. - Wytoczono bardzo poważne zarzuty przeciwko tobie i wszystkie zostały obalone.

Max spojrzał na swojego adwokata: niskiego, pękatego faceta, którego zdolności do wyciągania ludzi ze spraw na oko beznadziejnych były legendarne.

- Przykro mi, Ken, wybac. Wyciągnąłeś mnie z tego, ale drażnią mnie sprawy, których nie wyjaśniono. Kto próbował mnie zabić? Dlaczego pozwolono mu zwać? Dlaczego go nie poszukiwano? I dlaczego wszyscy łąą?

Zerkając na faceta, który zbliżył się do nich, Ken odciągnął Maxa dalej.

- Dokonałeś wielu wspaniałych rzeczy. Twoje kopalnie, hotele... Ale angażujesz się w politykę. Otwarcie kontaktujesz się z radykałami i przywódcami niezbyt życzliwych nam państw. A teraz finansujesz projekt, który może dać setkom udręczonych, gnębionych ludzi szansę na lepsze życie.

- No to co?

- Jest wielu takich, którzy chcieliby cię usunąć z drogi.

*

Na lotnisku czekał jego samolot. Przed lotem Max skontrolował starannie wszystkie urządzenia. Teraz gdy unosił się w powietrze, poczuł, że jego problemy i zdenerwowanie zniknęły. Kierował się na północ.

Z lewej strony zachodziło słońce. Nareszcie był sam ze sobą i mógł pozbierać myśli. W dole, po drodze do jego duchowego domu, rozciągała się pustynia.

Później tereny pustynne ustąpiły miejsca cudownym wodnym obszarom, połaciom bujnej roślinności i malutkim wysepkom pokrytym palmami. Zawsze ogarniał go zachwyty na widok tego klejnotu Kalahari. Tuż przed zachodem słońca wylądował na malutkim pasie startowym koło swojego obozowiska, blisko Chiefs Island, w sercu bagien Okavango. A ona czekała już tam w zdezelowanym dziupie, aby go powitać.

Zgasił silniki i wyskoczył z kabiny wprost w jej ramiona. Natychmiast otoczyła go muzyka buszu. Ucieszył się, że nie użyła tym razem swych ulubionych perfum, co świadczyło o tym, że rozumiała to miejsce i jego nastrój, tak odmienny od miejskiego gwaru, do którego przywykli.

Trzymał ją w objęciach przez długi czas. Łącząca ich na początku czysto cielesna namiętność zmieniała się w głębokie, o wiele potężniejsze uczucie. Potrzebował jej; nie wystarczyło już tylko spotykać się od czasu do czasu.

Prowadziła dżipa długą, krętą drogą, wiodącą w głąb bagien. Tu i ówdzie szlak ginął pod wodą i słychać było świst opon rozchlapujących kałuże. Zdecydował się - mógł jej pokazać wszystko, nawet to najświętsze miejsce.

Zobaczywszy w oddali cień, Saffron zatrzymała wóz.

Wyłączyła silnik i czekała. Otaczała ich woda. Po paru minutach stadko lwów przeszło obok nich. Ocierając się o boki dżipa zwierzęta przeprowały się przez rozlewisko. Na przedzie szły trzy gibkie samice, sprężone jak do skoku, potem stary samiec-wojownik, z ciemną grzywą otaczającą potężny, groźny łeb. Kiedy lwy przeszły, Max gestem nakazał Saffron uruchomić wóz i ruszyli za stadem w głąb dżungli.

- Mamy szczęście widząc tu lwy - wyszeptał. - Zazwyczaj widuje się je tylko na większych wyspach niż ta. Spójrz, jak przystosowały się do środowiska - przeszły przez wodę zupełnie pewnie, prawdopodobnie umiałyby przepłynąć z wyspy na wyspę. Ale teraz uważaj: zbliżamy się do brzegu rzeki. Nie chciałbym wybrać się na podwodną przejażdżkę z krokodylami.

Wyciągnął ze schowka latarkę - strumień światła zagłębił się w ciemność i oświetlił kawałek buszu białym, jaskrawym światłem. Dostrzegł jeszcze ogon jednej z lwic i wjechali w busz jej tropem. Lwice zaczęły się w nadziei upolowania jelenia wracającego od wodopoju. Saffron nie mogła uwierzyć, że nie są podenerwowane ich obecnością.

- Nie zdają sobie sprawy z obecności człowieka - wyszeptał znowu Max. - Nie należymy do ich świata, bo siedzimy w wozie, ale gdybyś wysiadła i spróbowała zrobić parę kroków - dopadłyby cię natychmiast.

- Dzięki. Mam nadzieję, że nie złapaliśmy gumy.

Ucichła. Przed nimi na polance pojawił się mały jelonek. Stał nieruchomo; zmysły ostrzegały go przed niebezpieczeństwem, ale wyraźnie nie wiedział, co robić. Odwrócił się, zamierzając cofnąć się do wodopoju.

Saffron krzyknęła, gdy lwica wyskoczyła z zarośli: same mięśnie i energia bez wysiłku podążające za uciekającym jelonkiem. Jak na zwolnionym filmie dopadła swej

drobnej ofiary, rozciągając ją na ziemi jednym ciosem potężnej łapy. Inne lwice dołączyły do uczty. Staremu lwu, przodownikowi stada, zostawiono najlepsze kęski. Jadł w ciszy, obserwując czające się wokół samice. Wtem Saffron usłyszała jakiś hałas i dostrzegła w ciemności parę groźnych ślepiów.

- Hiena - cicho wyjaśnił Max. - Czekaj, aż lwy odejdą, a wtedy będzie ucztować na resztkach padliny. Busz jest niewiarygodnie oszczędny - nic się tu nie marnuje. Jedźmy.

Zapaliła silnik i cofnęła się przez zarośla z powrotem na drogę. Noc nie wydawała się jej już tak przyjazna, a Max, wyczuwając to, objął ją ramieniem.

Obozowisko, do którego dotarli, było oświetlone wieloma pochodniami zwieszającymi się z drzew. Sznur świateł ciągnął się aż do brzegu, gdzie przy malutkim molo cumowało kilka mokorów podobnych do kajaków. Max usłyszał skwierczenie smażonego mięsa. Gdy wszedł do bomy, ogrodzenia z trzciny, zobaczył małego, siwego człowieczka przygotowującego mięso nad płomieniem ogniska.

- Gumsa!

Starzec aż podskoczył, odwrócił się i podbiegł do Maxa. Ściskając jego rękę, mówił buszmeńskim językiem san, z charakterystycznymi trzeszczącymi głoskami, językiem znanym tylko garstce białych.

- Gwiazdy przepowiedziały twój przyjazd, Kaikhoe.

- Gwiazdy nigdy nie kłamią.

Wśród Buszmenów Maxa zwano Kaikhoe - znali opowieść o jego narodzinach; jak szaman położył dłonie na chorym dziecku i kazał matce zostawić je na noc w buszu, aby złe duchy opuściły niemowlę. I jak po zachodzie i wschodzie słońca matka wróciła i znalazła dziecko żywe. Wszyscy podziwiali waleczną duszę niemowlęcia. Nazwali je Kaikhoe - wojownik.

Oczy starca przesunęły się po twarzy Maxa i zagłębiły w jego źrenicach.

- Kaikhoe, z gwiazd wyczytałem, że masz wiele kłopotów. Ta śniada kobieta o włosach jak noc, czy jest twoja?

- Nie, nigdy nie będzie do końca moja.

Wiedział, że Saffron nigdy nie będzie w pełni należała do niego. Tkwiła w niej jakaś pierwotna dzikość. Może właśnie to tak go pociągało?

- Kaikhoe, żadna kobieta ci się nie oprze - stwierdził Gumsa i z dumą dodał: - Kazałem ją zabrać na wodę.

- W mokoro?

- Tak. Z początku trochę się bała, ale teraz się śmieje. Podoba mi się. Urodzi ci wiele dzieci.

- Jakich dzieci, Gumsa?

- Mężczyzna musi mieć dzieci.

Max przykucnął koło ogniska i wpatrując się w rozżarzone węgle wchłaniał aromat mięsa gotującego się w garnku na trójnogu.

- Kaikhoe, jutro wyruszamy na łowy. Wytropisz mi bawołu kudu?

- Wytropię takiego kudu, jakiego w życiu nie widziałeś.

Max wstał i wyszedł z bomy. Ku swemu przerażeniu zobaczył Saffron stojącą na brzegu. Podskoczył i odciągnął ją od wody.

- Hej, co tak brutalnie? - krzyknęła, gdy szarpnął ją za ramię.

Nie chciał oczywiście sprawić jej bólu, ale przeraziła go śmiertelnie.

- Krokodyle nie są wybredne, łatwo mogłaś skończyć jako ich kolacja!

Przesunął wzrokiem po krągłościach kryjących się pod luźną bluzką safari. Podeszła bliżej, wyczuwając jego myśli. Przytulił ją.

- Czy zawsze całujesz się z otwartymi oczami? - spytała.

- Lubię widzieć, kogo całuję. Lubię na ciebie patrzeć.

- Jesteś drapieżnikiem, wiesz o tym? - Spojrzała mu w oczy i ciągnęła: - Tutaj zachowujesz się inaczej niż zwykle. Wiedziałam, że tkwi w tobie drugie „ja”.

- Zdaje się, że owinęłaś sobie Gumsę wokół palca?

- Oprowadził mnie po wyspie. Ma takie dziwne imię... Skąd?

- Ha, ciekawość filmowca! Buszmeni zazwyczaj nadają dzieciom imiona związane z jakimś wydarzeniem po ich urodzeniu. Gumsa oznacza dziurę - jego matka wpadła do mrówczego dołu.

Trzymając się za ręce skierowali się w stronę bomy, gdzie czekał przygotowany przez Gumsę posiłek. W rogu ogrodzenia, na pniu, stały dwa kieliszki i otwarta butelka wina. Max nalał wina do kieliszków. Podał jej jeden.

- Za miłość!

Zielone oczy zabłyśły. Uśmiechnęła się do niego.

- Za nas.

Na brzegu stała mała chatka z sitowia pokryta strzechą. Kochali się na wielkim, podwójnym łożu, stojącym pośrodku izby. Bycie razem, tak jak teraz, pogłębiało w Maxie uczucie tęsknoty. Pragnął, by zawsze byli razem. Ale nie chciał jej do niczego zmuszać; sama musiała podjąć decyzję we właściwym czasie. Podziwiał płomienną pasję, która czyniła ją

tym, kim była; nieodpartą potrzebę łamania konwencjonalnych barier i życia pełnym życiem. Reprezentowała wartości, o które zawsze walczyła jego matka.

Wrócił pamięcią do tej ostatniej chwili, kiedy widział Tracey. Miał wtedy osiem lat. Matka i ojciec kłócili się potwornie; w pamięci wciąż tkwiły mu straszne krzyki i wyzwiska. Potem Tracey wbiegła do pokoju cała we łzach, pochyliła się nad nim i pocałowała w czoło.

Pamiętał dokładnie słowa, które wypowiedziała wtedy w języku Buszmenów, ludzi, których kochała:

- Bądź silny, Kaikhoe. Rób to, co uważasz za słuszne, żyj dla rzeczy, które uważasz za właściwe. Kocham cię.

I odeszła. Słyszał warkot odjeżdżającego samochodu.

Późno w nocy zadzwonił telefon. Pamiętał ojca i jego nagle poszarzałą twarz. David prawie nie mógł utrzymać się na nogach, z oczu płynęły mu łzy. Wiedzieli, że matka nie żyje - on, Victoria i Lucinda - i obwiniali o to ojca, aż do dzisiaj. Mimo że podobno zginęła w wypadku, Max wiedział, że było to samobójstwo i czuł, że odpowiedzialność ponosił ojciec.

Zachował wszystkie jej fotografie i obrazy. Zostawiła mu je w testamencie razem z tą wyspą.

*

Mokoro cięło wodę tak łatwo, jak strzała powietrze - cicho, ale pewnie. Gumsa stał z tyłu niby gondolier, z tą różnicą, że nie był to wenecki kanał, więc gdyby wypadł za burzę, jego zdrowie nie ucierpiałoby z powodu brudnej wody - krokodyle pożarłyby go w mgnieniu oka.

Wsunął drąg w sitowie, pchnął i mokoro strzeliło do przodu. Max uniósł do oczu lornetkę, potem podał ją siedzącej po turecku Saffron. Na gałęzi krzewu dojrzała zimorodka. Jasnoblękitne pióra ptaszka kontrastowały wyraźnie z otaczającą zielenią. Opuściła lornetkę i spojrzała w dół. Na powierzchni krystalicznej wody widziała tysiące lilii wodnych i gąszcz papirusu porastający brzegi wąskiego kanału. Gumsa gestem wskazał jej coś po lewej stronie rzeki - gromada krokodyli wygrzewała się na brzegu. Gdy przepływali obok, gady wśliznęły się do wody gotowe sprawdzić, czy nie mija ich coś nadającego się do zjedzenia.

Późnym popołudniem wrócili do obozu. Gorące powietrze aż drżało od buczenia owadów. Saffron z rozkoszą wzięła gorący prysznic w bomie za obozem. Intensywna zieleń bagien przyciągała ją i odstraszała zarazem. Przerazała, gdyż wiedziała, że zostawiona tam sama zginęłaby w kilka godzin. Przyciągała, bo nigdy w życiu nie była w równie cudownym miejscu.

Tej nocy przy ognisku poruszyła temat gnębiący ją od tygodni.

- Kochanie, czy uwierzyłeś, kiedy ci powiedziałam, że nigdy przedtem nie miałam romansu?

Serce zabiło mu mocniej.

- Uwierzyłem.

- Widzisz, z początku kochałam Johna. Dopiero później zdałam sobie sprawę, że stałam się jego własnością. Traktował mnie jak rzecz, nie jak osobę.

- I nadal byłaś mu wierna?

- Nie było nikogo, kogo mogłabym pragnąć. Żaden z mężczyzn, których znałam, nie był tak silny jak John. I wtedy spotkałam ciebie.

Dorzuciła drewna do dogasającego ogniska.

- Max - powiedziała - ja już tak dłużej nie mogę. - Kiedy ją przytulił, rozplakała się z rozpacz. - Nie wiem, co mam zrobić. Boję się, że mógłbyś mnie opuścić i że stracę wtedy wszystko. Potrzebuję mężczyzny, nie tylko kochanka.

Tuląc ją do siebie wpatrywał się w noc, jakby szukał w ciemnościach odpowiedzi. Sam też się bał. Pamiętał klęskę swojego pierwszego małżeństwa. Z początku byli w sobie zakochani, ale gdy ich związek został uświęcony przez prawo, miłość rozwiła się. Wtedy postanowił, że nigdy więcej się nie ożeni, ale teraz zmienił zdanie.

Saffron zwróciła ku niemu twarz. Całowali się. Był to długi, rozpaczliwy pocałunek. Jak gdyby byli jednością i obawiali się rozstania, które uczyniłoby ich tylko półludźmi. W końcu odsunęli się od siebie. Saffron oparła się o jego pierś i wpatrywała w płonący ogień, który rzucał na ich twarze czerwone refleksy i dziwaczne cienie.

- Saffron... - Popatrzył w gwiazdy i pomodlił się w duchu, aby zatrzymać tę chwilę na zawsze. - Czy wyjdiesz za mnie?

Patrzyła w płomienie.

- Tak - odpowiedziała cicho.

W czerwieni ognia jego twarz odzyskała spokój. Obrócił Saffron ku sobie i otarł jej łzy.

- Max?

Pochylił się i pocałował ją w czoło.

- O tym właśnie marzyłem. Na to czekałem - powiedział.

Potem kochali się na piasku, tuż obok żarzących się węgla. Byli sobie bardziej bliscy, niż kiedykolwiek przedtem.

Czas ruszać. W małym pokoiku, który przez tak długi czas był jej domem, stały spakowane walizki; za parę minut miała się zjawić Victoria. Prawie nie mogła uwierzyć, że znowu ją wypuszczają. To ją przerażało.

Ile już razy została wypisana i parę dni później odwieziona tu z powrotem?

Czesząc włosy przed lustrem, przyjrzała się sobie uważnie. Widziała bladą, piegowatą twarz i duże ciemnobrązowe oczy otoczone drobnymi zmarszczkami zmartwienia. Wciąż była nieświadoma swojej piękności: doskonale wyrzeźbionej twarzy z arystokratyczną linią podbródka i delikatnymi kośćmi policzkowymi.

Nie wiedziała, że była urzekająca, że jasna szminka i delikatne perfumy, których używała, cudownie dodawały jej uroku. W oczach miała czar naiwności ukrywający cierpienia jej duszy.

Była malarką. Malowała z ognistą energią, w ekspresjonistycznym, przerażającym stylu, który zadziwiał wszystkich oglądających. Dzikie pociągnięcia pędzlem, ostre kolory, twarze gniewnie patrzące z płótna i świat pełen szaleństwa. Psychiatrzy starannie badali te obrazy, usiłując w nich znaleźć klucz do źródła jej rozpacz, ale nie umieli odkryć nic, co otworzyłoby drzwi do dziwnego, sekretnego świata jej umysłu.

Wzięła walizki i wyszła na korytarz. Przystanąła, aby wygładzić fałdy błękitnej sukni. Piękne piersi odznaczały się pod cienkim materiałem, a linia wąskich bioder przekształcała tę zwyczajną sukienkę w coś wyjątkowego i zmysłowego. Dostrzegła idącego w jej kierunku doktora Spratta i uśmiechnęła się wspominając jego wysiłki żeby ją zrozumieć i swoje, żeby starannie zawęzić odpowiedzi na jego pytania.

Spratt patrzył na nią tęsknie. Był zakochany w Lucindzie. Jaka to straszna tragedia, że ktoś tak piękny i doskonały musi jednocześnie cierpieć tak bardzo.

- Dobrze się czujesz, Lucindo? - spytał ostrożnie.

- Zawsze się dobrze czuję, gdy pozwalają mi stąd wyjść - odparła szorstko.

- Możesz dać sobie radę, Lucindo. Nie musisz już nigdy oglądać tego szpitala.

- Wcale nie chcę. I nigdy nie chciałam.

Widział to znowu - napięcie, wewnętrzne wrzenie.

Ale nienawisć została okiełznana, w czasie kiedy tu przebywała. Mogła się kontrolować.

Odprowadził ją do drzwi i mocno uściśnął dłoń.

- Lucindo, wiesz, że to nie jest miejsce dla ciebie. Zaslugujesz na miłość.

- Miłość? A komu, do diabła, potrzebna jest miłość?

Znowu dostrzegł błysk gniewu. Co się za tym kryło?

Nie mogli znaleźć rozwiązania. Odpowiedź kryła się w tym błyskotliwym umyśle. Dopóki sama tego nie wyzna, nie wykrzyczy z siebie, nie uwolni się od tej śmiertelnej tendencji do tracenia równowagi psychicznej - nie podobały mu się słowa „szaleństwo”, czy „niepoczytalność”.

- Żegnaj - powiedział smutno, patrząc jak schodziła po schodach do czekającego na nią samochodu. Nie odwróciła się. Nie obdarzyła go nawet jednym spojrzeniem na pożegnanie.

*

Victoria mocno zacisnęła ręce na kierownicy. Piękność Lucindy za każdym razem zbijala ją z tropu i zadziwiała. Brakowało jej słów, jej, Victorii Loxton, która nigdy nie wypowiedziała nawet jednego niewłaściwego słowa na sali sądowej, która toczyła słowne pojedynki z najblyskotliwszymi umysłami w kraju.

Obawiała się własnej siostry! Należało skoncentrować się na prowadzeniu.

- Gdzie Max? - szybko spytała Lucinda. Pierwsze pytanie umysłu, który nigdy nie przestawał zadawać pytań.

- Nad Okavango, w obozie - odparła Victoria, patrząc uważnie na ciężarówkę przed nimi, która właśnie zaczęła hamować.

- W obozie mamy?

- Tak, tam.

Dlaczego - rozmyślała Victoria - Lucinda nie mogła zapomnieć o przeszłości? Większość ludzi pamięta tylko przyjemne momenty z dzieciństwa, a wyrzuca z pamięci złe. U Lucindy było odwrotnie.

- Kiedy wróci?

- Ja... Ma jakieś interesy w Gaberone. Nie jestem pewna.

- Coś nie tak, prawda?

Victoria już dawno obiecała sobie, że nie będzie nic przed Lucindą ukrywała i że będzie ją traktowała jak normalnego człowieka. Więc opowiedziała siostrze o człowieku, który próbował zastrzelić Maxa w hotelu w Gaberone, o sprawie sądowej i oskarżeniu brata o publiczne użycie przemocy.

Lucinda nie skomentowała tego, tylko spytała:

- Czy dalej jest samotny?

Jej głos odbijał się echem w głowie Victorii i przypominał o czającym się szaleństwie.

- Nie - odparła, usiłując zachować spokój. - Ma kogoś nowego.

- Jak on mógł w ogóle ożenić się z tą kurwą! Ale zawsze był impulsywny.

- Max ma gdzieś to, co myślą inni - odpowiedziała Victoria. I dodała: - Przygotowałam dla ciebie pokoje.

Lucinda uśmiechnęła się. Nareszcie wolność! Teraz będzie mogła pójść dokądkolwiek zechce i pogadać z kimkolwiek zapragnie.

- Chciałabym być samodzielna - oznajmiła. - Ale zostanę do czasu, aż znajdę jakąś pracę.

Praca i Lucinda - to nie był najlepszy pomysł; Victoria miała nadzieję, że siostra znowu zacznie malować.

- Nie musisz pracować - stwierdziła. - Masz przecież stałą rentę.

Nagle, bez ostrzeżenia, Lucinda głośno krzyknęła; jej twarz wykrzywiła wściekłość. Vicky prawie wpadła na jadący po lewej samochód. Desperacko szarpnęła wozem, zjechała na pobocze i zatrzymała się. Wskoczyła i otworzyła drzwi z drugiej strony. Złapała ciągle wrzeszczącą Lucindę i pociągnęła za sobą w dół, nad stromy brzeg płytkiego strumienia. Wbiegła do wody wciągając za sobą siostrę.

Stopniowo Lucinda uciszyła się, a jej oddech uspokoił. Wyszły na brzeg i położyły się ociekając wodą w gorącym, popołudniowym słońcu. Dopiero po chwili Victoria otworzyła oczy i zobaczyła policjanta z drogówki przyglądającego się im podejrzliwie.

- Tu nie wolno się zatrzymywać, proszę pani.

- Moja siostra źle się czuje - powiedziała Victoria. - Nie widzi pan?

Policjant miał niepewną minę.

- No dobrze, ale musi pani odjechać natychmiast, jak tylko siostra poczuje się lepiej.

- Odjadę. Proszę - głos Victorii złagodniał - proszę zostawić nas same.

Po odejściu policjanta Lucinda leżała spokojnie. Wściekłość z niej wyparowała. Nagle uniosła głowę i popatrzyła siostrze w oczy.

- Nigdy nie wezmę jego pieniędzy - powiedziała. Piękna twarz była zalana łzami. - Nie zabieraj mnie tam z powrotem - błagała. - Proszę, nie zamykaj mnie tam, proszę, Vicky.

- Nie zrobię tego, obiecuję, nie zrobię.

*

John Packard odgarnął do tyłu białe włosy. Jego przystojna twarz była zupełnie spokojna i jedynie prawa brew drgała mu lekko. Nie odrywał oczu od fotografii

porozrzucanych jak confetti po biurku. Przedstawiały dwa nagie ciała splecione w uścisku miłosnym - Saffron w ramionach tego zwierzaka, Maxa Loxtona.

W dzień po bójce w restauracji Saffron przysła do niego sama. Taka właśnie była - nie bała się niczego.

Jeszcze miał nadzieję, że ją zatrzyma. Nawet wtedy.

- Nic nie dostaniesz, Saffron - oznajmił. - Jeżeli mnie opuścisz, zostaniesz bez grosza.

- Ty gnoju! Co ty sobie wyobrażasz? Że jestem jedną z twoich dziwek? Dwieście pięćdziesiąt dolarów za numerek i powinnam się cieszyć?!

Uśmiechnął się.

- Kosztowałaś mnie trochę więcej.

- Pójdę do „New York Timesa”. Ta historyjka dorówna nawet twoim programom. „Najdroższa Oblapka Ameryki” - dobry tytuł?

Ruszyło go.

- Nie ośmielisz się!

- Przekonaj się sam. Zeszłego wieczoru wyzwaleś mnie od kurew - dobra, skoro jestem kurwą, to chcę dostać zapłatę.

W głowie miał chaos. Wiedział, że Saffron mogła mu bardzo zaszkodzić.

- Saffron - powiedział - ja cię Kocham.

- Tak samo jak Kochasz pieniążki albo kasowe filmy. A może powinieneś trzymać mnie w sejfie bankowym?

Miał ochotę ją uderzyć, zbić na kwaśne jabłko, ale wiedział, że Max Loxton zabiłby go. A więc zemści się inaczej, w swoim czasie.

Pozbierał fotografie i wrzucił w maszynę do cięcia papieru. Ostatnie zdjęcie wsuwał powoli i obserwował z błyskiem w oczach, jak maszyna tnie jej twarz w cienkie, podłużne paseczki. Potem podszedł do biurka i przycisnął guzik interkomu, jakby to był spust pistoletu.

- Proszę go wprowadzić.

A teraz posieka Maxa Loxtona.

*

Saffron czuła się tak jak w dniu, kiedy skończyła college i cały świat stał przed nią otworem. Pracowała w Londynie; wczoraj ukończyła zdjęcia i w nocy, pod wpływem nagłego impulsu, wsiadła w samolot British Airways lecący do Johannesburga. Teraz, w oślepiającym słońcu poranka, jechała wynajętym wozem do Maxa. Nie uprzedziła go o przyjeździe - a przybywała, aby zostać na zawsze. Od czasu kiedy wyjechała znad Okavango, mogła myśleć tylko o jednym - o Maxie.

Podjęła decyzję - jechała do domu, do Maxa. Skręcając w długą, wysadzaną dębami alejkę, czuła przyspieszone bicie serca. Musiał być w domu, musiał!

Ale kiedy zapukała do drzwi, odpowiedziała jej cisza.

Po raz drugi mocno uderzyła w wielkie, drewniane wrota. Teraz otworzyły się. Patrzyła na ubraną jedynie w halkę najpiękniejszą kobietę, jaką kiedykolwiek widziała.

- Słucham, czym mogę służyć? - Kobieta spytała w taki sposób, jakby dom należał do niej.

- Gdzie Max? - Saffron wpatrywała się w długie, ogniste włosy opadające jak płomienie na ramiona. Jakaż była głupia! Max po prostu zainteresował się nią na moment, to tylko chwilowe oczarowanie. Jak mogła być tak naiwna, żeby przypuszczać, że była dla niego tą jedyną?

Usłyszała jego kroki w korytarzu.

- Kto przyszedł?

Saffron poczuła, jak krew napływa jej do twarzy. Aż zlodowaciała z wściekłości.

- Ty parszywy skurwysynu!

Objął ją mocno zaśmiewając się do łez. Nawet w złości musiała przyznać, że był najprzystojniejszym, najbardziej męskim facetem, jakiego w życiu spotkała.

- Saffron!

- Skurwiel!

- Czy to ona? - wykrzyknęła niskim, ochryłym głosem rudowłosa.

Mój Boże - westchnęła Saffron - ta baba to jakaś dziwka. Najwyraźniej chce mnie doszczętnie upokorzyć.

- Lucindo - powiedział Max miękko, jakby mówił do dziecka. - Zostaw nas samych, to nieporozumienie.

Lucinda uśmiechnęła się.

- Jestem jego nienormalną siostrzyczką. Zdaje się, że macie sobie sporo do opowiedzenia. Wróć później. - Przeszła obok nich i skierowała się do ogrodu.

Z kolei Saffron wybuchnęła śmiechem.

- Niezbyt dobry początek!

- Początek?

- Przyjechałam, aby z tobą zamieszkać, Max. Przyjechałam na zawsze.

Noc była bezksiężycowa. Prawie niemożliwy okazał się marsz bez wpadania co chwila na kolczaste krzewy czy inne chaszczce. Jednak zapalenie latarki równało się samobójstwu. Gdzieś przed nimi leżał pas otwartego terenu, przez który musieli przejść. Patrowano go co kwadrans - dawało to, na szczęście, sporo czasu. Problemem było niezostawianie za sobą śladów.

Dotarli tu przeszło osiem godzin temu, po południu, i leżeli w ukryciu czekając na zapadnięcie nocy. Towarzysze George'a byli przestraszeni. Nie bali się śmierci, ale przerażała ich myśl, że mogą zostać złapani i torturowani. Żołnierze botswańscy nienawidzili Towarzyszy. Ale tam, dokąd zmierzali, nauczyli się walczyć za pomocą najnowocześniejszego sprzętu - ręcznych wyrzutni rakiet czy bomb odpalanych sygnałem radiowym. George wraz z innymi został wybrany na to specjalne szkolenie. To wielki honor; ich misją było nauczenie się, jak siał terror.

W oddali usłyszeli łoskot kół transportera opancerzonego, więc przywarli rozplaszczeni do ziemi. Hałas narastał, a strumienie światła przeczesywały zarośla nad ich głowami. George poczuł smród uryny; jeden z Towarzyszy się zmoczył. Znał tego człowieka; został uprowadzony przez bezpiekę i podczas przesłuchania podłączono mu elektrody do jąder.

Obserwowali znikający pojazd, a potem poderwali się i pobiegli w kierunku piaszczystego pasa stanowiącego granicę między RPA a Botswaną. Przeszli przez niego ostrożnie, długimi krokami. Ostatni zamiatał drogę, ale było zbyt ciemno, aby mogli dostrzec, czy wszystkie ślady zostały zatarte. Zdając sobie z tego sprawę przyspieszyli kroku. Jeżeli żołnierze odkryją ich ślady, wezwą helikoptery z potężnymi reflektorami, a potem Buszmenów-tropicieli, którzy, jak powszechnie mówiono, umieli tropić człowieka całymi dniami, nawet w miastach.

Zapach buszu podniecił zmysły George'a. Wydawało mu się, że zamienił się we własnego przodka, Zulusa, z rasy najwspanialszych wojowników Afryki. Przy boku czuł chłód metalu. Zawsze nosił przy sobie rewolwer. Nawet tutaj trzeba się zabezpieczyć przed zdradą.

Wielu Towarzyszy miało słabą wolę i odpowiednia sumka mogła diametralnie zmienić ich lojalność. No i oczywiście cały czas istniało niebezpieczeństwo natknięcia się na żołnierzy botswańskich, którzy kochali Towarzyszy prawie tak samo jak armię RPA.

Nadchodził świt, gdy George i jego grupa dotarli do punktu kontaktowego. Ukryci w zaroślach, czekali.

Zgodnie z oczekiwaniami, tuż po szóstej na poboczu zakurzonej szosy zatrzymała się ciężarówka, a kierowca wysiadł na chwilę. George wstrzymał oddech. Z sercem w gardle podszedł do ciężarówki ostro rysującej się na tle purpurowego słońca. Wyciągnął z kieszeni czerwoną chusteczkę. To był sygnał. Z buszu wybiegli pozostali mężczyźni i wskoczyli do ciężarówki, ukrywając się pod brezentową plandeką.

Minutę później kierowca wsiadł do kabiny, wykręcił i skierowali się do Francistown. Mężczyźni z grupy George'a zaczęli śmiać się i dowcipkować, ale on nie przyłączył się do rozmowy. Wiedział, że niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło, nie można się rozluźnić. Macki agencji szpiegowskiej RPA rozciągały się wzdłuż całej Afryki.

Ciężarówka podskakiwała na wyboistej drodze i rzucało nimi tak strasznie, że musieli bacznie uważać na głowy. George wiedział, że w podobny sposób przyjdzie im wracać - również pod osłoną nocy, ale nie będzie ich tak wielu. Jedynie najdzielniejsi z dzielnych powrócą razem z nim, gdy będzie przemycał przez granicę broń i materiały wybuchowe. To ostatecznie potwierdzi jego lojalność wobec Towarzyszy. A przy odrobinie fartu stanie się jego biletem wstępu na wyżyny hierarchii, gdzie zasiadali tajemniczy ludzie rządzący wszystkim. Może wtedy odnajdzie szaleńca, który zamordował ojca.

Ciężarówka w końcu wjechała na tarmak i droga stała się wygodniejsza. George zapadł w niespokojną drzemkę. Tuż po jedenastej wszystkich obudziło głośnie walenie w ścianę ciężarówki. O co chodzi?

Natychmiast się dowiedzieli. Uniesiono brezentową zasłonę i w szparze ukazała się czarna twarz i zielony beret. Przyglądał im się oficer armii botswańskiej.

- Wyłazić! - wrzasnął.

Towarzysze w absolutnym niedowierzaniu gapili się to na oficera, to na George'a. Dla George'a brutalne powitanie nie było niespodzianką. Towarzysze byli naiwni, jeśli uważali, że bracia z drugiej strony granicy przyjmą ich z otwartymi ramionami. Dobrze wiedział, chociaż nigdy nie wspominały o tym mass media, że armia botswańska odesłała wielu złapanych Towarzyszy z powrotem, aby zapewnić sobie życzliwość rządu Afryki Południowej.

- Wyłazić!

Tym razem usłuchali rozkazu. W blasku słońca dostrzegli blokadę na drodze. Byli jedynymi ludźmi na pustej szosie, nie licząc pięciu żołnierzy botswańskich, z których każdy celował do nich z karabinu. Suchy busz rozciągał się aż po krańce horyzontu. Wszystko migotało w rozpalonym upale powietrza.

- Ściągać portki! Wszyscy.

George i jego ludzie zawahali się, ale metaliczny szczęk odbezpieczanej broni sprawił, że szybko rozpięli spodnie i pozwolili im opaść na piasek.

- Gacie też!

Stali w gorącym słońcu nadzy od pasa w dół. Zimny pot spłynął George'owi po plecach. Gdyby ich teraz zastrzelono, nikt by się nigdy nie dowiedział, co się z nimi stało. Skoncentrował myśli na jednym - jak przeżyć.

Podszedł do nich dowodzący oficer i wsunął lufę karabinu między uda George'a. Potem szarpnął nią gwałtownie w górę, a George upadł na kolana, tłumiąc jęk bólu, który wydarł mu się z ust. Spojrzał oficerowi w oczy.

- Czego chcesz?

- Kim jesteście? - spytał władczo dowódca.

George zauważył, że oficer trzyma swój automat jak dziecko ulubioną zabawkę. Mundur nie był w stanie ukryć zwałów sadła na brzuchu.

- Nazywam się George Zwane.

- Zwane. Skąd się tu wzięłeś?

- Jadę do Francistown.

- Przeszedłeś przez granicę?

- Tak.

Oficer splunął mu w twarz.

- Ładuj się z powrotem do wozu.

Tłumiąc w sobie wściekłość, George wspiął się na ciężarówkę. Ze swojego miejsca obserwował, jak oficer przepytuje pozostałych. W końcu podszedł do Mchunu, małego, chudego mężczyzny o temperamencie teriera.

- Nazwisko!

- Towarzysz. Tak brzmi moje imię. Walczę o wolność w RPA. Tyle tylko powinienes wiedzieć i niech ci to wystarczy.

- Towarzysz? To nie nazwisko! Jak się nazywasz, psie?!

George widział krople potu spływające z czoła oficera. A niech to diabli! Ten dureń Mchunu wyznał, że należeli do Towarzyszy. Wkurzył oficera i wpakował ich wszystkich w tarapaty.

Mchunu zwrócił się do dowódcy:

- I ty nazywasz siebie żołnierzem? Nie jesteś wojownikiem tak jak my, ludzie z lokacji. My ryzykujemy życie. Jak się nazywasz, żołnierzu?

Oficer skinął na jednego ze swoich ludzi, który podszedł i wziął od dowódcy karabin. Grubas sięgnął po twardą, czarną pałkę z gumy, którą nosił u pasa, i bez ostrzeżenia rąbnął Mchunu mocno w głowę. Mchunu nawet nie drgnął.

- Na kolana przede mną, Towarzyszu!

Ostatnie słowa oficer raczej wypluł niż powiedział.

Mchunu nadal wpatrywał się w niego wyzywająco.

Oficer uderzył go po raz drugi i z ucha Mchunu pociekła krew. Następnie wyrzwał go mocno w żołądek.

Mchunu padł na ziemię.

Krótki rozkaz i dowódcy oddano karabin. Mchunu leżał w pyle. Lufa uderzyła go w krocze. Żołnierze podeszli i zaczęli kopać leżącego. Z początku wydawało się, że na tym skończą, ale oficer rozkazał dwóm ludziom podnieść Mchunu na kolana. Podnieśli go i przywiązali rozkrzyżowanego na masce ciężarówki. Oficer sięgnął na tylne siedzenie land-rovera i wyjął kilof.

- Uwaga, Towarzysze! Patrzcie uważnie! - wrzasnął do George'a i reszty. - Musicie pojąć, że to nie jest wasz kraj! Przyłazicie tu, a za wami te białe skurwiele. Albo będziecie przestrzegać naszych praw, albo rozprawimy się z wami.

Machnął kilofem i uderzył Mchunu trzonkiem w plecy. Mchunu zwiotczał. Kolejny cios spadł na jego głowę. Uderzenia sypały się, aż ofiara przestała krzyczeć.

Odwiązali go i rzucili na ziemię. Oficer wyciągnął pistolet, makarova, i podszedł bliżej. Patrząc na George'a wycelował lufę w głowę Mchunu.

Huk wystrzału odbił się donośnym echem. Mchunu zadygotał. Całą głowę miał we krwi. Oficer cofnął się o krok. Uśmiechnął się.

- Są tu jeszcze inni Towarzysze?

George poczuł, jak strużka potu cieknie mu po plecach. Nikt nie odezwał się nawet słowem.

Oficer wsunął pistolet do kabury.

- Możecie jechać.

Machnął ręką do kierowcy nakazując odjazd.

Towarzysze uporczywie patrzyli na George'a. Ciężarówka ruszyła. Chcieli, żeby coś powiedział, żeby wyjaśnił dlaczego. Ale on nie umiał im nic wytłumaczyć.

Bezksiężycowa noc. Zapadła nieprzenikniona ciemność.

*

Mały domek na przedmieściach Francistown wydawał się George'owi tak znajomy jak ten, w którym się urodził. Obserwowali go przez wiele długich godzin.

Dochodziła północ. Nadszedł moment, na który czekali.

George zbliżył się odważnie do drzwi i zapukał. Po pewnym czasie w progu stanęła młoda, ładna kobieta.

Przez chwilę George odczuwał dla niej litość, ale wtedy przypomniał sobie Mchunu i współczucie w nim zgasło.

- Tak? - zapytała.

- Muszę widzieć się z pani mężem.

Poczuł chłód metalu wbijającego mu się w bok. Odwrócił się, złapał lufę karabinu i kopnął faceta w goleń.

Mąż kobiety, oficer spotkany dwa dni temu, upadł na podłogę. Kobieta zaczęła krzyczeć. George uderzył ją mocno w twarz, więc ucichła i zaszokowana zaczęła cofać się w głąb korytarza. Jej rozszerzone strachem oczy krążyły od George'a do męża, który uniósł się na kolana.

- Wstawaj! - ostro rzucił George, szarpiąc skomlącego cicho mężczyznę za łokieć. Nie odczuwał żadnej litości. Ten człowiek zabił Mchunu, dobrego i lojalnego kolegę. Towarzysze przyszli po zemstę.

Gdy reszta oddziału weszła do domku, wzrok George'a przesunął się z oficera na jego żonę.

- Weźcie ją - rozkazał. Mało się nie udławił tymi słowami. Ale nie mógł okazać litości.

Złapali żonę oficera i zdarli z niej nocną koszulę.

Każdy miał ją, po kolei, a jeden trzymał nóż na jej gardle. Oficer płakał.

George poczekał, aż ostatni z jego ludzi dopnie spodnie.

- Zabrać go na zewnątrz - rozkazał, przyglądając się zimno żołnierzowi.

Kiedy wyszli, odwrócił się ku kobiecie. Nie mógł pozostawić jej przy życiu, poczytano by to za słabość.

Patrzyła na niego z nadzieją w wielkich oczach.

- Nie patrz na mnie! - krzyknął. Podeszedł, przyłożył pistolet do jej głowy i nacisnął spust. Z trudem powstrzymał wymioty, gdy krew rozbryznięła się po hallu. Wyszedł na chłodne, nocne powietrze. Oficer leżał już rozkrzyżowany na masce własnego samochodu.

- Co ja takiego zrobiłem? - wyskamlął. Najwidoczniej zapomniał o wydarzeniu sprzed dwóch dni. Ale George Zwane nie zapomniał - przez ten czas rozmyślał prawie wyłącznie o bestialskim zabiciu Mchunu.

- Pamiętasz człowieka, którego zastrześliłeś na szosie?

Oficer zadygotał. Przypomniał sobie. Teraz już wiedział, że przyszli po niego.

- Zaatakował mnie - wyjęczał.

- Był moim bratem - odparł George używając języka Towarzyszy. - Musisz za to zapłacić.

- Nnie... - wyjąkał oficer, desperacko wypatrując pomocy w ciemnościach.

George skinął na jednego ze swoich ludzi, który stanął przy nim.

- Weź młotek, Victor. - Victor wyjął z kieszeni mały młotek i podszedł do oficera.

- Ściągaj łachy!

Facet był tłusty, fałdy sadła przelewały mu się przez pasek. Gdy się rozebrał, Victor zmusił go do położenia się na betonowym podjeździe, z rozłożonymi nogami i rękami. Następnie uderzał mocno młotkiem w prawą rękę żołnierza, łamiąc po kolei wszystkie palce.

- O, Boże! Boże! Boże mój! Błagam, nie!

Oficer wrzeszczał bez opamiętania. Victor z uśmiechem zajął się lewą ręką. George próbował na to nie patrzeć. W ciągu pięciu minut dłonie i stopy oficera zamieniły się w krwawą miazgę.

George gestem kazał Victorowi przestać. Podszedł i przekręcił swoją ofiarę na plecy, tak aby facet patrzył mu w twarz.

- Powiedz swoim ludziom, że muszą nas poprzeć. Powiedz, że jesteśmy po tej samej stronie. Ci, co są przeciwko nam - zginą.

Victor zbliżył się znowu, a George dostrzegł błysk noża w jego ręku.

- Tylko jedno - rozkazał Victorowi, który zgrabnie odciął oficerowi lewe jądro.

Wolno odjechali. W ciemności goniły ich krzyki. Później, gdy Towarzysze już spali, George wyszedł na samotny spacer. Zwymiotował. Pytał sam siebie, jak daleko musi się jeszcze posunąć. Jaki poziom upadku będzie musiał osiągnąć, zanim nawiąże kontakt z człowiekiem kryjącym się za Towarzyszami?

*

Dolph Klopper zlustrował wypełniony hall i pomyślał, że jest to jak dotąd jego największe osiągnięcie. To nie motłoch, biała biedota - ci mężczyźni należeli do elity władzy w tym państwie, byli wyższymi oficerami armii i policji. Właśnie ich poparcia potrzebował.

Oczywiście, nie mogli go teraz dostrzec, krył się za kurtyną z tyłu sceny. Pojawi się dopiero w odpowiednim momencie, kiedy wielebny Cilliers dobrze przygotowuje grunt.

Czarny habit wielebnego zaszeleścił jak liście na wietrze, gdy święty mąż przechodził przez scenę, kierując się ku drewnianej mównicy, aby wygłosić przemówienie powitalne.

Jego wielebność, stary już i siwy, był zatwardziałym kalwinistą, a ludzie zgromadzeni w sali traktowali jego słowa z takim szacunkiem, jakby to były słowa samego Boga. Zaproszeni goście ucichli i wszystkie oczy skierowały się ku posępnej postaci dominującej nad salą.

Przemawiał w języku afrikaans.

- Bracia! Zawarliśmy uroczysty pakt z Bogiem. On dał nam siłę, abyśmy mogli pokonać czarne zagrożenie, a my ślubowaliśmy mu wierność na wieki. Dlaczego więc, jak sądzicie, widzimy tak straszny rozłam w naszym rządzie?

Nikt nie odważył się odpowiedzieć.

- W naszych kinach ogląda się filmy, w których jest wiele nagości. Książki zawierające złe treści są dostępne wszędzie, a nasze dzieci słuchają muzyki, która jest głosem szatana. Młode kobiety noszą ubrania, jakie przystoją raczej ladacznicom!

Mężczyźni w sali milczeli, gdyż mówił prawdę.

- Słusznie zatem Pan nas opuścił. Zgrzeszyliśmy wobec niego. Ale nasz Bóg jest Bogiem miłosierdzia i przebaczenia! Ciągle jeszcze mamy czas, chociaż upływa on szybko. Jeżeli nie zmienimy naszych złych nawyków, zostaniemy potępieni, a nasz naród starty z powierzchni ziemi.

Umilkł i pozwolił, aby cisza potrwiała dłużej.

- Pochylcie głowy zawstydzeni! Módlcie się o przebaczenie! Módlcie się, aby nasze przymierze z Bogiem nie zostało zapomniane. Módlcie się o siłę!

Wszyscy przymknęli oczy i pochyłili głowy. Wszystkie serca wypełniły się wyrzutami sumienia. I wtedy wielebny Eldad Cilliers gestem poprosił Dolpha Kloppera, żeby podszedł do mównicy.

- Jest między nami ktoś - mówił dalej - kto został wybrany, aby być przywódcą. Mąż od urodzenia wybrany na przywódcę swego ludu. To on zebrał nas tu dzisiaj. Musicie wziąć do serca i zapamiętać jego przesłanie. W odpowiedzi na słabość, która okalecza nasz rząd, on proponuje siłę. W jego słowach znajdziecie klucz, którego szukacie.

Odsunął się o krok i popchnął Dolpha ku mównicy.

Kiedy zebrani otworzyli oczy, Dolph patrzył na nich - w tym momencie już wiedział, że ich dusze należą do niego.

- Czy widzicie, że możemy zostać wyrzuceni z tego kraju? - wykrzyknął. - Wyrzuceni z kraju, za który walczyli i umierali nasi ojcowie? Świat twierdzi, że zgrzeszyliśmy i musimy zapłacić za nasze grzechy, ale to zwykła hipokryzja. Kupiliśmy naszą krwią prawo do życia tutaj! Pamiętamy dwadzieścia siedem tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy zmarli w obozach z rąk przeklętych Brytyjczyków, usiłujących ten kraj nam odebrać. Lecz Pan nas nie opuścił i wypędził stąd wrogów. Dzisiaj stajemy wobec większego zagrożenia - bezprawia. I jeżeli nasz rząd, ten rząd, który sami wybraliśmy, nie zatwierdzi nowej ustawy o bezpieczeństwie, całe państwo ogarnie chaos!

Fala aplauzu ucichła, gdy Dolph uniósł rękę.

- David Loxton jest lojalny wobec nas i sprawy. Ale van der Post - nie! Ten człowiek to zdrajca! Chce dać prawo głosu czarnym. Czy wiecie, co się wtedy stanie? Dokładnie to samo, co sto lat temu - wyrznią nas wszystkich. Wiecie, o co walczę - o władzę dla nas wszystkich, o wolność i prawo do uczciwego życia. Nigdy was nie sprzedam tak jak van der Post!

Salę wypełniły okrzyki radości. Klopper pozwolił sobie na uśmiech. Łatwo przyszło naprowadzić ich na właściwy trop. Uniósł rękę i sala znowu ucichła.

- Oklaskujecie mnie, jakbym był waszym przywódcą. Nie jestem nim... na razie. Lecz jeżeli obejmę władzę, poprą mnie potężni przyjaciele, których wielu mam za granicą. Pragnę waszych głosów. Chcę głosów ludzi, którzy dla was pracują. Chcę głosów waszych synów, córek, żon, rodziców, przyjaciół. Każdy głos przybliży nas do władzy...

Wśród ogłuszających oklasków zszedł z mównicy, a wielebny Cilliers natychmiast zaintonował „Sarie Marais” - hymn jedności starej republiki burskiej.

Potem było przyjęcie. Dolph upewniwszy się, że poświęcił parę minut każdemu ze swoich najważniejszych gości, skierował się ku imponującej postaci Jurie Smita, dowódcy armii południowoafrykańskiej, szczupłego, twardego jak stal mężczyzny o krótko obciętych, siwych włosach. Wyglądałby jak jeden z amerykańskich marines, gdyby nie okulary w metalowej oprawie.

- Znakomite przemówienie, stary. - Generał poklepał go mocno po ramieniu i uśmiechnął się przyjaźnie, sącząc whisky and soda.

- Dziękuję panu, sir. Jest pan wspaniałym stronnikiem, doceniam to. Wiem, że wielu z nich przyszło tu ze względu na pańską zachętę.

- Nie, to pan ich tu sprowadził. Pańskie słowa zabrzmiały jak cudowna muzyka dla ludzi, którzy mają dość zdrady i oszukiwania. Ale, ale - gdzie pańska piękna żona?

Dolph był bardzo dumny z Marie. Jeszcze tylko cztery tygodnie i będzie miał syna, o którym zawsze marzył.

- Odpoczywa - odpowiedział. - Maluch kopie ją, żeby szybko wydostać się na świat.

- Aha, wojownik, zupełnie jak jego ojciec. Miejmy nadzieję, że to syn i wierzymy, że David Loxton zwycięży. Podziwiam tego człowieka. Muszę już uciekać, ale wkrótce się spotkamy. Mamy wiele spraw do przedyskutowania. Liczę, że pewne nasze posunięcia uzyskają pańską pełną aprobatę.

*

Parę minut później generał siedział wygodnie w swojej limuzynie. Uśmiechnął się do siebie. Jeżeli tacy ludzie jak Dolph Klopper zaczną pociągać za sznurki, reszta Afryki i świata będzie wiedziała, kto tu rządzi.

*

David Loxton również był w drodze, ale wóz prowadził sam. Był wyjątkowo zadowolony z życia po przeczytaniu absolutnie tajnego, sekretnego raportu o Dolphie Klopperze. W swojej długiej karierze politycznej David przetrwał wiele zmian i wielu przywódców strąconych z piedestału. Porozumienie, które zawarł z Klopperem, było bardzo korzystne. Ten związek szybko przyniesie im obu profity. Ale jeśli idzie o aspiracje Kloppera by przejąć absolutną władzę nad wszystkim - no cóż, pozwólmy facetowi snuć piękne marzenia. W swoim czasie David usadzi i jego na właściwym miejscu.

Do Prester John nie jechało się długo. Przekazał samochód szefowi parkingu i wszedł do klubu.

David Loxton stworzył Prester John osobiście - klub, do którego wpisowe było tak wyśrubowane, że jedynie najbogatsi w kraju mogli sobie pozwolić na opłacenie tej kwoty. Przynależność do klubu oznaczała jednocześnie pieczęć milczenia - to, co działo się w Prester John, było sprawą członków klubu, tylko ich i nikogo więcej. Już się zdarzyło, że jedna ze znanych dam z towarzystwa została skreślona z listy członków, gdyż pozwoliła sobie na drobne niedyskrecje w obecności zbyt ambitnego dziennikarza, który natychmiast opublikował jej zwierzenia w dziale plotek. Dama ta chwyciła się wszystkich sposobów, aby odzyskać członkostwo, łącznie z zaproszeniem Davida do łóżka. David z zaproszenia skorzystał, ale do klubu ponownie jej nie przyjął.

Prester John było znakomitym lokalem, mogącym zapewnić rozrywkę współnikom w interesach. Na miejscu mieli też małe kasyno, do którego David ściągnął krupiera z Monte Carlo, aby zaciekli hazardziści mieli obsługę na poziomie.

Zajrzał przez uchylone drzwi do salonu karcianego i ucieszył się widząc wielu stałych graczy. U szczytu stołu siedział Roy McCracken, szef największej johannesburskiej sieci salonów samochodowych; jego krzaczaste brwi zmarszczyły się w napięciu. McCracken zasiadał do gry dopiero wówczas, gdy stawki przekraczały dziesięć tysięcy randów, a więc dochód tego wieczora powinien być niezły.

David zerknął jeszcze tu i ówdzie, a potem wbiegł po schodach na szczyt Cape Dutch - domu, w którym mieścił się klub. Na to piętro wstęp mieli tylko niektórzy goście, a kobieta, która tu zarządzała, była uosobieniem dyskrecji. Przywitała Davida cmoknięciem w policzek.

Jedną z najgłośniejszych johannesburskich dam lekkiego prowadzenia się, Antoinette Fontaine, wciąż była bardzo sexy mimo pięćdziesiątki na karku - wysoka, postawna kobieta o obfitym biuście, ciemnych, bujnych włosach i świeżej cerze. Antoinette, mimo długiego stażu pracy, jakimś cudem zachowała czyste konto w kartotekach policyjnych, a jej ostatni pracodawca, David Loxton, dopilnował, aby tak już pozostało.

Uszczypnął ją lekko w pośladek.

- David, mon cheri - powitała go. - Jak się miewasz?

- Szczęśliwy, że tu jestem. Referendum to koszmarnie nudna sprawa.

- Ale, oczywiście, wygrasz?

- Jasne!

- Nigdy nie miałam co do tego żadnych wątpliwości.

- Zachowaj to czarowanie dla innych klientów, Antoinette. No, powiedz, masz coś dla mnie?

- To nie było łatwe. Jesteś wymagający i spełnienie twoich żądań nie jest proste. Ale...

Poprowadziła go w głąb korytarza. W przyćmionym świetle zobaczył zamknięte drzwi. W podnieceniu prawie wyrwał jej klucz z ręki.

Siedziała na brzegu olbrzymiego łoża, niewinna i przestraszona, ale bardzo piękna. Usłyszał za plecami szept Antoinette zamykającej drzwi.

- Baw się dobrze, mon cheri.

W ciągu tego tygodnia kurcze stały się coraz silniejsze. Marie brakowało tchu i często musiała odpoczywać. Czuliła się tak gruba, że gdy patrzyła w swoje odbicie w lustrze, nie

mogła pozbyć się myśli o bliźniakach. Nie chciała dopuścić, aby wielki brzuch przeszkadzał jej przy wypełnianiu zwykłych domowych obowiązków, więc dzisiaj, jak zawsze, kiedy Dolph brał udział w kampanii, zawiozła torbę dostarczonych do domu listów do kwatery głównej ARO na Main Street.

Jechała z nią Anna, ale Anna stanowczo odmawiała wejścia do biura ARO i wołała czekać w samochodzie.

Marie przywitał Eugene Kruger, nadgorliwy młody człowiek w okularach o ciężkiej, ciemnej oprawie. Miał bladą, chudą twarz, a na głowie pokłady brylantyny zmieszanej z łupieżem. Usilnie starała się go polubić, ale zawsze odstręczał ją ciągnący się za nim zapaszek zjełczałego potu.

- More, Mevrouw Klopper. Ło Jeżu, znowu tyle listów?

- Tak, Eugene. - Była zadowolona widząc, że wszyscy mieli roboty po uszy.

- Widziała pani Dolpha w telewizji wczoraj wieczorem, Mevrouw Klopper?

- Nie, nie mamy telewizora.

Na moment zbiło to Eugene'a z tropu. Zapomniał, że Dolph uważał telewizor za zbędny luksus.

- Gdyby pani zechciała, Mevrouw Klopper, mam tu nagranie, które może pani obejrzeć.

Wprowadzono ją do zaciemnionej sali, a Eugene włączył video. Najpierw leciała końcówka jakiejś reklamy, a potem kamera pokazała mównicę w sali wypełnionej po brzegi ludźmi. Dolph właśnie przemawiał. Jego oczy błyszczały, a głos niósł się po sali. Słowa wydawały się nieistotne; pasja i uczucie, które wkładał w przemówienie, przekazywały wszystko.

- ...Na koniec chcę wam zadać jedno pytanie. Jaka przyszłość czeka nasz kraj, skoro van der Post sprzeciwia się wprowadzeniu ustawy gwarantującej nam bezpieczeństwo? Wiecie, kim jest van der Post? Powiem wam - zdrajcą! David Loxton walczy o nasze bezpieczeństwo. Jeżeli pragniecie zapewnić waszym dzieciom przyszłość i żyć w spokoju - głosujcie za ustawą!

Nie mogła wprost uwierzyć, że to był Dolph. Wydawało się jej, że ogląda kogoś wspanialszego niż mężczyznę, który dzielił z nią łożo każdej nocy, proroka, żywe ucieleśnienie nadziei swojego narodu.

- I co pani sądzi? - Głos Eugene'a sprowadził ją z powrotem na ziemię. Znowu poczuła niepokój spowodowany przez poruszające się w niej dziecko.

- Dolph jest jak gwiazda, Eugene. To on jest naszym przywódcą, nie Kobus van der Post.

Eugene ciągle kiwał potakująco głową, gdy wychodziła na ulicę i wsiadała do samochodu. Anna siedziała z tyłu z zakupami; na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech na widok pani.

- Czy czuje się pani lepiej, Mevrouw Klopper? - Dawno nie widziała Marie tak szczęśliwej.

- Zobaczyłam go w telewizji, Anno. Wiesz, Dolpha.

Popiera Davida Loxtona. Wygrają, nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

Ruszyła szybko i nie dostrzegła wyrazu niechęci na twarzy Anny, a nawet gdyby dostrzegła i tak by się tym nie przejęła. Zaś Annie nawet przez głowę nie przeszło powiedzieć jej, że w kościele, do którego chodziła co niedzielę, w Mamelodi, Dolpha Kloppera uważano za wcielenie szatana.

*

- Władca ciemności - zamruczał Max.

Twarz i głos Dolpha Kloppera zniknęły, gdy Saffron wyłączyła telewizor. Wróciła na swoje miejsce na sofie, na kolanach Maxa.

- Max, sądzisz, że ludzie dadzą się kupić taką retoryką?

- Niestety, tak. Ale mam nadzieję, że mieszkańcy lokacji nie poddadzą się. - Pociągnął z kieliszka głęboki łyk czerwonego wina. W zamyśleniu zmarszczył czoło. - Problem w tym, że ludzie z lokacji sami są swoimi największymi wrogami. Większość z nich cechuje posłuszeństwo i uległość i dla tej większości podjęcie walki wydaje się niemożliwe.

Spojrzał na nią. W oczach miał ból i lęk.

- Ale jeżeli tylko Kobus obali ustawę i wyrzuci ojca z rządu, będzie mógł przeforsować wiele zmian i ukrócić władzę armii.

Saffron wygodniej usadowiła się mu na kolanach.

Pocałowała go namiętnie, mając nadzieję, że się odpręży. Poczul dotyk jej gorącego, zwinnego ciała. Prawie całymi dniami myślał tylko o niej. Nie mógł uwierzyć, że mieszkali razem już cały miesiąc.

John Packard okazał się mniej groźny, niż Max się obawiał. Facet najwyraźniej dał sobie spokój po spektakularnym laniu w restauracji. Max uśmiechnął się w duchu. Z projektem „Okavango 2000” wszystko szło jak najlepiej. To prawda, że Shelton zażądał, żeby Max włożył w inwestycję więcej forsy, ale biorąc pod uwagę poparcie finansowe z całego świata, przedsięwzięcie zapowiadało się na największy sukces lat dziewięćdziesiątych. Codziennie zalewały go pytania od agencji turystycznych z całego świata. „Okavango 2000”

zostało obfotografowane przez National Geographic, a BBC właśnie przygotowywała film dokumentalny.

Pochylił się nad Saffron i poczuł ciepło jej pełnych piersi opierających się o jego tors. Była od niego niższa, ale ciało miała silne i sprężyste. Podniecony w najwyższym stopniu, nie spieszył się jednak; lubił przedłużać chwile miłości i rozkoszować się nimi. Saffron delikatnie rozpięła mu koszulę i zanurzyła twarz w twardych, gęstych włosach na jego piersi. Podniecał ją tak, że traciła panowanie nad sobą. Owinęła nogi wokół jego bioder, jak kot wdrapujący się na drzewo.

Ich języki zetknęły się. Bawili się sobą, jakby chcąc sprawdzić, jak długo potrafią powstrzymać się od pełnego pocałunku. Zamknęła oczy. Jej usta dotykały jego warg. Delikatnie gładził jej uda. Zaczęła drżeć z podniecenia.

Zadzwoił telefon. Długi, natarczywy sygnał. Z początku nie zwracali na to uwagi, ale dzwoniący nie dał za wygraną. W końcu, niechętnie, Max wyplątał się z objęć Saffron i wyciągnął się na podłodze.

- Gideon!... Nie! Oczywiście, że przyjadę. Możesz załatwić mi zezwolenie na lądowanie? Dobra. Znają mój kod.

Odłożył słuchawkę. Twarz pobieleła mu ze zdenerwowania. Zamyślił się głęboko.

- To Gideon Sisulu z Francistown. Z Botswany. Zdaje się, że godzinę temu jedna ze szturmowych jednostek sławetnej armii południowoafrykańskiej nadleciała helikopterami i ostrzelała rakietami trzy domy - ponoć dostali cynk, że członkowie AKW mieszkają gdzieś w pobliżu. Ale, niestety, nie dowiedzieli się, że w jednym z tych domów przebywał syn prezydenta Botswany. Chłopak jest w stanie krytycznym - prawdopodobnie uszkodzenie mózgu.

Saffron zaszokowało.

- Chłopak potrzebuje opieki eksperta - oznajmił Max. - I zamierzam mu go dać. Najlepszego w tym kraju.

- Dlaczego nie przewieziecie syna prezydenta tutaj?

- Saffron, jego życie wisi na włosku! Muszę dostać się jeszcze dziś do Botswany.

*

Max kręcił się niepewnie po korytarzu przed blokiem operacyjnym. Drzwi były zamknięte. Nie mógł zrobić nic więcej - wypełnił swoje zadanie wynajmując samolot, odnajdując doktora Oblowitza i przywożąc go tutaj. A teraz życie młodego Paulusa zależy od umiejętności doktora. I wyroków przeznaczenia. Aż zazgrzytał zębami ze złości, gdy pomyślał o głupocie armii RPA i bezmyślnej masakrze. Prawdopodobnie za tą akcją stał

ojciec. Wyobrażał sobie nagłówki artykułów, które ukażą się nazajutrz na całym świecie. Woda na młyn tych, którzy domagali się obostrzenia sankcji wobec RPA.

Wyszedł na zewnątrz i w ciemnościach zapalił papierosa. Przez moment myślał o hotelu budowanym na bagnach. Ukończono już wykopy i zaczęto kłaść skomplikowane fundamenty. Wkrótce będzie potrzebował pieniędzy Sheltona; większość własnych już wydał na materiały budowlane. Tak, przynajmniej budowa szła jak trzeba.

Nagle zdał sobie sprawę z obecności innego człowieka gdzieś blisko w ciemności. Dostrzegł zarys postaci, poczuł zwierzęcy zapach potu.

- Masz dla mnie papierosa, biały człowieku?

Max miał uczucie déjà-vu. Znał ten akcent, ale nie umiał go połączyć z osobą. Wyjął z kieszeni paczkę papierosów. Facet wziął jednego. Max zapalił zapałkę i w świetle płomienia zobaczył ciemną, dostojną twarz George'a Zwane.

- George! - Zaskoczony Max krzyknął trochę zbyt głośno. Uścisnęli sobie ręce w ciemnościach; był to długi uścisk przyjaciół, uścisk zaufania.

- Skąd się tu wzięłeś, George? - Max prawie szeptał.

- Usłyszałem o napadzie - odszepnął George w języku zulu. - Paulus był na zebraniu AKW w prywatnym mieszkaniu, kiedy te skurwiele nadleciały. - Obejrzał się. - Oczywiście nigdy nie usłyszysz tego w wiadomościach. Powiedzą tylko, że w Francistown była jakaś eksplozja, bez żadnych wyjaśnień.

- George...

- Usłyszałem o nalocie i mało nie umarłem ze śmiechu. AKW to zgrana karta, a twój ojciec ciągle z nimi walczy. Potem dowiedziałem się o Paulusie. Wiem, że prezydent bardzo kocha syna. Inspektor Gideon Sisulu to mój wypróbowany przyjaciel, więc kazałem mu zawiadomić cię o wszystkim.

- Skąd wiedziałeś, że przyjadę?

- Zawsze przyjeżdżasz. - Umilkł. Potem szepnął prawie niedosłyszalnie: - Dlaczego tak się tym przejąłeś?

- Bo wierzę, że jeżeli człowiek próbuje uczynić ten świat lepszym, ma szansę, że mu się to uda. Poza tym, potrzebuję poparcia prezydenta w sprawie Okavango. Wyrażam solidarność z jego bólem, przywożąc tu lekarza.

Zerkając w ciemność na przyjaciela, Max przypomniał sobie młodego George'a Zwane, jego uśmiech, strużki potu spływające po twarzy, gdy ćwiczył na sali.

Teraz wszystko się zmieniło i George Zwane stał po stronie ludzi wnoszących przemoc i śmierć do lokacji.

- Vicky opowiedziała mi, co się stało - oznajmił Max. - Wolałbym, żeby się to nigdy nie zdarzyło.

- Sam to zaaranżowałem. Nie chcę być męczennikiem jak ojciec. Raczej będę jak Castro - ale żywy.

- Jesteś prawnikiem, człowiekiem pokoju...

- Jestem Murzynem. Nauczono mnie pokornie przyjmować każdego dnia obelgi i nie próbować zemsty.

- Ale co zyskałeś przyłączając się do Towarzyszy?

George milczał przez chwilę.

- Nie było innego sposobu - mruknął. - Muszę odnaleźć człowieka, który zabił ojca. Muszę znaleźć mózg anarchii. Muszę go zniszczyć.

- Śmierć nie jest rozwiązaniem. - Głos Maxa zmiękł.

- Jestem czarny, więc śmierć to moja siostra. To jedyny rodzaj wolności, którego mi nikt nie odbierze. - Zamilkł. - Słuchaj, Max, zapomnijmy na razie o tym. Powiedz lepiej, co u ciebie?

Tak... Rozdzieleni przez politykę, złączeni przez przyjaźń. Maxowi przyszło do głowy, że zapewne jest jedynym białym, którego George uważa za przyjaciela. Nie chciał go stracić.

- Wszystko w porządku. Zakochałem się.

Miłość. Musiała zniknąć z życia George'a. Max pomyślał o Brendzie Zwane, samotnej tam, w RPA.

- Widziałem zdjęcie twojej babki - powiedział George. - Na taką żonę zasłużyłeś. Urodzi ci wielu synów.

Nagle jeden ze strażników szpitalnych oświetlił ich reflektorem. Podszedł bliżej, żeby sprawdzić tożsamość.

Cały czas trzymał ich na muszce. Światło padło na twarz George'a. Max zauważył, że strażnik drgnął, odwrócił się i cichutko odmaszerował na swój posterunek.

- Widzisz? Tak właśnie teraz żyję - oznajmił George. - Wzbudzam strach, gdyż muszę poprowadzić ludzi do walki, którą trudno będzie wygrać.

- Skąd nasze oddziały wiedziały, że tam będą członkowie AKW? - spytał Max.

- Dowiem się. Zawsze ktoś się trafi - szepnął George. - Uuuch, jak ja nie cierpię donosicieli!

- Van der Post chce, żebyś wrócił. Widzi cię w rządzie. Chce rozmawiać o pokoju - powiedział Max.

- Masz głupkowate sny, biały człowieku.
- Może i tak. Ale skoro biali śnią, jest nadzieja...
- Ja przestałem śnić już dawno temu.
- Więc będę śnił za ciebie.

Max zobaczył doktora Oblowitza w zielonym fartuchu, wychodzącego na werandę.

- Twój lekarz już skończył - powiedział George. - Szuka cię. - Chciał odejść, ale Max pobiegł za nim.

Stanęli twarzą w twarz. Max złapał go za ramiona.

- George, co się z nami dzieje?

George odepchnął go. Po twarzy spływały mu łzy.

- To Afryka. Ty jesteś biały, ja czarny, więc musimy walczyć na śmierć i życie.

Z tymi słowami zniknął w ciemnościach.

- Będzie żył? - zapytał Max. Patrzył na spowitą bandażami postać na łóżku.

- Cóż, w mózgu ciągle tkwi dwucentymetrowy odłamek, a próba wydobycia go zabije chłopaka.

Max zacisnął palce na zimnej, białej poręczy łóżka.

- Ale wyzdrowieje?

Oblowitz milczał przez chwilę.

- Bardzo mi przykro, doktorze Loxton. Może stałoby się lepiej, gdybym tu w ogóle nie przyjechał. Nie zawsze śmierć jest tą najgorszą rzeczą.

Max poczuł, że gotuje się z furii. Tego z pewnością chcieliby żołdacy z Południowej Afryki.

- Jakie są szanse, że będzie normalny? - spytał cicho.

- Obawiam się, że żadne.

- Czy nie ma sposobu, żeby pozwolić mu odejść?

Oblowitz drgnął.

- Co pan przez to rozumie?

- Po co utrzymywać go przy życiu? To tylko sprawi potworny ból ludziom, którzy go kochają. Jego ojciec jest tak zrozpaczony, że nawet nie może z panem rozmawiać.

- Moim powołaniem jest ratowanie życia - wyszeptał doktor.

- Co by pan zrobił, gdyby pan mógł?

- Zastrzyk. - Głos doktora był ledwo słyszalny.

Odwrócił się i pomaszerował do umywalni. Max szedł za nim.

- Proszę powiedzieć, jak to zrobić.

Twarz doktora skamieniała. Konflikt moralny, który przeżywał na studiach, ponownie rozgorzał w jego duszy.

- Na miłość boską! - Głos Maxa drżał z emocji.

Doktor sięgnął do torby, wyjął fiolkę i strzykawkę.

- Pół centymetra. W pośladek. Umie pan robić zastrzyki? - Chwycił Maxa za ramię, ale Loxton wyrwał się i poszedł w dół korytarzem.

Pięć minut później wyszedł z sali. Doktor, już ubrany, czekał na niego. W milczeniu udali się razem do samochodu.

Nie zamienili ani słowa w trakcie jazdy na lotnisko.

Kiedy stali już przy kontroli celnej, podszedł do nich jakiś człowiek.

- Doktor Oblowitz? Bardzo mi przykro, ale muszę pana poinformować, że syn prezydenta miał kolejny atak i zmarł dziesięć minut po pańskim wyjściu ze szpitala.

Kiedy szli do samolotu, Max poczuł, że doktor uściśnął mu rękę. Spojrzał w jego ciemne oczy.

- To ja ponoszę odpowiedzialność, panie Oblowitz.

- Chciałem tylko powiedzieć jak mi żal, że nie posiadam pańskiej odwagi. Postąpił pan słusznie, to ja się myliłem.

*

Na końcu pasa stał cicho w ciemnościach George Zwane i patrzył, jak samolot znika gdzieś na wschodzie.

Już parę razy bał się, że morze przemocy i terroru, w które się zanurzył, zaleje go i zatopi. Kiedy zaczynał, jego cel był jasny - wdrzeć się w szeregi Towarzyszy i zniszczyć ich. Ale teraz czuł się zagubiony. Dryfował na straszliwej fali śmierci. Nie miało to końca. Wczoraj rozmawiał ze złowieszczym człowiekiem, który z pewnością oceniał go pod kątem dalszego awansu w hierarchii.

Wpatrywał się w światła odlatującego samolotu. Jedynie wiara w ludzi takich jak Max Loxton utrzymywała go jeszcze na powierzchni.

*

Bóle przychodziły codziennie rano. Z początku słabe, teraz stały się szybsze i regularniejsze. Nie martwiły zbytnio Marie; witała je z radością, bo były znakiem, że malutka istotka pragnęła wydostać się na świat. Anna twierdziła, że powinna więcej się ruszać, ale ona wolała leżeć. Anna nie mogła się sprzeciwić, ale Marie zdawała sobie sprawę, że pokojówka jest bardziej doświadczona niż ona. Właśnie słyszała, że Anna dzwoniła po doktora Jacobsa.

Anna wbiegła do pokoju chwilę później.

- Madame, pan doktor powiedział, że wysyła karetkę. Zaraz tu będą.

Marie poprawiła się w pościeli. Nie przejmując się bólem zaczęła marzyć, jak wspaniale będzie im razem we trójkę - jej, Dolphowi i chłopcykowi.

Doktor Jacobs przybył kwadrans później i pomógł jej przejść do karetki.

- Będę jechał za wami samochodem - oznajmił, ściskając jej dłoń.

- Czy coś jest nie w porządku, doktorze? - Wpatrywała się z niepokojem w jego uczciwą twarz.

- Nie, wszystko w porządku, Marie. Ale wiem, ile to dziecko dla ciebie znaczy, więc zabieram cię do szpitala na poród. Wtedy, jeżeli będą jakiegokolwiek komplikacje, znajdziesz się pod właściwą opieką.

- Pan wie, że Dolph chciał, abym urodziła w domu?

- Dolph może sobie być przywódcą partii, ale ekspertem od porodów i dzieci jestem ja. Powiem, że kazałem ci jechać do szpitala.

Leżała w karetce, wsłuchując się w wycie syreny.

Zastanawiała się, czy powinna sprawiać ludziom tyle kłopotów. Z pewnością w mieście wydarzyło się wiele innych wypadków i karetka była bardziej potrzebna chorym ludziom niż jej, kobiecie mającej rodzić.

Gdy tylko ulokowano ją na sali porodowej, pojawił się jej anioł stróż, doktor Jacobs. Skurcze były coraz częstsze. Zaczęła się bać. Pielęgniarka podeszła do łóżka i ujęła Marie za rękę.

- Musi pani robić to, czego chce pani ciało. Proszę wyprzeć z siebie dziecko, proszę próbować za każdym skurczem.

Czuła, że nowe życie porusza się w jej ciele, że usiłuje się wydostać. Parła mocno, ale nic się nie działo. Znowu pojawił się lekarz.

- Proszę się nie martwić, to nie jest prosta sprawa. Jeżeli dziecko się nie wydostanie, zrobimy cesarskie cięcie.

To słowo nappełniło ją przerażeniem. Dolph zawsze mówił, że takie porody są nienaturalne, wbrew woli Boga. Nie, ona, Marie Klopper, nie będzie miała cesarskiego cięcia! Urodzi swojego synka normalnie.

Łzy płynęły jej z oczu. Ból był potworny. Nie została na to przygotowana - niektóre z jej koleżanek uczyły się do szkoły rodzenia, ale Dolph uważał, że poród powinien być naturalny. Wtedy zastosowała się do jego życzeń, ale teraz miała do niego żal; na pewno byłoby jej łatwiej, gdyby chodziła na takie zajęcia. Następny skurcz; parła mocno, ale opadła na poduszki wyczerpana. Chciała krzyknąć. Co będzie, jeżeli dziecko nie wydostanie się?

Nagle, nie wiadomo dlaczego zapragnęła, żeby była przy niej Anna, a nie lekarz. Anna by zrozumiała.

Czuła, że nadchodzi kolejny skurcz. Przerazona, parła ze wszystkich sił, jakby od tego zależało jej życie. Ból był straszliwszy, niż mogła to sobie wyobrazić.

- Idzie! - krzyknęła pielęgniarka. - To chłopczyk!

Marie zamknęła oczy i poczuła, że ból słabnie. Nagle ogarnęło ją uczucie samotności; jakby część jej samej została zabrana gdzieś daleko. Dotkliwa świadomość straty...

Płacz przywrócił jej przytomność - płacz małego chłopczyka. Doktor Jacobs przyniósł go, wciąż umazanego krwią po porodzie. Małe oczka jeszcze były zamknięte. Przepęniało ją ciepło. Oddałaby życie za to dziecko. Leżało przytulone do niej, malutkie usta poszukiwały piersi pod koszulą. Kiedy zaczął ssać, zrozumiała, że to uczucie najpiękniejsze na świecie.

Nie zauważyła wyrazu bólu na twarzy Jacobsa ani przerażenia w oczach obu pielęgniarek. Istniał dla niej tylko synek.

*

Jakaś kobieta przerwała spotkanie. Odwrócił się do niej wściekły, żeby zażądać wyjaśnień co to za ważna sprawa, ale gdy przekazała mu wiadomość, zerwał się na równe nogi i przeprosił wszystkich zebranych farmerów i businessmanów.

Syn, szepnął sam do siebie, Bóg pobłogosławił go synem.

Jechał bardzo szybko piaszczystymi drogami, zostawiając za sobą tumany kurzu. Tysiące myśli przebiegało mu przez głowę. Już widział zdjęcia swoje i syna na pierwszych stronach gazet. Dadzą mu ten rodzaj popularności, którego bardzo potrzebował. Jego spece od public relations zawsze twierdzili, że wygląda zbyt surowo - dziecko to na pewno zmieni. Nagle poczuł się oczyszczony, poczuł się w pełni człowiekiem. Chłopczyk mógł mieć blond włosy i błękitne oczy jak Marie.

Zostanie wyśmianym rugbystą, a w przyszłości zapewne prezydentem. Chcąc dostać się do szpitala jak najszybciej, w podnieceniu Dolph prawie rozjechał pasterza i stado owiec.

Wjeżdżając na parking przed szpitalem zmusił się do opanowania emocji. Ludzie pracujący w szpitalu imienia Krugera to potencjalni zwolennicy, więc nie wolno mu okazać po sobie zdenerwowania. Musi stłumić wszelkie swoje emocje i zachowywać się jak przystoi przysłemu szefowi państwa.

Był bardzo zdziwiony, że kobieta w recepcji wcale nie zachowywała się przyjaźnie. Z pewnością słyszała, że żona Dolpha Kloppera właśnie urodziła syna. Nie mógł jeszcze wiedzieć, jaka to nowina przebiegła z ust do ust przez cały szpital, niczym pożar

rozprzestrzeniany przez wiatr po suchym, zimowym veldzie - pożar, który wyrwał się spod kontroli, żywy i przerażający.

Szedł korytarzem - chciał biec, krzyczeć i śpiewać z radości. Ale szedł wolno. Któregoś dnia będzie władał RPA, a przywódcy narodów muszą być poważni i spokojni. Ale pod pozornym spokojem kłębiły się emocje; więc kiedy doktor Jacobs złapał go za ramię na progu sali poporodowej, Dolph aż zachnął się ze złości.

- Doktorze, chcę zobaczyć moje dziecko!

- Uspokój się, Dolph. - W głosie lekarza brzmiała śmiertelna powaga. - Dziecko czuje się świetnie. Tylko że...

- Co, doktorze? - wściekle ryknął Dolph.

- Nic. - Lekarz odsunął się. - To śliczny, zdrowy chłopczyk.

Jacobs wpatrywał się w rząd pustych łóżek i myślał o Marie leżącej na sali specjalnej. Potrzebny jej będzie człowiek rozumiejący, współczujący, a nie był to opis pasujący do Dolpha Kloppera. Patrzył z rozpaczą na Dolpha biegnącego przez salę do pokoju, gdzie leżała żona z ich nowo narodzonym synem.

Marie mocno tuliła dziecko. Nie rozumiała, co doktor do niej mówił. Cokolwiek to było, dla niej nie miało żadnego znaczenia. Już wyczuwała, że dziecko będzie silne, tak jak Dolph pragnął. Teraz zrównała się ze swoimi rodzicami i przyjaciółkami - ona też była matką.

Maluch znowu zapłakał. Trzymała go tuż przy piersi, wpatrując się w piękne, ciemne oczy. Zrozumiała, że znowu kocha. Może będzie to początek nowego romansu z Dolphem?

Wtedy podniosła głowę i zobaczyła Dolpha wchodzącego do pokoju. Czują głębokie zadowolenie. Życie zapowiadało się tak cudownie.

Uśmiech zniknął z twarzy Dolpha, gdy tylko jego oczy spoczęły na dziecku. Marie dostrzegła jego zmieszanie. Rozumiała szok wywołany przez uczucie ojcostwa. Lecz ku jej zdziwieniu, Dolph zaczął się cofać, jego ciałem wstrząsały dreszcze. Uniósł rękę i rozpaczliwym gestem wskazał dziecko.

- Czyje to dziecko? - wyjąkał. - Prawdę, Marie, powiedz mi prawdę!

Głos należał do Dolpha, ale był zły i okrutny. Dziecko zaczęło płakać, więc przytuliła je mocno do piersi.

- Jest nasze, kochanie - odparła patrząc na noworodka.

W pokoju zapanowała potworna cisza. Spojrzała na niego znowu. Mężczyzna, którego kochała, patrzył na nią, jakby była czymś plugawym i odrażającym.

- Dolphie, co się stało?

- Marie, to nie jest mój syn. Czyj on jest?

Czemu był taki wściekły?

- Jest nasz. Chcę go nazwać Karl, po twoim ojcu.

Usta Dolpha wykrzywiła furia.

- Ty puszczańska dziwko! Nie odważysz się!

Wzdrygnęła się ze strachu, te słowa wstrząsnęły w końcu jej rozmarzoną duszą. Co on mówił? Jak jej mąż mógł tak do niej się zwracać? Wyzywać ją od dziwek?

Twarz Dolpha wykrzywiła zwierzęca wściekłość.

- Marie, już nigdy nie wejdiesz do mojego łóżka. Nie nosisz już mojego nazwiska. Zabieraj tego małego bękarta i mieszkaj razem z jego ojcem - czarnuchem.

Rozpląkała się, ale szybko otarła łzy. Uważnie spojrzała na synka i dopiero teraz dostrzegła, że jego skóra miała odcień mlecznej czekolady. Ponownie spojrzała na mężczyznę, o którym myślała, że ją kocha.

- To twój syn, Dolph.

W tym momencie do pokoju wpadł doktor Jacobs.

Złapał Dolpha za ramię i próbował wyciągnąć go z sali.

- Takie rzeczy się zdarzają, nie rozumiesz? To twój syn!

Ale Dolph stracił rozum.

- Spałeś z kafrem! - wrzasnął na Marie. - Ty kurwo!

Z twarzą czerwoną z gniewu przewrócił Jacobsa na podłogę i wypadł z pokoju.

Lekarz podniósł się z trudem. Nie miał żadnych wątpliwości, że to był syn Dolpha - Marie przecież sztucznie zapłodniono jego spermą. Istniało tylko jedno wytłumaczenie koloru skóry dziecka, a ciemna karnacja i czarne oczy Dolpha jedynie je potwierdzały. Ale on na pewno nie miał ochoty być tym, który poinformuje Dolpha, że ktoś z jego przodków był Murzynem.

Z zaciśniętymi pięściami Dolph wolno wyszedł ze szpitala. Jak Marie mogła to zrobić? Wybrał ją starannie - dziewczynę o najczystszej afrykańskiej pochodzeniu. Teraz nie miało to już znaczenia. Sama skazała się na potępienie wieczne. Naturalnie wyjaśni ojcu Marie, dlaczego ją opuścił. Będzie musiał porządnie obić córkę i wydobyć z niej prawdę. Dolph już zdecydował, że spotka się z facetem, który spłodził tego kolorowego bękarta właśnie przytulając przez Marie.

Który czarnuch odważył się spać z jego żoną? Weźmie ze sobą sjambok. Wychłoszcze go, aż ten będzie wrzeszczał. A on będzie bił i bił...

Odjeżdżając spod szpitala usiłował skoncentrować myśli na innych sprawach, na przykład nad referendum, ale nie udało się - ciągle wracał myślami do Marie i dziecka.

Widział skandal, jaki gazety wysmażą z tej historii. Trzeba będzie podzwonić... Sprawa musi zostać pogrzebana. Świat nie może się dowiedzieć prawdy o Marie i jej kolorowym dziecku - ten dzieciak, cokolwiek by doktor Jacobs nie mówił, absolutnie nie mógł być jego.

*

Lucinda wcale się nie zdziwiła, że Rafe spóźnił się prawie godzinę i nawet nie przeprosił. Był dokładnie takim gnojem, jak przypuszczała. Spotkała go na małej popijawie u starych przyjaciół. Zaprosił ją na kolację do jednej z najlepszych restauracji w Johannesburgu, ale odmówiła. Poczekala, aż dotrze do niego szok wywołany odmową i dopiero wtedy zaproponowała kolację sam na sam u niej w domu. Jediną rzeczą, jaką miał przynieść, była butelka Veuve Cliquot, jej ulubionego szampana.

Z zapalem zaakceptował propozycję - oczywiście już ją widział jako kolejne trofeum swoich miłosnych podbojów. Lucinda uśmiechnęła się idąc do drzwi. Na Rafe'a czekały tu pewne niespodzianki. Zawsze uwielbiała robienie małych niespodzianek takim typom jak Rafe.

Był przystojniejszy, niż zapamiętała. Znakomicie skrojony garnitur skrywał wspaniałe, świetnie zbudowane ciało. Twarz miał męską o mocnych rysach i ciemnych oczach. Gdy całował ją w policzek, poczuła zapach drogiego płynu po goleniu.

Wprowadziła go do salonu i dopiero tu wybuchnęła gniewem. Wiedziała, że wypadało okazać złość.

- Gdzieżeś się, do cholery, podziewał?

Popchnął ją leciutko na sofkę i pocałował w czoło.

- Mogłeś chociaż zadzwonić. - Miała nadzieję, że w jej głosie dało się wyczuć właściwą porcję bólu.

- Miałem ważne spotkanie. Interesy. Nie mogłem urwać się wcześniej. Gdzie są kieliszki? Masz kapitalny dom, Lucindo. Twój?

Zauważyła dziwny błysk w jego oczach. A więc nie tylko gnojek pierwszej kategorii, ale też i utrzymanek.

- Tak. Odziedziczyłam go - skłamała.

- Fartowna z ciebie babka.

- Chcesz kolację? Czeka w piekarniku.

Wiedziała, że nie będzie miał ochoty, chciała tylko dać mu okazję do odmowy. Wszyscy mężczyźni byli do siebie podobni - uwielbiali poniżać kobiety.

- Zjadłem już pizzę - powiedział. - Nie jestem głodny.

- Rafe, znasz powiedzenie, że źle się pije na pusty żołądek? Ja dzisiaj jeszcze nic nie jadłam.

Spojrzał na nią z psotnym błyskiem w oczach.

- Chyba nie wierzysz w takie bujdy?

- Kiedy spędzam wieczór z kimś takim jak ty, nigdy, kochanie.

Przesunęła się trochę, tak aby jej wieczorowa suknia rozchyliła się i odkryła nogi opięte czarnymi pończochami. Zauważyła, że natychmiast przylepił się do nich spojrzeniem. Ułożyła się na sofie tak, aby mógł podziwiać jej całe ciało.

Wprawnie otworzył szampana i nalał jej kieliszek.

- Masz tu jakąś muzyczkę?

- Oczywiście, kochanie. W tym pokoju znajdziesz wszystko, łącznie ze mną. Zobacz tam, w szafce koło drinków.

Wybrał płytę Nat King Cole'a, nastrojową i romantyczną. Podeszedł do Lucindy, ujął kieliszek i tręcili się lekko. Wypiła do dna i zachichotała. Tak jak się spodziewała, podchwycił ton.

- Nalej mi jeszcze jeden, Rafe. Czuję się tak lekkomyślna dziś wieczór.

Napełnił kieliszki. Wolno sączyła szampana, czekając aż Rafe zacznie.

- Nie mogę uwierzyć, że siedzę sam na sam z najpiękniejszą kobietą w Johannesburgu.

- Czyżbym była aż tak atrakcyjna? - spytała Lucinda z udawaną naiwnością.

Pochyliła się ukazując piersi. Przysunął się bliżej.

- Lucindo, kiedy wchodzisz do pokoju, wszyscy mężczyźni patrzą tylko na ciebie.

Z powrotem opadła na sofę. Nie pił wystarczająco szybko. Chciała, aby był bardziej podniecony, bardziej pobudzony. Tak właśnie lubiła brać mężczyźni.

- Powinniśmy wypić toast.

- Za Lucindę Loxton, najpiękniejszą kobietę na świecie!

Oboje przechylili kieliszki.

Rafe napełnił oba kieliszki. Rany, babka nie miała zbyt mocnej głowy. Jeżeli nie będzie na nią uważał, przyjdzie się kochać z podpitą, a to nie było aż tak przyjemne. Nadszedł czas na pierwsze posunięcie.

Pochylił się i przesunął ustami po jej wargach. Nie opierała się, przeciwnie, jej język zaczął szukać jego języka. Niezbyt wiele pięknych kobiet, z którymi się kochał, miało w sobie ogień erotyczny dorównujący ich urodzie. A teraz, po pierwszym pocałunku zrozumiał, że Lucinda Loxton była kimś szczególnym. Działała na jego zmysły jak wstrząs elektryczny. Czuł, że sztywnieje z pożądania. Pragnął jej. Pragnął ją posiąść i zdominować.

Przyciągała go namiętność, której nie mógł się oprzeć.

Lucinda wiedziała - już był jej. Stracił panowanie nad sobą. Czowała jego ręce ślizgające się po jej biodrach i udach. Podobało jej się to - ale wtedy spróbował siłą osunąć ją na kolana. Nie tego chciała. Jej przyjemność była najważniejsza.

- Nie, kochanie. Rozbierz się.

Przesuwał ustami po jej piersiach i niżej, niżej. Oddychała szybko, podniecona. Sama, wciąż ubrana, pomogła mu się rozebrać. Chwilę później był już nagi. Całował ją mocno i błędził rękami po jej piersiach pod cieniutkim materiałem sukni. Dostrzegła krople potu na jego skórze, co podniecało ją jeszcze bardziej. Od czasu do czasu próbował osunąć ją na sofę, ale się opierała.

Po kwadransie Rafe czuł się wyczerpany. Spojrzała na niego.

- Zmęczony, Rafe? Nie, ty się połóż. Wolę to w ten sposób.

Położył się na podłodze. Miał pełną erekcję. Dosiadła go. Starła się zagarnąć całą przyjemność dla siebie.

- Chodź, Rafe, pchaj, mocniej...

- Lucindo, tak...

Naraz zmieniła taktykę. Uniosła się i zaczęła lekko drażnić go palcami. Gdy tylko zobaczyła, że sprawiło mu to przyjemność, nagle zacisnęła dłoń. Krzyknął głośno i aż poderwał się z bólu.

- Och, tak mi przykro. Poniosło mnie!

Popchnęła go na podłogę i znowu dosiadła. Tym razem mogła się założyć, że nie było szansy, aby osiągnął orgazm. Z wielkim zadowoleniem obserwowała, jak ciężko dyszy przyciśnięty jej ciałem do podłogi.

Błyskawicznie doznała orgazmu. Krzyczała z rozkoszy i satysfakcji. Spojrzała na Rafe'a. Był rozgoryczony i obolały, z całą pewnością. Chciał też dojść do szczytu, ale nie mógł - męczył się strasznie. Sam skurwielił na to zasłużył. Jak i cała reszta.

- Coś nie tak, Rafe? Nie jestem dla ciebie wystarczająco podniecająca? Sądziłam, że może ci stać przez całą noc...

W jego oczach dostrzegła narastającą wściekłość. Zerknęła na zegarek; utrafiła dokładnie w czas. Zeszła z niego i zaczęła się śmiać.

- Trzeba było powiedzieć, że jesteś impotentem!

Sekundę później rzucił się na nią i, siłą rozrywając jej uda, usiłował w nią wejść. Znowu opuściła rękę i zaczęła go pieścić, aż usłyszała zgrzyt klucza w zamku.

Wtedy ścisnęła mu jądra paznokciami tak mocno, jak tylko mogła.

- O, Boże! Ty kurwo pierdolona!

Odotczył się na bok i zwinął w kłębek. Łzy bólu ciekły mu z oczu. Wtedy uświadomił sobie, że patrzy na czyjeś długie, smukłe nogi. Spojrzał w górę i zobaczył przyglądającą mu się uważnie wysoką, szczupłą blondynkę.

Nagle dotarło do niego, że był zupełnie nagi, a Lucinda ubrana. Dowlókł się do sofy i z trudem naciągnął slipy. Czuł na plecach wzrok obu kobiet.

- Lucindo, pozwól ze mną do kuchni. - Matowy głos był bardzo opanowany.

Odczekał, aż wejdą do kuchni, włożył resztę ubrania i rzucił się do drzwi. Był to ostatni raz, kiedy jego noga postąpiła w pobliżu Lucindy Loxton.

W kuchni obie kobiety usiadły naprzeciwko siebie przy stole.

- Lucindo, do cholery! Co ty sobie wyobrażasz? - Victorii trudno było opanować wściekłość.

- Próbował mnie zgwałcić, skurwysyn! - Lucinda gwałtownie odrzuciła do tyłu płomienne włosy.

- Nie próbuj ze mną swoich sztuczek. Chciałaś mu zrobić coś złego. Wyglądało raczej, jakbyś to ty chciała go zgwałcić.

- Ty dziwko!

Victoria uchyliła się przed ciosem i złapała Lucindę za rękę. Wpatrywała się uważnie w zielone, błyszczące oczy, usiłując odnaleźć w nich odpowiedź.

- Lucindo, wczoraj rozmawiałam ze Stephanie Coltrane. Spędziłaś wieczór z jej synem. Musiał iść do lekarza, kiedy z nim skończyłaś.

- Ten rozpustny gnojek też próbował mnie zgwałcić!

- Coś jest z tobą nie tak. Czy nie możesz mieć normalnego życia seksualnego?

- Normalnego? Jak ty z tym staruchem?

Victoria mocno uderzyła siostrę w twarz, aż Lucinda upadła na podłogę. Uklękła obok i trzymała jej rękę.

Lucinda szarpała się, aby oddać cios.

- Więcej do mnie tak nie mów. Nigdy!

Lucinda rozplakała się. Jej ciałem wstrząsały dreszcze. Victoria podniosła ją i zaprowadziła do salonu.

Z zadowoleniem zauważyła, że młody człowiek już się wyniósł; miała nadzieję, że nic złego mu się nie stało.

Zostawiła Lucindę na sofie, a sama podeszła do barku, żeby nalać sobie szkockiej. Miała wystarczająco dużo problemów w życiu: obawa o zdrowie Kobusa, popieranie go w

walce z ojcem, jej własny napięty terminarz rozpraw - kłopoty z Lucindą były kroplą, która przepełniła czarę. Nagle poczuła się winna. Modliła się, aby nigdy więcej nie trzeba było zamykać Lucindy w szpitalu - co się stało z jej postanowieniem przemienienia siostry w osobę w pełni normalną?

Wróciła na sofę z drinkiem i usiadła obok Lucindy.

Siostra przestała płakać. Victoria przyjrzała się jej długim, ognistym włosom, doskonałym piersiom i zmysłowej linii ust. Mężczyźni zawsze będą się zakochiwali w Lucindzie - takie było jej przeznaczenie.

- Lucindo, musimy porozmawiać.

- Jeżeli o mężczyznach, to temat mnie nie interesuje.

- Jesteś gościem w moim domu, a dopiero co obraziłaś Kobusa i usiłowałaś mnie uderzyć. Więc teraz możesz chwilę posłuchać. - Jedynym sposobem, żeby sobie z nią poradzić, była stanowczość i spokój. - Mężczyźni uważają, że jesteś bardzo atrakcyjna - ciągnęła. - Większość kobiet marzy, żeby wyglądać tak jak ty. Więc jeżeli nie chcesz mężczyzny, nie musisz go mieć, ale jeżeli zapragniesz, aby się z nim kochać, nie niszczyć go.

Siostra, która była jej prawie całkiem obca, patrzyła na nią zmieszana.

- Ja... Ja chciałabym móc ci powiedzieć. Nie chcę miłości żadnego mężczyzny. Spotykałam w życiu facetów, którzy mieli w głowie tylko jedno. Nawet doktor Spratt w szpitalu - nigdy mi nic nie zrobił, ale widziałam w jego oczach, że chciałby. Vicky, chcę się wyprowadzić i mieszkać sama.

- To nie jest konieczne. Przemyśl tylko to, co ci powiedziałam. Jeżeli będziesz chciała o tym pogadać - wystarczy słowo.

- Nie będę chciała. Idę spać.

Victoria patrzyła na wychodzącą siostrę. Została sama w pokoju i wbiła wzrok w swoją szkocką. Lucinda była dla niej większym wyzwaniem niż jakakolwiek sprawa sądowa do tej pory. Coś musiało się jej przytrafić w dzieciństwie, to jasne. Coś strasznego. Gdyby umiała znaleźć klucz do tego ciemnego pokoju w jej umyśle, mogłaby znać odpowiedź.

*

Dolph spędził wiele czasu na modlitwie. Po raz pierwszy w życiu robił coś ważnego bez skontaktowania się z ojcem. Uważał, że ojciec nie zrozumiałby, co się stało.

Co gorsza, mógłby zażądać od niego honorowania więzów małżeńskich, chociaż, gdyby się nad tym głębiej zastanowił, byłoby to raczej mało prawdopodobne. „Na dobre i na złe” zamruczał pod nosem słowa przysięgi małżeńskiej. Wydawały się takie prawdziwe w dniu ich ślubu; teraz były obce i bez sensu.

Kolorowe dziecko. Spojrzał na skórę swoich rąk.

Tak, to prawda, że miał ciemną karnację, ale sugerowanie, że dziecko jest jego, co próbował czynić doktor Jacobs, było po prostu śmieszne.

Rozmawiał już z ojcem Marie, który wszystko zrozumiał. Marie była dla nich obu wielkim kłopotem, zwłaszcza teraz, w przededniu referendum, kiedy czekała ich tak wyczerpująca próba sił. Podjął więc kroki, które uważał za konieczne. Miał doskonale znajomości, ale sam był zdziwiony, że otrzymał pomoc tak szybko.

Z pewnością miał dużo szczęścia. Wszyscy w malutkim szpitalu zrozumieli, z wyjątkiem tego durnia Jacobsa, ale ten był zbyt przestraszony, żeby gadać. Nie, sprawa była jasna; szatan skusił Marie, a ona uległa; sam szatan chciał go pokonać i upokorzyć tą rozpustną żoną.

Ale jego, Dolpha Kloppera, nie tak łatwo pokonać.

Wziął „Die Burger” i ponownie przeczytał nekrolog.

„Marie Klopper. Bóg łagodnie ujął ją za rękę i poprowadził do rajskich ogrodów, 19 VII 1989 roku.

Kochający mąż, Dolph."

Znakomity. A teraz trzeba zamknąć sprawę odwiedzając Urząd Miejski. Nie zabierze to dużo czasu, chyba nawet mniej niż wymówienie przysięgi małżeńskiej.

*

- Ach, Meneer Klopper. Miło pana widzieć. Tak, wszystko już mi wyjaśniono, więc nie musi pan nic powtarzać ani nic podpisywać. Tylko coś panu pokażę, aby pan zobaczył, że wszystko w porządku.

Podał mu zielony dowód osobisty. Wszyscy Południowoafrykańczycy mieli takie same. Nazywano je „Księgami życia” - zawierały dokładną charakterystykę każdego według rasy i koloru skóry. Dolph przyglądał się czarno-białej fotografii żony. Rzeczywiście odwalili kawał niezłej roboty. Wyglądała niemal na osobę, którą miała się stać - na Koloredkę*.

- Marie Klopper zmieniła się w Marie Jantjies. Jest Koloredką z Cape, ma małego synka, który jeszcze nie został ochrzczony. Niestety, jej mąż, Boetie Jantjies, pracownik kolei, zginął w wypadku 19 lipca 1989 r. - Japie Theron wpatrywał się uważnie w Dolpha. - Po mężu został jej mały domek w dzielnicy dla kolorowych, Riverlea, niedaleko Soweto. Renta, którą otrzymuje od kolei, wynosi czterysta pięćdziesiąt randów miesięcznie...

- Proszę podwyższyć do sześciuset.

- Jest pan hojnym człowiekiem, Meneer Klopper.

- Czy to renta dożywotnia?

- Tak. Będzie mogła całkiem nieźle żyć, kiedy syn już dorośnie.

- Theron, trzymajmy się faktów. Ta sprawa wzbudza we mnie obrzydzenie. Moja żona urodziła kolorowe dziecko. Załatwiłem wszystko, żeby rozdzielić nas na zawsze, a ona się zgodziła. Czy wyrażam się jasno?

- Rozumiem. Oczywiście.

- Mevrouw Jantjies przebywa teraz w szpitalu Baragwanath. Proszę dopilnować, aby zwolniono ją i syna w dobrym stanie zdrowia.

Japie Theron uniósł brwi i zakaszłał. Dolph poczuł krople śliny na twarzy i wyjął chusteczkę.

- Bardzo przepraszam, Meneer Klopper, ale nie mogłem powstrzymać się od śmiechu. Rozumie pan, Baragwanath to znakomity szpital. Pod warunkiem, że jest się kafrem.

Baragwanath był największym szpitalem w Afryce i zajmował się przede wszystkim ludnością kolorową.

Każdego dnia stanowił temat wieczornego dziennika, bo albo pielęgniarki strajkowały, albo lekarze rozdierali szaty nad przerażającymi warunkami pracy.

Dolph spytał:

- Czy moje nazwisko nie figuruje nigdzie w aktach?

- Nie rozumiem, o co panu chodzi. Przecież nie ma pan żadnych powiązań z tą Jantjies.

- Dobrze. Mam nadzieję, że zawsze będzie pan tak dyskretny - może przyjdzie panu stawić czoło paru wężącym dziennikarzom.

- Nic tu nie znajdą.

Dolpha Kloppera dziwnie denerwowały te bezbarwne, szare oczy wwiercające się w jego źrenice; nie chciał nigdy więcej mieć z tym facetem do czynienia.

Nerwowo potarł dłonią czoło. Napięcie z powodu tej sprawy wyczerpało jego energię.

- Tak, ee... jeszcze jedna rzecz, Meneer Klopper...

Dolph wyjął z kieszeni starannie zapakowaną brązową paczuszkę. Dziesięć tysięcy randów - niewielka sumka za upewnienie się, że jego była połowica pograży się na zawsze w morzu niepamięci.

*

Kościół był przepełniony, a ludzie tłoczyli się nawet na zewnątrz.

Tuż przy ołtarzu stał Dolph i rodzice Marie. Gdy wielebny Eldad Cilliers wolno rozpoczął rytuał mszy pogrzebowej, matka Marie zaczęła płakać, a całe zgromadzenie serdecznie współczuło kobiecie, która straciła tak młodą córkę.

Po pogrzebie podano herbatę dla pań i alkohol dla panów. Dolph nalał sobie sporo brandy z colą. Nagle poczuł mocne klepięcie w ramię. Odwrócił się i zobaczył stojącego obok wielebnego Cilliersa.

- Cóż, Dolph, nie wolno ci teraz tracić czasu na rozpacz. Musisz skoncentrować się na poparciu Loxtona w walce z van der Postem.

Dolph spojrział w oczy starego kapłana. Nie, wielebny nie znał prawdy; podobnie jak większość kongregacji uwierzył, że Marie umarła wydając na świat martwe dziecko.

- Musisz ożenić się ponownie. Musisz mieć synów.

W Dolphie narastała furia. Nie usiłował jej opanować, ale też nie pozwolił, żeby odbiła się na jego twarzy. W jego życiu nie będzie więcej żadnych kobiet - wszystko poświęci sprawie. Bóg pokazał mu, jak łatwo czarni mogą upokorzyć białych. Gdyby objął władzę, przywróciłby stare prawo, głoszące że Murzyn śpiący z białą kobietą popełnia przestępstwo. Karałby takie śmiercią.

- Nie ożenię się ponownie - oświadczył.

Wielebny Cilliers poklepał go łagodnie po ramieniu.

- Mężczyzna potrzebuje kobiety. Bóg czasem jest okrutny, ale sądzę, że sprawił to, by uczynić cię silniejszym.

*

W swoim luksusowym biurze w Hollywood John Packard rozsiadł się wygodnie w fotelu i spojrział na zdjęcie Saffron leżące na biurku. Potem zerknął na siedzącego naprzeciwko eleganckiego Anglika.

- No i jak tam postępy?

Facet przyglądał czarne włosy, poprawił okulary i na jego wąskich wargach pojawił się chłodny uśmiech.

- Lepiej niż się spodziewałem, stary.

Packard parsknął śmiechem, a mężczyzna odczekał chwilę.

- Więc - kontynuował - chyba nadszedł już czas, żeby zabrać mu krzesło spod tyłka.

Packard splótł ręce.

- Jeszcze nie. Chcę, aby zaczęto budowę, chcę, żeby jego zaangażowanie emocjonalne doszło do szczytu. Chcę, żeby uwierzył, że jego sen się spełnia.

- Słuchaj, przyjacielu, sądziłem, że pragniesz go zrujnować...

Twarz Packarda niemal trysnęła czerwienią.
- Chcę zetrzeć skurwiela z powierzchni ziemi.

11

W usmolonym kombinezonie, szurając nogami, George Zwane włókł się w kierunku budki strażnika przed komisariatem policji. Młody czarny konstabl zerknął na niego, więc George zbliżył się wyciągając rękę w powszechnie znanym geście żebraka. Konstabl, pomyślawszy, że facet stojący przed nim wygląda na nałogowego pijaka, który zapewne zużyje i te pieniądze aby kupić alkohol, sięgnął mimo wszystko do kieszeni.

Gdy konstabl robił przegląd drobniaków, George wepchnął trzymaną w rękę paczuszkę pod stolik, który stał obok wartownika. Szybko wyciągnął z kieszeni identyczną, ale pustą. Podziękował konstablowi za pięćdziesiątaka i począł dalej.

Chociaż pierwszą część misji miał już za sobą, zdwoił ostrożność. Dobrze go wyszkolili w Botswanie; instruktor we Francistown twierdził, że właśnie w takich momentach, kiedy napięcie już spadło, łatwo można zaprzepaścić całą sprawę. Czuł nieodpartą potrzebę rzucenia się do ucieczki, lecz zapanował nad sobą i dalej włókł się powoli ulicą. Jasne, że właściwie jeszcze nic nie osiągnął - konstabl mógł przecież dostrzec paczkę i pójść za nim.

Bez pośpiechu przedarł się przez jakieś krzaki i uwalnił się na trawie nieopodal. Nikt go tam nie zauważył.

Ostatecznie, to rzecz zupełnie zwyczajna, że bezrobotni Murzyni wylegiwali się na trawnikach w dzielnicach tylko dla białych.

Widział, jak jasny ford escort zatrzymuje się przed posterunkiem i wysiada z niego Marc - biały młody student Uniwersytetu Witwatersrand, skaptowany przez Towarzyszy. Uważano go za oddanego sprawie naiwniaka. W przeciwieństwie do George'a, Marc na pewno zostanie zapamiętany. Nie miało to znaczenia, bo jako białego można go było łatwo przerzucić do innego państwa i dać mu nową tożsamość. Tak czy siak, Marc wierzył, że właśnie tak się stanie, ale dla Towarzyszy nie był osobą niezbędną. Praktycznie nie należał do organizacji, gdyż znał tylko George'a i kilku ludzi bez znaczenia. Gdyby złapali go gliniarze i podłączyli mu jaja do prądu, nic ciekawego by z niego nie wydobyli.

Patrzył, jak Marc wolno wysiada ze skradzionego forda z fałszywymi numerami, zamyka drzwi i siada na masce. George wyjął z kieszeni paczkę papierosów i wyciągnął jednego zębami. Popalał sobie leniwie. Mocno się zaciągał i uśmiechał - jak na razie, wszystko szło zgodnie z planem.

Minęło parę minut. Przed posterunkiem zatrzymał się inny samochód. George zdenerwował się - nieprzewidziana komplikacja. Z samochodu wysiadła jakaś biała babka, zamknęła starannie drzwi, a kluczyki wrzuciła do torebki. Podeszła do czarnego konstabla, który wyprostowany słuchał jej uważnie. W tym czasie Marc odszedł do wozu i niespokojnym krokiem dochodził do skrzyżowania. Już prawie zniknął za rogiem.

Konstabl oprowadzał kobietę wokół posterunku i izby zatrzymań. George spojrzął na zegarek. Dwunasta czterdzieści pięć. Jeszcze tylko piętnaście minut...

- Hej, ty tam, kafrze!

George zacisnął zęby, ale przypomniał sobie, gdzie był i czyją grał rolę.

- Tiaa, psze pana? - odparł pokornie.

Starszy facet z żółtymi, popsutymi zębami patrzył na niego wzgardliwie wyblakłymi, niebieskimi oczami.

- Spierdalaj z mojego trawnika! - warknął.

- Tiaa, psze pana, ja tylko troszkę pospałem.

- To śpij gdzie indziej, ty parszywy włóczęgo!

Kłopotliwa sytuacja - staruch mógł go zapamiętać.

Ale już nic nie można było zrobić - facet nie był celem.

- Ruszaj się, ty - powiedział stary. - Bo każę cię aresztować.

Zaczął grzebać po kieszeniach i nagle ku swemu zaskoczeniu George poczuł, że mężczyzna wciska mu coś do ręki. Banknot pięciorandowy. Stary zniknął; poczłapał z powrotem do domu, do swojego białego wygodnego świata. George poszedł dalej ulicą.

*

W momencie gdy znalazł się za rogiem, Marc zaczął biec. Mówili mu, że nie wolno uciekać, ale żołądek podszedł mu do gardła i czuł, że się zaraz zesra ze strachu. Wtoczył się gdzieś w krzaki, zsunął spodnie i poczuł najpierw olbrzymią ulgę, a potem zaraz gwałtowne mdłości.

Musiał się szybko stąd wydostać. Podano mu dokładne dane dotyczące trasy ucieczki z Johannesburga i drogi, którą miał dotrzeć na punkt przerzutowy na granicy z Zimbabwe. Przeszedł przez główną ulicę i zaczął iść w stronę przystanku autobusowego. „Zachowuj się normalnie”, powtarzał sobie cały czas. Nie przyszło mu do głowy, że cuchnął odchodami.

Na przystanku stało kilka kobiet. Po chwili zauważył, że jedna z nich przygląda mu się uważnie i trochę go zdziwił wyraz wrogości w jej oczach. Nie miał pojęcia, że obserwowała go przez cały czas ze wstrętem z powodu smrodu. To właśnie ona będzie składać zeznania na procesie i opisać dokładnie, gdzie go widziała i jak wtedy wyglądał.

Na szczęście autobus przyjechał o czasie. Marc zapłacił za bilet i wszedł schodami na górny podest. Odprężył się, gdy autobus przyspieszył, zabierając go daleko od komisariatu i kradzionego samochodu z fałszywymi numerami.

*

O pierwszej wyszli z komisariatu. George nie mógł dokładnie policzyć, ale musiało ich być przynajmniej czterdziestu. Towarzysze mieli dobry wywiad - tak jak mu powiedziano, rzeczywiście odbywało się tu jakieś szkolenie. Razem z nimi szła kobieta, którą widział wcześniej.

Przeciskała się do samochodu. Nic nie mógł dla niej zrobić; cała starannie zaplanowana akcja i poniesione ofiary nie mogły zostać zaprzepaszczone z jej powodu.

Już stali koło wartownika gotowi do przejścia. Tu mogły pojawić się komplikacje, gdyby przechodzili pojedynczo. Wolałby dużą, zwartą grupę. Pierwsza bomba, którą podłożył, miała wywołać panikę i spowodować, by uciekali od posterunku w kierunku wozu zaparkowanego na ulicy przez Marca.

Wtedy zobaczył samochód podjeżdżający pod komisariat i prawie podskoczył na równe nogi z przerażenia.

Z wozu wysiadła Murzynka i jej dwie nastoletnie córki w mundurkach szkolnych.

- Uciekajcie, Jezu Chryste! - George mamrotał do siebie bezgłośnie rozpaczliwą modlitwą, ale kobieta nadal tkwiła koło samochodu rozmawiając z córkami.

Przypominała mu Brendę.

Policjanci stali za bramą i czekali całą grupą. Lepiej niż mógł sobie wyobrazić - wręcz doskonale. Z wyjątkiem czarnej kobiety i jej córek.

Wolno wyjął z kieszeni urządzenie. Wyglądałoby jak pilot video, gdyby nie mała antenka na szczycie.

Dwie cholerne baby i dwie dziewczynki. Taka była cena. Czy nie za wysoka?

Jego palec zawisł nad guzikiem, ale przypomniał sobie Towarzyszy. Jeżeli zawali tę robotę, nigdy mu nie zaufają. Będą uważali, że specjalny trening w Botswanie był tylko stratą czasu. To jego szansa, żeby udowodnić lojalność.

Nie. Nie potrafił.

Wtedy pomyślał o zastrzelonym z zimną krwią ojcu.

Musiał odnaleźć mordercę.

Jego palec przycisnął guzik.

Pierwsza mała bomba eksplodowała przy budce wartownika. Policjanci zaczęli uciekać od miejsca wybuchu. Dwóch leżało na ziemi; byli martwi i zakrwawieni.

Murzynka uciekała, rozpaczliwie ciągnąc za sobą córeczki. W powietrzu wisiał zapach krwi i paniki. Wokół samochodu zostawionego przez Marca kłębiły się niebieskie mundury. Wolno upływały sekundy, sekundy między życiem a śmiercią. Po tej akcji George stanie się terrorystą.

Chłodno przycisnął drugi guzik.

W wozie znajdowało się sto kilogramów materiałów wybuchowych, a pięćdziesięciolitrowy bak był po brzegi wypełniony paliwem. Czerwone światelko mechanizmu kontrolnego migotało tuż obok koła zapasowego.

Przez moment wyglądało, że nic się nie dzieje i wtedy, nagle, spod podwozia wyrosła ściana ognia i rozszerzyła się na całą ulicę. Policjanci odwrócili się. Murzynkę i jej córki ogarnęło morze płomieni.

Wybuch - gwałtowny i przesywający, przypominał grzmot burzy, często latem rozbrzmiewającej nad Johannesburgiem.

Po pewnym czasie, gdy dym zaczął opadać, George uświadomił sobie, że zgniótł detonator, zbyt mocno zacisnąwszy prawą dłoń. Dwa piętra komisariatu zapadły się, zewnętrzny mur zniknął zupełnie, a budkę wartownika zmiotło z powierzchni ziemi. Czarna kobieta leżała pośrodku ulicy przeraźliwie wrzeszcząc.

Oberwało jej obie nogi.

George zerwał się i wrzucił resztki aparatu do kratki ściekowej przy krawężniku. Skręcił w boczną uliczkę.

Ludzie zaczęli wychodzić z domów i rozglądali się dookoła w poszukiwaniu źródła hałasu. Wciąż słyhać było wycie przechodzące chwilami w piskliwe zawodzenie lub jęk bólu. Boże, co on uczynił!

Za następnym rogiem czekał na niego samochód.

George wskoczył do środka i położył się na podłodze.

- Amandla - wymruczał kierowca i zapalił silnik.

Nie odjechał szybko, wręcz przeciwnie, wolno i leniwie, niczym człowiek udający się na naradę. W ciągu minuty George zdążył zarzygać całe tylne siedzenie.

Tymczasem z dymiącego komisariatu wytoczył się konstabl i tępo przyglądał zniszczeniom. Oparł się o ścianę i wybuchnął gwałtownym płaczem. Po chwili znowu wbiegł do środka.

Gdy dym się rozwiął, powietrze wypełniły sygnały karetek i ambulansów. Tłumy ludzi zaczęły się zbierać po drugiej stronie ulicy. Nadjechała furgonetka, z której wysypali się policjanci z brygad specjalnych. Uzbrojeni po zęby, rozpoczęli ponurą procedurę przesłuchiwania świadków.

Nagle nad miejscem tragedii wyrósł cień poruszający się jak ręka demona. Rozległ się donośny warkot. Na chodniku osiadł helikopter, a nienagannie ubrany mężczyzna w ciemnych okularach wyskoczył na ulicę. Podszedł do leżącej Murzynki i zdjął okulary.

David Loxton delikatnie ujął głowę ofiary.

- Odnajdę ich - oświadczył. - Odnajdę, choćby miało mi to zająć całe życie.

Pocałował Murzynkę i pozwolił jej odejść.

Zdjęcie ministra sprawiedliwości RPA całującego umierającą Murzynkę pojawiło się na pierwszych stronach wszystkich ważniejszych gazet świata. Niosło przesłanie trafiające do serc i umysłów milionów ludzi.

Zdjęcie Loxtona pojawiło się na okładce „Time’a”, a w numerze wydrukowano obszerny artykuł zatytułowany: „Anatomia terroru. Rzeczywistość RPA”.

We wszystkich białych dzielnicach w całej RPA ceny domów gwałtownie spadły. Reakcje ludzi były jeszcze bardziej gwałtowne niż podczas strzelaniny w Sharpeville w 1961, czy zamieszek w Soweto w 1976. Komisariat Rivonia, który był celem zamachu, znajdował się w centrum najbogatszej dzielnicy RPA - biała elita już nie czuła się bezpieczna. Gniew nagromadzony przez ponad sto lat mógł łatwo wybuchnąć jej prosto w twarz. W związku z tym, w przededniu referendum nad ustawą o bezpieczeństwie publicznym dominującym uczuciem wśród białej ludności był strach.

*

David jak zawsze przechadzał się po parku wokół swojego domu w Pretorii. Dokoła szumiały dęby posadzone co najmniej sto lat wcześniej. Lubił poczucie ciągłości, które dawały. Przypominały, od jak dawna biały człowiek władał RPA.

David wiedział, że wszystko, czego zawsze pragnął, leżało w zasięgu ręki, odległe może o kilka tygodni.

Trzeba tylko przejść przez referendum. Zamach na komisariat i czułość wobec umierającej Murzynki dały mu największą popularność, o jakiej mógł zamarzyć.

Gwarantował ludziom bezpieczeństwo. A to było istotne, gdyż całe państwo pogrążyło się w niepokojach. Jeżeli społeczeństwo nie poprze ustawy, fala gwałtów jeszcze bardziej wzrośnie.

David zawsze uważał, że umie dać sobie radę z zagraniczną prasą. Jako Anglik z pochodzenia, był dla nich łatwiejszy do zaakceptowania niż Afrykaner van der Post.

Wrócił do domu. Jego sen - że został najpotężniejszym człowiekiem w Afryce - powoli stawał się rzeczywistością.

*

Mąż Anny, Joseph, przyszedł ją odwiedzić jak zawsze w sobotę rano. Złapał nocny autobus z Carltonville po wieczornej zmianie. Ciężko pracował w kopalni, ale radził sobie nieźle. Wieczorami studiował, aby dostać awans.

Miał przeszło sześć stóp wzrostu. Był dumnym, żylastym facetem - ciężka praca w kopalni przez ostatnie dziesięć lat sprawiła, że był bardzo szczupły i sprawny.

Żył dla Anny i czworga dzieci, marzył o lepszej pracy, aby rodzina mogła zamieszkać razem z nim. Teraz dzieci przebywały u ciotki w Kimberley, a Anna u Klopperów, gdzie pracowała.

Zapukał do drzwi małego pokoju Anny z tyłu domu.

Drzwi otworzyły się same. Zdziwiony zobaczył, że pokój jest zupełnie pusty. Poczł, że ktoś go obserwuje.

Odwrócił się i ujrzał Kloppera ze strzelbą w ręce, wpatrującego się w niego dzikim wzrokiem.

- Nie szukaj jej - powiedział Klopper. - Wyjechała do Kimberley.

Joseph zadrzał. O co tu chodzi?

- W takim razie pora mi w drogę, panie Klopper.

Dwie lufy strzelby były wycelowane prosto w niego.

- Ściągaj gacie, Joseph!

- Wynoszę się stąd!

- Uklęknij.

- Nie. Proszę, nie.

Palec Kloppera spoczął na spuście. Joseph ściągnął spodnie a potem slipy i uklękł.

Klopper strzelił, ale kula przeszła bokiem. Joseph zmoczył się ze strachu.

- Kompletnie bez jaj, ty czarny skurwielu. Różnąłeś moją żonę, ale brakuje ci jaj.

Uniósł strzelbę i nacisnął spust. Hałas był ogłuszający, ale kule przeleciały Josephowi nad głową.

Joseph padł na twarz kwicząc ze strachu. Jego kiszki eksplodowały.
Klopper położył strzelbę na stole i wyszedł z pokoju.

12

Czwartek piątego listopada był zimnym, pochmurnym dniem. Cały kraj pogrążył się w ponurym oczekiwaniu.

Już koło południa było wiadomo, że mimo podłej pogody będzie rekordowa frekwencja. W całym kraju lokale wyborcze pełne były ludzi.

Zasobna biała część społeczeństwa żywiła cichą nadzieję i oczekiwała sukcesu, zaś czarni patrzyli ponuro na ten proces podejmowania decyzji, z którego oni, zdecydowana większość, byli wykluczeni. Czarne lokacje milczały. Ludzie wiedzieli, że w tych dniach policja i wojsko są szczególnie czujne, a jakkolwiek protest groził konsekwencjami poważniejszymi niż zwykle. Parlament był prawie pusty, gdyż większość posłów siedziała w domu. Wyniki referendum nad ustawą o bezpieczeństwie miały zostać ogłoszone następnego dnia rano.

*

Dziecko obudziło się bardzo wcześnie, domagając się rannego posiłku tak głośnym płaczem, że aż trzęsły się ściany domku. Marie założyła szlafrok, wyjęła Morgana z łóżeczka i poszła do drugiego pokoju. Natychmiast włączyła telewizor. Dzisiaj był szósty listopada - dzień ogłoszenia wyników referendum.

Przyglądała się twarzom na czarno-białym ekranie telewizora. Czarny i biały - wspaniały skrót realiów RPA! Jakże była kiedyś naiwna! Ale przynajmniej nigdy nie postępowała wyniośle czy nieuprzejmie wobec czarnych. A teraz Anna, jej czarna pokojówka Anna, pomagała jej przebrnąć przez najtrudniejszy okres. Odwiedzała ją regularnie i dawała dużo ciepłych rad jak opiekować się Morganem, a przede wszystkim dbała o Marie. Mąż Anny żył teraz w strachu; Marie aż wzdrygnęła się na wspomnienie opowiadania Anny o tym, jak Dolph upokorzył Josepha. W głębi serca Marie wiedziała, że kiedyś ona, Marie Jantjies, zemści się za wszystko.

Mocno przytuliła dziecko. Malutka buzia dotknęła jej piersi. Uczuła przyjemny dreszczyk, kiedy dziecko zaczęło ssać. Deszcz bębnił o blaszany dach. Słyszała wyraźnie ten dźwięk przebijający przez głosy w telewizji. Pokój był skromnie umeblowany; kilka małych

softek i czerwony dywan ze sztucznego tworzywa na podłodze wyłożonej linoleum. Spojrzała na synka. On był jej siłą; mając go przy sobie przetrwa wszystko, bez względu na to jak ciężka będzie sytuacja.

Wczoraj wieczorem głosowała przeciwko ustawie, popierając Kobusa van der Posta. Jej nowy status społeczny Kolorodki nadal upoważniał ją do głosowania; jedynie czarni nie mieli prawa głosu.

Na ekranie pojawiła się twarz Davida Loxtona, a następnie postać Dolpha. Dolph uważał, że spała z czarnym mężczyzną. Cóż, wielka szkoda, że tego nie zrobiła. Czarny mężczyzna byłby dumny ze swojego syna i kobiety, która go urodziła. To Dolph był nienormalny - zboczony fanatyk!

Wzięła na ręce najedzone, zasypiające dziecko i usiadła z nim przy stole w rogu pokoju. Posadziła synka na kolanach, otworzyła podręcznik i zaczęła czytać. Za dom zapłacono, a pieniądze od Dolpha, sześćset randów miesięcznie, pozwalały jej nie pracować, pod warunkiem że pogodzi się z życiem na pograniczu biedy.

W porządku, ona dużo nie potrzebuje. Za to teraz zapisała się na kursy prawa na Uniwersytecie Południowoafrykańskim. Miała podjąć naukę w przyszłym roku. Już zaczęła czytać lektury przygotowawcze.

Wychowano ją na towarzyszkę życia mężczyzny, żonę i matkę. Nigdy dotąd nie kwestionowała tej roli, ale teraz pragnienie zemsty za bezwzględność własnej rodziny płonęło w jej duszy. Ojciec stanął po stronie Dolpha. Z początku nie mogła w to uwierzyć. Potem zrozumiała. On też był człowiekiem pozbawionym uczuć.

Ktoś zapukał do drzwi. Marie zamarła. Kto to mógł być tak wcześnie rano? Anna mówiła, że przyjedzie dopiero na weekend, więc to na pewno nie ona. W Riverlea Marie знаła bardzo niewiele osób. Kolorowa społeczność wciąż wykazywała podejrzliwość wobec białej kobiety z kolorowym dzieckiem, która nagle pojawiła się w samym środku ich dzielnicy.

Wstała, ułożyła Morgana na sofie i wolno podeszła do drzwi. Maluch zaczął cichutko popłakiwać, w momencie gdy zrozumiał, że został sam.

Parę chwil stała przestraszona pod drzwiami, zanim je w końcu otworzyła. Wiedziała, że obserwuje ją policja i pewnie dlatego sąsiedzi byli tak ostrożni. Uchyliła drzwi. W progu, w strumieniach ulewnego deszczu, stała z poszarzałą twarzą jej matka. Marie pomyślała, ile odwagi potrzebowała, by tu przyjść. Objęła matkę, wprowadziła do domku i zamknęła drzwi.

Stały wpatrując się w siebie nawzajem.

- Jak mnie znalazłaś? - wymamrotała Marie.

- Anna mi powiedziała... Sądziłaś, że się na to zgodziłam?

- Nie, mamusiu, nigdy nie myślałam, że mogłabyś to zrobić...

Uważnie przyglądała się matce, kobiecie którą znała całe życie. Teraz ujrzała ją w zupełnie innym świetle.

Wciąż młoda cera, szczupła sylwetka, tak różna od pulchnych kształtów córki, czarne włosy lekko przyprószone siwizną. Nagle w pokoju obok malutkiego hallu zapłakało dziecko.

- Chcę go zobaczyć, Marie.

Weszły do pokoju i matka wzięła malucha na ręce.

Kołysała go wolno; przestał płakać i zaczął mrużyć z zadowolenia.

- To dziecko Dolpha - orzekła matka. - Jego usta. Jego oczy.

W Marie znowu zapłonął gniew.

- Nie, nie jego. On nie zasługuje na dziecko.

- Masz rację, nie zasługuje. Jak ma na imię?

- Morgan. Gdzie ojciec?

- Siedzi razem z Dolphem w biurze głównym ARO, czekając na zwycięstwo ustawy Davida Loxtona.

- Ojciec wie, że tu przyszedłeś?

Matka spojrzała na nią z wyrazem kamiennej stanowczości na twarzy.

- Nie obchodzi mnie, czy wie czy nie, Marie. Nigdy nie przypuszczałam, że może okazać się taką świnią.

Te słowa wstrząsnęły Marie. Nigdy nie usłyszała z ust matki ani przekleństwa, ani żadnej negatywnej opinii o ojcu.

- Nie odejdę od niego - powiedziała matka - ale nigdy nie opuszczę cię tak, jak on to zrobił. Widzisz, zawarłam małżeństwo w tradycyjny sposób, więc wszystko, co kiedyś posiadałam, należy do niego. Gdybym odeszła, byłby to mój koniec. Ale jeżeli zachowamy wszystko w tajemnicy, będę mogła przynajmniej ci pomóc. Zapewne będzie to jedyna pomoc, jaką otrzymasz.

- Zamierzam stać się częścią Riverlea, mamo.

- Jesteś biała. Nigdy cię nie zaakceptują.

- Zasłużę na ich szacunek, mamo. Morgan jest jednym z nich, więc i ja także.

Siedziały i rozmawiały przez długi czas. Potem Marie wstała i poszła do kuchni, żeby przygotować trochę soku jabłkowego dla Morgana. Właśnie napełniała butelkę, gdy do kuchni wbiegła matka.

- Chodź szybko! Wiadomości! Nigdy nie uwierzysz, co się stało!

*

Otrzymanie oficjalnych rezultatów to tylko kwestia cierpliwego czekania - David Loxton był absolutnie pewny, że naród zatwierdzi jego ustawę. Ostatecznie, miał pełne poparcie partii Kloppera, a sprawa zamachu na komisariat zapewniła mu rozgłos, który spowodował, że akcje Loxtona wzrosły zarówno w kraju, jak i na świecie. Dlatego właśnie o siódmej rano w wiadomościach śniadaniowych postanowił wystąpić z apelem do społeczeństwa. Może trzeba było to uzgodnić z innymi członkami gabinetu, ale miał tam tylu wrogów, że zawsze istniała groźba, iż nie wyrażą zgody.

W studio zapaliły się światła. Odetchnął z ulgą - nic go już nie powstrzyma. Zauważył, że operator kieruje kamerą na Dona Kenta, znakomitego komentatora.

Don posiadał cenne zdolności - umiał zadawać właściwe pytania i prezentował się przyzwoicie; nie sprawiał wrażenia lokaja jak inni.

- Dzień dobry - zaczął Don Kent. - Nadszedł dziś dzień nadziei i optymizmu. Spodiewając się zatwierdzenia ustawy o bezpieczeństwie miażdżącą większością głosów, minister sprawiedliwości, David Loxton, przybył do studia, aby wygłosić specjalne przemówienie.

David skoncentrował się. Chciał się zaprezentować jak najkorzystniej. Narzucił sobie rolę wielkiego przywódcy, silnego jak tytan i twardego jak stal, nieugiętej zapory przeciwko naciskowi czarnej fali i wrogiej opinii świata. Patrzył w kamerę, a w ukrytych słuchawkach słyszał odliczanie. Błysk światelka indykatora i już był na wizji.

- Czuję się głęboko zaszczycony, że mogę być tu dzisiaj. Moja ustawa o bezpieczeństwie publicznym jest gwarancją, że każdy z was będzie mógł spokojnie spać w nocy, wiedząc, że wojsko i policja panują nad...

W monitorze kontrolnym widział, że świetnie mu idzie. W eleganckiej koszuli w biało-błękitne pasy od Turnbulla i Assera, i ciemnogramatowym, dwurzędowym garniturze wyglądał jak kwintesencja człowieka z Whitehall. W pełni kontrolował sytuację.

*

Marie Klopper przytuliła dziecko, słuchając telewizyjnego wystąpienia Loxtona. Zadała sobie pytanie, czy Bóg istnieje naprawdę, skoro ludziom takim jak David Loxton wolno żyć i sprawować władzę. Jakże szybko Marie się zmieniła! Zawsze oceniała życie z punktu widzenia białej, bogatej, posłusznej pani domu. Teraz, jako samotna matka, patrzyła na RPA oczami innych ludzi, ludzi, których apartheid odarł z wszelkiej godności. Marie pojęła, że skoro Loxton wypowiada takie kwestie, musi myśleć tak samo jak Dolph. Nawiązali sojusz, to wiedziała, Dolph z pewnością posłuży się Loxtonem jako drabinką do

prezydentury. A skoro potraktował ją, swoją żonę, jak niechciany balast, jak będzie traktował dwadzieścia milionów czarnych i kolorowych, do których teraz ją zaklasyfikowano?

W głębi serca przysięgła sobie, że do końca życia będzie zwalczać apartheid, tę potworną doktrynę.

Morgan patrzył jej w oczy, gdy się nad nim pochylała.

- Tak, słoneczko - wyszeptała. - Zrozumiesz jakie to piekło. Nigdy nie dowiesz się, kim był twój ojciec. Nauczę cię walczyć, żebyś stał się częścią lepszej RPA.

Spojrzała na twarz Davida Loxtona na ekranie. Jeżeli tylko odkryje coś, co będzie mogła zrobić, aby pokrzyżować plany ministra sprawiedliwości lub swojego eks-męża, zrobi to, bez względu na niebezpieczeństwo.

*

Prosto ze studia David Loxton pojechał do domu i wygodnie rozsiadł się w swoim gabinecie z filiżanką kawy w ręku. Czuł się świetnie. Jak tylko ogłoszą wyniki referendum, skończy z van der Postem - zresztą prezydent pewnie sam się wykończy pod wpływem stresu!

A gdy Loxton się go pozbędzie, zastąpi Klopperem.

Zadzwoił telefon. Odebrał natychmiast.

- Tak? Jasne. Zaraz będę. Dzięki.

Gdy odkładał słuchawkę, twarz miał bladą jak ściana.

*

Była dziewięta trzydzieści. Na ekranie pojawił się Don Kent. Ze zdenerwowania twarz mu poczerwieniała.

Zazwyczaj starannie ułożone włosy były w nieładzie, a szylkretowe okulary niepewnie chwiały się na czubku nosa. Swoją sławę i pozycję zawdzięczał Loxtonowi, toteż wiedział, że wyleci z pracy, jeżeli David Loxton straci władzę.

- A oto oficjalne rezultaty - oznajmił. - Nowa ustawa o bezpieczeństwie publicznym została odrzucona różnicą dziewięćdziesięciu siedmiu głosów!

*

Pokój był nędzny, ledwo co oświetlony jedną brudną żarówką. Ściany, kiedyś chyba białe, teraz były brudnożółte, a stół uświniony plamami po kawie i poprzypalany niedopałkami papierosów. W głębi, na ścianie, wisiała duża mapa Afryki w pięknej, drewnianej ramie - dziwacznie kontrastowała z wyglądem reszty pokoju. Pod mapą, u szczytu stołu, siedział chudy człowiek sprawiający wrogie wrażenie. Miał na sobie dżinsową kurtkę. Twarz zakrywała mu kominiarka używana przez żołnierzy marynarki. W wycięciach błyskały

oczy. Obok niego siedział grubas w słonecznych okularach w ciemnej oprawie. Pod ścianą, wyprężony jak struna, stał George Zwane.

George znalazł się na rozdrożu. Wezwano go bardzo wcześnie rano na to nagłe spotkanie do opuszczonego magazynu na przedmieściu Soweto i zupełnie nie wiedział, dlaczego. Zdawał sobie sprawę, że musiał już przyciągnąć uwagę mózgu Towarzyszy; może więc nadchodziła godzina zemsty. Wciąż zabijał i zabijał dla Towarzyszy. Teraz dowodził już znacznym oddziałem.

Umiejętnościami rywalizował z tą tajemniczą, piekielną siłą kierującą mordem, gwałtem i zamieszkami w całym państwie, a z powodu swojego okrucieństwa wobec białych stał się w lokacjach żywą legendą. Jego prosta filozofia, że Towarzysze powinni zwrócić gniew przeciwko białym dręczycielom, a nie przeciwko swoim, zaczynała chwytać.

W oddali widział fajerwerki uświetniające zwycięstwo van der Posta w referendum. Próbował o tym nie myśleć. Wiedział, że van der Post nie będzie w stanie zgnieść Towarzyszy, którzy zburzą jego wizję pokojowej przyszłości.

Zamaskowany facet podniósł się z miejsca i stanął przed mapą Afryki. Był bardzo wysoki. Siedzący obok grubas poprawił okulary na nosie i gapił się na George'a.

Człowiek w masce odezwał się:

- Usiądźcie, Towarzyszu.

George zrobił, co mu kazano. Facet odbierał mu całą odwagę.

- Dobrze. Umiesz przyjmować rozkazy tak samo, jak je wydawać. Przyglądałem ci się od dawna, Towarzyszu. Mogę cię wynieść lub zmiażdżyć. Dla ciebie jestem Kumalo. Wiem o tobie wszystko, więc teraz opowiem ci o sobie. Urodziłem się w 1952 roku w Soweto jako nieślubny syn wędrownego robotnika. Matki nie znałem. Od momentu kiedy zacząłem chodzić, uczyłem się, jak przetrwać na ulicy. Walczyłem i zdobywałem władzę terrorem - to moja broń. Kiedy skończyłem piętnaście lat, przewodziłem największemu gangowi ulicznemu w Soweto. W czasie zamieszek w 1976 roku umocniłem swoją władzę i zniszczyłem domy tych, którzy mi się sprzeciwiali. A teraz mam władzę absolutną. Nakładam różne dobrowolne podatki za ochronę i wszyscy płacą. Kontroluję dostawy alkoholu, narkotyki i dziwki w tym mieście. Ci, co stoją mi na drodze, szybko odchodzą z tego świata. A teraz chcę sobie podporządkować cały kraj...

W oczach Kumalo pojawił się błysk. Szybko ciągnął dalej:

- Van der Post zamierza negocjować z umiarkowanymi przywódcami murzyńskimi, a takie rozmowy zagrażają mojej władzy. Nie chcę, żeby ci umiarkowani mieli dostęp do władzy nad armią czy policją - nie wolno do tego dopuścić. To, czego pragnę, osiągnę przez

zabójstwa i zdecydowałem, że ty, George'u Zwane, będziesz moim nowym człowiekiem-cynglem.

Kumalo spojrzął na grubasa.

- Zawołaj Letsoko.

Grubas potoczył się do drzwi. Jego olbrzymi tyłek przewalał się z boku na bok, gdy laził mrucząc coś pod nosem. George słyszał o Letsoko; ludzie szeptali, że wyznaczono go następcą tronu.

Letsoko wszedł do pokoju - niski, niepozorny człowieczek, o tłustych włosach zwiniętych w drobne loczki. Pogardliwie spojrzął na George'a.

- Letsoko, czy jesteś lojalny wobec sprawy?

- Tak, Towarzyszu Kumalo. Oddałbym za was życie - pewnie odparł Letsoko.

- Taką lojalność trzeba poddać próbie. Wybrałem Towarzysza George'a Zwane na mojego następcę. Ty więc musisz umrzeć.

Kumalo zrobił krok do przodu, ujął strzelbę z oberżniętą lufą i wepchnął ją Letsoko w usta.

- Ucałuj lufę, przyjacielu.

Broń wystrzeliła, a krew i mózg rozprysnęły się po pokoju.

Krwawe odpryski pokryły twarz George'a. Poczul przeszywający lęk. Kumalo musiał być mózgiem; Zwane wiedział to teraz na pewno. Ten człowiek odważył się zabić jego ojca.

Kumalo usiadł, odłożył strzelbę na stół, a tłusciuch z trudem wstał.

- Towarzysz Kumalo przemówił - powiedział. - Zdecydował, że zastąpisz Letsoko. Co ty na to, Towarzyszu Zwane?

George wpatrywał się w krwawe szczątki Letsoko zbyt otępiały, żeby wykrztusić choć słowo.

Kumalo rozparł się wygodnie na krześle, ujął broń i wycelował prosto w niego.

- Mam twoją żonę, Zwane. Zrobisz to, co ci każę.

George poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła.

- To właśnie ty, George'u Zwane, ty zabijesz van der Posta!

Kumalo wykrzywił się radośnie na widok wyrazu twarzy George'a. Chciał zniszczyć tego słodko pierdzącego prawnika. Wiedział, że Zwane był przyjacielem tej białej dziwki, Victorii Loxton, a ona była bardzo blisko z van der Postem - widział ich fotografie w gazetach. Zabicie van der Posta zniszczy Zwane, a Kumalo lubił niszczyć wrogów. Ale powoli.

Tortury ciągnęły się tygodniami. To ich nieregularność i nieprzewidywalność zniszczyła w nim duszę.

Czasami przypominał sobie swoje ostatnie chwile na wolności; jak wysiadał z autobusu i oddalając się od przystanku myślał, jakie to wszystko było proste. Syreny w oddali zdawały się nie mieć z nim nic wspólnego. Dopiero kiedy gliny podeszły blisko, rzucił się do ucieczki.

Dopadli go parę minut potem i stłukli na kwaśne jabłko. Trzech wysiadło z samochodu. Zaczęli go kopać.

Zemdlał i ocknął się w bagażniku wozu ze świadomością, że zabierają go na komisariat. Od smrodu benzyny i ze strachu dostał mdłości. Nie mógł się nawet poruszyć, bo związali mu mocno ręce i nogi. Mimo wszystko był im wdzięczny za tę jazdę. Dawała mu szansę pozbierania się. Właśnie wtedy podjął decyzję, że raczej umrze, niż puści parę z ust o Towarzyszach. Złożył przysięgę, że nigdy nie zdradzi Towarzysza Zwane, swojego zwierzchnika, ale dopiero teraz zrozumiał, że czekają go ciężkie przejścia. Był zdecydowany - nie załamać się.

Na posterunku zdjęli mu odciski palców i zrobili zdjęcia, a potem zabrali do celi i znowu pobili. Zdaje się, że sprawiało im to dużą przyjemność, bo śmiali się do siebie i rozmawiali, zadając ciosy.

Od momentu aresztowania porządnie stracił na wadze. Poza strażnikami i policjantami nie widywał nikogo. Raz wpuszczono doktora, ale Marcowi wolno było tylko kiwać głową na „tak” i „nie”. Jednak mimo tortur i samotności czuł, że jest górą. Wiadomo, że najlepszym wyjściem byłaby śmierć, bo wtedy nic nie mogliby mu zrobić. Jak dotąd stracił większość zębów i sporo paznokci, ale nie powiedział skurwielom niczego ważnego. W szkole był zawsze strasznym tchórzem, więc teraz zadziwiał sam siebie. Co jeszcze mogli mu zrobić?

Jakby w odpowiedzi drzwi otworzyły się i do celi weszła młoda, ciemnowłosa kobieta. Patrzyła na niego z uśmiechem.

- Cześć, przyszedłam się tobą zająć, Marc. Jestem Jackie.

Mówiła z lekkim akcentem afrikaans. Nie odpowiedział. Już pojął, że milczenie to pierwszy krok do całkowitej odmowy współpracy.

- Wiemy, że to nie ty zorganizowałeś zamach, Marc. Wykorzystali cię i porzucili. Nie jesteś im nic winien, żadnej lojalności.

Już mu się to przejadło. Nawet na nią nie spojrzał.

Jak mogła dla nich pracować?

Do celi weszło dwóch policjantów z kijem od szczotki. Złapali go, wykręcili mu ręce do tyłu i przypięli je kajdankami do kolan, wzdłuż kija. Do kajdanków przywiązali linę, którą przerzucili przez blok w suficie.

Podciągnęli go do góry. Wisiał zgięty w pałąk, twarzą w dół. Wolno obracał się w kółko.

Policjanci zniknęli tak szybko, jak się pojawili. Został sam z Jackie. Zamknął oczy.

- No, Marc, możesz mi powiedzieć.

Dotknęła dłonią jego twarzy. Poczul zapach tanich perfum. Popchnęła go; zaczął się obracać jak śmigło helikoptera.

- Chcesz pogadać, Marc?

Miał już zawroty głowy. Kręciła nim coraz szybciej.

Zrobiło mu się słabo. Wciąż wirował to w jedną, to w drugą stronę, aż zaczął rzygać. Było to strasznie bolesne ze względu na pozycję, w której go zawiesili.

- Dlaczego nie chcesz ze mną pogadać, Marc?

Znowu zaczął wirować. Zastanawiał się, ile jeszcze będzie w stanie znieść.

W końcu przestała, ale jemu nadal kręciło się w głowie i nic nie słyszał, kiedy zaczęła mówić. Mocno uderzyła go czymś po twarzy i poczuł, że krew cieknie mu z ust. Obraz wyostrzył się - zobaczył, że trzymała w ręku gruby notes. Znowu mocno go uderzyła.

Wygrywał. To ona zaczęła tracić panowanie nad sobą. Jej twarz była odrażająco brzydka, wykrzywiona grymasem wściekłości.

- Powiedz, kto kazał ci zaparkować samochód przed komisariatem, Marc? Kto cię zwerbował?

Roześmiał się. Pokonał ją. Nic z niego nie wyciągnie...

Przecięła scyzorykiem podtrzymujące go liny. Spadł.

Mało nie rozbił czaszki na betonowej podłodze. Był oszołomiony, a w głowie mu huczało. Tępo patrzył na jej łydki opięte paskudnymi, niebieskimi pończochami, które stanowiły część umundurowania.

Nagle poczuł, że Jackie zaczyna rozpinać mu pasek od spodni. Desperacko szarpnął się. Wyjęła szczypcę i powoli zaczęła zgniatać mu jedno jądro.

- Nie, nie, o ty kurwo...! - wrzeszczał przeraźliwie.

Wbił zęby w jej kolano. Zemdlął z bólu.

*

Major Piet Momberg przyglądał się stojącej przed nim kobiecie. Bardzo atrakcyjna brunetka - pomyślał sobie - o ile nie zaczniesz zaglądać zbyt głęboko. Bo w środku Jackie Steenkamp była chora i zrobaczywiała.

- Przekroczyliście przepisy, Steenkamp.

- Więzień nie chce współpracować, sir.

- Czy już zaczął mówić?

- Jeszcze nie, sir, ale się załamie.

- Kiedy?

- Następnym razem, sir.

Zamierzał odebrać jej tę sprawę, ale bardzo potrzebowali nazwiska organizatora zamachu. David Loxton naciskał.

Major Momberg widział innego więźnia, którego przesłuchiwała Jackie Steenkamp. Musiał zająć się nim lekarz - człowiek był bestialsko, sadystycznie torturowany. Momberg uważał, że lekarz powinien przede wszystkim zbadać Jackie Steenkamp. Ale była najlepszym przesłuchującym, jakim dysponował. Naprawdę nie miał wyboru. Jeżeli nie wydobędzie z tego upartego osła żadnej informacji, koniec z jego karierą policyjną.

David Loxton chciał koniecznie dopaść faceta, który zorganizował zamach, i urządzić mu pokazowy proces.

- Macie jeszcze jedną szansę, Steenkamp.

Na jej twarzy pojawił się paskudny uśmieszek.

- Dziękuję, sir. To wszystko, czego mi trzeba.

*

Marc był absolutnie pewny, że się nie załamie. Nic z niego nie wydobędą. Czuł się bezpieczny. Wiedział, że nie złamie przysięgi.

Usłyszał jakiś hałas za drzwiami, ale leżał bez ruchu.

Pewnie lekarz - pomyślał. Drzwi się otworzyły i do celi weszło dwóch ponurych policjantów.

- Wstawać!

Leżał nieruchomo, więc szarpnęli go i rozebrali do naga. Potem przywiązali go rozkrzyżowanego do pryczy. Wpatrywał się w sufit.

Zadygotał, gdy zamknęły się za nimi drzwi i został sam. Nie wiedział, ile czasu upłynęło, nim otworzyły się ponownie. Chciał wrzeszczeć na sam jej widok. Podeszła do pryczy i usiadła obok niego.

- Jak się masz, mój misiaczku?

Zamknął oczy. Wstrząsały nim dreszcze, których nie potrafił opanować.

- Zgniotę je jeszcze raz - oznajmiła. - Ale tym razem nie będę już taka delikatna.

Jego zwieracze puściły. Ogarnął go dziwny wstyd z powodu własnych ekskrementów, które miał pod sobą. Gdy poczuł, jak kleszcze przesuwają się po skórze jego krocza, zaczął wrzeszczeć:

- Zwane! Zwane! George Zwane!

Kiedy otworzył oczy, już jej nie było. Drzwi celi została otwarta na oścież.

*

Ogłoszono to w wiadomościach o dziewiątej wieczorem.

- Dziś po południu minister sprawiedliwości, David Loxton, oświadczył, że śledztwo w sprawie zamachu bombowego na posterunek Rivonia wykazało, iż w sprawę zamieszany jest George Zwane, prawnik południowoafrykański, poszukiwany za zastrzelenie policjanta. Przypuszcza się, że Zwane przebywa tymczasowo w Botswanie, skąd kieruje atakami terrorystycznymi w RPA. Minister podkreślił, że rząd użyje wszelkich dostępnych środków, aby doprowadzić tego mordercę przed oblicze sprawiedliwości.

*

Marc odczuwał mgliste zdziwienie, że nie skazali go na śmierć. Zamiast tego dostał dożywocie. No więc już tu był i odsiadywał wyrok. Miał przed sobą długie lata, nieskończoną liczbę lat.

Inni więźniowie przyjęli go bardzo chłodno. Oczywiście nie byli polityczni, więc nie rozumieli ani Marca, ani jego motywów. Samotność i alienacja - to zniszczyło w nim ducha. A poza tym nie mógł chodzić normalnie z powodu bólu w kroczu. Prosił o lekarza, ale strażnicy tylko go wyśmiali.

Już nic nie miało znaczenia - chciał umrzeć. Wszyscy będą go pamiętali jako Judasza, który zacisnął stryczek na szyi George'a Zwane.

Wyciągnął spod materaca kawałek sznurka i przyjrzał mu się uważnie. Błyskawicznie schował go z powrotem, gdy usłyszał ciężki łomot kroków strażnika patrolującego korytarz nad jego głową. Pozbawiono go nawet odrobiny spokoju - w celi nie było sufitu, tylko żelazne kraty i czterdziestowatowa żarówka paląca się przez całą noc.

Znowu wyjął sznurek spod materaca i zawiązał go wokół jednego z prętów, a drugi koniec zacisnął mocno na szyi. Chwilę później już wisiał, kołysząc się w powietrzu. Poczul zawroty głowy, gdy sznur wbijał się coraz mocniej w gardło. Stracił przytomność.

Strażnik zerknął w dół i zobaczył faceta zwisającego z kraty. Wyciągnął scyzoryk i przeciął sznur. Ciało trzasnęło o betonową podłogę.

Patrzył i czekał. Jak zawsze, po dziesięciu minutach więzień zaczął się poruszać. W porządku. Ten skurwysyn nie miał prawa umrzeć - policjanci i kobiety zamordowani w czasie zamachu na komisariat musieli zostać pomszczeni. W głowie pobrzmiwały mu słowa majora Pieta Momberga: „Więzień nie może umrzeć, trzeba go starannie pilnować, bo będzie koronnym świadkiem na procesie Zwane, gdy go w końcu złapiemy”.

Znowu spojrzął w dół; więzień otworzył oczy. Jutro rano przeniosą go do karceru; betonowej celi bez okien na końcu korytarza, tak malutkiej, że człowiek nie mógł tam nawet usiąść wyprostowany. Strażnik głośno roześmiał się i znowu patrolował cele.

*

Kobus van der Post zamknął za sobą drzwi gabinetu i wolno szedł korytarzem. W trakcie dyskusji o narastającej fali przemocy w lokacjach, na twarzy Davida Loxtona dostrzegł leciutki uśmiezek. Loxton proponował rządy silnej ręki, reżim jeszcze ostrzejszy niż do tej pory - masowe aresztowania i stan wojenny. Kobus wystąpił przeciwko temu projektowi i poparło go sześćdziesiąt pięć procent gabinetu. Powzięto decyzję. Piątego stycznia Kobus wygłosi na wiecu przemówienie do mieszkańców lokacji i złoży propozycję pojednania.

To będzie historyczne przemówienie. Wygłosi je w centrum Johannesburga, na schodach biblioteki publicznej. Van der Post wierzył, że położy kres aresztowaniom bez procesu i miał nadzieję, że zdobędzie masowe poparcie czarnej części społeczeństwa. Z ufnością oczekiwał zahamowania fali przestępczości.

*

Słowo „spisek” ciągle dźwięczało w mózgu Davida Loxtona, gdy wracał do domu z posiedzenia rządu.

Wszystkie plany wzięły w łeb! Van der Post będzie u władzy przez co najmniej pięć lat, a w tym czasie wszystko zmieni się definitywnie. Szanse Loxtona na władanie RPA równały się zeru.

Teraz muszą razem z Klopperem obmyślić nowy plan. Mają przynajmniej poparcie wojska. Jedna próba obalenia van der Posta nie powiodła się, ale istnieje sto innych sposobów, które trzeba będzie wypróbować.

*

Więc Kobus van der Post wygłosi przełomowe przemówienie piątego stycznia. Co to zwiastowało? Czy naprawdę cokolwiek się zmieni? George Zwane powinien cieszyć się falą optymizmu przebiegającą przez Soweto, tę pulsującą, ropiejącą, czarną szramę Johannesburga.

Ale George zbyt długo był sfrustrowanym człowiekiem pokoju i już nie wierzył w żadne inicjatywy pojednawcze. W głębi duszy uważał, że przemoc była jedyną drogą - właśnie z symbolem przemocy, ukrytym w przerzuconym przez ramię futerale od gitary, przemierzał brudne ulice lokacji.

Nikommu nie odda swojej władzy! Zamierzał zabić Kumalo i zająć jego miejsce. Do wykonania zadania wybrał dwóch Towarzyszy, którzy na pewno byli wobec niego lojalni.

Dotarł do blaszanej budy, gdzie się umówili, i zapukał do drzwi. Cisza. Zapukał znowu. Tym razem drzwi skrzypiąc przeraźliwie rozwarły się na oścież. Uderzył go dziwny zapach. Niezbyt wiele mógł dojrzeć w mrocznym wnętrzu. Jedyne nagle promienie słońca przeciskały się do środka przez dziury w przeżartym rdzą suficie. Kształty dwóch siedzących na ławie mężczyzn majaczyły w mroku. Żaden nawet się nie poruszył, nie wyrzekł ani jednego słowa.

Wszedł do środka. Dotknął pierwszego mężczyzny i zauważył jego nienaturalnie wytrzeszczone oczy, koszulę przesiąkniętą krwią, a na szyi zadzierzgniętą pętlę z drutu kolczastego. Drugiego zamordowano szprychą rowerową. Sterczała między żebrami. Oba ciała jeszcze były ciepłe; nie mogli zginąć wcześniej niż godzinę temu.

O, kurwa błada! Jak się Kumalo dowiedział?

Powietrze przeszył ostry gwizd. George oprzytomniał i wyskoczył na zewnątrz. Z drugiej strony ulicy machał na niego jakiś chłopak. W oddali słychać było wycie syren. Jednym skokiem znalazł się obok chłopca i wszedł za nim do sklepu. Przeskoczyli przez ladę; właściciel usunął się robiąc im przejście. Chłopak złapał George'a za pasek od spodni, żeby go przytrzymać na miejscu.

Nagle, nie wiadomo skąd, zjawily się wozy policyjne.

Wokół aż roiło się od gliniarzy. Rzucili się od razu prosto do budy, z której George dopiero co wyszedł.

Nawet nie otworzyli drzwi, od razu zasypali dom gradem kul. Zimny pot spłynął George'owi po twarzy. Nie miałby najmniejszej szansy.

Gdzieś w oddali ktoś zanucił piosenkę. George widział strach na twarzach policjantów. Dowodzący oficer kopniakiem otworzył drzwi i wbiegł do środka. Za sekundę był na zewnątrz, głośno wywrzaskując rozkazy.

- Dupa! Tego skurwiela Zwane nie ma, a tamci dwaj już nie żyli, zanim ich podziurawiliśmy! Spieprzamy stąd!

Ale przyjazd wozów policyjnych przyciągnął uwagę mieszkańców i stopniowo dookoła nich wyrósł tłum, przeważnie dzieci i nastolatki. Patrzyli gniewnie na nie

umundurowanych gliniarzy. Nagle kamień uderzył przedni reflektor jednego z wozów. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła, a policjanci, jak podcięci batem, wskoczyli do furgonetek. Grad kamieni uderzał o ściany pojazdów, odrywając kratki zabezpieczające szyby.

Już od dawna wozy policyjne nie wjeżdżały w tłum.

Teraz też gwałtownie wykręciły, kierując się w stronę, z której przybyły. W parę sekund już ich nie było.

George widział rozwścieczone dzieci przebiegające obok sklepu w pogoni za samochodami.

Ponowne szarpnięcie za ramię. Ruszył za swoim nowym sprzymierzeńcem na tyły sklepu i wszedł w wąską uliczkę. Gdy tak podążali, George widział ludzi chowających się w domach. Ulice świeciły pustkami; każdy wolał omijać dzieci na ścieżce wojennej.

Chłopak popchnął go ku klatce schodowej jakiegoś domu z cegły i zniknął, zanim George zdążył mu podziękować. Zwane przemierzył hall i wszedł do pokoju, w którym siedziało dwóch mężczyzn; Kumalo i Grubas.

Nawet nie drgnęli, kiedy wszedł, po prostu mu się przyglądali.

Grubas miał na sobie elegancki, granatowy garnitur.

Sadło przelewało mu się przez pas z krokodylej skóry podtrzymujący spodnie. Kumalo, wysoki i chudy, był ubrany w kurtkę z czarnej skóry i wyblakłe dżinsy.

Obaj rozsiedli się w fotelach. Niepokój był czymś, co wniecali; sami nie odczuwali go nigdy.

W końcu Kumalo przemówił łagodnym ale złowieszczym tonem:

- Siadaj, Zwane. Bezpieka ma ochotę cię dopaść i przepuścić ci prąd przez jaja.

Grubas głośno pierdnął. Kumalo ciągnął:

- Przetrywają Marca w odosobnieniu, w Pretoria Central. Trzymał się bardzo długo jak na białego, ale w końcu zaśpiewał jak słowik. Próbował się zabić, ale mu nie dali. Wiesz czemu?

George spojrział na wstrętną gębę Kumalo. Dopiero teraz zauważył, że jedno oko herszta ciągle łzawi.

- Nie. Czemu?

- Bo trzymają go na twój proces. Najpierw cię złapią, a potem posadzą na ławie oskarżonych. Zadyndasz, Zwane!

Kumalo sięgnął po pistolet, który zawsze nosił przy sobie, i skierował go w pierś George'a.

- Wiem, co planowałeś. Dlatego kazałem zabić tych gnojzków. Pozwoliłbym bezpiecie zgarnąć cię w cholere, ale chcę, żebyś zabił van der Posta.

George zadrzał.

- Daj tu tę dziwkę! - rozkazał Kumalo.

Dwóch facetów wciągnęło Brendę do pokoju. Płakała i nie patrzyła George'owi w oczy. Od razu zrozumiał, że ją zgwałcili.

Kumalo wyszczerzył zęby.

- Puściłeś moje ostrzeżenie mimo uszu, co, Zwane? Tak, wszyscy moi ludzie ją mieli. A jak spróbujesz wykręcić jakiś numer, będzie z nią jeszcze gorzej!

Brenda uniosła głowę i spojrzała na George'a. W jej oczach była rozpacz. To wszystko jego wina. Po jej twarzy płynęły łzy. Pożałował, że nie jest już martwy.

*

Grubas kontemplował swoje sadło. Siedzieli razem z Kumalo; jedynie nikły zapach spalenizny przypominał, co tu wcześniej zaszło.

Grubas podał Kumalo piersiówkę.

- Trzeba było zabić Zwane. Co nam po tym głupim, gównianym idealiście?

Kumalo uśmiechnął się.

- Grubasku, Zwane to tylko pionek w naszej grze i oczywiście podstawimy go pod bicie.

Grubas wziął z powrotem piersiówkę i pociągnął tęgi łyk. Znowu zerknął na Kumalo.

- Nie doceniałem cię.

- Zwane to bohater, Grubasio, ma zbyt dużo siły. Chcę go usunąć z drogi, ale nie mogę być w to wmieszany. Trzeba pozwolić Zwane, by zabił van der Posta. Stanie się jeszcze większym bohaterem! Ale niestety aresztują go, skazą i powieszają. Jego aresztowanie i proces przepełnią czarę gniewu, który tak pielęgnujemy w lokacjach przez ostatni rok.

- Skąd pewność, że złapią Zwane?

- Bo sami go wystawimy.

Grubas parsknął śmiechem. Plan był świetny, nawet lepszy, niż gdyby on sam go wymyślał.

*

Siedział na ławce w popołudniowym słońcu. Czuł się brudny i przygnębiony. Pociągnął kolejny łyk wina z butelki schowanej w papierowej torbie, po czym czknął głośno. Żaden biały wychodzący w godzinach szczytu z biblioteki nie zwrócił na niego uwagi. Widzieli tylko jednego z wielu brudnych, biednych Murzynów.

Rozwalił się na ławce i wbił oczy w niebo. Przesuwał wzrokiem po dachach nowych, eleganckich biurowców.

Dla niego były bezużyteczne - w takich nowych blokach instalowano za dużo urządzeń zabezpieczających i strażników. Potrzebował starych budynków, których mieszkańcy mieli gdzieś to, co się dookoła dzieje.

O zachodzie słońca podjął decyzję. Wybrał stary blok, zbudowany w latach pięćdziesiątych. Na parterze był tani sklep z różnościami, na piętrach jakieś biura. Na dachu suszyła się bielizna, ktoś więc musiał tam mieszkać - trzeba się tylko dowiedzieć, kto.

Począł, aż zapadną ciemności. Mała uliczka odbijała w bok od głównej, więc skręcił i przeciskał się między koszami na śmieci. Słyszał, jak w ciemnościach buszują szczury. Zobaczył zwieszającą się z tyłu budynku rozklekotaną drabinkę przeciwpożarową. Wyglądała jak dziwna pnąca roślina. Jej końcówkę stanowiła mieszanina łańcuchów, kłódek i drutu kolczastego, ale wdrapał się po tym bez trudności i zaczął się wspinać po zardzewiałych szczelach, najciszej jak mógł.

Na dachu panował złowrogi spokój. George nie bał się przepaści w dole, przeskoczył balustradę okalającą dach i szedł ku mdłemu światelku pobłyskującemu w małej, betonowej konstrukcji pośrodku płaskiego dachu.

Zerknął do środka. Stary mężczyzna z siwą brodą siedział przy stole usiłując czytać gazetę. W kącie stał piecyk naftowy, a na stole widniały resztki czegoś, co musiało być kolacją. George poznał po rysach twarzy, że stary był Zulusem. To ułatwiało sprawę, ale i tak nie zamierzał ryzykować.

Wyciągnął spod koszuli nóż i bezszelestnie wsunął się do środka. Zanim starzec cokolwiek dostrzegł, George już był przy nim. Czując chłód noża wcinającego się w gardło, starzec wykrzyknął w dialekcie zuluskim:

- Nie, nie! Jestem stary! Mam dwie żony i kupę dzieci na utrzymaniu!

George mocniej przycisnął nóż. Pierwsze krople krwi pociekły po ostrzu. Ta brutalność nie była już potrzebna. Ciało starego zwiotczało. George'owi zrobiło się go żal. Ten człowiek z pewnością zapłaci życiem za to, o co chciał go poprosić. Ale nie miał wyboru.

- Starcze, musisz mi pomóc. W zamian za to daruję ci życie.

- Co tylko zechcesz!

- Jesteś pewny?

- Cokolwiek zechcesz. Weź sobie wszystko.

- Nie chcę nic twojego. Potrzebna mi twoja pomoc. Będę tu mieszkał przez dwa tygodnie i nikt nie może się o tym dowiedzieć. Gdyby ktoś mnie zauważył, powiesz, że

jestem twoim synem. Będziesz mi kupował jedzenie i dostarczał pewne rzeczy ze skrytki na Dworcu Johannesburskim.

Stary siedział cicho. Z pewnością był zalękniony.

Czekał, co dalej.

- Zgoda?

- Tak.

- Jak ci na imię?

- Salomon.

- Mam nadzieję, że jesteś równie mądry jak twój biblijny imiennik. Jeśli tak, pożyczysz jeszcze wiele ładnych lat. Ale jeśli mnie zdradzisz - umrzesz.

Puścił starego, który osunął się na podłogę. Z początku George obawiał się, że trochę przesadził, ale stary w końcu wstał. Zaczął masować kark. Potem łypnął na George'a.

- Myślałem, że chciałeś coś ukraść.

- Nie potrzebuję nic twojego.

- Gdybyś poprosił mnie o to mieszkanie, zgodziłbym się je oddać.

- Dobrze, Salomonie, że udało mi się ciebie do tego zmusić. I nie zadawaj więcej żadnych pytań.

Stary kiwnął głową. Potem podszedł do szafy w kącie i wyciągnął olbrzymi koc. Wskazał George'owi łóżko.

- Nie, Salomonie. Ja jestem jeszcze młody. Będę spał na podłodze.

Stary zgasił światło i obaj położyli się w milczeniu: przerażony starzec i młody prawnik, który stał się narzędziem śmierci.

*

George obudził się o świcie i już po chwili siedział na dachu przyglądając się schodom do biblioteki. Miejsce było lepsze, niż na to wyglądało z dołu - nic nie zasłaniało widoku. Na lewo znajdowała się mała budka zabezpieczająca mechanizm windy. Przypominała miniaturowy pałacyk. W ściankach zrobiono wąskie szczeliny, które wpuszczały trochę światła. Świetnie nadawała się do jego celów. Próbował otworzyć drzwi, ale były zamknięte. Będzie musiał wziąć jakieś narzędzia i włamać się do środka, chyba że stary miał klucz.

Zapach gotowanego jedzenia rozszedł się dookoła, więc wszedł przez dach z powrotem do mieszkania.

Stary już był na nogach i pichcił coś na kuchence.

Spojrzał na George'a z goryczą.

- Żyję w tym domu od dwudziestu lat. Miałem tu takie fajne życie. A teraz ty przylazłeś i zacząłeś grozić, że mi je odbierzesz.

- Ale na razie jednak żyjesz, Salomonie.

Pomarszczone ręce starego trzęsły się, gdy nalewał owsiankę. George udawał twardziela. Nie mógł pozwolić, aby opanowały go sentymenty; miał wykonać zadanie. Stary podał mu talerz papki. Zwane zjadł szybko, a Salomon umył garnek i nalał świeżej wody.

Potem obaj siedzieli w milczeniu, czekając aż woda się zagotuje. Ciężki, znajomy smutek przygniatał serce George'a na widok biedy starego, jego zależności od właściciela budynku, braku jakiegokolwiek zabezpieczenia na starość. Nędza stanowiła nieodłączną część Afryki i nie było od niej ucieczki. Jednak można przecież dać ludziom pewne formy wolności, jak chociażby prawo do posiadania własnego kąta, prawo do życia w dowolnie wybranym miejscu, prawo wybierania rządu czy możliwość podróżowania dokąd by się chciało.

Ale ile lat musi upłynąć, żeby te prawa rzeczywiście weszły w życie!

Kawa smakowała całkiem niezłe i przywróciła George'a do rzeczywistości. Wyjął z kieszeni kluczyk i wręczył staremu.

- Salomonie, pójdziesz dziś na Dworzec Johannesburgski. Odnajdziesz skrytkę 511 i otworzysz. W środku zobaczysz futerał od gitary i dużą, płócienną torbę. Weźmiesz obie rzeczy i zamkniesz skrytkę.

Wyjął z kieszeni plik banknotów i także dał staremu.

- A za to kupisz dla nas obu jedzenie na następne dwa tygodnie.

- To za dużo - stwierdził stary.

- Kup więc, cokolwiek zechcesz.

Salomon podniósł się, ale George złapał go za rękę.

- Jeszcze jedno. Ta budka od windy... masz do niej klucze?

Stary wyciągnął z kieszeni pęk kluczy, odłączył jeden zardzewiały i wręczył George'owi. Potem zszedł na dół po schodach.

George odczekał chwilę. Był prawie pewny, że może zaufać Salomonowi, ale nie zamierzał ryzykować. Dopiero gdy zobaczył, że stary wychodzi z budynku, podszedł do betonowej budki.

Zamek się opierał, więc przez chwilę podejrzewał, że Salomon dał mu zły klucz. Wtedy właśnie usłyszał zgrzyt, więc nacisnął zardzewiałą klamkę.

W środku kłębiły się szczury i wszystko pokrywała pleśń. Już szykował się do wejścia, gdy nagle silnik windy zaskoczył z ogłuszającym rykiem. George uchwycił się drzwi cały mokry od potu. Nie zdawał sobie sprawy, że miał nerwy w aż tak kiepskim stanie.

Musi wziąć się w garść. Jest zdany tylko na własne siły i nikt mu nie pomoże, jeżeli coś pójdzie nie tak.

Gdy ochłonął, wszedł do środka i z zadowoleniem stwierdził, że budka znakomicie nadawała się do jego celów. Przez szczeliny widział dokładnie schody biblioteki i był pewny, że nikt nie mógł go zobaczyć ani z dołu, ani z góry. Fantastycznie. Nic go już teraz nie powstrzyma.

*

Dolph doszedł do wniosku, że „śmierć” żony miała swoje nieoczekiwane plusy. Zupełnie nieświadomie Marie odciągnęła go od ojca, a teraz, kiedy odeszła, znowu stali się bardzo sobie bliscy. Może to prawda, że Marie była narzędziem szatana?

Stara Murzynka oczekiwała go w progu rodzinnego domu. Jak zwykle uśmiechała się szeroko. Z jakichś dziwnych powodów nigdy nie czuł do niej wstrętu.

Wiedział, że powinien być jej wdzięczny, gdyż opiekowała się ojcem od czasu śmierci żony Karla Kloppera i narodzin Dolpha. Ta Murzynka знаła jego matkę i z tego powodu czuł się jakby zazdrosny.

- More, Figi - przywitał ją w afrikaans. Zdaje się, że wcale nie mówiła po angielsku.

- More, Dolph.

- Jak się ma ojciec?

- Och, pan jest chyba nieco przygnębiony.

Dolph nigdy nie potrafił zrozumieć, czemu ojciec nie przeniósł się do miasta. Stary nie był biedny, mógł kupić dom i mieć mnóstwo służby, ale on wolał mieszkać tu, na farmie, mając za całe towarzystwo tylko tę starzejącą się kolorową kobietę.

Dolph wszedł do środka i ucieszył się widząc, że wszystko lśni jak zwykle czystością. Figi była znakomitą gospodynią, nie mógł zaprzeczyć. W domu panował mrok, ale tak było od dawna, a on odkąd był małym chłopcem nauczył się odnajdywać drogę w tym kruszącym się budynku.

- Dolph?

Rozlegający się w ciemnościach głos starca wzruszył jego serce. Tak, z pewnością było lepiej, odkąd Marie odeszła. O wiele lepiej.

- Ojczy, to ja.

- Siadaj, chłopczy. Czy już doszedłeś do siebie?

Nie wyznał ojcu prawdy o Marie i kolorowym dziecku. Czuł się pohańbiony tym wydarzeniem i wiedział, że ojciec potraktowałby to jako karę boską. Więc zamiast prawdy powiedział ojcu tę samą bajkę co światu, że Marie i dziecko zmarli przy porodzie.

- Praca pomaga mi zapomnieć, ojcze. Próbuję o tym nie myśleć, próbuję skoncentrować się całkowicie na naszej sprawie. To dla mnie najlepsze lekarstwo. - Przez chwilę milczał patrząc na swoje ręce. - Mamy poparcie armii, tato. Nienawidzą van der Posta.

- To dobrze. Ja też nie próżnowałem. Rozmawiałem z moimi przyjaciółmi z Europy; wpływowymi przyjaciółmi.

- Co zamierzają zrobić?

- Międzynarodowe poparcie finansowe, na które czeka van der Post, nie nadejdzie.

Dolph milczał przez chwilę, zastanawiając się, jak ojciec przyjmie następną wiadomość.

- Loxton znowu się ze mną skontaktował - oświadczył. - Chce się do nas przyłączyć.

- Taka koalicja - czy pokonacie van der Posta?

- Nie. Ale jeżeli coś mu się przytrafi i rząd upadnie, zostaną rozpisane nowe wybory, w których uzyskamy większość głosów.

- Więc zabijecie van der Posta?

- To zdrajca.

- Musicie działać szybko, zanim dogada się z kaframi.

- Właśnie wtedy go zabijemy, dokładnie piątego stycznia, kiedy będzie przemawiał.

Cały świat obejrzy to w telewizji.

- To dobrze.

- Przemówienie będzie też transmitowane przez radio. Słuchaj uważnie, tato.

*

Victoria postawiła filiżankę z gorącą kawą na biurku Kobusa. Usiadł przy maszynie do pisania, ukrył twarz w dłoniach i jęknął. Masowała mu ramiona, wolno usuwając zmęczenie i napięcie.

- Kobus, musisz trochę odpocząć - możesz skończyć jutro. Nie wolno ci się martwić, mowa jest doskonała.

Siedzieli w gabinecie Kobusa w jego olbrzymim domu w Pretorii. Victoria już przeczytała brudnopis przemówienia. Wywarło na niej wielkie wrażenie.

- Tak, ale czy podziała? Muszę zaproponować natychmiastowe i konkretne rozwiązania, ale zmiany wewnątrz państwa będą nieskuteczne, jeżeli nie poprze nas zagranica.

- ONZ zachowuje się co najmniej dziwnie. Oczekiwałam, że udzieli ci poparcia.
- Ja też. To wczorajsze oświadczenie doktora Klee kompletnie mnie zaszokowało.

Najwyraźniej traktuje mnie jak kłamliwego, przebranego faszystę.

- Wygląda to tak, jakby ktoś naciskał doktora Klee i całe ONZ, żeby cię nie popierali.
- Ale kto?

Wstał z krzesła i popatrzył jej w oczy. Przytulił ją.

- Vicky, ja... Ja nie wiem, co bym zrobił bez twojej pomocy przez ostatnie miesiące.

Ja...

- Wiem. Czuję to. Ja też...

Zaczęli się całować.

- Zostań dziś ze mną. Potrzebuję cię. Czuję się taki samotny.

Otoczyła go ramionami.

13

Sekretarz Generalny ONZ stał samotnie w swoim biurze, wysoko między nowojorskimi drapaczami chmur i wpatrywał się w ulicę daleko w dole. Usiłował się skupić. Ostatnio zapominał o zbyt wielu rzeczach - to wina stresu i napięcia. Odwrócił się od okna i podszedł do biurka. Leżała na nim duża, brązowa koperta - drażniąca, dręcząca.

Rozległ się brzęczyk i chłodny, opanowany głos sekretarki przerwał klimatyzowaną ciszę pokoju.

- Doktorze Klee, sesja Zgromadzenia Ogólnego zaczyna się za dziesięć minut.
- Dziękuję, Megan. Wiem. Nie spóźnię się.
- Chciałam tylko panu przypomnieć.

Głos ucichł. Spojrzał na kopertę. Nie mógł się powstrzymać i wyjął jedną z fotografii. Młody oficer patrzył na trzy wychudzone, nagie ciała wiszące na strunach fortepianowych. W tle widniały równe szeregi baraków.

Znowu powrócił do tego miejsca. Zawsze było mu tam zimno. Ale czasami odnajdywał odrobinę ciepła - pochodziło z pieca obok pryszniców. Ciągłe, nawet teraz, słyszał nocami ich krzyki we śnie - przerażające krzyki, kiedy zaczynali pojmować, że nie szli do łaźni.

Zawsze go dziwiło, że tak walczyli, aby się wyrwać z tego zaplombowanego pomieszczenia. Kiedy żołnierze po dziesięciu przepisowych minutach otwierali drzwi, musieli je mocno pchać, ponieważ piętrzyły się za nimi stopy ciał tych, którzy desperacko usiłowali uciec przed trującym gazem.

Jego też zatruto. Młody student miał głowę nabitą ideałami Nietzschego i Schopenhauera o wyższości woli nad materią i rasie panów.

Smród obozu nigdy go nie opuścił.

Klee był jednym z nielicznych szczęściarzy. Zdał sobie sprawę, że wojna szybko zbliża się ku końcowi i złożył podanie o przeniesienie na jakieś biurowe stanowisko. Decyzja nadeszła na miesiąc przed przybyciem aliantów do Dachau. Dachau, mój Boże, Dachau!

Ulrich Klee dobrze pamiętał ten czas. Poszedł do kościoła i zaczął się modlić. Błagał Boga o przebaczenie i przysięgał, że w zamian poświęci swoje życie umacnianiu pokoju.

Nigdy nie zapomniał tej przysięgi. Odrzucił propozycję lukratywnej kariery i został przedstawicielem Austrii w ONZ. Wiele lat później jednogłośnie wybrano go Sekretarzem Generalnym.

Spojrzał na fotografie na biurku i wiedział, że nigdy nie zrozumieją - jego żona, Sonja, dwóch synów i córka. Co by zrobili, gdyby wiedzieli!

Ci skurwiele działali przebiegle. Musieli obserwować latami jego powolną karierę, jego zaangażowanie w to, co robił. Ujawnili się dwa lata temu, w momencie nominacji.

Wtedy wydawało się to proste. Powiedział, że wzbudzają w nim wstręt, że nie czuje żadnej lojalności wobec Führera i żeby wynieśli się do diabła. Głupiec!

Miał nadzieję, że zostawią go w spokoju. Wtedy przesłali mu te zdjęcia. To był on, tak, to nie podlegało dyskusji - Boże! - nadzorował wpychanie ludzi do komory gazowej.

Uśmiechając się powiedzieli, że musi zrobić to, co mu każą, kiedy nadejdzie właściwy czas. Czas nadszedł tydzień temu i zrobił, co mu kazali. Czy Bóg mu kiedykolwiek wybaczy?

Ale im to nie wystarczyło. Wysunęli dalsze żądania, lecz tym razem odmówił.

Wtedy przyszły kolejne fotografie. Bez żadnych podejrzeń otworzył kopertę. Gdzie to znaleźli? Jego zdjęcie jak patrzył na powieszonych Żydów. Gdyby nie ten uśmiech pełny satysfakcji, może jeszcze udałoby się jakoś wytłumaczyć, ale tak... Gdyby to zdjęcie dostało się w łapy dziennikarzy, byłby skończony. Sonja by się z nim rozwiodła, a dzieci by go znienawidziły. Cała praca włożona przez lata w odkupienie zbrodni poszłaby na marne.

Nie potrafił temu sprostać. Rozważał popełnienie samobójstwa, ale powiedzieli, że wtedy postarają się, aby jego imię zostało pohańbione na wieki.

Nie rozumiał skąd w nich to zainteresowanie Republiką Południowej Afryki. Osobiście uważał Kobusa van der Posta za ostatni promyk nadziei. Podobało mu się to, co o nim wiedział: ten człowiek prezentował sobą dobro. Ale na rozkaz dręczycieli musiał doradzić rządowi USA i Wielkiej Brytanii twardą politykę wobec RPA. Miał cichą nadzieję, że zignorują jego rady, ale niestety - postąpili według jego wskazówek i niechętnie podeszli do inicjatyw van der Posta.

Zbliżała się sesja Zgromadzenia Ogólnego. Musiał przemawiać. Używał nie swoich słów, ale słów partii nazistowskiej, od której chciał uciec. Teraz był tylko ich tubą.

Zgarbił się nad obitym skórą biurkiem. Zapłakał jak dziecko.

- Boże mój, Boże, dopomóż!

Ale pomoc nie nadeszła. Pokój był cichy. Ponownie rozległ się dzwonek; w nagłym napadzie strachu zerwał się z fotela.

- Musi pan już iść, sir, bo inaczej się pan spóźni.

Wziął kopertę z fotografiami, podeszedł do sejfu w ścianie i tam ją zamknął. Odetchnął głęboko. Poprawił ubranie. Nic nie mógł zrobić. Tak samo jak w Dachau - mówiono mu co ma robić, a on tylko wykonywał polecenia. Próba oporu mogła kosztować zbyt wiele.

*

Kiedy wszedł do sali posiedzeń, zobaczył, że była zapelniona po brzegi - w środku siedziało chyba więcej dziennikarzy niż delegatów. Kiedy się pojawił, zrobiło się trochę ciszej, ale gwar rozmów był głośny jak zawsze. Patrzył z irytacją na szeregi krzeseł, w których zasiadali przedstawiciele państw nie mających na świecie nic do powiedzenia. Przypominali stado hien czekających na padlinę. Właśnie dzisiaj miał rozwiać wszelkie nadzieje na pokój w RPA. Te wszystkie małe państewka afrykańskie przyklasną bezmyślnie, nie zastanawiając się, jakie szkody chaos w RPA wyrządzi ich własnym, kruchym gospodarkom.

Wstał z krzesła i natychmiast cała uwaga sali skupiła się na nim. Aż zeszywniał, gdy ponownie przyszło mu na myśl, że to co miał za chwilę powiedzieć, dotrze do milionów ludzi na ziemi i subtelnie wpłynie na ich sposób myślenia. Przesunął oczami po sali i przez chwilę zatrzymał wzrok na delegatach ZSRR, Kuby, USA, NRD i Wielkiej Brytanii. To okropne - wszyscy żywili dla niego szacunek i z tego powodu zapewne postąpią zgodnie z jego zaleceniami.

- Panie i panowie! Zebraliśmy się tutaj, aby uchwalić rezolucję 961/89 Zgromadzenia Ogólnego ONZ. Jako przewodniczący tego ciała muszę przedstawić swoje propozycje i zasugerować, jakie kroki powinniśmy podjąć. Stwierdzono, że rozwój wypadków w RPA w

ciągu ostatnich miesięcy zapowiada duże zmiany. Jednakże już wielokrotnie w przeszłości obiecywano nam wprowadzenie reform i jak dotąd bez rezultatów.

Popatrzył na delegata RPA, Jacoba Snijdersa, profesora politologii na Uniwersytecie Witwatersrand. Mianowano go niedawno, był tu zaledwie od dwóch dni.

Doktor Klee spojrział na leżące przed nim papiery i gorzko żałował, że nie może wyjaśnić profesorowi Snijdersowi, o co w tym wszystkim chodzi.

- Mimo że Kobus van der Post zgodził się na negocjacje z Afrykańskim Kongresem Wolności - kontynuował - uważam, że tak naprawdę nic się nie zmieniło.

Profesor Snijders wstał z krzesła, jakby chciał coś powiedzieć, więc Ulrich Klee spojrział na niego karcąco.

Kamery dziennikarzy uchwyciły ten moment i skoncentrowały się na grymasie złości, który wykrzywił spokojną zazwyczaj twarz profesora.

- W zasadzie nic się nie zmieniło - powtórzył Klee. - W związku z tym uważamy, że powinniśmy zaostrzyć naszą politykę wobec RPA. Powinniśmy zaostrzyć sankcje i podwyższyć kary nakładane na państwa kupujące broń lub jakiegokolwiek inne towary w RPA oraz zamknąć konsulaty i ambasady RPA na całym świecie. Musimy zacisnąć sieć.

Nie mógł uwierzyć w tak głośne oklaski poparcia.

Słuchali go posłusznie jak ślepcy. Chciało mu się płakać. Czy nikt z nich nie przeczytał raportów o tym, co Kobus van der Post właśnie robił? Nie ma żadnych wątpliwości - w RPA zachodziły olbrzymie zmiany.

Czuł się parszywie, ale musiał brnąć dalej.

- Chociaż nasza organizacja używa pokojowych środków w obronie pokoju, w wypadku gdy narusza się godność i prawa ludzkie, musimy wstąpić na ścieżkę wojenną. Sądzę, że taki czas właśnie nadszedł. Nasi afrykańscy przyjaciele potrzebują poparcia i politycznego, i militarnego. Proponuję go udzielić. Świat nie zna dzisiaj bardziej odrażającego reżimu niż w RPA.

Jak mogło mu to przejść przez gardło - pomyślał - skoro pamiętał sceny z czasów młodości? Kiedy się pomyśli, co dzieje się za żelazną kurtyną, w przeróżnych „demokracjach” afrykańskich, w dyktaturach wojskowych Ameryki Południowej...

- Złoto i diamenty - stwierdził - to serce i życie RPA. Proponuję wprowadzenie całkowitego zakazu importu złota i diamentów z Południowej Afryki.

Na twarzach delegatów USA i Wielkiej Brytanii pojawił się lęk. Żadne z tych państw nie mogło sobie pozwolić na zerwanie wszystkich więzów z RPA. Przystawił im do głowy nabity pistolet.

- Dzisiaj mamy wystarczająco dużo siły, aby zmieść z powierzchni ziemi ten potworny, totalitarny reżim. Nie będziemy więc rozmawiać z nowym prezydentem, jedynie wyraźnie poinstruujemy go, jakie kroki należy podjąć.

Odwrócił się i spojrzał prosto w oko kamery, tak jak mu kazano, i wypowiedział ostatnie słowa wolno i dobitnie:

- Kobusie van der Post! Przekaż władzę czarnej większości, a wtedy będziemy z nimi rozmawiać!

Delegaci zerwali się z krzeseł i z okrzykami zachwytu otoczyli go gratulując. Zerknął na miejsce profesora Snijdersa - było puste. Natychmiast dopadli go dziennikarze z telewizji. Nie wolno mu było uchylać się od wywiadów - takie otrzymał rozkazy.

Podeksytowana młoda blondynka w okularach w szylkretowej oprawie gwałtownie podsunęła mu pod nos mikrofon.

- Doktorze Klee, jakie jest pańskie zdanie o wypowiedzi angielskiego premiera przeciwko sankcjom?

- Jak pani wiadomo, popieranie lub potępienie polityki państw członkowskich nie należy do naszych obowiązków. Premier z pewnością miał poważne powody, aby wypowiedzieć się przeciwko sankcjom. Jednakże poproszę go o powtórne przeanalizowanie swojego stanowiska, o wzięcie pod uwagę tego, co powiedziałem na sali obrad.

Naciskała dalej.

- Premier Wielkiej Brytanii twierdzi, że propozycje Kobusa van der Posta są najbardziej postępowymi krokami w polityce RPA od wielu lat.

- Uważam, że to naiwność. To, co widzimy teraz w RPA, jest tylko nową wersją polityki prowadzonej w tym kraju od końca wojny.

Reporterka zmieniła taktykę.

- Czy usiłuje pan pozbyć się w ten sposób poczucia winy za ojca, który był wysoko postawionym nazistą?

Aż zatrzęsł się ze złości. Właśnie tacy ludzie jak ona rozedrą go na strzępy, jeżeli tamci ujawnią fotografie z Dachau. Czuł obrzydzenie do swojej przeszłości.

- Południowoafrykanie to nie naziści - odparł sztywno.

- Wielu popierało faszystów w czasie wojny.

- To nie ma znaczenia. Wszystko, co nas dzisiaj obchodzi, to los czarnej ludności w RPA. Uważam, że wspomnianie mego ojca było co najmniej nietaktowne.

Poczuł zadowolenie, widząc jak kobieta znika w tłumie nękających go dziennikarzy, czerwona ze wstydu.

Z trudem przedarł się do bocznego wyjścia i z ulgą wycofał w pustkę korytarza. Za nim szedł krok w krok jego goryl.

- Matthew, proszę, chcę zostać przez chwilę sam.

Goryl pętał się po korytarzu, a Klee wszedł do toalety. Zamknął się w kabynie i ukrył twarz w dłoniach.

Było jeszcze gorzej, niż sobie wyobrażał. Czuł się zhańbiony i poniżony.

Usłyszał, że ktoś wchodzi do toalety. To musiał być Matthew. Ktoś zamknął wewnętrzne drzwi i podszedł do jego kabiny.

- Wylóż, Klee.

Natychmiast rozpoznał ten akcent. Cofnął się aż pod ścianę.

- Zostaw mnie w spokoju, proszę.

Prawie natychmiast pożałował swego tchórzostwa.

- Nieźle, Klee, całkiem nieźle. Siedź tam, jeśli wolisz się chować.

Usłyszał stukot obcasów na kafelkach.

- Heil Hitler!

- Heil Hitler.

- Ja. Coraz lepiej, Klee. Chyba nie masz już żadnych wątpliwości, komu służysz.

Znakomite przemówienie, ale te późniejsze komentarze dla prasy...

- Przepraszam...

- Ja. Klee, czy żona chciałaby zobaczyć, jak się śmiejesz z tych Jude? Albo twoje dzieci?

- Czego znowu chcesz?

- Twojej lojalności aż do śmierci, Klee. Wiesz, co zrobimy, jeżeli nie będziesz postępował co do joty według naszej instrukcji?

- Tak - słabo jęknął Klee.

- No. Teraz chcemy, żebyś postępował zgodnie ze swoim przemówieniem. Van der Post nie może otrzymać żadnej pomocy od ONZ i musisz użyć wszystkich swoich wpływów, aby doprowadzić do destabilizacji i wojny. Musisz także powtórnie przekazać swoje opinie i zalecenia rządowi USA i innym krajów, od których zależna jest RPA.

- Ale czemu?

- Nie pytaj, Klee. Po prostu zrób to.

Usłyszał oddalające się kroki i trzaśnięcie drzwiami.

Opadł na sedes cały rozdygotany. Będzie musiał być posłuszny - nie miał innego wyjścia.

*

- Oni chyba powariowali - stwierdziła Saffron.

Razem z Maxem byli na kolacji u Kobusa i wracali z Pretorii do Johannesburga autostradą. Saffron związała włosy w koński ogon, który spływał jak wodospad na jej mocno opalone plecy.

- Nie rozumiem, Max - ciągnęła - ONZ najwyraźniej chce się pozbyć Kobusa.

Max zmarszczył brwi w głębokim zamyśleniu. Bardzo się przejął wyraźnym zmęczeniem i zrezygnowaniem Kobusa.

- Wszystko zależy od tego przemówienia, które ma wygłosić. Jeżeli uda mu się nadać tempo zachodzącym zmianom, jestem pewien, że reszta świata go poprze.

- Już otrzymał bardzo serdeczne poparcie od premiera i ambasadora Anglii.

- Doceniam ich rolę, Saffron, ale mimo że Anglia jest naszym największym partnerem handlowym, to tylko jedno, pojedyncze państwo. Kobus potrzebuje oficjalnego poparcia ONZ - wtedy RPA zacznie się rozwijać. Powoli sankcje zostaną zniesione; będzie więcej pieniędzy, więcej stanowisk pracy i pojawi się szansa, aby przyznać czarnej ludności prawo głosu.

- Kobus bardzo się tym gryzie, prawda?

- Vicky mówiła, że on prawie wcale nie sypia.

- W zasadzie ty też nie. Musisz przycisnąć Sheltona, aby zaczął płacić.

Maxa trochę to zdenerwowało. Saffron najwyraźniej grzebała w sprawach dotyczących projektu Okavango, co było doprawdy niepotrzebne.

- Nie ma się o co martwić. Wszystko zostało ustalone i zapisane czarno na białym - odparł trochę za szybko.

- Ile pieniędzy ci zostało?

- Grube minusy. Zaciągnąłem olbrzymie kredyty.

Nagle tuż przed nimi wyrosła ciężarówka. Max ostro zahamował i wyminął ją.

- Co za kretyn! To są kierowcy, cholera jasna! Masz rację, zadzwonię do Sheltona. Ja wypełniłem moją część umowy, teraz kolej na niego.

*

W mrocznej ciasnocie malutkiej, betonowej budki George Zwane wyjął z futerału dragunowa i przez chwilę ważył broń w dłoniach. Podszedł do stanowiska, które przygotował obok jednej ze szczelin w ścianach i uniósł karabin. Starannie regulował ostrość celownika, aż schody do biblioteki stały się wyraźnie widoczne.

Znakomicie - doskonała linia strzału, w dół aż do mównicy, którą właśnie budowano z desek. Wysoki maszt flagowy już został ukończony. Jedynym problemem była właśnie

mównica - czy zostawią górną część otwartą? Czy jednak van der Post będzie przemawiał zza kuloodpornych szyb?

- Już niedługo - wymruczał pod nosem. Jedenasta rano w sobotę, tak podawały gazety.

Włożył karabin z powrotem do futerału i rozpakował drugą paczkę dostarczoną przez Salomona. W środku była metalowa ósemka o którą prosił, coś w rodzaju uprząży i trzysta metrów nylonowej linki. Użyje tego, aby się ześliznąć z dachu po tylnej ścianie budynku natychmiast po zamachu. Ułożył sprzęt starannie w pudle w kącie budki, po czym wyszedł na dach. Stał w słońcu i przeciągnął się. Potem podszedł do balustrady i spojrzał w dół na ruchliwą ulicę.

Co by zrobił, gdyby mógł przeżyć życie raz jeszcze?

Czy postępowałby tak samo? Pomyślał o Brendzie, o Kumalo i zastanawiał się, czy nie lepiej było wziąć przykład z Malcolma, młodszego brata, i wyemigrować za granicę, gdzieś daleko od tego piekła. Co się stanie z dziećmi? Jego życie już poszło na marne. Ale cokolwiek by się zdarzyło, zemści się na Kumalo.

Wrócił do malutkiego pokoiku starego i znowu poczuł smród nafty. Na szczęście spędzi tu jeszcze tylko jedną noc, a potem znajdzie się daleko od tego miejsca.

*

John Packard uśmiechał się radośnie. Spojrzał na wydruk komputerowy, potem na Sheltona.

- Dobra robota - znalazł się w beznadziejnej sytuacji.

- Nie było to proste, stary.

- Zadzwonisz do Prousta?

- Z przyjemnością.

Packard przyglądał się z zadowoleniem, jak Shelton wykręcał numer szwajcarskiego banku. Znał dobrze Saffron; szybciotko przybiegnie tu z powrotem, gdy tylko dowie się, że Loxton został bankrutem.

- Pan Proust?... Znakomicie, dziękuję panu... Taak, jakby to ująć...? Mam pewien drobny problem... Ten kredyt Maxa Loxtona...

Packard słuchał. Zacisnął usta w ponurej satysfakcji.

Max Loxton razem ze swoim projektem właśnie przestawali istnieć.

*

W nieprzeniknionych ciemnościach David Loxton skręcił w długi podjazd prowadzący do szkoły weterynaryjnej Onderstepoort. Uśmiechał się krzywo sam do siebie. Ostatnią rzeczą, która go interesowała, były zwierzaki i ich stan zdrowia. Długie światła wozu

wydobyły z czerni dęb i stojącą pod nim ławeczkę. Zatrzymał się, wyłączył światła i zgasił silnik. Dookoła było ciemno i cicho. Lufa dziewięciomilimetrowego pistoletu pod pachą dodawała mu pewności siebie. Był to kolejny produkt z jego fabryki broni, który znakomicie się sprzedawał w RPA.

Usłyszał lekkie stuknięcie w boczną szybę i aż podskoczył. Gdzieś w zaroślach od dłuższego czasu musiał czekać na niego Hurst. Loxton pochylił się i otworzył drzwiczki. Światelko zapaliło się, Hurst wsiadł, trzasnął drzwiami i wnętrze samochodu znowu pograżyło się w ciemnościach. Po poprzednich spotkaniach David z łatwością wyobraził sobie człowieka, którego nie mógł teraz dojrzeć - wysoki, ciemnowłosy, o pociągłej twarzy. Na jego ustach nigdy nie pojawiał się uśmiech, co najwyżej sardoniczny grymas. Major Hurst musiał dobiegać czterdziestki, ale jego ciało oznaczało się sprawnością młodzieńca. Otaczał go dziwny zapach - zapewne był to zapach śmierci.

Uścisnęła sobie dłonie - David aż się skrzywił dotknąwszy tej lodowatej ręki. Im mniej będzie miał do czynienia osobiście z Hurstem, tym lepiej.

- Upewnił się pan, że nikt pana nie śledził? - zapytał Hurst.

- Absolutnie nikt. Tylko jeden człowiek, poza generałem i nami, o tym wie.

- Kto?

Pytanie zabrzmiało jak wystrzał - David nagle poczuł, że to on jest słabszy. Było to dla niego uczucie nieznanne i bynajmniej nie najprzyjemniejsze.

- Dolph Klopper.

- A, w porządku.

Więc Hurst także należał do zwolenników Kloppera.

Niemal każdy dzień dostarczał Davidowi nowych podstaw do zadowolenia, że zdobył sobie poparcie Kloppera.

- Wie pan, kto jest celem? - spytał majora.

- Wiem doskonale. To będzie dla mnie przyjemność.

David pomyślał o wielu dziwnych rzeczach, które wydarzyły się w przeszłości, o ludziach, którzy odeszli i nigdy nie powrócili. Zapewne za tymi zniknięciami stał właśnie major Hurst. Zawsze płacono mu gotówką i nigdy nie było żadnych problemów z zadaniem.

- Mam dla pana pieniądze - oznajmił David. - Czy kupuję również pańskie milczenie?

- Moje milczenie jest zagwarantowane. Banknoty pięćdziesięciorandowe, jak prosiłem?

- W paczkach po dwadzieścia sztuk. Pięćdziesiąt tysięcy, tak jak uzgodniliśmy. Są w bagażniku, w czarnej aktówce.

Słyszając to, major wyraźnie się rozluźnił. David poczęstował go papierosem.

- Nie, dziękuję. Chcę dłużej pożyć.

W jego głosie nie było nawet nuty żartobliwości.

David zaciągnął się głęboko i wpatrywał w rozżarzony czubek papierosa.

- Na razie to nasze ostatnie spotkanie - oznajmił. - Nie wolno panu nawalić.

- Nigdy nie pudłuję.

- Nieprawda. A Max Loxton?

Nagle twarz Hursta znalazła się tuż przy jego twarzy.

- Jeżeli ktokolwiek, kiedykolwiek dowie się czegoś o mnie, pan i generał będziecie pierwsi w kolejce. Jasne?

- Jasne.

Błyskawicznie zniknął, zostawiając Davida samego w samochodzie. Loxton uśmiechnął się nerwowo i zapalił silnik. Tak naprawdę dwie sprawy były załatwione za jednym zamachem - pomyślał. Gdy będzie już po wszystkim, Victoria też przestanie być dla niego problemem.

*

Był wczesny ranek. Wiał zimny wiatr. Victoria mocno otuliła się płaszczem i przyjrzała dokładnie wszystkiemu: mównicy na schodach biblioteki i długim rzędom krzeseł. Zablokowano już wszystkie ulice wiodące na plac. W mieście zapanowała atmosfera oczekiwania.

Victoria lubiła centrum Johannesburga. Miało w sobie jakąś ożywczą obecność pionierskiego ducha. Zazwyczaj przyjazd do Johannesburga oznaczał dla niej pracę w biurze i Sądzie Najwyższym. Każdego dnia stawiała twarzą w twarz z potężną machiną policji i wojska. Dzisiejszy dzień to sobota, więc ulice jeszcze były ciche i prawie puste. Ten dzień miał specjalne znaczenie. Dzisiaj wysłucha przemówienia Kobusa, jego apelu do ludzi. Z jakichś nieokreślonych powodów, sama nie wiedząc dlaczego, przyjechała tu tak wcześnie rano, aby się rozejrzeć.

Kawałek gazety niesiony przez podmuch wiatru upadł u jej stóp. Podeszła, podniosła go i wrzuciła do kosza. I wtedy, pod wpływem tajemniczego impulsu, spojrzała w górę. Na dachu zobaczyła patrzącego na nią czarnego człowieka. Zniknął natychmiast, ale wydawało się jej, że rozpoznaje tę twarz. Rozmyślała o tym przez kilka sekund, potem odsunęła tę myśl w niepamięć.

Po schodach doszła aż do drewnianej mównicy. Poniżej widziała olbrzymi plac, który za parę godzin wypełni się po brzegi ludźmi. Weszła na mównicę i zaczęła się zastanawiać, jakie to uczucie: stać tu i wygłaszać przemówienie.

Rzuciła okiem na okna budynków otaczających plac i zadrżała.

*

Dlaczego spojrzała w górę? Z rozpaczą George zadawał sobie to pytanie. Dlaczego właśnie ona przyszła tu, na tę właśnie ulicę, tego właśnie ranka?

To, co mówiono mu na szkoleniu, było prawdą. Musisz się odseparować od wszystkich znajomych, ponieważ to właśnie oni albo cię zdradzali, albo osłabiali w tobie ducha. Dlatego starał się wcale nie spotykać z Brendą. Ale teraz żałował, że nie widywał jej częściej.

Chciał być słabszy.

Na dachu nie było nikogo, tylko on. Salomona wysłał rano do Natalu z listem. Miał nadzieję, że Salomon będzie się upierał przy tej wersji wydarzeń, kiedy dopadnie go bezpieka. Oczywiście, będą go przesłuchiwać. W liście rozkazał Salomonowi opowiedzieć im wszystko, zeznać, że został zmuszony wbrew swojej woli do przechowywania w swoim małym pokoiku George'a Zwane, mordercy i rewolucjonisty.

Wszedł z powrotem do budki i po raz ostatni wyciągnął dragunowa z futerału. Wziął dziesięcionabojowy magazynek. Każdy nabój został dokładnie sprawdzony.

Nie będzie żadnego usprawiedliwienia, jeżeli spartoli robotę.

Starannie sprawdził karabin. Działał podobnie jak kałasznikow, ale zarówno lufa jak i mechanizm spustowy zostały zaprojektowane specjalnie dla tego typu broni. Jego dragunowa wyposażono dodatkowo w tłumik i specjalny mechanizm balansujący, wytlumiający odrzut i utrzymujący broń w celu. Podniósł do ramienia drewnianą kolbę i zaczął regulować ostrość. Jeżeli idzie o celne oko - miał to we krwi.

I znowu ona. Pojawiła się między nitkami celownika.

Stała na mównicy, tam gdzie Kobus stanie za pięć godzin. Boże, dlaczego tak strasznie drżał?

Odłożył ostrożnie karabin i wrócił do pokoiku, żeby zrobić sobie herbatę. Trzeba będzie długo czekać. Musiał uspokoić nerwy.

*

Czarny, długi mercedes-benz jechał autostradą. Po obu stronach oraz z tyłu i z przodu towarzyszyli mu motocykliści, włączając klaksony, ilekroć na drodze pojawił się jakiś pojazd. W środku, za kierowcą, siedzieli dwaj mężczyźni, obaj nienagannie ubrani, pewni swojej siły.

Kobus zwrócił się do Maxa:

- Jeszcze dwadzieścia minut.

- Tak, mój drogi - odparł serdecznie Max. - Jakie to uczucie, kiedy ma się skierować kraj na zupełnie nowe tory?

Mimo swego głębokiego zaangażowania w misję Kobusa, Max nie mógł skoncentrować się na chwili obecnej. Jego myśli ciągle krążyły wokół dzisiejszego telefonu od Prousta. Z rozmowy dowiedział się, że Shelton wycofał się z umowy.

Max natychmiast skontaktował się ze swoimi adwokatami. Jak oznajmili, mógł pozwać Sheltona przed sąd za złamanie umowy, ale upłynie co najmniej pięć lat, zanim otrzyma zwrot pieniędzy. Był skończonym bankrutem. Jak mógł być tak głupi, żeby zaufać Sheltonowi? Fakt, że jego papiery uwierzytelniające były bez zarzutu. Jednak w głębi duszy Max wiedział, gdzie popełnił błąd. Był tak zakochany w swoim projekcie, że pozwolił emocjom wziąć górę nad chłodną kalkulacją - i kosztowało go to drogo.

Potem odebrał telefon od Packarda. Dowiedział się, że Shelton był jego człowiekiem.

Po tym wszystkim siedział sam w biurze, gapiąc się na ściany i bezsilnie zaciskając pięści.

Nie chciał towarzyszyć prezydentowi, ale Kobus nalegał, wręcz zażądał, aby Max jechał razem z nim.

Jeszcze nie powiedział Saffron o klęsce projektu i o Packardzie. Zastanawiał się, jak to przyjmie.

Zerknął na Kobusa, pokrywając smutne uczucia serdecznym uśmiechem. Wielki samochód przejechał przez aleję Jana Smutsa i minął wiwatujących studentów przed Uniwersytetem Witwatersrand. Kobus otworzył okno i pomachał do nich. Przyglądał się nadziei, odwadze wypisanej na ich twarzach i hasłom na plakatach:

„Van der Post to wolność”, „Van der Post to równość”.

- Do licha, Max, to wszystko sprawia, że bardzo chciałbym być znowu młody.

- Jesteś pewny, że nie potrzebujesz więcej ochroniarzy? Można to jeszcze zorganizować.

- Nie. To trzeba zrobić otwarcie albo wcale. Nie życzę sobie wszechobecności służb bezpieczeństwa ze względu na zagranicznych dziennikarzy. Muszę okazać zaufanie, nie strach.

- No, jesteśmy. Trzymaj się, Kobus! - Max mocno uściskał dłoń Kobusa, a potem go objął.

Wysiedli z samochodu i stawili czoło żywej zaporze dziennikarzy. Kilku ministrów wystąpiło naprzód, aby ich powitać. Wszędzie pełno było kamer i mikrofonów.

Pytania krzyżowały się w powietrzu, ale Kobus, nie zwracając na nie uwagi, spokojnie wchodził po schodach na mównicę.

Zgromadzony tłum składał się z białych i z Murzynów.

Max nigdy nie widział tak szczerego entuzjazmu i wiedział, dlaczego. Po raz pierwszy w życiu oglądał w RPA wiec, na którym nie było ani wojska, ani policji.

Obok niego pojawiła się Saffron. Uścisnął mocno jej dłoń. Rany, jak on jej opowie o wszystkim? Ostrzegła go, żeby nie angażował się finansowo aż do tego stopnia, ale jej nie posłuchał. Pochylił się i pocałował ją. W tej samej chwili błysnął flesz. Wmieszali się w tłum.

Kobus stał na mównicy.

Tłum ucichł. Max słyszał gruchające na drzewach gołębie. Kobus przez moment jakby się zawahał, ale tylko odwrócił się, żeby powitać Vicky. Następnie podszedł do mikrofonu.

Oklaski były ogłuszające. Wypełniły ulice i przetoczyły się po placach jak fale przyływu. Kamery telewizyjne filmowały wszystko. Entuzjazm ludzi zgromadzonych na ulicach Johannesburga był fascynujący.

Kobus ustawił mikrofon.

- Jeden naród!

Okrzyk poniósł się przez plac. Zerwała się burza oklasków.

Kobus uniósł ręce w górę i tłum zamilkł.

- Wygłoszono już tyle przemówień w naszym kraju, że wszyscy mamy ich dosyć. Dawano wiele obietnic, z których większość złamano. Chcę dzisiaj prosić każdego Południowoafrykańczyka o jedno, o jedną prostą rzecz - odwagę. Nie będzie więcej żadnych reform.

Reforma oznacza, że jest coś, co można poprawić. Ja zaś przekreślę każde najdrobniejsze dyskryminujące prawo, jakie kiedykolwiek wydano w tym państwie.

Wprowadzę czarnych obywateli do parlamentu i rządu.

Będziecie mogli głosować na swoich własnych kandydatów.

Zapanowała głucha cisza. Max wręcz słyszał cichy szum kamer telewizyjnych, przekazujących tę wstrząsającą mowę całemu światu.

- Wolność - tego pragnę dla każdego Południowoafrykańczyka...

Huk strzału i struga krwi tryskająca z piersi Kobusa van der Posta były jednoczesne. Prezydent osunął się na mikrofon.

- O, mój Boże...

Ostatnie słowa odbiły się echem w martwej ciszy, gdy drugi strzał trafił go w twarz, a trzeci w szyję.

Upadł na ziemię. Vicky, histerycznie szlochając, znalazła się przy nim w jednej sekundzie.

Max z rozpaczą zaczął się przepychać przez tłum, ale wszędzie widział tylko kamery i reporterów.

Vicky uniosła głowę. Na twarzy miała krew. W jej oczach była pustka, otchłań, która nigdy się nie zapełni.

KSIĘGA DRUGA

Huragan gniewu przetoczył się przez cały kraj niczym czarne, gradowe chmury nad veldem. W lokacjach ludzie wręcz oszaleli, wzniecając zamieszki i niszcząc wszystko, co stało na ich drodze - szkoły, autobusy, domy - przez kilka dni wydawało się, że państwo stacza się na dno anarchii. Wtedy, z precyzją dobrze naoliwionego mechanizmu, do akcji wkroczyło wojsko.

Wzniesiono wysokie, długie ogrodzenia z drutu kolczastego, odcinając siedliska zamieszek. Kolorowi zwrócili się przeciwko sobie, grabiąc, gwałcąc, paląc i mordując.

Setki ludzi zginęły od „naszyjników”, zaś umundurowani żołnierze przyglądali się temu piekłu z niewzruszoną obojętnością. Ekipy telewizyjne przekazywały wszystko całemu światu, który zamarł ze zgrozy.

*

Pogrzeb Kobusa van der Posta był przygnębiającą uroczystością. Na skromnym obrzędzie kremacji pojawiło się wielu przywódców murzyńskich. Victorii Loxton wydawało się, że świat przestał już istnieć. Przekazała swoją praktykę Kenowi Silke i kupiła bilet w jedną stronę do Londynu. Wszystko, co kochała w tym kraju, było związane z Kobusem. Pod sercem nosiła jego dziecko i tylko to dziecko, które jej ofiarował, dawało jej siły do dalszego życia i kontynuowania kariery prawnej w Wielkiej Brytanii.

Lecz ciężki kamień wciąż przygniatał jej serce. Człowiek, który zabił Kobusa, był jednym z jej najbliższych, najlepszych przyjaciół - George Zwane, obecnie gnijący w więzieniu Pretoria Central. Całe życie walczyła o to samo, w co on wierzył - o równe prawa i udział w rządach dla czarnej większości w RPA. Dla tych wartości gotowa była oddać życie. Lecz kiedy spojrzała w mroczne oczy George'a w czasie swojej ostatniej wizyty w więzieniu, zaczęła kwestionować wszelkie podstawy swoich przekonań. Usiłowała nie poddawać się i odegnąć te ponure myśli. W końcu jednak zrozumiała, że musi porzucić RPA na jakiś czas, aby oddalić się od wydarzeń, które mogły ją zniszczyć psychicznie.

W Anglii wolała zostać raczej doradcą prawnym niż adwokatem do spraw kryminalnych. Skoncentrowała się na wychowywaniu dziecka. Razem z nią wyjechała Lucinda, która także pragnęła zapomnieć o przeszłości.

Victoria miała nadzieję, że w Londynie talent Lucindy będzie miał warunki, by dalej się rozwijać. Może jednak wszystko ułoży się lepiej.

*

Max załamał się zupełnie. Po śmierci Kobusa zaczął ostro pić i rozstał się z Saffron, która oskarżała go o to, że zbyt zaufał Sheltonowi. W rezultacie Max pojechał z powrotem nad Okavango, zdecydowany podjąć próby ocalenia tego, co pozostało z jego projektu. Kiedy Saffron udała się za nim i namawiała go, aby zrezygnował z budowy, nie chciał nawet słuchać. Wyłynął w mokoro razem z Gumsą i przeprowadził inspekcję świeżo położonych fundamentów. Teraz przebywał w Zimbabwie. Wygrał tam przetarg na wykończenie nowego gmachu parlamentu. Miał nadzieję, że pieniądze z tego przedsięwzięcia umożliwią mu kontynuację prac na bagnach.

Victoria wiedziała, że Saffron właśnie kręciła nowy film. Wiedziała również, dlaczego. Saffron także zdecydowała się zrobić duże pieniądze, by uratować marzenia Maxa. Vicky miała nadzieję, że bratu wróci rozum, zanim będzie za późno. Nigdy nie znajdzie drugiej takiej kobiety, która by go kochała i rozumiała tak dobrze jak Saffron. W pijackiej rozpacz niszczą sam siebie.

*

Ojciec Vicky i Maxa razem z wieloma innymi ministrami odłączył się od partii rządzącej, aby przystać do ARO Dolpha Kloppera. W wyborach rozpisanych w atmosferze zastraszenia przewagę zdobyła ARO. Dolph Klopper został prezydentem, a David Loxton ministrem sprawiedliwości.

1

Popychając wózek obok sklepu Harrodsa skierowała się ku stacji metra przy Knightbridge, potem skręciła w lewo do Hyde Parku. Przez chwilę czekała, zanim udało się jej przejść przez ulicę i już była w parku, spacerując między ludźmi leżącymi i opalającymi się na trawnikach obok Serpentine. Następnie przeszła przez Ring i most oddzielający Serpentine od Long Water. W końcu zatrzymała wózek obok pustej, zielonej ławki. Wyjęła dziecko. Usiadła na ławce, delikatnie pocałowała małego w czoło i zaczęła go kołysać.

Elegancki starszy mężczyzna w tweedowej kurtce od Harrisa i sukienym kaszkiecie usiadł na drugim końcu ławki.

- Śliczny maluch - powiedział.

- Dzisiaj akurat zachowuje się wyjątkowo grzecznie, dziękuję.

Nie mógł określić akcentu. Spojrzał na nią uważnie.

Co prawda zawsze wolał kobiety o bardziej wyzywającej urodzie, ale i za tą faceci często musieli się oglądać.

Zastanawiał się, kim jest szczęśliwy tatuś.

- Najwyraźniej podoba się pani Hyde Park - kontynuował.

- Przychodzę tu niemal codziennie, odkąd przybyłam rok temu do Londynu.

- Pewnie pani męża przeniesiono tu z zagranicy?

- Nie. Nigdy nie miałam męża.

Człowiekowi w jego wieku nie mogło się to podobać, ale doprawdy w dzisiejszych czasach było to zjawisko nagminne, więc trzeba się z tym pogodzić.

- Nie ma lepszego miejsca na świecie w piękny, słoneczny dzień niż Hyde Park - stwierdził.

Dziecko zaczęło płakać głośno, wrzaskliwie.

- No, no, Kobus, wszystko dobrze, już dobrze.

Przytuliła go mocno. Dziecko natychmiast uspokoiło się i usadowiło wygodnie w jej ramionach. Starszy mężczyzna uśmiechnął się i poprawił okulary.

- To niezwykle imię.

- Tak się nazywał jego ojciec. Był Afrykanerem.

- Mmm, RPA. Nie mogę powiedzieć, żebym pochwalał ich politykę.

- Zupełnie tak samo jak ja.

- A, to dlatego przyjechała pani do Londynu?

- Coś w tym rodzaju. Byłam tam adwokatem. Teraz czekam na przyjęcie do londyńskiej palestry i będę prowadzić praktykę tutaj. A pan? Może pan powie coś o sobie?

- O, prawie całe życie służyłem w wojsku. W Sandhurst...

Było prawie ciemno, kiedy wróciła do domu, Willi w stylu georgiańskim na ślicznym, malutkim placu South Kensington. Wniosła Kobusa po schodach i otworzyła drzwi. Ucieszył ją widok Sary, niańki, która już czekała, aby wziąć od niej dziecko. Potem zeszła, żeby wprowadzić wózek.

Sara od razu dostrzegła, że pani znowu płakała.

Bardzo chciałaby poznać całą historię panny Loxton.

Udało jej się zdobyć nieco informacji z zeszłorocznych gazet, ale nadal bardzo wielu spraw nie rozumiała, a panna Loxton nigdy o nich nie mówiła. No i ta jej czerwonołosa

siostra, Lucinda, artystka zajmująca dwa górne piętra, stale z kimś flirtująca. Sara musiała jednak przyznać, że obie siostry były znakomitymi chlebobawczyniami. Nigdy nie było tu nudno i świetnie płaciły.

*

Lucinda przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze. Doskonale! Poprawiła wycięcie sukni, bardziej odsłaniając piersi. Ta czarna suknia była jej ulubioną. Doskonale opinała ciało i Lucinda wiedziała, że wygląda w niej fantastycznie. Przyglądała kilka niesfornych, ognistych loczków i mrugnęła do swego odbicia. Już czas, by zejść na dół. Co prawda zje kolację później, na balu, ale teraz posiedzi trochę z Victorią.

Szeleszcząc suknią Lucinda sunęła do jadalni po czarno-białych kafelkach hallu. Ten pokój rzeczywiście się jej podobał. Victoria zdecydowała się na różowe ściany, biały sufit i eleganckie, japońskie krzeselka.

Panowała tu atmosfera radości i optymizmu, którego, zdaniem Lucindy, siostra bardzo potrzebowała. Spojrzała na Victorię i pomyślała, że siostra jest teraz zupełnie inną kobietą niż rok temu, gdy opuszczała RPA. Obcięła krótko włosy, co nadało nowy wyraz jej twarzy i znakomicie podkreśliło rysy - wysokie kości policzkowe, pełne usta i czyste, niebieskie oczy.

Ta twarz wydawała się bardziej otwarta. Od czasu śmierci Kobusa Lucinda dostrzegła w siostrze nową cechę - bezbronność, która powodowała, że mężczyźni pragnęli jej bronić, opiekować się nią. Ale przez ostatni rok Victoria bardzo zamknęła się w sobie. Prawie z nikim nie rozmawiała, nie licząc kilku najbliższych przyjaciół. Byłoby świetnie, gdyby zaczęła znowu pracować - to zmusiłoby ją do stania się bardziej towarzyską.

- Długo siedziałas w parku - zagadnęła siostrę.

Vicky uśmiechnęła się.

- Spotkałam uroczego starszego pana.

- Chciał cię poderwać? - wesoło rzuciła Lucinda.

Twarz Victorii spochmurniała. Boże, znowu powiedziałam coś niewłaściwego - jęknęła w duchu Lucinda i postanowiła zmienić temat.

- Wiesz, sporo się mówi o mojej wystawie. Dużo różnych recenzji; dobre i negatywne...

Poprzedniego wieczoru Victoria wzięła udział w otwarciu pierwszej wystawy Lucindy - pokazano przeszło dwadzieścia obrazów.

- Są jacyś kupcy?

- Jak dotąd żadnego. Sądzę, że ludzie uważają mój styl za odrażający. Ale nic na to nie poradzę, po prostu maluję to, co widzę. Tylko dzięki tobie zaszłam tak daleko, Vicky. Ale to strasznie rozleniwia. Wiesz, chyba powinnam się rozejrzeć za jakąś pracą.

- Bzdury! Masz talent i dobrze o tym wiesz. Ta galeria nigdy by nie wystawiła twoich prac, gdyby nie widzieli w tym sensu. Spotkałeś dziś kogoś ciekawego?

- Aha. zjadłam obiad z Richardem Belshamem, a po południu oprowadził mnie po swojej galerii. Specjalizuje się w sztuce nowoczesnej. Sądzę, że chciałby kupić kilka obrazów z tych, które wystawia.

- Czy kupi któryś z twoich?

- Myśli o tym. Najbardziej podoba mu się „Zachód w zgiełku”.

- Lucindo, to twój najlepszy obraz! Jest tak pełny niepokoju, że aż mnie przeraża.

Obraz przedstawiał storturowane słońce zachodzące nad afrykańskim buszem. Lucinda już zdecydowała, że go nie sprzeda. Stanowił jej własną wizję Afryki, obraz był częścią jej duszy.

- Podoba ci się Richard? - zapytała Victoria.

No tak, kolejny wykład - westchnęła Lucinda.

- Jest trochę sztywny, ale naprawdę kochany - stwierdziła. Zauważyła, że Victoria nie odrywa wzroku od talerza z zupą. - Vicky, nie patrz tak! To nie moja wina, że jest żonaty. Poza tym twierdzi, że wcale nie kocha żony - wszystko, czego ona chce, to pieniądze.

- A ona ma pozycję, tak?

- Tak, są wspaniałym przykładem małżeństwa z towarzystwa.

- Czy ty go kochasz?

- A to co, Vicky? Gra w dwadzieścia pytań?

- Po prostu chciałam wiedzieć.

- Zamiast mnie przesłuchiwać, powinnaś wrócić do pracy. Z pewnością niedługo przyjmą cię do palestry. Kiedy Ken Silke był tu tydzień temu, mówił, że wszyscy są tobą zachwyceni i przyjęcie to tylko formalność. Wiesz, Vicky, myślę, że on się w tobie kocha, ale ty zawsze dajesz mu kosza.

Vicky skrzywiła się. Miała powyżej uszu ustawicznych prób szukania dla niej pary.

- Ken jest tylko dobrym przyjacielem - odparła.

- Vicky...

- To nie takie proste, Lucindo. - Głos Vicky stwardniał. - Zmieńmy temat, dobrze?

Dokąd się dziś wybierasz?

- Na bal do czcigodnej Sary Bond.

- Sądziłam, że nie lubisz takich imprez.
- Kocham bale... A poza tym będzie tam Richard z żoną.
- Jesteś paskudną dziwką, Lucindo.

Zawsze wkurzało Lucindę, że Vicky potrafi robić takie uwagi zupełnie beznamiętnym tonem. Czy ona nigdy nie miała świra na punkcie żadnego faceta? Czy nie mogła zrozumieć požądania?

- Uważam, że powinnaś zostawić żonatych facetów w spokoju - dodała chłodno Vicky.

- Więc dowiedz się, że są z reguły lepsi w łóżku. A co ty robisz dziś wieczorem?
- Mam sporo listów do napisania, a potem idę spać. Kobus był dzisiaj nieznośny.
- Jakież to podniecające!

Nagle Victoria rozszlochała się.

- Kochałam Kobusa, nie możesz tego zrozumieć?!

Lucinda podbiegła i objęła ją.

- Przepraszam, nie chciałam... To tylko dlatego, że zawsze wydajesz się taka chłodna.
- Nie rozumiesz, jak beznadziejnie się czuję? Spotkałam mężczyznę, którego naprawdę pokochałam, urodziłam mu dziecko - a on nie żyje! Boże, jakie to niesprawiedliwe!
- Nie rozumiałam, Vicky, przykro mi. Jesteś tak inna niż ja. Słuchaj, zostanę z tobą dziś wieczorem... - Trzymała Victorię za rękę i gładziła jej włosy.

- Nie. Idź, Lucindo. Ja dojdę do siebie, naprawdę.

Później Victoria patrzyła, jak Lucinda wsiada do taksówki. Pomachała jej i zamknęła drzwi. Poszła do pokoju dziecinnego i wyjęła Kobusa z łóżeczka. Przytuliła go mocno, potem spojrzała w duże, brązowe oczy - oczy jego ojca. Słuchała gaworzenia malucha. Patrzył na nią sennie, sapnął cichutko i dotknął małą łapką jej twarzy. Przyglądał się matce przez kilka sekund, a potem znowu zamknął oczka.

- Jesteś wszystkim, co mi po nim zostało, skarbie.

Łzy popłynęły jej po twarzy, gdy kołysała dziecko.

Potem poszła do łóżka, tuląc Kobusa do siebie. Gdzieś w snach powróciła do Afryki i była szczęśliwa.

Samochód pędził szosą na Dullstroom z wariacką szybkością, jakby był sam na drodze. Wolno jadący rowerem starzec, rozkoszujący się popołudniowym słońcem, został niemal zepchnięty z drogi przez ryczący pojazd.

Leżał teraz w pyłe na poboczu i wygrażał pięściami oddalającemu się tumanowi kurzu.

Na tablicach rejestracyjnych widniały wojskowe numery, chociaż kierowca nie nosił munduru. Był to szczupły, ostrzyżony na jeża facet o wyglądzie twardziela - generał Jurie Smit. Długie linie biegły w dół od obu kącików ust na jego chłodnej twarzy. Szarobłękitne oczy wbijały się w szosę z wyjątkową determinacją.

W końcu dojechał do żwirowego podjazdu. Skręcił, rzucając okiem na drogowskaz „Balmoral”. Zwolnił.

Przyglądał się olbrzymim piniom rosnącym po obu stronach drogi; ich cienie tańczyły po przedniej szybie.

Przez chwilę poczuł dotkliwą zazdrość, ale pozbył się tego uczucia błyskawicznie. Właśnie ta zdolność do bezlitosnej koncentracji na pryncypiach zdominowała przebieg całej jego kariery.

Dom otaczała kępa wysokich drzew. Zbudowano go z kamiennych bloków, a dach pokryto zielonymi płytami, które stapiały się z zielenią przyrody. Bardzo mu się podobał dom i otaczające go tereny. W otwartym garażu zobaczył dwa samochody i uśmiechnął się. Skoro ci dwaj najważniejsi przybyli, podróż była warta zachodu. Bardzo często takie spotkania odwoływano w ostatnim momencie. Rzucił okiem na skórzaną aktówkę leżącą na fotelu obok. Całe życie czatował na taką okazję, a ci dwaj mężczyźni, których miał spotkać, byli jedynymi, którzy mogli spełnić jego marzenie.

W domu nie było nikogo z wyjątkiem służących.

Jedna z nich wprowadziła go do środka.

- Panowie poszli na ryby, sir - powiedziała cichutko.

Przywiózł ze sobą własną wędkę. Rozpakował ją starannie - oryginalny Hardy ofiarowany mu przed wielu laty przez ojca. Narzucił kurtkę, wziął przynęty, włożył zielone kalosze i pomaszerował ścieżką nad potok.

Była zima, więc mimo że drzewa stały całe w zieleni, ziemia była sucha jak pieprz. Poczł świeżość i chłód popołudniowego wiatru, który niósł ze sobą zapach rzeki. Przez jego surową twarz przemknął uśmiech.

Gdzieś na horyzoncie dostrzegł postać zamaskowanego faceta - musiał to być jeden ze strażników, którzy patrolowali posiadłość. Wtedy zobaczył obu mężczyzn, z którymi chciał

się spotkać, siedzących nad rzeką i łowiących ryby. Pomachał ręką na dzień dobry. Zszedł nad wodę i przygotował wędkę do zarzucenia.

Powrócili do domu tuż przed zapadnięciem ciemności. Każdy niósł pełną siatkę pstrągów. Z początku nie rozmawiali zbyt wiele; wspomnienia cudownych momentów wędkowania wciąż były z nimi; żaden nie chciał zakłócić spokoju wypełniającego ich dusze. Generał wykorzystał ten czas porównując starannie swoich znakomitych kolegów: Dolpha Kloppera, prezydenta RPA, i Davida Loxtona, którego poznał wiele lat wcześniej, ministra sprawiedliwości, drugiego pod względem potęgi człowieka w państwie. Dziwne zestawienie, pomyślał Smit, Anglik i Afrykaner, ale dawało znakomite efekty. Obaj poprosili go o dokładne opracowanie planu; byli zdecydowanie ludźmi czynu. Wiedzieli jasno, co powinno być zrobione i robili to - więc teraz van der Post już nie żył, a na nich nie padł nawet cień podejrzania. Tak, to był świetny zamach, przeprowadzony z bezbłędną precyzją.

Przyszłość zapowiadała się nader obiecująco - nowy budżet Ministerstwa Obrony był największy w historii.

Klopper przywrócił też obowiązkową służbę wojskową.

Każdy biały mężczyzna mógł teraz zostać powołany w każdym momencie. Jurie uśmiechnął się do siebie, a zmarszczki na jego twarzy pogłębiły się. W ten sposób pozbył się wszystkich obcych; Anglików, Hindusów, Żydów czy Portugalczyków. Naród był zjednoczony jak nigdy przedtem. Zwolennicy van der Posta albo zmienili przynależność partyjną, albo wyemigrowali z kraju.

Krzywy uśmieszek przeciął twarz generała na myśl, że najwierniejszy stronnik Kobusa, według ostatnich doniesień bankrut i alkoholik, zajęty był nowym projektem, budując w Zimbabwie gmach parlamentu. Zaś jego siostrzyczka, pani mecenas, siedziała w Londynie razem z nieślubnym synem van der Posta. To złośliwość losu, że taki bękart jak van der Post zdołał zmajstrować nowego tuż przed śmiercią. Chociaż właściwie należało tego gościa podziwiać - w jego wieku! I to z taką babką!

Ogólnie generał Jurie Smit czuł się niezłe. Obaj jego towarzysze tworzyli historię; był bardzo dumny, że przebywał razem z nimi.

W kuchni służba przygotowywała kolację. Podał jednemu ze służących ryby, ściągnął buty i wszedł do salonu, gdzie na kominku huczał już olbrzymi płomień.

Ta posiadłość, trzysta kilometrów na wschód od Johannesburga i jedna z najstarszych w rejonie Dullstroom, należała do Davida Loxtona. Wysoki sufit salonu podpierany masywne, drewniane belki. Na ścianach wisiały bezcenne obrazy - gust Davida Loxtona był znakomity.

Znad kominka głowa olbrzymiego jelenia milcząco przyglądała się wszystkiemu. Chociaż budynek był stary, niedawno umeblowano go na nowo.

Każdy pokój gościnny miał własną łazienkę i garderobę. Podłogi wykonano z czerwonego kamienia i pokryto skórami zwierzęcymi. Wszystko było nienagane, w typowym dla Loxtona stylu. Mógł sobie na to pozwolić - pomyślał generał. Jego fabryka, Terminal, zaopatrywała armię południowoafrykańską w broń i amunicję. Sprzęt z fabryki Loxtona miał tak wysoką jakość, że dostarczał RPA najwięcej, tuż po górnictwie, obcej waluty. Prywatna kolekcja broni Loxtona mogła rywalizować z najlepszymi na świecie. Generał wiedział, że David trzymał w sejfie trzy komplety purdeyów, za które chyba mógłby zabić. Wyjrzał przez okno. Pod wpływem ognia szyby zaparowały. Jeden z ochroniarzy przeszedł niedaleko domu.

Stuprocentowe bezpieczeństwo - pomyślał generał - stuprocentowe.

Chwilę później do salonu weszli David Loxton i Dolph Klopper. Loxton podszedł do stolika, żeby sprawdzić czy nakryto tak, jak kazał.

- Co dla ciebie, Jurie?

- Podwójna szkocka, bez wody, bez lodu.

- Podobają mi się faceci, którzy nie profanują szkockiej. Dolph, to co zwykle?

- Ja.

Loxton nalał brandy, dodał trochę lodu i podał Klopperowi. Rozsiedli się na wygodnych kanapkach dookoła trzaskającego ognia.

Loxton zwrócił się do generała:

- Jak rybki?

- Cudownie, David! Twój strumyk to kopalnia ryb. Już od wielu lat nie miałem takiego połowu.

- Zanim skończy się dzisiejsza noc, stary, uzgodnimy parę spraw dotyczących jeszcze lepszych połowów.

Generał włożył do kolacji elegancki, wyjściowy mundur. Teraz siedzieli razem, pijąc porto po znakomitym posiłku. Norman Porto - dla Loxtona tylko to, co najlepsze.

- Ja, możemy przejść do rzeczy, generale.

Klopper jest oficjalny aż do końca - pomyślał Smit.

David Loxton zachowywał się swobodniej. Uprzejmy, wytworny - to zawsze on zajmował się zagranicznymi reporterami. Ale jako przywódca cieszył się o wiele mniejszą popularnością niż Klopper.

- Panie prezydencie - zaczął generał. - Mam wszystko, o co pan pytał. Proszę tylko dać mi wolną rękę.

David odwrócił się od ognia.

- Tak jak uzgodniliśmy?

- Tak. Będziemy postępować zgodnie z instrukcjami doktora Preussera. Ukryjemy dużo małych ładunków głęboko w betonowej konstrukcji nowego gmachu parlamentu. Nie będzie nawet hałasu - cały budynek po prostu się zawali.

Klopper oparł ręce na kolanach i pochylił się.

- To wyeliminuje cały parlament Zimbabwe. I lepiej żeby nie było żadnego przecieku, bo wtedy ty i Loxton poniesiecie całą odpowiedzialność.

Czarne oczy Kloppera hipnotyzowały generała.

- Nie będzie żadnych przecieków - stwierdził pewnie. - Hurst pracował w Harare przez ostatnie trzy miesiące, oczywiście incognito. Ale nie on odpali ładunki - tym zajmie się jeden z jego ludzi.

- Co o tym sądzisz, ministrze? - Dolph zwrócił się do Loxtona, który obserwował ich obu w milczeniu.

- To powinno wyglądać na wypadek. Człowiek Hursta będzie musiał poczekać, aż budynek zostanie oddany do użytku. Chcemy, żeby zginęli wszyscy kluczowi ludzie, a gmach ma zniknąć.

- Nie będzie nawet śladu po ładunkach, sir. Ale zabezpieczyliśmy się na wszystkich frontach - używamy sprzętu wschodnioeuropejskiego. Nikomu nawet do głowy nie przyjdzie, że RPA miała z tym coś wspólnego.

Dolph wstał i zaczął przechadzać się po pokoju.

- Oddziały muszą być gotowe do akcji, generale. Grupy rebelianckie, które już od roku zaopatrujemy w broń, przejmą władzę w Zimbabwe, a my musimy być gotowi żeby ich poprzeć, na wypadek gdyby potrzebowali pomocy.

- Sir, przeprowadziliśmy w tym tygodniu próby na granicy.

- W porządku. I proszę trzymać ludzi krótko. Nie ma nic gorszego niż bałagan - ostrzegł Dolph.

Generał zeszywniał. Zawsze był dumny z dyscypliny, którą wpajał swoim ludziom.

- A co z interwencją z zewnątrz? - spytał David Loxton.

- Użyję wszystkich swoich kontaktów. Gwarantuję, że nie będzie żadnych problemów z zagranicą - rzekł uspokajająco Klopper.

Ciekawe skąd on jest aż tak pewny - zastanawiał się generał. Gdzie kryło się źródło tej pewności?

David Loxton wstał i ponownie napełnił kieliszki.

Podniósł swój.

- Panowie! Za najpotężniejszy naród Afryki!

*

Cela cuchnęła. Klozet był zapchany, a jedzenie, kiedy je dostarczano, nie nadawało się do niczego. Ciągłe go bili; i nie po to żeby wydobyć jakieś informacje, tylko aby go zniszczyć i zgnoić.

Wpatrywał się w żarówkę nad głową i po raz tysięczny pomyślał o Victorii Loxton. Mimo że było to prawie rok temu, pamiętał dokładnie każdy szczegół ich ostatniego spotkania.

Policja dopadła go bardzo szybko. Zszedł z budynku, z którego zamierzał zastrzelić van der Posta; wiedział, że jest ugotowany, jak tylko prezydent upadł... Biegł rozpaczliwie bocznymi uliczkami i zaułkami, żeby się dostać do podstawionego motocykla, ale kiedy dotarł na umówione miejsce, niczego tam nie było. Wtedy z przerażeniem zrozumiał, że Kumalo i Grubas sprzedali go. Parę minut później złapała go policja.

Dobrali się do niego w momencie, gdy znalazł się w furgonetce. Zdarli mu ubranie i zaczęli bicie. Nie chcieli go zmasakrować. Chodziło o to, żeby czuł dotkliwy ból. Zemdlał, zanim dojechali do komisariatu. Wtedy zaczęły się przesłuchania. Najpierw zastosowali metody konwencjonalne; nie dawali mu zmrzyć oka przez całą noc, bili go i głodzili. Kiedy to nie poskutkowało, dali mu zastrzyki. Nadeszły przerażające koszmary nocne i okropny głód narkotyków czy też tego, co tam mu dawali. Schudł strasznie, skóra wisiała na nim jak na kiju.

Potem zastosowali wstrząsy elektryczne. Zaczynali pojmować, że nie mają dużej szansy na złamanie go.

W każdym razie nie zadawali mu żadnych sensownych pytań, więc wiedział, że mówienie prawdy byłoby zwykłą stratą czasu. I tak by ich to nie interesowało.

Wszystkie dowody świadczyły przeciwko niemu i tylko to się liczyło.

Chyba po siedmiu dniach, o ile dobrze pamiętał, powiedziano, że będzie miał gościa. Zdziwiło go to; zazwyczaj trzymali ludzi o wiele dłużej w odosobnieniu, zanim zezwalali na jakiegokolwiek wizyty. Ale oni okazali się o wiele przebieglejsi, niż to sobie wyobrażał.

Zdziwiło go też, że nie było w zasięgu wzroku żadnych strażników. Wepchnęli go do pustego małego pokoju, zatrzasnęli drzwi i wtedy przez boczne wejście weszła Victoria

Loxton. Podeszła do stołu, przy którym siedział. Nie powiedziała ani słowa. Po prostu patrzyła na niego.

Z oczu płynęły jej łzy. Normalnie, określenie „wrażliwa na ciosy” byłoby ostatnim, którego by użył, żeby ją opisać, ale teraz właśnie tak wyglądała. Ta cisza była gorsza niż wszystkie tortury, których doświadczył.

- Jak mogłeś? - spytała.

- Ja... ja miałem powody.

- Zdradziłeś naszą przyjaźń i moje zaufanie. Zabrałeś mi serce i duszę! - Załamała się i zaczęła głośno szlochać.

- Musiałem pomścić śmierć ojca - oświadczył George.

Usiadła prosto i popatrzyła na niego.

- Odbierając życie człowiekowi, który w niego wierzył! Który go uwolnił! Człowiekowi, którego dziecko noszę! - Przerwała. - To nasze pożegnanie, George, więc nie rób z niego farsy przez wymyślanie wykrętów.

Poczuł się pusty i samotny. Chciał wrócić do swojej celi.

- Victorio...

Wstała, podeszła do drzwi, zaczęła głośno walić w nie pięściami i krzyczeć na strażników, żeby ją wypuścili.

Odeszła, a jego zawlekli z powrotem do celi...

Po tym spotkaniu na dłuższy czas dali mu spokój i wcale go nie przesłuchiwali. To okazało się najgorsze ze wszystkiego; jedyną rzeczą, o której myślał, było to ostatnie spotkanie z Victorią. Zrozumiał, że ona nigdy nie odkryje prawdy - że to nie on zabił Kobusa.

Proces był farsą od samego początku. Każdego dnia sala Sądu Najwyższego była wypełniona ludźmi - użył jej więc jako forum dla przedstawienia swoich poglądów. Pytano go o historię i przyczynę związku z Towarzyszami, więc odpowiadał. Wymienił także nazwiska Kumalo i Grubasa, wiedząc że i tak ich nigdy nie złapią. Opowiedział wszystko o szkoleniu i wysadzeniu komisariatu Rivonia.

Nie miał żadnych szans. Marc, biały, którego zwerbował do roboty przy zamachu, zeznawał przeciwko niemu. George aż się wzdrygnął na myśl, co musieli mu zrobić - był chodzącym wrakiem; jego skóra nabrała kredowobiałego odcienia, a oczy patrzące na George'a były puste i szklane.

Przesłuchanie, a potem oskarżyciel publiczny głęboko wryli się w pamięć George'a.

- Czy zastrzelił pan van der Posta?

- Zamierzałem, ale ktoś inny mnie uprzedził.

- Proszę o dowód rzeczowy numer jeden. Proszę oskarżonego o powrót na miejsce. Wzywam na świadka doktora Lourensa Louwa.

Doktor Lourens Louw dał znakomite przedstawienie - pomyślał George. Dystyngowany mężczyzna, ze srebrnym kosmykiem biegnącym niczym przedziałek przez środek czarnych włosów, oświadczył, że przeprowadził badania nad dowodem rzeczowym numer jeden, bronią, z której padły trzy strzały. Badanie ciała ofiary i późniejsza sekcja wykazały, że kule, które zabiły van der Posta, pochodziły z tego karabinu - broni, która cała pokryta była odciskami palców George'a.

Przypominało to dobrze wyreżyserowaną sztukę - myślał George.

Jedyną różnicą był brak gromkich oklasków, gdy widownia opuszczała salę. Oczywiście, ostatni akt miał dopiero nastąpić - jego śmierć.

3

Biały mur otaczający posiadłość Davida Loxtona miał trzy metry wysokości. Wokół muru ciągnęły się dwie linie zasieków z drutu kolczastego, a pomiędzy nimi, po pasie pięciometrowej szerokości, co kwadrans przechadzali się strażnicy z psami. Mało tego - zasieki były pod prądem.

Późnym popołudniem słońce wisiało nisko nad horyzontem, nadając chmurom rudozłocisty kolor. Max wpatrywał się w nie przez chwilę oczarowany cudownym widokiem, po czym niechętnie odwrócił wzrok.

Znowu ogarnął go lęk, ale zmusił się do wejścia w kępę krzaków przy drodze naprzeciw domu. Powróciły wspomnienia z dzieciństwa - wspomnienia wagarów.

Czy tunel jeszcze tam był, czy już go odkryli i zasypali?

Krzaki były gęstsze, niż pamiętał; gałęzie splatały się ze sobą tak ściśle, że nie można ich było odgarnąć.

Wyciągnął z kieszeni piłę i zabrał się do roboty, wyglądając od czasu do czasu zza krzaków z nadzieją, że hałas nie zwrócił niczyjej uwagi. Pot ciekł mu po twarzy. Sięgnął za pazuchę, przesunął ręką po kolbie browninga i wyciągnął piersiówkę. Whisky smakowała znakomicie. Co on tu, do cholery, robił? Saffron odeszła, duże opóźnienie na budowie... Po uszy w długach, z wierzycielami wpychającymi nosy w projekt Okavango... Nie warto zbyt

dużo myśleć. Trzeba pamiętać tylko o jednym - George absolutnie nie mógł zastrzelić Kobusa, mimo że wskazywały na to wszystkie dowody. Musiałby strzelać pod innym kątem.

Cholerne, parszywe chaszczel! Boże, ktoś musi w końcu usłyszeć! Kolejny haust whisky dla uspokojenia nerwów. Okropny hałas, który wywoływało ostrze przy przecinaniu szczególnie grubej gałęzi, spowodował, że postanowił przerwać robotę i uważnie przyjrzeć się okolicy, zanim z powrotem przystąpi do piłowania.

Coś ciemnego zamajaczyło w oddali. Umundurowany strażnik. Max zamarł powstrzymując oddech. Niemal słyszał miękkie człapanie psich łap po trawie. Potem cisza; znowu zaczął ciąć, zrozpaczony, zdenerwowany.

Ulicą wolno przejechał wóz patrolowy. Boże! Czy go dostrzegli? Ale już dotykał ziemi, a potem metalowych prętów. Uniósł do góry kratę, przywiązał do niej linę i zsunął się w cuchnącą ciemność.

Zapalił latarkę. Aż do połowy tunel zalany był paskudnie mętną wodą. Splunął i roześmiał się - był to niespokojny śmiech, pełen strachu. Wspomnienia ogarnęły go gorącą falą. Jak uciekał wtedy razem z siostrzyczkami pod osłoną nocy, jak obrywał bity od ojca.

Jakże nienawidził tego skurwiela! Przebrnął kilka kroków; lepki szlam oblepiał mu buty, na powierzchni wody pojawiły się bąbelki. Tunel podnosił się - szlam sięgał tu tylko do kolan. Przejechał latarką po ścianach szukając wjazdu. Łypnął na zegarek. Szlag by to trafił!

Nie ma chwili do stracenia.

Już tutaj - pordezwiąła szczeble wbite w betonową ścianę wznosiły się do góry. Wspiął się po drabinie i podważył ramieniem metalową kratę nad głową. Uniosła się od razu. Trochę był zdziwiony - żadnych syren alarmowych, żadnego szczekania. Znajdował się w środku posiadłości.

Poruszał się ostrożnie, jak łowca tropiący zwierzyne - twarz zakrywała mu kominiarka, a szlam z tunelu znakomicie maskował ubranie. Wszystko dzięki nagłemu impulsowi, który przyszedł mu do głowy pewnej pijackiej nocy. Uwolni George'a, a przy okazji wyrówna rachunki z ojcem.

Usłyszał zniechęcone kroki. Ojciec był dokładny jak szwajcarski zegarek. Po kolacji, jak zawsze, przechadzał się po ogrodzie. W należytej odległości, dyskretnie kroczył za nim strażnik.

Max zaszedł ochroniarza od tyłu. Gdy facet odwracał się, Max uderzył go pięścią w twarz. Znokautował strażnika od razu. Wyciągnął z kieszeni szmatkę przesyconą chloroformem i od tyłu zbliżył się do ojca.

Przycisnął mu szmatkę do twarzy, a dla pewności wyciągnął browninga i rąbnął Davida kolbą w głowę.

Loxton jęknął cicho i osunął się na ziemię. Max odciągnął go na bok, podniósł szmatkę z chloroformem i schował do kieszeni. Może się jeszcze przyda.

Przerzucił bezwładne ciało przez ramię i pospiesznie pomaszerował ku otwartemu włazowi do tunelu. Spuścił nieprzytomnego ojca w dół, potem zszedł sam. Ostrożnie umocował pokrywę, tak aby nie można było jej dostrzec z góry.

Pociągnął kolejny łyk z flaszki. Za George'a Zwane i wolność!

*

Kiedy David Loxton oprzytomniał, poczuł koszmarny ból głowy. Był dokładnie skrępowany, a na dodatek nic nie widział. Słyszał jedynie szum motoru jakiegoś pojazdu. Spróbował krzyknąć, ale w ustach miał gruby knebel. Zdał sobie sprawę, że wepchnięto go do bagażnika samochodu. Pamiętał jedynie wieczorny spacer... a potem... nic...

Po pewnym czasie wóz zahamował. Loxton usłyszał jakieś głosy. Jeden z nich brzmiał bardzo oficjalnie - może to policja? Albo nie - urząd celny? Dobiegł go dźwięk otwieranych drzwi samochodu. Spróbował się przesunąć, ale było to niemożliwe.

Cisza. Nasłuchiwał przerażony. Uruchomiono silnik, więc jechali dalej, ale nie miał zielonego pojęcia dokąd.

Co się dzieje? Już tylko godziny dzieliły go od otwarcia parlamentu w Zimbabwie. Usunięcie całego rządu miało stać się ukoronowaniem jego dotychczasowej kariery.

Miało rozpocząć nowy rozdział w historii polityki afrykańskiej.

Czyżby Klopper zdradził? Nie mógł w to uwierzyć.

Ale czy istniało jakieś inne wytłumaczenie? Ochrona jego domu była bez zarzutu, bezbłędna - w jaki sposób porywacze przedarli się przez dwie linie zasieków pod napięciem, patrole z psami i system alarmowy w murze? Ostatecznie, jeżeli chcieli tylko pieniędzy, to on ma ich do cholery...

Mijały godziny jazdy. W końcu zasnął, ale obudził się zlany zimnym potem, gdy się nagle zatrzymali. Może czekał tu pluton egzekucyjny, żeby z nim skończyć?

Nagle przez głowę przeszła mu koszmarna myśl - może chcą go „naszyjnikować”?

Otworzono bagażnik. Oślepiło go słońce, ale zdołał dostrzec faceta w kominiarce. Doleciał go zapach whisky. Potem przyciśnięto mu do twarzy szmatę przesyconą chloroformem i znowu zapadł w nicość.

*

Dolph Klopper otworzył kopertę i z dużym zainteresowaniem przeczytał kartkę. To chyba jakiś kawał?

Podniósł słuchawkę i wykręcił numer domowy Loxtona.

- Halo? Jak się masz, Hanli? Nie, nic nie wiem... - skłamał. Pytał dalej: - Czy nic mu nie zrobili? Ale jak się dostali do środka? Ależ oczywiście że sprowadzimy go z powrotem. Posłuchaj, musimy zachować spokój - żadnego rozgłosu, jak na razie. Rozumiesz? Wezwij doktora, żeby ci dał jakieś środki uspokajające.

Starannie odłożył słuchawkę i ponownie przeczytał liścik. Bardzo mu się to podobało. Żądanie było wyjątkowo proste: „Uwolnijcie George’a Zwane, albo Loxton umrze. Macie siedem dni”. Brak podpisu.

Wstał z zielonego, skórzanego fotela i zamknął drzwi na klucz. Podszedł do wielkiego olejnego portretu van Riebeecka, pierwszego gubernatora Cape. Uśmiechnął się spojrzawszy w oczy mężczyzny na obrazie. Wyciągnął z kieszeni zapalniczkę i spalił kartkę. Patrzył, jak pożera ją ogień, potem zgniótł czarne resztki w dłoni i wyrzucił popiół przez otwarte okno. - Z popiołu powstałeś i w proch się obrócisz...

Przez chwilę lub dwie wpatrywał się melancholijnie przed siebie, potem wrócił do biurka. Tak jak się spodziewał, w parę minut później zadzwonił telefon.

- Hanli, nie zamartwiaj się. Zaczniemy poszukiwania w całym państwie. Postawimy na nogi całą policję bez wyjątku...

Odłożył słuchawkę, wykręcił kolejny numer i wydał kilka rozkazów...

Dwadzieścia pięć minut później do gabinetu wkroczył generał Smit.

- More, Dolph.

- More. Siadaj. Kawy?

Kiedy już usiedli, Dolph kazał sekretarce nie wpuszczać ani nie łączyć nikogo. Oparł się wygodnie i spojrzał w blade, błękitnoszare oczy generała. Podobało mu się to ich stalowe zdecydowanie. Tak, generał pochodził ze starej, dobrej szkoły. Jego ojciec w latach czterdziestych był bardzo ważną figurą i nalegał na swoich kolegów z rządu, żeby zawarli sojusz z Hitlerem, a nie z aliantami.

Dolph przeszedł na afrikaans, instynktownie czując, że będzie bardziej odpowiedni niż angielski.

- Porwano Loxtona - oznajmił.

- Świetnie. Już wcześniej mówiliśmy, że ten Anglik to tylko przejściowy sojusznik. W zasadzie wcale go już nie potrzebujemy.

- Znakomicie mnie zrozumiałeś, Jurie!

- Ale trzeba działać zgodnie z prawem.
- Ależ oczywiście! Pokażemy w telewizji relacje z wielkich akcji poszukiwawczych. Sam wystąpię w telewizji z apelem do porywaczy.
- Otrzymałeś żądanie okupu?
- Dopiero co je zniszczyłem.
- Dobra. Po paru dniach powiemy, że nie otrzymaliśmy żadnych żądań od porywaczy, więc Loxton pewnie nie żyje. - Na twarzy generała pojawił się cień uśmiechu.
- Ja. A kidnaperzy go zabiją. I wtedy tylko ty i ja będziemy mieli władzę. To się naprawdę cudownie złożyło.
- Czego właściwie chcieli ci kidnaperzy?
- George'a Zwane.
- No, ten człowiek już prawie przestał istnieć. - Tym razem uśmiech na twarzy generała był szeroki. - Jeszcze sześć miesięcy do egzekucji... Ale może mógłby...
- Przytrafić się jakiś wypadek?

*

Hanli nie potrafiła powstrzymać łez. Czuliła się taka samotna. Już dzwoniła do synów, którzy przebywali za granicą. Dirk natychmiast zarezerwował bilet na samolot do domu, a Rory powiedział, że przybędzie tak szybko, jak będzie mógł - właśnie finalizował dużą transakcję. Teraz była więc jeszcze zupełnie sama, nie licząc służby i ludzi z Sił Bezpieczeństwa. Nie wolno jej nawet używać telefonu, bo porywacze w każdej chwili mogli chcieć się skontaktować. Telefon był oczywiście na podsłuchu i od razu by ich zlokalizowano. Ale na razie telefon milczał.

Hanli czuła się coraz bardziej zaniepokojona. Nie przestawała zadawać sobie pytania, dlaczego porywacze nie zażądali okupu. Miała potworne przeczucie, że Klopper nie mówi jej wszystkiego. Nigdy go nie lubiła, chociaż starała się być dla niego miła ze względu na Davida. Wyczuwała w nim coś złowieszczonego - a teraz, siedząc samotnie w gabinecie Davida, pomyślała o tym jeszcze raz. Nie umknął jej uwagi fakt, że Dolph nie wyglądał na poruszonego zniknięciem Davida.

Spojrzała na zegarek. Ósma - czas na wieczorne wiadomości. Włączyła telewizor i usiadła na krześle męża, mocno ściskając jedną z jego chusteczek.

- Dobry wieczór, wita państwa dziennik wieczorny.

Wczoraj wieczorem minister sprawiedliwości, David Loxton, zniknął bez śladu z ogrodu otaczającego jego dom. Jeden ze strażników odniósł ciężkie obrażenia w trakcie porwania. A teraz łączymy się z generałem Jurie Smitem w naszym studio w Pretorii.

Co za okrutny, niemiły człowiek - pomyślała Hanli, gdy twarz generała wypełniła ekran. Niemal czuła jego zapach - kiedy się spotykali przy różnych okazjach, zawsze z niesmakiem reagowała na dziwny zapach płynu po goleniu, którego używał. Przypominał bulteriera; szczupłego ale silnego.

- Osobiście objąłem dowodzenie operacją poszukiwania pana Loxtona - oświadczył generał. - Chciałbym prosić każdego obywatela, który uważa, że posiada jakiegokolwiek informacje mogące pomóc w ustaleniu miejsca przebywania ministra, o zgłoszenie się do nas. Natomiast dla osoby lub osób, które uprowadziły ministra sprawiedliwości, mam prostą wiadomość: uwolnicie go natychmiast, gdyż my z pewnością trafimy na wasz ślad, a wtedy drogo za to zapłacicie.

Na ekran powrócił spiker, który odczytał pozostałe wiadomości. Hanli wyłączyła telewizor. Poczowała się lepiej. Chyba rzeczywiście starają się go odnaleźć.

A gdyby Davida przetrzymywano z nadzieją na okup, wiedziała, że rząd przystałby na wszystkie warunki porywaczy, jakiegokolwiek by były.

*

To był pierwszy dzień, kiedy go nie pobili. Nawet dali coś zjadliwego na lunch. Ale wkrótce potem w drzwiach pojawił się strażnik.

- Wstawaj, Zwane.

Wstał posłusznie. Z początku zawsze się opierał, ale bicie nauczyło go posłuszeństwa.

- Przenoszą cię.

Z głupoty pozwolił sobie na uśmiech. Strażnik skrzywił się w odpowiedzi.

- Powieszają cię, gnojku. Ale nie tutaj. W jakimś mniej znanym miejscu.

George próbował się znowu uśmiechnąć, ale zrobiło mu się zimno. Nawet teraz, połamany i pobity, nie chciał wcale umierać - wręcz przeciwnie, każde katowanie powodowało, że tym bardziej pragnął żyć.

- Rusz się, „Towarzyszu”. Nie mam, kurwa, dla ciebie całego dnia.

Wyszedł na korytarz za strażnikiem. Dziwnie się czuł idąc wzdłuż szeregu cel. Kiedy przywieźli go do więzienia, było już ciemno, a nigdy nie widział tu niczego poza ścianami własnej małej celi. Teraz próbował zapamiętać dokładnie wszystko, każdy szczegół. Wszak to ostatnie momenty jego życia. A może nie? Pozwalali sobie na tyle różnych zagrań, że nigdy nie było wiadomo, czego się spodziewać.

Kiedy wyszli na podwórko, słońce oślepiło go zupełnie. Jedyne światło jakie miał w celi to czterdziestowatowa żarówka. Potknął się i upadł. Ktoś szarpnął go brutalnie i wepchnął

do żółtej furgonetki. Uderzył twarzą o metalową podłogę. Tak jak wszędzie w więzieniu, tu też śmierdziało.

Strażnik łypnął do środka.

- Mam nadzieję, że szybko zdechniesz, „Towarzyszu”! - Roześmiał się nieprzyjemnym, zgrzytliwym śmiechem. Mocno trzasnął drzwiami.

Silnik zaskoczył hałaśliwie i furgonetka ruszyła. George’a dobiegł zgrzyt zmienianych biegów. Rzuciło nim na wszystkie strony stalowego pudła, gdy pojazd zakrecał. Dokąd go wywozili? Czyżby wyjeżdżali z Pretorii?

Odkąd siedział w więzieniu, stracił rachubę czasu. Nagle rozplakał się, zupełnie wbrew sobie. Chciał zobaczyć dzieci, objąć żonę. Przynajmniej mógł sobie popłakać w samotności i nikt nie będzie go przedrzeźniać.

Był to pożegnalny prezent od Boga - nie chciał uronić z tego ani chwili.

Nagle wewnątrz pojaśniało. Rozejrzał się w poszukiwaniu żarówki i dopiero wtedy zobaczył, że tylne drzwi uchyliły się - znowu widział światło dzienne.

Dotknął drzwi i popchnął je - rozwarły się na oścież, aż kurz z drogi wtargnął do środka. Zerknął na szybko uciekającą drogę między kołami. Nie był w stanie ocenić, z jaką prędkością jechała ciężarówka. Teraz albo nigdy. Los dał mu ostatnią szansę. Podsunął się na sam brzeg i rzucił się na drogę.

Poczuł w gardle piach i boleśnie uderzył o pobocze.

Ogłuszyło go. Pewnie coś sobie złamał. Ale nie było czasu ani chwili do stracenia. Poderwał się i zaczął uciekać. Zauważył, że veld był zupełnie suchy. Nadeszła zima.

Gdzieś w oddali majaczyła kępa akacji. Rzucił się desperacko w jej kierunku. Dopiero wtedy zrozumiał, ile sił stracił. Nie był w stanie biec, mógł tylko wlec się, przypominając bardziej pijaka niż trzeźwego człowieka. Suchy, ostry zapach ziemi był oszałamiający - zapach wolności, coś, czego wcześniej nie rozumiał. Zbliżał się coraz bardziej do kępy drzew, marząc o cieniu i osłonie.

Dotarł tam trzy minuty później. Musiał położyć się, żeby odpocząć. Natychmiast rozległ się strzał i fontanna piasku wybuchła obok niego. Zerwał się na równe nogi; tym razem znalazł siły na bieg. Kto strzelał? To pytanie tłukło mu się po głowie. Może to tylko jakiś farmer spragniony rozrywki.

Veld urywał się nagle - George dostrzegł, że zmierza prosto w dół wąskiego parowu. Widział na dnie biel wody spływającej między pokrytymi zielenią skałami.

Pragnienie wolności zmuszało go do biegu. Nie mógł znieść myśli o ponownym zamknięciu w czterech betonowych ścianach. Stoczył się po zboczach, lądując boleśnie w

kłujących, ciernistych krzakach. Szybciej, szybciej! Szmer płynącej wody dźwięczał mu w uszach jakby echo własnych myśli - szybciej, szybciej, szybciej. Sieć lian spływała wzdłuż zbocza aż na samo dno parowu.

Rozpaczliwie wyrwał się z kolców krzewu i mocno uchwycił się jednego pnącza. Kolejny strzał musnął jego głowę. Zsuwał się wolno po lianie; jego ciało zawisło nad przepaścią. I nagle zasypał go grad kul.

Przywarł do ściany. Brakowało mu już sił. Przepaść miała ponad sto metrów.

Echo odbiło czyjś zgrzytliwy śmiech. George obejrzał się i zobaczył uzbrojonego w karabin mężczyznę. Stał po drugiej stronie parowu.

- Skacz, Zwane!

Ten uragliwy głos rozpałił w nim gniew. Zaczął się znowu zsuwać głębiej w dół. Gdy jego stopy szukały oparcia w ścianie, dookoła uderzały pociski. Kule wbijały się w kwarc. Ostre odłamki skały poraniły mu twarz oslepiając na moment. Zapłakał. Wiedział, że umrze. Już był skazany. Powinien zostać w furgonetce.

Stopniowo tracił czucie w palcach. Pomyślał o synu i żonie. O Victorii Loxton i Maxie.

Skała zaczęła mu się kruszyć pod palcami. Rozpaczliwie zrzucił buty, ale nie znalazł oparcia dla stóp. O Boże, to nie może się stać... Próbował przesunąć się trochę w bok, ale wtedy kula drasnęła jego lewą dłoń.

- Nie! - Zdążył jeszcze wykrzyknąć, gdy jego palce poddały się.

*

Ciało leżało na skałach, na dnie potoku; krew mieszała się z wodą. Major Hurst kopnął je i poczuł dreszcz rozkoszy. To było niezłe - najpierw dać więźniowi złudzenie, że ma szansę, podczas gdy nie miał żadnej.

A na dodatek, wszystko wygląda na wypadek - Zwane uciekł dokładnie wtedy, kiedy major Hurst sobie życzył. Och - westchnął - gdyby tak udało się przeżyć te chwile jeszcze raz! Może trzeba było pobawić się dłużej? Ale nie, razem z nim byli inni. Nie mogli poznać jego słabości, dowiedzieć się, że zabijanie dawało mu cudowną przyjemność, prawie taką samą jak seks.

- Czy on nie żyje, sir?

Popatrzył na poszarzałą twarz siedemnastolatka z karabinem.

- Absolutnie.

- Nie dał mu pan żadnej szansy, sir.

Hurst podszedł do chłopaka i wyrwał mu z ręki karabin. Potem złapał go za kark i podniósł do góry jak kota. Chłopak usiłował walczyć, więc oberwał po twarzy. Hurst wpełchnął jego głowę do krwawej wody. Począł, aż z ust chłopca przestaną unosić się bąbelki powietrza i spojrzał na resztę ludzi, którzy przyglądali się wszystkiemu rozbawieni. Puścił do nich oko.

- Chłopaczek nie zrozumiał.

Wyciągnął chłopca i patrzył, jak ten kaszle wodą.

Kopnął go mocno w tyłek.

- Co widziałeś?

- O co panu chodzi, sir?

- Ten kafr, jak zginął?

- Spadł, sir.

Hurst złapał go za ramię i przyciągnął do ciała Zwane.

- Jesteś jedynym, który widział, jak on spadł, Conradzie. Jeżeli idzie o nas - nas tu nie było.

- Tak jest, sir.

Hurst puścił chłopaka. Kiwnął na resztę.

- Zabrać ciało do furgonetki. I ani pary z ust, nikomu. Jeżeli usłyszę jakąkolwiek ploteczkę, wszyscy jesteście martwi.

Mężczyźni spojrzeli po sobie ponuro. Hurst był zadowolony - wybierał ich starannie, chłopak był jedynym przeoczeniem. Rozmyślał o pieniądzach. Trzydzieści tysięcy randów w używanych banknotach; mniej niż dostał za van der Posta, ale tę robotę wykonałby i za darmo. Jeżeli idzie o niego, Zwane powinien nie żyć już od dawna.

Zabijanie - pomyślał - to jedyny sposób na życie.

*

Davidowi zbierało się na mdłości. Rozejrzył się. Odrażający pomarańczowy dywan na podłodze, pełno Myszek Miki na tapetach - gdzie on, do cholery, był?

Okna starannie zamurwane, sufit betonowy, a drzwi z pewnością stalowe. Z trudem wstał i dowlókł się do małego pomieszczenia obok, z wanną i toaletą - kurwa! - okno też było zamurwane.

Kiedy wrócił do dużego pokoju, zobaczył świeże owoce i dzban wody. Sam się dziwił, że jest aż tak głodny i przez kolejne pięć minut koncentrował się tylko na jedzeniu i picciu. Potem przespacerował się po pokoju.

Zabrali mu obrączkę i zegarek, co sprawiło, że poczuł się bezbronny. Zawsze żył rytmem swojego zegarka.

Strata czasu wkurzała go strasznie - życie mija, a tu nic nie zostało zrobione.

Wściekle uderzył w metalowe drzwi, ale nie było odpowiedzi. Zbadał wszystkie meble, przeszukał wszystkie szuflady i szafki, ale nie znalazł nic. Napuścił wody do wanny - ucieszył się, że była gorąca. Łazienka cuchnęła jakimś mocnym środkiem dezynfekującym, a ściany pokrywały szkaradne, zielone kafelki. Dziwnie się poczuł zdejmując ubranie, ale w wodzie od razu się odprężył i odświeżył.

Leżąc w wannie analizował sytuację - muszą być jakieś wskazówki, które mu powiedzą, dokąd go zabrali. Na ile się zorientował, podróżowali tylko drogami i przejeżdżali przez jakiś posterunek, co oznaczało, że mógł być w Botswanie, Lesoto, Swazilandzie, Zimbabwie czy Mozambiku - w dowolnym państwie graniczącym z RPA. Jasne, że dźwięki które słyszał, mogły być puszczane z taśmy, żeby go zmylić. Całkiem prawdopodobne, że dalej siedzieli w Pretorii po objechaniu jej w kółko parę razy.

Przynajmniej porywacze, kimkolwiek byli, nie zrobili mu żadnej krzywdy, a do tej pory całe siły bezpieczeństwa musiały przeczesywać kraj szukając go wszędzie. Ale ta cisza, brak kontaktu z kimkolwiek przyprawiały go o szaleństwo. Kto, do cholery, odważył się go więzić? Czego chciał? Sparaliżowali go zupełnie; po raz pierwszy w życiu nie mógł zrobić nic, żeby zmienić swoją sytuację. Od przerażającego uczucia pustki zakręciło mu się w głowie.

Wytarł się do sucha, ubrał i położył na tapczanie. Po raz pierwszy w swojej długiej karierze pomyślał o ludziach, których skazywał na siedzenie w izolatkach.

Może ktoś chciał się na nim zemścić? W końcu zapadł w głęboki sen. Śnił o nowym typie czołgu - najnowocześniejszym na świecie. Jego umysł przepełniały wizje bogactwa i potęgi.

Obudził się i zobaczył malutkiego, pomarszczonego człowieczka siedzącego obok tapczanu, z uzi na kolanach. Z drobnej budowy i wyglądu zewnętrznego David wywnioskował, że mógł to być Buszmen.

- Wygodnie, sir? - zapytał karzeł.

- Żądam, żeby mnie natychmiast wypuszczono!

Człowieczek wybuchnął suchym śmiechem. David nie umiał go z nikim skojarzyć, ale odniósł nieprzyjemne wrażenie, że kiedyś, dawno, dawno temu, już się spotkali.

- Wysłaliśmy list do Kloppera - oznajmił człowieczek - ale trochę potrwa, zanim odpowie.

- Co przez to rozumiesz?

- Porwaliśmy pana, sir. A interes jest prosty.

Natychmiast Davidowi poprawił się humor. Interes - to rozumiał. Ale jakiej ceny zażądają? Hanli miała bardzo ograniczony dostęp do jego pieniędzy, więc konieczna będzie interwencja państwa. Ale trzeba się trzymać twardo. Im mniej pieniędzy pójdzie, tym lepiej.

- Zdajecie chyba sobie sprawę, że nie ujdzie wam to płazem, co? Możecie mnie przetrzymywać dla okupu, ale policja was w końcu dopadnie.

- Nie, nie chcemy pańskich pieniędzy. Transakcja jest prosta - pańskie życie za życie George'a Zwane.

David aż się spocił. Nagle to przestało być proste.

Dolph nie zechce wycofać oskarżenia przeciwko Zwane. Ale gdyby jego własne życie było w niebezpieczeństwie, pewnie by to zrobił.

Buszmen wstał. David ocenił, że miał nieco mniej niż pięć stóp wzrostu, ale mimo wszystko znakomicie obchodził się z bronią maszynową.

- Gdzie jestem? - zapytał.

Karzeł patrzył na niego zafascynowany. David dostrzegł, że lufa broni opadła, więc błyskawicznie rzucił się na Buszmena.

Ale w sekundę było już po wszystkim. Buszmen usunął się fachowo, a David wyrzwał głową o podłogę.

Wijąc się z bólu leżał tam dłuższą chwilę, gapiąc się na malutkie stopy czarnego. Broń była wycelowana prosto w niego.

Człowieczek oświadczył:

- Moim ojcem był Kotuko. Pamięta pan Kotuko, sir? Był przyjacielem pańskiej pierwszej żony, a pan go zabił wsadzając mu rozpalone żelazo w tyłek. Pamięta pan? Więc proszę więcej nie kombinować, bo zabicie pana, i to powolutku, sprawi mi ogromną przyjemność.

David próbował ukryć strach.

- Mogę dostać coś do czytania?

- Nie.

Drzwi zamknęły się.

David podniósł się z podłogi. Twarz miał szarą jak popiół. Kto, u diabła, się za tym krył? Znali go i wszystko o nim wiedzieli... Cóż, martwienie się na zapas nic tu nie pomoże, trzeba zebrać cały spryt i energię i wymyślić jakiś sposób ucieczki.

Po chwili wpadł na pomysł i ponownie przeszukał kredens. W jednej z szuflad znalazł to, czego szukał - kawałek gazety. Rozwinął go i spojrział na tytuł. Była to strona z „Harare Herald”. Harare! Fakt, wszystkie dowody na to wskazywały; długa jazda i przekroczenie granicy.

Zadygotał. Ile czasu upłynęło od porwania? Nowy gmach parlamentu niedługo zostanie otwarty... Potworność tego, co mogło się wydarzyć, uderzyła w niego jak grom. Jeśli w kraju zapanuje wojna domowa - jego życie będzie cholernie zagrożone.

Położył się na tapczanie i zaczął odmawiać modlitwy.

Nie był w stanie powstrzymać tego, co niedługo nastąpi...

Nieco później drzwi otworzyły się i stanął w nich Buszmen.

- Obiad dla pana, sir. - Przerwał. - I złe wiadomości, niestety. Klopper pana nie chce. Rozpoczął oczywiście poszukiwania w całym państwie, ale nawet nie wspomniał o naszym żądaniu.

David usiadł. Trząśnięty całym.

- Próbuje zyskać na czasie. Czy jesteście pewni, że otrzymał waszą wiadomość?

Człowieczek kiwnął głową.

Nagle David stracił panowanie nad sobą.

- Mam powyżej dziurek w nosie tej farsy! - ryczał. - Żądam wypuszczenia mnie na wolność!

- Ty! Ty żądasz wolności! Ty, który tylu ludzi skazałeś na śmierć! Ty, który aresztowałeś tylu ludzi bez nakazu!

David warknął:

- Jesteś naiwny! Jak chciałbyś rządzić państwem niszczone przez terrorystów? Pewnie byś ich zachęcał, co? Nie bądź durniem! Prawo istnieje, żeby utrzymywać spokój, a ktokolwiek zagraża porządkowi, musi zostać wyeliminowany... Czy jestem w Harare?

Dostrzegł błysk zdziwienia w oczach Buszmena. Rany, nareszcie go czymś zaskoczył! Złapał karła za rękę, ale lufa dotknęła jego piersi. Palec Buszmena spoczywał na spuście.

- Zabicie pana będzie dla mnie przyjemnością.

- Posłuchaj! Jeżeli to rzeczywiście Harare, to jesteśmy w okropnym niebezpieczeństwie...

- Proszę nie próbować ze mną żadnych sztuczek, panie Loxton.

- Mówię serio! Jutro, o ile nie zawiodło mnie poczucie czasu, nastąpi otwarcie nowego gmachu parlamentu. Mam rację? A pierwszym tematem będzie sytuacja w RPA.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Wiesz, dobrze wiesz! A teraz słuchaj, na miłość boską! Za dwadzieścia cztery godziny wszyscy możemy być martwi.

*

Max nalał sobie drinka i włączył telewizor, mimo że nie mogli powiedzieć nic, o czym by nie wiedział. Strasznie go wkurzyło, że Klopper uważał Davida Loxtona za zbędnego; do tej pory nie było odpowiedzi na ich żądanie okupu, ani słówka.

Czarna twarz spikera wypełniła ekran.

- Oto serwis informacyjny Ludowej Agencji Telewizyjnej w Harare. Dzisiejszy dzień jest wigilią wielkiego, historycznego wydarzenia - jutro rano nastąpi uroczyste otwarcie nowego gmachu parlamentu. Ceremonii dokona prezydent, Robert Mugabe. Ta wspaniała budowla, zaprojektowana przez izraelskiego architekta, Davida Isaaca, została zbudowana przez zimbabweńskie konsorcjum, którym kierował doktor Max Loxton. Pierwsza debata w nowej siedzibie parlamentu będzie dotyczyła sytuacji w RPA oraz nadmiernego zużycia środków medycznych spowodowanego przez pandemię AIDS.

Max pociągnął łyk whisky. Nie lubił myśleć o gmachu parlamentu - wszystko wykonano zbyt szybko, żeby zapewnić standard pierwszej klasy. Ale gdyby zwolnili tempo, straciłby kontrakt, a rozpaczliwie potrzebował pieniędzy.

Dosłyszał kolejne słowa spikera i pochylił się w nerwowym oczekiwaniu.

- W RPA kontynuuje się poszukiwania Davida Loxtona, ministra sprawiedliwości, który został porwany ze swojego domu w niedzielę wieczorem pomimo licznej ochrony. Przeszukuje się całe terytorium RPA. W dzisiejszym płomiennym przemówieniu prezydent, pan Klopper, poprzysiął, że nie spocznie, dopóki Loxton nie zostanie odnaleziony.

Po chwili ciszy spiker kontynuował:

- Także dzisiaj, w RPA, znany działacz i bojownik o wolność, George Zwane, skazany przeszło rok temu na śmierć za zastrzelenie Kobusa van der Posta, uciekł w czasie przewożenia go z więzienia Pretoria Central.

Jego ciało znaleziono na dnie górskiego potoku, w parowie, na terenach Wschodniego Transwalu. Prawdopodobnie spadł ze skały...

Niemal odruchowo Max pochylił się i wyłączył telewizor. Wszystko na nic. George, o Boże, George!

Przypomniał sobie młodego studenta prawa, z którym trenował, długie lata przyjaźni, wspólne ideały i cele. Przypomniał sobie ich ostatnie spotkanie przed szpitalem w Francistown. Może powinien był pogadać z nim dłużej, spróbować go przekonać. Już nigdy nie będzie rozmów. Została tylko pustka.

Rozmyślał o swojej wizycie na miejscu zbrodni w Johannesburgu, w parę miesięcy po fackie, kiedy śledztwo policyjne w sprawie śmierci Kobusa było prawie zakończone. Stał na schodach biblioteki, na miejscu gdzie ustawiono mównicę, i spojrzał na dach budynku, z którego George oddał te trzy strzały. I od razu pojął, że coś było nie tak. Pamiętał krew Kobusa na twarzy Victorii i kierunek, w którym Kobus upadł, rzucony przez pierwszy strzał. Kąty się nie zgadzały. Dziwne, że wcześniej o tym nie pomyślał, ale i on tak samo jak wszyscy uwierzył, że George Zwane był winny.

Następnie dokładnie przyjrzał się budynkowi, z którego ponoć strzelał George. Winda nie działała, więc wdrapał się po schodach na płaski dach. Blask słońca aż oślepiał. Na linie rozciągniętej od anteny telewizyjnej do budki z mechanizmem windy suszyło się kilka starych łańców. Na środku dachu widniał betonowy klocek - domek z metalowym dachem. Drzwi były otwarte, więc wszedł do środka. Nad prymusem stał starzec gotując wodę w menażce.

- Witaj, starcze.

Odezwał się po zulusku, gdyż dostrzegł, że stary pochodził z plemienia Zulu. Wyraz wrogości zniknął z twarzy Zulusa, zastąpiony przez uśmiech.

- Hau. Myślałem, że to policja.

- To stąd strzelano, prawda?

Max zauważył, że stary zeszywniał, postanowił więc potraktować go delikatniej.

- Starcze, czy mogę się napić z tobą herbaty?

Usiadł na chłodnej, betonowej podłodze, a gdy starzec przyniósł herbatę, wymienili swoje imiona.

- Czy długo tu mieszkasz, Salomonie?

- Będę tu mieszkał aż do śmierci, szefie. George Zwane obiecał, że nikt mnie nie wyrzuci, po tym co zaszło.

- Zawsze był dobrym człowiekiem.

Oczy starego zabłyśły.

- Znałeś go?

- Razem trenowaliśmy boks.

Był to dobry temat - Salomon interesował się boksem, więc całą godzinę o tym dyskutowali. Wtem, znienacka, stary skierował rozmowę z powrotem na George'a.

- „Był dobrym człowiekiem”. Dlaczego to powiedziałeś? - Przysunął się bliżej. Max wyczuł zapach tytoniu w jego oddechu. - Ufam ci, szefie. Tobie opowiem wszystko, ale musisz obiecać, że nigdy nie pójdziesz z tym na policję.

Max był zaskoczony. Tyle zaufania! I tak szybko!

Stary mógłby opowiedzieć mu coś, co zrujnowałoby jego życie.

- Kazał mi się wynieść - powiedział starzec. - Dał mi pieniądze. Oświadczył, że muszę pojechać do Natalu na kilka dni. Oczywiście, zgodziłem się. Ale coś mi kazało nie jechać. Wziąłem pieniądze i poszedłem do Sangoma.

To, co Sangoma dojrzał w kościach, przeraziło mnie i jego też. Zapewniał, że George to wielki bohater, ale że jego brat będzie jeszcze większy. Sangoma mówił dalej. Widział śmierć w kraju. Widział białą kobietę, wielki ból i straszną rozpacz. Udawała się daleko za wielkie morze. Sangoma przyglądał mi się. Był przestraszony. Wiedział potworne rzeczy. Powiedział, że muszę zostać, że muszę pilnować George'a. Przekonywał, że muszę czekać na znak, aż przyjdzie człowiek. Wtedy mam opowiedzieć mu wszystko. Ty, szefie, jesteś tym, o którym mówił. Więc tobie opowiem.

Stary usiadł wygodniej na podłodze i wyciągnął spod materaca fajkę. Nabił ją do pełna, zapalił i podał Maxowi. To był wielki zaszczyt - jako pierwszy zaciągnąć się fajką. Loxton poczuł dziwny, ostry zapach. Zaciągnął się mocno dymem, przetrzymał go w płucach jakby rzucając zaklęcie, po czym oddał fajkę starcowi.

- Tamtej nocy spałem u przyjaciela, szefie - kontynuował Salomon - ale następnej nocy wróciłem. Tam jest takie miejsce, na dziesiątym piętrze, koło zbiorników z gorącą wodą. Często tam sypiałem, no i wtedy też.

Obudziłem się rano i usłyszałem zgiełk... Wychyliłem się z okna i zobaczyłem, że cały plac jest pełen ludzi. Słyszałem o jakimś ważnym przemówieniu, ale w moim wieku, prawdę mówiąc, takie rzeczy nie są już ważne. Ostrożnie wszedłem na dach. George zamknął włącznik, ale ja miałem własny klucz. Otworzyłem zamek tak cichutko, jak mogłem. Dach był pusty. Zastanawiałem się, dokąd poszedł. Wtedy, kawałek dalej, usłyszałem szloch. Dochodził z tej budki na windę. Zdjąłem buty i podkradłem się na palcach. Tam z boku jest drabinka. Często wchodziłem na dach budki, żeby poleżeć w słońcu. Więc wtedy też wszedłem po tej drabinie i podczołgałem się do jednej ze szpar. On tam był, pode mną, i miał olbrzymią strzelbę na ramieniu. Spojrzałem na plac i zobaczyłem mężczyznę o szarych włosach, w błękitnym garniturze, jak wchodził na mównicę.

George go obserwował. Cały czas coś mruzczał, zupełnie jakby śpiewał: „Nie mogę tego zrobić, nie potrafię tego zrobić”. Opuścił strzelbę i ukrył twarz w dłoniach.

Widziałem, że w środku, w nim samym, wrze jakaś walka. Musiał walczyć z diabłem.

Max poprawił się na podłodze, a stary zaciągnął się dymem.

- Obu nas zaskoczyły te strzały. Ja mało nie spadłem, on upuścił broń, ale szybko ją podniósł. Wyrzwał przez szparę. Jakaś kobieta klęczała przy mężczyźnie, który leżał martwy. George jęknął: „Boże, mój Boże”.

Wtedy zniknął jak ptak. Zsunął się po ścianie budynku na cienkiej linie. Zostałem sam. Bardzo się ucieszyłem, że posłuchałem Sangoma.

W końcu Max odezwał się:

- Nie zdradzę twojego sekretu nikomu.

Salomon uścisnął mu rękę.

- To nie wszystko. Muszę ci powiedzieć. Sangoma kazał przekazać człowiekowi, którego miałem spotkać - tobie - żeby się wystrzegał chmury. Jest zła, zniszczy cię. - Salomon przysunął się bliżej i patrzył mu w oczy. - Czy ocalałem duszę George'a?

- Tak, a nawet zrobiłeś więcej - zapewnił go Max. - Zrobiłeś o wiele więcej, niż będziesz w stanie zrozumieć. Dziękuję ci.

Max pamiętał tę cichą rozpacz, którą poczuł opuszczając budynek. Skoro nie był to George, kto zatem zabił Kobusa? Nic nie powiedział Victorii - wtedy już była w Londynie - gdyż z pewnością byłoby to dla niej okropne. Ciągle myślała o śmierci Kobusa, a niedługo miała urodzić dziecko.

A teraz, z powodu tego co kiedyś usłyszał od Salomona, siedział w Harare porwawszy własnego ojca. Ale George już nie żył, więc Max nie mógł wymienić go na Davida. Jeniec był bezużyteczny. Nagle przyszło mu na myśl, że nigdy by się nie władował w cały ten burdel, gdyby była przy nim Saffron...

Może powinien zabić Davida. Nie, nie mógłby zabić własnego ojca, bez względu na to, jak bardzo go nienawdził. Najlepiej przekazać Loxtona władzom Zimbabwe, a oni zapewne oddadzą go RPA.

Nalał sobie kolejnego drinka. Zawiódł George'a. Obiecał sobie, że go z tego wyciągnie. Zawiódł też Kobusa.

I Okavango. A na dodatek zniszczył to, co było między nim a Saffron. Co się z nim, do diabła, dzieje?

Do pokoju wszedł Gumsa. Temu ufał bardziej niż komukolwiek, bardziej nawet niż Saffron.

- Kaikhoe... - cicho zaczął stary. Popatrzył na kieliszek w rękę Maxa. - Ta trucizna cię zabije - stwierdził.

- Gumsa, stary przyjacielu, przegraliśmy z Klopperem. George zginął dzisiaj przy próbie ucieczki.

- Jak zginął?

- Nie wiem i mam to gdzieś. Musimy wypuścić tego skurwiela, mojego tatusia.

W oczach Gumsy pojawiła się gorycz, ale Max wiedział, że Buszmen nie chce mieć śmierci Davida na swoim sumieniu.

- Kaikhoe - ciągnął Gumsa - twój ojciec opowiedział mi pewną historię. Nie wiem, czy jest prawdziwa. Ma związek z otwarciem nowego gmachu parlamentu.

- Jak, do cholery, dowiedział się, gdzie jest? Wróć, Gumsa, i weź go na spytki. Ja stanę za drzwiami.

Stojąc w korytarzu Max słyszał całą rozmowę wyraźnie.

- Czy mógłby pan dokładniej wyjaśnić, co pana niepokoi?

- Nie mogę podać szczegółów, ale musimy się stąd zabierać i to szybko.

- Będę z panem szczerzy - powiedział Gumsa. - Owszem, jesteśmy w stolicy Zimbabwe, Harare. Dziś jeszcze przekazemy pana władzom.

- Co dziś mamy?

- Poniedziałek.

Zapadła długa cisza. W końcu Gumsa wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Max wzruszył ramionami.

- Po prostu próbował szczęścia, to wszystko. Z pewnością nie ma to żadnego znaczenia.

*

David, zupełnie zesztywniały z przerażenia, leżał na tapczanie. Kiedy budynek parlamentu runie, on będzie w rękach władz Zimbabwe. Trochę za dużo tych zbiegów okoliczności - akurat musiał być w Harare w tym czasie - potraktują go jako głównego podejrzanego.

Nie ma wątpliwości - będzie wisiał.

Podjął decyzję. Wiedział, co musi zrobić. Podeszedł do drzwi i zaczął bębnić w nie pięściami.

Nikt nie przyszedł. Wrzasnął raz i drugi, ale dalej nic.

Dlaczego nie powiedział im wcześniej! Może już zdążyli uzgodnić z policją termin przekazania go w ich ręce?

Nie pamiętał, kiedy w końcu dał za wygraną. Przestał krzyczeć i zapadł w sen, ale następną rzeczą jaką zobaczył, był Buszmen stojący na środku pokoju.

- Jak się pan miewa?

- Która godzina?

- Ósma trzydzieści rano. Czas, żeby pana przekazać.

- Nie, do ciężkiej cholery, słuchaj! Ten nowy gmach parlamentu runie podczas dzisiejszej sesji otwarcia. Mój syn nadzorował roboty, więc jeśli znajdę się w rękach władz, z pewnością mnie o to oskarżą. Nie rozumiesz? Zabiją mnie, do cholery!

David aż się trząśł z wściekłości, gdy Buszmen bez słowa opuścił pokój. Nie uwierzył mu! Nagle usłyszał jakiś hałas, odwrócił się i zobaczył Maxa wpadającego do pokoju.

- Max! Jak mnie tu odnalazłeś?

Max zimno patrzył na ojca pobladłego z szoku.

- Nie znalazłem cię, tylko porwałem! Twoje życie za życie George'a Zwane - taki miał być układ. Ale Klopper ma cię gdzieś, a George nie żyje, więc przekażę cię władzom Zimbabwe.

- Nie, na miłość boską, nie! Max! Twój budynek się zawali!

- Zdurniałeś zupełnie!

- Max, jeden z naszych agentów ukrył materiały wybuchowe głęboko w betonie we wszystkich kluczowych dla konstrukcji punktach. W chwili gdy ogłoszą otwarcie parlamentu, budynek się zawali. Będzie to wyglądało na wypadek spowodowany błędami popełnionymi przy budowie.

Max skoczył ku ojcu i wolno zaciskał mu ręce na szyi. Potem uderzył go w żołądek i w twarz. Tracił panowanie nad sobą, nie potrafił dłużej kontrolować wściekłości. Oprzytomniał dopiero wówczas, gdy zakrwawiona masa osunęła się na podłogę.

- Ale dlaczego? Dlaczego?

David wstał z trudem.

- Aby zniszczyć ten rząd. Od dłuższego czasu popieramy rebelię plemion Matabele; więc kiedy parlament się zawali, oni dokonają zamachu stanu i przechwycą władzę.

- Kim jest ten agent? Kiedy zamierza detonować ładunki?

- Dlaczego miałbym ci to powiedzieć? Zamierzasz przekazać mnie władzom. Jestem pewny, że mnie powieszają, kiedy gmach runie. A nawet gdybym uciekł, Klopper dowie się, że zdradziłem.

- Kłamiesz!

- Słuchaj no, Max, chcemy mieć tu nowy rząd, a więc zamierzamy pozbyć się starego. Tak jak pozbyliśmy się van der Posta.

- Nie wierzę.

- Zwane nawalił; stracił nerwy w ostatnim momencie, więc nasz człowiek zastrzelił Kobusa, a Zwane został kozłem ofiarnym. Teraz mi wierzysz?

Max poczuł, że świat dookoła rozpada się na drobne kawałki. Szukał bardziej skomplikowanego wyjaśnienia, a tymczasem cała sprawa była oszałamiająco prosta. Nigdy tak naprawdę nie wiedział, jak bezlitosny może być jego ojciec. Teraz wszystkie kawałki zaczęły do siebie pasować. Dla facetów takich jak ojciec, życie ludzkie było tanie. Nie istniały dla nich żadne zasady moralne. Nagle słowa ojca zaczęły brzmieć prawdziwie.

- Ty i te twoje głupkowate ideały - ciągnął David. - Van der Post zniszczyłby kraj. Popatrz, co ci durnie robią w Zimbabwie.

Max przyparł ojca do ściany i przytrzymał jego twarz tuż przy swojej.

- Ty gnoju, zapłacisz za to! Czy wiesz, co zrobiłeś Victorii? Była wtedy w ciąży z Kobusem!

- Wiedzieliśmy, że mieli ze sobą romans, ale nikt nie spodziewał się ciąży. To był zupełny szok!

Max poczuł, że w końcu wytrzeźwiał.

- Jest dziewiąta rano - powiedział. - Ile mamy czasu?

- Budynek runie, kiedy wszyscy posłowie się zbiorą.

- Zgadzasz się wypuścić mnie natychmiast i trzymać język za zębami?

- Tak. I niech cię diabli wezmą!

- No, to wszystko gra. Detonacji dokona się za pomocą sygnału radiowego. Nasz człowiek będzie przy otwarciu, jako niby reporter jakiegoś niemieckiego czasopisma. A teraz niech Gumsa odwiezie mnie do granicy.

- I spieprzaj z mojego życia, skurwielu!

4

Amerykańska ekipa telewizyjna pospiesznie wyskakiwała z autobusu - już byli spóźnieni. Clark Allan, weteran dziennikarstwa politycznego, miał prowadzić relację na żywo z ceremonii otwarcia. Krępy, energiczny facet, uwielbiał znajdować się tam, gdzie coś się działo, a otwarcie nowego gmachu parlamentu z pewnością będzie okazją do wygłoszenia kilku ognistych przemówień. Wiedział, że Zimbabwe zamierza zaostrzyć swoją politykę wobec RPA, więc usłyszy się wezwania do udzielenia Zimbabwie pomocy militarnej i podwyższenia sankcji. Niczym doświadczony rumak bojowy wyczuwał w powietrzu nadchodzącą bitwę.

Pogrzebał we wszystkich kieszeniach w poszukiwaniu papierosów i zaklął pod nosem. Zostawił je w hotelu. Myśl o przetrwaniu czterech godzin bez jednego choćby dymka była nie do zniesienia. Odłączył się od grupy i pognął na drugą stronę ruchliwej ulicy do kawiarni na rogu, gdzie kupił dwie paczki - utrzymają go przy życiu do wieczora.

Drzwi kawiarni były ostatnią rzeczą, którą Clark Allan pamiętał, bo w momencie kiedy wychodził, kolba pistoletu Maxa spadła mu na głowę. Wciągając dziennikarza w zaułek Max wymacał w jego kieszeni akredytację prasową, więc szybko zalepił Allanowi usta taśmą, wpechnął go do swojego samochodu i zamknął drzwi. Przedostanie się do środka parlamentu z kartą identyfikacyjną Allana w ręku będzie dziecinnie proste.

Już dawno tak się nie pomylił.

Max machnął kartą przed nosem jednemu ze strażników, który jednak przyjrzał się uważnie i gestem kazał mu stanąć z boku. Podczas gdy jakiś facet sprawdzał nazwisko na liście, strażnik trzymał odbezpieczony karabin wycelowany prosto w głowę Maxa.

- Obawiam się, panie Allan, że mamy tu zbyt wielu dziennikarzy. Nie możemy pana wypuścić.

- Rany boskie! Ależ moja ekipa jest już w środku! - wymamrotał Max z tak bardzo amerykańskim akcentem, na jaki go było stać.

Zbiło to strażnika z tropu.

- Powinni mnie uprzedzić, że jest pan z nimi. No dobrze, proszę do budki tam na rogu. Musimy pana przeszukać, zanim pan wejdzie.

Max poczuł, jak pot cieknie mu po plecach. Za paskiem miał browninga, a w kieszeniach dodatkowe taśmy z nabojami. Niczym człowiek zmierzający na szafot poczłapał w kierunku budki, gdzie czekał na niego inny strażnik.

Max zagadał do niego w języku shona. Zdziwiony strażnik spojrzał na niego, uśmiechnął się, ale zaraz potem cofnął znalazłszy broń. Max pozwolił mu wyciągnąć browninga i wtedy dopiero wymierzył mocny prawy sierpowy, który rzucił mężczyznę na podłogę.

Począł chwilę, aż usłyszał pytanie drugiego strażnika czy wszystko w porządku. Odkrzyknął coś w shona i odetchnął z ulgą usłyszawszy spokojną odpowiedź.

Na razie nieźle. Max wyszedł z budki - miał nadzieję, że zdecydowany rytm kroków zagłuszy łomot serca. Zerknął na zegarek. Już po dziesiątej, czasu nie było za wiele. Strażnik gestem wskazał mu drogę po schodach.

Ludzi było całe mrowie. Wszędzie dookoła widział zimbabweńskich dygnitarzy, nawet kilku znajomych z widzenia, którzy, na szczęście, nie poznali go. Ciekawe jak miał znaleźć niemieckiego dziennikarza w tłumie. Szanse niemal zerowe.

Nagle na parterze rozległ się krzyk i usłyszał tupot kroków biegnącego po schodach strażnika. Kurwa! Teraz to się dopiero wpakował.

Wtedy coś mu błysnęło w głowie - już dokładnie wiedział, co zrobić. Powróciły wspomnienia szkolnych lekcji niemieckiego.

- Die Bombe! Die Bombe!

Wrzasnął to głośno. Jego oczy przeczesywały tłum i wyłoniły błysk blond czupryny.

Wyciągnął broń i okręcił się dookoła. Dostrzegł zaskoczenie na twarzy faceta. Mężczyzna rzucił się do ucieczki, szukając czegoś pod kurtką. Max domyślił się, że tym czymś jest detonator.

Znał budynek od piwnic aż po dach, wiedział więc, dokąd facet biegnie - do wyjścia awaryjnego. W pogoni za nim zaczął się przeciskać między przerażonymi ludźmi.

Teraz na górę. Spływał potem. Ciężko stawiał kroki, a metalowe schody grzmiały pod jego stopami. Biegł wyżej i wyżej.

Nagle usłyszał suchy trzask i kula szarpnęła mu lewą rękę. Poczuł, że spada ze schodów. Kolejny strzał drasnął go w ramię. Uniósł browninga, dwukrotnie wypalił, po czym znowu rzucił się w górę.

Już byli na dachu. Niemiec klęczał w rogu. Podświadomość podsunęła Maxowi obrazy szkolenia wojskowego; jak turlał się szybko, gdy wokół gwizdały kule.

Łzy ciekły mu z oczu, kurczowo chwycił oddech. Przypadkiem zerknął w dół przez okienko w dachu - budynek był pełen ludzi.

Cholera! Ten parszywy Niemiec miał w łapie detonator. Nie było chwili do stracenia.

W górę, rozkrok, broń, cel, strzał.

Niemiec zaczął się podnosić...

Przyciskał spust raz za razem... Cisza.

Chwiejnie podszedł do zakrwawionego ciała i wyrwał z ręki trupa detonator. Rozbił kolbą plastikowy nadajnik.

Wtedy wrócił do rzeczywistości - poczuł chłód karabinu na szyi.

- Nie ruszać się! Jesteś aresztowany.

Lufa karabinu była wycelowana dokładnie w jego głowę, a oczy wzierające z czarnej twarzy nie patrzyły przyjaźnie. Karabin poruszył się w geście nakazującym mu wstać. Wolno

podniósł się i zaczął rozważać, czy ma jakiegokolwiek szanse uciec. Strażnik cofnął się. Trzymał broń w sposób sugerujący, że już jej kiedyś używał.

- Idź przede mną, wolno, ręce na głowę.

Max zrobił, co mu kazano. Duma i zadowolenie z powstrzymania Niemca nagle rozwiały się zupełnie. Tkwił w kłopotach po uszy i zapewne wszyscy będą mieli to w dupie.

*

Generał Jurie Smit zasiadł przed telewizorem w klimatyzowanym, komfortowym, podziemnym bunkrze. Kolorowy obraz pokazywał wnętrze parlamentu w Zimbabwie. Speaker już zajął swoje miejsce. Generał zerknął na zegarek - cztery po jedenastej. Parlament był pełny, a tu nic się nie działo.

Czyżby ktoś spieprzył zakładanie ładunków? Przeszło mu przez głowę, że zaginiony David Loxton mógł mieć z tym coś wspólnego, ale nie potrafił znaleźć przyczyny.

Wszędzie dookoła, na granicy między Zimbabwie a RPA, zgromadzono największą ilość wojska w historii kraju.

Żołnierze sądzili, że chodzi tu o manewry. Jedynie generał i mała grupka jego adiutantów wiedzieli, że mają wspomagać rebelię w Zimbabwie. Zgodnie z wyliczeniami Smita, rebelianci powinni kontrolować całe terytorium państwa już pod koniec dnia, ale zależne to było od zniszczenia parlamentu w Harare i śmierci większości dotychczasowych przywódców - a tu wygląda, że nic takiego się nie stanie.

Generał podniósł słuchawkę. Czerwona linia - bezpośrednie połączenie z prezydentem.

- Jurie... Co się tam dzieje?

Stężał słysząc napastliwość w głosie Dolpha Kloppera. Odpowiadał powoli, wiedząc że będzie musiał rozczarować człowieka, który był jego szefem i przyjacielem.

- Nie wiem, stary. Może nawaliły ładunki. Chociaż mam przeczucie, że jest inne wytłumaczenie.

- Jakie?

- Loxton.

- To był jego pomysł, nigdy by się nie wygadał.

- Nawet żeby ocalić skórę?

- Ja, to możliwe, Jurie. Co robimy?

- Jeżeli nie będzie żadnych zamieszek i bałaganu, rebelianci nie mogą przystąpić do akcji, bo równałoby się to samobójstwu. A jeżeli my zaczniemy, daję głowę, że nastąpi interwencja międzynarodowa.

- Musisz zaatakować!

- Dolph, nie możemy narażać się USA ani, co gorsza, ZSRR. Nie mielibyśmy żadnych szans. Jedynym wyjściem jest wycofanie się. Niestety.

Po drugiej stronie zapadła głucha cisza.

- Szlag by to trafił! - warknął Klopper. - Cholera! Niestety.

*

Hanli siedziała w gabinecie Davida i przyglądała się policjantom w ogrodzie. Cały dom był pełen ludzi ze służb bezpieczeństwa. Odbierało jej to odwagę. Była tak zmartwiona, że nie mogła spać. Nic nie wskazywało na to, by mieli odnaleźć Davida, a napływ olbrzymiej liczby rachunków uświadomił jej, że musi się sama wziąć za sprawy finansowe. Oczywiście, David miał księgowych w firmie, ale nie zajmowali się jego prywatnymi wydatkami.

Siedziała przy biurku studiując księgi i rachunki, żeby się zorientować, co należy zapłacić i gdzie. Nigdy nie zdawała sobie sprawy, do ilu klubów i organizacji należał mąż. Jeden rachunek martwił ją szczególnie - olbrzymia suma należna Prester John. Miesięczna składka członkowska nie była tak wysoka ani kolacje nazbyt kosztowne, ale na rachunku figurowała kwota tysiąca randów za każdy miesiąc, łącznie osiem. Z pewnością obarczają Davida zbyt dużymi kosztami, była tego pewna. Znalazła numer telefonu księgowości w klubie i zadzwoniła.

- Mówi Hanli Loxton. Właśnie sprawdzam rachunki męża za październik i mam tu jakieś niewyszczególnione pozycje, o które chciałabym zapytać.

- Czy może pani chwilę poczekać, pani Loxton? Znajdę tylko pani męża na komputerze.

Usłyszała dźwięk wciskanych klawiszy.

- Pani Loxton? Chodzi o te osiem razy po tysiącu?

- Tak.

- Mogę tylko powiedzieć, że rachunek jest prawidłowy.

- Ale za co to?

- Prawdopodobnie drinki lub posiłki, pani Loxton.

- Ależ to powinno być wyszczególnione, a nie jest. Żądam wyjaśnień!

- Bardzo mi przykro, pani Loxton, ale musi pani porozmawiać z kierownictwem lokalu.

Teraz była już naprawdę wkurzona. Chyba sobie kpią! Ponownie uniosła słuchawkę.

- Z kierownikiem proszę.

- Kierowniczką, złotko. Słucham.

- Chodzi o rachunek mojego męża.

- A któż to taki?

- David Loxton.

- O la la! - Hanli natychmiast wyczuła zmianę w nastawieniu kobiety. - Pani Loxton - stwierdziła kierowniczką - bardzo żałuję, żeśmy się nigdy nie spotkały. Czy z mężem wszystko w porządku? Słyszałam tę okropną wiadomość.

- Policja robi wszystko, aby go odnaleźć, dziękuję. Ale wracajmy do tych rachunków.

- Coś nie gra?

- Owszem. A ludzie z księgowości byli bardzo nieuprzejmi.

- Bardzo mi przykro, pani Loxton, ale chyba nie mam rachunku pani męża pod ręką.

- Nie o to chodzi! Podejrzewam, że obciążacie go o wiele za dużymi płatnościami!

- Pani mąż jest właścicielem klubu, pani Loxton, i nie w moim interesie jest oszukiwanie go.

- Żądam wyjaśnień do jutra albo dopilnuję, żeby panią wylano!

Hanli, kipiąca gniewem, rzuciła słuchawkę. Wkurzył ją ten ton wyższości w głosie kobiety.

Po południu zaprosiła parę koleżanek na herbatę.

Nie wolno było jej opuszczać domu, chyba że z eskortą policyjną, więc wolała zapraszać przyjaciółki do siebie, chociaż wszystkich dokładnie przeszukiwano, zanim zostali wypuszczeni na teren rezydencji. Po herbacie Hanli wspomniała o problemach, jakie miała z rachunkami Davida z Prester John, i bardzo ją zaskoczył wybuch śmiechu jednej z koleżanek.

- Wiesz, Angelo, nie widzę w tym nic śmiesznego.

- Nie wyszczególnione wydatki! - Oczy Angeli, pulchnej, ponętnej blondynki, zabłyśły. - Jeżeli naprawdę chcesz wiedzieć, to ci powiem. Kiedy studiowałam na uniwersytecie, w Pretorii, ktoś mi powiedział, że mogę zarobić sporo forsy pracując w Prester John, więc tak też zrobiłam.

- I?

- Nie zarabia się dużo w Prester John jedynie roznosząc drinki.

Wszystkie kobiety patrzyły na nią zmieszane.

- Co ty sugerujesz?

- Nic, Hanli, zupełnie nic.

*

Kierowca ciężarówki wyrzucił Davida na skrzyżowaniu, pół kilometra od domu. Loxton spragniony, głodny i wycieńczony, dotarł do murów rezydencji kompletnie bez sił.

Zastąpił mu drogę policjant.

- Ani kroku dalej!

- Uważaj, co mówisz!

Mężczyzna odsunął się.

- Pan Loxton! Sir, nie rozpoznałem pana!

- Zawieź mnie do domu, durniu!

*

Hanli wyczuła dziwne podniecenie. Miała już tego powyżej dziurek w nosie. Nagle zewsząd zaczęli się zbiegać agenci w cywilu. W oddali zawyły syreny, a na podjeździe dał się słyszeć ryk samochodu. Dosyć tego!

I właśnie wtedy przez drzwi frontowe wszedł David i już była w jego ramionach, szlochając i płacząc.

- Mój Boże, kochanie, nic ci się nie stało?

- No, uspokój się, Hanli, wszystko w porządku.

- Nie zrobili ci nic złego?

- Kilka siniaków, nic, czego czas by nie uleczył.

- Ale co się stało?

- Porwali mnie. Nie wiem kto, bo posłużyli się pośrednikami. Na szczęście przysnęli i udało mi się uciec.

Gładziła go po szramach i sińcach, podczas gdy on dzwonił do Dolpha Kloppera. Rozmowa była nieco nerwowa; David odłożył słuchawkę po paru minutach.

Hanli z niedowierzaniem patrzyła na niego.

- Nie ucieszył się, że wszystko z tobą okay?

- Tak. Ale jest parę innych problemów.

- Problemów?

- Nic, co mogłoby trapić twoją śliczną główkę. To sprawy państwowe. Po prostu coś nie wypaliło.

David opuścił Hanli na pół godziny i złożył zeznanie policji. Odmówił jakichkolwiek rozmów z prasą aż do następnego dnia, tłumacząc się zmęczeniem i potrzebą odpoczynku. Później dołączył do Hanli w salonie, w samą porę na wiadomości o szóstej.

- Otrzymaliśmy właśnie informację, że David Loxton, minister sprawiedliwości, uważany za porwanego, zdołał wymknąć się kidnaperom. Jest już w domu i wraca do zdrowia po wstrząsie. Dalsze informacje prześlemy państwu w serwisie o ósmej.

Harare. Korzystając z zamieszania wywołanego otwarciem nowego gmachu parlamentu, uzbrojony Południowoafrykańczyk wdarł się do środka pomimo obecności strażników i zastrzelił niemieckiego dziennikarza. Nazwiska obu mężczyzn nie zostały na razie podane do wiadomości publicznej.

David wyłączył telewizor i tępo patrzył przed siebie.

Jeżeli Dolph dowie się, że to on zdradził Maxowi plan wysadzenia parlamentu, jego kariera polityczna będzie skończona. Ale Max zawsze dotrzymywał słowa, więc i tym razem będzie honorował warunki umowy. Ciągłe nie mógł przeboleć, że został porwany przez własnego syna, a pomysł wymienienia na tego czarnego terrorystę napęłniał go obrzydzeniem.

Jego „ucieczka” była raczej łatwa. Złapał autobus do punktu niedaleko Beitbridge, miasteczka na granicy między RPA i Zimbabwe, a ponieważ nie posiadał paszportu, musiał przepłynąć rzekę Limpopo.

Myśli Davida przerwał dzwonek telefonu. Hanli podała mu słuchawkę.

- To znowu Dolph Klopper.

- Dzięki. Ale pogadam z nim na osobności.

Wszedł do gabinetu i zamknął drzwi.

- Davidzie - zahuczało w słuchawce - chciałbym tylko zapytać, gdzie cię przetrzymywali?

Mimo zmęczenia David wyczuł niebezpieczeństwo.

Wywiad już działał. Może policja odnalazła kierowcę ciężarówki, który go podrzucił z Beitbridge do Johannesburga. Dolph go sprawdzał, więc lepiej będzie prowadzić pseudootwartą grę.

- Gdzieś w Harare - odpowiedział.

- To okropne - stwierdził Dolph - że parlament w Harare wciąż stoi. Dowiedziałem się, że na dachu odbyła się jakaś strzelanina i obawiam się, że jednak nie opowiedziałeś mi wszystkiego, Davidzie.

- A nie przyszło ci do głowy, stary, że może po prostu ładunki nawaliły?

- No to co to za faceci, których złapali? Hurst doniósł, że ten jego Niemiec został zastrzelony.

- Słuchaj, Dolph, cała ta operacja była moim pomysłem.

- Ja?

- No to chyba nie bardzo chciałbym zniszczyć pół roku własnej roboty, co?

Po drugiej stronie zapadła cisza. Najwyraźniej jego słowa trafiły Dolphowi do przekonania.

- W porządku, przyjacielu - powiedział Dolph. - Teraz powinienes odpocząć.

David z westchnieniem ulgi odłożył słuchawkę. Teraz będzie miał czas na sklecenie ślicznej historyjki dla prasy i telewizji.

Wrócił do salonu. Hanli przyniosła mu filiżankę kawy.

- David - zaczęła - kiedy cię nie było, musiałam zająć się twoimi finansami.

Już miał zamiar ostro zareagować, ale coś kazało mu uważać.

- Dziękuję, skarbie - powiedział. - Czy wszystko w porządku?

- Zdaje się, że w Prester John obciążają cię za dużymi kosztami. Mają kilka olbrzymich rachunków, z których nie umieją się wytłumaczyć.

David uśmiechnął się. A więc o to chodziło. Na wszelkie tego typu przypadki już od lat miał przygotowaną historyjkę. Chociaż ludzie z klubu umieli trzymać język za zębami, w pewnych kręgach Loxton miał ustaloną reputację. Lepiej opowiedzieć kilka półprawd niż same kłamstwa.

- Widzisz, Hanli, są sprawy, o których ci nigdy nie opowiadałem - zaczął.

Zauważył, że drgnęła. To dobrze; przygotowana na coś okropnego, przełknie tę historię z ulgą.

- W przemyśle zbrojeniowym - ciągnął - mam wielu klientów, z którymi muszę utrzymywać bardzo dobre stosunki. Niekiedy lubią sobie pojechać na weekend na moje rancho zapolować na grubego zwierza, niektórzy preferują hazard lub dobre trunki, są jeszcze tacy, którzy domagają się innych rozrywek - na przykład kobiet. Wtedy zabieram ich do Prester John, bo jest to klub prywatny, a kobiety śliczne i dyskretne. Tacy klienci odjeżdżają zadowoleni, a interesy z nimi idą gładko i bezboleśnie.

Hanli zarzuciła mu rękę na szyję.

- Skarbie, strasznie mi przykro, że byłam taka podejrzliwa!

- W porządku, kochanie, to zupełnie zrozumiałe.

*

W hallu było przeraźliwie zimno, więc Victoria podchodząc do telefonu otuliła się szlafrokiem. Właśnie jadły śniadanie w cieplarni, w domu przy South Kensington.

Dziecko było na górze i jeszcze smacznie spało.

Dzwonił Ken Silke z Johannesburga. Victoria nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. Ken powiedział, że właśnie zadzwonił do niego Max. Aresztowali go w Harare i będą sędzić za morderstwo.

- Nie ma zbyt wielu szans, Vicky. Przyjedź, proszę, potrzebuję cię jako świadka.

Odłożyła słuchawkę i wróciła do siostry. Był cudowny, zimowy dzień, śnieg pokrywający ogród skrzył się w słońcu. Jeszcze parę minut wcześniej myślała o tym, jak przepięknie to wygląda. Teraz widok z okna wydawał się nieprawdziwy, niepotrzebny, bez znaczenia.

Lucinda uniosła głowę.

- Co się stało, Vicky?

- O Boże, Lucindo, to Max...

Kiedy opowiedziała jej o wszystkim, czego się dowiedziała, Lucinda oznajmiła:

- Zajmę się Kobusem. Musisz jechać, musisz.

Pokojówka przyniosła poranne dzienniki. Na pierwszej stronie „Timesa” widniała fotografia Maxa i artykuł: „Szalony Max zastrzelił niewinnego dziennikarza”

Victoria głośno przeczytała nagłówek, a potem w milczeniu pochłonęła artykuł. W miarę czytania ogarniała ją coraz większa złość. Ale dopiero ostatnie zdanie dźgnęło ją jak ostroga. Mówiło, że Max Loxton będzie miał uczciwy proces, ale i tak z pewnością zapłaci głową za tę zbrodnię.

- Nie wierzę - wyjąkała Lucinda czytając jej przez ramię. - Po prostu nie wierzę.

Victoria wbiegła po schodach do pokoju i w pośpiechu zaczęła pakować rzeczy. Nie było czasu do stracenia. Musiała dostać się do Harare tak szybko, jak tylko można i wykryć, co się tam naprawdę wydarzyło. Nie dlatego, że prawda mogłaby mieć jakikolwiek wpływ na przewód sądowy. W końcu Max nie mógł znaleźć lepszego adwokata niż Ken Silke.

Zadzwoiła do Kena i powiedziała, że przyjedzie do Harare najszybciej, jak tylko będzie mogła. Za godzinę już odjeżdżała taksówką. Lucinda z ukochanym malcem stała na schodach i machała na pożegnanie.

*

Ken Silke, który właśnie wyjeżdżał do Harare z Johannesburga, nie powiedział Victorii, co naprawdę sądził. Tym razem Max wpadł po uszy i praktycznie nie było szansy na wyciągnięcie go z tego.

*

Saffron popatrzyła przez kamerę, a potem zwróciła się do swojego asystenta:

- Złotko, i ty mi mówisz, że to jest dobre oświetlenie? Podobno jesteś najlepszy, więc mi to udowodnij.

Mężczyzna poczerwieniał, a ona wypadła z planu jak burza. Siedzieli w plenerze, w Szkocji. Zamek nad jeziorem skrywały mgły, a drobna mżawka pokryła wilgocią cały sprzęt. Z olbrzymich reflektorów oświetlających plan unosiły się kłęby pary.

Podbiegł do niej jeden z gońców.

- Pani Packard, rozmowa międzynarodowa do pani, bardzo pilna.

Kiedy odkładała słuchawkę, z jej oczu płynęły łzy.

Asystent wszedł do pokoju.

- Już gotowe. Może by...

- Zostaw mnie samą, Ron.

Mocno oparła się o stół. Drżała na całym ciele. Dlaczego zostawiła go w Harare? Co, do cholery, najlepszego zrobiła? To brzmiało tak okropnie.

Poczuła czyjaś dłoń na ramieniu. Joe Morgan - jej producent filmowy.

- Złe wieści, kochanie?

- To Max. Ma okropne kłopoty.

- Wiem, dziecinko, czytałem w gazetach.

- Joe, muszę do niego pojechać, muszę.

*

Victoria poczuła dziwne wyrzuty sumienia z powodu radości, która ogarnęła ją, gdy samolot wylądował na lotnisku w Harare. Już rok minął, odkąd opuściła Afrykę, więc radość powrotu była oszałamiająca. Uderzył ją kontrast między mikroskopijnymi rozmiarami lotniska, a ogromem Heathrow. Wielki, nowoczesny samolot, którym przyleciała, jakoś nie pasował do tych malutkich budynków. W powietrzu czuło się aromat życia i energii. Dopiero teraz zrozumiała, jak bardzo tęskniła za Afryką.

Już chciała poprosić bagażowego o załadowanie jej walizek do którejś z rozklekotanych taksówek, kiedy usłyszała, że ktoś ją woła. Przez chwilę nie wiedziała kto, aż poczuła zapach egzotycznych perfum. Saffron wyglądała na okropnie przybitą. Długo się obejmowały. Z oczu Saffron płynęły łzy.

- Vicky, nie pozwalają mi go zobaczyć! Ken będzie dzisiaj znowu próbował...

Rozmowę przerwała oślepiająca lawina błysków. Jakiś podniecony amerykański dziennikarz rzucił się w ich kierunku z mikrofonem w rękę.

- Panno Loxton, czy domyśla się pani, dlaczego brat pragnął zamordować reportera „Sterna”?

Victoria ugryzła się w język. Nie chciała być nieuprzejma. Wiedziała, że będą potrzebowali wielu sprzymierzeńców, a prasa należała do najpotężniejszych.

- Uważam, że mój brat jest niewinny - odparła - i przyjechałam tutaj, aby to udowodnić.

Reporter przysunął się bliżej, szczęśliwy, że nadarzyła mu się okazja na świetny artykuł.

- Czy to prawda, że miała pani romans z Kobusem van der Postem, zanim George Zwane go zastrzelił i że prezydent jest ojcem pani dziecka?

Vicky zachwiała się - nie była przygotowana na takie pytanie.

- Tak. To prawda.

W ciszy, która tak nagle zapadła, Vicky wyraźnie słyszała szmer sunących po papierze długopisów. Dobra okazja, żeby odejść. Uśmiechnęła się do reporterów, a potem odwróciła i poszła za Saffron. Cóż, chyba nie będzie łatwo.

*

Naczelnik więzienia wiercił się niespokojnie na krześle i spuszczał wzrok. Spotkanie z siostrą doktora Loxtona, panną Loxton, i jego adwokatem, panem Silke, nie szło najlepiej. Przerazała go ta elegancka dama. Wszystkie jej pytania trafiały prosto w sedno i czuł się wręcz jak uczeń stawiany do kąta. Nie potrafił znaleźć żadnej wymówki, aby odmówić jej prawa zobaczenia brata.

Odpowiadając uśmiechnął się.

- Panno Loxton, proszę dać nam trochę czasu na rozważenie pani prośby.

W jej oczach dostrzegł płomień gniewu.

- Powiedział pan całemu światu, że proces będzie sprawiedliwy - parsknęła - a jednak nie pozwala pan członkom rodziny na widzenie. Dalej, nie pozwala pan na wizytę narzeczonej. Czy uważa go pan za winnego jeszcze przed procesem? Czy tak pan rozumie sprawiedliwość?

Co robić? Jeżeli nie weźmie jej słów pod uwagę, ona z pewnością poinformuje o tym prasę. Negatywna opinia gazet źle wpłynie na jego karierę. Z kolei zwierzchnicy kazali mu ograniczyć kontakty więźnia ze światem zewnętrznym tak bardzo, jak tylko można. Jednak nieudzielenie pannie Loxton zgody na widzenie oznaczało narażenie kariery, więc nie zamierzał tego robić.

Poza tym mówiono, że pójdzie mu z nią jak po maśle, a tymczasem razem z panem Silke byli najtwardszymi orzechami do zgryzienia, jakie napotkał w życiu.

- W porządku - oświadczył. - Może się pani z nim zobaczyć, panno Loxton. Tylko pani.

- A pani Packard?

- Nie!

Ken Silke zachichotał cichutko. Nie dawał Victorii zbyt wielu szans na zobaczenie się z Maxem, ale ostatecznie od przeszło roku z nią nie pracował. Zapomniał, jaka była dobra.

*

Victoria z trudem rozpoznała brata w tym wraku człowieka siedzącego naprzeciwko. Wiedziała o tym, że pił - Saffron wszystko jej opowiedziała, ale nawet biorąc pod uwagę alkoholizm, Max wyglądał okropnie.

Po raz pierwszy dostrzegła siwiznę na jego włosach.

Oczy miał zupełnie pozbawione życia.

Objęła go niezdarnie, skrepowana obecnością obserwującego ich uważnie strażnika. Z pewnością wszystko co powiedzą, zostanie przekazane wyżej.

- Dobrze się czujesz, Max?

- Nie zabili mnie - jak na razie.

Zdziwiła się, gdy charakterystyczny uśmiezek wykrzywił jego twarz.

- Dzięki, że przyjechałaś, Vicky. Zawsze ściagałaś prawdę do końca, co nie? Dzięki temu jesteś niepowszednim zjawiskiem w tych okolicach.

Victoria nerwowo zerknęła na faceta w rogu, ale Max wzruszył ramionami.

- Więcej prywatności nie będziemy mieli i tak - mruknął.

Dotknęła jego ręki. Była sucha, a paznokcie poobgryzane. Spojrzała w twarz, która zawsze wydawała się jej silna i pewna siebie. Taki właśnie Max obudził w niej wolę życia po śmierci Kobusa. Teraz w jego oczach widziała strach, a może nawet błyski szaleństwa. Chciała płakać, ale opanowała się. Nie wolno mu umrzeć.

Uścisnęła jego rękę.

- Max, obawiam się, że nie pozwolą Saffron zobaczyć się z tobą.

Na dźwięk jej imienia dostrzegła cień radości w przygaszonych oczach.

- Ja... Proszę - ujął ją za rękę - powiedz jej, że ją kocham.

- Max, jak się w to wpackowałeś?

- Odkryłem nareszcie prawdę. Widzisz, Vicky, George nie zabił Kobusa.

Victoria zacisnęła usta.

- Sam się oszukujesz, Max. A poza tym, George już nie żyje.

Strażnik z kąta zaczął się zbliżać. Max uderzył pięścią w stół.

- Odczep się, na miłość boską! - wrzasnął. - Przecież nigdzie się nie wybieram!

Victoria wyczuła w nim gwałtowny gniew, narastającą wściekłość. Strażnik wolno poczłapał z powrotem do swojego kąta.

Wtedy Max opowiedział jej całą historię, czasami gwałtownie gestykulując dla podkreślenia czegoś. Opisał, jak porwał Davida i jak tamci, oczywiście, zabili George'a, zanim cokolwiek dało się zrobić.

Victoria spuściła głowę. Jakże szaleńczo naiwny plan wymyślił jej braciszek! Jak okropnie się to wszystko skończyło. Ale w głębi serca poczuła głęboką ulgę.

George nie zawiódł jej, nie zawiódł też siebie samego.

Poczuła się winna, potwornie winna. Umierał samotnie, myśląc, że ona nienawidziła go za coś, czego nie zrobił.

Przez długą chwilę milczała, aż w końcu stwierdziła:

- W prasie nie ma o tym ani słowa.

- Zawarliśmy umowę, a ja zawsze dotrzymuję słowa. Ojciec zdradził mi plan zniszczenia parlamentu w Harare, a ja w zamian za to zwróciłem mu wolność i obiecałem milczeć.

- A więc on jest jedynym świadkiem, który może cię ocalić?

Max pochylił się.

- Vicky, ja go nienawidzę najbardziej na świecie i on mnie też. Nie kiwnie nawet małym palcem, żeby mnie uratować. Kto, do cholery, uwierzy w moją historię, nawet jeżeli ją opowiem? Czy sądzisz, że będą skorzy rozwalić budynek za pięćdziesiąt milionów dolarów, żeby znaleźć jakieś dowody, w których istnienie nie wierzą? - Zamyślił się. - Powinienem zabić tego skurwiela, kiedy miałem okazję - stwierdził.

- Musi być jakiś sposób.

- Obudź się ze snu!

Max już prawie krzyczał. Victoria była zadowolona - chciała obudzić w nim wojownika.

- Pogadam z ojcem - oznajmiła.

Max zrobił wielkie oczy.

- Marnujesz tylko czas - odparł. - Ci ludzie pragną mojej śmierci, a wszystkie dowody wskazują, że na nią zasłużyłem. - Objął ją i przytulił mocno, bez słowa.

Kiedy znowu przemówił, jego głos był ochrypły.

- Wyrok śmierci, to nieuniknione, wiesz o tym. Ale obiecaj mi jedno, że jak będzie już po wszystkim, to zaopiekujesz się Saffron.

- Obiecuję.

*

- To najbardziej niedorzeczna historia, jaką w życiu słyszałem, Victorio. Max chyba cierpi na halucynacje. - David Loxton wstał od biurka i podszedł do okna.

Victoria usiłowała zachować spokój, bo wiedziała, że David dojrzy błyskawicznie każdą słabość i bezlitośnie ją wykorzysta. Poprawiła się w fotelu i patrzyła na jego plecy. Mówiła wolno, dobitnie wymawiając każde słowo.

- Nie możesz pozwolić Maxowi umrzeć.

David odwrócił się i przechylił przez biurko, wymachując Victorii paluchem przed nosem.

- Słuchaj, ten skurwiel mnie porwał. Odciałyby mi rękę, żeby tylko dostać z powrotem Zwane. Pamiętasz George'a Zwane, „najlepszego przyjaciela” Maxa - tego mordercę, który z zimną krwią wykończył Kobusa? Zresztą uważam, że wy oboje powinniście dobierać sobie przyjaciół nieco staranniej.

Victoria wiedziała, że gdyby w tym momencie miała w ręku broń, zastrzełiłaby go na pewno.

- To ty zabiłeś Kobusa - zgrzytnęła zębami - a teraz zamierzasz przyglądać się, jak prowadzą Maxa na szubienicę.

Szeroki uśmiech rozjaśnił twarz Davida. Wrócił na swoje miejsce, oparł się wygodnie, założył ręce za głowę i przyglądał się jej z namysłem.

- Muszę przyznać szczerze - nigdy nie przypuszczałem, że Kobus ma w sobie aż tyle ikry, żeby zmajstrować syna.

Victoria poczuła obrzydzenie do tego odrażającego człowieka siedzącego naprzeciwko. Zbyła jego dowcip milczeniem.

- Więc pozwolisz Maxowi umrzeć?

- Z wyjątkiem wkroczenia do Zimbabwe na czele batalionu piechoty, nic nie mogę zrobić.

Spojrzała na niego zimno.

- Czy mógłbyś wyjaśnić, dlaczego Max cię wypuścił?

- Nie muszę odpowiadać na to pytanie.

- A co z żądaniem okupu wysłanym Klopperowi?

- Dolph nigdy nie otrzymał żadnego żądania. Tak jak mówiłem, Max żyje w okropnym napięciu, rozpił się straszliwie, a ta jego amerykańska dziewczuszka w której się zakochał, rzuciła go w diabły. Gdybym się znalazł w jego położeniu, też bym pewnie wymyślał niestworzone rzeczy. Z tym, że ja nigdy bym sobie nie pozwolił na znalezienie się w takiej sytuacji.

Victoria wstała, odgarnęła włosy z czoła i zamknęła aktówkę.

- Jesteś jedynym świadkiem, który może go ocalić - powiedziała. - Nie masz prawa skazać na śmierć swojego syna, odmawiając zeznawania w sądzie. Po prostu trzeba znaleźć coś, co cię do tego zmusi.

- Niemożliwe! - Wybuchnął śmiechem. - Wybacz, Victorio, mam napięty terminarz, a ty już mi zabrałaś czterdzieści pięć minut.

Gdy drzwi zamknęły się z trzaskiem, uśmiech nadal widniał na twarzy Davida Loxtona, uśmiech człowieka świadomego swej władzy nad innymi. Max i Vicky nie rozumieją podstawowych zasad sprawowania władzy, więc nigdy go nie pokonają. Zawsze nimi rządził i będzie rządził nadal. A tym razem wszystko było takie proste. Max nigdy nie złamie umowy, jaką zawarli, a nawet jeśli złamie, to i tak nikt mu nie uwierzy.

Dolph i Jurie odnosili się do niego bardzo podejrzliwie. Bez wątpienia wiedzieli, że to Max zabił Niemca, ale wiedzieli także, jak Max nienawidził ojca. Nigdy nie wpadną na właściwe rozwiązanie. Tak czy inaczej, wszelkie dowody znikną, bo Max na pewno powędruje na szubienicę.

David złapał za telefon i rzucił do słuchawki kilka zwięzłych rozkazów. Wszystko, co da się zrobić, aby pokrzyżować szyki obrońców Maxa, będzie dla niego korzystne.

*

O trzeciej trzydzięci po południu Victoria była już na lotnisku im. Jana Smutsa, miała więc mnóstwo czasu do odlotu samolotu do Harare o piątej. Wszystko szło gładko aż do kontroli paszportowej. Inspektor przyjrzał się uważnie paszportowi, a potem jej samej.

- Panno Loxton, jest pani na liście osób poszukiwanych. Nie mogę udzielić zezwolenia na wyjazd.

- To śmieszne!

- Proszę posłuchać - nie pojedzie pani nigdzie.

- Jestem kluczowym świadkiem w bardzo ważnym procesie zaczynającym się w poniedziałek. Muszę być w Harare. Żądam rozmowy z pańskim zwierzchnikiem.

Po dwóch godzinach bezowocnego użerania się, Victoria opuściła lotnisko i wróciła do Johannesburga.

Plakała. Życie Maxa wisiało na włosku, a ona wpakowała się w jakieś gówniane kłopoty. Ponoć nie zapłaciła całego podatku dochodowego w zeszłym roku, więc nie wolno jej opuścić kraju, dopóki się dokładnie nie rozliczy. Jasne, że ojciec musiał w tej aferze maczać paluchy, ale absolutnie nic nie mogła na to poradzić.

Zarezerwowała pokój w hotelu „Sandton Sun” w północnej części Johannesburga, jednej z najbogatszych dzielnic willowych. Gdy tylko weszła do pokoju, natychmiast złapała za telefon. Najpierw zadzwoniła do Kena Silke i powiedziała, że nie będzie jej w poniedziałek w sądzie jak dwa a dwa cztery.

Ken uspokoił ją i prosił, by przestała się martwić. Po dziesięciu minutach rozmowy poczuła się nieco lepiej.

W końcu nie była to ostateczna klęska. Ale chciała tam być dla Maxa. Czowała się zrozpaczona, zdesperowana, nie wiedziała, co ze sobą zrobić.

Zadzwoniła do Saffron, która oczywiście nie mogła niczego pojąć.

- Przecież David to jego ojciec, do cholery!

- To też i mój ojciec - odparła zmęczonym głosem Victoria. - Nie możesz sobie nawet wyobrazić, co to za wyrachowany dziad. Pamiętaj przede wszystkim, że to Max go porwał. Zawarli umowę - namiary człowieka z detonatorem za wypuszczenie Davida i milczenie na temat jego udziału w tym wszystkim.

- Ale Vicky, oni go przecież powieszają - ty wiesz o tym i David wie o tym. Z pewnością wystarczy tylko, aby Loxton powiedział, że wywiad RPA wiedział o planowanym zamachu na parlament, a on wyznał to Maxowi. Wtedy nie mogłoby mu to zaszkodzić w jego karierze politycznej.

- David nienawidzi Maxa, tak jak i nas wszystkich. A wyznanie, że zdradził Maxowi plan, spowoduje wyrzucenie go z rządu. Musi być coś innego, jakiś inny sposób, żeby zmusić Davida do zeznań. Coś, co przeoczyłam.

Victoria usłyszała szloch Saffron. Nie umiała powiedzieć nic, żeby ją pocieszyć. Klęska projektu Okavango, zamordowanie Kobusa, a teraz to. Jak można znaleźć pociechę po takim szeregu nieszczęść?

Odłożyła słuchawkę i siedząc w ciszy anonimowego, hotelowego pokoju pojęła, że jest teraz więźniem we własnym kraju, zatrzymana przez własnego ojca - jego obsesję władzy i pieniędzy. Pomyślała o dziecku i znowu podniosła słuchawkę.

- Lucinda? Z Kobusem wszystko w porządku?

- Tak, ale tęskni za tobą. Jak tam w Harare?

Gdy Lucinda mówiła, gdzieś w tle Victoria usłyszała piski Kobusa. Coś się w niej załamało.

- Nie jestem w Harare ale w Johannesburgu - wyszłochła i opowiedziała całą potworną historię. - Lucindo - jęknęła - David musi zeznawać. Ale jak go do tego zmusić, do diabła?!

- Siłą.

- Nie rozumiesz, jaki jest potężny? To niemożliwe.

Usłyszała, że Lucinda też się rozplakała.

- Lucindo, tak mi przykro - powiedziała. - Nie powinnam w ten sposób...

- Jest coś... - Głos Lucindy był ledwo słyszalny.

- Co?

- Poczekaj. Nie popędzaj mnie.

- O czym ty mówisz?

Chwila ciszy, a potem głos Lucindy, mocny i jasny.

- On będzie zeznawał, Vicky.

- Jak to?

- Po prostu dostań się do Harare najszybciej, jak będziesz mogła, a ja dopilnuję, żeby David już tam był...

Kiedy położyła się do łóżka, długo patrzyła w ciemność. Co takiego wiedziała Lucinda, że mogło to zmusić Davida do przyjazdu do Harare?

*

Czyjaś ręka na ramieniu, delikatne szarpanie. Jęknął głucho i usiłował się odsunąć, ale szarpanie nie ustawało. Otworzył oczy i tępo popatrzył na zegarek i na Hanli. Druga w nocy.

- Dzwoni Lucinda. Żąda natychmiastowej rozmowy z tobą.

- Każ jej zadzwonić o bardziej cywilizowanej porze.

Hanli wzięła słuchawkę, a David odwrócił się do ściany. Głos żony dobiegał jak zza mgły, gdy znowu ogarnęła go senność.

- David mówi, żebyś zadzwoniła rano. Lucindo? O co chodzi? Nigdy by czegoś takiego nie zrobił...

W jednej chwili David był kompletnie rozbudzony.

Oblał go zimny pot.

- Daj mi telefon!

Wyrwał Hanli słuchawkę.

- Lucinda? Co ty wygadujesz? Przełączam rozmowę na inny aparat. Za minutę będę rozmawiał.

- Każ jej zadzwonić rano - sennie wymruczała Hanli.

- Wiesz, jaka ona jest - odparł David. - Zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że się zabije. Śpij dalej, skarbie, a ja się tym zajmę.

Szybko wyszedł z pokoju i zamknął drzwi. Kilka razy głęboko odetchnął i podszedł do telefonu w gabinecie.

- Lucinda!

- Ty pierdolony gnoju!

- Jak śmiesz! Nie zamierzam wysłuchiwać twoich impertynencji!

- Lepiej żebyś był na procesie Maxa w poniedziałek, mówię ci.

Trochę się odprężył. Najwyraźniej rozmawiała z Victorią - ostatnia deska ratunku.

- Ani myślę! Nie wiem, co ci Victoria naopowiadała, ale to nieprawda! Ten co mnie porwał, to z pewnością nie był Max.

- Ojczy, możesz nakłamać ile wlezie przed sądem w Harare - ale musisz ocalić Maxa. I pamiętaj, że jest jedna sprawa, której nie możesz zatuszować. Coś, co zrujnuje nie tylko twoją karierę polityczną, ale i życie prywatne. Stracisz Hanli i chłopców. Pewnie myślałeś, że o wszystkim zapomniałam, co?

Zrobiło mu się zimno. Nie mogła pamiętać! Nie po tylu latach!

- Myślisz, że nie wiem, co ze mną jest nie tak? Ale ja pamiętam, pamiętam każdy szczegół. I wiem, dlaczego matka zrobiła to, co zrobiła.

Dygotał jak w transie. Cały jego świat walił się w gruzy. Wspomnienia spychane w niepamięć powróciły, wspomnienia wstydlive, ale i dziwnie podniecające.

Jeżeli staną się własnością publiczną - Boże!

- Bądź tam w poniedziałek albo dopilnuję, żeby cały świat, łącznie z twoimi nieskazitelnyymi moralnie koleżkami z rządu, poznał prawdę. To złamie twoją karierę polityczną. Rory i Dirk będą na ciebie pluli!

- Lucindo, proszę...

- Bądź tam albo przekonasz się, jak ta twoja laleczka-żoneczka cię kocha, po tym jak usłyszysz, kim jesteś naprawdę! Pomyśl, jak Dirk i Rory będą na ciebie patrzeć, kiedy się dowiedzą, jakim człowiekiem jesteś w rzeczywistości!

- Lucindo!

W słuchawce panowała głucha cisza.

*

Dolph Klopper siedział w półmroku salonu w domu ojca i po raz kolejny zastanawiał się, jak to jest, kiedy się nic nie widzi.

- Fiasco planu Harare to dla nas wielki cios, ojczy - powiedział. - Taka okazja już się nie powtórzy. A teraz potrzebujemy wojska do tłumienia zamieszek w naszym własnym kraju. Coraz trudniejsze jest ograniczanie przestępczości w lokacjach.

- Synu, kafrom potrzebna jest nauuczka. Robią się zbyt bezczelni, prawda?

Figi, kolorowa służąca ojca, weszła do pokoju i przyniosła starcowi kakao. Nie dała po sobie poznać, że słyszała obelżywe określenie.

- Trzeba im przypomnieć, gdzie ich miejsce - mruknął Dolph. - Ale jak?

Starzec wzruszył ramionami.

- Masz przecież broń.

- Ale jeżeli jej użyję, cały świat podniesie wrzask.

Ojciec aż cmoknął zirytowany.

- Czy nie udowodniłem ci już, że Rzesza dalej włada światem?

Dolph wiercił się niespokojnie na krześle.

- Każda wielka akcja przeciwko czarnuchom będzie wymagała starannego planowania, ojczu.

- Synu, masz coraz mniej czasu. W latach czterdziestych zawahaliśmy się, zwlekaliśmy i patrz, co z tego wynikło. Führerowi wyperswadowano użycie broni chemicznej. Głupota! Gdybyśmy ją zastosowali, wygralibyśmy wojnę! - Uderzył kościstą pięścią w stół, aż kakao połało się na błyszczący blat.

Dolph oświadczył cicho:

- Ojczu, może będziemy mogli wyprodukować broń chemiczną do unicestwienia kafrów.

- Ale najpierw musisz odnaleźć człowieka, który cię zdradził, bo może to zrobić po raz drugi.

- Podejrzewam, że to Loxton. Przetrzymywano go w Harare w czasie planowanego zamachu. Ale jak upewnić się, że to on?

- Nie marnuj czasu na takie pytania. Wykorzystaj Loxtona i jego speców do wyprodukowania broni chemicznej, a potem, kiedy będziesz już gotowy, zabij go.

*

Max obserwował strużki wody przeciekającej przez sufit celi i pomyślał o George'u. Patetycznie zmarnowane życie. Ale czy on sam osiągnął chociaż odrobinę więcej? Pomyślał o Vicky. Powiedziała, że odwiedzi go znowu, ale nie przyszła. Albo Saffron - jej zapach, miękkość skóry pod palcami; przypomniał sobie, jak się kochali, i o dreszczu podniecenia, który przeszywał jego ciało zawsze, kiedy był blisko niej. A teraz, gdy jej potrzebował, nie mogli nawet porozmawiać.

Wszystko szło źle. Kobus nie żył, George też, a jego własne bankructwo przypieczętowało upadek projektu Okavango. Wówczas, pomimo swego pijaństwa, wygrał

przetarg na duży kontrakt - budowę nowego gmachu parlamentu. Zaciekle walczył o dotrzymanie niewiarygodnych terminów, ale potem przyszło odkrycie, że ojciec sabotował cały projekt. A teraz ma być sędzony.

Stawką było jego życie, a on poprzysiągł, że nie wspomni przed sądem nazwiska człowieka, który mógłby go uratować. Nawet gdyby złamał słowo, czy ktokolwiek by mu uwierzył?

Pomyślał o swej matce, Tracey, i o wszystkim, czego go nauczyla. Przynajmniej do końca nie sprzeniewierzył się jej naukom; zawsze robił to, co uważał za słuszne. Może gdyby żyła, ojciec byłby innym człowiekiem. Może.

Ken na pewno świetnie poprowadzi proces, a Victoria będzie znakomitym świadkiem, ale nie będą mieli nic na potwierdzenie historii o sabotażu. Brak dowodów. Brak głównego machera.

Jak to będzie, kiedy usłyszy wyrok śmierci? Rozmawiał o tym z Kenem, ale wcale nie było mu przez to łatwiej. Jak się wtedy zachowa?

*

Lucinda siedziała na tapczanie, przytuliła do siebie dziecko i uśmiechnęła się. Tak spokojna nie czuła się od czasów dzieciństwa. Max ocaleje. Wiedziała, jak sterować Davidem.

Mały Kobus był taki śliczny. Ona też będzie miała swoje dziecko, już niedługo. Tak zdecydowała. Aż do dnia dzisiejszego ojciec niszczył jej życie, ale nie pozwoli mu ukraść sobie ani jednego dnia więcej. I dopilnuje, żeby nigdy nie zapomniał tego, o czym ona wiedziała.

Podeszła do stolika w rogu sypialni, wyjęła pióro i arkusz papieru. Trzymając dziecko na kolanach zaczęła pisać. Historia tego, co ojciec jej kiedyś uczynił, nigdy nie zostanie zapomniana. Mógłby próbować ją uciszyć, ale skoro oskarżające go zeznanie spocznie bezpiecznie w sejfie bankowym, ojciec raz na zawsze przestanie manipulować nią, Vicky czy Maxem.

Lucinda uśmiechnęła się z zadowoleniem. W końcu role się odwróciły.

*

Victoria spędziła cały weekend omawiając przez telefon z Kenem Silke taktykę obrony na procesie. Myślała, że poniedziałkowy rano nie nadejdzie nigdy, ale w końcu stała przed Głównym Urzędem Skarbowym na ulicy Rissik w Johannesburgu. W rękę trzymała dokumenty otrzymane na lotnisku. Pieniądze - mruknęła do siebie. Zapłaci bez względu na wysokość sumy.

Ku swemu zdziwieniu została uroczyście powitana i od razu zaprowadzono ją do gabinetu pana Kleynhansa na drugim piętrze.

- Mejuffrou Loxton? - Kleynhans był starszym człowiekiem, o uderzająco białej czuprynie.

- Serdecznie przepraszam, Mejuffrou Loxton. Okazuje się, że władze popełniły błąd i pomyłono panią z osobą o tym samym nazwisku. Czy ma pani bagaż przygotowany do jazdy na lotnisko?

Skinęła potakująco głową, nie wierząc własnym uszom.

- Odprowadzę panią do samochodu. Jak sędzę, bardzo się pani spieszy, więc opóźniliśmy troszeczkę odlot samolotu do Harare, specjalnie dla pani.

Dwie minuty później przeniesiono jej walizki z wynajętego wozu do białego BMW z policyjnymi znakami.

A gdy tylko razem z Kleynhansem znalazła się w środku, samochód ruszył z piskiem opon. Jechali na sygnale w kierunku lotniska. Victoria zerknęła kierowcy przez ramię - na autostradzie prędkość doszła do dwustu dwudziestu kilometrów na godzinę.

Kleynhans pochylił się ku niej.

- Proszę jeszcze raz przyjąć nasze przeprosiny, Mejuffrou Loxton. Urzędnik z lotniska skontaktował się ze mną w czasie weekendu. Przyjechałem do biura rano i zorientowałem się, że zaszła pomyłka. Proszę mi dać kluczyki do tego wynajętego samochodu, zwrócę go. Czy zechciałaby pani powiedzieć, jakie koszty pani poniosła w związku z pobytem w hotelu przez te trzy dni?

Victoria podała mu rachunek. Wyciągnął z kieszeni plik pięćdziesięciodolarówek i wręczył jej.

- Ależ to o wiele za dużo!

- Główny Urząd Skarbowy sądzi, że ze względu na kłopoty, na które panią naraziliśmy, powinniśmy zapłacić także za pani przelot.

Kiedy dojechali do lotniska, samochód nie skierował się ku terminalowi pasażerskiemu, ale wjechał od razu na pasy startowe. Zatrzymał się przy oczekującym Boeingu 747. Kleynhans osobiście wniósł jej bagaż na pokład samolotu, do pierwszej klasy.

- Dziękuję bardzo, panie Kleynhans!

Ku jego zdziwieniu, a także swemu własnemu, ucałowała go w policzek, zanim zniknęła w środku. Drzwi zamknęły się, koła drgnęły i samolot natychmiast ruszył.

Kleynhans obserwował jego zniknięcie w chmurach, po czym szybko zbliżył się do czarnego, luksusowego daimlera parkującego obok hangaru. Usłyszał dźwięk otwierającego się okna i zobaczył w środku Davida Loxtona.

- Dobra robota, Kleynhans. Od dzisiaj możesz zaczynać emeryturę. Rzecz jasna, nie wolno ci pisać nikomu słówka o tej sprawie.

- Rozumiem, sir.

- Otrzymasz dodatkowe dwadzieścia tysięcy nagrody specjalnej razem z pierwszą emeryturą.

- Dziękuję panu, sir.

*

O jedenastej Victoria wkroczyła na zatłoczoną salę sądową w Harare. Sędzia spojrzał na nią ze zdziwieniem, po czym znowu skoncentrował się na argumentach przedkładanych oskarżeniu przez obronę. Victoria puściła dyskretnie oko do Kena Silke, który podał jej kartkę z notatkami.

- Dzięki Bogu, że tu jesteś, Vicky. Sędzia nieźle mnie objechał za niestawienie się kluczowego świadka na czas. Poza tym, oskarżenie przyjęło taktykę, której się spodziewaliśmy. Nie chcą zaakceptować wersji Maxa, że usiłował powstrzymać faceta, który chciał detonować ukryte ładunki. Dążą do oskarżenia o morderstwo. Jak ci się udało wy dostać tak szybko?

- Ktoś doszedł do wniosku, że to niepolitycznie tak mnie zatrzymywać. Pozwolili ci zobaczyć Maxa?

- Nie, są uparci jak muły. A twoje niestawienie się potraktowano jako rozmyślną próbę opóźnienia rozprawy.

Spojrzała na brata siedzącego na ławie oskarżonych.

Twarz miał śmiertelnie spokojną. Nie potrafiła się zmusić do spojrzenia na Saffron. Czowała się winna - zirytowała sędziego, a to z pewnością nastawiło go do Maxa nieprzychylnie.

Kiedy ogłoszono przerwę, Victoria wysliznęła się cichutko z sali i zeszła na dół, do cel. Uzyskanie zgody na widzenie nie zajęło jej zbyt wiele czasu. Z bliska Max był jeszcze blebszy i bardziej wynędzniały.

- Nic przede mną nie ukrywaj - powiedział bezdźwięcznie. - Ojciec ma to gdzieś, prawda? Mówiłem ci, że to strata czasu.

- To nie fair, Max. Jeżeli nie będziesz walczył, całkowicie pogrzebiesz swoją szansę na zwycięstwo.

- W porządku, jaka jest więc linia obrony?

- Linia obrony to ty sam. Twoje życie, ideały i to, co zrobiłeś. Wszystko świadczy o tym, że nigdy nie przyszłoby ci do głowy zabicie kogokolwiek z zimną krwią - chyba że należało zapobiec zbrodni.

- Victorio, przecież złapali mnie na gorącym uczynku!

Odwrócił się i zapatrzył w brudną, białą ścianę próbując zebrać myśli.

- Czy Lucinda wie? - zapytał. - Czy zdaje sobie sprawę, że mnie powieszają?

- Max, błagam, nie trać ducha. Mamy przed sobą jeszcze długą drogę.

- A jak to znosi Saffron? Nie potrafię spojrzeć na nią, nie mogę znieść myśli o cierpieniach, których jej przysporzyłem.

W milczeniu trzymali się za ręce. Wstając poprosiła go jeszcze raz:

- Max, obiecaj, że się nie poddasz.

Ponuro skinął głową.

*

Trzeciego dnia Ken Silke był już gotów. Tak jak się spodziewał, oskarżenie przedstawiło jako świadka dziennikarza, którego Max zakneblował i strażnika, którego obezwładnił. Poza tym, parę niespodzianek - profesora, który uczył Maxa fizyki i trenera boksterskiego. Obraz, jaki wyłonił się po ich zeznaniach, przedstawiał Loxtona jako człowieka gwałtownego, nie obawiającego się działać, powodowanego tylko swoimi uczuciami. Ujawniono fakt, że Max w czasie obowiązkowej służby wojskowej służył na ochotnika w najbardziej niebezpiecznym oddziale armii RPA. Wyciągnięto oskarżenie o napad z bronią w rękę w Botswanie.

Podkreślono związki z George'em Zwane. Maxa powoływano na trybunę czterokrotnie i za każdym razem szczerze i otwarcie odpowiadał na pytania. Jednak oskarżyciel był bystrym gościem i przekonywająco przedstawił Maxa jako niebezpiecznego kryminalistę.

Gdy Ken Silke wstał, w wypełnionej po brzegi sali zapadła cisza.

- Przybyłem tu, żeby reprezentować klienta, któremu grozi kara śmierci. Zamierzam przedstawić życie doktora Maxa Loxtona - pełne starań o ulepszenie świata wokół nas wszelkimi dostępnymi mu środkami. Zamierzam udowodnić, że zamiast uważać go za przestępcę, powinniśmy traktować go jak bohatera, zwłaszcza tutaj, w Zimbabwie. Wzywam...

Sala wstrzymała oddech, a Victoria z wściekłością odwróciła się, żeby sprawdzić, kto odważył się przerwać Kenowi mowę. Zdumiona spotkała spojrzenie zimnych oczu ojca. Obok niego stał prezydent Zimbabwie, Robert Mugabe.

Prezydent podszedł do sędziego i po krótkiej naradzie opuścił salę równie dramatycznie, jak się na niej pojawił. Sędzia przemówił, a szmer zdziwienia na sali powoli cichł.

- Znalazłem się w niezwyklej sytuacji i choć nie w pełni rozumiem okoliczności, nie mogę się sprzeciwić woli prezydenta. Pan David Loxton złoży teraz zeznanie. Odmówił poddania się krzyżowemu ogniowi pytań. Nasz prezydent zagwarantował mu nietykalność zezwalając na swobodne opuszczenie sali po złożeniu zeznań. Oświadczenie zostanie wygłoszone przy drzwiach zamkniętych, zatem proszę publiczność o opuszczenie sali.

Victorii z podniecenia aż zakręciło się w głowie.

Popatrzyła na uśmiechniętego Kena. Prokurator wyglądał na zdenerwowanego. Sędzia gestem poprosił Davida Loxtona do trybuny dla świadków.

- Panie Loxton, proszę podejść.

Gdy sala opustoszała, David Loxton wolno podszedł do trybuny dla świadków krokiem, jakim skazany na śmierć podchodzi do szubienicy. Victoria zauważyła, że jak zwykle był nienagannie ubrany. Miał na sobie garnitur w wąziutkie paseczki i czarne, włoskie mokasyny. Włosy zaczesał gładko do tyłu. Zwrócił się do sędziego:

- Składam zeznanie pod przysięgą.

Asystent podał mu podniszczoną Biblię.

- Przysięgam na Boga Wszechmogącego, że będę mówił prawdę, całą prawdę i tylko prawdę.

Wyprostował się i zwrócił twarzą do sędziego.

- Jak Wysoki Sąd wie, człowiek dzisiaj sądzony jest moim synem z pierwszego małżeństwa. Nie darzymy się nawzajem przyjaźnią.

Przerwał na moment.

- Jak Wysokiemu Sądowi wiadomo - ciągnął - zostałem parę tygodni temu porwany. Rząd zachował w tajemnicy żądanie okupu wysłane przez kidnaperów, gdyż domagali się oni wypuszczenia terrorysty, George'a Zwane, w zamian za moje życie.

Victoria zauważyła, że ojciec ma pewne kłopoty z kontynuowaniem zeznania.

- Rząd RPA nie ma w zwyczaju ugiąć się przed szantażem. Nawet gdyby to oznaczało moją śmierć, nie zamierzali wypuścić Zwane. Jednak tymczasem Zwane zginął podczas próby ucieczki z więziennej furgonetki, więc dla kidnaperów nie miałem już żadnej wartości. Wtedy to odkryłem, że porywaczem był nie kto inny tylko mój własny syn.

Prokurator zacisnął pięści tak mocno, że wszystkie żyły na rękach wyszły mu na wierzch. Nagle opowiadanie Maxa przestało być stekiem bredni - było prawdą.

Uniósł rękę, żeby zgłosić sprzeciw, ale sędzia spojrział na niego zimno.

- Nie wolno zadawać żadnych pytań temu świadkowi.

- Mój rząd, jak wiadomo - kontynuował David - ma najlepiej zorganizowaną siatkę wywiadowczą w Afryce. Często otrzymujemy informacje nie mające dla nas znaczenia, ale nie chcemy mieszać się w sprawy wewnętrzne naszych sąsiadów. Tuż przed porwaniem poinformowano mnie o podejrzaniach, że dysydenci w Zimbabwe mogą podejmować próby zamachu. Krążyły pogłoski, że chcą to osiągnąć przez wysadzenie nowego gmachu parlamentu podczas sesji inauguracyjnej, przy pomocy starannie ukrytych ładunków. Następnie zamierzali całą winę przypisać nam.

Victoria wiedziała, że to zapewne kłamstwo, ale wiedziała także, że ojciec umiał równie znakomicie przemawiać, jak i grać. Rozumiała, ile musiała go ta przemowa kosztować, ale nie mogła zrozumieć, czemu w ogóle się tu zjawiał.

- Kiedy syn postanowił mnie uwolnić, poinformował mnie, że jest to właśnie dzień otwarcia parlamentu. W obawie o własne życie opowiedziałem mu o grożącym zamachu, a on natychmiast podjął próbę zapobieżenia mu. Wskazałem agenta, który miał dokonać detonacji - Niemca przebranego za reportera „Sterna”.

Zawarłem z Maxem umowę - ta informacja w zamian za wolność i milczenie. Następnie opuściłem Zimbabwe. Jak widać po jego zeznaniach, a raczej braku takowych, mój syn dotrzymał słowa. Przekazałem panu Mugabe dokładny plan rozmieszczenia ładunków i dochodzenie dowiedzie prawdy moich słów.

David Loxton opuścił trybunę i wyszedł z sali nie patrząc na nikogo.

*

Lucinda włączyła telewizor i obejrzała wieczorne wiadomości. Dziecko wygodnie ułożyło się na jej kolanach.

Za oknem śnieg pokrywał delikatną bielą ulice Londynu. Życie wyglądało o wiele bardziej obiecująco niż do tej pory. Wczorajszy wieczór spędziła z mężczyzną i dobrze się bawiła. Nie upokarzała go ani nie zraniła.

Umówił się z nią na następny weekend, co przyjęła z radością. Może dzięki temu, że stanęła twarzą w twarz z tym, co przyprawiało ją o szaleństwo, będzie mogła zacząć normalne życie. Może.

- Dzisiaj w Harare - powiedział spiker - doktor Max Loxton został oczyszczony z wytoczonych przeciw niemu zarzutów. W mowie podsumowującej sędzia Justice Webster stwierdził, że według niego Loxton powinien być uważany za jednego z bohaterów rewolucji w Zimbabwe.

Kamera pokazała teraz Maxa, Victorię i Kena Silke na lotnisku w Harare, zdążających do samolotu. Spiker zakończył:

- Doktor Loxton odmówił złożenia jakiegokolwiek oświadczenia dla prasy. Mówi się, że opuścił kraj swoim własnym samolotem. Jego siostra, Victoria Loxton, świadek podczas procesu, wraca do Londynu dziś w nocy.

Lucinda uśmiechnęła się; jutro obie z Victorią będą czciły zwycięstwo. Przez chwilę zamyśliła się. Ciekawe, co będzie z ojcem?

5

David Loxton wszedł do sali i poczuł przewiercający go na wylot wzrok dwudziestu par oczu. Tak zapewne wyglądał dawno, dawno temu trybunał Świętej Inkwizycji. Postanowił twardo, że nie okaże po sobie nawet śladu słabości. Mężczyźni, przed którymi stał, reprezentowali najpotężniejszą siłę polityczną na całym kontynencie; był to Związek Braterski, Broederbond, elita Afrykanerów ze wszystkich części RPA. Między nimi był także Dolph Kloppe. David, jako Anglik, nie mógł należeć do Bractwa i w głębi duszy zawsze uważał całą tę organizację za śmieszna. Ale teraz, kiedy przed nimi stał, lęk zastąpił szyderczy stosunek. Bractwo oskarżyło go o zdradę w związku z zeznaniami złożonymi w trakcie procesu syna. Nie mógł powiedzieć nic, żeby to zmienić czy wytłumaczyć. Tylko on jeden znał powód, który go zmusił do złożenia zeznań, a gdyby Lucinda rzeczywiście spełniła swoją groźbę, jego kariera polityczna i tak ległaby w gruzach.

Nie przyniesiono dla niego krzesła. Będzie musiał stać przez całe zebranie. Specjalnie to zrobili, żeby go upokorzyć i osłabić w nim ducha.

Człowiek siedzący najbliżej, po lewej stronie stołu, zwrócił się do niego:

- Davidzie Loxton, czy masz coś na swoją obronę?

Mówił w afrikaans. Był to wielbny Eldad Cilliers, jeden z najważniejszych stronników Kloppe.

David odetchnął głęboko i przemówił:

- Bracia, postawiono mnie w sytuacji bez wyjścia. Nie wypuścilibyście Zwane, ale jednocześnie nie wiedzieliście, że w Harare spotkałaby mnie pewna śmierć. Mój syn zamierzał wydać mnie władzom w dzień otwarcia parlamentu. Zrozumiałem, że jeżeli nie zapobiegnę wysadzeniu parlamentu - zginę, a nie byłem przygotowany na śmierć.

Powiedziałem o tym synowi, a on zgodził się mnie uwolnić. Jednocześnie złożyłem przysięgę milczenia i wymogłem także na nim obietnicę, że nigdy nie zdradzi, kto krył się za spiskiem. Zdecydował się powstrzymać naszego człowieka i został aresztowany w chwili zabójstwa. Zimbabweańczycy wierzą, że zamach został zorganizowany przez wrogów wewnętrznych - w ich oczach nie mamy żadnych związków z tą sprawą.

Eldad Cilliers wstał, zanim David zdążył powiedzieć coś jeszcze.

- Oskarżony przemówił. Zatem głosujmy.

Ale David nie zamierzał dać za wygraną tak łatwo.

- Nie! - krzyknął i natychmiast oczy wszystkich skierowały się na niego. Ośmielił się im przerwać! - Jeżeli uznacie mnie winnym - oznajmił pochylając się nieco do przodu, aby skupić ich uwagę - skażecie razem ze mną i siebie. Jeżeli uznacie mnie winnym zdrady, przekażę wszystkie informacje, jakie posiadam, telewizji i prasie, i cały świat pozna prawdziwych organizatorów zamachu. W moim posiadaniu znajdują się taśmy - nagrałem rozmowy z prezydentem na temat spisku. Mam również dowody, że zamach na Kobusa van der Posta został dokonany przez snajpera naszej armii, który działał według otrzymanych rozkazów. Teraz głosujcie, bracia. Ale czyńcie to z pełną świadomością, gdyż wiecie, co zrobię, jeśli wyrok będzie niekorzystny.

Odszedł od stołu. W oczach wielbnego Cilliersa zapłonęła wściekłość. Duchowny wstał znowu.

- Ci, którzy mówią „winny”, niech podniosą rękę.

Nie podniosła się ani jedna.

Mimo że David Loxton odszedł wolny sprzed trybunału Bractwa, wciąż trapiły go kłopoty. Jeżeli nic nie wymyśli, Lucinda będzie miała nad nim władzę do końca życia. Nie mógł pozwolić, żeby pociągała za sznurki, by musiał tańczyć, jak ona zagra.

Nadszedł czas nieco ją utemperować.

KSIĘGA TRZECIA

1

1992

Wesoło dzwoniące dzwony umilkły, więc wszyscy zebrani we wspaniałym kościele londyńskim - mężczyźni w garniturach i kobiety w najmodniejszych sukniach - odwrócili się, żeby spojrzeć w głąb nawy. Nie musieli czekać długo. Gdy organista zaczął grać marsza weselnego, w drzwiach pojawiła się Saffron prowadzona pod ramię przez lorda Milnera, męża Lucindy.

Zatrzymali się na chwilę, a lord Milner uściśnął lekko jej dłoń. Uśmiechnęła się. Szli razem wolno wzdłuż szeregu ław. Saffron wyglądała przepięknie w obcisłej sukni z czerwonego aksamitu, odsłaniającej jej długie, smukłe nogi. Max czekał na nią przy ołtarzu w towarzystwie swego świadka, postawnego Murzyna, Malcolma Zwane.

- Wyglądasz zbyt pięknie jak na ślub - wyszeptał jej do ucha, gdy stanęła obok niego. Odwrócili się twarzami w stronę krzyża wiszącego na kamiennej ścianie za ołtarzem. Muzyka ucichła, a pastor, z uśmiechem na pociągłej twarzy, powiedział:

- Proszę usiąść.

Gdy wszyscy usiedli, Saffron usłyszała płacz dziecka.

Spojrzała na Victorię siedzącą razem z Kobusem w pierwszym rzędzie. Mały otrzymał od nich obojga specjalne zaproszenie i nikomu nie wolno było go wyprosić, bez względu na to ile hałasu by narobił.

- Zgromadziliśmy się tu dzisiaj aby być świadkami ślubu dwojga wspaniałych ludzi. Łączymy się w cichej modlitwie za ich przyszłość.

Wszyscy uklękli do modlitwy. Saffron prosiła Boga, aby Max zapomniał o kłęsce Okavango i poświęcił się swemu ostatniemu przedsięwzięciu - firmie lotniczej w Londynie. Na początek pożyczyła mu pieniądze.

Wziął je niezbyt chętnie, więc w końcu zawarła z nim formalną umowę, w której Max zobowiązał się w określonym czasie oddać pieniądze z procentem. Obowiązki często wzywały ich do USA, gdzie spotykali Malcolma Zwane i zaprzyjaźnili się serdecznie. Max

znał dobrze jego brata, ale Saffron wiedziała, że cenił Malcolma nie tylko przez pamięć na George'a, lecz przede wszystkim za jego wielkie zalety. Malcolm był urodzonym dyplomata, umiejącym osiągnąć porozumienie tam, gdzie brat dążyłby do konfrontacji. Ale często słysząc Malcolma Max odnosił wrażenie, że słyszy George'a.

Saffron zerknęła jeszcze raz na pierwszą ławkę. Siedziała tam też obok lorda Milnera Lucinda. Wyglądała cudownie. Pobrali się trzy miesiące temu, a ich weselu towarzyszyło fantastyczne przyjęcie. Odwróciła się twarzą do ołtarza. Nie wolno jej myśleć o Afryce, bez względu na napływające wspomnienia. Max poświęcił już i tak zbyt wiele temu mrocznemu kontynentowi.

Teraz musi dać sobie radę z życiem tu, w Londynie.

Postanowiła, że zrobi wszystko, żeby go uszczęśliwić.

*

Niepokój wisiał nad Soweto tego słonecznego, zimowego dnia. Między domami snuły się pasemka dymu pochodzące z tysiąca ognisk palonych poprzedniej nocy. Na krańcach lokacji, za ścianami zasieków z drutu kolczastego siedzieli z ponurymi minami młodzi biali ludzie w wojskowych mundurach. Byli uzbrojeni po zęby, gotowi w jednej sekundzie wskoczyć do wozów pancernych. Bezgłośnie modlili się, żeby dzisiaj udało im się uniknąć kłopotów. Prawie wszyscy byli rekrutami. Zastanawiali się, co tu właściwie robią walcząc z ludźmi, których powinni bronić.

Tymczasem w lepszej części Soweto, Dube - dzielnicy czarnej elity - na nieskazitelnie czystej ulicy stał zaparkowany przed domem błyszczący, sportowy mercedes-benz. Silnik samochodu jeszcze nie ostygł po trzygodzinnej ciężkiej podróży z Pietersburgu w północnym Transwalu. W domu, w wygodnych fotelach obitych czarną skórą, siedziało dwóch mężczyzn. Pokój wypełniały nagrody i dyplomy za walki bokserskie.

- No, Kumalo, jakie to dobre nowiny przywiozłeś tym razem? - ciężko wysapał Grubas, ubrany w superelegancki garnitur z Saville Row.

Kumalo zacisnął usta. Szrama biegnąca przez jego twarz stała się jeszcze bardziej widoczna. Ze wstrętem spojrzął na fałdy sadła przelewające się przez pasek Grubasa. Nozdrza zadrżały mu z irytacji.

- Nasi ludzie są coraz lepiej zorganizowani. Uzgodniliśmy, że niedługo ruszamy.

- Czas jest nieistotny. Skoro mamy Transwal, powinniśmy uderzyć już teraz.

- Nie! Rozkazy są jasne. Byłem tam, w jaskini, i dostałem instrukcje. Nie wolno nam jeszcze zacząć. Na razie naszym zadaniem jest dalsze wywoływanie niepokoju i zamieszek. Poza tym, najpierw będziemy musieli opanować Natal, a potem Cape. - Kumalo obserwował

przez okno blaszane budy widoczne gdzieś w oddali na horyzoncie. - Ale musimy stale wzniecać rozruchy - powtórzył. - To bardzo ważne.

- Co to za gość, co ci wydaje rozkazy?

- Grubasku, nie mogę ci powiedzieć. Ale zignorowanie ich to pewna śmierć.

Grubas z niepokojem spojrzał na Kumalo, ale ten wyglądał zupełnie spokojnie. Może dlatego, że wiedział, jak wielka była potęga tej osoby, która wydawała mu rozkazy.

- Za każdym razem uczę się od ciebie czegoś nowego - stwierdził.

- I co, miałem rację w sprawie van der Posta?

- Stuprocentową. Inicjatywy van der Posta oznaczałyby naszą klęskę. Pokojowe rozwiązania nie powiększyłyby naszych wpływów.

- Kupimy broń za nasze pieniądze dla Towarzyszy w Natalu i Cape, Grubasie, a strategia będzie wyjątkowo prosta: tych, co nie pójdą na współpracę, wyeliminuje się, tym, których można kupić, da się łapówki, a ci, którzy kochają władzę, otrzymają parę obietnic.

- A co z naszymi pokojowo nastawionymi braćmi?

- Odwalają znakomitą robotę za granicą, pozwólmy im zatem to kontynuować. W rezultacie ich działalności zaostrozono sankcje, co wzmogło niezadowolenie społeczne i bezrobocie. Czego można chcieć więcej?

- Mogą odebrać nam władzę.

- W Lusace jest ich tylko kilku, a nas całe miliony. Ludzie żądają krwi, więc im ją damy. Wszystkie prawdziwe rewolucje łakną krwi.

- Usuniemy wszystkich, co staną nam na drodze?

- Przecież mamy po coś pangi i „naszyjniki”.

Nieco później Kumalo odjechał. Zrobiło się chłodniej, więc otulił się mocno kurtką. Żegnaj, Grubasie - pomyślał - zaczynasz wyrastać ze swoich butów, więc kiedy nadejdzie właściwy moment, usunie się i ciebie.

Takie są moje rozkazy z Pietersbergu.

*

- W wieku lat dwudziestu trzech stanowisko naczelnego dyrektora. Znakomite osiągnięcie, mój chłopcze.

- Zapracowałem na to stanowisko, czyż nie tak, ojczcze?

Naprawdę zapracował, a David był dumny, że może mu je ofiarować. Dał też Rory'emu wolną rękę w Terminalu, a chłopak odwdzięczał się za zaufanie sukcesami. Od czasu incydentu z Dolphem Klopperem i Broederbond, kariera polityczna Loxtona toczyła się coraz szybciej, ale oznaczało to mniej czasu na interesy.

Potrzebował utalentowanego „sierżanta” dla swojej fabryki broni.

Klopper dał mu olbrzymią władzę - Davida mianowano premierem. Stanowisko to było starsze niż prezydentura, a Klopper przywrócił je specjalnie dla niego.

Jednym z głównych celów Loxtona było przekształcenie armii RPA w bezbłędnie działającą maszynę. Wciągnął do współpracy generała Jurie Smita. Porzucono na razie wszelkie plany najazdu na państwa sąsiednie.

Davidowi wystarczała pewność, że mogliby podbić dowolny kraj, gdyby chcieli, ale utrzymanie kontroli nad okupowanym terytorium wymagałoby za dużo wysiłku - mieli zbyt wiele kłopotów z tłumieniem rozruchów u siebie. Ale za to podejmowano coraz częściej różne akcje destabilizacyjne w sąsiednich krajach, w większości borykających się z problemami stagnacji ekonomicznej czy wojen domowych.

David uśmiechnął się do Rory'ego i obaj spojrzeli na broń leżącą na stole - najnowszy produkt Terminalu.

Jej konstrukcję oparto na kradzionym - David wołał słowo „pożyczonym” - patencie niemieckim, doskonałym na warunki RPA.

- To na pewno wypali, ojciec. Cała ekipa konstruktorów od pół roku dopracowuje projekt. Niedługo zaczniemy produkcję.

- Jak ze skutecznością?

- Jest niezawodna. Lepsza niż AK-47.

David gwizdnął przez zęby.

- Nie przesadzam - zapewnił Rory. - Nie zapominaj, że to broń na niekonwencjonalną amunicję. - Podniósł karabin i wskazał mechanizm - kula formuje się dopiero w chwili strzału. Każdy żołnierz piechoty może razem z tą bronią nosić przy sobie przeszło półtora tysiąca naboju in spe. W ogniu walki, jak na przykład w lokacjach, karabin będzie miał spustoszenie wśród wroga posiadającego jedynie broń konwencjonalną.

Skierował karabin na podłogę.

- Może jej używać każdy dureń - stwierdził. - Nie potrzeba żadnego szkolenia. Tylko wycelować i nacisnąć spust.

- Świetnie, mój chłopcze. Oznacza to, że możemy wprowadzić do walki w lokacjach obywatelskie oddziały ochotnicze złożone z ludzi, którzy przez dłuższy czas nie mieli żadnego kontaktu z bronią. Po prostu wezmą to cudo i będą strzelać. Czy jest ciężki?

- To właśnie moja niespodzianka. Nawet z dodatkową amunicją ta broń jest lżejsza od wszystkich obecnie używanych.

- Jak ją nazwiemy?

- LA, Loxton Avenger.

- Podoba mi się. I to bardzo.

- Jest jeszcze coś, co chciałbym ci pokazać, ojcze. - Rory zawahał się, ale ciągnął dalej. - Zawsze uważałem, że moglibyśmy reklamować nasze towary ciut lepiej.

David zmarszczył brwi. Rory zaczynał sobie pozwalać.

- Nie denerwuj się, ojcze - szybko dodał Rory. - Ten pomysł przyszedł mi do głowy niedawno, kiedy spotkałem się z Dirkiem w Los Angeles parę miesięcy temu.

David z dumą pomyślał o karierze swojego starszego syna. Już teraz mówiło się o Dirku jako o wschodzącej gwiazdzie wśród młodych reżyserów. Jego pierwszy film stał się od razu kasowym hitem. „Time” w recenzji stwierdził, że Dirk ma talent do konstruowania szybkiej i pełnej napięcia akcji. Patrząc na młodszego syna David nie mógł powstrzymać się od porównywania elegancji Dirka z niechlujstwem Rory’ego - ale to właśnie Rory, bez wątpienia, miał w sobie większe potencjalne możliwości.

- Pamiętasz naszą ostatnią podróż do Chile - spytał Rory - kiedy sprzedawaliśmy G5? Pamiętasz, że musieliśmy ciągnąć całą broń ze sobą żeby przeprowadzić pokaz w terenie?

- Wszyscy tak robią.

- My nie jesteśmy wszyscy. Jesteśmy Terminalem, największą prywatną firmą zbrojeniową na świecie. Pokażę ci coś nowego: efektywną metodę sprzedawania broni bez testów i pokazów.

Zeszli do małego audytorium. Terminal dbał, by informowano pracowników o najnowszych osiągnięciach techniki w kraju i za granicą, więc często odbywały się tu odczyty i wykłady połączone z projekcjami filmów i dyskusjami o rozwoju przemysłu zbrojeniowego. David usadowił się w środkowym rzędzie, a Rory, szepnąwszy parę słów wyświetlającemu, usiadł obok ojca.

Ekran rozjaśnił się, ale nie pojawił się na nim żaden obraz - słyszeli jedynie odgłosy strzelaniny i krzyki. Wtem na ekranie zobaczyli żołnierza uzbrojonego w konwencjonalny karabin. Przykucnął, rozejrzał się ostrożnie dookoła i pociągnął za spust. Nic. Cisza. Nerwowo przetrząsał kieszenie w poszukiwaniu naboarów, ale nie znalazł żadnego. Lęk wykrzywił mu twarz.

Coraz bliżej słyhać było strzały. Nagle ciało żołnierza zadygotało przeszyte kulami. Kamera pokazywała tylko zakrwawioną, rozpaczliwie krzyczącą twarz.

Ekran pociemniał, a potem znowu się rozjaśnił, pokazując tę samą scenę. Przed kamerą pojawił się nieuzbrojony człowiek w mundurze. Zaczął mówić:

- Właśnie widzieliście państwo typową sytuację: dobry żołnierz, dobra broń i najistotniejszy problem. W trakcie walki nie ma czasu na ponowne załadowanie karabinu, w trakcie walki nie zawsze ma się naboje przy sobie.

Facet podszedł do ciała żołnierza, obrócił je i uniósł karabin.

- To właśnie jest problem, którego, jak dotąd, nikt nie umiał rozwiązać. Dopiero Terminal znalazł wyjście z sytuacji.

Ekran znowu pociemniał. Z mroku dobiegał terkot ciągłej strzelaniny. Przed oczami widza pojawił się znany obraz - czarna lokacja. David pochylił się.

Kamera przejęła rolę żołnierza wkraczającego na wrogie, kontrolowane przez terrorystów terytorium. Film był bardzo realistyczny.

Wydawało się, że z kamery niczym z karabinu wydobywa się ciągły ogień. Stopniowo eliminowano wszystkich napastników po kolei. W końcu, któryś z terrorystów wybiegł na ulicę, sądząc, że karabin musi już być wyładowany. Ostatni błysk i ciało upadło na ziemię, rozdarte na strzępy kulami. Krew zalała oko kamery.

Nowy obraz. Żołnierz podszedł do kamery trzymając w dłoni dymiący karabin. Podniósł go do góry.

- LA - oznajmił - Loxton Avenger. On nie musi być ładowany pociskami, on je tworzy. Lżejszy niż karabiny konwencjonalne, pozwala ci mieć przy sobie ekwiwalent półtora tysiąca sztuk normalnych nabojeów.

Przerwał mu strzał. Odwrócił się i nacisnął spust.

Przeszło dwie minuty słychać było miarowe staccato.

Z domu rozbitego prawie w pył pociskami dobiegał krzyk agonii.

Kamera pokazała zbliżenie twarzy prezentera.

- LA. Loxton Avenger. Z nim jesteś niezwycięzony. Bez niego... jesteś martwy.

Obraz zniknął, a David zaczął klaskać.

- Cudownie, synu. Niesamowicie realistyczny.

Rory był śmiertelnie poważny.

- On jest prawdziwy. Musi być. Handel bronią to ciężki kawałek chleba. Nie można oszukiwać klienta, trzeba mu dostarczyć to, co najlepsze.

David zamarł.

- Wszystko co widziałeś, było prawdą - upierał się Rory. Wykrzywił twarz w uśmiechu. - Kino chwil ostatnich, można powiedzieć.

- Mogą cię oskarżyć o morderstwo.

Rory tylko wzruszył ramionami, a David nie potrafił powstrzymać śmiechu. Jego synowie byli pojętymi uczniami. Stali się bezlitośni, chyba nawet bardziej bezwzględni niż on sam.

- Ojciec, nasi klienci potrzebują broni żeby zabijać - żarliwie oświadczył Rory. - Chcą siły i dowodu, że to co kupują, zabija naprawdę.

- Ale jeżeli ten film trafi w niepowołane ręce...

- Wtedy powiemy, żeśmy to sfingowali. - Rory wstał i przeszedł się po audytorium. - Chcę wprowadzić LA na rynek, i to szybko. Depozyty bankowe pokryją koszty prób i badań do czasu, aż rozpoczniemy produkcję.

- Znakomicie.

- A wtedy damy LA na próbę jednemu z twoich oddziałów antyterrorystycznych.

- Świetny pomysł. Trzeba będzie urządzić pokaz siły w lokacjach. Rozumiesz z jakim problemem mamy do czynienia?

- Ale teraz masz broń, z którą pokonasz wszystkie trudności.

Kiedy David Loxton wychodził z fabryki, jego głowę wypełniały plany sprawowania w RPA władzy absolutnej. Rory, siedząc w biurze i patrząc na połyskujące dachy fabryki, myślał o czymś zupełnie innym. Jego ojciec miał fioła na punkcie polityki. Fabryka, uzbrojenie - to była rzeczywista władza, a nie jakiś stołek w rządzie. Rory postanowił, że będzie zawsze dostarczał broń jutrzejszym zwycięzcom, nieważne kim oni będą. Czarny czy biały rząd - kolor skóry partii rządzącej nie miał znaczenia, dopóki mieli czym płacić.

Ojciec należał już do przeszłości. On nigdy nie sprzedawałby broni obu stronom, co było głupotą. Kto dbał o to, kto wygra? Tylko pieniądze miały znaczenie.

Rory uknuł prosty a zyskowny plan. Właśnie odkrył nowy rynek zbytu dla starszych typów broni Terminalu. LA to coś fantastycznego, ale R4, jej gorszy poprzednik, dalej będzie produkowany - byłoby śmieszne, gdyby wszystkie nakłady finansowe na produkcję R4 poszły na marne. Będzie się ją sprzedawało Towarzyszom.

Jeżeli chodzi o lojalność wobec państwa, cóż, dla Rory'ego każda wiadomość o zamieszkach była znakomita; ciągnął zyski z dostaw dla obu stron. Zachichotał.

Jakim głupcem był ojciec. Pieniądze przede wszystkim, to najważniejsze. Pieniądze to władza.

*

Lady Lucinda Milner osiodłała nowego czarnego konia.

Cofnęła się o krok i podziwiała połysk sierści zwierzęcia w porannym słońcu. Konia dostarczono wczoraj, tuż po wyjeździe męża w interesach do City. Dziwne, że nie wspomniał

jej o takim nabytku. Miała straszną ochotę na przejażdżkę. Spojrzała na zegarek - Jackson będzie tu dopiero za dziesięć minut. Wiedziała, że powinna porozmawiać ze stajennym, zanim dosiądzie tego ogiera. Ale koń był tak piękny, a ona miała w końcu opinię znakomitej amazonki. Wyprowadziła rumaka ze stajni. Przez moment z zachwytem wpatrywała się w jego cudowną sylwetkę - piękno i siła.

Poprawiła popręg i spojrzała na długi szereg zielonych, zamkniętych boksów. Nie licząc koni wyścigowych, mąż posiadał jeszcze przeszło trzydzieści koni różnych ras.

Wsunęła stopę w strzemię i wskoczyła na siodło. Koń był bardzo duży; jadąc na nim poczuła się silna i potężna. W oddali wabiły ją oszronione łąki, ale odwróciła się, żeby jeszcze raz rzucić okiem na śliczny elżbietański dworek. Widok jak z obrazka. Uwielbiała ten dom i spędzała tu każdą chwilę, gdy tylko nie musiała brać udziału w życiu towarzyskim w Londynie. Właśnie w ten weekend planowali wybrać się gdzieś razem z ich dobrą znajomą, księżną Walii, gdy tylko Anthony wróci z City. Mieli drugi dom w Londynie, ale Lucinda jeździła tam tylko wtedy, kiedy czekało ją jakieś przyjęcie, albo żeby zobaczyć się z rodzeństwem.

Całą uwagę skoncentrowała na koniu, gładząc jego lśniąca szyję. Popuściła cugle i zwierzę wolnym kłusem skierowało się do bukowego lasku.

Lubiła jeździć po lasach bez żadnego przewodnika, jakby w poszukiwaniu czegoś nowego. Wczesny ranek to był właśnie jej czas. Można było zaskoczyć wiewiórkę biegnącą po zamarzniętych liściach lub jelenia, który zabłąkał się w okolicy posiadłości. Te tereny należały do rodziny Milnerów od wieków. Pradziadek Anthony'ego spędził wprawdzie parę lat za granicą, najdłużej przebywał w Południowej Afryce, ale poza nim nikt z rodziny Milnerów nigdy nie opuścił Wysp.

Dzisiaj las wydawał się jej jakiś dziwny i poczuła się pewniej, gdy drzewa zostały za nią. Koń był posłuszny aż do obrzydzenia. Przed nią ciągnęła się długa łąka, wykorzystywana zazwyczaj jako pas startowy. Lord Milner nie przepadał jednak za lataniem zimą, więc awionetka stała w hangarze przy końcu pasa, zabezpieczona przed mrozem. Lucinda pochyliła się i szepnęła koniowi do ucha: „Nieś mnie tak szybko, jak tylko potrafisz”.

Koń wystrzelił do przodu jak rakieta. Mocno trzymała wodze, czując, że olbrzymie zwierzę w końcu ujawnia swoją siłę. Jej długie włosy rozwiały wiatr, na ustach pojawił się uśmiech. Gdy koń lekko i swobodnie galopował po polu, przez chwilę zapomniała, gdzie była.

Widziała siebie samą na veldzie, w posiadłości ojca w Zimbabwe, jak ściga stado zebra. Gdzieś w oddali zachodziło czerwone słońce Afryki...

Nagle zza drzew doleciał niski przeciągły gwizd. Lucinda ledwo go usłyszała, ale nastrój zwierzęcia zmienił się błyskawicznie. Oprzytomniała widząc, że koń nagle zmienia kierunek i gwałtownie rzuca się ku gęstemu zagajnikowi po lewej stronie łąki. Mocno ściągnęła wodze - żadnej reakcji. Zwierzę zupełnie wyrwało się spod kontroli.

Koń rzucił się między drzewa. Gałęzie zaczęły smagać Lucindę po twarzy. Rozpaczliwie usiłowała okiełznać rumaka wykrzykując głośno komendy. Pot ciekł jej po twarzy. I wtedy uderzył ją olbrzymi konar.

Upadła ciężko na ziemię. W ustach poczuła smak krwi. Jej stopa wciąż tkwiła w strzemieniu. Koń włókł ją za sobą.

- Zatrzymaj się! - krzyknęła rozpaczliwie. - Na miłość boską, stój!

W tym momencie uderzyła głową o pień drzewa.

Strzemię pękło. Koń chrapnął z zadowoleniem i skoczył w gęstwinę, dziki i nieokiełznany. Lucinda leżała pod drzewem, jej rude włosy rozsypały się dookoła, twarz miała bladą i spokojną.

*

Taksówkarz zerknął w lusterko i przyjrzał się wielkiemu facetowi na tylnym siedzeniu. Bogaty, sądząc po garniturze i płaszczu. Z pewnością było mu ciepło, nawet w tak zimną noc jak ta.

- Masz pan dziwny akcent, szefie - stwierdził.

- Południowoafrykański.

- Nie mogię powiedzieć żeby mi się podobała ich polityka.

Ostrożnie obserwował pasażera w lusterku, czy przypadkiem nie okaże irytacji, ale ten krótko odpowiedział:

- Niewiele osób ją popiera.

- I co pan myśli, co tam się stanie?

- Nie jestem pewny. Opuściłem kraj przeszło rok temu. Nie zaglądam tam nawet na krótko, mimo że często odwiedzam Botswanę.

- Botswanę?

- Mniejsze państwo na północny zachód od RPA. Są tam piękne rezerваты.

- Nie lubię dzikich zwierzątek. Okay jak są za kratkami w zoo, ale nic poza tym. - Taksówkarz aż sapnął. - Ale co z tymi awanturami w RPA, co? Myśli pan, że dojdzie do jakiejś rzezi?

- Armia jest bardzo potężna, ale może dojść do rewolucji. Nigdy i nigdzie nie widziałem aż tyle nienawiści co tam.

- No, nie można winić tych czarnych robaczków. To wszystko ten skurwiel Loxton, ten premier.

- Mój ojciec.

Taksówkarz zadrżał i spojrzał w lusterko, ale pasażer nie wyglądał nawet na dotkniętego.

- Eee, przepraszam - powiedział kierowca - ale każdy może mieć swoje zdanie, no nie?

- Uspokój się pan. Zgadzam się całkowicie. To rzeczywiście skurwiel.

Gdy taksówkarz wysadził go przy parku otaczającym wielki dom, Max stał przez chwilę bez ruchu i wpatrywał się w ciemne drzewa. Każdego dnia w głębi serca marzył o powrocie do Afryki, ale Saffron miała rację - tutaj przynajmniej czekała ich jakaś przyszłość.

Tak, ojciec to skurwiel. A rewolucja? Armia była chyba zbyt potężna. Wydawało się, że na arenie międzynarodowej zapomniano o RPA. Recesja gospodarcza w Wielkiej Brytanii i USA i problemy na Bliskim Wschodzie odwracały uwagę świata od RPA, mimo że zaostrożono sankcje. Lokacje kipiały nienawiścią i gniewem. Widział w „Wiadomościach”, że Soweto przypominało obóz koncentracyjny - otoczone zasiekami z drutu kolczastego, stale patrolowane przez wojsko.

Godzina policyjna powodowała, że w nocy na ulicach byli tylko żołnierze i policjanci.

Ale jemu wiodło się nieźle. Jego firma lotnicza prosperowała i uważano ją za znakomitą. Dziecko szczęścia - miał więcej pieniędzy niż mógł wydać.

Wszedł po schodach. Olbrzymie drzwi otworzyły się, zanim zdążył zadzwonić.

- Wujek Max!

Coś wpadło na niego jak burza. Prawie stracił równowagę. Wziął chłopczyka na ręce i przytulił. Oczywiście zapomniał - przecież dzisiaj był Sylwester, Victoria wyszła na bal, a Kobus został z Saffron. Miał już prawie trzy lata i bardzo przypominał ojca. Max często czuł skurcze w sercu, gdy na niego patrzył.

- Wujku, pójdziemy zobaczyć Big Bena, proszę, tak?

- Już dawno powinienes być w łóżku!

- Obiecałeś!

- O? Naprawdę? - Max udał zdziwienie, a Kobus zachichotał.

- Dobrze. Jeżeli będziesz grzecznym chłopcem przez następną godzinę lub dwie, zobaczymy, czy coś da się zrobić.

Spojrzał na Saffron stojącą w hallu. W czarnych spodniach i golfie wyglądała uroczo jak zawsze. Ciemne włosy spływały falami na ramiona.

- Co słyszeć u reżyserów?

- A co jest z moim buziakiem na przywitanie?

Max postawił Kobusa na podłodze i objął żonę. Niania przyszła zabrać małego.

- Czas na kąpiel, skarbie.

Max i Saffron poszli na górę się przebrać. Bez względu na to jak często ją widywał, Maxa ciągle oczarowywała piękność Saffron; delikatna linia ciała, jędrne pełne piersi, długie, smukłe nogi i doskonale piękna twarz. Ale dzisiaj zaczął myśleć o rozmowie z taksówkarzem. Czy rzeczywiście oderwał się od RPA? Te twarze, które go wciąż nawiedzały - Kobus i George.

Obaj oddali życie za swoje ideały. A czegoż takiego on dokonał poza robieniem pieniędzy?

- Co cię trapi?

Max odwrócił się i spojrzał na piękną nagą kobietę.

- Już nic - odparł. Wziął ją w ramiona i zaniósł na tapczan.

- Czy chce pan mieć dzieci, doktorze Loxton?

Zaczął ją całować. Czuł, jak owiewa go burza w Karoo, a potem jak stoi w chłodnym, suchym powietrzu i patrzy na krople deszczu uderzające o piasek. Przypląnęła fala świeżości, zapach optymizmu, nowego, budzącego się życia. Jej ciało wygięło się w łuk i poczuł, jak budzi się w niej namiętność.

- Max, och, Max...

Potem leżeli spokojnie obok siebie, ale wkrótce niedobre myśli znowu powróciły. Hotele na bagnach... butelki wina wypite z Kobusem... sparringi z George'em... śmiech, radość, przyjaciele i nadzieja. Gdzie teraz to wszystko?

- Max, powiedz, co cię gryzie?

- Wspomnienia. Gdy wracałem do domu, taksówkarz rozmawiał ze mną o RPA. Saffron, czuję, że zawiodłem moich przyjaciół. Oni zginęli za to, w co wierzyli.

- Max, ciągle rozmawiasz z Kobusem i George'em w swoich snach.

- Z duchami!

- Nie. Przecież kiedyś byli ludźmi z krwi i kości. Znaczyli dla ciebie tak wiele...

Zaczerwienił się.

- Znasz mnie chyba lepiej niż ja sam.

- Wiem, jak się czujesz widząc, że wszystko się rozpada, a ty nie możesz nic zrobić. - Wzięła gazetę i rzuciła na tapczan. - Czytałeś wstępniak w „Timesie”? Piszą, że lokacje przypominają beczkę prochu czekającą tylko na zapalną.

- Po stu latach ucisku to nieuniknione. Ale ojciec na pewno ma coś w zanadru.

Zeszli na dół i stanęli przy kominku w wielkim salonie. Max był z tego pokoju bardzo dumny; pokazano go nawet w programie „Wnętrza”. Poszedł do pokoju dzieciennego na parterze i wziął Kobusa z rąk niani.

- Gotowy?

Podniósł słuchawkę i zadzwonił do garażu.

- James, za chwilę ruszamy.

Przed wyjściem już czekał błękitny rolls-royce. Odjechali cichutko we trójkę. Max siedział z tyłu i tylko czekał, kiedy coś w końcu zauważą.

- Jedziemy złą drogą! - Na twarzy Saffron pojawiło się rozczarowanie i zawód.

- Niespodzianka!

- Ale ja chcę jechać na Trafalgar Square, a potem przejść razem ze wszystkimi pod Big Bena. Wiesz, że zawsze chciałam tak spędzić Sylwestra!

Olbrzymi samochód jechał autostradą na zachód od Londynu. Skręcili na Beaconsfield. Max uśmiechnął się na widok irytacji na twarzy Saffron, gdy James skręcił w piaszczystą drogę między drzewami. W końcu się zatrzymali. Przed nimi płonęło ognisko, a pod zadaszeniem stał stół nakryty do kolacji.

- Najprawdziwszy braai, Saffron.

Saffron spojrzała na niego zimno.

- Chcę zobaczyć Big Bena!

Pół godziny później smażyli mięso nad ogniskiem.

James huśtał Kobusa na kolanie. Max szukał na niebie gwiazd, ale widział tylko chmury. Przypomniawszy sobie czasy, kiedy był małym dzieckiem i smażył mięso razem z matką w jej obozie na Okavango, oczekując Nowego Roku.

O wpół do dwunastej Saffron nie wytrzymała. Spojrzała na niego z oburzeniem.

- Nigdy ci nie wybaczę - do cholery jasnej, przecież obiecałeś!

- Chyba już pora na mały spacer.

Max poprowadził Saffron przez mroczny las, za nimi szedł James z Kobusem. Nagle w ciemnościach nocy rozbłysły strumienie światła. Na betonowym lądowisku tuż przed nimi osiadł czarny helikopter.

- Proszę na pokład.

Wziął Kobusa od Jamesa i wszedł za Saffron do środka.

- Pozwól, Saffron, że ci przedstawię - kapitan Guy Hawkins z Loxton Aviation.

Kapitan Hawkins przekręcił starter i helikopter uniósł się w powietrze. Niemal muskając szczyty drzew lecieli na wschód, do Londynu. Saffron wygodnie rozsiadła się na olbrzymim siedzeniu obok Maxa.

- Powinam się była domyślić - szepnęła.

Max uśmiechnął się. Spod siedzenia wyciągnął butelkę szampana i dwa kieliszki. Kobus piszczał głośno z zachwytu, gdy korek wystrzelił.

- Za moje najnowsze przedsięwzięcie - oznajmił Max. - Za nowy serwis wakacyjny. Ten helikopter, jak i pięć innych, będzie zabierał naszych klientów w najpiękniejsze miejsca na świecie, gdzie nie można dotrzeć inaczej. Gwarancja ekskluzywnej prywatności, ciszy i spokoju!

Właśnie przelatywali nad migoczącym od świateł i pełnym ludzi City. Katedra Świętego Pawła tonęła w blasku różnokolorowych świateł, a Trafalgar Square był wypełniony po brzegi ludźmi. Napięcie i oczekiwanie wydawało się niemal namacalne. Max wskazał tłumy na dole.

- Zmierzają wzdłuż Tamizy do Big Bena. Mamy nad nimi przewagę, możemy podlecieć bliżej.

Kapitan Hawkins spojrział na nich przez ramię.

- Okay, schodzę. Mamy trzy minuty.

Saffron nie mogła w to uwierzyć. Wydawało się, że wystarczy tylko wyciągnąć rękę, a dotknie się tarczy najslynniejszego chronometru w Londynie. Gdy wskazówka dotarła do dwunastki, cały helikopter zadrżał od głębokiego dźwięku dzwonów. Przelecieli nad tłumem ludzi śpiewających w dole.

Kapitan Hawkins znakomicie osadził maszynę na lądowisku koło Parlamentu, a Saffron, Max i mały Kobus przyłączyli się do świętującego tłumy, dzieląc z nim radość Nowego Roku.

*

Było to olśniewające przyjęcie. Wokół długiego stołu zebrała się cała śmietanka prawników brytyjskich. Połyskiwały kandelabry, a orkiestra grała cicho nastrojowe walce Straussa. Szmer rozmów wznosił się i opadał.

Wiele kobiet wyglądało urzekająco, ale żadna nie mogła dorównać Victorii Loxton, która nie wystąpiła w sukni, ale męskim czarnym garniturze. Zbliżała się do czterdziestki i bez względu na okoliczności zawsze twardo powtarzała, że mężczyźni jej nie interesują.

Pomiędzy panami krążyły jednak pełne nadziei plotki, że tak naprawdę marzy o jakimś romansie.

Victoria właśnie rozmawiała z Milesem Lansonem o projekcie budowy tunelu pod kanałem La Manche.

Lanson był Anglikiem, mecenasem sztuki, eks-prawnikiem i milionerem. Ciągłe zaskakiwał przyjaciół dziwnymi projektami, które miały jedną niesamowitą zaletę - zawsze kończyły się powodzeniem.

Wysoki mężczyzna przy końcu stołu wstał.

- Chciałbym życzyć wam wszystkim szczęśliwego Nowego Roku!

Uniósł kieliszek patrząc wymownie na Victorię, która odwzajemniła się niewinnym uśmiechem. Już od roku sędzia Dalling usiłował ją uwieść i zdaje się, że miał właśnie zamiar przypuścić nowy atak. Miała w nosie nienawistne spojrzenia jego żony. Jeżeli ta kobieta podejrzewała ją o romans ze swoim mężem, musiała być naprawdę idiotką. Nagle przyszedł jej na myśl Kobus i pożałowała, że nie została z nim w domu.

Miles Lanson poprosił ją na parkiet. Zatańczyła więc walca, a kiedy wrócili do stolika, znalazła czekającą na nią wiadomość.

- Proszę mi wybaczyć. Jakiś telefon - najwidoczniej bardzo ważny.

W westybulu szybko wykręciła numer wiejskiego domu Milnerów w Sussex.

- Anthony...? O Boże! Już jadę!

Najnowszy model lotusa, jej jedyna ekstrawagancja, czekał na nią na parkingu. Zapaliła, wrzuciła pierwszy bieg, a potem przycisnęła gaz. Szybkościomierz skoczył do przodu. Aż wgniotło ją w fotel, gdy maszyna przyspieszyła gwałtownie. Jazda do szpitala nie zabierze więcej niż godzinę...

*

Z warkotem śmigieł helikopter dotknął ziemi. Mały szpital mieścił się w zaadaptowanym na ten cel dworku niedaleko posiadłości Milnerów. Gdy Saffron i Max biegli do wejścia, zobaczyli na parkingu samochód Victorii.

Przy recepcji powitała ich pielęgniarzka.

- Czekają na państwa. Trzecie drzwi na lewo. Proszę zachować ciszę, nie jest z nią najlepiej.

Pokój był jasno oświetlony. Anthony pochylał się nad łóżkiem trzymając Lucinę za rękę. Obok stała Victoria. Odwróciła się, gdy weszli.

- Dzięki Bogu, jesteście. Chodźcie.

Max wpatrywał się w kredowobiałą twarz najmłodszej siostry, którą tak bardzo kochał od chwili, gdy się urodziła. W jej oczach dostrzegł błysk przytomności.

- Max - Lucinda mówiła z wyraźnym trudem. - Max, zawsze byłeś taki dobry...

Usłyszał szloch. To płakał Anthony. Jakie to dziwne - dorosły mężczyzna który płacze.

Victoria gestem poprosiła wszystkich o opuszczenie sali, ale Lucinda odezwała się znowu:

- Max, nie pozwól, żeby się tym zamartwiał... - Jej wzrok ześliznął się z brata na męża. - Anthony, weź mnie za rękę.

Anthony wstał, otarł łzy i mocno ścisnął jej prawą dłoń.

- Kochanie, wszystko będzie dobrze - szepnął.

Ale wiedzieli, że kłamał. Na jej twarzy zaległ już cień śmierci. Lucinda miała tak ciężkie życie. Nie, nie było sprawiedliwości na tym świecie.

- Bądź silny - wyszeptała Lucinda. - Chcę, żebyś był szczęśliwy. Anthony...

Jej oczy zamknęły się na zawsze, a na twarzy pojawił się spokój wieczności.

*

Pierwsze promyki poranka delikatnie oświetliły salon, w którym siedzieli razem w czwórce, przygnębieni nie do opisania.

- Nie mam pojęcia, kto dostarczył tego konia - po raz trzeci oświadczył lord Milner.

Max popatrzył na niego ze znużeniem.

- Zawsze była impulsywna.

- Gdyby poczekała na Jacksona! On nigdy nie pozwoliłby na tę jazdę... Znaleźliśmy ją dopiero po sześciu godzinach. Z początku myślałem, że wszystko będzie dobrze, ale nagle jej stan się pogorszył. Okazało się, że miała pęknięcie kręgów szyjnych. Doznała uszkodzeń mózgu. Nigdy nie mogłaby chodzić...

Victoria wpatrywała się w niego z napięciem.

- Więc poprosiłaś lekarza...?

- Tak.

Gdy objęła go, wyjaśnił cicho:

- Była tak pełna życia, Vicky. Widzieć ją kaleką, upośledzoną umysłowo...

- Niewielu ludzi, których znam, podjęłoby taką decyzję - szepnęła Vicky. - Zobaczysz, kiedyś ten potworny czas rozpaczy minie i pozostaną tylko wspomnienia pięknych chwil, które spędziliście razem. I tylko to się liczy. Ja nauczyłam się żyć ze śmiercią.

Max wstał. Był znużony i przygnębiony.

- Musimy iść, Anthony. Mam nadzieję, że przyjedziesz i pomieszkasz z nami choć trochę. Sądzę, że to pomoże ci się pozbierać.

Później zeszli razem z Saffron na wilgotny od rosy trawnik i patrzyli na lądujący helikopter. W drodze do Londynu prawie nie zamienili słowa. W sercu Maxa szalała burza, obsesyjnie narzucały mu się myśli o Lucindzie i Afryce. Miał poczucie straty, której nie potrafił znieść. Co on, do cholery, robił ze swoim życiem?

*

Wielka limuzyna zatrzymała się i szofer otworzył drzwi.

Nagle w oddali rozległ się hałas eksplozji. Obaj, David Loxton i szofer, odwrócili głowy, żeby się zorientować skąd dochodził huk. Parę mil dalej na południe ku niebu zaczął się wznosić grzybek dymu.

- Znowu bomba - wściekle mruczał pod nosem David Loxton, wchodząc w cień bramy z czerwonej cegły, za którą mieściła się główna siedziba sztabu armii RPA w Voortrekker Heights. Żołnierz stanął na baczność.

- Spocznij. - Podobała mu się wojskowa precyzja.

Przynajmniej tutaj każdy miał oczy otwarte.

Z zadowoleniem zauważył, że nikt jeszcze nie przybył. Mała salka była pusta. Lubił przybywać wcześniej na konferencje; dawało to czas na uporządkowanie myśli. Usiadł u szczytu hebanowego stołu i patrzył na portret doktora Daniela Francois Malana, głównego teoretyka apartheidu.

- A jak ty byś to rozegrał, Danny?

David nie czuł tego optymizmu, który zawsze przychodzi z początkiem nowego roku. Bardzo go ucieszyła wiadomość, że udało się sprzątnąć Lucinę, ale wydarzenia ubiegłej nocy wykreśliły ten radosny fakt z jego pamięci. Zeszłej nocy nowa olbrzymia bomba podłożona w Sandton City, ekskluzywnym centrum handlowym bogatych przedmieść Johannesburga, zabiła przeszło siedemdziesiąt osób witających Nowy Rok. Podobne eksplozje i zbliżone liczby ofiar zanotowano we wszystkich większych miastach kraju.

Nadszedł już chyba czas pokazać tym skurwielom, kto tu rządzi. Rozwinął przyniesioną mapę i przyjrzał się uważnie zakreślonym na czerwono terenom. Soweto rozrosło się okropnie w ciągu ostatnich lat i oficjalnie mieszkały tam prawie cztery miliony ludzi - nie dopuszczał do siebie myśli o prawdziwej liczbie mieszkańców. Gdzieś w środku Soweto ukrywał się mózg wszystkich rozruchów, tego był pewny. Wiadomo było, że większość czarnych nie popierała przemocy, ale ktoś organizował zamieszki w lokacjach, aby wzniecać niepokój i wzburzenie. Ale kto? Ktokolwiek to był, trzeba się z nim rozprawić i to szybko.

Problem w tym, że wojsko musiało pozostawać na zewnątrz i dlatego mogli kontrolować jedynie wchodzących i wychodzących z Soweto. Aby wdrzeć się do środka, trzeba by użyć wozów pancernych, Casspirów, i oddziałów antyterrorystycznych. A kiedy tylko otwierali ogień do czarnuchów, pyskowano o tym na całym świecie. Pomimo wszystkich restrykcji cenzuralnych, jakie nałożył na prasę, radio czy telewizję, część wiadomości o różnych okrucieństwach przedostawała się na zewnątrz. Wrócił pamięcią do zeszłego miesiąca, kiedy po raz pierwszy użyto broni maszynowej typu LA. W Meadowlands, na przedmieściu Soweto, zaczęły się jakieś rozruchy, więc wezwano brygady specjalne. Młody żołnierz, trafiony w twarz rzuconym przez kogoś kamieniem, dostał szalu i rozpętał piekło używając nowej broni maszynowej. Dwieście pięćdziesiąt osób leżało martwych, gdy ochłonął, a wypadek znalazł się na pierwszych stronach wszystkich gazet na świecie.

David uśmiechnął się. Przynajmniej miał z tego niezłe zyski. Ten jeden wypadek zwiększył zamówienia kontrahentów zagranicznych do kosmicznych rozmiarów. Ale pociągnął też za sobą trwający do dziś odwet czarnych.

Spojrzał na zegarek i w tym momencie usłyszał, jak nadchodzą inni. Najpierw generał Jurie Smit, główny dowódca armii. Loxton uściskał mu dłoń.

- Mam nadzieję na dobre wiadomości.
- Lepsze niż mógłbyś sobie wymarzyć, kolego.

Następnie doktor Preusser, szczupły, o zapadniętych policzkach i oczach płonących za szkłem okularów w stalowej oprawie.

Major Hurst wszedł ostatni, zamykając za sobą drzwi sali konferencyjnej. David wstał i wyciągnął do niego rękę.

- Dobrze, że pan tu dzisiaj przyszedł, majorze.
- To dla mnie przyjemność, sir.

David poczekał, aż wszyscy trzej usiądą i zaczął mówić, wolno spacerując wokół stołu.

- Problem jest w tym, panowie, że tracimy kontrolę nad lokacjami. Stały się dla nas strefami zakazanymi. Wszyscy dobrze o tym wiemy, ale dzisiaj musimy się zdecydować, jakie podejmiemy kroki. Prezydent i ja spędziliśmy prawie całe Boże Narodzenie na rozważaniu różnych projektów, ale zamachy bombowe w ostatnich dniach przyspieszyły nasze decyle. Chcemy ugodzić tych skurwieli tam, gdzie ich najbardziej zaboli. Chcemy im pokazać, kto rządzi w RPA i kto tu jest panem.

Z zadowoleniem zauważył, że wszyscy się uśmiechnęli. Wszyscy myśleli tak samo i to samo - dlatego wybrał do tej operacji właśnie ich.

- Nas czterech i Dolph Klopper - powiedział. - Nikomu więcej nie wolno się o tym dowiedzieć. Czy to jasne?

Trzej mężczyźni skinęli głowami i w napięciu czekali na dalszy ciąg.

- W porządku - powiedział David. - Przekazuję głos doktorowi Preusserowi, szefowi oddziału badawczego w Terminalu. Opowie panom o planie „Kobra”.

Całe życie doktor Preusser czekał na taką okazję.

Lekko drżały mu ręce, gdy wstał. Spojrzał na zgromadzonych mężczyzn i na jego zazwyczaj kamienną twarz wypełził nikły uśmiešek.

- W Terminalu - zaczął - rozwijamy produkcję broni chemicznej już od dziesięciu lat. Sprzedajemy ją na Bliski Wschód i Ameryce Południowej. Ale w sytuacji walki konwencjonalnej, jak panowie zapewne się orientujecie, taka broń ma bardzo małą użyteczność, bo może zabić tylko samych wrogów, a nie własnych żołnierzy. Ale miasto pełne cywilów to inna historia! Konsekwencje eksplozji broni chemicznej w mieście są niewiarygodne - umierają praktycznie wszyscy. A co lepsze, po paru tygodniach teren znowu nadaje się do zamieszkania. Wszyscy obecni przy wybuchu zginą. Nazwę to chorobą toksyczną na wasz użytek, techniczne szczegóły zachowam w tajemnicy. Krótko mówiąc, Kobra to broń ostateczna.

Generał Smit wpatrywał się z napięciem w Preussera.

- Szkody?

- Prawie żadne. Nikt nie będzie wiedział, co się stało. Po prostu rumosze. W promieniu trzech kilometrów wszyscy będą martwi.

Ten ostatni komentarz był jak kamień rzucony na cichą powierzchnię stawu. David gestem poprosił doktora Preussera, aby usiadł. Sam wstał, oparł ręce o stół i przesunął wzrokiem po każdym z nich po kolei, zanim przemówił:

- A co najważniejsze - powiedział - w przeciwieństwie do prawdziwej koby, nasza wystrzeli swój jad bez ostrzeżenia. W lokacjach jest pełno tych ścierwojadów, ale potrafimy ich zlokalizować. Kobra uderzy w samo serce, zniszczy ich duszę.

Jurie Smit spojrzał na Davida.

- Po jednej na każdą lokację?

- W końcu i tak będzie. Ale na razie proponuję tylko jedną - dla Soweto.

Wskazał ręką majora Hursta.

- Pan, majorze, zasłużył sobie na prawo detonowania jej.

- Kiedy będziemy mieli decyzję, sir?

- Kobra będzie gotowa w tym mieszcisku - wtrącił się Preusser.

Oczy Davida zwęziły się, gdy patrzył na Hursta.

- Oto odpowiedź dla pana, majorze. Oczywiście będzie pan musiał chodzić po Soweto w przebraniu. Moi ludzie donoszą, że większość akcji terrorystycznych jest sterowana z Soweto.

- Czy Kobra będzie duża?

- Ja, i z tym będzie problem. Ale mam pewne rozwiązanie. Jest to broń binarna - dwie cząsteczki są zupełnie niegroźne, dopóki się ich nie połączą, bo wtedy następuje śmiertelna reakcja łańcuchowa. Wienc użyjemy dwóch cystern na paliwo. Detonacji dokonają za pomocą zapalnika elektronicznego sterowanego na odległość.

David cały promieniał.

- Dziękujemy, doktorze - oświadczył. - Majorze, może pan zaczynać. Przez cały miesiąc będzie pan przebywał tu, w koszarach.

- Tak, sir. - Major Hurst wyszedł sprężystym krokiem.

Pozostali trzej jeszcze rozmawiali.

- On wszystkiego dopilnuje - szepnął David do Jurie Smita.

- On nie spierzy roboty - głośno powiedział Jurie.

David poczerwieniał. Nigdy nie zapomną, że on, David Loxton, był odpowiedzialny za klęskę planu Harare. Te wspomnienia będą go ścigać do końca życia.

*

Major Hurst doskonale rozumiał, że miał pozostać w koszarach, ale nienawidził zamknięcia. W każdym razie, co to za bezczelność trzymać go tu jak w puszcze.

Czyżby mu nie ufali? Już dwa dni upłynęły od spotkania z Davidem Loxtonem. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej był wściekły. Czuł się jak lokaj - żaden honor to jego zadanie, żadnej satysfakcji z zabijania. Otrzymał dokładne instrukcje od doktora Preussera. Zabijanie przyciskiem pilota!

Włożył spodnie od dresu i powiedział jednemu z oficerów, że wybiera się na dłuższy bieg. Wybiegł z koszar. Parę minut później prześliznął się pod drucianym ogrodzeniem. Niedaleko, w garażu, miał samochód, którego często używał przy wykonywaniu różnych zadań.

Usiadł za kierownicą i poczuł dreszcz podniecenia.

Jechał z wizytą do niej.

Ta obsesja zaczęła się parę miesięcy temu. Sprawy seksu zawsze załatwiał z prostytutkami - zadowolenie, zapłata i z głowy. Żadnych dłuższych związków, żadnych problemów uczuciowych. Ale to było coś zupełnie innego. Po pierwsze, ona była Kololedką.

Nie przepadał za Koloredami, uważał ich za coś w rodzaju hybryd. Ale ona była niezwykła, zwłaszcza te niebieskie oczy. W zasadzie, gdyby człowiek nie widział jej papierów, mógłby pomyśleć że to biała. Podniecało go to w dziwny sposób - sądził, że łamie jakieś bariery.

Był w tym element ekscytującej tajemniczości.

Nie potrafił sobie przypomnieć, gdzie się spotkali po raz pierwszy. Wydawało mu się, że zawsze była gdzieś w pobliżu, kiedy miał wolne. Kiedyś dostrzegł ją w barze, potem na potańcówce, na którą wybrał się razem ze swoimi ludźmi. Najwyraźniej był to zbieg okoliczności - ich spotkaniem kierowało przeznaczenie. I wcale nie była dziwką.

Parę razy zaprosił ją na obiad. Nie chciał z nią sypiać - na razie. Miał czas. Czuł, że warto poczekać.

Cudownie było znów prowadzić wóz, rozkoszować się uczuciem wolności. W oddali, nad Soweto, wisiało brudnobłękitne niebo. Może i robił z siebie durnia pędząc do niej z wizytą bez zapowiedzi. Ale musi zobaczyć ją natychmiast. Tęsknota za nią była siłą potężniejszą nawet niż chęć zabijania.

*

Marie usłyszała pukanie do drzwi i wyczuła, że nie jest to żaden z jej zwykłych gości. Rzut oka przez judasza - i aż się cofnęła. To on, major Hurst! Boże! Pobiegła na tyły domku i kazała Annie zabrać Morgana. Ten gość zostanie tu przez dłuższy czas; Anna musi wywieźć Morgana do Soweto, do Brendy Zwane.

Ubrała się szybko. Chciała wyglądać atrakcyjnie.

Przez głowę przebiegały jej różne myśli. Przypomniała sobie swoją nienawiść do rządu, głębokie, osobiste pragnienie zemsty, które zawiodło ją w szeregi AKW.

Pamiętała pierwsze spotkanie z Brendą Zwane i zrozumienie, jakie Brenda jej okazała. Przypomniała sobie okropne poczucie winy za te lata, które przeżyła z Dolphem, a potem różne plany zbudowania lepszej RPA.

Spotkanie tego człowieka... Marie pojawiała się we wszystkich miejscach, w których bywał. Zawsze usiłowała wpaść mu w oko, zainteresować go i w końcu się udało. Na razie żadnego seksu. Jezu, to koszmarnie udawać, że się kocha kogoś, kogo się nienawidzi.

Łomot do drzwi. Gotowa, podbiegła żeby otworzyć.

Na początku udawała zdziwienie, ale szybko rozchyliła usta w uśmiechu.

- Ian...

Pocałował ją namiętnie.

- Musiałem cię zobaczyć, Marie.

Weszli do domku. Jego oczy przesuwaly się po wszystkim uważnie. Czula się upokorzona.

- Herbaty?

Bala się go. Słyszala pogłoski o jego działalności. Uczynila już sporo dla AKW - przenosiła dokumenty, przemycala w swoim samochodzie broń do lokacji - robila wszystko, co mogła, żeby pomóc. Ale Hurst to powazna sprawa - i szansa, żeby naprawdę uderzyć Dolpha.

- Masz może piwo?

Przyniosła mu puszkę, a dla siebie filiżankę herbaty.

Odetchnęła głęboko i usiadła obok niego.

- Gdzie twój syn? - zapytał.

- Morgan jest u koleżanki.

Patrzac na nią major Hurst wiedzial, że to właśnie jego typ kobiety, mimo że była kolorowa; ta pończta figura, obfity biust i zmysłowe usta. Czasami wydawalo mu się, że już ją kiedyś wcześniej widzial, ale nie był pewny. Obrócił się ku niej i ich wargi zbliżyły się.

Zaczęli się całować. Czula się cudownie. Przesuwal dłońmi po jej ciele. Nie opierala się, ale nie mógł jej przestraszyć ani ponagląc. Nie chcial, żeby to się skonczyło. Część jego ego obawiala się, ale druga część była rozpaczliwie podniecona. Czula się słaby i wrażliwy.

- Co właściwie robisz w wojsku, Ian? - spytała. - Czy nie denerwuje cię wysłuchiwanie cudzych rozkazów?

- Nie, wcale nie - skłamał.

- Jesteś taki inteligentny, powinieneś mieć lepsze stanowisko. Major nie zarabia zbyt duzo.

- Wojsko to moje życie.

- Wojsko? Nie można ożenić się z wojskiem. Trzeba żyć, nie tylko pracować.

Milczal. Zdenerwowala go, bo miała rację. Obrażala go. Dlaczego twierdzila, że jego zawód nie był wystarczajaco dobry?

- Mimo że służę tylko w randze majora, powierza mi się powazne sprawy.

Pociagnęła go za włosy i spojrzala mu w oczy:

- Pilnujesz mundurów?

Śmiała się i szturchnęła go lekko w brzuch. Nie uważal tego za zabawne.

- Armia rządzi tym krajem - rzekł sztywno. - Wielu ludzi o tym nie wie. To my mamy prawdziwą władzę.

- Daj spokój, słuchasz tylko rozkazów polityków, takich jak Dolph Klopper. Jesteś pionkiem w cudzej grze.

Dlaczego w ogóle jej słuchał? Nie potrzebował niczego wyjaśniać. Pragnął ją często widywać, ale przede wszystkim chciał, żeby go szanowała.

- Owszem, wydają mi rozkazy, ale jestem wolnym agentem. Czy chcę ich słuchać czy nie, zależy tylko ode mnie. Biorę udział w tajnych operacjach.

Zacisnęła usta, jakby chciała stłumić uśmiech, a potem powiedziała imitując jego głos:

- Nazywam się Hurst. Jestem tajnym agentem.

Wkurzył się.

- Słuchaj, Marie, to nie żarty. Mego nazwiska nie znajdziesz w podręcznikach do historii, ale moje ostatnie zadanie będzie jej częścią!

Wstała i przyklękła obok niego.

- Przepraszam, Ian. Chciałam tylko się podroczyć... Jesteś taki spięty.

Potrzeba przyjaciela, kogoś z kim mógłby porozmawiać, zawsze tkwiła gdzieś w jego duszy. Teraz znalazł taką osobę.

Poczuł się dziwnie wzniośle.

- Tysiące ludzi, może setki tysięcy, umrze już niedługo, w jednej sekundzie - oznajmił.

Nagle była gdzieś daleko.

- Zrobię kawy - powiedziała.

W kuchni mocno zacisnęła dłonie na blacie stołu, aż jej pobieleły kostki. Boże, co oni planowali? Musi to odkryć. Musi być z nim, nie ma już odwrotu. Musi dowiedzieć się, co podłego szykowali.

Wróciła z kawą do saloniku.

- To co powiedziałaś - w jej głosie drżała dostateczna nuta strachu i podniecenia - jest niewiarygodne.

- Dostaję rozkazy z góry - pochwalił się. - Z samej góry.

Wyszedł po godzinie obiecując sobie, że nigdy tu już nie wróci. Za dużo powiedział, ale tylko dlatego, że go rozdrażniła. Problem w tym, że jej potrzebował.

Jechał szybko. Już czas na powrót do koszar.

*

Zostawszy sama, Marie zadała sobie pytanie, jaką cenę będzie musiała zapłacić, żeby wydobyć z niego więcej informacji. Już i tak ich znajomość stała się zażyłą.

Przerazała ją świadomość, że zapewne mówił prawdę.

Ktoś zapukał do tylnych drzwi domku. Szybko owinęła się szlafrokiem i otworzyła drzwi na oścież. Stała w nich Brenda z Morganem na rękach.

- Anna powiedziała mi, że przyszedł - rzekła poważnym tonem Brenda.

- Nie cierpię go! - krzyknęła Marie. - Czuję obrzydzenie do jego pocałunków!

Brenda ścisnęła jej ramię.

- Uspokój się. Morgan musi pójść spać.

Marie wzięła dziecko i ułożyła w łóżeczku, pocałowała na dobranoc i wróciła do pokoju.

Brenda objęła ją.

- Tak mi przykro, Marie. Tak mi przykro, że to musisz być ty.

- Nie przepraszaj. Ilu twoich braci musiałoby zginąć, żeby złapać taki trop?

Brenda posadziła ją na kanapie. Spojrzała w jej ciemnobłękitne oczy.

- Więc, Marie?

- Zobaczę się z nim znowu. Mam w sobie tyle nienawiści, że starczy na całe życie.

- Czy powiedział coś jeszcze?

- Tak, ale muszę się dowiedzieć więcej. Cokolwiek planują, będzie to związane z wymordowaniem setek tysięcy ludzi.

- Nie! Mój Boże!

- Ten gnój się we mnie zakochał. Podobno ma rozkaz siedzieć w Voortrekkerhoogte aż do czasu akcji, ale się wymyka, żeby mnie zobaczyć.

- Wróci. Wtedy może dowiesz się więcej.

*

Oficer objechał go porządnie za tak długą nieobecność, ale nie przejął się tym specjalnie. Prześladowały go wspomnienia o Harare - jak David Loxton wychlapał całą historię o bombach synalkowi. A teraz on, major Hurst, wpadł w tę samą pułapkę.

Jak mógł się okazać takim durniem? Była Koloredką, a Koloredzi to zdrajcy już z samej definicji. Nie wolno jej ufać. Był winien posłuszeństwo armii, armii i zabijaniu, które mu gwarantowała, jego pierwszej miłości.

Teraz zdradził je obie, naraził bezpieczeństwo Operacji Kobra.

Nie miał wyboru. Będzie musiał ją zabić, i to wszystko.

*

- Durny skurwysyn!

David stał na trawniku w mroźnym świetle poranka.

Generał Jurie Smit znajdował się tuż przy nim, chłodny i wyprostowany.

- Dzięki Bogu, że kazałeś go śledzić, Davidzie.

- Sądziłem, że jest bezbłędny.

- Każdy człowiek ma swoją słabośćkę.

Ten komentarz powstrzymał Davida przed kolejnymi obelgami pod adresem Hursta. Zaczął spacerować nerwowo. Jego umysł pracował szybko.

- Jurie, musisz zdobyć nazwisko i numer identyfikacyjny tej kolorowej i przepuścić to przez komputer. Musimy mieć o niej wszystko - krewnych, przyjaciół, etc. Nie wolno dopuścić, żeby Hurst się o tym dowiedział. Niech odwiedza ją nadal.

*

Świat Marie nagle zrobił się strasznie mały. Obawiała się wychodzić z domu, bo major Hurst mógłby przyjść i jej nie zastać. Jak go pociągnąć za język? Życie tysiąca ludzkich istnień zależało teraz od niej. Nie może, nie wolno jej zaniedbać sprawy.

Późno wieczorem, dwa tygodnie po pierwszej wizycie, dzwonek zadzwonił. Spojrzała przez uchylone zasłony i zobaczyła na progu Hursta. Zmówiła szybko pacierz i poszła otworzyć, wyglądając na piersi półprzezroczystą bluzkę...

Spędzili razem przeszło dwie godziny. Kiedy wrócił do koszar, był cały mokry od potu. Zrozumiał, że nie potrafiłby zabić Marie. Zakochał się.

To stało się tak nagle, wpełzło cichaczem i ogarnęło całą jego istotę. Znalazł się w pułapce. Ale w sumie, czy to rzeczywiście miało znaczenie? Jego sekret był bezpieczny - ona się nie wygada. Tego był pewny.

*

Notariusz zatrzymał wóz przed imponującym dworkiem i poprawił krawat. Nie miał zbyt wiele pracy przy Milnerze, ale wysoko cenił tego klienta, gdyż robiło mu to świetną reklamę. Kamerdyner otworzył drzwi samochodu. Notariusz wysiadł. U szczytu schodów stał lord Milner - angielski arystokrata w każdym calu.

- Dzień dobry, Riley.

Wbiegł po schodach i uściśnęli sobie ręce.

- Moje kondolencje, sir. To musiał być dla pana straszny wstrząs.

Lord Milner pochylił głowę.

- Proszę do środka. Nancy przygotowała herbatę w letnim saloniku.

Gdy notariusz szedł za lordem przez długi korytarz, przodkowie Milnera patrzyli na niego ze ścian. Dom świadczył o olbrzymim majątku właściciela. Letni salon był wesołym zakątkiem, pełnym trzcinowych mebli. W ogromnych oknach wisały kolorowe zasłony.

Lord Milner usiadł pod oknem przy stoliku, na którym stała taca ze srebrnym dzbankiem i porcelanowymi filiżankami.

- Czy przyniósł pan testament?

Riley pochylił się i wyciągnął ze skórzanej aktówki białą kopertę.

- Klauzule bardzo proste. Ale napisała też list do pana. Jest tu, w tej kopercie.

Lucinda zostawiła cały majątek mężowi, łącznie z dwoma farmami w Botswanie, odziedziczonymi po matce.

Była to spora posiadłość.

- Nigdy nie sądziłem, że miała aż tyle własnych pieniędzy - stwierdził lord Milner. Otworzył zapieczętowaną kopertę. W środku był list pisany niedbałym pismem Lucindy i dwie inne, też zapieczętowane koperty.

- Proszę się nie obrazić, ale chciałbym to przeczytać w samotności.

- Ależ oczywiście, lordzie Milner. Czy mam dopilnować przelewu pieniędzy na pańskie konto?

- To nie będzie konieczne. Proszę je przekazać na fundusz powierniczy dziecka Victorii Loxton. Lucinda z pewnością by tego chciała.

Po odejściu notariusza lord Milner przeczytał ostatni list Lucindy.

Anthony, nie rozpaczaj. Nie wiem czemu, ale zawsze przeczuwałam, że umrę młodo i dlatego piszę ten list. Przygotowuję się...

Znajdziesz tu dwie inne koperty. Pierwszej, adresowanej do Davida, nie wolno ci otwierać. Jeżeli kiedykolwiek ojciec zagrozi mojej siostrze lub bratu, wtedy ją otworzysz, ale na razie ukryj ją w bezpiecznym miejscu. Proszę cię o to.

Drugą kopertę otwórz. Znajdziesz tam wskazówki, gdzie ukryłam mój autoportret namalowany niedługo po naszym pierwszym spotkaniu. Nigdy w życiu nie byłam bardziej szczęśliwa niż z tobą. Idź po ten obraz, jak tylko skończysz czytać. Proszę.

Jak zobaczysz, zostawiam ci dwie farmy na wyspach Okavango. Właścicielem pozostałych jest Max.

Nie sprzedawaj ich, są bezcenne. Nie odwiedzałam ich od czasów dzieciństwa. Nie potrafiłam tam wrócić, bo wszystko przypominało mi matkę, Tracey, i tego człowieka, który mieni się moim ojcem.

Anthony, pragnę, abyś żył, mimo że ja odeszłam.

Nie potrafiłbyś żyć samotnie, więc znajdź nową miłość, nową żonę. Uczyn ją równie szczęśliwą, jak uczyniłeś mnie.

Lucinda

Wszedł na strych i znalazł obraz w miejscu przez nią wskazanym, owinięty w pokrowiec. Zniósł go na dół, do letniego saloniku. Na zewnątrz świeciło słońce, widział, jak wiatr porusza liśćmi drzew. Wyjął obraz. Była na nim tak pełna życia jak zawsze. Ofiarowała mu część siebie na wieki.

Łzy popłynęły mu z oczu. Dużo czasu upłynie, zanim o niej zapomni. Całe życie.

*

Max zacisnął dłoń na słuchawce.

- Tak, mów dalej, Anthony.

Głos po drugiej stronie był chrapliwy i urywany.

- Max, rozmawiałem ze stajennym, który znalazł konia blakającego się po majątku. Taki spokojny zwierzak, pomyślał, zaprowadził go do stajni i od tej pory ujeżdżał regularnie. Niektórzy może kazaliby go uspić, ale ja nie potrafiłem... Nie chcę więcej śmierci... No i któregoś ranka, kiedy jeździł na nim jeden z młodszych stajennych, ktoś niedaleko zaczął gwizdać. Nie do wiary - koń zupełnie oszalał, mało nie zabił biednego chłopaka. Rozumiesz, Max, ten koń został specjalnie wytresowany, żeby tak reagować. Sądzę... o Boże, to zabrzmiało jak majaczenie szaleńca, ale, Max, sądzą, że ktoś to zrobił rozmyślnie. Uważam, że Lucinę zamordowano...

Gdy Max odłożył słuchawkę, przypomniał sobie nagle zjawienie się Davida na sali sądowej w Harare.

Dlaczego przyjechał? Bo Lucinda coś o nim wiedziała... coś, z czym David obawiał się dłużej żyć...

Boże, to niemożliwe! Ten skurwysyn nie mógł zrobić czegoś takiego! A może jednak...?

2

Brenda Zwane z wahaniem otworzyła drzwi. W progu stało dwóch czarnych mężczyzn - jeden gruby, elegancko ubrany, i drugi wysoki, w skórzanych spodniach i kurtce, wyglądający na niebezpiecznego. Twarz wysokiego była przerażająco znajoma. Odezwał się pierwszy:

- Towarzyszko Zwane, posiadacie pewne informacje...

- Moje informacje przeznaczone są dla przywódców narodu.

Wysoki facet wszedł do środka i mocno uderzył ją w twarz. Potem szarpnął ją brutalnie i wciągnął do pokoju. Grubas szedł za nim. Trzasnęły drzwi wejściowe.

- Gadaj.

Brenda poczuła, że żelazny uścisk na jej gardle zelżał, więc słaniając się chciała dojść do krzesła.

- Masz stać, ty dziwko! Pamiętasz mnie? Pamiętasz, co ci zrobiłem?

- Nie, proszę, nie...

- Słyszeliśmy co nieco, ty kupo gnoju. Podobno zadajesz się z tą białą dziwką, co chce uchodzić za kolorową, Marie Jantjies.

- Czy nie wolno mi mieć przyjaciół?

- Gadaj! - wypluł z siebie groźnie grubas siedzący w fotelu.

- To tylko przyjaciółka - nerwowo powiedziała Brenda.

Kumalo wyciągnął ręce i założył je sobie na głowę.

- Przyjaciółka? Wiemy, co dla ciebie robi... Wwozi broń, przynosi wiadomości... a teraz sypia z kimś z armii.

- To jej chłopak.

Grubas strzelił palcami i opadł z powrotem w głąb fotela. Kumalo kopnął Brendę w brzuch. Zatoczyła się.

Rozdarł jej sukienkę, wyciągnął nóż i przesunął lekko po lewej piersi. Krew zaczęła wolno sączyć się z rany.

- Odetnij! - wrzasnął gruby.

- Nie!!!

Kumalo puścił ją. Szlochając upadła na podłogę.

- Jego nazwisko? - zimno zapytał gruby.

- Major Hurst.

- No, już lepiej...

- Mają jakiś plan... Nie wiemy jeszcze, o co chodzi, ale tysiące ludzi ma zginąć...

Kumalo usiadł i ponuro gapił się na portret George'a Zwane nad kominkiem.

- Musisz dowiedzieć się czegoś więcej. Loxton chce nas znaleźć. Może stwierdził, że skoro nie udaje mu się nas dopaść...

- ...postanowił zniszczyć całe Soweto. - Grubas zbladł nagle.

- Taaak... - Kumalo mówił wolno. Poderwał Brendę na nogi. - Musisz posłużyć się tą Jantjies, towarzyszeko, i dowiedzieć się wszystkiego co można. I pamiętaj: jeżeli będziesz chciała nas kiwnąć...

Gładko i sprawnie odciął lewą sutkę Brendy.

*

Max patrzył na bilans i próbował zebrać myśli, ale okazało się to niemożliwe. Wstał od biurka i podszedł do okna. Było południe. Miał przed sobą Londyn z jego czerwonymi autobusami i czarnymi taksówkami, i stojącym na rogu charakterystycznym bobby w granatowym hełmie. Oczy Maxa powędrowały teraz ku portretowi George'a Zwane wykonanemu przez jakiegoś ulicznego malarza z Soweto. W głowie pobrzmiwały mu słowa matki: „Max, bądź zawsze wierny sobie. Rób to, co uważasz za słuszne”.

Czy to właśnie teraz robił? Wcale nie był szczęśliwy.

Każdy dzień przynosił cierpienie, nie kończącą się walkę ze wspomnieniami o miejscu, które kochał. Żył w kłamstwie. W głębi duszy wiedział, że to David kazał zabić Lucindę. I ktoś wpłynął na Sheltona, aby wycofał się z projektu Okavango... Wciąż chciał ukończyć projekt „Botswana 2000”. Jeżeli miał być uczciwy wobec siebie, musiał przyznać, że tego pragnął najbardziej na świecie. Potrzebował czegoś, o co by walczył, za co oddałby życie.

Już uporał się z alkoholizmem, a interes w Londynie będzie funkcjonował i bez niego. Wracał do Botswany, do Afryki.

*

Gdy generał Smit wkroczył do studia na szczycie gmachu, wszyscy operatorzy stanęli na baczność. Gestem nakazał im „spocznij”. Wrócili na swoje stanowiska przed ekranami monitorów na środku sali. Jeden z budynków w Voortrekkerhoogte został oddany do dyspozycji speccom od inwigilacji. Z ekranów w studio można było widzieć każdy pokój w domku Marie. Tak jak generał zażądał, ludzie z wywiadu wykonali wspianą robotę.

- Wszystko gotowe, sir - oznajmił siedzący przed ekranem kapitan Pieterse.

- Kiedy Hurst ma przyjść?

- Nie jestem pewny, sir, chyba niedługo.

- Ona nic nie podejrzewa?

- Nie. O, właśnie nadchodzi, sir! - Generał zauważył majora na lewym górnym ekranie.

W godzinę później generał miał duże kłopoty z odpędzeniem senności.

- Nudne, sir? Proszę sobie wyobrazić, co czujemy oglądając to od tygodnia.

Na ekranach kobieta pochylała się i całowała majora w policzek. Hurst otworzył oczy i patrzył na nią...

- ...I co z twoją ważną misją, Ian?

Hurst wziął głęboki oddech jak przy nurkowaniu.

Musiał zdecydować, co jest bardziej ryzykowne: powiedzenie Marie wszystkiego, czy utracenie jej. Z jakiegoś powodu uważała jego milczenie na temat operacji za przeszkodę w ich dalszej zażyłości. Dlaczego by jej nie powiedzieć? Ale były ważniejsze rzeczy, o których chciał z nią porozmawiać.

- Marie, ja...

- Czy to samochód-pułapka z bombą?

Zignorował pytanie i spróbował ją przytulić, ale opierała się.

- Jaka więc to bomba?

- To nie ma znaczenia - uśmierci każdą żywą istotę w promieniu trzech kilometrów.

- Ale jak?

- To broń chemiczna. Dokładnie nie wiem, jak to działa. Proszę cię tylko, żebyś wyjechała z Soweto w środku stycznia.

- Czy wiesz, co robisz? Czy nic złego ci się nie stanie?

Przyciągnął ją do siebie. Tym razem nie protestowała. Poczł się lepiej.

- Nie, skarbie, to bezpieczna robota. Jedną cysternę przywiozą na określone miejsce, a ja w godzinę później dostarczę następną.

- A jak dokonasz detonacji?

- Sygnałem radiowym. Zdaje się, że to coś bardzo szybko wchodzi w reakcję, a po połączeniu zalega nad ziemią jak mgła. Ważna będzie pogoda, kierunek wiatru, temperatura - te czynniki zadecydują, gdzie umieści się cysterny szesnastego stycznia.

- Czy to gaz paraliżujący?

- Nie mam pojęcia. Doktor Preusser nazywa go Kobra.

Kapitan Pieterse zapalił papierosa i opadł na krzesło.

Przedstawienie prawie skończone. Generał Smit głośno zakaszłał. Nie cierpiał dymu, zwłaszcza gdy znajdował się w małym, zamkniętym pomieszczeniu i musiał wdychać truciznę.

- Chcecie pożyczyć trochę krócej, kapitanie?

- To moje życie, sir.

- Jesteście durniem, Pieterse.

Kapitan pochylił się i patrzył na monitor.

- Hurst wygadał wszystko. A ona od razu wychodzi z domu.

- Tylko mi nie nawalcie!

- Bez obawy. Mamy ją pod obserwacją dwadzieścia cztery godziny na dobę. Pójdzie teraz do Brendy Zwane.

Generał Smit zarechotał.

- Ja, już widzę Brendę Zwane rozbijającą Kobrę!

Rozległ się cichy trzask zamykanych drzwi.

- Sądzę, że idzie do budki telefonicznej. Już ją rozpracowaliśmy, sir. Zainstalowaliśmy podsłuch w budce najbliższej jej domu. Sądzę, że chce się skontaktować z tą Zwane.

*

- Ale co ja mogę zrobić?

Marie rozglądała się bezradnie po barze kawowym pełnym ludzi. Spojrzała w ciemność za oknem, przecinaną smugami światła. Bała się.

Brenda położyła jej rękę na ramieniu.

- Nie martw się, Marie. Morgan jest bezpieczny u Anny, więc uważam, że nie powinnaś teraz wracać do domu. To zbyt niebezpieczne. Możliwe, że Hurst nabierze podejrzeń i wróci.

Coś powiedziało Marie, że Brenda jest tak samo przestraszona jak ona. Aż do tej chwili uważała ją za opanowaną i pewną siebie. Nagle pojęła, jak przytłaczająca jest sprawa, w którą się zaplątała i serce zabiło jej nerwowo.

- Coś nie tak? - spytała.

Ku jej przerażeniu Brenda rozplakała się.

- Towarzysze pragną tej broni, czymkolwiek ona jest. Chcą ją przejąć i użyć. - Przelknęła łyk kawy. - Musisz brnąć dalej, Marie, a ja będę musiała karmić ich fałszywymi informacjami.

- Ja... ja będę musiała jakoś powstrzymać Hursta, tak?

- Czy potrafiłabyś go zabić?

- Nie wiem - wolno powiedziała Marie. - Po prostu nie wiem.

*

- Po co się martwisz, sir? - spokojnie zapytał doktor Preusser. - Jak tylko obie czyszczysz polonczom, nikt nie może przerwać reakcji - śmiertelny jad Kobry wytworzy się w milisekundzie.

Klopper właśnie odkrył przed Preusserem możliwość przecieku - ktoś mógłby spróbować odnaleźć i rozbroić mechanizm. Doktor ani trochę się nie przejął. Doprawdy -

pomyślał - ten Klopper musi być szurnięty jeżeli sądzi, że ktoś mógłby przerwać reakcję, gdy została już zainicjowana.

Jednak Kloppera to nie uspokoiło. Patrzył zimno na Preussera.

- Jeżeli Kobra nie wybuchnie, jeśli ta baba znajdzie sposób, żeby ją rozbroić, będziesz skończony.

- Nie może nie wybuchnoncz - dufnie stwierdził Preusser.

- Ale pamiętaj, jeżeli nie wybuchnie - będziesz trupem!

Co za dużo to niezdrowo! Nie miał ochoty wysłuchiwać tych pogroźek! Zerwał się, żeby wyjść, ale jeden z goryli Kloppera podskoczył ku niemu, złapał za ramiona i ponownie posadził w fotelu.

Twarz Kloppera wykrzywił grymas.

- Dziękuję, Jan, nie będzie już żadnych kłopotów. Doktor nie jest przecież idiotą.

Doktor aż się zatrzęsł z wściekłości. Czego ten facet znowu chce?

- Kto jeszcze wie o bombie? - krótko spytał Klopper.

- To znaczy jak ona działa? Tylko ja jeden wiem wszystko o urzondzeniu detonujoncy. Specjalnie podzieliliśmy wszystko na małe kawałeczki. Nie ma sposobu, żeby ktokolwiek odgadł, jak funkcjonuje całość - tylko ja.

Klopper uśmiechnął się uprzejmie.

- Muszę zatem pogratulować panu ostrożności. Więc tylko ja, David Loxton, generał Smit i pan wiemy o bombie? A, no i oczywiście nasz major Hurst i jego baba-szpieg.

- Tak, sir.

- W porządku, sądzę, że to wszystko, doktorze. Jan, proszę odprowadzić doktora.

Na zewnątrz już zapadł zmierzch. Preussera wepchnięto do jednej z rządowych limuzyn. Jan usiadł obok niego na tylnym siedzeniu. Kierowca ruszył bez rozkazu kierując się na północ.

- Dokont jedziemy?

- Prezydent chce pana ukryć w bezpiecznym miejscu.

- Ale ja muszem nadzorowacz operacje końcowe...

Nie poskutkowało. Ostatecznie, sam powiedział Klopperowi, że bomba została ukończona. W końcu czym się tu martwić?

Zjechali z głównej szosy i skręcili w wąską drogę.

W ciemnościach Preusser dostrzegł zarys łańcucha gór i wysokich drzew po obu stronach drogi. Zapewne jechali na jakąś farmę, bezpieczną kryjówkę, którą dla niego przygotowali.

Nagle samochód zatrzymał się. Jan wysiadł, ale szofer się nie ruszył. Silnik ciągle pracował, a światła świeciły.

- Wsiadka, doktorze - rzucił Jan otwierając drzwi.

Preusser wysiadł niechętnie.

- Tutaj... tutaj nic nie ma!

- Owszem, jest. Dom znajduje się za tym pagórkiem. Zostawiliśmy włączone światła, żeby mógł pan trafić.

Preusser spojrzał nerwowo na Jana, który gestem kazał mu ruszać naprzód. Niechętnie zrobił parę kroków przed siebie, usiłując wypatrzeć w ciemnościach dom. Wszedł na szczyt wzgórza, ale absolutnie nic nie zobaczył.

Z tyłu dobiegło go wołanie. Odwrócił się.

- Dobrze, Preusser!

Patrzył w oślepiające strumienie światła i już chciał odpowiedzieć, kiedy seria pocisków z LA, broni którą sam stworzył, przeszła go na wylot.

*

David Loxton był wściekły. Zdaje się, że Preussera usunięto, i to bez jego zgody! Doprawdy, nie mógł tolerować takiego wtrącania się w swoje sprawy.

- Gdzie on jest?

Dolph Klopper wstał i otoczył Davida ramieniem, ale to wkurzyło Loxtona jeszcze bardziej.

- Nie martw się, przyjacielu, jest w dobrym towarzystwie. Nie chcemy żadnych przecieków jak ostatnim razem...

- Wtedy była inna sytuacja. Moje życie było zagrożone.

Klopper spojrzał na niego twardo.

- Ja zajmę się reakcją świata. Nie ma się czego obawiać. Jestem pewny, że twoja Kobra uderzy śmiertelnie, tak jak obiecałeś.

*

Max siedział zadowolony w firmowym odrzutowcu. Decyzja powrotu do Afryki okazała się nieoczekiwanie łatwa i, ku jego zdziwieniu, Saffron go poparła. Zaaklimatyzował się na kontynencie błyskawicznie, jak gdyby nigdy stamtąd nie wyjeżdżał. Właśnie teraz był w drodze do Gaborone, do Botswany. Zamierzał udać się na bagna. Chciał przyjrzeć się bliżej fundamentom kompleksu hotelowego i opracować dalsze posunięcia. Był zdecydowany wznowić prace i odnieść sukces. Wreszcie zrobi coś, co będzie miało znaczenie, co pozwoli mu uczcić pamięć dwóch przyjaciół: George'a Zwane i Kobusa van der Posta. Tym razem -

powiedział sobie - jego marzenie, największy projekt ekologiczny na świecie, stanie się rzeczywistością. Poprzednio przegrał, ale niech go diabli wezmą, jeżeli przegra tym razem!

Wieczorem wylądował w Gaborone. Gdy zszedł po drabince, uderzył go zapach powietrza - ostry, gorący - i poczuł się znowu młody i pełen energii. Czekał na niego land-rover, a personel lotniska pomógł zapakować walizki do bagażnika. Nie było żadnych problemów z celnikami. To oczywiste, że doktor Max Loxton, człowiek który aż tyle uczynił dla Botswany, wraca tu na safari.

Pojechał do „Gaborone Sun”. Dwa lata temu hotel nazywał się „Oaza Gaborone” i należał do niego. Wtedy ranga hotelu zależała od liczby gości z RPA, teraz Max zauważył ludzi z całego świata. Gospodarka Botswany kwitła, w przeciwieństwie do południowoafrykańskiej.

Wszedł do kasyna i zobaczył, że przy stołach otoczonych graczami krupierzy mają pełne ręce roboty. Z nostalgią przypomniał sobie, jak pierwszy raz zobaczył tu Saffron. Wtedy był czas optymizmu i nadziei, który teraz powrócił, po dwóch latach. Postanowił, że nie będzie dzisiaj grał. Miał przed sobą ważniejszą grę i wiedział, że ją wygra.

*

Nic nie ostrzegło go, że te plany legną w gruzach...

W nocy, tuż nad ranem, dzwonek telefonu rozdarł ciemną ciszę.

To Brenda Zwane - głos z przeszłości rozpaczliwie wzywający pomocy. Chciała, żeby przekroczył granicę i spotkał się z jej przyjaciółką, Marie Jantjies.

Nie mógł odmówić, ale gdy odkładał słuchawkę, na czoło wystąpiły mu krople zimnego potu. W co się pakował tym razem?

*

Robiło się gorąco. Max włączył wentylatory. Strugi chłodnego powietrza owiewały mu twarz. Musiał być przytomny, a cały czas odnosił wrażenie, że śni.

Nie miał żadnych problemów z kontrolą paszportową na granicy botswańskiej w Tlokweng Gate. Po półgodzinie był już w RPA. Wsunął paszport pod metalową kratkę, która oddzielała go od celnika. Ten obojętnie wziął paszport. Nagle jego twarz zmieniła się. Bacznie przyglądał się Maxowi.

- Czy ja pana skądś nie znam?

Cholera, od razu problemy. Max opanował się. Dzięki Bogu, że zapuścił brodę.

- Jestem doktor Loxton - oznajmił. - Prowadzę w telewizji programy o ochronie przyrody.

Urzędnik poruszył długimi, cienkimi wąsami i leniwie oddał mu paszport.

- A, to pewnie to, doktorze Loxton. Witamy z powrotem w RPA. To musi być miłe uczucie wrócić do normalnego świata.

Max odszedł uspokojony i odjechał w kierunku Zeerust, zgodnie z instrukcjami Brendy Zwane.

Tymczasem na przejściu urzędnik przepuścił kolejne trzy osoby, gdy nagle uśmiechnął się. Doktor Loxton!

Syn premiera! To był on! Uśmiech zamarł mu na ustach.

O co tu chodzi? Lepiej będzie kogoś powiadomić...

Max wolno podjeżdżał do miejsca spotkania. Szukał czerwonego samochodu, w którym miała być Marie Jantjies. Zauważył czerwony wóz na skraju drogi. Czy to ten? Po przeciwnej stronie stał czarny sportowy mercedes-benz i mały omnibus. Maxowi zaschło w gardle. Wybrano doskonale miejsce i normalnie szosa byłaby pusta. Dlaczego stały tu aż trzy samochody? Omnibus wydawał się pusty, ale w mercedesie siedziało dwóch czarnych facetów. Palili papierosy i o czymś rozmawiali.

Co powinien zrobić? Cóż, trzeba postępować zgodnie z planem. Z bijącym sercem zatrzymał się za czerwonym samochodem, wysiadł z land-rovera i podszedł bliżej.

Zajrzał do środka - pusto. Obaj faceci w mercedesie obserwowali go z nieukrywanym zainteresowaniem.

Z omnibusu dobiegł stłumiony jęk. Podbiegł blisko - w oknie ukazała się zakrwawiona twarz młodej blondynki.

- Marie Jantjies? - krzyknął desperacko.

Otworzyła okno.

- Doktor Loxton? - Jej głos był matowy, wyprany z wszelkich emocji. - Wystarczy, Marie.

Max odwrócił się. Kierowca mercedesa, wysoki Murzyn, stał tuż za nim. Celował do niego z karabinu z oberżniętą lufą. Uśmiechał się.

- Marie była tylko przynętą - oznajmił. - Jedziesz z nami.

- Nie! - krzyknęła Marie.

Ale drugi facet z mercedesa wlaźł do omnibusu i odciągnął kobietę w tył, trzymając jej nóż na gardle. Za plecami Maxa ponownie rozległ się groźny głos:

- Jeżeli chcesz, żeby ona pożyła jeszcze trochę, lepiej chodź grzecznie z nami.

Powietrze rozdarł nowy dźwięk - jęk policyjnej syreny. Z tej strony, z której nadjechał Max, zbliżał się policyjny wóz na światłach.

- A... - mruknął ten wysoki - więcej towarzystwa dla pana, doktorze Loxton. Może powinien pan z nimi pogadać...

Nagle zniknęli, roztopili się w buszu zabierając Marie ze sobą. Max został sam na drodze.

Zupełnie nie wiedział, jak zareagować na rozwój wypadków. Był między młotem a kowadłem. Stał w leniwym, gorącym słońcu, opuścił ręce bezradnie i patrzył na podjeżdżający wóz policyjny. Drzwi otworzyły się.

Max nadal stał spokojnie, kołysząc się lekko.

- Doktor Loxton? - W ręku policjanta błysnął karabin. Jego towarzysz siedział w samochodzie i obserwował wszystko.

Max skinął głową. Minął czas na zabawy.

- Jest pan aresztowany.

Maxowi dusza uciekła w pięty. Całe to przedstawienie było ukartowane. Ale dlaczego Brenda to zrobiła?

Widocznie nie miała wyboru...

I wtedy, niespodziewanie, z zarośli padły strzały.

Policjant w wozie patrolowym mocno oberwał; krew rozprysnęła się po całym wnętrzu, kule wbiły się w siedzenie.

Gliniarz stojący obok Maxa przykucnął gotowy do strzału, ale nie widział celu - i wtedy zza omnibusu wyskoczył wysoki Murzyn z karabinem maszynowym w ręku. Policjant stracił równowagę. Krzyknął głośno, gdy kule rozrywały jego ciało.

Maxa zamurowało. Zanim doszedł do siebie, drugi Murzyn wyszedł z krzaków ciągnąc za sobą Marie.

Wysoki kiwnął na towarzysza.

- Zabierz ją tym omnibusem. Doktor Loxton pojedzie ze mną.

- Nie mamy żadnych szans! - wściekle ryknął Max.

- Do mojego samochodu! Pan prowadzi, doktorze Loxton, a resztę proszę zostawić mnie. Nie ma pan pojęcia, jak daleko sięga moja władza.

Max wskoczył za kierownicę i przycisnął gaz. Silnik zawył, gdy gwałtownie zmienił bieg.

- Kim ty, do cholery, jesteś?

- Towarzysz Kumalo.

To nazwisko sprowokowało jakieś niemiłe skojarzenia. Max zerknął na twarz siedzącego obok człowieka.

Czarna skóra, ciemne, niespokojne oczy i bardzo wyraźna szrama na twarzy - wyglądał równie bezlitośnie jak broń, którą trzymał. To musi być jeden z ludzi, o których opowiadał George - facet kontrolujący uliczne gangi w Soweto. Człowiek władający strachem.

- Przestraszony, doktorze Loxton? Proszę zapomnieć o AKW i pionkach takich jak Zwane. To przeszłość, ja reprezentuję przyszłość.

Max mocno zacisnął ręce na kierownicy.

- Słuchaj, Kumalo, jestem tu, żeby zobaczyć się z Brendą Zwane, a nie wysłuchiwać twojego bredzenia.

Jechał dalej usiłując opanować rosnący w nim gniew.

W RPA nie zmieniło się nic - nadal poszczególne grupy walczyły ze sobą o władzę.

- My mamy Brendę Zwane - powiedział Kumalo. - Rób tylko, co każemy, a nic się jej nie stanie.

- O co ci chodzi?

- To proste, doktorze Loxton. Twój ojciec planuje w Soweto detonować bombę zwaną Kobra, aby wytrucił tysiące naszych. Chcemy, żeby pan odnalazł bombę, rozbroił i oddał nam.

Max skinął głową. Musiał docenić Kumalo.

- A gdzie ja znajdę tę „broń”?

- Tym już się zajmie ta dziwka Marie.

- Co wiesz o tej „Kobrze”?

- Wyprodukowano ją w fabryce twojego ojca. To jakaś broń chemiczna. Powinna się dać łatwo rozbroić.

- Mój ojciec produkuje najbardziej skomplikowaną broń na świecie - oznajmił Max.

Kumalo złapał go za ramię.

- Gdybym myślał, że nie potrafisz tego zrobić, zabiłbym cię gołymi rękami.

Max strącił kościstą, chudą rękę.

- Zatrzymaj swoje uczucia dla siebie. Po pierwsze, musimy się pozbyć tego wozu. Policja będzie go szukać.

- O wszystko już zadbałem. Skręć tu, w lewo.

Max przebijał się przez piaszczystą drogę. Skrył ich tuman kurzu.

- Jeszcze kilometr - powiedział Kumalo - i zobaczysz stodołę. Wjedź do środka.

Max jechał najszybciej jak mógł i wkrótce na horyzoncie zamajaczyła stodoła - całkiem nowocześnie wyglądający budynek. Słońce odbijało się od metalowego dachu. Po obu stronach ciągnęły się zielone pola, a droga była upstrzona kałużami. Samochód

przejeżdżając przez nie zachlapywał błotem przednią szybę. Po chwili wjeżdżali już do stodoły.

Wysiedli. Gdy oczy Maxa przyzwyczyły się do przyćmionego światła, zobaczył drugi samochód ukryty pod pokrowcem. Sześciu mężczyzn siedziało pod ścianą - z pewnością Towarzysze.

- Nasz samochód na zmianę - Kumalo skrzywił się w uśmiechu.

- Wskakuj, doktorze.

- Nieźle jesteście zorganizowani - niechętnie przyznał Max.

- Tylko tak możemy walczyć z gliniarzami. Zbudowanie takiej bazy i wpojenie Towarzyszom dyscypliny zajęło nam całe lata. Ale teraz nie mają znaczenia żadne różnice plemienne.

- No to dlaczego ty i twoi najbliżsi ludzie pochodzicie tylko z plemienia Zulu?

Zły grymas przebiegł po twarzy Kumalo.

- Słyszałem, że jesteś bardzo mądry, doktorze Loxton. Aż za mądry, żeby ci to wyszło na zdrowie.

- Słuchaj, Towarzyszu! Ty możesz mieć w dupie ludzkie życie, ja nie. Wiem, że wszystko, czego pragniesz, to absolutna władza nad lokacjami. Ale ja wróciłem, żeby ratować ludzkie życie. - Wiedział, że ci ludzie tutaj to mordercy. Najpierw posłużą się nim i Brendą, a potem ich zlikwidują.

Kumalo przytknął lufę broni do piersi Maxa, ale w tejże sekundzie Loxton skoczył ku niemu i potężny cios wyładował na szczękę Kumalo. Towarzysz potoczył się po podłodze, broń wypadła z jego bezwładnej ręki, a Max kopnął ją w kąt.

Kumalo podniósł się. W ręku trzymał nóż.

- Tchórzliwi jesteśmy, co, Kumalo? - Szyderczo uśmiechnął się Max. - Nie umiemy walczyć bez broni?

W stodole zapadła martwa cisza. Żaden z Towarzyszy nawet nie drgnął. Kumalo rzucił nóż na podłogę i powoli ruszył w stronę Maxa.

Loxton był w świetnej formie. Codziennie w Londynie trenował na sali gimnastycznej lub w siłowni.

Treningi dawały mu siłę i refleks, którego potrzebował w firmie. Teraz mogło mu to ocalić życie. Kumalo wyglądał na młodszego o jakieś pięć lat i z pewnością był ekspertem od podłych chwytów. Na szczęście Max także znał kilka brzydkich sztuczek.

Pierwszy cios Kumalo trafił go w ucho. Max poczuł, że krew cieknie mu po szyi. Stracił panowanie nad sobą. Nie po to jechał taki kawał świata, żeby teraz zdychać w jakiejś

obskurnej stodole z rąk ulicznika, faceta chorego chyba na wściekliznę. Lewym sierpowym uderzył Kumalo w czoło i poprawił prawym w szczękę. Kumalo cofnął się. Max nie rezygnował.

Uderzył jeszcze raz lewym. Ciało Kumalo wystrzeliło w górę i opadło bezwładnie na beton.

W stodole zapadła taka cisza, że słyhać było szmer przelatującego gdzieś w obłokach samolotu. Max podbiegł do drzwi i wyrżał. Tak jak się spodziewał, był to wojskowy szperacz. Udało im się schować w stodole w samą porę.

Wszedł z powrotem do środka i pomógł Kumalo wstać. Murzyn obrócił się i przyjrzał uważnie swoim ludziom. Wyraz jego twarzy świadczył wyraźnie, że jeżeli któryś z nich piśnie chociaż słówko o tym, co tu widział, będzie miał duże kłopoty.

- Wy tam! Wynosimy się. Pamiętajcie, jutro trzymać się z dala od Soweto.

Max zadrżał. Powrót do rzeczywistości! Będzie musiał rozbroić śmiertelną broń, o której nie miał zielonego pojęcia.

- Jedziemy - rzekł Kumalo. Rzucił Maxowi kominiarkę. - Przykryj twarz, doktorze Loxton. - I dodał: - Udało ci się mnie pokonać, ale nie wygrasz z całą lokacją.

Wsiadli do wozu i odjeżdżali kierując się ku Soweto.

Na drogach był straszny ruch - wieczorne godziny szczytu.

Dojechali do granicy Soweto. Max był zaskoczony widząc wysokie ogrodzenie, zasieki z drutu kolczastego i patrole po obu stronach pilnujące lokacji. Zacisnął pięści. Boże, co ojciec miał zamiar zrobić? Tysiące ludzi... Oni poszaleli!

Zerkając spod koca, którym był przykryty, zobaczył białego żołnierza trzymającego straszliwą broń - LA.

Machnął nią beztrąsko. Max odetchnął z ulgą - żołnierz wpuścił ich.

*

Patrząc na pokrwawioną twarz Marie, major Hurst poczuł nieodpartą chęć mordowania.

- Ja... napadł mnie jakiś gang uliczny - wyjąkała.

Towarzysze wyrzucili ją pod domem nieco wcześniej, grożąc że pobiją ją na śmierć, jeżeli nie wyciągnie z Hursta dalszych informacji. Była zrozpaczona. Co się stanie z doktorem Loxtonem? Czy będą torturowali Brendę? Ale teraz musiała skoncentrować się na majorze. Zauważyła, że z wyraźnym przejęciem badał jej twarz.

- Ten „gang uliczny”, czy to aby nie przypadkiem Towarzysze? - zapytał.

Skinęła potakująco głową.

- Skurwiele! Czy możesz chodzić?

- Jakoś mogę się poruszać.

- Musisz się stąd wyprowadzić, to za blisko Soweto. Jutro Kobra znajdzie się na miejscu. Zapewniam cię, że gnoje, co to zrobiły, zdechną.

Dzięki Bogu kupił historyjkę, że na nią napadli.

Teraz trzeba spróbować wydobyć coś nowego o Kobrze. Stawką było życie Brendy i doktora Loxtona.

- Więc to nie jest nic dużego? - zaryzykowała.

- Po prostu dwie cysterny na paliwo. Jeden gość przywiezie pierwszą, a ja pojedę za nim. Spotkamy się gdzieś w centrum lokacji. Chyba nie ma to dla ciebie specjalnego znaczenia, co?

- Ale jak uciekniesz?

- Detonację przeprowadzę za pomocą pilota - będę miał kupę czasu na ucieczkę, nie obawiaj się. Gdzie się spotkamy, jak już będzie po wszystkim?

Nie mogła znaleźć słów. Nie myślała nawet o tym, co może się stać, jeżeli Loxtonowi nie uda się rozbroić Kobry.

- Marie - powiedział patrząc jej w oczy - chcę cię znowu zobaczyć.

- Daj mi telefon, pod którym będę cię mogła złapać.

Szybko nagryzmolił coś na skrawku papieru. Musiał wracać do koszar. Ona była cudowna - tylko to miało znaczenie. Obiecała trzymać się jak najdalej od Soweto i jego mieszkańców.

- Marie, nie bój się - powiedział. - Dostanę tych skurwieli, zobaczysz.

Pocałował ją delikatnie w usta i odszedł.

*

Zawieźli Maxa do jednego ze swoich domów, dali mu śpiwór i kazali siedzieć w pokoju na tyłach posesji.

Musieli czekać, aż Kumalo wróci z Marie, która powinna mieć więcej informacji o miejscu, gdzie ulokują Kobrę.

Jutro rano chcieli obezwładnić Hursta i przejąć Kobrę.

Tak przynajmniej wyglądały plany Kumalo. Natomiast Max zamierzał rozbroić bombę i uczynić ją nieszkodliwą.

Na razie siedział w pokoiku i myślał o Brendzie.

Dokąd ją zabrali? Przyniesiono mu jakąś białą papkę i mielone mięso, zjadł ciepły posiłek łapczywie. Potrzebował tego - walka z Kumalo kosztowała go wiele energii. Po

obiedzie wpatrywał się w zakurzone okno, w budy po obu stronach brudnej ulicy. Gdzieś daleko rozlegały się wybuchy, krzyki, a mimo to ludzie na ulicy wydawali się zupełnie spokojni, niewzruszeni. To musi być straszne - pomyślał - tak się żyć z przemocą na co dzień.

W końcu zasnął myśląc o Saffron.

*

Włączając magnetowid David uśmiechnął się szeroko w ciemnościach pokoju.

- Sądzę, że chciałbyś obejrzeć to nagranie, Dolph.

Klopper siedział spokojnie i beznamiętnie sączył brandy z colą.

- Jak major Hurst mógł być takim idiotą?

- Nic specjalnego nie wyjawiał. Umieszczenie cystern nie zostało jeszcze ustalone. A ta kolorowa kurewka, którą rznie, nie zna nikogo, no, prawie nikogo.

Wcisnął guzik. Jego ludzie z wywiadu wygrzebali w końcu spod ziemi prawdę o przeszłości Marie. To było znakomite - w końcu coś przeciwko Klopperowi, coś, co skruszy jego hardość.

Drink Kloppera wylądował na podłodze.

- Stary! Co z tobą?

- To... to jakaś paranoja?

- Paranoja? Tak, powiedziałbym, że to dobre określenie. Twoja żona, rżnięta przez jakiegoś czarnucha, rodzi kolorowe dziecko, więc ją wyrzucasz, deklasyfikujesz i zamykasz w getcie dla kolorowych. Tak, to rzeczywiście chorobliwe.

Jaka satysfakcja! Klopper aż pobladł ze strachu.

- Wygląda, że sporo straciłeś, Dolph - ciągnął nieubłaganie. - Cudowne ciało. Zobacz, jak dobrze się bawi. Chyba jej się podoba zabawa z majorem Hurstem, no nie? Chociaż jasne, że nie jest tak dobry jak czarnuch...

- Ty skurwysynu!

- Jeżeli powiesz jeszcze chociaż jedno, jedno niewłaściwe słówko, opowiem całemu światu prawdę o twojej żonie.

- Czego chcesz?

Klopper dygotał. Rany, to było cudowne! Postanowił go dobić.

- Ślina ci cieknie. Więcej opanowania, stary. Co by twój kolorowy pasierb powiedział, gdyby cię teraz zobaczył?

*

Brenda Zwane kołysała Morgana do snu. Dziecko płakało z tęsknoty za matką. Spojrzała na facetów, którzy jej pilnowali - twarde twarze bez wyrazu, karabiny swobodnie trzymane w rękach. Dokąd zabrali Marie?

Gdzie był Max?

Co się z nami stanie? Na jaką przyszłość mogą liczyć w kraju rządzonym przez Dolpha Kloppera? Albo Towarzyszy? Na żadną.

*

Ulrich Klee stał na balkonie i patrzył w dół, na ulicę.

W rękę miał skrawek papieru. Mimo że był już kwadrans po dwudziestej drugiej, ruch nie ustawał, ale na tej wysokości ryk samochodów był już tylko monotonnym szumem. Jak często nachodziło go pragnienie zatopienia się w tym widoku? Czy rzucić się w hałas miasta i zniknąć na wieki? Jednak wciąż nie miał odwagi, aby popełnić samobójstwo.

Godzinę temu posłaniec przyniósł mu ten list. Zadrzał patrząc na kopertę. Chcieli, żeby kupił im czas, powstrzymał reakcję świata i nie dopuścił do zbrojnej interwencji. Projekt Kobra. Starannie skalkulowane morderstwo na tysiącach ludzi.

Wrócił do mieszkania, połknął cztery pigułki nasenne popijając whisky i położył się usiłując zasnąć. Po śmierci żony wszystko zmieniło się na gorsze; ona zawsze umiała odciągnąć jego uwagę od problemów.

Teraz, kiedy odeszła, czasami obawiał się samotności w swoim własnym domu. Dzieci założyły własne rodziny i jedynie weekendy z wnukami utrzymywały go na powierzchni. Gdyby odkryli potworności, które popełnił, straciłby ich wszystkich.

I znowu pojawiły się sny - sny o ludziach krzyczących w komorach gazowych. Zakrył uszy i zaczął się modlić, ale ciągle słyszał te straszne krzyki. Kiedy przestaną - zapytał sam siebie, kiedy śmierć uwolni go od tych koszmarów?

3

Nad Soweto wzeszło już słońce. W nocy padało i deszcz zmył kurz unoszący się zawsze wcześniej rano nad ulicami. Powietrze było niespotykane świeże. Wiatr jeszcze się nie zerwał. Miejsce wyglądało zupełnie znośnie.

Max wysunął głowę przez okno i badawczo przyjrzał się ulicy. O tej porze całe miasto było już na nogach.

Wszystko wyglądało zwyczajnie, codziennie. Przez głowę przebiegła mu myśl, że może to tylko jakiś dziwaczny kawał. Czuł się tu obco. Dla innych Soweto było miejscem, gdzie mieszkali od urodzenia, stało się więc częścią ich samych.

Otworzył drzwi do dużego pokoju i stanął oko w oko z Marie. Tuż za nią sterczał Kumalo trzymając karabin przytknięty do jej pleców.

- Dzień dobry, doktorze Loxton - cicho szepnęła Marie. Bluzkę i spódnicę miała podartą. Nie potrzeba było dużej wyobraźni żeby zrozumieć, że ją zgwałcili.

- Marie, gdzie jest ta bomba? - łagodnie spytał Max.

Marie wyjąkała:

- Powiedział, że postanowienia zapadną dopiero dziś rano.

- Dziękuję, Marie, zrobiłaś dobrą robotę. - Zwrócił się do Kumalo: - Wypuść ją.

Kumalo spojrział na niego pustym wzrokiem i chorobliwy uśmiech szaleństwa przemknął po jego twarzy.

- Nie - odparł.

- Wypuść ją, ty cholerny sukinsynu!

- Dwie godziny do wybuchu, doktorku! - szyderczo parsknął Murzyn.

Max złapał za lufę karabinu - i w tym samym momencie Kumalo przycisnął spust. Max poczuł, jak kula szarpnęła jego ramieniem. Lewą pięścią uderzył Kumalo w szczękę. Karabin upadł na podłogę. Max pochwycił go. Kumalo wolno podnosił się, wyciągając coś zza pleców.

- Jeszcze jeden krok, a zginiesz!

- Spróbuj, ty białasie!

Max nacisnął spust i patrzył spokojnie, jak pocisk rozrywa brzuch Kumalo.

Murzyn potoczył się po podłodze i zwinął w kłębek, powstrzymując rękami wypływające wnętrzności.

Z oczu ciekły mu łzy. Dwóch Towarzyszy wbiegło do pokoju, ale Max zakręcił się na pięcie i ponownie wystrzelił. Hałas był ogłuszający. Krew obryzgała ściany. Obaj Towarzysze padli martwi na podłogę. Max obrócił się do Kumalo, który wił się w agonii na podłodze. Z brzucha tryskały mu strumienie krwi.

- Nie strzelaj!

Dopiero wtedy Max zauważył, że pierwszy strzał Kumalo trafił Marie w twarz. Z wysiłkiem wstała i chwiejnie podeszła do niego.

- Doktorze Loxton, ten człowiek, który ma detonować Kobrę, major Hurst, to bardzo niebezpieczny facet. Przepraszam, że zawiodłam... - jęknęła. Z ust buchnął jej strumień krwi.

- Nie, Marie, nie zawiodłaś. Kobra nigdy nie wybuchnie. Dostanę Hursta. Teraz potrzebny ci lekarz...

Osunęła się na podłogę u jego stóp. Odrzucił karabin i przytrzymał jej głowę. Płakał. Marie odeszła.

- Daruj mi życie! - wył Kumalo.

Max podniósł broń i wycelował w Kumalo, ale nie potrafił nacisnąć spustu.

*

Potężne drzwi rozsunęły się ukazując długi tunel, którego koniec ginął gdzieś pod ziemią. Wszyscy trzej przeszli do windy i Dolph Klopper nacisnął guzik - podziemia, poziom trzy.

- Nie ma sensu ryzykować - oznajmił. Uważnie spojrzął na Davida Loxtona, ale twarz premiera była nieprzenikniona. Jakże Dolph go nienawdził!

- Nie ma żadnego ryzyka, Dolph - odparł David Loxton. - Doktor Preusser by ci wyjaśnił.

Dolph zerknął porozumiewawczo na generała Jurie Smita. Davidowi powiedziano, że doktor Preusser zginął w wypadku, nie było sensu go drażnić. David i tak miał wystarczająco dużo na Dolpha - nowa robótka dla Hursta. Ale właśnie teraz Hurst miał ważniejsze zadanie do wykonania.

Zjechali na poziom trzeci i David Loxton poprowadził ich przez labirynt studiów i sal kontrolnych. Wszyscy już byli na miejscu, wszystkie głowy obracały się, gdy przechodzili. Dolphowi podobał się ten dreszcz napięcia, który przeszywał żołnierzy na ich widok. Mieli do tego prawo; ostatecznie byli najpotężniejszymi ludźmi w tym kraju. Oczywiście, żaden z żołnierzy wezwanych tutaj, do centrum operacyjnego, nie miał zielonego pojęcia, co się wydarzy. Żadnych przecieków, nie tak, jak ostatnim razem, pomyślał Dolph patrząc na Davida Loxtona.

David wprowadził ich do apartamentów dowodzenia.

Zgromadzono tu wszystko, co było potrzebne do przetrwania. Mieli tu kuchnię, łazienki, sypialnie, nawet salę gimnastyczną. Obok głównego salonu znajdowała się mała salka z sześcioma monitorami telewizyjnymi.

Dzięki łączności satelitarnej mogli stąd odbierać wiadomości ze świata i wydawać rozkazy lub udzielać wywiadów. W ciągu kilku sekund mogli nawiązać kontakt z dowolnie wybraną stacją telewizyjną na świecie.

- Skąd nadamy nasze oświadczenie? - spytał Dolph.

David zaprowadził go do następnego pomieszczenia studia telewizyjnego, pełnego miękkich mebli, zupełnie wyciszonego.

- Całą salę zaprojektowano tak, aby dawała wrażenie spokoju i relaksu. Będziesz siedział tu, a reporter naprzeciwko.

- Czy wprowadzono go w sprawę?

- Jasne. Ale jest absolutnie nieświadomy skali zadania.

- Świetnie.

Klopper zerknął na zegarek.

- Dwie godziny do godziny zero. A my jesteśmy bezpieczni jak u Pana Boga za piecem.

David czuł się tu odprężony. Znajdowali się przeszło sto metrów pod ziemią, w specjalnym bunkrze przygotowanym przez Terminal dla Agencji Telewizyjnej RPA. Cokolwiek by się stało, zawsze istniała możliwość nawiązania łączności z resztą kraju i zagranicą.

A mogli tu przeżyć przeszło rok. Rozmyślał o otrzymanej wczoraj informacji - jego syn nielegalnie przekroczył granicę państwa. Ale nie było sensu się tym przejmować. Ostatecznie, czyż Max był w stanie mu teraz przeszkodzić w jakikolwiek sposób?

Z tego miejsca mogli zmobilizować i dowodzić gigantyczną machiną sił zbrojnych RPA. Jakąkolwiek akcję chcieliby przeprowadzić - wystarczyło tylko wydać rozkaz.

*

Major Hurst wrzucił drugi bieg podjeżdżając cysterną do policyjnego punktu kontrolnego. Jego numer rejestracyjny był znany oddziałom wojska i policji operującym na granicy Soweto, sądził więc, że wpuszczą go bez żadnych ceregieli. A tu nagle żołnierz kazał mu się zatrzymać. Hurst opuścił szybę.

- Wsiadać! - rozkazał żołnierz.

O kurwa! Znowu jakieś niedopatrzenie urzędasów.

Ale lufa karabinu była wycelowana w jego głowę. Co się tu, do cholery, działo?

- Zadzwońcie do generała Smita - warknął. - Jestem major Hurst. Mam specjalną przepustkę.

- Proszę tu poczekać. Nic mi na ten temat nie wiadomo.

Co się stało? Wyszedł z szoferki.

- Połączyć mnie z generałem Smitem - zażądał - albo was obedrę żywcem ze skóry!

*

Max przycisnął gaz w samochodzie Kumalo. Zmierzał do północnej części miasta. Na siedzeniu obok leżał pistolet i karabin.

Czasu nie było zbyt dużo. Jezu, żeby tylko jego plan wypalił...

*

Major Hurst spocił się jak mysz. Połączenie z generałem Smitem zajęło mu przeszło godzinę. Był spóźniony, strasznie spóźniony.

Przyspieszył. Musiał uważać, cholernie uważać. To cudo było naprawdę śmiertcionośne.

Wielokrotnie odwiedzał lokację, ale za każdym razem czuł się wyjątkowo niewyraźnie. Nie miał tu żadnej ochrony. Słyszał wiele koszmarnych historii o żołnierzach ginących z rąk Towarzyszy.

Rzucił okiem na mapę, którą mu dali dziś rano.

Warunki doskonałe, pogoda bezwietrzna. Jechał ostrożnie, rozglądając się w poszukiwaniu dworca autobusowego. Tutaj! Nareszcie! W pobliżu stała druga cysterna.

Jeszcze dziesięć minut i go tu nie będzie...

Wolno podjechał i ustawił się równolegle do drugiej cysterny. Wyciągnął pistolet i przykręcił tłumik.

Kierowca drugiego samochodu podszedł do niego.

- Miło pana widzieć, sir.

Hurst skierował pistolet w serce młodego człowieka i dwukrotnie przycisnął spust. Chłopak zdążył jedynie złapać się za pierś i runął martwy na ziemię.

Hurst poczuł się znakomicie. Wciągnął ciało kierowcy do szoferki, wydobyl motocykl i nasunął na twarz kominiarkę.

Do roboty. Złączył wężyki cystern, tworząc coś w rodzaju pępowiny łączącej oba zbiorniki; następnie zamontował detonator i dwa wielkie rozpylacze. To będzie największe morderstwo w historii.

*

Max skierował wóz na zapórę, a następnie przyspieszył gwałtownie. Metalowa sztaba rozbiła przednią szybę, dwie kule utkwiły gdzieś w karoserii, ale zostawił posterunek za sobą i wjechał na pas startowy.

Wóz jak pocisk połykał beton z szybkością dwustu czterdziestu kilometrów na godzinę. Zmierzał prosto do hangaru.

Przez chwilę wróciły wspomnienia - jak latał z ojcem, a potem sam. Wolność i radość latania.

Wdusił hamulec. Z potwornym impetem wóz wpadł na drzwi hangaru, które rozpadły się w drzazgi. Mechanicy zaczęli biec w jego kierunku, ale zatrzymał ich widok wymierzonego w nich karabinu.

- Chcę Schweizera 300 C.

Żaden się nie ruszył.

- Wyprowadzić go na pas startowy, bo inaczej...

Jakiś facet wybiegł z biura. Cholera! Max uniósł karabin i strzelił. W sekundę później mężczyzna leżał na podłodze trzymając się za ramię i jęcząc z bólu, a mechanicy szybko wypychali helikopter na pas.

- Paliwa do pełna.

Facet ciągle wrzeszczał...

W chwilę później Max siedział w kabinie. Zasilanie włączone. Paliwo w porządku, przepustnica zamknięta. Silnik zawył. Helikopter wznosił się w górę, w błękit, i leciał ku czarnej szramie na horyzoncie, ku Soweto.

*

Hurst kopnął starter motocykla i przyciągnął pojazd bliżej cystern. Sprawdził jeszcze karabin R4, który miał w plecaku, potem pistolety. Jeden schował w kaburze przypiętej pod pachą. Był gotowy.

Uchylił wieko mechanizmu sterującego i znalazł włącznik aktywizatora. Zawahał się przez moment.

Tysiące, może setki tysięcy ludzi. Chłodny spokój ogarnął go, gdy przycisnął guzik.

*

Max zdążył już zapomnieć, jak świetnie manewrowało się Schweizerem. Przesuwał wzrokiem po ulicach i domach poszukując cystern. Gdzie, do cholery, mogły być? A może Hurst coś zwęszył? Może dał Marie fałszywe informacje? Trzeba odnaleźć zbiorniki. Przywołał w pamięci twarz Marie w chwili śmierci - nie mógł jej zawieść. Ale gdzie w miejskiej dżungli były te pieprzone cysterny?

Zszedł niżej. Nie miał zamiaru się poddać. Może to gdzieś tutaj - był dokładnie nad centrum Soweto.

*

Hurst początkowo zbył ten dziwny dźwięk, ale jego zwierzęcy instynkt, który już tyle razy uratował mu życie, spowodował, że spojrzał w górę. Tak, jakiś znajomy odgłos. Coś mu szeptało, że zwiastował kłopoty.

Rozejrzał się i sprawdził horyzont. Początkowo mógł wychwycić jedynie ten dźwięk, dopiero później zauważył helikopter unoszący się nad dachami niczym rozwścieczona pszczoła. Kogo szukano? Miał niemiłe przeczucie, że helikopter niósł za sobą zagrożenie. Dla niego i dla Kobry.

Zgasił motor. Jednym płynnym ruchem zeskoczył na ziemię i wyciągnął z plecaka R4.

Podpełzł do pierwszego samochodu i zastygł w bezruchu. Ostatecznie, to nie musiało nic znaczyć. Mógł to być ktoś szukający w lokacjach za pomocą wynajętego helikoptera skradzionych samochodów. Mógł to być patrol policyjny.

Dźwięk powoli się oddalał. Odetchnął z ulgą i wysunął się z ukrycia. I wtedy, zniecacka, helikopter przeleciał mu tuż nad głową. Zauważył, że pilot spojrział w dół.

- Nie! To niemożliwe! Znał tę twarz i wiedział, że sygnalizowała kłopoty. Podniósł karabin i wycelował.

Twarz pilota wyraźnie rysowała się w celowniku. Nacisnął spust.

*

Strzał zupełnie zaskoczył Maxa. Ból szarpnął jego lewą ręką, z mięśni pociekła krew. W jednej sekundzie dojrzał Hursta, dwie cysterny obok siebie i już wiedział - odnalazł Kobrę.

Serce zabiło mu jak szalone. Teraz miał szansę. Marie się nie myliła. Zszedł niżej, niemal muskając dachy.

Kolejny strzał i druga kula otarła się o jego włosy.

Nieźle strzelał ten Hurst.

Mimo rwącego bólu w lewej ręce, złapał karabin i wystawił go po prawej stronie helikoptera. Zakręcił śmigłowcem i leciał prosto na Hursta.

Major rzucił się do ucieczki. Max nacisnął spust.

*

Hurst padł na ziemię. Pocisk otarł mu się o plecy.

Zaklął obrzydliwie. Doktor Loxton wiedział, jak zadbać o swoje bezpieczeństwo.

Nagle ogarnął go strach. Groza śmierci była tak realna. Wturlał się pod cysternę i przygotował broń.

Ten skurwiel też używał cystern jako tarczy. Był chyba gdzieś z tyłu.

Gdzie on jest, do diabła? Cholera jasna! Helikopter lądował - a Loxton wyskakiwał na ziemię.

*

Max wyskoczył z kabiny i biegł w kierunku samochodów. Hurst wychylił się i skierował R4 prosto w serce Loxtona. Prawą ręką Max uniósł karabin. Strzelił i jednym susem schował się za cysterną.

Ile jeszcze miał czasu? Czy Hurst nastawił już Kobrę?

Jak dobrym komandosem był ten facet?

Pocisk odbił się o metal cysterny tuż nad jego głową.

Max padł na kolana, uniósł broń i strzelił do uciekającego cienia.

*

Hurst zaklął. Kula minęła jego głowę o milimetry.

Wyjął pistolet i przywarł do drzwi szoferki. Bezszelestnie wdrapał się na gładki dach samochodu. Loxton nigdy go tu nie dostrzeże, a gdy tylko wychyli się ze swojej kryjówki, oberwie po nosie. Teraz czekał na tego gnoja w pełnej gotowości.

*

Max przeklinał na czym świat stoi. Gdzie, do cholery, podziewał się Hurst? Rozwiązał się jak duch. Mijały sekundy i nic. Ostrożnie wysunął się zza cysterny. Dostrzegł cień o ułamek sekundy za późno - Hurst skoczył z góry przewracając go na ziemię.

*

Hurst uniósł pistolet, aby zmiażdżyć nim czaszkę Maxa.

Ale nie docenił siły przeciwnika. Skubaniec wysliznął się! W tym momencie major otrzymał cios. Coś zupełnie nieoczekiwanego. Głowa poleciała mu do tyłu, w ustach poczuł słony smak krwi. Oczy Loxtona pałały nienawiścią. Hurst zebrał w sobie resztki energii i rzucił się na wroga.

*

Cios Hursta był mocny - Max niemal stracił przytomność. Wtedy zauważył, że przeciwnik odsłonił się. Ostatnia szansa. Max mocno uderzył Hursta w brzuch.

Zadawał ciosy jak maszyna, jeden po drugim. Z ręki majora wypadł pistolet; wróg zachwiał się. Ostatni mocny lewy i Hurst padł na ziemię.

Max oparł się o bok cysterny. Szybciej! Szybciej!

Gdzie był detonator? Szybki rzut oka na Hursta upewnił go, że major będzie jeszcze dłuższy czas nieprzytomny.

Posuwał się wzdłuż cystern, szukając czegoś w rodzaju mechanizmu sterującego. Szybciej! Dotarł już na tył wozu i zobaczył jakieś rurki łączące oba pojazdy.

Z rozpaczą patrzył na kłębowisko wężyków i nieznanymi urządzeniami. Działał zupełnie instynktownie. Szukał tylko aparatu sterującego. Nagle tuż za zaworem dostrzegł jakieś czarne pudełeczko. Zamknięte na klucz.

Zostało mniej niż dziesięć minut, a to draństwo nie chciało się otworzyć. Szybciej! Złapał za pistolet i strzelił prosto w zamek.

Ostrożnie zdjął wieko. Patrzył na stalową kasetkę z wbudowanym mechanizmem zegarowym. Przyjrzał się przewodom: był pewny, że urządzenie zaprojektowano tak, żeby wybuch następował natychmiast przy jakiegokolwiek próbie odłączenia przewodów. Szybko przemyślał wszystkie możliwości funkcjonowania mechanizmu detonującego i zegarowego. Mniej niż osiem minut! Musiał zaryzykować. Rzucił się biegiem do helikoptera, złapał pudełko z narzędziami i wybrał zestaw kluczy. Zdjął szklaną pokrywkę zegara. Delikatnie uniósł mechanizm i zaczął po kolei odłączać przewody zegara od źródła zasilania.

I nic się nie stało. Wtedy zrozumiał, że o to właśnie chodziło projektantom; te widoczne przewody musiały być tylko podpuchą. Serce mechanizmu kryło się gdzieś pod zegarem.

Szybciej! Czerwone numery na tarczy zegara zatańczyły mu przed oczami, gdy wykręcał śruby przytrzymujące urządzenie. Setne sekundy biegły i nikt nie mógł ich zatrzymać.

Ostrożnie zaczął wyciągać małe płytki układów scalonych, które były podstawowym składnikiem mechanizmu sterującego. Mniej niż minuta. Szybciej! Kurwa! Zaraz wybuchnie...

Światelka zegara przestały migać. Krople potu z czoła Maxa spadły na mechanizm. Max, znużony osunął się na ziemię.

Nic. Cisza. Kobra była martwa.

*

Wolno dochodząc do siebie Hurst zobaczył rozciągniętego na ziemi Loxtona. Podpełzł do leżącego w kurzu R4. Wstał ostrożnie i skierował karabin w plecy Maxa.

- Marnujesz tylko czas, Loxton. Wynośmy się stąd.

Max spojrzał na niego i uśmiechnął się.

- To już nie będzie działać. Wiem, co mówię.

- Podobnie jak doktor Preusser, facet, który to skonstruował. - Hurst machnął karabinem w kierunku helikoptera. - Odwiedzimy kilku moich kolegów. Ty sterujesz.

Helikopter wzbił się w powietrze. Z twarzy Maxa nie zniknął uśmiech ulgi i satysfakcji. Udało się. Kobra była unieszkodliwiona.

Hurst spytał:

- Co, Loxton, nie wierzysz mi?

- Nie. Ty mi uwierz, już po wszystkim.

- Pozwól, że ci się przedstawię. Nazywam się Ian Hurst, jestem majorem, a pracuję dla twojego ojca, Dolpha Kloppera, i generała Jurie Smita, którzy zaplanowali operację Kobra. Są dwa sposoby detonowania bomby: mechanizm zegarowy i coś w rodzaju pilota.

Max skupił uwagę na sterach. Ten Hurst go denerwował.

- Ciągłe mi nie wierzysz, co, Loxton? Pamiętasz hotel „Oaza”? Pamiętasz faceta, który próbował cię zastrzelić? Ha, widzę, że pamiętasz. Tego faceta wysłałem osobiście, na rozkaz twojego ojca.

- Kłamiesz.

- Był zawodowcem z Niemiec, wynajętym specjalnie do tej roboty. Zawalił sprawę - to jego właśnie zastrzeliłeś w Zimbabwie, gdy odkryłeś plan wysadzenia gmachu parlamentu w Harare. Widzisz, on nie wiedział, że jesteś aż tak dobry. Nie docenił cię, podobnie jak ty teraz mnie.

Najwyraźniej Hurst przeczytał artykuł o wypadku - to było tak dawno. Boże, jak dawno! - w hotelu „Oaza” w Botswanie. Próbuje mnie wyprowadzić z równowagi, pomyślał Max, chce mnie sterroryzować słowami. Nie będę go słuchał, muszę skoncentrować się na pilotażu.

- Twój najlepszy przyjaciel - ciągnął Hurst - twój powiernik, Kobus van der Post. Czy uważasz, że zabił go George Zwane?

Max zeszywniał.

- Nie.

- Ale nie mógłbyś wskazać kto, nieprawdaż? Twój ojciec jest bardzo, bardzo przebiegły. Posłużył się George'em, doktoru, a teraz posłuży się i tobą. Uwierz mi. Twoja siostra, Lucinda. Zginęła w wypadku - spadła z konia, prawda?

Max milczał.

- Był to rasowy koń pełnej krwi, specjalnie wytresowany i podsunięty jej przez ojca.

Max poczuł w oczach palące łzy. Zdawał sobie z tego wszystkiego sprawę, ale to wyliczenie odrażających przestępstw ojca, jedno po drugim... Coś koszmarnego!

- Więc może teraz mi uwierzysz, kiedy ci powiem, że Kobra eksploduje, Loxton. Skoro zawiedzie mechanizm zegarowy, detonują ją za pomocą pilota. - Hurst skrzywił się szyderczo. - Wyląduj tutaj. Do zobaczenia w piekle.

Powoli dochodził do siebie w ciemnościach. Ostatnią rzeczą, którą pamiętał, było wysiadanie z helikoptera.

Cuchnęło obrzydliwie. Leżał na jakiejś pryczy, na podłym kocu. Podniósł się i podszedł do drzwi. Zamknięte. Zaczął bębnić w nie pięściami. W oddali usłyszał jakieś odgłosy i uderzył jeszcze raz. Kroki zbliżały się.

Dźwięk odsuwanej klapki i przez judasza w górnej części drzwi zajrzała czyjaś biała twarz.

- Zamkniesz się w końcu, chłopie? Zrób to jeszcze raz, a stłukę cię na miazgę.

- Gdzie jestem?

- W pierdłu, człowieku.

- Którym?

- Tuż za granicami Soweto. Powinieneś lepiej znać przepisy. Bez przepustek białym nie wolno wkraczać do Soweto.

Max myślał szybko. Czy Kobra już wybuchła? Musiał się stąd wydostać.

- Jestem major Hurst - oznajmił pewnym głosem. - Wypełniam misję specjalną.

- Co?

Pewność siebie Maxa wyraźnie wzrosła.

- Wypełniam osobiste rozkazy generała Smita.

Drzwi otworzyły się. Stał przed nim chłopak, na oko dziewiętnastoletni.

- Gdzie właściwie jestem? - powtórzył pytanie Max. - Jak się stąd wydostać?

- To tajne więzienie. Jesteśmy pod ziemią. Można stąd wyjechać windą.

- Przy windzie będą strażę. Gdzie schody?

- Ja pana poprowadzę.

Młody strażnik zaprowadził Maxa do drzwi przy końcu korytarza. Otworzył i w tym momencie Max odepchnął go i rzucił się biegiem ku schodom. U szczytu schodów zaczynał się korytarz. Ani żywej duszy.

Ruszył do wyjścia. Znajdował się w pomieszczeniu przypominającym recepcję.

Wszędzie leżały ciała.

Zdziwiła go ta cisza. Jeżeli to ma być Soweto, powinien słyszeć hałas samochodów na zewnątrz, głosy ludzi. Martwa cisza - tylko gdzieś z daleka dobiegał dźwięk podobny do szelestu liści. Tak cicho! W powietrzu wyczuwało się dziwaczny zapach. Lękał się, że jest jedynym żywym człowiekiem w tej milczącej pustce.

Przez obrotowe drzwi wyszedł na zewnątrz.

Wszędzie pełno ciał.

Zaczął biec. Wybiegł przez nikogo nie niepokojony poza umocnione bramy więzienia. Wbiegł na teren lokacji - wszędzie leżeli martwi ludzie. Nie wszyscy jednak byli umarli - usłyszał płacz dziecka. Podeszedł do ciała wysokiej Murzynki. Dziecko, które miała w nosidełku na plecach, jeszcze żyło. Odwinął je i przytrzymał w ramionach, gdy umierało. Kiedy kładł ciało dziecka obok matki, spojrzał na jej zegarek - rozbił się parę sekund po jedenastej.

Więc Kobra wybuchła. Jej jad zatrzał całą lokację.

Grupa młodych ludzi biegła bez celu w dół ulicą.

Przez chwilę Max obawiał się, że go zaatakują, ale zorientował się, że byli w głębokim szoku, tak jak i on sam. Kiwnął na nich.

- Chodźcie, trzeba pomóc tym, co przeżyli.

Poruszali się jak w sennym koszmarze od ulicy do ulicy, ale nie było tam wiele do zrobienia. Ci, co jeszcze żyli, dogorywali powoli i nie można im było pomóc w żaden sposób. Ta część umysłu Maxa, która mimo wszystko funkcjonowała z logiczną precyzją, zaprzątnięta była tym, jak ojciec to starannie zaplanował.

W najmniejszym stopniu nie naruszono potencjału siły roboczej; wszyscy robotnicy byli poza lokacją, w pracy.

Kobra wydusiła jedynie ludzi zbędnych dla gospodarki RPA - starców, dzieci, karmiące matki.

Niósł pomoc umierającym aż do chwili, gdy wyczerpanie prawie zważyło go z nóg. Ulica za ulicą pełne zwłok ludzi i zwierząt zagrzebanych w pyle i kurzu.

Podniósł ciało młodej dziewczyny. Wyglądała jak szmaciana lalka z bezwładnymi rękami i głową. Nie mógł powstrzymać łez. Zapłakał.

Nad lokacją zaległa dziwna mgła. Przebijające przez nią słońce tworzyło dziwaczne tęcze. I ten zapach. Cały teren cuchnął śmiercią i gazem. Jad Kobry wciąż wisiał w powietrzu.

*

Po południu zwołano nadzwyczajne posiedzenie ONZ.

Pierwsze doniesienia o potwornościach już dotarły do Nowego Jorku. Było jasne, że użyto jakiegoś rodzaju broni chemicznej. Z ponurą powagą na twarzach delegacji zebrali się w sali obrad oczekując Sekretarza Generalnego. Ale doktor Klee nie przybywał.

Sekretarka doktora Klee znalazła drzwi do jego gabinetu zamknięte, musiała więc wrócić do siebie po duplikat klucza. Kiedy w końcu weszła do pokoju, ujrzała Ulricha Klee wiszącego na kawałku kabla przyczepionego do lampy u sufitu. Na biurku leżała teczka ze swastyką. W środku znajdowały się zdjęcia, które napełniły ją przerażeniem.

*

Victoria i Saffron siedziały przygarbione przed telewizorem, z niedowierzaniem oglądając program.

- Nadajemy specjalną korespondencję z RPA. Dzisiaj, w godzinach porannych, dokonano w Soweto eksplozji broni chemicznej. Wstępne obliczenia są przerażające i wskazują, że zginęły tysiące ludzi. Reporterzy nie mogą do tej pory wkroczyć na teren lokacji, gdyż śmiertelny gaz jest ciągle aktywny, ale właśnie otrzymaliśmy ten oto przekaz telewizyjny z RPA, wywiad z prezydentem, Dolphem Klopperem.

Na ekranie pojawiło się dwóch mężczyzn siedzących w fotelach - Dolph Klopper i reporter. Pierwszy przemówił reporter:

- Panie Klopper, jakie są przyczyny dzisiejszej akcji?

Klopper pochylił się. Szarpnął nerwowo brodę.

- Naszym najpoważniejszym problemem jest przeludnienie. Ludzie, którzy zginęli wskutek dzisiejszego eksperymentu, byli bezproduktywną beczką bez dna dla finansów państwa. Kobra stanowiła idealne wyjście z sytuacji.

- Panie prezydencie, czy to oznacza, że RPA jako pierwszy kraj na świecie posiada tak skuteczną broń chemiczną?

- Tak. Kobra jest bronią, której cały świat dotąd bezskutecznie poszukiwał, jest właściwą odpowiedzią na problemy przeludnienia. Eliminuje ludzi, ale teren jest zainfekowany tylko czasowo, po roku będzie ponownie nadawał się do zamieszkania. Żaden budynek w Soweto nie uległ zniszczeniu. W naszym przypadku czas został starannie skalkulowany - wybuch Kobry nastąpił w godzinach, kiedy cała ludność pracująca przebywała poza obrębem lokacji. A więc, jak pan widzi, ucierpieli jedynie ci nieproduktywni. Muszę przyznać, że świadomi jesteśmy interwencji z zewnątrz w nasze plany - podjęto dziś próbę rozbicia Kobry. Oczywiście, próba ta nie powiodła się. Zmuszony jestem zatem oznajmić, że dokonamy detonacji Kobry w jednym z wielkich miast każdego państwa próbującego mieszać się w nasze decyzje. RPA jest państwem niepodległym, rządzącym się swoimi prawami. Nasz przykład powinien czegoś świat nauczyć. Ci, którzy na nas patrzą, z reguły są ideowymi bankrutami, więc mogą skorzystać z pogładowej lekcji, której im dziś udzieliliśmy.

Victoria wpatrywała się w ekran z przerażeniem.

Saffron drżała, z oczu płynęły jej łzy.

- Victorio, gdzie jest Max?

- Boże! W Botswanie. Musi być w Botswanie!

- Ale nie zadzwonił. Vicky, czuję, że on tam jest, w RPA. Nie zniosę tego dłużej! Żałuję, że kiedykolwiek postawiłam nogę w tym przeklętym kraju! Przyniosło mi to same nieszczęścia!

Victoria objęła ją. Cóż mogła powiedzieć, żeby pocieszyć Saffron. Znad jej ramienia dalej oglądała telewizję.

- Na dzisiaj zwołano nadzwyczajną sesję ONZ w sprawie RPA. Sekretarz Generalny, doktor Klee, nie stawiał się na obrady. Nieco później odkryto, że popełnił samobójstwo. Znalezione przy zwłokach dokumenty dowodzą, że był eks-nazistą. Uważa się, że doktor Klee mógł przez dłuższy czas być ofiarą szantażu. Wszczęto w tej sprawie intensywne śledztwo.

Komentator z powagą spojrział w kamerę.

- Przenosimy się do Waszyngtonu, skąd przekażemy nadzwyczajne orędzie prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Na ekranie pojawiła się surowa, uczciwa twarz. Włosy prezydenta były jak zwykle w nieładzie. Z jego twarzy przebijało napięcie i zmartwienie.

- Ktokolwiek może tolerować to, co zaszło dziś rano w RPA, jest człowiekiem pozbawionym wszelkich zasad moralnych. Wystąpienie prezydenta Afryki Południowej, popierane także przez rząd, może być porównywane jedynie z przemówieniami liderów partii faszystowskich podczas drugiej wojny światowej. Dla mnie, człowieka z wolnego świata, jest to wyjątkowo odrażające. Zgodnie z rezolucją ONZ, uchwaloną godzinę temu, zarządziłem mobilizację naszych sił zbrojnych.

Rozpoczynamy inwazję na RPA. Podjąłem tę akcję po uprzedniej konsultacji z moimi radzieckimi kolegami.

Akcja ta ma na celu stworzenie przyszłego rządu RPA, który będzie reprezentował wszystkich obywateli bez względu na kolor skóry czy wyznanie. Proszę narody świata o udzielenie nam pełnego poparcia i żałuję jedynie, że nie mieliśmy możliwości podjęcia takiej akcji wcześniej, gdyż zapobiegłaby ona przerażającym okrucieństwom. Przemawiam teraz do wszystkich ciemniejących narodów świata - Amerykanie zawsze bronić będą praw tych, którzy są krzywdzeni. Jeżeli chodzi o groźbę pana Kloppera zdetonowania broni chemicznej w którymś z naszych miast, to eksperci twierdzą, że szanse powodzenia takiej akcji są praktycznie równe zeru. Aby jednak zabezpieczyć się w pełni, wprowadzamy tymczasową całkowitą kontrolę nad transportem wszystkich środków chemicznych do USA.

Kamery telewizyjne zaczęły pokazywać bombowce typu Stealth startujące z tajnej bazy na terytorium USA, a następnie lotniskowce amerykańskie na Oceanie Indyjskim

biorące kurs na wschodnie wybrzeża Afryki. Wszystko to sprawiało wrażenie, że wszechpotężne siły militarne zaciskają pierścien wokół RPA.

Do pokoju wbiegł Kobus, wgramolił się matce na kolana i spojrzał na Saffron. Victoria wyłączyła telewizor.

- Ciociu Saffron, gdzie Max?

- Nie wiem, kochanie. Na Boga, tak bardzo chciałabym to wiedzieć!

*

Strażnicy Brendy Zwane uciekli. Od chwili ich ucieczki zaczęła się czuć bardzo dziwnie. W miarę upływu czasu ogarniała ją coraz większa apatia. Czuła się bardzo zmęczona, traciła równowagę, przewracała się. A Morgan ciągle płakał. Może oboje byli chorzy? Zatoczyła się do telefonu i zadzwoniła do znajomych, ale nikt nie odbierał. Kiedy o trzeciej włączyła radio, żeby posłuchać wiadomości, ze zdumieniem usłyszała chłodny głos powtarzający na okrągło te same instrukcje:

- Prosi się wszystkich o pozostanie na miejscu. Nie ma powodu do paniki. Władze już opanowały sytuację.

Prosi się wszystkich...

Włożyła Morgana do wózka i wyszła z domu. Dopiero wtedy zobaczyła martwe ciała. Wyjęła Morgana i mocno przytuliła do piersi.

Dokoła panowała cisza. W powietrzu wisiała lekka mgiełka, przez którą leniwie przesączało się światło słoneczne. Wszędzie leżeli martwi. Czuła się koszmarnie. Nogi bolały ją tak potwornie, że z trudnością się poruszała. Zaczęła krzyczeć.

W oddali spostrzegła grupę ludzi i z ledwością powlokła się w ich kierunku. Siły ją opuszczały. Nie mogła ustać na nogach. Rozpoznała człowieka dowodzącego grupą. Był to Max Loxton.

- Max?

Odwrócił się i zobaczył Brendę. Przytulił ją i spojrzał w oczy. Jego głos był bardzo łagodny, pocieszający.

- Nie martw się o nic, Brendo. Oprzyj się o mnie. Tak mi przykro, zawiodłem cię. Zawiodłem George'a i Kobusa. Zawiodłem Napoleona...

Nie mogła skupić wzroku na jego twarzy - zdawała się odpływać i przyplýwać na przemian.

- Max - szepnęła - nie zawiodłeś. - Patrzyła mu w oczy i czuła, że traci przytomność. - George cię podziwiał... Co mogłeś działać przeciwko ojcu i temu systemowi? To szaleńcy...

Osunęła się na ziemię.

- Zaopiekuj się dzieckiem Marie... - To były jej ostatnie słowa.

Max wziął dziecko. Brenda umarła. Popatrzył w głąb ulicy, a potem w górę, w niebo. Ta dziwna mgiełka zalegająca nad lokacją przez całe popołudnie zgęstniała i zmieniła się w śmiercionośny opar, który przesunął się w ich kierunku. Zrobiło mu się słabo. To pewnie pierwsze efekty działania gazu.

Spojrzał na dziecko, które trzymał w ramionach. Już nie żyło.

*

David Loxton wstał z fotela i podszedł do drzwi. Generał i prezydent spojrzeli na niego zdziwieni.

- Ale zaraz wracaj - powiedział Klopper. Mam kolejne oświadczenie do wygłoszenia.

Wydawał się zupełnie pewny siebie, jakby amerykańska groźba interwencji była jedynie bluffem.

- Po prostu muszę się nieco odświeżyć - wyjaśnił David, gdy Klopper odwrócił wzrok ku monitorom, i szybko wyszedł z pokoju. Obejrzał się i upewniony, że nikt za nim nie idzie, pośpieszył w głąb korytarza.

Wszystko poszło koszmarnie źle. Prezydent USA zareagował bardzo ostro. Wydawało się, że groźba detonowania Kobry w jednym z miast amerykańskich będzie skuteczna, ale teraz wyglądało na to, że stało się wręcz odwrotnie. Jeżeli Amerykanie rozpoczną inwazję, wszystko będzie skończone. Trzeba ratować skórę i szybko się stąd wynosić.

Na końcu korytarza znajdowało się wyjście awaryjne. David wsunął kartę magnetyczną w otwór i drzwi rozsunęły się. Wyszedł. Drzwi zamknęły się cicho. Tuż przed nim znajdowała się metalowa drabinka wiodąca w górę długiego szybu. Wolno zaczął wspinaczkę. Wiedział, jak wysoko musi iść. Spojrzał na zegarek - przynajmniej pięć minut upłynie, zanim zaczną go szukać.

Wkrótce był już na szczycie i otworzył klapę. Z szybu wchodziło się do pokoju obok centrum sterowania.

Wyciągnął pistolet z kabury i umocował tłumik, a następnie ostrożnie uchylił drzwi do sali. Tyłem do niego stał tylko jeden człowiek wpatrujący się w monitory telewizyjne. Loxton podszedł do niego i strzelił.

Struga krwi trysnęła na monitor. Człowiek upadł.

Drugi strażnik wbiegł do sali - David dwukrotnie nacisnął spust. Na czole strażnika pojawiły się dwie małe dziurki, gdy osuwał się na podłogę.

David szybko zamknął zewnętrzne drzwi do sali, podszedł do pulpitu sterowniczego i przekazał kilka komend centralnemu komputerowi. Parę sekund później na ekranie zamigotał odczyt:

- Ochrona przeciwoatomowa. Zgoda na aktywację.

Tak/Nie.

Wcisnął klawisz T i usłyszał, jak wszystkie luki, włazy i drzwi w całym budynku zaczynają się zamykać.

Wstał i wyszedł z centrum sterowania, zamykając za sobą drzwi.

- Trzy minuty - wymruczał pod nosem zmierzając ku wyjściu.

Jakiś ogarnięty paniką strażnik biegł w jego kierunku.

- Proszę wracać, sir! - krzyknął.

- Proszę się nie obawiać. Mam na górze coś ważnego do załatwienia.

Facet spojrział na premiera jak na kompletnego idiotę i wrócił na swoje miejsce.

Parę minut później David już był na zewnątrz i szedł przez trawnik do swojego samochodu. Siedząc za kierownicą patrzył, jak zamykają się drzwi do podziemnego studia telewizyjnego. Uśmiechnął się.

On był tutaj wolny, a oni siedzieli tam jak w pułapce.

*

- Gdzie, do cholery, podziewa się David? - Generał rzucał wściekłe spojrzenia w kierunku łazienki.

- Uspokój się, człowieku - odparł Klopper. - On się nigdzie nie wybiera.

- Nigdy nie ufałem temu gnojkwowi.

- Ja wiem. Ale był użyteczny. Popatrz na to studio.

- Mam go powyżej dziurek w nosie.

- Wypełnił swoje zadanie, Jurie. Już czas, żeby się go pozbyć.

Gdzieś rozległ się alarm. Generał Smit niecierpliwie wpatrywał się w monitor komputera obok ekranu telewizyjnego. Pokazywał stan operacyjny systemu ochronnego studia.

- Przygotować się na atak. - Te słowa zaczęły pojawiać się na monitorze. Dolph Klopper pochylał się i nerwowo przejechał ręką po włosach. Potem wstał.

- Znajdę Loxtona. On będzie wiedział, co tu się dzieje.

Odkrycie, że Davida nigdzie nie było, nie zajęło mu zbyt wiele czasu. Gdy biegł z powrotem do pokoju, nagle usłyszał szmer zamykanych elektronicznie drzwi.

Jego umysł pracował na najwyższych obrotach. Muszą się stąd obaj wydostać, i to szybko. W pokoju zobaczył, jak Jurie mocuje się z zewnętrznymi drzwiami.

- To gówno jest zamknięte hermetycznie. Złapał nas w pułapkę!

- Nie! Mówił, że jest tu jakieś inne wyjście, tunel awaryjny biegnący gdzieś obok wind.

Obaj rzucili się do drzwi, które David zamknął dziesięć minut wcześniej. Nie mogli nic zrobić, żeby je otworzyć.

- Zdradził nas! Ale musi być jakiś sposób... Musimy się stąd wydostać...!

Wrócili z poszarzałymi twarzami do pokoju i ponownie usiedli przed ekranem telewizyjnym.

*

O zachodzie słońca Max pojął, że zmęczenie spowodowane przez siedmiogodzinny wysiłek w końcu go dopadło. Czuł się zupełnie bezradny wobec ogromu otaczającej go śmierci. Złodzieje już zakradli się do lokacji, gotowi plądrować domy zmarłych.

Chwiejnie doszedł do rogu ulicy i wpadł na patrol żołnierzy w ochronnych kombinezonach. Nie stawiał żadnego oporu, zaakceptował aresztowanie bez słowa.

Zamknęli go w opancerzonym wozie. Całą drogę rzucało nim na wszystkie strony.

Zdawało się, że całe godziny minęły od chwili, gdy samochód stanął, a drzwi się otworzyły. Max znalazł się na jaskrawo oświetlonym reflektorami placu i zobaczył, że cały teren był pokryty ciałami na wpół martwych ludzi. Chciał do nich podejść, ale zatrzymał go brutalny szturchaniec.

- Tędy. Na przesłuchanie.

Zaciągnęli go do szarego, betonowego budynku, ledwo widocznego spod zwojów drutu kolczastego. Wepchnięto go do jakiegoś pokoju. Ku jego zdumieniu, podano mu filiżankę kawy. Siedział cichutko, pijąc, nieświadomy, że ktoś wszedł do pokoju. Po chwili podniósł wzrok i poczuł, że włosy stają mu dęba.

- Ty pierdolony durniu - wycedził David Loxton. - Nigdy mnie nie rozumiałeś, nigdy nie poświęciłeś ani sekundy, żeby się przyjrzeć temu co robię. Zawsze byłeś naiwnym, przegrywającym głupkiem. No, ale doszedłeś już do kresu swojej drogi, chłopaczku.

- Jesteś gorszy niż Hitler. Czy wiesz, co zrobiłeś?

- I tak, wcześniej czy później, zdechliby z głodu; nie ma wystarczająco dużo żarcia, żeby wyżywić ich wszystkich. Nigdy do końca nie pojąłeś tego kontynentu. Tu rządzą twarde prawa ewolucji - przetrwają tylko najsilniejsi.

- I ty w to wierzysz?

- Ja wygrałem, Max. Ty przegrałeś.
- Sądziysz, że świat będzie siedział i beczynnienie się temu przyglądał?
- W tym momencie to problem Dolpha, nie mój.

David wstał i otrzepał z kurzu swój nienaganny garnitur. Max widział uśmiech na jego twarzy. Tego skurwiela naprawdę to bawiło!

- Nie ujdzie ci to na sucho!
- Już mi uszło.

Max chciał się podnieść, ale był za słaby. David uśmiechnął się do niego.

- Jesteś taki sam jak matka, wierzysz w jakieś gówniane ideały. Nie masz zielonego pojęcia, jak naprawdę funkcjonuje ten świat.

- Wiem, że to ty wysłałeś tego konia Lucindzie.
- Była tylko pionkiem w mojej grze. Tak jak i ty.

David opuścił pokój. Max usłyszał, jak rozkazuje żołnierzom, aby przetrzymywali go w odosobnieniu aż do śmierci. W porywie szaleńczego wysiłku Max dowlóknął się do drzwi, otworzył je i już prawie dopadł ojca, gdy ktoś złapał go z tyłu za kołnierz i odciągnął. Splunął. Plwocina trafiła ojca w twarz.

- Mam nadzieję, że zgnijesz w piekle.

David otarł twarz i odszedł z uśmiechem zadowolenia. Max się mylił: piekło nie było jego przeznaczeniem. Czekają na Kloppera i Smita.

*

Kumalo zostawił Grubasa samego w samochodzie u stóp góry. Był w tym miejscu tylko raz i wcale nie czuł radości z powodu kolejnego wezwania. Zawiódł - to wiedział. Ale po co to spotkanie?

Przesunął wzrokiem po skalistych zboczach i dostrzegł refleks odbitego światła słonecznego. Nie widział nikogo, ale oni tam byli. Jeden niewłaściwy ruch i zginie. Wydłużył krok.

*

Grubas usłyszał trzask otwieranych drzwi samochodu.

Ktoś usiadł z tyłu. Grubas nie ośmielił się odwrócić. To było koszmarnie, złowieszcze miejsce - któż to wiedział, jaki demon mógł wleźć do samochodu.

Nagle na jego szyi zaciśnięto garotę.

- Nie! Błagam!

Uniósł ręce w nieudanej próbie zerwania kabla wrzynającego mu się w gardło, ale ucisk był coraz mocniejszy. Zaczął się dusić. Sięgnął po pistolet u boku, ale nie miał już siły, żeby go wyciągnąć.

Chwilę później Grubas już nie żył.

*

Kumalo wkroczył w ciemność jaskini. Gdzieś daleko, w głębi, płonął ogień. Podeszedł bliżej, zdecydowanie ale niechętnie. Przerazało go to miejsce, nawet cienie wydawały się złowieszcze. Jednak nie miał wyboru: zawiódł i wiedział, że gdyby tu nie przyszedł, znaleźliby go i zabili.

- Usiądź przy ogniu.

Głos, kobiecy, wstrząsnął nim jak poprzednio.

To był głos, który wydawał rozkazy. Ona była tą, która zawsze dostarczała broń.

- Co masz do powiedzenia, Kumalo?

Nie mógł jej dostrzec. Widział jedynie cienie na ścianie. I nagle, w błysku jasnego światła, zobaczył na kamieniu tuż przed sobą nagiego Grubasa z rozciętym gardłem.

Mówiła, że tak będzie. Ale czy przejrzała jego plan zjednoczenia Towarzyszy z całego kraju i usunięcia jej?

Wtedy miałby całą władzę dla siebie.

- Sądziłeś, że możesz mnie zdradzić? - zapytał głos.

- Nie!

- Wszystkim się wydaje, że mogą mnie zdradzić. I tobie także.

- Nie!

- Przysięgasz więc zrobić wszystko, co ci rozkażę? Nigdy więcej nie będziesz myślał, jak mnie zdradzić?

- Przysięgam.

- Więc zobaczysz blask jutrzejszego dnia.

*

- David... - Głos Hanli drżał z bólu i zmieszania. - Dzwoni Victoria. Mówiłam, że cię nie ma, ale wtedy powiedziała coś o tobie i małych dziewczynkach...

David odepchnął ją od telefonu.

- Victoria, co...

- Gdzie Max?

- Nie wiem.

- Owszem, wiesz. BBC podało, że twoi żołnierze aresztowali go wczoraj wieczorem w Soweto.

- Naprawdę?

- Słuchaj, ty skurwysynu. Lucinda nie żyje, ale jej tajemnica nie umarła razem z nią - zostawiła testament. Ty bydlaku! Tracey nie zginęła w wypadku samochodowym, ale popełniła samobójstwo. Wszystko jest opisane. Boże, jak mogłeś coś takiego zrobić? Zgwałciłeś Lucinę. Wiedziała także i o innych. Nawet robiłeś na tym pieniądze. Na Boga, jak mogłeś jej to zrobić?

- To kłamstwa!

- Zgwałciłeś ją, gdy miała osiem lat! Chcesz, żebym opowiedziała Hanli coś jeszcze? Dirkowi i Rory'emu to też się bardzo spodoba. Zboczeniec! Gwałciciel dzieci!

Błyskawicznie rozważył wszystko. Musi wydostać się z kraju najszybciej, jak to tylko możliwe. Będzie dużo szumu, huku, niepotrzebnej nachalności telewizji i prasy wokół Kobry, chciał, żeby wszystko spadło na głowy Kloppera i generała Smita, a nie na jego własną.

Już czekał na niego helikopter - ale czekała też Victoria. Trzymała nabyty pistolet przy jego głowie.

- Czego chcesz? - spytał.

- Chcę Maxa.

- A jeśli go wypuszczę?

- Zatrzymam całą historię dla siebie.

- Więc umowa stoi.

- Gdzie on jest.

- W policyjnym obozie Benoni. Zarządę jego natychmiastowe zwolnienie.

- Dobrze. I idź do diabła! Jeżeli Maxa nie wypuszczą za dziesięć minut, możesz równie dobrze...

Ale David już odłożył słuchawkę i wykręcał numer obozu w Benoni.

- Tak, Max Loxton. Zwolnić natychmiast. Jeżeli nawalisz, każę cię rozstrzelać - zakończył rozmowę.

Odłożył słuchawkę. W oddali słychać było wybuchy.

Do pokoju weszła Hanli, błada jak ściana.

- Dziewczynki - powiedziała - lubisz małe dziewczynki. Czy to dlatego się ze mną ożeniłeś? Ty bydlaku!

- Chodź, Hanli, to wszystko kłamstwa.

- Boże, jesteś odrażający. Te opłaty specjalne dla Prester John - już wiem za co. Nie za klientów, prawda? Za twoje małe dziewczynki!

- Zamknij się!

Nagle, z trzaskiem wyleciała szyba w oknie za ich plecami. Hanli odwróciła się. David zobaczył majora Hursta, który skoczył błyskawicznie, złapał Hanli i przytknął do jej skroni pistolet.

- Loxton, gdziekolwiek się wybierasz, jadę z tobą. Albo ona zginie.

David wyciągnął rewolwer.

- Spróbuj, Hurst.

Gdy David unosił broń, Hurst wystrzelił - Hanli, zakrwawiona, upadła na podłogę krzycząc rozpaczliwie.

W ciele Hursta utkwiły trzy kule. Hanli wciąż krzyczała, więc David strzelił jej w czoło.

Hurst umierał. Spojrzał zamglonymi oczami na Davida.

- Myślałem, że ją kochasz... - wyszeptał.

- Miłość jest dobra dla durniów.

- Sam jesteś dureń... - jęknął Hurst i zamknął oczy.

Przez drzwi wejściowe do domu wpadł żołnierz. W jednej sekundzie David zorientował się, że to Amerykanin. Przykucnął i strzelił raz jeszcze. Żołnierz przewrócił się. David od razu był przy nim. Zrywał z ciała mundur, najszybciej jak potrafił. Miał bardzo mało czasu.

*

Bombowce nadleciały ze wschodu. Kluczowe budynki i urządzenia wojskowe w całym kraju zostały zniszczone. Oddziały komandosów zmiotły z powierzchni ziemi siły RPA w ciągu kilku godzin. Dolph Klopper zdecydował, że nadeszła chwila aby wygłosić kolejny apel do narodu. W końcu nikt nie zdawał sobie sprawy, że siedzieli tu obaj ze Smitem zamknięci w pułapce. Co by zrobił ojciec? Starzec walczyłby do ostatka...

Dolph i Jurie spokojnie wkroczyli do studia i zajęli miejsca przed kamerą. Klopper gestem rozkazał redaktorowi rozpocząć audycję i zaczął przemawiać swoim zwykłym, prostym stylem. Ale w jego głowie brakowało charakterystycznej pewności siebie.

- Amerykanie próbują jedynie nas zastraszyć. Nie ma żadnej groźby inwazji. Nasza armia jest w stanie odeprzeć każdy atak. W Soweto sytuacja powoli normuje się. Proszę was, lojalnych obywateli, o nieuleganie panice. W pełni panujemy nad sytuacją. Oddaję głos generałowi Smitowi, dowódcy naszych sił zbrojnych.

Kamera skierowała się na generała. Dolph widział, że Smit wyglądał nie najlepiej; nawet jego zawsze nieskazitelny mundur był wymięty, a ciężki akcent afrikaans odzwierciedlał strach, nie pewność siebie.

- Armia opanowała już sytuację w Soweto - oznajmił. - Jutro rano cały teren lokacji będzie bezpieczny i mieszkańcy będą mogli powrócić do domów. Na pozostałym obszarze naszego kraju sytuacja jest normalna...

*

Nikt nigdy nie zobaczył ani nie wysłuchał tego apelu, ponieważ nadziemne centrum telewizyjne RPA zostało zbombardowane pół godziny wcześniej.

Siły amerykańskie szybko opanowały kraj, a armia RPA była pozbawiona mózgu. Odcięci od dowódcy, generała Smita, nie mieli pojęcia ani co się naprawdę dzieje, ani jak należy reagować. Na terenach Witwatersrandu, zwłaszcza w Johannesburgu i Pretorii, młodzieżowe gangi ogarnął amok. „Naszynikowano” ludzi w ich własnych domach, grabiono sklepy.

Coraz więcej jednostek amerykańskich, a następnie także brytyjskich, lądowało aby przywrócić prawo i porządek. Nowa nienawiść pojawiła się nagle jak grzmot nad veldem. Uczucie bezsensu, bezradności i desperacji ogarnęło cały kraj.

*

Saffron zasiadła za sterami helikoptera. Wynajęła go, jak tylko wylądowała wczoraj w nocy w Botswanie i zorientowała się, że nikt nie zawiezie jej do RPA.

Daleko przed nią płomienie i dymy spowijały niebo.

Była zrozpaczona. Głos Maxa brzmiał przez telefon tak przerażająco. Co się z nim stało?

Wylądowała na lotnisku Lanseria. Natychmiast otoczyli ją żołnierze oddziałów amerykańskich i brytyjskich. Byli dosłownie wszędzie. W końcu udało się jej skontaktować z generałem Hendersonem, naczelnym dowódcą sił amerykańskich. Wyglądał na śmiertelnie zmęczonego.

- Pani Loxton, czy pani postradała zmysły, do cholery jasnej? Tu dookoła wszędzie piekło - ci ludzie się chyba wściekli, poszaleli zupełnie!

- Muszę prosić pana o pomoc, generale. Szukam męża.

Nerwowo podrapał się za uchem.

- Taak, pani mąż. Tak. Wiem. On... To efekt wtórny... Kombinacja gazu paraliżującego i czynników bakteriologicznych...

- Gdzie on jest?

- Dwa dni temu zwolniono go z policyjnego obozu w Benoni. Jeden z moich ludzi zaprowadzi panią do niego. Organizuje ochotników do pracy w Soweto.

Kiedy jechali dżipem przez Johannesburg, nie mogła wprost uwierzyć własnym oczom. Tyle zniszczeń!

Poprzewracane, płonące samochody, zrujnowane fabryki... To wszystko stało się tak nagle - złote miasto przeistoczyło się w wojenną ruinę. Jak długo trzeba będzie czekać na powrót ładu i prawa?

Powietrze zmieniło się, kiedy dojeżdżali do Soweto.

Kierowca podał jej ochronny kombinezon.

- Proszę być ostrożną, pani Loxton. Nasi naukowcy jeszcze do końca nie ustalili, jakich gazów i czynników użyto. - Idąc za jego przykładem Saffron założyła maskę.

Na ulicach prawie nie było ludzi. Wszędzie panowała śmiertelna cisza. W końcu zatrzymali się przed jakimś schroniskiem.

- On powinien być tam w środku - oznajmił kierowca stłumionym przez maskę głosem.

Saffron z trudem wydostała się z wozu. Jej ruchy krępował ciężki płaszcz ochronny.

- Nie idzie pan ze mną?

- Proszę pani, nie mam ochoty tam wchodzić, jasne? Sama go pani odnajdzie, i to szybko. Ja zaczekam tutaj.

Weszła na dziedziniec. Wszędzie leżeli ludzie. W powietrzu unosił się zapach śmierci. Nad czymś ciałem, w rogu podwórza, stał wysoki mężczyzna i pielęgniarzka. Max. Podbiegła do niego z radością.

*

Leżeli razem na wąskim łóżku. Saffron wpatrywała się w beton sufitu nad głową.

- Nie miałam pojęcia, że to było aż tak potworne - szepnęła.

- Ostatnie dane wskazują, że zmarło przeszło sto tysięcy ludzi, a ciągle umierają następni.

Przyjrzała mu się uważnie. Twarz miał poraną nowymi zmarszczkami, wychudł, a w jego blond włosach pojawiła się siwizna.

- Co właściwie ich zabiło?

- Jakiś czynnik bakteriologiczny. Nic nie można dla nich zrobić.

- Gdzie twój ojciec?

- Amerykanie przeszukali jego dom, ale znaleźli jedynie Hanli. Już nie żyła. Natrafili też na zastrzelonego majora Hursta i jakiegoś żołnierza amerykańskiego. Domyślałam się, że ojciec dał nogę z kraju.

Saffron spojrzała na ekran czarno-białego telewizora w rogu pokoju.

- Max, patrz...

Amerykanie właśnie wysadzali drzwi do podziemnego centrum Telewizyjnej Agencji RPA. Gdy wybuchły bomby zegarowe, potężne, żelazne drzwi rozwarły się, a oddział doświadczonych żołnierzy wdarł się do środka. Dziesięć minut później wyszli. Prowadzili dwóch mężczyzn. Max rozpoznał ich na pierwszy rzut oka.

Kamerę telewizyjną skierowano na twarz Kloppera.

Patrzył w nią wyzywająco. Reporter zaczął zadawać pytania.

- Panie Klopper, czy to pan kazał detonować broń chemiczną w Soweto?

- Ja. I jestem z tego dumny. Ludzie, czy wy w ogóle wiecie, co robicie? To koniec cywilizacji - przyznanie czarnuchom prawa głosu równa się podpisaniu nakazu egzekucji na nas i na was wszystkich!

- Jakie uczucia wzbudzają w panu te tysiące ludzi, których skazał pan na śmierć w Soweto?

- Bezproduktywna, ciemna masa. Podludzie. Nie rozumie pan?

Zanim reporter zdążył zadać Smitowi i Klopperowi następne pytanie, wepchnięto ich do opancerzonego pojazdu wojskowego, a telewizja zaczęła nadawać przekaz z Waszyngtonu. Prezydent USA miał właśnie konferencję prasową. Pokój był pełen dziennikarzy. Prezydent - w dobrym humorze, uśmiechał się z zadowoleniem.

- Przede wszystkim chciałbym powiedzieć, że czuję się szczęśliwy. Aresztowaliśmy prezydenta Kloppera i generała Smita. Sytuacja jest pod naszą kontrolą.

Dziennikarze zareagowali na ten komunikat oklaskami.

- Moim pierwszym obowiązkiem będzie wizyta w Soweto - ciągnął prezydent - aby spotkać się z krewnymi tych, którzy stracili życie w tragedii szesnastego stycznia... Obiecuję, że ludzie odpowiedzialni za to niesłychane okrucieństwo staną przed sądem. Przyrzekam także Południowej Afryce wolne, równe, demokratyczne wybory i prawo do takiego systemu politycznego, jaki obywatelom spodoba się najbardziej, pod warunkiem, że będzie on gwarantował równe prawa dla wszystkich, bez względu na rasę czy wyznanie. RPA to wielki kraj. Dla was wszystkich, czarnych i białych, mam przesłanie od narodu amerykańskiego - życzymy wam potęgi i dobrobytu.

Max wszedł do gabinetu doktora. Dzisiaj miał otrzymać ostateczne wyniki badań. Spokojnie - powtarzał sobie - tylko spokojnie.

Doktor Katz był muskularnym facetem o kruczoczarnych włosach z lekka upstrzonych siwizną. Jego twarz z głębokimi zmarszczkami z łatwością rozjaśniała się zaraźliwym uśmiechem. Ten człowiek wzbudzał zaufanie.

- Proszę wejść, doktorze Loxton.

Max wpatrywał się w obserwujące go badawczo ciemne oczy.

- Jest pan twardym człowiekiem - stwierdził doktor Katz. - Zawsze miałem dla pana podziw i szacunek. Pan przynajmniej próbował, podczas gdy my nie zrobiliśmy nic. Jestem dumny, że mogłem pana poznać i porozmawiać.

- Proszę nie owijać w bawełnę, doktorze. Wiem, na co byłem wystawiony.

Doktor Katz wstał i usiadł na kanapce w rogu pokoju. Gestem poprosił Maxa do siebie.

- Doktorze Loxton, kiedy spotykam kogoś takiego jak pan, jest mi szczególnie ciężko.

Max poczuł, jak lodowaty sztylet strachu przeszywa jego serce.

- Proszę być ze mną szczery.

- Musi pan umrzeć.

Max usiłował się uśmiechnąć, ale nie mógł.

- Ile mi zostało?

- Dwa tygodnie, może miesiąc.

- Tylko tyle?

- Tylko tyle. Dam panu dobrą radę. Większość ludzi nie zważa zupełnie na moje rady, ale dam ją panu i tak, bo jest wiele warta.

Max zacisnął ręce na brzegu skórzanej sofy. Drżał cały. Bał się.

- Proszę, niech pan pojedzie w miejsce, które pan kocha - powiedział doktor Katz. - Razem z kimś, kogo pan kocha. Proszę. Niech pan będzie dobry dla siebie samego.

Max wstał i podszedł do okna. Przyglądał się maluchom barszkującym na szpitalnym trawniku. Pomyślał o dzieciach - tak bardzo je kochał i tak strasznie żałował, że nie miał własnych. Tuż za nim stanął lekarz i położył mu dłoń na ramieniu.

- Tak mi przykro. Po tym wszystkim, co pan zrobił, zasługuje pan na coś więcej. Był pan tym, który się poświęcił.

- Dziękuję za wszystko, doktorze. Zwłaszcza za pańską radę.

Wyszedł, zostawiając doktora Katza samotnego przy oknie.

A teraz to najgorsze - westchnął Max sam do siebie, wsiadając do samochodu żeby pojechać do domu. Zdawało mu się, że ten kawałek, od początku alejki do domu, był najdłuższą drogą w jego życiu.

Saffron wyszła, żeby go powitać. Cholera! - dostrzegł, że płakała. Popatrzyła na niego i odgadła, jaką to wiadomość ma do przekazania.

Kiedy tylko weszli do domu, naląła mu whisky.

- Nie ukrywaj niczego przede mną, Max. Ile czasu ci zostało?

- Najwyżej miesiąc.

Wbiła wzrok w sufit.

- Szlag by trafił, to zupełnie nie fair! Musisz umrzeć, a oni nie potrafią nawet znaleźć twojego cholernego tatusia, który jest za wszystko odpowiedzialny.

- Daj spokój, Saffron. Nie tylko on jest odpowiedzialny. Było wielu takich, którzy go poparli.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Co chcesz teraz zrobić?

- Chcę pojechać z tobą, tylko we dwoje, do obozu na Okavango.

*

Wyruszyli w ciągu godziny. Najtrudniejszą rzeczą dla Maxa było opuszczenie domu ze świadomością, że nigdy tu już nie wróci. Tuli płakała rozpaczliwie. Max obejmował ją czule przez długi czas. W końcu spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się.

- Jesteś dobrym człowiekiem, doktorze Max, wspaniałym człowiekiem.

Przyszła też Victoria aby pożegnać się z nim na zawsze. Przebywała tu jako doradca sił międzynarodowych, tymczasowo sprawujących władzę w RPA.

- Będę o tobie myśleć, Max, zawsze.

Nie rozglądając się dookoła podszedł do helikoptera, smakując dotyk ziemi pod stopami. Po chwili wznieśli się w powietrze. Lecąc patrzyli na miasto w dole, potem na cichą kostnicę, którą teraz stało się Soweto.

Max rzucił miastu ostatnie spojrzenie i skierował się na północny zachód, w kierunku Botswany, miasta Maun i bagien Okavango.

*

Wieczorem byli w hotelu w Maun. Siedząc na balkonie w zamierającym świetle zachodzącego słońca, przyglądali się płynącej leniwie zakosami rzece Thamalakane. Hotel Riley był jednak elementem cywilizacji, a Max tęsknił za naturą.

- Muszę znaleźć się w buszu - powiedział do Saffron. - Nie chcę wokół żadnych ludzi, żadnego zgiełku.

- Odpręż się, Max. Jutro tam będziemy.

*

Następnego dnia czuł się o wiele lepiej. Uśmiechał się osadzając helikopter na malutkim lądowisku. Tam już czekał na nich Gumsa w land-roverze.

- Upłynęło dużo czasu, Kaikhoe.

- Zbyt dużo, Gumsa.

- Jak długo zostajesz?

- Miesiąc, może dwa.

- Nareszcie wrócił ci rozum. Wskakuj do landa, ja zajmę się helikopterem.

Wsiadli do land-rovera i wolno ruszyli traktem. Z jakichś niejasnych przyczyn Max cofnął się pamięcią o wiele lat wstecz, kiedy to razem z matką jechali tą samą drogą. Zahamował.

- Coś się stało, kochanie?

- Nie, po prostu muszę być przez chwilę sam, tylko parę minut.

- Okay. Poczekam tu na ciebie.

Zniknął w buszu i szedł przed siebie, aż zarośla otoczyły go ze wszystkich stron. Usiadł na ziemi i spojrzał w niebo.

- Kim jesteś, Boże? Kochałem moją matkę, kocham moją ojczyznę, a Ty najpierw zabrałeś mi matkę, a teraz zabierasz mój kraj. Czy uważasz, że to sprawiedliwe?

Żadnej odpowiedzi. Busz był cichy jak przedtem.

Pomyślał o Tracey, jak zabrała go tu, dokładnie w to samo miejsce, i pokazała pierwszego lwa.

Już wstał żeby wrócić do land-rovera, kiedy nagle kątem oka dostrzegł błysk brązu w zaroślach... Spokojnie ruszył w kierunku brązowej plamy i poczuł ostry, zwierzęcy zapach. Patrzył na lwicę i jej troje małych lwiątek. Otaczała je atmosfera beztróskiego zadowolenia. Jedno z lwiątek tarzało się w trawie, a matka oparła o niego łapę. Mały prychnął radośnie. Lwica zaryczała głośno, a gdzieś w oddali odpowiedział jej samiec. Max zadrżał, zastanawiając się, gdzie też może cziąć się lew. I wtedy zrozumiał. Był to znak. Bóg dał mu swą odpowiedź.

Wrócił do land-rovera i razem z Saffron pojechali do obozu. Wiedział, że przybył we właściwe miejsce.

*

Victoria beznamiętnie obserwowała cały proces z galerii. Dzisiaj, czternastego dnia, sędzia miał ogłosić swój werdykt. Ani razu żaden z podsądnych nie okazał po sobie choćby śladu skruchy. Wydawało się, że to co zrobili, zupełnie ich nie wzrusza. Dla nich sto dwanaście tysięcy ludzi zamordowanych w Soweto nie miało najmniejszego znaczenia. Dodatkowe szczegóły, które wyszły na jaw w trakcie procesu, odsłoniły ich udział w zamordowaniu doktora Preussera, konstruktora Kobry.

Sędzia Blair wszedł na salę i poprosił wszystkich, żeby usiedli.

- Jestem sędzią od dwudziestu pięciu lat - zaczął - i widziałem najgorsze krzywdy, jakie człowiek potrafi wyrządzić swojemu bliźniemu. Ale nigdy, w ciągu całej mojej kariery, nie spotkałem się ze zbrodnią tak zimną i wyrachowaną jak ta, z którą miałem do czynienia przez ostatnie dwa tygodnie. Ci dwaj ludzie stojący przed nami na ławie oskarżonych nie okazali nawet śladu żalu i skruchy, a wręcz wydają się być dumni z tego, co uczynili. Obrona argumentowała, że ludzie ci po prostu wykonywali zadania, do których zostali wybrani, ale muszę się tu zgodzić z oskarżycielem, że biała społeczność RPA nie może być obwiniana za tę zbrodnię, z zimną krwią popełnioną na przeszło stu tysiącach obywateli. Wydając wyrok wracam pamięcią do procesów norymberskich sprzed przeszło czterdziestu lat. Kiedy czytałem relacje z tamtych rozpraw, wyczuwałem w umysłach sędziów tę samą desperację i rozpacz, jaką osobiście czuję teraz. Jak można rozważać bezstronnie coś, co wydaje się być zupełnie nieprawdopodobne? Jestem upoważniony do wydania wyroku śmierci na tych dwóch ludzi, którzy stoją przede mną zadufani i nieskruszeni. Uważam jednak, że wydanie wyroku śmierci będzie dla nich niezасłużoną łaską. - Zimno popatrzył na Kloppera i Smita. - Nie. Nie wydam wyroku śmierci, ale skazę ich na dożywotnie więzienie. Obaj spędzicie resztę życia pracując i troszcząc się o umierających. Praca ta jest niebezpieczna i będzie wymagała kontaktów z ludźmi zatrutymi czynnikami chemicznymi i bakteriologicznymi.

Obaj oskarżeni zachwiali się. I wtedy, ku zdziwieniu wszystkich obecnych, Klopper skrzyżował ręce na piersi.

- Ludzkość jest chora - oznajmił z przekonaniem. - Nie potrafi pojąć praw natury. To wy jesteście ślepi.

Jego słowa odbiły się lodowatym echem w sali sądowej. Sędzia odwrócił się do oskarżonych plecami.

*

Któregoś ranka przy śniadaniu, po dwóch tygodniach pobytu w obozie, Max wyciągnął jedną z wielu map, jakie przechowywał w domku.

- Chcę cię zabrać w jedno miejsce, które jest dla mnie bardzo ważne - powiedział do Saffron.

- Nie chcę stąd wyjeżdżać.

Na jej twarzy dostrzegł niepokój, więc pospieszył z wyjaśnieniem.

- To niedaleko stąd. Około dnia drogi na zachód. Gumsa zna drogę.

- To święte miejsce?

- Tak. Dla wszystkich Buszmenów. Jest tam święte źródło. Zawsze chciałem cię tam zabrać.

- Ja... Dobrze, jedźmy... - Jej głos się załamał.

Otaczały ich myśli, których bali się wypowiedzieć głośno. Wyciągnął rękę i mocno uściskał jej dłoń.

*

Tej nocy kochali się z rozpaczliwą namiętnością.

Kiedy leżeli obok siebie, Saffron krzyknęła:

- Boję się! Boję się żyć bez ciebie!

- Musisz tu często przyjeżdżać. Kiedy tylko przybędziesz, zawsze mnie tu zastaniesz.

- Cholera! To takie niesprawiedliwe.

Usnęli, mocno się obejmując. Rano wstali z pierwszym promieniem słońca i zapakowali ostatnie drobiazgi do land-rovera. Kiedy wyruszyli, Saffron tęsknie spojrzała na obóz. Wiedziała, że nigdy tu razem nie wrócą. Ale ta świadomość nie przygnębiała jej już tak bardzo, jak można było oczekiwać. To uczucie było zupełnie nierealne, jak wszystko dzisiejszego ranka.

Z początku, kiedy jechali wzdłuż strumienia, ledwo widocznym traktem, poruszali się bardzo wolno. Tu i ówdzie widniały ogromne kałuże i trzeba było ostrożnie prowadzić. Na szczęście, nie miały więcej niż trzy stopy głębokości. W końcu dotarli na tereny pustynne i busz zaczął się przerzedzać. Wokół było coraz więcej piasku, jedynie gdzieś widziało się palmy. Saffron zrozumiała, że znaleźli się w zupełnie innym świecie.

Land-rover mógł teraz przyspieszyć. Jechali przez otwartą równinę, szlakiem przysypanym piaskiem. Daleko przed nimi, na horyzoncie, wyrastały wzgórza.

Gadający przez cały czas Gumsa umilkł, gdy zbliżyli się do łańcucha pagórków dominujących nad całą okolicą.

Zatrzymali się na chwilę, żeby pozbierać trochę drewna na ognisko. Załadowali chrust na dach.

Zapadł zmierzch, gdy dotarli do wzgórz, i Max rozkazał Gumsie zatrzymać się.

- Dobrze. Wystarczająco daleko dziś dotarliśmy. Rozbijemy obóz, a jutro wjedziemy między wzgórze.

*

Tej nocy po kolacji siedzieli razem przy ognisku.

Saffron uśmiechnęła się i ujęła dłoń Maxa.

- Dobrze, że tu przyjechaliśmy. To miejsce ma specjalny klimat.

W oddali rozległ się jakiś hałas. Saffron stężała. Gumsa uśmiechnął się.

- Spokojnie. To moi ludzie. Przyszli sprawdzić, kto ośmielił się wdrzeć na nasze święte miejsce.

- Czy powinniśmy tu przyjeżdżać?

- Oczywiście. Oni oczekiwali Kaikhoe.

Spojrzała w oczy Gumsy i zrozumiała, że odgadł wszystko, czego mu nie powiedziała. Wiedział, że Max umierał.

Nagle zdała sobie sprawę z obecności drobnej postaci, która przykucnęła przy ogniu - był to stary człowiek o mądrej, pomarszczonej twarzy i króciutko ściętych włosach. Uśmiechał się. Max przemówił do niego tym samym gardłowym językiem, którego używał rozmawiając z Gumsą, a stary odpowiedział:

- Czekaliśmy na ciebie.

Max spojrzał na smukłe, silne nogi starego, mały łuk i strzały. Ci ludzie mieli niewielkie wymagania i szanowali naturę.

- Jesteś tu bezpieczny - powiedział stary. Kiedy mówił, koło ogniska pojawiła się kobieta, kilku młodych mężczyzn i dzieci.

- Zapraszamy was do naszego ogniska - rzekł Max. - Dzielcie z nami posiłek.

- Tak wielki ogień, Kaikhoe. - Starzec wpatrywał się w huczące płomienie i Max wiedział dlaczego. Kiedy Buszmeni rozpalają ognisko, używają bardzo mało drewna - tyle tylko, ile potrzeba do ugotowania stawy, i ani odrobiny więcej. Dla nich wszystko jest cenne.

*

Saffron obudziła się o świcie i patrzyła na wzgórze opromienione blaskiem wschodzącego słońca - cztery pagórki ustawione prawie w równym rzędzie. Najbardziej wysunięte na północ wzgórze było płaską, nagą skałą, wznoszącą się na wysokość trzystu metrów nad równiną. Max wyjaśnił jej, że Buszmeni nazywają najwyższe wzgórze Mężczyzną, to drugie obok - Kobieta, a najbliższe, malutkie - Dzieckiem. Błękitnoczarny mężczyzna dominował między drzewami i Saffron wydawało się, że skupia on w sobie całą

tajemniczość tego miejsca. Podeszła do ogniska, powiesiła nad ogniem kociołek i patrzyła na gotującą się wodę i wschodzące słońce.

Delikatne obłoki układały się w postrzępioną linię tuż nad horyzontem. Saffron wpatrywała się w nią zafascynowana. Poczowała dotyk dłoni Maxa na ramieniu i odwróciła się. Pocałował ją w czoło. Razem oglądali wschód słońca, aż rozgrzało ich ciała i ozłociło je blaskiem. Zjedli śniadanie - owsiankę i opieczony nad ogniem chleb. Wtedy pojawił się stary Buszmen i przez dłuższy czas rozmawiał z Maxem.

- Pokaże nam wzgórze - oznajmił Max. - Mówi, że masz dużo szczęścia, że jesteś wybranką losu. Mówi też, że jesteś bardzo piękna, jak pierwsza gwiazda na wieczornym niebie.

Saffron zaczerwieniła się.

- Powiedz, że jestem zaszczycona jego komplementami.

Starzec poprowadził ich przez piaszczystą równinę w kierunku wzgórz. W końcu dotarli do zielonych pnączy oplatających podnóże wzniesień i przeszli przez szczelinę w skale.

Max szepnął Saffron do ucha:

- To wielki zaszczyt. Zabiera nas do jednego z tajemnych źródeł. Nie wolno ci nigdy nikomu opowiadać o tym miejscu. Jest święte.

Przeszli przez ciemną grotę i nagle, tuż przed nimi, przez szczelinę w sklepieniu wpadł do środka promień słońca i oświetlił małe jezioro. Jego woda była kryształowo błękitna. Mech i drobniutkie drzewka porastały brzeg jeziora. Buszmen ukląkł i wolno napił się wody ze źródła. Gestem poprosił Saffron i Maxa, aby poszli w jego ślady. Saffron pomyślała, że nigdy w życiu nie piła niczego tak słodko czystego. Max przyglądał się, jak piła. Buszmen powiedział coś przytłumionym głosem.

- Mówi, że to źródło - przetłumaczył Max - jest źródłem życia. Mówi, że jestem chory, więc muszę napić się wody ze źródła, aby umocnić duszę przed spotkaniem z nieuniknionym.

Wstała i spojrzała na Buszmena, prosto w jego nieprzeniknione oczy. Po raz pierwszy w życiu poczuła prawdziwą zazdrość, że jest ktoś, komu tak mało potrzeba do szczęścia.

- Mówi, że jesteś jak słońce i że twój dzień będzie długi. Ja zaś jestem księżycem. Możesz istnieć beze mnie, ale noce będą dla ciebie puste.

- Skąd on tyle wie?

- Dlatego, że wie tak mało. Jego umysł jest wolny od tego całego zgiełku, który wypełnia nasze życie. Buszmeni żyją życiem duchowym i dlatego przetrwali aż do dzisiaj. Chodź, chce nam pokazać coś jeszcze.

Oddalali się od źródła długim, wąskim jarem osłoniętym zwieszającym się stropem skał. Saffron, zafascynowana, przyglądała się ścianom - pokrywały je malowidła przedstawiające wszystkie ważne chwile w życiu Buszmenów.

- Cudowne! Czy to oni namalowali?

- Nie, nie oni. Ciągłe malują nowe, ale nie wolno ci zobaczyć tych malowideł. Te tutaj mają setki lat.

*

O zachodzie słońca powrócili do obozu i łąpczywie zjedli kolację przy ognisku. Towarzyszący im Buszmeni nucili pieśni. Jeden z nich grał na łuku, wydobywając z cięciwy długie, puste dźwięki. Na tym rytmicznym, hipnotycznym tle dwóch innych mężczyzn grało na czterostrunowych gwashi, podczas gdy reszta śpiewała.

Muzyka była smutna, ale niewypowiedzianie piękna.

Max i Saffron usnęli patrząc w dopalające się węgle, a gdy Saffron ocknęła się w nocy, miejsce Maxa przy jej boku było już zimne. Usiadła przestraszona. Zbliżył się do niej Gumsa.

- On odszedł, ale nie wolno ci rozpaczać.

Zadygotała. Chciała się rozplakać, ale w Gumsie było coś kojącego, uspokajającego.

- Kiedy wróci?

- Nigdy nie wróci. Zobaczysz go za wiele, wiele lat.

Saffron ułożyła się w śpiworze i utkwiała wzrok w gwiazdach. Łzy wolno spływały po jej twarzy. Dłoń Gumsy delikatnie dotknęła jej dłoni.

- Nie płacz. Jego ciało odeszło, ale dusza zawsze będzie z tobą. Afryka przyjęła go do swego serca.

4

Dolph Klopper leżał na pryczy w swojej celi i gapił się w sufit. Każdy dzień był parszywszy od poprzedniego.

Nie miał ochoty myśleć, co się stało z jego krajem.

Świat składał się z samych mięczaków. Jak mogli przekazać władzę czarnuchom?

Rygiel w drzwiach zazgrzytał i do środka wszedł strażnik. Popatrzył na niego.

- Wstawaj, Klopper. Masz gościa.

- Gościa?

- Tak. Jakaś kolorowa baba. - W głosie strażnika zadźwięczało szyderstwo.

- Nie chcę jej widzieć.

- Myślę, że jednak będziesz chciał.

Poprowadził go korytarzem więzienia Pretoria Central do małego pomieszczenia z jednym oknem. Pośrodku pokoju, przy stoliku, siedziała Figi, służąca ojca. Uśmiechnęła się do Dolpha, kiedy wchodził, ale nie przyjął do wiadomości jej powitania. Stał pod ścianą - nie zniżył się do tego, żeby siedzieć razem z kolorową.

- Dzień dobry, Meneer Klopper.

Burknął coś w odpowiedzi.

- Przykro mi, ale przynoszę niedobre wieści.

Nagle ogarnęło go złe przecucie. Ojciec! Wszystko, tylko nie to!

- Pana ojciec zmarł tydzień temu.

Dolph przełknął ślinę.

- Był już stary - wyszeptał w końcu. - Czy zmarł spokojnie?

- W czasie snu. Zostawił testament. - Wyjęła z torby kawałek zmiętego papieru.

Wyrwał go jej z ręki.

- Dziękuję ci. - Jego ton wyraźnie wskazywał, że powinna się wynosić, ale zignorowała to.

- Musi pan przeczytać teraz - oznajmiła. - Wiem, co tam jest. Pomagałam mu pisać.

- No to dlaczego chcesz zostać?

Wściekle krzyknęła na niego:

- Czytaj, ty gnoju!

Chciał ją uderzyć, ale coś w jej oczach powstrzymało go, coś dziwnie znajomego, czego nigdy przedtem nie zauważył. Usiadł i zaczął czytać. Zacisnął ręce na brzegu stołu.

Kiedy skończył, zaczęła mówić:

- Twój ojciec był dziwnym człowiekiem, ale zawsze go kochałam, chociaż byłam tylko kolejną kobietą do łóżka. Oczywiście nie widział mnie, ale wiedział, że jestem czarna. Byłam dla niego jakby dwiema kobietami: po pierwsze - jego czarną służącą, po drugie - żoną, matką jego jedyne syna. Twoją matką.

Dolph poczuł, że cały pokój zaczyna wirować.

- To kłamstwo - wyszeptał.

- Całe twoje życie było kłamstwem. Kochałam cię, ale znenawidziłam człowieka, którym się stałeś. On to z tobą zrobił. Wymogłam na nim obietnicę, że wyzna ci prawdę - choćby tylko ze względu na Marie.

- O co ci chodzi? O czym ty mówisz?

- O Morganie, kolorowym synku, którego ci urodziła. Jego ciemna skóra była twoją. Nigdy nawet nie zainteresowałeś się, jak ma na imię, co? Odwiedzałam Marie, kiedy ją wyrzuciłeś, usiłowałam jej pomóc. A teraz nie żyje - zabił ją gaz. To ty ją zabiłeś!

- A chłopczyk?

- Także nie żyje.

Dolph wstał i wyszedł z pokoju, a stara Murzynka długo i uważnie patrzyła za nim. Strażnik odprowadził go do celi i zanim zamknął drzwi, rzucił jeden, jedyny komentarz:

- No i co, Klopper? Jesteś kafrem.

AMERYKA

O siódmej rano, jak zwykle, John Packard siedział już w swoim biurze w Hollywood. Sekretarz położył przed nim „Wall Street Journal”. Packard wolno sączył kawę i przyglądał się porannym promieniom słonecznym tańczącym po dachu studia. Czuł się znakomicie. Dzięki interesowi ubitemu z Japończykami w zeszłym tygodniu, osiągnął swój cel ostateczny - stał się najpotężniejszym człowiekiem w sferze komunikacji elektronicznej. Rządził nie tylko filmem, video czy sieciami telewizyjnymi, ale także komputerami i satelitami.

Nagle zadzwonił telefon - jego prywatna linia.

- Shelton! Jak się masz? Co... Ależ to było supertajne! Nie wierzę. Nie, ja nie...

Złapał fax, który trafił na biurko sekundę temu. Była to propozycja artykułu pod tytułem: „Saffron Packard ujawnia wszystko”. Artykuł znakomicie wypełniał obietnicę z nagłówka. „Saffron Packard ujawniła całą prawdę o bezlitosnych metodach i machinacjach swojego byłego męża; jak opłacał ludzi zatrudnionych w rywalizujących z nim firmach, aby sabotowali ich działalność, co następnie umożliwiała mu wykupywanie tych firm za bezcen, lub jak zniszczył botswański projekt Maxa Loxtona, pożyczając mu pieniądze przez podstawionego człowieka, a następnie wycofując się z przedsięwzięcia...

Packard odłożył fax i ponownie złapał za słuchawkę.

- Shelton, to się nigdy nie ukáže. Dopilnuję tego... Nie rozumiem, co to znaczy, że jesteś aresztowany przez Szwajcarów...?

Rzucił słuchawkę i w tej samej chwili usłyszał ciche pukanie do drzwi. W progu stała Saffron. Usta miała zaciśnięte w wąską linijkę.

- Zdaje się, że Shelton już z tobą rozmawiał. On mnie nie obchodzi - dostanie piętnaście lat. Ale twój wyrok może być inny...

Packard aż poderwał się z krzesła.

- Nie mam ochoty...

- John, mogę skontaktować się z FBI. Aresztują cię. Wystarczy, że zgodzę się zeznawać i przedstawię konieczne dowody, które są w moim posiadaniu. Zasięgnęłam porady prawnej - dostaniesz dwadzieścia albo trzydzieści lat.

Packard spojrział na nią.

- Czego chcesz?

- Na początek - pięćdziesiąt milionów dolarów zaliczki. Potem...

- To chyba wystarczy!

- Nie. Będziesz płacił za to każdego dnia swego życia.

Packard przyglądał się byłej żonie z nienawiścią.

- Twoje na wierzchu, ty dziwko.

ARGENTYNA

Grało im się nieźle. Miliarder z Teksasu pochylił się i pogratulował gospodarzowi.

- Davidzie, to najlepsza partyjka polo, w jakiej grałem od lat.

- Dzięki, Jim. To mi naprawdę pochlebia, stary.

- Kiedy przyjechałem do Argentyny, nie miałem pojęcia, że będę podejmowany wręcz po królewsku. Masz wspaniałą posiadłość i przecudowną żonę.

Gabriela miała obecnie dwadzieścia jeden lat i była eks-królową piękności. David Loxton spojrział na nią i uśmiechnął się - siedziała razem z żoną Jima Calhouna. O czymś tam plotkowały.

- Dziękuję za komplement. Chciałbym pokazać ci moje kopalnie, jeżeli będziesz miał chwilę czasu.

- Oczywiście, ale najpierw doprowadźmy do końca nasze interesy z bronią. Zawsze mieszkałeś w Argentynie?

- O, tak, tylko parę lat spędziłem w Afryce.

PIETERSBURG

Kumalo dowlóknął się do jaskini zboczem góry. Nie chciał wchodzić do środka. Bał się spojrzeć w oczy swemu przeznaczeniu. Patrzył na twarze otaczających go facetów. Każdy trzymał w rękach szybkostrzelny karabin.

Nie miał wyboru. Droga ucieczki nie istniała.

W środku, w ciemnościach, poczuł zapach krwi. Zmusił się do przejścia długim korytarzem, aż wyczuł, że znalazł się w wielkiej pieczarze.

- Co masz do powiedzenia?

Jej głos odbił się echem od zimnych skał i przeszył na wskroś jego duszę. Miał wrażenie, że zamarza.

- Głośniej, Kumalo. Dostałeś na to cztery lata.

Nie ma wyboru. Trzeba zacząć mówić.

- Walczyliśmy twardo przez cały ten czas - rzekł. - Ale Malcolm Zwane oddawał cios za cios. Jest prezydentem. Ma na swoje usługi całą machinę militarną pozostawioną przez siły interwencyjne. Dobrze wie, że Towarzysze pragną go obalić, więc przyciska nas bezlitośnie.

- Opowiedziałeś mi, że istnieje broń, dzięki której możecie wziąć odwet. Ta sama broń zniszczyła Soweto parę lat temu. Kobra.

- Zgadza się. Mając Kobrę mogę unicestwić armię Malcolma Zwane.

- Skąd ją dostałeś?

- Kupiłem od tego rudzielca, Rory'ego Loxtona.

- Ile mu zapłaciłeś?

- Miliony.

- Ile?

- Siedemnaście milionów randów.

- Więc masz Kobrę?

Chlipiąc ze strachu Kumalo rozpląszczył się na podłodze.

- Nie! Oszukał mnie!

- Twój czas dobiegł końca.

W środku jaskini rozbłysł ogień i w głębi Kumalo zobaczył jej twarz.

- Twój także - wyszeptał cichutko.

Kiedy mężczyźni wynurzyli się z cienia i zaczęli do niego się zbliżać, namacał ręką detonator. Czuł ciężar ładunków wybuchowych przyczepionych do różnych części ciała. W jego plecach zagłębiło się ostrze noża.

Krzyknął głośno i przycisnął guzik detonatora.

Poczuł, jak impulsy gorąca ogarniają całe jego ciało, ale uśmiechnął się na widok przerażenia na jej twarzy.

Na sekundę przed śmiercią wiedział, że nie miała już żadnej władzy. Odebrał jej całą potęgę.

EGOLI

Gdy na lotnisku imienia Napoleona Zwane w Johannesburgu wylądował samolot, orkiestra wojskowa zaczęła grać na powitanie. Do drzwi przystawiono schody i rozwinięto czerwony dywan. Drzwi otworzyły się, zgromadzeni ludzie zaczęli śpiewać pieśń powitalną, a wysoka, dostojna blondynka pomachała im na dzień dobry. Wiatr rozwiewał jej długie, jasne włosy, które błyszczały w słońcu.

Prezydent Malcolm Zwane pocałunkiem w policzek powitał Victorię Loxton. Za nią po schodach szła ubrana na czarno Saffron Packard; ciemne włosy miała mocno ściągnięte i związane w koński ogon. Prezydent ucałował ją na powitanie.

- Gratuluję, Saffron, podwójnego sukcesu - twojego filmu i projektu Okavango.

Elegancki chłopiec w ciemnym garniturze wolno schodził po trapie. W jego oczach wyraźnie odbił się zachwyt na widok kontynentu, którego nigdy wcześniej nie widział. Doktor Zwane poczekał, aż chłopczyk stanie przed nim i uścisnął mu mocno dłoń.

- Kobus, zawsze będziemy cię tu witali z radością. Miałem zaszczyt znać twojego ojca - wielkiego, wspaniałego człowieka.

Wszyscy skierowali się do budynku lotniska. Po chwili kawalkada eleganckich limuzyn wiozła ich do Egoli, złotego miasta między złotymi łańdami kopalń, błyszczącego w słońcu nad Wysokim Veldem.

Jadąca w pierwszym samochodzie Victoria zwróciła się do gospodarza:

- Wiesz, Malcolm, doprawdy cała ta pompa była zupełnie niepotrzebna.
- Wręcz przeciwnie, Victorio, twój powrót do kraju jest wydarzeniem historycznym.

Dla mnie oznacza to osiągnięcie celu, który postawiłem sobie przyjmując urząd prezydenta.

Victoria pomyślała o tym, co Malcolm osiągnął przez czas swojej prezydentury. Wrócił do Afryki po wycofaniu międzynarodowych sił interwencyjnych i przyspieszył formowanie nowego rządu. W pierwszych demokratycznych wyborach wygrał i został prezydentem.

Udowodnił, że jest zdolnym, znakomitym przywódcą.

Ale państwem wciąż wstrząsały zamieszki. Wielu ekstremistów nie chciało uznać nowego rządu.

- Dziękuję - odparła Victoria - ale dalej nie rozumiem, dlaczego nas tu wezwałeś.
- Nie domyślasz się? Cóż, potrzynam cię jeszcze trochę w niepewności.
- Uważam, że to nie fair - złośliwie wtrąciła Saffron.

Malcolm uśmiechnął się.

- Aha. Przy tobie, Saffron, trzeba mocno uważać na słówka. Jesteś jak kot, który chodzi zawsze własnymi drogami.

Saffron ścisnęła go za ramię.

- Jeżeli masz na myśli moje postępowanie wobec Johna, to tak jest w istocie.
- W rezultacie sfinansował cały projekt Okavango.
- I będzie płacił do końca swoich dni, Malcolm. To także on finansował mój film.
- Kaikhoe - cicho wyszeptał Malcolm.
- To mój podarunek dla Maxa - film o nim i o wszystkim, w co wierzył.

Victoria spojrzała na nią i dostrzegła, że oczy Saffron zamglily się łzami. Poczula, że jej także łzy napływają do oczu. Malcolm ujął ją za rękę.

- Wierz mi, Victorio, dobrze wiem, ile cię kosztował powrót. Ale ty jesteś bardziej częścią tego kraju niż wielu z tych, którzy tu mieszkają. Bardzo się cieszę, że zabrałaś ze sobą Kobusa.

Victoria obserwowała przez okna samochodu kraj, który do tej pory był dla niej zagadką. Wyjechali na autostradę przecinającą Egoli. Patrząc na miasto wróciła pamięcią do dnia sprzed wielu lat, kiedy zastrzelono Kobusa.

- Wybacz - powiedział Malcolm. - Byłem niedelikatny. Wiem, że zbyt dużo od ciebie wymagam. Zabiorę cię do hotelu, a jutro rano pojedziemy do Soweto.

Spojrzała na niego.

- Nie, chcę tam jechać teraz. To wielki zaszczyt dla nas. Max, twój brat i twój ojciec powinni dożyć tej chwili. O tym właśnie marzyli.

Samochody przejeżdżały teraz przez teren stepowy.

Gdzieniedzie tylko wśród drzew migwały domki.

- Ale to wcale nie koniec - stwierdził Malcolm. - Przemoc wciąż jeszcze żyje w ludzkich duszach, a gorycz nie zniknęła. Codziennie stawiam czoło nowym problemom... Ale nie myśl teraz o tym. Zobaczysz, jak zmieniło się Soweto.

- Sądziłam, że zostawicie wszystko tak jak było, jako ostrzeżenie.

- Poczekaj, to zobaczysz sama.

Samochód zbliżał się do szeregu pordzewiałych, żelaznych bud. Między nimi biegła zakurzona droga. Przy końcu ulicy stało olbrzymie popiersie mężczyzny wyrzeźbione w brązie, już trochę pociemniałe od deszczu. Twarz mężczyzny była zwrócona ku północy. Malowała się na niej determinacja, zawziętość i niemal religijna żarliwość.

Zatrzymali się i wysiedli. Saffron wolno podeszła do pomnika. Kobus chciał pójść za nią, ale Victoria przytrzymała go przy sobie.

- Pozwól jej na chwilę samotności. To dla niej bardzo ważne, rozumiesz?

- Po twarzy Saffron płynęły strumienie łez. Podobieństwo było uderzające. Pod pomnikiem umieszczono małą, prostą tabliczkę. Malcolm cicho odczytał tekst:

„Pamięci doktora Maxa Loxtona, 1949 - 1992. Był częścią ducha naszego kraju i na zawsze pozostanie z nami”.

Saffron prawie zemdląła. Malcolm objął ją ramieniem i stał razem z nią, czekając aż obeschną jej łzy.

Wtedy podeszła Victoria z Kobusem. Malcolm stojący przed pomnikiem zwrócił się do wszystkich:

- Zaprosiłem was, żebyście to zobaczyli. Chciałem znaleźć sposób aby uczcić to, w co doktor Loxton wierzył i co zrobił. Ofiarowuję wam honorowe obywatelstwo Egoli i mam nadzieję, że któregoś dnia zdecydujecie się tu zamieszkać.

Skierował wzrok na Victorię.

- Muszę cię o coś poprosić.

- Nie zostanę - odparła.

- Poczekaj. Wiem, że jesteś szczęśliwa w Londynie i odnosisz tam sukcesy zawodowe - ale my potrzebujemy cię tutaj.

- O co więc chcesz mnie poprosić?

- Nie tylko ja - cały parlament. Mianowaliśmy cię ministrem sprawiedliwości.

Victoria odwróciła się i spojrzała na popiersie brata.

- Znasz mnie tak dobrze, Malcolmie. Przyjmuję stanowisko.

Wszyscy umilkli, gdy Zwane wystąpił naprzód i podszedł do postumentu pomnika. Słońce zastygało tuż nad linią horyzontu, zabarwiając chmury na złotoczerwono. Z głębokim przejęciem Malcolm wygłosił słowa poematu Buszmenów wybrane jako epitafium Maxa:

„Wiatr ptaka unosi na swych skrzydłach, lecz niedaleko: odrywa się od ziemi, wzbija się ku niebu i ulata, porywa za sobą trawę i wirując z nią w tańcu rozrzuca ją szeroko, szeroko po świecie”.

Zerwał się lekki wiatr. Czerwień słońca ogrzewała twarz Vicky. Już nie byli wygnańcami.

Koniec